

KRUCZE PIERŚCIENIE



SIRI PETTERSEN

EVNA

SKANDYNAWSKA FAŁA OGARNIA FANTASTYKĘ!

CYKL TEN MA SZANSĘ STAĆ SIĘ DLA LITERATURY
FANTASY TYM, CZYM DLA KRYMINAŁU STAŁY SIĘ
KSIĄŻKI LARSSONA, NESBØ I LÄCKBERG.



REBIS

KRUCZE PIERŚCIENIE



SIRI PETTERSEN

EVNA

Przełożyli z norweskiego
Anna Krochmal i Robert Kędzierski



Dom Wydawniczy REBIS



Wszystkim, którzy piszą swoją pierwszą książkę.

I tobie. Tobie, który przegrałeś. Który jesteś tak pokryty bliznami, że robi ci się niedobrze, kiedy inni nazywają cię szczęściarzem. Który wątpisz, czy kiedykolwiek dojdiesz do siebie, bo zostałeś roztrzaskany na zbyt wiele kawałków. Który sądzisz, że już nigdy nie będziesz w stanie się podźwignąć. To jest książka dla ciebie.



POWRÓT ZE SLOKNY

Rime wbiegał po zboczu, przekonany, że nikt nie dostrzeże go w mroku. Dotarł na grzbiet wzgórza, przywarł do szczytu i rozejrzał się po równinach. Tam, gdzie powinny ciągnąć się pustkowia, teraz stały obozowe namioty. Porządnie, rzędami. Takie regularne wzory powstawały tylko tam, gdzie wydano rozkaz. Gdzie ktoś o tym decydował.

Wojsko.

Było zbyt ciemno, by ocenić, jak duża to armia. Sądząc po pochodniach, kilka tysięcy mężczyzn. Dostrzegł ślady na śniegu. Siatkę czarnych żył między namiotami. Mężczyźni zbrali się przy ognisku. Poruszali się sprężystym krokiem i głośno się śmiali. Rime znał ten nastrój. Domyślał się, że to pierwszy lub drugi wieczór. Wkrótce będą siedzieć w milczeniu, zgarbieni. Ci, którzy nie zamarzną albo nie będą leżeć chorzy.

Chorągwie zwisały luźno, ale wiedział, że widnieje na nich znak Widzącego. Armia Mannfalli zebrana pod miastem. Dlaczego? Na co czekają? Jakie dostali rozkazy i od kogo?

Miała rację.

Damayanti uprzedzała, że Rime ich tutaj zobaczy. Mówiła też, że chodzi o niego. O Kruczy Dwór. Ale jej bliskie kontakty z Radą umarły wraz z Urdem. Domysły tancerki były warte tyle samo, co jego własne.

Oczywiście, to mogły być ćwiczenia. Manewry. Albo powojenne rozruchy...

Te wyjaśnienia wydawały się jednak mało przekonujące. Serce Rimego ścisnął niepokój. Paskudne uczucie, że nic nie jest tak, jak powinno.

Może to przez krucze pierścienie? Czy w ogóle można poruszać się między światami, nie czując, że grunt osuwa ci się spod nóg? Chyba to naturalne, że będziesz czuć się nieswojo.

Nie. To było coś więcej niż uczucie. To pewność sprawiła, że nie skierował się prosto do domu. Nie było go zaledwie dwadzieścia dni i w tym czasie ktoś znów powyciągał z łóżek wojowników. Na miejskich murach wzmocniono strażę i wielu gwardzistów zamieniono na mężczyzn, których nigdy nie widział.

Coś było nie tak.

Musiał porozmawiać z Jarladinem.

Rime zbiegł z powrotem w stronę miasta. Śnieg chrząścił mu pod stopami. Zbliżył się do muru i dalej poruszał się już ostrożniej, skulony za kępami jałowców. Bramy pilnowało czterech gwardzistów. Poza tym kamienny mur na długich odcinkach nie był strzeżony. Wił się w mroku niczym szary cętkowany wąż. Rime odnalazł miejsce, w którym kiedyś przechodził na drugą stronę. Wysuniętą część muru, dzięki której nie było go widać od strony bramy.

Ściągnął rękawice. Otrzepał je ze śniegu i wsunął do kieszeni plecaka. Potem zaczerpnął Evny i zaczął się wspinać. Nierówności na kamieniach dały mu wystarczające oparcie, by mógł dotrzeć na górę. Przerzucił ciało przez krawędź i opuścił się na dach domu po drugiej stronie. Obluzowała się dachówka. Zaczęła się zsuwać, szurając o dach. Rzucił się za nią. Zdołał ją schwycić, nim zniknęła za rynną.

Przez chwilę siedział z dachówką w ręce i nasłuchiwał. Kawalek dalej zatrzasnęły się jakieś drzwi. W zaułku poniżej coś szeleściło. Szczur. Obgryzał martwego gołębia. Próbował pociągnąć go za sobą po zamrożonych liściach.

Rime wetknął dachówkę na miejsce i pobiegł po dachach, kierując się w górę, do Eisvaldru. Nie miał z tym problemu, domy stały blisko siebie. Dopiero przy samym Murze musiał zejść z powrotem na ulicę.

Mur jako taki nie stanowił przeszkody. Ætlingowie zawsze przemieszczali się jak chcieli między Mannfallą i Eisvaldrem. Jednak również tutaj wzmocniono strażę. Wszystkich krążganków pilnowali gwardziści. Był to wyraźniejszy znak niż drogowskaz na gościńcu. Nad miastem zawisł strach.

Rime wszedł w zaułek za karczmą. Z uchylonego okna słyszał pieśń. Pijackie głosy, ale po tej stronie miasta nawet dźwięki wydawały się czystsze. Ściągnął plecak i przełożył miecze do środkowych uchwytów, by zwisały ukryte wzdłuż pleców, zamiast sterczeć znad ramion jak wypowiedzenie wojny. Naciągnął kaptur na głowę i przeciął plac. Gwardziści spojrzeli na niego leniwie, ale pozwolili mu bez przeszkód wejść do Eisvaldru.

Rodzinne miasto. Miasto Rady. Widzącego.

Widzącego, którego zabił.

Wraz z tą myślą napłynęły wspomnienia. Naiell w kącie, syczący jak kot. Opór ciała, gdy trafił w nie miecz. Krew na bosych stopach Hirki. Jej spojrzenie. Przepiętne żalem. Zdradzone.

Jestem tym, kim jestem.

Rime spojrzał w górę, w stronę kręgu kamieni. Wydawały się równie niewinne jak wierzchołek góry lodowej. W rzeczywistości sięgały tak głęboko, że zwisały ze stropu jaskini pod Mannfallą. To stamtąd właśnie przyszedł, ukryty przed spojrzeniami innych.

Tu na powierzchni wyglądały jak blade głązy na tle ciemnego nieba, u szczytu schodów, w miejscu, gdzie kiedyś stała sala rytuału. On też tam stał. Pośrodku kręgu, otoczony wszystkimi mieszkańcami miasta. Na ziemi przed nim wykrwawiał się Svarteld. W imię czego?

Rime spuścił głowę i poszedł dalej. Już dość zmarnował czasu na wyrzuty sumienia i poczucie straty. Tak dużo, że nie był w stanie o tym myśleć. Teraz musiał się dowiedzieć, co się wydarzyło pod jego nieobecność.

Dom Jarladina stał wysoko na wzgórzu. Był jedną z wielu zadbanych rezydencji rodów zasiadających w Radzie. Rime podkraść się przez nagi zimowy sad. Trzymał się ścieżek, żeby nie zostawić śladów na śniegu. Nie mógł dopuścić, by ktoś go zobaczył, przynajmniej dopóki się nie upewni, co się stało. Pokonał kamienny murek na tyłach domu. Było późno, ale w oknie na piętrze widział migoczące światło.

Dom był wspaniałą budowlą w andrakarskim stylu, z rzędami kolumn i rzeźbami w ciemnym drewnie. Wspinaczka była igraszką.

Rime podciągnął się na spadzisty dach i podkraść się wzdłuż jego krawędzi do okna. Przyłożył rękę do szyby. Gdy szron stopniał, mógł zajrzeć do środka.

Jarladin był sam w komnacie. Siedział na wyściełanym stołku, zapatrzony w ogień na kominku, jakby się spodziewał, że płomień zgaśnie, nim minie wieczór. Obracał w dłoniach pusty kielich. Szerokie plecy wydawały się zgarbione. Rime miał bolesną świadomość, że sam jest częścią brzemienia przytłaczającego członka Rady. Zniknął. Bez uprzedzenia, bez wyjaśnień.

Zwalczył impuls, by zejść z powrotem na dół. Pozostać w ukryciu. Ciemny Cień w zimowym mroku. A niby pasował kiedyś do ciepłej komnaty?

Zrób to, co konieczne.

Obejrzał się za siebie, upewnił się, że wciąż jest sam. Potem trzy razy zapukał w szybę. Jarladin podskoczył. Upuścił kielich na podłogę, ale szkło się nie rozbiło. Wpatrywał się w okno. Podeszedł bliżej. Zmrużył oczy, zeszywniał. Wreszcie rozpoznał Rimego. Jego oczy rozszerzyły się z niedowierzania. Zaczął szarpać haczyki przy oknie.

Rime odsunął się, by znaleźć się po właściwej stronie. Jarladin szeroko otworzył okno i chwycił Rimego, tak jakby ten miał zaraz spaść. Pomógł mu wejść do komnaty. Przyciągnął go do siebie. Rime utknął w niedźwiedzim uścisku. Utonął w ciepłe.

Członek Rady odsunął go od siebie. Przytrzymał go na wyciągnięcie ręki i omiół wzrokiem. Położył rękę na głowie Rimego. Chwycił go za włosy, jakby chciał je rozczochrać, ale tego nie zrobił. W jego oczach coś zalśniło. Rime zebrał siły, bo świetnie wiedział, że to ciepło nie będzie długo trwać. Twarz Jarladina już to zdradzała. W miejsce gorzkiej radości pojawiło się zagubienie.

– Gdzieś ty był? – mruknął.

Rime bez słowa się odsunął i zamknął okno.

– Gdzieś ty był?! – Głos Jarladina się załamał, jakby członek Rady wiedział, że to, co usłyszysz, będzie bolesne.

Rime zerknął w stronę krzesła przy kominku. Żałował, że nie może się w nie zapaść. Odpocząć. Przespać się. O niczym nie śnić. Zamiast tego musiał udzielić wyjaśnień. Spróbować wytłumaczyć to, co niewytłumaczalne.

– Nie uwierzysz mi, jeśli ci powiem – odparł.

– Gdzieś ty był, Rime An-Elderinie? – Teraz Jarladin aż kipiał ze złości. W powietrzu zawisła niema groźba. Musiał usłyszeć wyjaśnienia, i to dobre wyjaśnienia. Może Jarladin uważał, że Rime zginął, ale jego reakcja zdradzała głębszą desperację.

Rime zmusił się, żeby zapytać:

– Co się stało?

– Co się stało? – Jarladin powtórzył te słowa, jakby mieściła się w nich cała głupota tego świata. – Co się stało?! Zabiłeś w pojedynku własnego mistrza, a potem zniknąłeś! To się stało! Cała Mannfalla przy tym była, ale od tej pory nikt cię nie widział. Myślałem, że śpisz w Sloknie, Rime! Że Darkdaggar w końcu cię zabił. Myślałem...

Rime odwrócił wzrok. Chciał uciec przed spojrzeniem Jarladina. To nic nie pomogło, bo członek Rady spoglądał na niego również z portretu na ścianie. On i reszta jego rodu, wszyscy w złotych ramach. Jakkolwiek by się Rime obrócił, patrzyli na niego. Był zziębniętym intruzem w ciepłej komnacie. W komnacie, która przypominała mu Kruczy Dwór, z kamiennym kominkiem i belkami pod sufitem. Przytulny, ale nie dla niego.

– A pozostali? Co oni pomyśleli?

Jarladin rozłożył ręce.

– A jak sądzisz? Pojawiło się mnóstwo różnych absurdalnych wyjaśnień. Ciemne Cienie cię zabiły, żeby pomścić Svartelda, Kruczy Dwór spalił cię żywcem, utopiłeś się w Orze albo jeszcze lepiej: zlikwidowała cię sama Rada. To robiło furorę w karczmach. Jakbyśmy i bez tego nie mieli dość problemów! Rime An-Elderin znika po pojedynku i oskarżeniach o morderstwo. A jak ci się wydaje?! Twoja nieobecność nas zatruła. Byłeś powiernikiem kruka!

Jarladin chwycił nowy kielich z tacy na stole. Przechylił nad nim butelkę, ale okazała się pusta. Nie wypłynęła z niej ani kropla. Knykcie zaciśnięte na szyjce butelki pobieły.

– Psy rzuciły się sobie do gardeł. Oczywiście jedne rody podejrzewały drugie. Znowu wypłynęły dawne waśnie. A więc teraz zawierają sojusze. Kupują gwardzistów. Budują sobie prywatne armie i sądzą, że robią to w tajemnicy. Ale każdy idiota widzi, że z Mannfalli odpływają pieniądze. Do krain. Wszyscy widzą, że Rada się sypie. Wkrótce

krainy staną przeciwko sobie, to się stało, chłopcze! Dzięki, że pytasz!

Rime usiadł na stołku. Potarł twarz dłonią.

To dlatego wojownicy rozbili obóz pod miejską bramą. Wyruszyli do innych krain. Jako podarunek. Przypieczętowanie sojuszków. Zapewnienie lojalności...

To zły znak, ale nic takiego, czego nie dałoby się naprawić. Wciąż była nadzieja. Puste miejsca w Radzie. Miejsce Urda. Darkdaggar. Można ich było użyć, żeby uspokoić sytuację.

– Czy ktoś zajął miejsce po Darkdaggarze?

Jarladin prychnął. Prawda skrzywiła jego twarz jak blizna.

Rime wstał. Przeszył go zimny dreszcz.

– Wciąż na nim zasiada?

To pytanie zawisło w powietrzu. Rime podniósł głos:

– Próbował mnie zabić i wciąż zasiada w Radzie?

– Nie było cię tutaj – warknął Jarladin. – Nie było cię tu, żeby dopilnować wykonania wyroku. Darkdaggar twierdził, że się przyznał, bo nie miał wyboru. Powiedział, że przyszedłeś do jego domu. Nieproszony. Że mu groziłeś. Nie miał nic do stracenia, Rime. Zupełnie nic. Więc poruszył wszystkie struny. Zrzucił winę na Kruczy Dwór. To tam przebywałeś, kiedy próbowano cię zabić. I Rada mu uwierzyła. Udała, że mu wierzy. Bo *chcieli* uwierzyć! Bo go potrzebowali. I dlatego, że odkąd zostałeś powiernikiem kruka, byłeś dla nich jedną wielką katastrofą. Większość zasiadających przy stole zabiłaby cię własnymi rękoma, gdyby tylko mieli cię nadziei, że im się to uda, więc tak, Darkdaggar wciąż zasiada w Radzie. Gdybyś zachował przy życiu tego płatnego mordercę, mielibyśmy przynajmniej świadka.

Rime oparł się o ścianę i zamknął oczy. Uśmiechnął się zimno.

– Mówisz tak jak ona. Żyj i pozwól żyć, co? Naprawdę sądzisz, że Darkdaggar pozwoliłby mu zeznawać? Ten mężczyzna był martwy od chwili, gdy zgodził się na tę robotę!

Gniew kosztuje. Skup się na tym, co możesz zmienić.

Przez chwilę sądził, że to Svarteld wypowiedział kiedyś te słowa, ale zrobiła to Ilume. Matka jego matki. Szept ze Slokny. I ostre przypomnienie, że polityka nigdy nie była jego mocną stroną.

Spojrzał na Jarladina. Na siwobrodego byka. Płomienie zabarwiły połowę jego twarzy na czerwono. Reszta ukryta była w cieniu, jakby stał już jedną nogą w Sloknie.

– Teraz tu jestem – powiedział Rime. – Szkody można naprawić. Mamy wiele możliwości, możemy...

– Rime... Rada marzyła tylko o jednym: żeby się ciebie pozbyć. Sam spełniłeś to

marzenie. To koniec. Nigdy nie przyjmą cię z powrotem. Eir znów nosi laskę. Myślałem, że augurzy i lud będą protestować, ale nikt nawet nie rzucił kamieniem. Słyszeli, że obiecałeś Kruczemu Dworowi miejsce w Radzie. Słyszeli, że wódz w końcu cię zabił, kiedy nie spełniłeś tej obietnicy. Darkdaggar cię oczernił i wykonał przy tym dobrą robotę. Postradałeś rozum. Zabiłeś w Reikaviku niewinne dziecko. Chłopca.

Te słowa zabolowały. Otworzyły ranę wspomnień. Wioska nad rzeką. Sądzieli, że to byli nábyrni. Martwo urodzeni. Ale znaleźli tylko rannego niedźwiedzia w piwnicy. I dziecko... Drobne ciało oparte o ścianę. Rude włosy. Martwe oczy. Przypomniawszy sobie klęczącego przed nim mężczyznę, który zabił chłopca. I smak własnej wściekłości. Mimo to się zawahał. Svarteld musiał dokończyć za niego. Svarteld, który poświęcił życie, żeby go nauczyć, by doprowadzał sprawy do końca.

Rime chwycił Jarladina za ramię.

– Przecież wiesz, jak było, Jarladinie! Ja nigdy... nigdy bym...

Rime podchwycił jego spojrzenie i zrozumiał.

Nie miało znaczenia, czy zabił chłopca. Tylko Svarteld był z nim wtedy w tamtej chacie, a on nie mógł już zeznawać. On również.

Rime opadł z powrotem na stołek. Zapomniał o tym, co sam kiedyś wyjaśniał Hirce. Wydawało mu się, że od tamtej pory minęła wieczność. Powiedział jej wtedy, że prawda nic nie znaczy dla Rady, jeśli jest bezużyteczna.

Jarladin podszedł do niego. Górował nad Rimem, był jak potężny byk.

– No to powiedz mi, Rime... Gdzie byłeś?

Rime poczuł, jak przytłacza go ciężar. Wciąga w bagno zabitych. W bagno krzywd. Myśli się nie kleiły. Jakby za dużo wypił. Jakby już nic nie było rzeczywiste.

Gdzieś w głębi serca wiedział, że czegoś dokonał. Czegoś ważnego, co było tego wszystkiego warte. To zabrzmiało jak szaleństwo, ale musiał o tym opowiedzieć.

– Byłem u niej – zaczął. – U człków. Znalazłem martwo urodzonych braci, starych jak Evna. Nábyrnów, którzy wciąż pamiętają wojnę. Jeden z nich jest jej ojcem. Ona jest półślepa, Jarladinie. Pół człkiem, pół martwo urodzoną. Jest córką wodza na wygnaniu. I znalazłem *jego*. Widzącego...

Jarladin potarł ręką podbródek. Ten gest go zdradził. Teraz Rime wiedział już, co pomyślał. Że Rada miała rację. Że Rime An-Elderin, wnuk Ilume, postradał rozum. Popadł w szaleństwo. Że jest chory na umyśle.

Rime spojrzał na niego.

– On istniał, Jarladinie. Widzący istniał.

Jarladin skrzyżował ręce na piersi.

– I co zrobiłeś, kiedy go spotkałeś?

Rime czuł się jak sparaliżowany.

– Zabiłem go.

– Znalazłeś Widzącego i go zabiłeś?

Rime pokiwał głową. Zapatrzył się w płomienie. Ogień przygasał. Pozostał czerwony żar na zwęglonym drewnie. Powinien coś czuć, ale była w nim tylko pustka.

– No to pokonałeś własnego trolla. Poszedłeś za nią Widzący raczy wiedzieć dokąd, a teraz wracasz i myślisz, że świat przez ten czas stał w miejscu. Że to, co zrobiłeś, nie będzie miało żadnych konsekwencji. Chociaż wszyscy mają własne trolle, z którymi muszą się zmagać.

Rime wstał.

– Myślisz, że to tylko moja wyobraźnia...

Jarladin wskazał na niego palcem.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby cię chronić! WSZYSTKO! Miałeś tylko jednego przyjaciela w Radzie i zniknąłeś! Bez słowa! Bronilem cię. Ja... – Nagle przerwał. Przekrzywił głowę. Wpatrywał się w Rimego z rosnącym niedowierzaniem. Szukał czegoś spojrzeniem i chyba zdał sobie sprawę, że tego nie znajdzie: jego ogona.

Nie pomogą żadne wyjaśnienia. Wyrosła między nimi przepaść. Zbyt stroma. Nie mógł wygrać. Nie dziś wieczorem.

Członek Rady pobladł. Cofnął się. Jego reakcja dała Rimemu przerażającą satysfakcję, jakby nagle odzyskał władzę. Przywilej bycia wściekłym.

Rime podszedł do niego. Jarladin się odchylił. Usiłował stworzyć dystans, jakby rozmawiał z kimś dotkniętym zarazą. I może tak było.

To ja jestem zgnilizną. Nie ona.

– Odciąłem go – wyszeptał mu ochryple do ucha Rime. – Stałem się bezogoniastym. Człkiem. I wydaje ci się, że zrobiłem to z szaleństwa? Ze smutku? Zrobiłem to, bo musiałem. Mówisz, że zbliża się wojna. Krainy przeciwko sobie, Rada w rozsypce, i wydaje ci się, że nie może być gorzej? Jarladinie, mogę opowiedzieć ci o rzeczach, które zmrożą ci krew w żyłach. Krainy przeciwko sobie to igraszka w porównaniu z tym, co nas czeka. Co powiesz na świat przeciwko światu? Spróbuj coś takiego powstrzymać. Bo właśnie o to walczę.

Jarladin się odwrócił.

– Idziesz za nią, to wszystko – odparł bez przekonania.

– Już nie. To koniec. Tak jak ze wszystkim. – Rime poczuł, że przeszyły go własne słowa. Nagły, niespodziewany ból zmusił go, by odwrócić się plecami do członka Rady. Otworzył okno i wskoczył na parapet. Kuczał na nim przez chwilę i zbierał się w sobie, nim znów się odwrócił. – Nie wiedziałem, kogo tu zastanę, Jarladinie. Przyjaciela czy wroga.

Ale wiem, kim jest Darkdaggar. Do czego jest zdolny, kiedy przyciśnie się go do muru. Musisz liczyć się z tym, że ma cię na oku.

– Wydaje ci się, że potrafisz czytać w myślach członkom Rady, Rime? Ty, który nigdy nie nadawałeś się do tego, żeby w niej zasiadać?

– Wydaje mi się, że potrafię czytać w myślach zabójcy.

Jarladin cofnął się o krok. Trącił nogą kielich, który przedtem upuścił na podłogę. Szkło rozsunęło się na dwie części, najwyraźniej jednak pękło już wcześniej.

– Nie jesteś tutaj bezpieczny, Jarladinie. Ani ty, ani twoja rodzina. Masz niewielu przyjaciół w Radzie, a Darkdaggar jest niebezpieczny. Możliwe, że powinniście opuścić Mannfalle.

– Nigdy.

Rime nie spodziewał się innej odpowiedzi.

– W takim razie obiecaj mi chociaż, że jeszcze przez chwilę spróbujesz utrzymać jedność w Radzie.

– Chcesz, żebym utrzymał *jedność*? W Radzie, którą tak zawzięcie starałeś się zniszczyć?

Innego dnia Rime skwitowałby tę ironię uśmiechem.

– Tak. Chcę, żebyś utrzymał wśród nich jedność. Bo teraz wiem, jaka jest alternatywa. Co się może wydarzyć później, i że to się żadnemu z nas nie spodoba.

Wyprostował się i przygotował do skoku.

– Ułatwiłeś im to – odezwał się Jarladin za jego plecami. – Wcześniej nigdy by się nie odważyli targnąć na twoje życie. Baliby się zamieszek. Albo, co gorsza, buntu Ciemnych Cieni. Teraz nie boją się już żadnej z tych rzeczy. Jesteś dla nich martwy, Rime.

– I tak pozostanie. – Rime zaczerpnął Evny i rzucił się w zimny mrok.



DREYSÍL

Z ciemności w światło.

Oślepiająca biel. Śnieżyca.

Wiatr gnający białe płatki wokół niej. Ukośnie.

Hirka oparła się o skalną ścianę. Skała. Śnieg. Przeszła na drugą stronę.

Próbowała zapanować nad mdłościami. Wciągnęła powietrze. Palilo w płucach. Zimne. Takie zimne. Coś szcęknęło.

Spojrzała na metalową szkatułkę, którą trzymała w ręce. Jej powierzchnię pokrył szron. Utworzył kwiaty wokół jej palców. Wsunęła szkatułkę pod pachę. Obciągnęła rękawy swetra.

Gdzie ja jestem?

Przemogła zawroty głowy. Wyprostowała się. To nie o skalną ścianę się oparła. To był jeden z kamieni w kręgu, przez który właśnie przeszła. Zwiodły ją jego rozmiary. Kamienie piętrzyły się nad nią. Sterczały w górę, ku... sklepieniu?

Hirka osłoniła ręką zmrużone oczy i spojrzała na roztrzaskane sklepienie. Ostre fragmenty sterczące ku niebu. Znajdowała się w jakiejś sali. Albo raczej w ruinach, które kiedyś były salą. Największą, jaką kiedykolwiek widziała. Lód wdarł się do środka, długie sople zwisały z krużganków. Przez wielkie dziury w ścianach do środka wpadał wiatr. Stała po kolana w śniegu. Wśród murów, a jednocześnie pod gołym niebem.

Jej spojrzenie przykuł jakiś ruch. Mężczyzna. Biegł w jej stronę. Słyszała, jak zamarznięty śnieg pęka pod jego butami. Ktoś go wołał. Głos przebijający się przez wycie wiatru.

– Keskolail!

Mężczyzna biegł dalej, nie oglądając się za siebie. Był już blisko. Dzikie, białe oczy. Martwo urodzony. Hirka upuściła szkatułkę i sięgnęła do biodra po nóż. Nie znalazła go. Strach ścisnął jej gardło.

But! Jest w bucie!

Nie schyliła się jednak, żeby go dobyć. W chwili, gdy ta myśl przemknęła jej przez

głowę, dotarło do niej, że mężczyzna nawet jej nie widzi. Biegł ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt za jej plecami. Gdzieś między kamieniami. To tam chciał się dostać. Zaśpiewała cięciwa. Hirka otworzyła usta, by go ostrzec, ale było już za późno. W jego plecy wbiła się strzała. Zesztywniał. Ugięły się pod nim kolana i się osunął. Klęczał przed nią. Wyciągnęła do niego rękę. Chciała mu pomóc, ale ugrzęzła w śniegu. Spróbowała się oswobodzić.

Patrzył na nią. Przykuł ją spojrzeniem białych oczu. Dzikość zniknęła. Wydawało się, że nadchodząca śmierć jest dla niego zaskoczeniem. Uniósł rękę. Przesunął szponami po znaku w kształcie kropli, który miał na czole. Usta wykrzywiły się w grymasie. Obnażył kły. A potem przechylił się do przodu i runął twarzą w śnieg. Z jego pleców sterczała czarna strzała. Przebiła koszulę. Krótka i potężna. To było absurdalne – coś tak małego powaliło bestię.

Śmierć. W świecie, w którym nigdy dotąd nie była. W świecie, którego być może nie widzieli ani ætlingowie, ani ludzie. I pierwszą rzeczą, którą tu zobaczyła, była śmierć. Co on takiego zrobił?

A ja? Zrobiłam coś nie tak?

Czy ona również była celem? Hirka wyswobodziła się ze zwałów śniegu i obejrzała za siebie. Kamienie wydawały się martwe. Nie było już odwrotu.

Zbliżały się do niej cztery postacie. Trzy z nich zatrzymały się kawałek dalej. Ostatnia wciąż parla naprzód. Kobieta. Ta, która wołała?

Szła dumna i wyprostowana. Jakby nic nigdy nie mogło jej tknąć. Za jej plecami powiewała peleryna, tak lekka, że wydawała się bardziej ozdobą niż czymś, co ma zapewnić ciepło. Na biodrach nosiła skórzany pas. Wysokie buty sięgały jej do kolan. Ale jej uda i ramiona były nagie.

Hirka zadrzała. Szczelniej otuliła się płaszczem. Czego się spodziewała? Że będą się ubierać tak jak Graal u ludzi? Albo że będą nadzy, tak jak ci, których widziała w Ym? Nie wiedziała. Nie wiedziała, czego się właściwie spodziewała.

Podniosła szkatułkę, którą upuściła na śnieg.

Kobieta przystanęła przed nią na szeroko rozstawionych nogach. Miała czarne usta. I włosy. Mnóstwo długich warkoczyków ostro kontrastujących z bladą cerą.

Hirka mimowolnie cofnęła się o krok. Spojrzała w oczy martwo urodzonej. Mlecznobiała błona, bez żadnych odcieni. Z tego spojrzenia trudno było cokolwiek wyczytać, tak jak u wszystkich ślepych, których spotkała.

Umpiri. To są Umpiri, a ty jesteś jedną z nich.

Kobieta przekrzywiła głowę. Pochyliła się nad Hirką, jakby chciała wbić zęby w jej gardło. Hirka nie śmiała się poruszyć. Martwo urodzona wciągnęła powietrze przez nos,

jakby węszyła. Wyraźnie zwierzęce zachowanie. Hirka wstrzymała oddech. Zerknęła w stronę zabitego, leżącego w śniegu. Całkiem niewykluczone, że spotka ją taki sam los. Jakby była na łasce dzikiej bestii. W Naiellu też było coś zwierzęcego, ale nie aż tak. Może on i Graal zmienili się pod wpływem ætlingów i ludzi.

Ona jest przyjacielem! Graal obiecał, że spotkam tu przyjaciół.

Kobieta się wyprostowała. Hirce wydało się, że widzi cień bólu przemykający po jej twarzy, ale pewnie tylko to sobie wyobraziła. Ból wydawał się czymś zbyt obcym u tej istoty.

– A więc to prawda... – powiedziała kobieta łamanym językiem Ym. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

Hirka przypomniała sobie, że potrafią węchem rozpoznawać swoich. Założyła więc, że chodzi o to, iż jest półślepa, ale nie odpowiedziała. Miała zbyt silne wrażenie, że jest tutaj niemile widziana.

– Jestem Skerri z domu Modrasme.

– Hirka – odparła.

– Hirka? To tak się przedstawiasz? – Niezadowolenie w głosie kobiety było oczywiste.

Hirka kiwnęła głową.

– Już nie. Teraz jesteś Hirka, córka Graala, syna Rauna z domu Modrasme. I musisz się dużo nauczyć. – Skerri wskazała głową na szkatułkę. – Czy to...

Hirka znów kiwnęła głową. Wreszcie dostrzegła cień uśmiechu na twarzy Skerri. Drgnięcie umalowanych na czarno ust. Serce Naiella w szkatułce. Tego było trzeba, żeby ją ucieszyć? Hirka się wzdrygnęła.

Skerri zerknęła w stronę pozostałej trójki.

– Keskolail!

Hirka poznała to słowo. Słyszała je chwilę temu. Jeden z pozostałych ruszył w ich stronę. Hirce zaświtało, że być może to jego imię. A więc to on strzelał na rozkaz Skerri. Dlaczego?

Keskolail był wysokim mężczyzną. I znacznie cieplej ubranym: czarna kurtka, kudłate owcze futro na ramionach. Nosił łuk. Jego włosy były szare jak stal, ale nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat. Chociaż... był Umpirim. Równie dobrze mógł żyć już kilka tysięcy lat.

Na czole miał taki sam znak jak ten zabity. Szarą kroplę. Odwrócił głowę i Hirka zobaczyła, że to nie rysunek. Znak sięgał pod skórę. Był jak matowy klejnot. Mężczyzna kucnął i wyszarpnął strzałę z pleców zabitego. Zabrzmiało to tak, jakby coś pękło. Kilka kropli krwi spłynęło z grotu na śnieg. Hirka wpatrywała się w niego, ale nie zwracał na nią uwagi. Nawet nie spojrział na nią ani na Skerri.

Otarł grot garścią śniegu i wsunął strzałę do kołczana przy pasie. Potem chwycił zabitego za kark i pociągnął go za sobą w stronę jednej z ziejących w ścianie dziur.

Hirka nie potrafiła się otrząsnąć z wrażenia bezsilności. W co ona się wpakowała? Spojrzała na Skerri. Jej cera była blada jak niebo. To sprawiało, że czerń wydawała się ostra i groźna. Włosy. Usta. Skórzany strój. Była czernią i bielą. Nic pomiędzy. Była jedyną martwo urodzoną kobietą, jaką widziała, ale wydawała się najbardziej przerażająca z nich wszystkich. Hirka uczepliła się myśli, że Graal jej potrzebuje. Nie wysłałby jej na śmierć.

– Nie chodziło mu o ciebie – rzuciła Skerri, podążając wzrokiem za makabrycznym śladem pozostawionym przez zabitego.

– A o co?

– O Eვნę – odparła, jakby to było oczywiste. Odwróciła się gwałtownie. Czarne warkoczyki obciążone na końcach paciorkami smagnęły jej plecy. Podeszła do pozostałej dwójki.

Hirka się obejrzała, ale do Ym nie było już powrotu. Udało jej się tam tylko zobaczyć ciemną jaskinię pod Mannfallą i kamienie zwisające z jej sklepienia. I Damayanti. Bezlitosna tancerka od razu wysłała ją tutaj, nie pozwalając nawet wyjrzeć na powierzchnię. Hirka nie mogła zobaczyć miasta. Odwiedzić Lindriego. Musiała dotrzymać złożonej obietnicy i teraz jej miejsce było tutaj.

Gdzie jest tutaj?

Hirka ruszyła za Skerri, jakby mimowolnie czuła, że tak powinna.

– Gdzie jesteście?

– W Nifel, zrujnowanym mieście. Nie zostaniemy tutaj.

Hirka oparła się pokusie, by spytać, co je zniszczyło.

– Ale... ten świat? Jak nazywacie...

– Dreysíl. Pierwsza kraina.

– Ach... – Hirka poprawiła worek na plecach.

Niesiony wiatrem śnieg tworzył w sali zaspę. W końcu ściany się zawaliły. Złamane kolumny sterczały ze śniegu jak kości. Dwaj mężczyźni czekali przy jednej z nich. Skerri dała znak ręką i zniknęli, zanim Hirka zdążyła się przywitać. Zdołała tylko zauważyć, że jeden z nich był równie lekko ubrany jak Skerri. Zimno nie robiło na nim wrażenia.

– Dokąd się wybieramy?

– Do Ginnungad – odparła Skerri, nie odwracając się.

– To daleko? – Hirka czuła, jak zimno przenika ją aż do szpiku kości. Rozejrzała się z nadzieją, że zobaczy konie albo wóz, ale otaczał ich tylko śnieg. – Nie macie koni?

– Po co?

Hirka znów prawie utknęła w śniegu.

– Do jazdy.

Może chodziło o język? Wyglądało na to, że Skerri nie włada zbyt dobrze ymskim. Zupełnie jakby używała go niechętnie. Przystanęła jednak. Odwróciła się do Hirki i obnażyła kły.

– A czy wyglądam, jakby trzeba mnie było nieść?

Hirka potrząsnęła głową.

– Nie o to mi cho...

– Cztery dni. Ginnungad jest cztery dni stąd. – Skerri zmierzyła Hirkę wzrokiem. Od stóp do głów. Nawet w jej białych oczach było wyraźnie widać rozczarowanie. – Powiedzmy lepiej: sześć dni – dodała gorzko i ruszyła dalej.



SCHRONIENIE

Rime przeczołgał się na krawędź dachu. Zatrzymał się. Nasłuchiwał. Przy brzegu rzeki trzeszczał lód. Kilka domów dalej ktoś otworzył okno i wylał zawartość balii. Rime odczekał jeszcze chwilę. Musiał być ostrożny. Przychodząc tutaj, narażał życie Lindriego.

Herbaciarnia stała się dla niego czymś w rodzaju schronienia. Bezpiecznego domu na ziemi niczyjej. Drzwi Lindriego zawsze stały otworem, a Rime nie miał dokąd pójść. Gdyby udał się gdzie indziej, plotki szybko rozniosłyby się po Mannfalli, a do tego nie mógł dopuścić. Najpierw musiał ułożyć plan.

Zaczęło mocno wiać. Potarł ręce. Próbował tchnąć życie w zziębnięte palce. Wystarczyła doba na tym mrozie i już nawet Evna nie była w stanie go ogrzać.

Chwycił krawędź dachu, przetoczył się i opuścił na platformę, która wcinała się jak pomost w rzekę za herbaciarnią. Pod ścianą stały bujany fotel i oszroniona latarnia. Pnącze, które pięło się po belkach, zwiędło na zimę.

Przez cienką szparę pod drzwiami dostrzegł, że w środku pali się światło. Zapukał. Długo było cicho. Potem drzwi się uchyliły. Przez szparę wyjrzało oko.

– To ja – szepnął Rime.

Lindri podskoczył jak oparzony. Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem. Wypuścił świecę, którą trzymał w ręce. Potoczyła się po platformie i zgasła. Rime przydepnął ją nogą. Właściciel herbaciarni załkał i uczynił znak Widzącego. Cofnął się.

Rime chwycił go za ramię.

– Nie! Nie umarłem, Lindri! Słyszysz? Ja żyję.

Przerażenie w oczach staruszka przygasło. Wciągnął Rimego do środka. Potem wystawił głowę, rozejrzał się i zamknął drzwi. Jakby spodziewał się kogoś jeszcze albo po prostu nie mógł pojąć, dlaczego Rime tutaj przyszedł.

Na zapleczu było ciasno. Stało tu mnóstwo skrzyń i worków z grubego płótna. Powietrze było gęste od kurzu i zapachu suchego siana. To przywołało wspomnienia. Rime stał tutaj ze Svarteldem tamtej nocy, gdy Ciemne Cienie wypłynęły do Reikaviku. Spierali się o rzeczy, które teraz wydawały się banalne. Co takiego powiedział mu Svarteld?

Nie możesz rządzić światem ze Słokny, chłopcze.

Lindri dał mu znak, by przeszedł dalej, w głąb herbaciarni. Stoliki i ławy w półmroku wydawały się szare. Noc skradła połysk drewnu.

– Siadaj, siadaj. – Lindri przyjaźnie, ale stanowczo pchnął Rimego w stronę ławy przy palenisku.

Ogień zgasł, ale wciąż biło od niego ciepło. Niewiele, ale na tyle, by Rime pojął, jak bardzo jest zziębnięty. Lindri szturchnął pogrzebaczem zwęglone kawałki drewna.

– Zostaw je w spokoju, Lindri. Żadnego ognia. Nikt się nie może dowiedzieć, że tu jestem.

Lindri zaczął grzebać w stercie drewna. Oderwał kawałek kory i zabrał się do rozpalania, jakby nie słyszał ani słowa. Rime chciał mu wyjaśnić. Ostrzec, że goszczenie go jest niebezpieczne, ale wiedział, że Lindri i tak nie usłucha. Staruszek przyjął Hirkę, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie. Również po tym, jak się dowiedział, że jest człkiem. Ceną, jaką za to zapłacił, były puste stoliki.

Gościł też już wcześniej Rimego. Jako powiernika kruka. Wtedy, gdy Damayanti dała mu dziób. I gościł go teraz, gdy był okrytym hańbą synem rodu zasiadającego w Radzie. Uznany za zmarłego.

Ogień się rozpalil, płomienie zaczęły trzaskać. Rzucały ciepłą poświatę na kucającego przy palenisku Lindriego. Teraz Rime zauważył, że staruszek ma na sobie nocną koszulę. I wełnianą kurtkę z nadprutymi rękawami.

Wstał z wyraźnym trudem. Usiadł naprzeciw Rimego. Wiek go przytłoczył, oczy zrobiły się mniejsze i okrągłe. Położył szorstką dłoń na ręce Rimego. Ciepło przebiło warstwę samotności.

Rime przełknął ślinę.

– A więc im nie wierzysz? Nie wierzysz w to, co o mnie mówią?

– Opowiedz mi, co się stało, a wtedy ja ci powiem, w co wierzę – odparł z niewzruszonym spokojem Lindri.

Z ust Rimego wyrwał się zduszony śmiech. Pozwolił słowom płynąć jak rzece, choć wiedział, że to, co powie, nie będzie miało żadnego sensu. Nie był w stanie przestać. Czuł się tak, jakby po raz pierwszy w życiu mówił o czymś, co jest oczywiste. Więc opowiedział. O wizycie w świecie ludzi. O braciach, Graalu i Naiellu. O tysiącletniej wrogości. Jeden, który żyje na wygnaniu, i drugi, który był samym Widzącym. Widzącym, którego Rime zabił.

Kłamstwo, z którym dorastał, już nie istniało. Zamiast tego odkrył historię o ślepym, który zdradził swój lud i podbił Ym.

Opowiedział o Hirce i o tym, jaka krew płynie w jej żyłach. Że jest jedną z nich. Tych,

którzy chcą wdrzeć się przez krucze pierścienie do Ym, by odebrać to, co kiedyś stracili. A on nic nie może zrobić, żeby ich powstrzymać. Już nie. Stracił tę niewielką władzę, jaką posiadał.

Słowa i siły skończyły się równocześnie. Rime splótł ręce i oparł o nie podbródek. Spojrzał na Lindriego. Czekał na jakąś reakcję na to wszystko, co powiedział. Nie doczekał się jednak. Lindri siedział i kiwał głową, choć Rime przestał już mówić. Jego powieki wydawały się tak ciężkie, że przez chwilę Rime sądził, że staruszek usnął. Zaraz jednak się wyprostował i oparł ręce na udach.

– Czyli świat się kończy? To chcesz powiedzieć?

– Dobry wniosek – odparł Rime.

– Tak. W takim razie pozostaje nam tylko jedno. – Lindri powoli się podźwignął. Zmarszczki na jego twarzy się pogłębiły. Zdradzały ból stawów.

– Co takiego?

– Zaparzyć herbatę.

Lindri podszedł do lady i zapalił świeczkę pod jednym z czarnych, żeliwnych dzbanuszków. Stały w rzędzie, wszystkie zwrócone dzióbkami w tę samą stronę.

– Zaparzyć herbatę? To jest twoja odpowiedź na to, że świat się kończy?

– A masz lepszą propozycję?

Rime zapatrzył się w blat. Był szorstki jak drewno wyrzucone na brzeg, porysowany i podrapany.

Nie, nie miał lepszej propozycji. Burza nadejdzie bez względu na to, co zrobi.

Lindri postawił przed nim dzbanuszek. Unosił się z niego intensywny aromat. Zapach był podejrzanie silny jak na herbatę. Właściciel herbaciarni usiadł i podsunął Rimemu pełną filiżankę.

– A więc zabiłeś Widzącego? Brata jej ojca?

– On zabiłby ją, gdyby tylko miał okazję.

Rime wsunął rękę do kieszeni. Wyczuł kształt muszli. Wisiorka, który jej dał, kiedy opuszczała Ym. Teraz muszla do niego wróciła. Przekazana przez Graala. Bez wyjaśnienia. Czy w ten sposób chciał powiedzieć, że powinien o niej zapomnieć? Że jest półślepą i że jest jej przeznaczony inny los?

Rime miał taką nadzieję, bo inna możliwość była gorsza. Że to Hirka poprosiła Graala, by przekazał mu wisior. Że to było jej życzeniem.

Ścisnęło mu się serce. Chwycił filiżankę i opróżnił ją jednym haustem. Napój był cudownie mocny. Rozgrzewał.

Rime nie miał pojęcia, jak bardzo jej pragnął, dopóki znów jej nie spotkał w sali pulsującej muzyką. To miejsce tętniło życiem. Było tam pełno człeków. Jak okiem sięgnąć,

wśród dzieci Odyna. Ale równie dobrze mógł z nią być sam na sam, bo i tak zapomniał o wszystkim, co go otaczało.

Wziąłby ją wtedy, gdyby tylko mógł. To było tak silne, tak wszechogarniające.

Takie niszczące.

Zrobił wiele idiotycznych rzeczy z jej powodu. Rzeczy, które zniszczyły nie tylko jego, ale mogły też zniszczyć Radę. Kruczy Dwór. Ym.

Wziął dziób. Stał się niewolnikiem. Przemilczał to przed Jarladinem i przed Lindrim. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że jest właściwie bezsilny. Zdany na łaskę Graala.

Graal był bardziej niebezpieczny, niż sądziła Hirka. Jeśli będzie musiał, wykorzysta ich oboje przeciwko sobie nawzajem. Jediną nadzieją było to, że Graal również ją kocha. Rime widział ojcowską dumę w jego oczach. Ale też niepohamowane pragnienie, by po trupach dążyć do celu.

O mnie Hirka też to mówi.

– Wiem, kim jesteś i kim nie jesteś, Powierniku Kruka. – Lindri dolał herbaty do filiżanek. Zupełnie, jakby czytał Rimemu w myślach.

– Nie jestem już powiernikiem kruka, Lindri. Jestem martwy dla wszystkich.

– Jeśli pozwolisz, Rime An-Elderinie... Opowiedziałeś mi, co się stało, a teraz ja ci powiem, co o tym myślę. Wychowałem się w tym mieście i pamiętam dzień, kiedy się urodziłeś. To nie było wcale tak dawno temu.

– To było prawie dwadzieścia lat temu, Lindri.

Staruszek się uśmiechnął i drobne zmarszczki wokół oczu dosięgły skroni.

– Dziecko, na które wszyscy czekali. Dziecko, któremu Widzący kazał żyć. Myślałem wtedy, że chłopak niewiele ma z życia. Dorastać z takim ciężarem... Już tego samego dnia zaczęli sprzedawać amulety z twoim wizerunkiem, wiedziałeś o tym?

Rime wiedział o tym aż za dobrze. Przesunął paznokciem po wyszczerbionym brzegu filiżanki. Było w niej coś znajomego. Chyba już kiedyś z niej pił. Upił kolejny łyk. Zapach drażnił nozdrza.

– Tak jak ja to widzę, Rime, wychowałeś się w klatce. W takiej, której reszta świata ci zazdrości, ale mimo wszystko w klatce. Tak to ułożyli, żebyś stał się taki jak oni. Pomylili się jednak. Stałeś się na tyle silny, by wybrać własną ścieżkę. Bynajmniej nie popieram wszystkiego, co zrobiłeś, ale siły woli ci nie brakuje.

Na zewnątrz zawył wiatr. Lindri potarł nadgarstki, jakby ten dźwięk przypomniał mu o zimnie. Podjął:

– Dużo o tobie mówią. Sam myślałem, że jesteś dla nas stracony. Zwłaszcza kiedy tu przyszedłeś z tą umalowaną kobietą. Z tą tancerką. Ale to nie był młodzieńczy kaprys, prawda? Przeżyłem siedemdziesiąt pięć zim, Rime, sądzisz, że nigdy nie słyszałem o dziele

ślepych? Coś z tobą zrobiła, wiem o tym. Nie musisz mi mówić co, zakładam, że tego potrzebowałaś, żeby móc pójść za Hirką. No i zabiłeś Svartelda. Własnego mistrza. Ale to był jego wybór, nie twój. Zostałeś oszukany. Kto na twoim miejscu nie postąpiłby tak samo?

Rime odwrócił głowę. Wyrozumiałość Lindriego była gorsza niż potępienie.

– Rime... Jesteś młody. Chciałbym móc ci powiedzieć, że z biegiem lat odróżnianie dobra od zła staje się łatwiejsze, ale wcale tak nie jest. Wręcz przeciwnie. Z biegiem lat coraz więcej widzisz. Dość się napatrzyłem na wady i niedoskonałości ætlingów, by myśleć, że łatwo jest dokonywać właściwych wyborów.

Rime zaśmiał się krótko.

– *Ona* mówi inaczej...

– Hirka nie dorastała w Eisvaldrze. Ty tak. Jesteś synem rodu zasiadającego w Radzie. Nigdy cię nie nauczono, co jest słuszne. Nauczono cię, że dopóki *ty* coś robisz, to jest właściwe. Rody stanowią prawo. Rody są prawem. Mimo to zmagasz się ze sobą i to czyni z ciebie kogoś dobrego, Rime. I jesteś silny. Tylko silni mężczyźni potrafią stracić wszystko i to znieść.

– I silne kobiety – dodał Rime. Poczul, że się rozluźnia. Uniósł filiżankę w stronę Lindriego, jakby w toaście. Kilka kropli napoju skapnęło na drewniany blat i wsiąkło, zanim zdążył je wytrzeć. – Wiesz, dlaczego ona to robi, Lindri? Wydaje jej się, że w ten sposób powstrzyma wojnę. Myśli, że przemówi ślepym do rozsądku i wyperswaduje im żądzę krwi. Myśli, że ich przekona, żeby pokochali pokój. Głupia dziewczyna... Potrafiłaby rozzłościć kamień, na pewno ich rozwścieczy jak nikt dotąd.

Lindri spróbował ukryć uśmiech.

Rime dopił resztę herbaty.

– Co?

– Ona wyzwala w tobie to, co najlepsze, i to, co najgorsze, Rime.

To była prawda, choć już bez znaczenia. Nie należała do niego. I nigdy nie będzie do niego należeć. Wybrała inny świat. Inne życie. I jeśli kiedyś się jeszcze spotkają, to na polu bitwy. Nie mógł na to czekać z założonymi rękoma. Musiał działać.

Ale najpierw trochę wypocząć. Tutaj. Przy tym stole.

– Darkdaggar ma kontrolę nad Radą, Lindri. Nad wojskiem.

– Tak, słyszę, co mówisz.

– Ale nie nad Ciemnymi Cieniami. Oni są bardziej niebezpieczni niż siły Mannfalli. Są jedyną armią zdolną odeprzeć ślepych. On nie może ich pozyskać, Lindri.

Rime próbował sformułować myśli, ale ciągle mu się wymykały. Nie sposób było je złapać. Jak Ciemne Cienie. Ciemne Cienie pozostające poza zasięgiem Darkdaggara. Ale

jak lojalni byli w tej chwili wobec Rady? Kto zajął miejsce Svartelda? I jak przyjęliby Rimego? Tego, który zabił własnego mistrza? Ich mistrza?

- Czy wciąż jestem Ciemnym Cieniem? Co teraz o mnie myślą?
- Nie mam pojęcia, Rime.
- Muszę się tego dowiedzieć. Nie mam wyboru.
- Możesz się dowiedzieć jutro.

Rime poczuł koc na plecach i zrozumiał, że właśnie zasypia.



PROBLEM

Śnieg sypał tak gęsto, że nie sposób było dojrzeć, gdzie się stawia stopy. Wiatr był coraz dotkliwszy. Przenikał aż do szpiku kości. Hirka włożyła na siebie wszystko, co tylko miała. Koszulkę od Stefana, dodatkowy sweter, pelerynę od ojca Brody'ego, a na to jeszcze płaszcz od Jarladina. Być może już nigdy ich nie zobaczy. Czy w ogóle kogoś zobaczy?

Jak do tej pory wszystko wskazywało na to, że śnieg zasypie ją na tym zamarzniętym pustkowiu. Ślepym w końcu się znudzi czekanie na nią i po prostu ją tu zostawią. Za sto lat martwo urodzeni odkopią szkielet. Coś, co będzie przypominać krucze truchło Graala. Trochę kości i strzępków skóry w koszulce z napisem po angielsku, którego nikt nie zrozumie.

Hirka uśmiechnęła się pod nosem. Otaczali ją martwo urodzeni, wokół szalała śnieżycą, a ona nie miała pojęcia, dokąd zmierza. Poczucie humoru było jej jedyną szansą na przetrwanie.

Wspinali się mozolnie na strome zbocze, które stapiało się z niebem. Ta niebieskawobiała wieczność ją oślepiała, gdy wpatrywała się w nią zbyt długo. Do tej pory nie widziała ani jednego drzewa, żadnego śladu życia. Tylko śnieg i lód.

Hirka zmusiła się, żeby przestać szczerkać zębami. Policzki miała tak zmarznięte, że czuła, jakby skóra na nich miała zaraz pęknąć, a pot we włosach zmieniał się w kryształki lodu. Z każdym krokiem musiała wydobywać nogi ze śniegu. Bardzo przydawał jej się w tym kijek. Pusty w środku drażek, który niewiele ważył, ale za to mógł dużo znieść. Wszyscy tutaj takie mieli. Mówili, że można przez niego oddychać, jeśli przysypie cię lawina, i dzięki niemu łatwiej można zostać odnalezionym. Nic nie wskazywało na to, że żartowali.

Hirka wiedziała, że wkrótce będzie musiała się zatrzymać. Szła już tak długo, że czuła w ustach posmak krwi.

Spod zmrużonych powiek zerknęła na Skerri. Kobieta szła przed nią, narzucając niezmordowane tempo. Pozostawiała ślady w śniegu, które ułatwiały marsz pozostałym. Hirka nie widziała, by choć raz szczelniej otuliła się peleryną. Jakim cudem do tej pory

nie zamarzyła?

Skerri niosła na plecach skórzany futerał. Przypominał kołczan, ale był za duży na strzały. Hirka przeczuwała, że nie ma sensu liczyć na to, by w środku był jakiś koc.

Za każdym razem, gdy Skerri się odwracała, by sprawdzić, jak daleko w tyle została Hirka, paciorki na jej czarnych warkoczach uderzały o ten niby-kołczan. Brzmiało to, jakby padał grad. Ten dźwięk zaczął nabierać nowego znaczenia. Był jak oskarżenie, które poganiało Hirkę.

– Kim jest Modrasme? – zawołała Hirka, w nadziei, że rozmowa skłoni Skerri do zwolnienia tempa.

– Najstarszą z naszego domu – odparła Skerri. Zerknęła na Hirkę. – Z twojego domu – dodała. Zabrzmiało to bardziej jak groźba niż pocieszenie.

– Czyli domy noszą imiona najstar...

– Porozmawiamy o tym na miejscu.

Hirka zagryzła wargę. Może z którymś z pozostałych pójdzie łatwiej? Obejrzała się za siebie. Trzej mężczyźni szli za nią gęsiego. Ten, który był na końcu, miał na imię Hungl. Typ gwardzisty, ciemnowłosy, z małą kocią bródką. Przed nim szedł Grid, ubrany równie lekko jak Skerri i jedyny, z którym rozmawiała. Wyglądało na to, że dobrze się znają. Gdyby nie jego jasne włosy, Hirka pomyślałaby, że są rodzeństwem. Choć z drugiej strony Umpiri bardzo rzadko miewali więcej niż jedno dziecko. Prawdopodobnie to zapewniło Graalowi i Naiellowi pozycję, jaką mieli przed wojną.

Najbliżej Hirki szedł ten stalowowłosy, z owczym futrem na ramionach. Keskolail. Mężczyzna, który strzelił. Hirka wahała się przez chwilę, ale była zbyt zmęczona, żeby się bać, więc przystanęła, by na niego zaczekać. Skerri chwyciła ją za ramię i pociągnęła dalej.

– Nie rozmawiaj z upadłymi – rzuciła.

– Kim są...

– Porozmawiamy o jego karze, kiedy dotrzemy do obozu.

Obóz...

Samo to słowo wydawało się ciepłe jak ognisko. Hirce wróciły siły. Pochyliła głowę, brnąc przez śnieg.

Dlaczego miał zostać ukarany? Obejrzała się ukradkiem na idącego za nią zabójcę. Kropla na jego czole. Nikt z pozostałych takiej nie miał. Mężczyzna do tej pory na nią nie spojrzał. Zupełnie jakby dla niego nie istniała. I najwyraźniej on również miał dla niej nie istnieć.

Zbocze stało się tak strome, że Hirka musiała używać rąk, by się wspinać. Woląca nie patrzeć na własne palce; na pewno strasznie zsiniały. Przynajmniej tu, na górze, tak

bardzo nie sypał śnieg.

– Nie macie dróg? – spytała Hirka.

Skerri obejrzała się przez ramię.

– Dróg? Chcesz powiedzieć, że jesteś gotowa, by się pokazać?

Wyglądało na to, że nie spodziewa się odpowiedzi, więc Hirka się więcej nie odzywała.

Teren stał się płaski. Znaleźli się na zasypanej śniegiem równinie. Smagane wichrem brzozy chyliły się ku ziemi. To były pierwsze drzewa, jakie Hirka tu zobaczyła. Gdzieś dalej rozległo się wołanie kruka. Nie widziała go, ale poczuła grudę w gardle. A więc istniało tu życie. Inne istoty oprócz ślepych.

Po drugiej stronie równiny stała grupka spiczastych namiotów. Od nawietrznej strony pokrywał je śnieg, plandeki uginały się pod nim. Hirka się rozejrzała. Potrafiłaby znaleźć co najmniej trzy miejsca, które byłyby lepiej osłonięte. Wyglądało jednak na to, że nikt nawet o tym nie pomyślał.

Zgasła nadzieja na wóz i ciepły posiłek. Tego tutaj nie dostanie. Uświadomiła sobie, że znów została z tyłu, więc przyśpieszyła kroku, by zrównać się ze Skerri.

– To ten obóz? – spytała. – Śpicie tutaj? Na równinie?

– Tak.

– Ale... Co, jeśli przyjdą dzikie zwierzęta?

Skerri spojrzała na nią. Jej czoło przecięła zmarszczka.

– Co masz na myśli?

– Że może powinniśmy... A jeśli coś nas zaatakuje?

Skerri obnażyła zęby. Hirka cofnęła się o krok i prawie się potknęła. Umpiri nie musieli obawiać się drapieżników. Sami byli drapieżnikami.

– Chcesz powiedzieć, że nie przeżylibyśmy ataku?

Hirka potrząsnęła głową.

– Nie, nie, skądże znowu. Myślałam bardziej o... sobie. Tak właściwie... – Ostatnie słowa uwięzły jej w gardle. Skuliła się pod spojrzeniem Skerri. Czowała się jak włos w zupie.

Gorąca zupa...

Skerri poszła dalej. Hirka ruszyła za nią, układając w głowie listę rzeczy, o które nie powinna pytać. Żadnych koni. Wozów pewnie też nie. Nic, co by sugerowało, że Umpiri nie potrafią sami chodzić. Albo że się męczą. I pod żadnym pozorem nie pytać o nic, co by wskazywało, że czegoś się boją.

Na spotkanie wyszły im dwie martwo urodzone. Bardzo się od siebie różniły. Jedna była ciemnowłosa i nosiła długą szatę. Jak augur albo uczonec. Druga była jasnowłosa, odziana w skóry i futra jak myśliwy. Albo jak wojownik, sądząc po jej zawziętej minie. Zaczęły rozmawiać ze Skerri w języku, którego Hirka nie rozumiała. W mowie ślepych.

W języku Umpiri.

Brzmiał obco, a jednak znajomo. Słowa poruszały jakąś strunę głęboko w niej. To było tak, jakby po raz pierwszy od dawna poczuła zapach z dzieciństwa. Coś nowego. Ale równocześnie coś, co było jej częścią.

Obie kobiety spojrzały na Hirkę. Ugięły odrobinę kolano w czymś w rodzaju powitania. Odniosła wrażenie, że powinna zrobić to samo. Ugięła kolano i poczuła czyjaś rękę na karku. Skerri ją złapała i pchnęła do namiotu przez skórzaną płachtę wiszącą w wejściu. Hirka wpadła do środka. Spodziewała się, że Skerri wejdzie za nią, ale ona zaczęła już wykrzykiwać polecenia do pozostałych.

Hirce to nie przeszkadzało. Rozejrzała się. Nie było tutaj miejsca dla dwóch osób. Plandekę podtrzymywał stojący pośrodku słup. Podłoga była nierówna, ale sucha, wykonana z jakiejś tkaniny. Pewnie były dwie warstwy. Albo natłuszczono ją od spodu. Na skórze leżały dwa zrolowane wełniane koce. I nic poza tym. Nie było tu nawet lampki olejnej ani naczynia, z którego można by się napić.

Hirka upuściła kijek na podłogę i osunęła się na kolana. Chciało jej się pić, była głodna i zmęczona, ale nie miała pojęcia, czym się zająć najpierw.

Ugasić pragnienie.

Zsunęła worek i odczepiła wiszący na zewnątrz bukłak. Próbowala pić po drodze, ale zbyt rzadko się zatrzymywali i woda była za zimna. Teraz chciała wyjąć zatyczkę. Przymarzła. Hirka nie miała siły, by ją wyciągnąć. Straciła czucie w palcach.

Zapieкло ją pod powiekami. Była bliska płaczu. Co z nią jest nie tak? Będzie płakać już pierwszego dnia w miejscu, do którego sama postanowiła przybyć? Zrobiła to, żeby zachować pokój. Żeby martwo urodzeni nie spustoszyli Ym. Musiała o tym pamiętać. Uczepić się tej myśli. Zachować pokój. I zdobyć wiedzę, która pozwoli jej uwolnić Rimego od dzioba.

Zamknęła oczy. Miał w gardle dziób. Kruczy dziób. Graal miał nad nim władzę, tak jak wcześniej nad Urdem. A Urd zgnił...

Hirka odrzuciła bukłak. Wyczuła irytującą grudę śniegu pod podłogą i uderzyła w nią pięścią.

Czego właściwie się spodziewała? Myślała, że kogo tu spotka? Rodzinę? Jest aż tak naiwna? Wciąż jest tylko dziewczynką, która tęskni, żeby poczuć się gdzieś jak w domu?

Ktoś odrzucił na bok płachtę przy wejściu. Do namiotu weszła Skerri. Hirka zerwała się na nogi. Wzdrygała się za każdym razem, gdy widziała jej twarz. Czarne włosy i usta na tle bladej cery. Gdyby Skerri nie była Umpiri, Hirka oceniłaby ją na jakieś dwadzieścia pięć zim. Wydawała się młoda, niemal dziewczęca. Upiorne połączenie słodczy i grozy.

– Siadaj – warknęła Skerri.

Hirka usłuchała.

Skerri usiadła naprzeciw niej. Skórzany gorset zaskrzypiał i dopasował się do jej silnego ciała.

– Kuro – powiedziała i wskazała głową na przymocowaną do worka szkatułkę.

– Kuro? – Hirka nie spodziewała się, że usłyszy tutaj to imię. Należało do niej. Sama je wymyśliła, kiedy Naiell był jeszcze krukiem.

– Serce – wyjaśniła zniecierpliwiona Skerri. – To znaczy serce. Pokaż mi je.

Gdyby Hirka miała na to siły, uśmiechnęłaby się, usłyszawszy, co znaczy to słowo. Odczepiła szkatułkę i położyła ją sobie na kolanach. Wydawała się skromna, jeśli wziąć pod uwagę, co zawierała. Nieciekawa metalowa skrzyneczka, matowa jak podniszczone ostrze noża. Zimna w dotyku. Zanim Hirka przeszła przez wrota, martwiła się, że lód w środku się stopi. Co za żart.

Otworzyła zatrzaski po obu stronach i uniosła wieko. Serce Naiella leżało w kruszonym lodzie. Blade jak zaciśnięta pięść. Hirce wydało się, że wciąż wyczuwa jego zapach. Brat Graala. Brat jej ojca. W Ym był Widzącym. Tu na Dreysíl był kimś zupełnie innym. Zbrodniarzem. Wrogiem ludu.

Skerri wyrwała jej z rąk szkatułkę. Zamknęła oczy i wciągnęła powietrze, jakby żywiła się tym zapachem. Wykrzywiła usta.

– Naiell...

To był szept, tak ochrypliły z nienawiści, że Hirka zdała sobie sprawę, jak blisko z nim związana musiała być ta kobieta. Na pewno się znali. Hirka spojrzała na nią.

– Byłaś tam...

Skerri otworzyła oczy. Mlecznobiałe. Odległe. Utkwione w jakimś punkcie daleko za ciasnym namiotem.

– Kiedy skończyła się wojna, złożyłam przysięgę. Kiedy zrozumiałam, że nas zdradził. Gdy zobaczyłam, jak pojmał i torturował brata. Przysięgłam, że własnymi szponami wyrwę mu z piersi to serce. Przez tysiąc lat czekałam, żeby znów poczuć jego zapach. Tysiąc lat. A teraz jest tutaj. Cóż innego nam pozostaje, niż odebrać to, co do nas należy?

Hirka nie odpowiedziała. Bała się, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo, by Skerri rzuciła jej się do gardła. Jej czarne usta drgnęły. Martwo urodzona zmagająca się z jakąś historią, o której Hirka nie miała pojęcia. To dlatego była taka zła? Bo Hirka przyniosła jego serce? Czy Rime zrobił coś, co Skerri pragnęła zrobić sama?

Powietrze stało się gęste. Hirka pchnęła wieko palcem i zatrzaskała szkatułkę. Skerri ocknęła się z transu. Oblizwała wargi. Czerń nie stała się ani trochę jaśniejsza. Czy to był tatuaż? Taki na zawsze?

Odstawiła szkatułkę.

– Mamy problem, Hirko – powiedziała Skerri. Potrząsnęła głową, poruszając warkoczykami. Jak zwierzę otrząsające się z wody.

– Jaki problem?

– Ciebie.

Hirka chciała zaprotestować, ale była zbyt zdenerwowana i jednak ciekawa, na czym polega problem.

Skerri przekrzywiła głowę. Ptasi ruch, przypominający gest Graala i Naiella. Hirka zdobyła się na odwagę, by zadać jej pytanie:

– Jesteśmy rodziną, Skerri?

Kobieta mrugnęła, jakby to pytanie ją zaskoczyło, ale szybko wzięła się w garść.

– Jesteśmy rodziną, ale nie jesteśmy spokrewnione. Należymy do tego samego domu. Poznasz swoich krewnych, gdy dotrzemy do Ginnungad, i na tym właśnie polega problem. Muszę teraz wysłać kruka. Przekazać im, że tu jesteś. Że przybyłaś. Ale co mam powiedzieć?

– Co masz na myśli?

Skerri uniosła podbródek. Spojrzała z góry na Hirkę, jakby była skończoną idiotką.

– Jesteś taka jak oni! Spójrz na siebie! Masz ich oczy. Nie masz szponów, kłów. Jesteś powolna. Słaba. Żałosna tak jak oni. Jesteś bardziej człkiem niż Umpiri. I mówisz tylko w języku zwierząt.

Hirka poczuła, że jej twarz tężeje. Ogarnął ją wstyd. Jakby cofnęła się w czasie. Znów była w Elveroi. Z ojcem, który próbował ją ukrywać, bo wiedział, kim jest. Z Ilume, która ją odprawiła, kiedy Hirka zapytała o Rimego. Była potworem. Bezogoniastym dzieckiem Odyna. Również tutaj.

Znów czuła się mała. I to ją irytowało. Zacisnęła zęby.

– Przykro mi, że nie jestem taka, jak się spodziewałaś.

– To, że ci przykro, nic tutaj nie da – parsknęła Skerri. – Musimy coś z tobą zrobić, zanim będzie można cię pokazać, i to szybko. Szczerze mówiąc, zrozumiałam, że będziemy mieli taki problem, już kiedy Graal powiedział mi o tobie. Mówił trochę... wymijająco.

– A więc to ty z nim rozmawiasz?

– Tak. Tylko ja.

Hirka zwróciła uwagę na dumę w jej głosie. Graal coś tutaj znaczył, i to był pewnie jedyny powód, dla którego wciąż żyła. Musiało tak być. Nie zamierzała jednak wysłuchiwać całego wykładu na temat tego, co z nią jest nie tak. Słyszała to już zbyt wiele razy.

– Po prostu mi powiedz, co trzeba zrobić, Skerri.

Martwo urodzona przyglądała jej się przez chwilę. Wstała.

– Powiem im, że przybyłaś. Nic poza tym. Zobaczymy, co nam się uda osiągnąć.

Najważniejszy jest język. Nie możesz mówić ich językiem w naszym domu. Oni będzie cię uczyć po drodze.

– Oni?

– Służąca. Pracuje dla naszego domu. Jest uczoną, nauczy cię mówić jak trzeba. I tego, jak się masz zachowywać. – Skerri zmierzyła ją wzrokiem. – Stojem zajmujemy się później.

Język, maniery, strój... Hirka o to nie dbała. A jeśli potrzebowała uczoney, to takiej, która zna się na Evnie.

– A co z... – Miała już na końcu języka „dziełem ślepych”, powstrzymała się jednak. – Co z Evną? Muszę porozmawiać z kimś, kto zna się na dziobach. – Dotknęła ręką szyi, by pokazać, o co jej chodzi.

Skerri wpatrywała się w nią pustym wzrokiem.

Hirka musiała spróbować inaczej. Sprawić, żeby Skerri zechciała jej pomóc. Żeby zechciała odpowiedzieć. Innymi słowy, musiała uderzyć w jej dumę.

– Naprawdę nie macie tu nikogo, kto zna się na Evnie?

Białe oczy Skerri zwęziły się w dwie szparki.

– Oczywiście, że mamy! Najlepszych! Mamy splataczy Evny i widzących, ale to nie twoja sprawa. W tej chwili to dla ciebie najmniej ważne.

Widzących? Ślepi mają widzących?

Oczywiście. Bo skąd Naiell wziąłby ten pomysł?

Hirka wybuchnęła śmiechem. Naiell opuścił swój świat, ale zabrał ze sobą coś, co znał.

Skerri odwróciła się, żeby odejść.

– To twój namiot – powiedziała. – Zostań tutaj. Oni przyjdzie po ciebie, gdy tylko wyśle kruka. Potem spotkasz pozostałych.

Odsunęła skórzaną płachtę. Do namiotu wpadło światło. Po raz ostatni spojrzała na Hirkę.

– I jeszcze jedno: jeśli spróbujesz klęknąć przed kimś z niższego rodu, pogruhoczę ci kolana.

Skerri wyszła, powiewając warkoczykami.

Hirka zamknęła oczy.

Nie pytać o konie. Nie krytykować miejsca na obóz. Nie klękać.



SĘDZIA

Hirka tęskniła za zrozumieniem. Pragnęła informacji. Ale teraz zaczynało jej świtać, że nadmiar informacji może być jeszcze gorszy niż ich brak.

Język nazywał się umōni, a słowo „oni” oznaczało język. Tak wszyscy nazywali kobietę, która miała być jej nauczycielką, i Hirka szybko pojęła dlaczego. Oni mówiła bez przerwy, dosłownie nie zamykały jej się usta. W przeciwieństwie do Skerri nie miała żadnych oporów przed mówieniem po ymsku, ale z drugiej strony była też za młoda, by brać udział w wojnie. To sprawiało, że była bardziej ciekawska niż Skerri i zapewne miała też mniej uprzedzeń.

Zacząła uczyć się ymskiego dwa lata wcześniej, na życzenie Skerri. Tak się wyraziła Oni: „na jej życzenie”. Hirka podejrzewała, że odpowiedniejszym słowem byłby „rozkaz”. Uczona dopiero teraz się dowiedziała, dlaczego to było konieczne. Fakt, że nie wszystkie kamienne kręgi są martwe, był dobrze strzeżoną tajemnicą.

Oni była żywo zainteresowana wszystkim, co Hirka odważyła jej się opowiedzieć o innych światach, i ciągle musiała się pilnować, by wykonywać swoje właściwe zadanie: uczyć Hirkę dobrych manier. I oczywiście wyjaśniać, gdzie jest jej miejsce w hierarchii. To się wydawało najważniejsze.

Ze wszystkich ślepych, których poznała Hirka, Oni najmniej ją przerażała. Może dlatego, że miała dołeczki w policzkach. Albo z powodu brązowych włosów, które kojarzyły się z ciepłem. Nosila luźną, swobodną szatę, ani trochę nierzucającą się w oczy. No i oczywiście ciągle mówiła. A to pomagało, o tak, bo nikt inny tego nie robił.

Hirka była przekonana, że tkwi z tą kobietą w namiocie od ponad godziny. Nie przywitała się oficjalnie z nikim innym. Na życzenie Skerri, jak zakładała.

Oni odsunęła na bok płachtę przy wejściu, żeby Hirka mogła wyglądać na zewnątrz podczas rozmowy. Czworo pozostałych było w obozie. Brakowało tylko Skerri. Oni wskazała na Grida, który stał kawałek dalej i wydłubywał śnieg z wydrążonego kijka. Nosił obcisłą kamizelkę obszytą futrem. Nagie ramiona były żylaste i silne.

– Grid nie skończył jeszcze trzystu lat, ale wygrał wiele... jak to się nazywało? Wiele

turniejów. Trenuje ze Skerri, są bliskimi przyjaciółmi. Skerri i Grid to tutaj jedyni Dreyri. To znaczy, że...

– Że w ich żyłach płynie krew pierwszych... – Hirka pamiętała to aż za dobrze.

– Tak, zgadza się. Dreyri, ze starych rodów. Tylko domy Dreyri mają imiona. Reszta z nas jest zwyczajna. Jesteśmy po prostu Umpiri. Pracujemy dla domów. Hungl i Tyla oboje są służącymi w domu Modrasme.

Hirka spojrzała w ich stronę. Hungl z kocią bródką. Jasnowłosa Tyla. Nie było jej przy kamiennym kręgu, czekała tu w obozie razem z Oni.

– Nie wyglądają jak słudzy. Już prędzej jak wojownicy – stwierdziła Hirka.

Oni zasłoniła usta dłonią, by ukryć uśmiech.

– My nazywamy ich sługami. Domy nie mają swoich wojowników. Ani strażników. Jakby to wyglądało? A więc zamiast tego mają służących. Bo...

– Bo sami potrafią się obronić. Nie potrzebują niczyjej pomocy...

Oni z zapalem pokiwała głową.

– Hungl mówi trochę po ymsku, ale nie za dobrze, a ty... – Spojrzała na Hirkę. Nerwowo zagryzła wargę. – ...musisz dobrze władać umi, zanim cię zobaczą w najwyższym domu.

Hirka udała, że nie słyszy. Na samą myśl, że ma być pokazywana, zaczęła się pocić mimo mrozu. I tak było już jasne jak słońce, że nie spełni ich oczekiwań.

– Rozpalają ognisko? – spytała z nadzieją.

– Tak, wiem, że marzniesz szybciej niż my. Najwięcej mogą znieść Dreyri. Oni też marzną, ale...

– Ale bardziej im zależy, by udawać, że tak nie jest?

– Szybko się uczysz.

– A on? – Hirka wskazała głową na mężczyznę z kroplą na czole. Stalowszare włosy, kamienna twarz. Zbliżał się właśnie do ogniska z naręczem sękatych gałęzi.

– On jest kwessarem. Jednym z upadłych. Było ich dwóch, ale słyszałam, że ten drugi zginął. To dlatego zawsze trzeba mieć dwóch. Żeby jeden mógł zabić drugiego, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale nigdy nie zależy zabierać ze sobą więcej niż dwóch.

Hirka spojrzała w jego stronę. Odłożył drewno na stertę.

– Czemu nie?

– No cóż – odparła Oni – jeśli zabierzesz ze sobą więcej niż dwóch mężczyzn, którzy nie mają nic do stracenia, sama jesteś sobie winna, jeśli coś pójdzie nie tak, prawda?

Hirka miała już na końcu języka kolejne pytania, ale Oni nie dała jej szansy, by mogła je zadać.

– Upadli nie należą do żadnego domu. Są wykluczeni. Poznajesz ich po kropli i po

imieniu. On nazywał się kiedyś Kolail, ale odkąd został upadłym, wołają go Keskolail. Kes to przedrostek pochodzący od słowa kwessar, które oznacza...

Nagle w wejściu do namiotu zjawiła się Skerri.

– Tracisz czas, Oni. Nauczyłaś ją już, jak ma się przedstawiać? Jak się nazywają najwyższe domy?

Oni zerwała się na nogi. Skerri ją odesłała, a potem przykucnęła obok namiotu. Hirka zmusiła się, by dalej siedzieć w wejściu, choć miała ochotę się schować. Skerri spojrzała na nią.

– Hungl i Keskolail brali udział w wojnie. To znaczy, że widzieli już takich jak ty. Wiedzą, czego się spodziewać. Ale nie możemy sobie pozwolić na to, by rozeszły się plotki, że jesteś słaba. Musimy od razu pokazać, kim jesteś. Teraz się tym zajmujemy. Zadam ci pytanie, a ty masz odpowiedzieć tylko „kruki”. Nawet ktoś taki jak ty sobie z tym poradzi. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Hirka nic z tego nie rozumiała, ale pokiwała twierdząco głową.

Skerri wstała i dała jej znak, by poszła za nią. Hirka wypełzła z namiotu. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie wrócić po płaszcz, ale zrezygnowała. Podeszła ze Skerri do ogniska. Hungl i Tyla usypali sobie przy nim siedziska ze śniegu. Przybiegła Oni i również usiadła. Grid oczywiście stał. Pewnie nie uchodziło, żeby Dreyri siedział.

Upadły siedział kawałek dalej i wykruszał lód z owczego futra.

Skerri wskazała na Hirkę i zwróciła się do pozostałych w umõni. Hirce zrobiło się niedobrze. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Wiedziała tylko, że ma w tym odegrać jakąś rolę, ale na czym ta rola ma polegać...

Gdy Skerri skończyła, zwróciła się do Hirki.

– Keskolail wypuścił strzałę w twoją stronę. Jak brzmi twój wyrok, Hirko, córko Graala, syna Rauna z domu Modrasme?

Hirka zmarszczyła czoło. Wyrok? Proszono ją, żeby go ukarała? Mężczyznę ze znakiem kropli? Tak jej się wydawało. Ale nie za to, że zabił tamtego mężczyznę, bo przecież zrobił to na rozkaz Skerri. Oskarżano go o to, że wypuścił strzałę w jej stronę. Zupełnie jakby cokolwiek jej wtedy groziło. Strzelec, który umie trafić w cel z takiej odległości i przy takiej pogodzie... Nie mógł chybić.

A więc dlaczego?

Skerri kazała jej odpowiedzieć: „Kruki”. Co kruki miały z tym wspólnego?

Nagle pojęła. Poczuli się tak, jakby miała kamień w żołądku.

Zabitych daje się krukom.

W Ym rody zasiadające w Radzie oddawały swoich zmarłych krukom na pożarcie. Czy to był kolejny obyczaj, który Naiell przeniósł z tego świata? To oznaczało, że teraz

proszono ją, by skazała tego mężczyznę na śmierć. By stał się żerem dla kruków. Za to, że zrobił, co mu rozkazano?

Przy ognisku zapadła pełna napięcia cisza. Płomienie wyciągały się na wietrze, jakby chciały ją pochwycić.

Hirkę przeszył zimny dreszcz. Wiedziała, co ma powiedzieć, ale to słowo nie chciało jej przejść przez gardło. Wpatrywała się w mężczyznę, którego miała skazać, ale nie podchwycił jej spojrzenia. Pozostałych też nie. Wiedział, co się dzieje, mimo to dalej czyścił owcze futro, jakby go to nie dotyczyło. Stalowe włosy. Stalowe spojrzenie. Cały był ze stali?

Hirka musiała coś powiedzieć. Patrzyli na nią. Czekali na jej słowa. Nie rozumiała dlaczego, ale najwyraźniej Skerri musiała uzyskać od niej potwierdzenie, żeby móc postawić na swoim. Hirka odchrząknęła.

– Mówiono mi, że Umpiri nie zabijają Umpiri.

Hungl miał właśnie napić się z bukłaka, ale zakrztusił się i większość wypluł. Tyla spiorunowała go wzrokiem i natychmiast wziął się w garść. Oni tak mocno zagryzła wargę, jakby chciała ją zjeść.

Skerri pochyliła kark jak rozjuszony byk. Hirka widziała, że jej warkoczyki drżą.

– Jesteś tutaj nowa i nie znasz obyczajów – powiedziała z wymuszonym spokojem. – Musimy ci okazać wyrozumiałość. On nie jest Umpiri. Jest kwessarem. Upadłym. Ale ponieważ nikt z tu obecnych nie może wykonać wyroku, wstrzymaj się z decyzją do chwili, gdy dotrzemy do Ginnungad. Wykorzystaj ten czas, żeby się nad tym zastanowić.

Skerri minęła ją i zniknęła w swoim namiocie. Grid przez chwilę nie wiedział, jak się zachować. Potem skinął Hirce głową i ruszył za Skerri.

Hirka wciąż stała przy ognisku, niepewna, co powinna teraz zrobić. Jej spojrzenie padło na zakrzywione szpony. Na ostre kły. Otaczali ją obcy. I oczekiwali od niej, że wyda wyrok śmierci. Ich ubrania nagle wydały jej się nie na miejscu. Jakby miały coś ukrywać.

Hirka zdała sobie sprawę, że drży. Klasnęła, na próżno próbując się z tego otrząsnąć.

– No to co trzeba tutaj zrobić, żeby dostać coś do jedzenia?

Hungl zaśmiał się cicho. Oni wstała.

– Przyniosę ciastka.

Hirka spojrzała na Keskolaila.

Kolail. Ma na imię Kolail.

Teraz, gdy poznała jego prawdziwe imię, wiedziała, że już nigdy nie będzie nazywać go inaczej niż Kolail.

Podniósł wzrok. Po raz pierwszy na nią spojrzał. Jego twarz nic nie wyrażała. A potem znów się zajął wykruszaniem lodu z owczego futra.



KOLAİL

Śnieżyca minęła. Ustąpiła miejsca ponurej, zimnej mgłę. Ale Hirka nie zamierzała się zniechęcać. Po zimnej bezsennej nocy wstała i zabrała się do tego, co uznała za niezbędne do przetrwania. Pończochy. Grube wełniane skarpety. Nogawki spodni zawiązane na butach, żeby nie utknąć w śniegu.

Odcięła paski z wełnianego koca i owinęła nimi dłonie i palce. Wcześniej roztopiła też śnieg w bukłaku, ale był już od dawna pusty. Te kilka kropli, które w nim zostało, znów zamarzło. Na tę myśl jeszcze bardziej zachciało jej się pić. A namiot, który niosła zarzucony na worek, sprawiał, że bagaż był cięższy.

Brnęła jednak dalej, zdając sobie sprawę, że tuż za nią idą Tyla i Kolail. Zerknęła na pozostałych. Wyglądali jak cienie we mgle, wspinali się po ścieżce przed nią. Nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek zamierzali się zatrzymać. Zwłaszcza Skerri i Grid. Zawsze do przodu. Zawsze pierwsi.

A jednak to Hirka pierwsza się obudziła. To dało jej trochę czasu i poczucie, że wreszcie ma jakąś przewagę. W sumie nie było się czym chwalić, ale akurat w tej chwili nie miała wielkich wymagań.

Przypomniała sobie, że Naiell też dużo spał. Prawie wszędzie, gdzie się dało. W szklarni w Yorku. W samochodzie Stefana. W samolocie. Hirka się uśmiechnęła, ale zaraz przypomniała sobie, że wszystko porwała Slokna. Że w szkatułce na plecach niosła jego serce.

Hungl i Tyla spali tej nocy razem w sąsiednim namiocie. Nie wiedziała, czy po to, by pilnować, żeby nie uciekła, czy żeby jej bronić, gdyby ktoś chciał jej zrobić krzywdę. Ani jedno, ani drugie nie sprawiało, by czuła się bezpieczna.

Poprzedniego wieczoru sprzeciwiła się Skerri. Pokrzyżowała jakiś makabryczny plan, o którym nie miała pojęcia. Pewnie martwo urodzona skręci jej kark, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Hirka miała paskudne przeczucie, że jej życie balansuje na ostrzu noża, którego nawet nie dostrzega. Okaze się wystarczająco dobra czy nie? Do czego? I w czyich oczach?

Obawiała się, że przekona się o tym szybciej, niżby miała ochotę.

Przynajmniej się dowiedziała, że mają tutaj widzających. Umpiri, którzy znają się na dziele ślepych. Któryś z nich musi przecież wiedzieć, jak mogą odzyskać Evnę. Naiell zniszczył ją, czerpiąc siły z poległych, a ona w chwili szaleństwa obiecała Graalowi, że to naprawi. W zamian za pokój. Chyba postradała rozum. Uleczyć Evnę...

Uleczyć Rimego.

Pochyliła głowę i pomaszerowała dalej. Wpadła na plecy Hungla, który się zatrzymał. Odwrócił się do niej. Jego kozią bródkę pokrywał szron.

– Droga... Nie ma jej – powiedział bezradnie, mieszając ymski z umõni. Wskazał na Skerri i na Grida. Stali trochę dalej, przy ciemnej wyrwie w skalnej ścianie, tam gdzie powinna przebiegać ścieżka, i o czymś rozmawiali.

Przybiegła Oni.

– Droga się zawałiła. Znajdą inną trasę. Poczekaj tu, Hirko – powiedziała i dała znak Hunglowi, żeby z nią poszedł.

Tyla minęła Hirkę i ruszyła za nimi, by zobaczyć, co się stało.

Hirka oparła się o skałę, wdzięczna za ten postój. Za to, że przez chwilę może pobyć sama. Ale całkiem sama nie była.

Obejrzała się za siebie. Kolail stał niedaleko, ze szponami zakopanymi w śniegu. Pił przez nie. Hirka widziała, że pozostali też tak robią. Wydawało się im obojętne, czy piją ustami czy szponami. Okropnie ją to irytowało. Ona miała zamarznięty grzechoczący bukłak, a on mógł po prostu wbić palce w śnieg i się napić...

Hirka zsunęła worek i odstawiła go na bok. Zgniotła w dłoni trochę śniegu i wsunęła go do ust. Topniał powoli. Kropelka. Dwie. Język zmarzł i zdrętwiał. Wypluła resztkę śniegu. Zdała sobie sprawę, że Kolail na nią patrzy. Co wyrażały jego usta? Zdumienie? A może próbował ukryć rozbawienie?

Owczę futro było szare jak jego włosy. Wyglądało to tak, jakby na jego szerokich barkach leżał brudny śnieg. Miał gęsty, kilkudniowy zarost i mocne szczęki. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że trochę przypomina jej ojca. Ślepego i nieco brzydszego Thorralda.

Na myśl o ojcu zrobiło jej się ciężko na sercu. Od dawna nie czuła z nikim takiej bliskości. Nie była w stanie o tym myśleć. Musiała skupić się na czymś innym. Na przetrwaniu. Na wodzie. Potrzebowała wody.

Podeszła do Kolaila i wzięła go za rękę. Wyszarpnął ją. Spojrzał na Hirkę, jakby próbowała ją odrąbać. Wskazała na swoje usta.

– Woda...

Zmarszczył czoło. Kropla zbliżyła się do nasady nosa. Hirka znów wzięła go za rękę

i tym razem jej na to pozwolił. Uniosła jego dłoń do ust.

– Czekaj...

To było pierwsze słowo, jakie od niego usłyszała. Po ymsku.

Zgadza się. Był na wojnie.

Znów zatopił szpony w śniegu. Wysunął je i pozwolił, by je chwyciła. Hirka wsunęła jego palce do ust i poczuła sączącą się do gardła wodę. Ciepłą niż ta, którą piła przez ostatnią dobę. To było nieopisanie przyjemne.

Złapała go za nadgarstek i zaczęła ssać jego palce. Czowała na języku drżące szpony. Nagle cofnął rękę.

Ogarnęło ją przecucie, że zrobiła coś strasznego. Coś, czego nie powinna była robić. Kropelka wody ściekła jej z ust. Otarła ją grzbietem dłoni, nim zdążyła zamienić się w lód.

Kolail wpatrywał się w coś za jej plecami. Hirka się odwróciła.

Na ścieżce stała Skerri. Zacisnęła czarne usta. Warknęła coś niezrozumiale do Kolaila. Minął ją. Zostawił Hirkę sam na sam ze Skerri. Poczuła się zdradzona.

Skerri dopadła do niej. Wzięła zamach i ją uderzyła. Hirka uniosła ramię, ale nie zdążyła się zasłonić. Poczuła palący ból w policzku.

– Nie dotykaj upadłych! Nie poniżaj swojego domu!

Hirka się cofnęła. Ciepła krew spływała jej po twarzy. Wpadła w panikę. Szpony... Jak bardzo ją poraniły? Dotknęła policzka i znów spojrzała na swoją dłoń. Na prymitywnej wełnianej rękawiczce pojawiły się dwie czerwone pręgi. Drobne skaleczenia. Nic takiego. Uratował ją kaptur.

Skerri gapiła się na nią. Wyglądało na to, że jej wściekłość minęła. Wydawała się raczej zdezorientowana. Hirka uświadomiła sobie, że martwo urodzona oczekiwała, że jej rany się zamkną. To jej dało gorzką satysfakcję.

– Zgadza się. Moje rany nie goją się tak jak wasze.

Skerri zamknęła oczy i westchnęła z rezygnacją.

– Nawet *tego* nie udało ci się odziedziczyć... Nie jest ci pisane przetrwać, prawda? – Skerri mocniej naciągnęła Hirce kaptur. – Nie pozwól, żeby to zobaczyli. I bez tego cię nie szanują – powiedziała. A potem odeszła.

Hirka stłumiła wściekłość i ruszyła za Skerri.



Nie mogła spać. Rozbili obóz pod zakrzywionym lodowym nawisem, który wznosił się nad namiotami jak ogromny kiel. Groźny. Przytłaczający. Za każdym razem, gdy zamykała

oczy, słyszała skrzypienie lodu. Jakby w każdej chwili mógł runąć i ich zmiażdżyć.

Skerri wybrała to miejsce. Z pewnością było czymś w rodzaju zemsty po tym, jak Hirka skrytykowała położenie poprzedniego obozu.

W namiocie obok chrapał Hungl. Brzmiało to jak powarkiwanie psa. Lód trzeszczał.

Hirka znów przewróciła się na drugi bok. Sweter owinał się wokół ciała. Czowała zapach smażonej ryby. Na pewno to tylko jej wyobraźnia. Najwyraźniej głowa też zaczynała odmawiać jej posłuszeństwa na tym mrozie. Odkąd tu przybyła, nie widziała porządnego jedzenia. Ślepi wbijali szpony w zielone ciastka, które miały okropny smak. Oni powiedziała, że wyrabia się je z wodorostów i z grzybów rosnących w jaskiniach. Zawierały większość tego, czego potrzebowali Umpiri.

Hirka zapytała, czy nigdy nie jedzą normalnie, tak jak ona. Robili to podczas nielicznych świąt i następnego dnia musieli to odchorować. Wyglądało na to, że kiedyś jedli w taki sposób, ale po prostu przestali. Za to często pili. Pewnie dlatego, że wtedy mogli siedzieć i nie było to źle widziane.

Byłaby gotowa przysiąc, że czuje zapach ryby. Tłustej, świeżej ryby...

Podpełzła do wyjścia z namiotu. Odsunęła skórzaną płachtę i wyjrzała.

Zobaczyła czerwony żar w ciemności. Dopalające się ognisko.

Naciągnęła buty. Były zimne, ale suche. Potem owinęła się kocem i wyszła, jak zwierzę zwabiona ciepłem i zapachem jedzenia. Było tak ciemno, że widziała tylko śnieg, po którym szła. Noce tutaj były ciemne. Ciemniejsze niż w Ym.

Przy ognisku siedziała jakaś postać. Mężczyzna. Rozgrzebywał żar patykiem. Był wysoki, z kudłatym owczym futrem na ramionach.

Kolail.

Hirka się zawahała. Wciąż piekły ją na policzku ślady po szponach Skerri. Nie potrafiła się jednak wstydzić, że kogoś dotknęła, bez względu na to, czego po niej oczekiwano. Nie była już zgnilizną. Mogła dotykać, kogo chciała. Siedzieć, z kim chciała. Jeść, z kim chciała.

Podeszła bliżej, pewna, że już dawno ją usłyszał. Ścisnął jej się żołądek, nie tylko z głodu. Chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co. Nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni.

– Kolail?

Zarechotał cicho. Krótki, zduszony śmiech.

– Nie tutaj.

Dopiero po chwili zrozumiała, co miał na myśli. Że nie tak go tutaj nazywają.

Podeszła do niego.

– Ale tak masz na imię?

Kiwnął potakująco głową. Na kamieniu obok niego było trochę miejsca.

– Mogę obok ciebie usiąść? – spytała.

Wyglądał, jakby był martwy. Mężczyzna ze stali. Szare włosy, szary zarost. Trochę zapadnięte policzki. I ślepe oczy, które zawsze wyglądały, jakby były wywrócone...

Potrzebowała dużo czasu, by przyzwyczaić się do oczu Naiella. Były doskonałym wyjaśnieniem wszystkich mitów o ślepych.

– Przypuszczam, że możesz zrobić, co ci się żywnie podoba – odparł gorzko.

Poluzowała trochę koc i usiadła. Ze śniegu sterczał patyk pochylony nad żarem. Wisiał na nim spory pstrąg. Woń smażonego tłuszczu sprawiła, że zaburczało jej w brzuchu. Prawie zaczęła się ślinić.

– Nie wiedziałam, że jadacie ryby – powiedziała.

– Często się.

Nie dała się długo prosić. Chwyciła patyk i zatopiła zęby w rybie. Dopiero po trzech kęsach przyszło jej do głowy, by go zapytać, czy też ma ochotę. Potrząsnął głową.

Hirka nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadła coś tak pysznego. Ogryzła rybę do samych ości. Kolail wbił szpony w te resztki. Po chwili zmieniły się w coś, co chyba najbardziej przypominało kłaczek sierści.

Jak to możliwe, że należała do tego ludu? Czy naprawdę w jej żyłach płynęła ta sama krew, co w tych istotach, które tak bardzo się od niej różniły? Byli tacy doskonali, a równocześnie okrutni. I... nieustraszeni. Ona bała się przez całe życie.

– No to ile masz...

– Powiedz mi – przerwał jej – które z nas próbujesz zabić. Mnie czy siebie?

– Możesz zginać za to, że z kimś porozmawiasz?

– Nie udawaj głupiej, to do ciebie nie pasuje.

Miał rację. Świetnie wiedziała, o co mu chodzi. Był upadłym. Nie miała pojęcia, co to oznacza, ale wystarczająco jasno dano jej do zrozumienia, że nie powinna się z nim przyjaźnić. Zdecydowała się na szczerość i bezpośredniość.

– Wczoraj wieczorem miałam okazję skazać cię na śmierć. To chyba coś o tym mówi.

– Jeśli czekasz na to, że ci podziękuję, to długo będziesz musiała tutaj siedzieć.

– Jeśli myślisz, że oczekuję podziękowania za to, że kogoś nie skazałam na śmierć, to znaczy, że ty sam za długo siedzisz na tym mrozie.

Podchwycił jej spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Zgniotła w palcach śnieg. Pozbyła się rybiego tłuszczu.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś, kiedy chciała cię ukarać?

Znów cicho zarechotał. Pokręcił głową, jakby to pytanie było idiotyczne. Odpowiedział dopiero po chwili:

– Bo kiedy Glimau rzucił się do ucieczki, i tak było już po mnie.

Glimau...

Hirce ścisnął się żołądek. Mężczyzna, którego zabił Kolail, przestał być obcą postacią leżącą w śniegu. Miał imię. Z ogniska strzeliły iskry.

– Dlaczego? – spytała.

Kolail zerknął w stronę namiotów.

– Mogłem nie strzelić i za to zginąć – wyszeptał. – Mogłem spróbować go złapać i zginąć, gdyby mi się nie powiodło. Albo mogłem strzelić i być może przeżyć. Co ty byś zrobiła?

– Chybiłabym?

Spojrzał na nią. W jego oczach odbijał się żółty blask płomieni. Odwróciła wzrok. Wiedziała, że ta odpowiedź przyszła jej zbyt łatwo. Zbyt pewnie. Prawda była taka, że nie wiedziała, co by zrobiła. Poczowała, że musi to naprawić. Powiedzieć coś, by wiedział, że to rozumie. Że nie jest głupia.

– Wiem, że nie chodzi o to, że strzeliłeś w moją stronę. Chodzi tylko o to, żeby pokazać pozostałym, że jestem taka jak *ona*. Tego właśnie chciała.

Ta myśl była brutalna. Hirka zagryzła wargę. Skerri chciała, żeby skazała go na śmierć, by pokazać, że jest stanowcza. Zastraszyć pozostałych. Bo Hirka jest, jaka jest.

– Ale tak nigdy nie będzie – podjęła. – Nie wyglądam tak jak ona. Jak wy. Jestem...

– Mała. – Kolail oparł łokcie na kolanach. Wydawał się zbyt wielki, był tak blisko. Jego przedramiona owinięte były wytartym futrem. – Jesteś mała. Powolna. Słaba. Łatwo marzniesz. Przez cały dzień musisz pić. Nic dziwnego, że już się o ciebie zakładają. Tyla postawiła dwa krążki, że nie dotrwasz do końca podróży, i prawdę mówiąc, tak by było dla ciebie najlepiej. Każdy idiota widzi, że daleko ci do Dreyri. Że nie przypominasz nikogo z domu Modrasme.

Hirka wpatrywała się w niego. Nie uśmiechał się, ale coś w jego ustach zdradzało, że go to bawi. To ją ogrzało bardziej niż ognisko.

– Nie wydaje ci się, że jesteś trochę zbyt szczery? – spytała. – Biorąc pod uwagę, że mnie proszono, żebym wymyśliła dla ciebie stosowną karę?

Znów zarechotał. Zatrzęsła się grzywa szarych włosów.

– Jakbyś niby kogoś w życiu ukarała.

Hirka poczuła, że jej uśmiech blednie. Powróciło wspomnienie Mickego. Dźgnęła go nożem w zaułku przy kościele. Ciepła krew na zimnych palcach.

Kolail na nią spojrzał.

– Czyli jednak? To był wypadek?

Potrząsnęła głową. Szczelniej otuliła się wełnianym kocem. Zabiła, i to nie był żaden

wypadek. Bała się wtedy. Owszem, była zdesperowana. Mimo wszystko... W głębi serca wiedziała, że ten nóż nie przypadkiem znalazł drogę pod jego żebra.

Kolail wzruszył ramionami.

– No to będę nowym karbem na kijku. I tak już skazałaś mnie na śmierć. Jeśli uważasz, że ona pozwoli ci się od tego wykręcić, to jesteś głupsza, niż na to wyglądasz.

– I to ci nie przeszkadza? Że chciała cię zabić bez powodu?

– Prędzej czy później znalazłaby jakiś powód. Cokolwiek zrobisz, i tak króliki zdychają.

Hirka odwróciła się do niego. Wydawało jej się, że się przesłyszała.

– Króliki? A co mają do tego króliki?

– To takie... jak to się po waszemu nazywa? Powiedzonko?

– Macie takie powiedzonko, że króliki zdychają?

Pokiwał głową. Hirka wstała.

– To najgłupsze powiedzonko, jakie w życiu słyszałam.

Znów wzruszył ramionami.

Podciągnęła wyżej koc, żeby go nie przydeptać.

– Dzięki za jedzenie – powiedziała.

– Nie było dla ciebie.

Wiedziała, że to kłamstwo. Gdyby chciał, mógł zjeść tę rybę na surowo. Szponami. Nie miał żadnego powodu, by ją piec nad ogniskiem. Zrobił to tylko ze względu na nią.

Odwróciła się, żeby odejść.

– Niedługo świat stanie na głowie – odezwał się za jej plecami. – Teraz już tu jesteś, nasza wielka nadzieja, droga do Evny. Więc pozwól, że cię zapytam... Jaki masz plan?

Hirka udała, że nie słyszy. Szczelniej owinęła się kocem i powlokła do namiotu.

Jaki masz plan?

Takie niewinne pytanie. A jednak ze wszystkiego, co słyszała w ostatnich dniach, to było najbardziej przerażające.



PĘKNIĘCIA

Stracili pół dnia, bo zawaliła się droga, ale teraz, według Skerri, byli o dzień od Ginnungad.

Hirka miotała się między uczuciem ulgi a paniką. Ulgi, bo przemarzła do szpiku kości i tęskniła za ciepłym łóżkiem. Paniką, bo nic nie wskazywało na to, że powinna się cieszyć na spotkanie z mieszkańcami tego miasta. Nawet z własną rodziną.

Po rozmowie z Kolailem poczuła, że jest taka jak Naiell. Fałszywy widzący. Co sobie myśleli? Jaką nadzieję mogła im przynieść? Czy sama w ogóle wierzyła, że może im pomóc?

Pochyliła głowę, idąc pod wiatr. Spojrzała w dół, na lód. Od dłuższego czasu szli po zamarznętej rzece. Wiła się jak wąż dnem wąwozu. Na początku wrażenie było trochę upiorne, ale przyzwyczaiła się już do spoglądania w ciemnoniebieską głębię. Pod jej stopami we wszystkie strony biegły pęknięcia. Bąbelki powietrza uwięzione w lodzie przypominały chmury. Niektóre tuż pod powierzchnią, inne głęboko w dole. To było tak, jakby szła po niebie.

Po obu stronach rzeki piętrzyły się pionowe urwiska. Można było iść tylko naprzód. Ale wydawało się, że jest tu dość bezpiecznie. Wszędzie wokół otaczał ją niedostępny krajobraz. Zimny i opustoszały. Zaczynała rozumieć, dlaczego martwo urodzeni zawsze noszą ze sobą kijek.

Oni zwolniła, żeby Hirka mogła się z nią zrównać. Uczona rzadko zostawiała ją w spokoju. Z każdym dniem wydawała się coraz bardziej spięta. I bardziej wymagająca. Zmuszała Hirkę do nauki. Do powtórek. Jej niepokój był zaraźliwy. Hirka się domyślała, że Skerri wywiera na Oni silną presję.

I ci, którzy czekają w Ginnungad.

– Rozumiesz już różnicę, prawda? Między różnymi słowami, które oznaczają „ja”? Mówisz *ozá* do wszystkich, którzy są od ciebie niżsi rangą. Na przykład do mnie. Ale używasz *óz*, kiedy to ty sama jesteś najniższą rangą.

Hirka zaśmiała się cicho.

– No to zakładam, że óz mi wystarczy...

Oczy Oni się rozszerzyły.

– Nie, nie! Wręcz przeciwnie. Nie słuchałaś, co ci tłumaczyłam. Jesteś Hirką, córką Graala, syna Rauna z...

– Tak, wiem. Z domu Modrasme.

Język był skomplikowany, ale zdawał się poruszać coś głęboko w niej. Dźwięki przychodziły jej naturalnie i potrafiła odgadnąć znaczenie wielu słów. Zupełnie jakby czekał w niej uśpiony od chwili, gdy się urodziła.

Podniosła wzrok. Niebo zaczynało ciemnieć. Niedługo pojawi się zorza polarna. Zielonkawa i dzika. Kawałek dalej przeciągle zaskrzypiał lód. Pozostali nie zwrócili na to uwagi.

– Oni, dlaczego nie idziemy połączeni liną?

– Niby po co mielibyśmy to robić?

Hirka tupnęła w lód, by pokazać, o co jej chodzi. Wydawało jej się idiotyczne, że musi wyjaśniać coś tak prostego.

– Na wypadek gdyby coś się stało, no wiesz... Jest nas siedmioro. Gdybyś wpadła pod lód, pozostali mogliby cię wyciągnąć.

Na policzkach Oni pojawiły się dołeczki, ale się nie uśmiechnęła. Hirka zauważyła, że pojawiają się również, kiedy jest poirytowana.

– Lina oznaczałaby strach, że coś się stanie. Oznaczałaby, że sądzisz, że nie poradzisz sobie sama. Że potrzebujesz pomocy.

Hirka nie odpowiedziała. Przekonała się już, że Umpiri wielu rzeczy nie potrzebują. Na przykład broni. Jedyńm, który otwarcie nosił broń, był Kolail. Podejrzewała, że również Hungl i Tyla mają noże, ale ani razu ich nie widziała. Narzędzi też nie. Gdyby Umpiri jedli tak jak ludzie czy ætlingowie, łyżki też by pewnie nie używali. To by przecież oznaczało, że nie są w stanie sami włożyć sobie jedzenia do ust.

– A co z tym? – Uniosła kijek. – Czy to nie pokazuje mojego strachu przed tym, że przysypie mnie lawina?

Oni się zawahała, ale tylko na moment.

– To coś innego. To pokazuje, że wiesz, że może przysypać cię lawina, i mimo wszystko tam idziesz.

Hirka z rezygnacją pokręciła głową. Oni miała prawie czterysta lat. To było niepojęte. Czy takim się staje ten, kto może żyć wiecznie? Niezdolnym czegokolwiek się bać? Kogoś potrzebować?

Oni wykonała ręką gest, by zwrócić na siebie jej uwagę. W Ym jego odpowiednikiem byłoby szturchnięcie łokciem.

– Spójrz...

Zbliżali się do zamarzniętego wodospadu. Staczał się po skalnej ścianie jak lawina błękitnych kryształów. Skerri i Grid przystanęli na czele i o czymś rozmawiali. Zsunęli plecaki. Zamierzali tu rozbić obóz na noc. Na lodzie, z wodospadem nad głowami.

Hirka zaklęła w duchu. Żałowała, że skrytykowała położenie pierwszego obozu. Zsunęła worek z pleców i odpięła zrolowany namiot. Na wąskim paśmie śniegu u podnóża skały znalazła miejsce, które od biedy się nadawało, i go rozwinęła. Ten namiot był jej jedynym azylem. Płachta oddzielająca ją od pozostałych, to wszystko. Ale to wystarczało, żeby mogła być sobą. Zwinąć się w kłębek i nie bać się pokazać, co czuje. Już nie mogła się doczekać, kiedy go rozbije.

Pozostali rozstawili namioty tuż obok. Hungl i Kolail przynieśli wiązki podpałki ze znajdującego się trochę wyżej osuwiska. Będzie z tego niewielkie ognisko. Gdyby nie wiedziała, pomyślałaby, że to ze względu na nią. Pewnie chcieli mieć tylko coś gorącego do picia.

Hirka zerknęła na namiot. Pragnęła natychmiast do niego wpełznąć, ale głód zwyciężył.

Wyciągnęła nóż i wyszła dalej na lód. Uklękła i zaczęła go rozłupywać. Hungl i Tyla zerkali na nią ukradkiem z brzegu rzeki. Usiedli przy ognisku. Hirka odwróciła się do nich plecami i łupała dalej.

– Co ty wyrabiasz? – usłyszała za plecami głos Kolaila.

– Będę łowić ryby – odparła.

– Zdajesz sobie sprawę, że zanim skończysz, znów będzie jasno?

Odsunęła na bok garść skruszonego lodu. Łupała dalej. Wciąż wyczuwała obecność Kolaila. Stał tuż za nią. W końcu uklękł obok. Wyciągnął nóż, znacznie większy od tego, który sama trzymała, i też zaczął łupać. Hirka ukryła uśmiech.

Nagle zamarł w pół ruchu. Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał. Zerwał się na nogi. Hirka się odwróciła. Ona też coś usłyszała. Głuchy pomruk.

Wstała. Coś się poruszało na skraju urwiska, przy wodospadzie. Zwierzę? Oberwała się ogromna masa kamieni i lodu. Spadając, kruszyła się na mniejsze części. Runęła w dół na namioty.

Hirka krzyknęła. Poczowała, że pękają jej usta. Rzuciła się biegiem w stronę obozowiska, ale coś szarpnęło ją do tyłu. Kolail przyciągnął ją do siebie. Przytrzymał w żelaznym uścisku. Krzyczał do pozostałych tak, że aż bolały ją uszy. Słowa, których nie rozumiała.

Spróbowała się wyrwać.

– Oni zginą! Oni zginą! – Usłyszała wołanie Skerri. Pogłos odbił się od skalnych ścian.

Pozostali biegli w ich stronę. Potężna lawina uderzyła o ziemię. Ekspłodowała chmurą śniegu i lodu. Niepojęta siła. Hirka stała niczym sparalizowana, patrząc, jak znikają dwa

namioty. Ognisko rozsypało się na wszystkie strony.

I wtedy trzasnął lód. Upiorny trzask przesuwający się w górę rzeki. Poczwała, że uginają się pod nią kolana.

– Biegnij! – Kolail pchnął ją do przodu.

Hirka zaczęła biec. W stronę brzegu. Płonącego namiotu. W stronę Hungla i Tyli.

Skerri biegła jej naprzeciw. Czarne warkocze powiewały wokół głowy. Wyciągnęła rękę. Chwyciła Hirkę. Szpony wpiły się w jej przedramię. Pociągnęła ją dalej. Hirka się potknęła. Usłyszała rozchodzące się pod nią trzaski. Grunt usunął jej się spod nóg. Świat się zakołysał. Lód się załamał.

Kolail!

Odwróciła się. Był za nimi, ale dzieliła ich szczelina w lodzie. Otoczyła ich. Kra, na której stał, zaczęła się poruszać. W każdej chwili mogła się przewrócić. Był za ciężki!

– Kolail! – Hirka się wyrwała. Upuściła nóż. Runęła do przodu na lód. Zakołysał się pod nią. Za jej plecami krzyczała Skerri. Złapała ją za nogę.

– On jest upadłym!

Hirka zrzuciła but. Czołgała się dalej. Upadły... Bezsensowne słowa. Po omacku szukała noża. Chwyciła go. Wbiła go w lód i się przytrzymała.

Gdzie jest Kolail? Widziała tylko kołyszące się kry. Niektóre zderzały się ze sobą i piętrzyły jak góry. Wokół nich pędził wartki czarny nurt.

Z wody wysunął się kijek. Kolail! Topi się!

Hirka jedną ręką uczepliła się noża, drugą chwyciła kijek. Z wody wynurzyła się ręka. Złapała ją. Jego ciężar pociągnął ją za sobą. Kra, na której leżała, zaczęła się przechylać. Lodowata woda była coraz bliżej.

Hirka krzyknęła. Poczwała, że znów ktoś ją złapał za nogę. Pociągnął do tyłu. Szorowała podbródkiem o lód. Kolail wczepił się w nią. A może to ona go trzymała? Nie wiedziała. Ich dłonie skuł ze sobą lód. Już nic nie czuła. Ktoś włókł ją za nogi. Między ogień i lód. Płonący namiot łopotał na wietrze.

Kolail się wyszarpnął. Pełził dalej jak odurzony niedźwiedź.

Ktoś postawił Hirkę na nogi. Spojrzała w twarz Skerri. W obraz furii. Jej oczy były teraz równie czarne jak usta. Skerri nią potrząsnęła. Hirka nie poczuła żadnego bólu, tylko ruch. Kompletnie zdrętwiała.

– On jest upadłym! Mordercą! Ty jesteś Dreyri! Najmłodszą z domu Modrasme! W twoich żyłach płynie krew Graala, a ty ryzykujesz życie *dla niego*?! Masz w ogóle pojęcie, o ile więcej jesteś warta od upadłego? Odpowiedz mi! Rozumiesz, kim jesteś?! – Wskazała na niby-kołczan, który przesunął jej się na pierś. – Mogłam to zgubić! Rozumiesz?!

Hirka wpatrywała się w podniszczony skórzany futerał. Teraz pojęła, co to jest. Kruczy szkielet. Oczywiście. Taki jak ten, który miał Graal, jedyny sposób, by do niego dotrzeć.

Mróz nie był już taki straszny. Zrobiło jej się niemal przyjemnie. Wiedziała jednak, co to oznacza. To nie był dobry znak.

Rozejrzała się. Chaos zmiądzzonego lodu. Była robakiem, który zagubił się w misce soli. Hungl, Tyla, Oni, Grid... wszyscy żyli. Wszyscy.

Kolail podźwignął się chwiejnie. Objął się ramionami. Znow się osunął i pozostał na kolanach.

Hirka podpełzła do płonącego namiotu. Ciepło...

Rzuciła się w stronę płomieni. Gdyby mogła, weszłaby w nie. Pozwoliłaby, żeby spaliły ją żywcem. Oni zaczęła ją rozbierać. Hirka chciała krzyczeć, protestować, ale wiedziała, że tak musi się stać. W mokrym ubraniu umarłaby w mgnieniu oka. Słyszała szczęk własnych zębów. Oni naciągnęła na nią suche odzienie. Hirka nie czuła własnych rąk. Okryto ją kocem. Leżała plecami do ognia. Przed nią stała Skerri i wrzeszczała na Kolaila. Czarne usta otwierały się i zamykały w zwolnionym tempie, jak we śnie.

– *Iss ghené woykhail!*

Jej warkocze powiewały w tę i z powrotem, gdy wymachiwała rękoma. Czy kiedy się zamarza, czas staje w miejscu? Spojrzenie Hirki padło na kijek. Mieli rację. W ten sposób łatwiej cię było odnaleźć. Nie tylko pod lawiną. Przyciągnęła go do siebie. Ścisnęła w zgięciu łokcia. Jeśli przeżyje, już nigdy go nie wypuści.

Kolail jakby nie zwracał uwagi na furię Skerri. Wpatrywał się w Hirkę. Szare włosy przymarzły mu do głowy. Skóra posiniała. Wykrzywił usta w bezradnym grymasie. Domyśliła się, że to ma być coś w rodzaju uśmiechu.

– I co ci mówiłem? – odezwał się ochryple. – Króliki zdychają.



BALANSUJĄC NA KRAWĘDZI

Garm Darkdaggar spojrzał na drogę wiodącą do domu. Wiła się w świetle niemal stu pochodni. Wiatr szarpał ich płomienie. Ciągłe nadjeżdżały kolejne powozy. Podkowy koni stuknęły o kamienne płyty. Otwierały się drzwi. Wsiadali goście. Członkowie Rady. Szlachta. Kupcy. Biurokraci. Przyjaciele. I realistycznie na to patrząc, niejeden wróg. A Garm Darkdaggar zdecydowanie był realistą.

Próbował nie zwracać uwagi na to, kto przyjeżdża. Będzie, jak będzie. Najważniejsze było to, kto *nie przybył*.

Śmiech i rozmowy na dole stały się głośniejsze. Dopił wino z kielicha i odstawił go na biurko. Przesunął dłońmi po lśniącym drewnie. To biurko nabrało innego znaczenia, gdy Rime wtargnął do komnaty. Kiedyś było dla niego jak kotwica. Dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Teraz stało się kpiną. Meblem, którego się uczeplił. Przerażony jak wieprz prowadzony na rzeź.

Sądził, że jest już za stary na takie rzeczy. Zbyt... praktyczny. Był kimś, kto szuka rozwiązań. Skończył z zaciskaniem pięści. Ze strachem. Stanął jednak przed Ciemnym Cieniem. Młodym, rozwścieczonym mężczyzną. Poczul stal na ciele. To było coś zupełnie innego.

To przeżycie było nieskończenie dalekie od wszystkiego, czego w życiu doświadczył. Takie niepohamowane. Dzikość i szaleństwo. I przez cały czas w głowie przewijała mu się myśl, że tak się po prostu nie wolno zachowywać.

Ale dla Rimego An-Elderina to nic nie znaczyło.

Darkdaggar podniósł wzrok. Pochodnie odbijały się w ramach na ścianie. Mapy. Krainy, miasta i regiony. Teren był czymś, co świetnie rozumiał. Nie istniało nic piękniejszego niż mapa. Mapy pokazywały świat dokładnie takim, jaki był. Tak było od zawsze. Wszystko na swoim miejscu. Kraj zbudowany na prawie. A jeśli istniało coś, co dobrze znał, to właśnie prawo. Co robić, kiedy młodzi mężczyźni udają, że nie istnieje? Gdy roszczą sobie prawo do młodzieńczej brawury? Co robić, kiedy przychodzą? Kiedy to, co istnieje od zawsze, nie jest dla nich dość dobre?

Darkdaggar zrobił to, co musiał. Zgodził się na pojedynek. I uczynił to w przekonaniu, że zginie. Rime An-Elderin miał wiele wad, ale potrafił walczyć. To, że Svarteld postanowił walczyć za Darkdaggara, było jak dar życia. Ostatnia deska ratunku. Ale nawet Svarteld nie był w stanie pokonać chłopaka, którego sam wyszkolił. Gdyby później Rime nie zaginął bez śladu, Darkdaggar by tu dziś nie siedział.

Niewiele brakowało, by stracił wszystko. Miejsce w Radzie. Dom. Rodzinę. Wolność. Rzeczywistość była tak krucha, że jeden oddech mógł wystarczyć, by ją zburzyć. Kto by pomyślał...

Podszedł do jednej z map Mannfalli i spróbował poprawić ją na ścianie. Nic nie wskórał. Problem stanowiła rama. Musiała być trochę krzywa. Zamówi nową. Najlepiej skupić się na tym, co potrafi załatwić. Widzący świadkiem, że wiele jest rzeczy, nad którymi nie ma kontroli.

Udało mu się zachować miejsce w Radzie, ale nastały burzliwe czasy. Nic nie było pewne. Nic nie znajdowało się na swoim miejscu. Czy istnieje coś gorszego?

Potrzebował tego wieczoru. Musiał pozyskać przyjaciół. Ugruntować własną pozycję i przekonanie o szaleństwie Rimego. Czas pokaże, czy mu się to uda.

Ktoś uchylił drzwi.

– Garm? – Elisa wsunęła głowę do komnaty. Podeszła do niego, świetnie zdając sobie sprawę, jak wspaniale się prezentuje. Jej suknia mieniła się błękitem. Podkreślała błękit jej oczu.

Co by bez niej począł? Ta kobieta była jak opoka. Dobrze wybrał sobie żonę.

Pogłaskała go po rzadkich włosach.

– Przybyli Tyrme i Freid.

Objął ją w pasie i ruszył z nią na dół, do gości. Gdy tylko zeszli ze schodów, przykuł wszystkie spojrzenia. Brzęknęły unoszone kielichy, zaszeleścił jedwab. Miał przyjaciół. Miał Elisę. Miał córki. Lojalnych służących. Jeśli dobrze rozegra swoje karty, wciąż będzie to wszystko posiadał, kiedy ten wieczór się skończy.

Darkdaggar przeszedł na koniec sali i wspiął się na podwyższenie, na którym później mieli występować tancerze. Nadeszła najważniejsza chwila w jego życiu. Tu i teraz.

– Przyjaciele! – Ucieszyła go siła własnego głosu. Gwar ucichł. – Przyjaciele, muszę powiedzieć kilka słów, choć dziś wieczorem żadne nie przychodzą mi do głowy. Zaniemówiłem. Jestem wam z całego serca wdzięczny za wasze poparcie w tych trudnych chwilach.

Przerwały mu gwałtowne brawa. Odczekał, aż ucichną, i podjął:

– Muszę być z wami szczerzy. Tak niewiele brakowało, bym wszystko stracił. Przez niepohamowaną młodzieńczą furię. Przez szaleństwo. Przez Rimego An-Elderina. Że też

zagroził memu życiu przyjaciel rodziny... Wnuk Ilume...

Ze wszystkich stron dobiegły pomruki wyrażające poparcie. Przywołał na twarz smutną minę.

– Nie dziwi mnie, że Kruczy Dwór próbował go zabić. To, że być może w końcu im się udało, również nie jest zaskoczeniem, jakkolwiek bolesne by to dla nas było. Pewnie nigdy się nie dowiem, dlaczego uwierzył, że brałem w tym udział. Tak, rzucałem mu wyzwania na posiedzeniach Rady, bo takie jest przecież nasze zadanie. Rzucać sobie nawzajem wyzwania. Ale nigdy nie próbowałem go zabić. – Przerwał na chwilę. Odczekał, aż jego słowa do nich dotrą. – Nigdy nie próbowałem zabić Rimego An-Elderina. Powiedziałem to mojej drogiej Elisie. Wiecie, co mi odparła? Odparła: „Wiem o tym”. Zapytałem ją, skąd ta pewność. Skąd może to wiedzieć. – Spojrzał na Elisę. – Co mi odpowiedziałaś, najdroższa?

Jego żona nieśmiało pokręciła głową, tak jak wcześniej uzgodnili. Rozległy się okrzyki zachęty i w końcu ustąpiła. Odparła cicho z miejsca w pierwszym rzędzie:

– Odpowiedziałam: bo by ci się udało.

– Bo by ci się udało! – powtórzył donośnym głosem Darkdaggar.

Goście wybuchnęli śmiechem. Rozległy się brawa. Potwierdzenie zaufania. Potwierdzenie sukcesu.

Uśmiechnął się.

– Ona dobrze mnie zna. Tak, gdybym spróbował go zabić, udałoby mi się. – Nadał twarzy poważny wyraz. Odczekał, aż śmiechy ucichną. – Przyjaciele, możemy się z tego tylko śmiać. Wszyscy jednak wiemy, że znaleźliśmy się w obliczu tragedii. Rime An-Elderin zaginął. Poczyniono znaczne wysiłki, żeby go odnaleźć. Żeby poznać odpowiedzi. Musimy jednak pogodzić się z tym, że już nie żyje. Brat jego ojca i rodzina wyjechali. Dom Ilume stoi pusty. „Śpiący smok” umarł. I jest to szczególnie tragiczne dla nas, którzy służyliśmy w Radzie razem z Rimem i widzieliśmy, jaki stał się pod koniec. Patrzyliśmy, jak coraz głębiej popada w szaleństwo. W manię prześladowczą. Ślepi. Martwo urodzeni. Inne światy... – Dotknął palcami znaku Rady na czole. Na chwilę zamknął oczy, jakby to wszystko sprawiało mu ból. To nie było trudne. Tragedia nie była kłamstwem. Znów się wyprostował. – Ale nie możemy obwiniać szaleńca. Nieżyjącego. Możemy jedynie zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby naprawić błędy. A dziś przekazałem całoroczne dochody na pierwszy w Mannfalli dom opieki dla umysłowo chorych.

Na sali rozległo się pełne uznania westchnienie.

Przy drzwiach wyciągał szyję niezgrabny mężczyzna. To był Kunte. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Cokolwiek miał do powiedzenia, najwyraźniej było to pilne.

Darkdaggar przyjął kielich z rąk Elisy i uniósł go w toaście.

– Za rodzinę i przyjaciół!

– Za rodzinę i przyjaciół – podjęli wszyscy. Klaskali, kiedy schodził z podwyższenia.

Z sąsiedniej komnaty rozległy się dźwięki harfy. Goście ruszyli w tamtą stronę.

Darkdaggar przeprosił i podszedł do Kuntego.

– Czy to może poczekać?

Kunte pokręcił przecząco głową. Darkdaggar zaprowadził go na górę, do gabinetu.

Ledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, Kunte wyrzucił z siebie:

– On żyje! Widziałem go!

Nie musiał mówić kogo.

Darkdaggar wpatrywał się w biurko. Dokument leżący na szczycie sterty miał podwinięty róg. Przyglądał go kciukiem, ale papier znów się podwinął. Westchnął.

Kuntemu musiało się przywidzieć.

– Gdzie?

– U handlarza herbaty przy ulicy Daukatt. W zaułkach nad rzeką.

– Jesteś pewien?

Kunte nie odpowiedział. Darkdaggar zbył machnięciem ręki własne pytanie.

– Oczywiście, że jesteś pewien. Co jeszcze wiemy?

– Prawdopodobnie był też u Jarladina, ale nie mamy pewności. Widzieliśmy jakiś cień na dachu. Światło mogło nas zmylić.

Darkdaggar znów przyglądał narożnik arkusza. Papier ponownie się zawinął.

– A więc... Wrócił, ale się ukrywa. Musimy zakładać, że się nie ujawni. Chyba że sytuacja stanie się... dramatyczna. Ale to jest problem. Poważny problem.

– Chcesz, żebym... coś z tym zrobił, fadri?

Darkdaggar spojrzał na niego.

– Co masz na myśli?

Kunte przecesał palcami długie, trochę przetłuszczone włosy.

– Czy chcesz, żebym się zajął tym problemem?

Darkdaggar udał, że to pytanie go zszokowało.

– Absolutnie nie, Kunte! Widzący uchowaj! Nie jesteśmy dzikusami. Gdybym był zabójcą, już dawno udałbym się do Kruczego Dworu.

Kunte wyraźnie się odprężył i uśmiechnął z zakłopotaniem. Darkdaggar zdusił śmiech. Kunte przeciwko Ciemnemu Cieniowi? Ta walka szybko by się skończyła. To był jeden z powodów, dla których nie posłużył się Kuntem w Kruczym Dworze. Może *powinien* był to zrobić? Zamiast tego skorzystał z usług nieudolnego pośrednika, który na domiar wszystkiego wygadał, kto za tym stoi. I to na dodatek temu, który miał wykonać zadanie! Czy nieudolność nie ma żadnych granic?

Darkdaggar położył rękę na ramieniu Kuntego. Uważał, by nie dotknąć jego włosów.

– Stokrotne dzięki, Kunte. Jesteś dobrym, lojalnym przyjacielem. Bardzo to sobie cenię.

Proszę cię tylko, by to wszystko zostało między nami.

– Oczywiście. Będziemy mieli oczy otwarte. Dowiemy się, dokąd się uda.

– Och, jestem prawie pewny, dokąd się uda.

Darkdaggar otworzył drzwi.

– Jeszcze jedno, fadri Garmie... Wydaje mi się, że coś z nim jest nie tak.

– Mogłem ci to powiedzieć już dawno temu. Ale co masz na myśli?

Kunte się zawahał.

– Nie ma... no cóż, nie ma ogona. Już nie.

Darkdaggar zmarszczył czoło.

– Nie ma ogona?

– Nie. Coś się musiało stać. Może stracił go w walce?

Chwila zrozumienia była piękna jak punkt na mapie. Darkdaggar się uśmiechnął.

Odciał go. Poszedł za nią.

– Pewnie nigdy się tego nie dowiemy – odparł i odesłał Kuntego, żeby móc się spokojnie zastanowić. Rime An-Elderin.

Gdzie byłeś, Rime?

I Jarladin... A zatem wie, że Rime wrócił. I zataił to przed Radą. Co oznacza, że żadnemu z nich nie ufa. A może już się sprzymierzył z którymś z pozostałych? Może z Eir?

Darkdaggar potarł usta. Nienawidził, gdy okoliczności zmuszały go do działania. Z natury był spokojny. Cierpliwy. Staranny. W pośpiechu popełniało się błędy. Teraz jednak musiał działać. Szybciej, niżby sobie tego życzył.

Wziął do ręki uparty arkusz papieru i zgniótł go w kulkę. Nie mógł pozwolić, by to wszystko go przytłoczyło. To były *dobre* wieści. Teraz przynajmniej wiedział, na czym stoi, i mógł odpowiednio wszystko zaplanować. Rime An-Elderin udawał, że nie żyje. Okryty hańbą syn wielkiego rodu. I tak musiało pozostać.

Darkdaggar schował kulkę papieru do kieszeni i wrócił na dół, do swoich gości. Ich myśli zaprzętały teraz inne sprawy. Nie dało się kupić za pieniądze lepszej rozrywki niż ta, jaką im zapewnił na dzisiejszy wieczór. Tancerka. Darkdaggar prosił o coś gustownego. Dostał coś zupełnie innego. Była skąpo odziana. Jej taniec był nieprzyzwoity. Balansował na cienkiej linii między kunsztem a wulgarnością. Między czymś godnym szacunku a czymś, czego nikt nie powinien robić przy świadkach.

Było z nią dwoje innych tancerzy, dziewczyna i chłopak. Żadne z nich nie dorosło do Rytuału, ale tańczyli tak, jakby robili to przez całe swoje młode życie.

Kiedy skończyli, wybuchły brawa, które nie ustawały, póki tancerze nie opuścili

rezydencji.

Gdy wieczór dobiegł końca, a goście się rozjechali, Darkdaggar znalazł na krześle pod schodami pomarańczowy szal. Tkanina była przezroczysta i lśniąca. I małą karteczkę z zapisanym jednym tylko słowem:

Damayanti.



NOWY MISTRZ

Księżyc wisiał nisko nad górami jak czerwone półkole.

Rime zbliżał się do Gniazda Ślepych tą samą ścieżką, co zwykle. Zastanawiał się, czy nie wybrać innej drogi, ale co by to miało dać? I tak nie dotarłby do obozu niepostrzeżenie. I choć ciało podpowiadało mu co innego, nic nie powinno mu grozić. Nie był banitą. Nie został oficjalnie uznany za zmarłego. Nie odsunięto go nawet formalnie jako powiernika kruka. Po prostu przez jakiś czas go nie było.

Pozostawało tylko pytanie, czy Ciemne Cienie będą się na to zapatrywać w ten sam sposób. Nie był w Gnieździe Ślepych od śmierci Svartelda. Czy uznają go za mordercę? Za zdrajcę? Może Darkdaggar już ich pozyskał?

Drzewa stały w ciemności białe od szronu. Tyle razy je już mijał. Gniazdo Ślepych było jedynym miejscem, gdzie czuł się jak w domu. Czy to wciąż jest jego dom?

Wątkował w głowie, co powinien powiedzieć, ale to nie miało żadnego sensu. I tak wszystko zależało od Ciemnych Cieni. Ilu z nich uwierzyło w kłamstwa Darkdaggara? Ilu zakładało, że już nie żyje? Albo że oszalał?

Może jednak był szalony. Był w innym świecie. W świecie, którego nie rozumiał. Odciał sobie ogon. Zabił własnego mistrza. Poddał się dziełu ślepych. Nosił w gardle dziób, który uczynił z niego niewolnika martwo urodzonego. I jako jedyny zdawał sobie sprawę z nadciągającej wojny światów.

Nie dało się zaprzeczyć, że to wszystko brzmiało bardzo niepokojąco.

Szaleniec.

To, że stracił władzę, najmniej go dręczyło. I tak nigdy nie pragnął zasiadać w Radzie. Chciał jedynie zmiany. Tylko jakiej?

Dotarł do wiszącego mostu i przystanął. Cienka warstwa śniegu odbijała blask księżyca, sprawiając, że most był lepiej niż zwykle widoczny w ciemności. Roziskrzona ścieżka przez noc. Przypomniawszy sobie postać Launhuga skulonego na tym moście. Półżywego z powodu odniesionych ran i pełnego pogardy do samego siebie, bo zawiódł w Kruczym Dworze. Jak wyglądałby świat, gdyby Launhugowi się wtedy udało? Gdyby Hirki nie było

na tym dachu i Eirik zostałby ugodzony nożem w kark? Jak wyglądałby świat, gdyby Kruczy Dwór nie stanowił już zagrożenia?

Rzeź...

Tylko Kruczy Dwór miał dość siły, by oprzeć się Mannfalli. Bez niego krainy zawarłyby nowe sojusze. Rzuciłyby się do walki. Wszyscy przeciw wszystkim. Lepiej jednak jest mieć dwóch silnych przeciwników niż karczmę pełną mężczyzn, z których każdemu się wydaje, że może wygrać.

Rime wszedł na most. Zakołysał się pod jego stopami. W ciemności po drugiej stronie dostrzegł jakiś ruch i wiedział, że go zauważono. Nie było już odwrotu. Ściągnął kaptur. Chciał, by go rozpoznali. Nie zamierzał się ukrywać.

Przeszedł na drugą stronę i zagłębił się między drzewa. Tworzyły sklepienie nad ścieżką aż do samego obozu. Kiedy zobaczył latarnie, serce ścisnęło mu się z tęsknoty. Ciepłe, migoczące światła. Po jednym przed każdą chatą.

Dom.

Pozwolili mu przyjść. To było zawsze coś. Ale to dopiero początek. Przytłoczył go ciężar wszystkiego, co się wydarzyło, i wszystkiego, co miało nadejść. Zaraz stanie przed swoimi i będzie musiał ich przekonać, że nie oszalał.

Było późno. Pora herbaty. Tak jak każdego wieczoru. Znad dachów chat porzucanych między drzewami unosił się dym. Na dziedzińcu płonęły trzy ogniska. Ciemne Cienie siedziały na długich ławach i nigdy tak dobrze nie zasługiwały na swoje miano.

Zamarły zwykle tak ożywione rozmowy. Zapomniano o herbacie. O wieczery. Niektórzy siedzieli z miskami zupy na kolanach. Inni się zerwali. Milcząco, z wyczekiwaniem śledzili go wzrokiem.

Podszedł do najbliższego ogniska. Tam, gdzie dostrzegł twarze, które znał najlepiej. Mężczyzn, którzy już kiedyś dla niego walczyli. Usłyszał, że ktoś szepcze jego imię. Ten dźwięk rozprzestrzenił się po obozie jak tchnienie wiatru w listowiu. Jeden z Ciemnych Cieni wstał i wyszedł mu na spotkanie. Oczy w kształcie migdałów, szeroka twarz.

Jeme.

Jeme był z nim na Bromfjell. Jeme wiedział. Był przyjacielem. Musiał nim być.

Przystanął przed Rimem. Wpatrywał się w niego, jakby zobaczył ducha.

– Mówili, że... – Nie był w stanie dokończyć.

Rime kiwnął głową. Cóż można było powiedzieć?

Jeme położył mu rękę na karku. Przyciągnął Rimego do siebie. Jego ciepły policzek dotknął zziębniętej twarzy Rimego.

– Rime... Zawsze się spóźniasz na wieczery. Zawsze. – Poklepał go po ramieniu.

Rime poczuł, że ściska mu się gardło. Dom. Wciąż ma dom.

Jeme puścił go i cofnął się o krok. Coś załśniło w jego oczach. Rime też poczuł pieczenie pod powiekami. Obok Jemego zjawiała się jakaś postać. Kobieta.

– Rime An-Elderin... – powiedziała z krzywym uśmiechem.

Wyciągnął rękę. Ujęła ją i mocno uścisnęła.

– Jestem Orja. Dla ciebie mistrzyni Orja.

Rime sądził, że udało mu się ukryć zaskoczenie. Wśród Ciemnych Cieni było niewiele kobiet. I jeszcze mniej mistrzyń.

– Zajęłam miejsce Svartelda, ale się nie obawiaj. Nie zamierzam ci pozwolić, byś wpadł w nawyk zabijania swoich przełożonych. – Wróciła do ogniska. Zdążył się tam zrobić tłok. Zbiegli się wszyscy z obozu. Orja znów na niego spojrzała. – Żyjesz. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że to oznacza nadciągającą burzę, prawda?

Kiwnął głową.

– Najgorszą z możliwych. Świat jeszcze takiej nie widział – odparł.



Odziani na czarno wojownicy siedzieli przy ognisku. Niektórzy poszli się położyć, bo wiedzieli, że nastanie nowy dzień, a nie dano by im dłużej pospać, nawet gdyby Rime powrócił ze Slokny. Większość jednak została. Nie mieli ochoty udawać, że to wieczór jak każdy inny.

Z początku śmiali się nerwowo i żartowali, co by mogli zrobić z tymi bramami. Z kruczymi pierścieniami.

Niektórzy twierdzili, że zostawiliby wszystko, co posiadają, w nadziei, że dotrą do lepszego miejsca. Inni używaliby bram jako drogi ucieczki i wiedliby zbójeckie życie, łupiąc bogactwa we wszystkich możliwych światach. Torgar zdobył sobie uznanie pomysłem, żeby w każdym świecie mieć kobietę, ale ktoś mu wytknął, że w żadnym świecie nie ma takiej, która by go chciała.

Jak można się było spodziewać, potem nastąpiły spekulacje, ile są warci ætlingowie w porównaniu z mężczyznami z innych światów.

Śmiali się, a dzbanki z herbatą wędrowały z rąk do rąk.

Rime cieszył się, że żaden z nich się nie domyśla, czego było trzeba, żeby odbyć taką podróż. Oczywiście pytali, ale odparł, że nie wie. O zbyt wielu rzeczach nie mógł powiedzieć. W jego wyjaśnieniach były ogromne luki i znaczące spojrzenia Orji uświadomiły mu, że to zauważyła.

Mógł im opowiedzieć o Graalu, martwo urodzonym, który nie spocznie, dopóki krainy Ym nie znajdą się w rękach nábyrnów. I o Hirce, która teraz jest u nich i daremnie

próbuję ich powstrzymać. Ale o dziobie nigdy nie będzie mógł opowiedzieć.

Odciął sobie ogon, by przeżyć w świecie ludzi, i nie było sensu tego ukrywać. Twierdzili, że to się może źle odbić na jego poczuciu równowagi. Sveinn, który zawsze udawał przesadnie skromnego, oświadczył, że teraz *nawet on* mógłby pokonać Rimego. Wybuchły śmiechy. Ktoś inny powiedział, że teraz *wszyscy* mogliby go pokonać. Śmiali się coraz głośniejsze.

Ale potem sobie przypomnieli, kogo ostatnio pokonał Rime. Przypomnieli sobie, że niezwyciężony Svarteld nie siedzi już przy ognisku i nigdy przy nim nie zasiądzie. Niektórzy odwrócili wzrok. Zmienili temat.

Kiedy nadarzyła się okazja, Rime dyskretnie się wycofał. Zamienił z Orją zaledwie parę słów, ale usłyszał aż nadto. Nie zamierzała go poprzeć.

Ruszył wąską ścieżką do jednej z sal treningowych. Stała na porośniętym lasem górskim szczycie. Wystający poza ściany spadzisty dach pokryty był śniegiem. Osłaniał wąską platformę wokół budynku. Ileż to razy musiał obejść na rękach całą salę? Ile razy musiał zaczynać od nowa, bo się przewrócił?

Rime wszedł na platformę i rozsunął drzwi. Do środka wtargnął wiatr, jakby puste pomieszczenie go wsysało. Naniósł drobnego śniegu, który osiadł na porysowanej podłodze. Niektóre z tych rys miały setki lat. Inne były tak nowe, że mogły je pozostawić miecze Rimego. Jego i Svartelda.

Zamknął oczy. Niemal słyszał stal uderzającą o stal. Kij o kij. Czuł woń potu. Usłyszał głos Svartelda, jak echo ze Slokny.

Jeśli kiedyś z tobą przegram, zrobię to z miłości.

Poczuł, że wykrzywia usta. Musiał stłumić grymas. Żal, na który sobie nie pozwalał.

Co powinien był zrobić? Co byłoby słuszne? Pozwolić, żeby Darkdaggerowi uszło to płazem? Nie rzucać mu wyzwania? I kiedy zobaczył, że ma walczyć ze Svarteldem, powinien był odrzucić miecz? Pozwolić się zabić?

Odgłos kroków na ścieżce. Ktoś się zbliżał.

Orja.

Przystanęła w drzwiach i oparła ręce na biodrach.

– Nie zgadzasz się – powiedziała.

Rime nie o tym myślał, ale nie wyprowadzał jej z błędu. Podeszła o krok bliżej.

– Jesteśmy Ciemnymi Cieniami, Rime. Nie możemy wybierać, komu będziemy posłuszni ani kto będzie nam wydawał rozkazy. Czy się z tym zgadzamy czy nie, jesteśmy narzędziem Rady. Bez względu na to, z kogo ta Rada się składa.

Rime odwrócił się do niej. Miała gdzieś między trzydzieści a czterdzieści zim. Związane rzemieniem ciemne włosy opadały na jej kark.

– Wychowałem się w Eisvaldrze – odparł. – Wiem, jak to działa.

– To dlaczego próbujesz robić coś innego? – podniosła głos. – Spodziewałeś się, że co powiemy?

– Dokonałaś już wyboru – odparł Rime.

Podeszła do niego szybkim krokiem. Wskazała na niego palcem, jakby się jej sprzeciwił.

– Rime An-Elderinie, dostałeś już więcej, niż mogłeś sobie wymarzyć. Jesteś poszukiwany, ale nie wyjęty spod prawa, szukają cię, ale wciąż jako zaginionego. Dlatego możesz tutaj zostać. Nikt cię nie wyda. W obozie są setki mężczyzn, którzy byliby gotowi oddać za ciebie prawicę. Niektórzy również życie.

– To odwzajemnione. – Znów odwrócił się do niej plecami.

Westchnęła.

– Nie sądzisz, że pomogłabym ci, gdybym potrafiła? Przypuszczam, że jak najbardziej masz rację, Rime. Wszystko, co słyszałam, wskazuje na to, że Darkdaggar chciał się ciebie pozbyć. On i pozostali. Ale nie możemy działać na podstawie tego, co myślimy. Jeśli stanie się tak, jak mówisz, że krainy rzucają się sobie do gardeł, a martwo urodzeni zaczną się wdzierać do Ym... no cóż, wtedy również będziemy wykonywać rozkazy Rady.

Spojrzał na nią. Nie wiedział, z kim dyskutuje, ale na pewno nie z nim. Oparła się o ścianę. Skrzyżowała ręce na piersi.

– Słyszałam o tobie, Rime. Wiele razy. Mogłeś sprawić, by większość z tych mężczyzn zdradziła swoich przywódców. Dla ciebie byliby gotowi zabić Garma Darkdaggara nawet we śnie. Słyszałeś, co mówili. Gdybyś zechciał, przeszliby z tobą przez bramy do nieznanych światów.

– Ale ty nie?

Znów westchnęła.

– Wiesz, dlaczego mianowali mnie mistrzynią po śmierci Svartelda? Nie byłam tutaj następną w kolejności. Byłam następną na Haglefjell, ale przenieśli mnie tutaj. Dlaczego?

Rimemu przychodziło do głowy wiele powodów, ale żadnego nie wypowiedział na głos.

– Bo liczyli się z tym, że mężczyźni zaczną protestować – ciągnęła Orja. – Jaki z tego wniosek?

Rime się uśmiechnął.

– Że Rada nie zna własnych wojowników.

Orja również się uśmiechnęła.

– Właśnie. Nigdy nie spędzili nawet jednego dnia z Ciemnymi Cieniami. Nie rozumieją, że tylko dyscyplina pomaga nam przetrwać. Protestować? My nie protestujemy, wykonujemy rozkazy! Byłam dla nich narzędziem. Sposobem na odzyskanie zaufania Ciemnych Cieni. Plan był prosty: wyznaczają mnie, poczekają na protesty, a potem okażą

dobrą wolę, zastępując mnie kimś innym. Wciąż jestem tu tylko dlatego, że Rada nic z tego nie rozumie. Wiem o tym, a mimo wszystko chcę wykonywać ich rozkazy. To im podlegamy. A więc pozostaje nam tylko jedno: poczekamy i zobaczymy.

– Jak długo?

To pytanie chyba ją zaskoczyło. Wykorzystał tę okazję.

– Dopóki nie złamię prawa? – podjął. – Nie, przecież sami mogą je ustanawiać... Dopóki nie zaczną krzywdzić niewinnych? Nie, przecież nie nam oceniać czyjąś winę, to ich zadanie... Dopóki nie każą ci się rzucić na własny miecz? Czemu nie? Na tym polega twoja praca. Jeśli tego zażyczy sobie Rada, to właśnie zrobisz. – Rime słyszał gniew w swoich słowach, ale musiał wypowiedzieć je do końca. – Kiedy mówisz, że poczekamy i zobaczymy, to zupełnie nic nie znaczy. Już oddałaś swoje serce Radzie. Oddałaś swoją wolność, by coś znaczyć. Masz takie prawo, ale nie podawaj fałszywych powodów. Nie mów, że powodem jest *twoje* moralne stanowisko, bo moralność dawno pozostawiłaś innym.

Podeszła do drzwi.

– Gdyby tak było, Rime, kruk z wieścią o twoim powrocie byłby już w drodze. Na razie szanuję to, że nie chcesz zostać znaleziony.

– A co zrobicie, gdy Rada rozkaże wam zaatakować Kruczy Dwór z powodu próby morderstwa, za którą stał Darkdaggar? Kruczy Dwór to nasz jedyny sojusznik w walce z martwo urodzonymi.

Wyszła, ale zdążył jeszcze usłyszeć jej odpowiedź.

– Poczekamy i zobaczymy.



UPADŁY

Hirka nie musiała spoglądać w stronę wejścia, by wiedzieć, że przyszła Skerri. Powiedział jej to odgłos szarpniętej skórzanej płachty.

Martwo urodzona stanęła przed nią. Hirka nie podniosła wzroku. Wpatrywała się w jej buty. Czarna skóra, zasznurowana na krzyż rzemieniami aż do kolan. Nagie uda. Błede i silne. Każdy mięsień jak wyciosany w kamieniu. Imponująca. Obca. Napawająca lękiem.

– Musimy ruszać dalej – rzuciła.

Hirka wsłuchiwała się w swoje ciało. Znów było jej ciepło dzięki rozgrzanym kamieniom z ogniska, którymi obłożyła ją Oni.

Usiadła. Sztywno i niechętnie. Skerri rzuciła jej zawiniątko. Ubrania, które wcześniej miała na sobie. Zdążyły już wyschnąć. Hirka otworzyła usta, żeby zapytać, co z Kolailem, powstrzymała się jednak. Nie było sensu niepotrzebnie jej drażnić. Oni już wspominała, że nic mu się nie stało. Że wszyscy wyszli z tego cało.

– Grid znalazł ślady – powiedziała Skerri. – Jest niemal pewny, że przyszli z miasta.

– Czyje ślady? – Hirka zsunęła z ramion koc i zaczęła naciągać sweter.

– A jak myślisz? – warknęła Skerri. Potem westchnęła ciężko. Do Hirki dotarło, że naprawdę próbuje zapanować nad sobą. – Posłuchaj mnie teraz, Hirko – powiedziała, kucając przed nią. – Musisz wiedzieć, że zwykle tak nie robimy. Jesteśmy Umpiri. Nie ukrywamy się. Nie zastawiamy pułapek. Zrobili to najpodlejsi z podłych. To obrzydliwe i żalosne! Bali się nawet pokazać własne twarze.

Hirka zamarła w pół ruchu, szarpiąc się z rękawem.

– Ktoś to zrobił umyślnie?

Białe oczy Skerri się zwęziły.

– Upadli. Albo bezdomni. Zapewniam cię.

– Dlaczego?

– Bo nikt inny nie zrobiłby czegoś takiego!

– Pytałam o... dlaczego nas zaatakowali?

Skerri odwróciła wzrok. Paciorki na jej warkoczach zagrzechotały jak grad. Zupełnie

jakby rządziła nawet pogodą. Zabębniła szponami o kolano. Szukała właściwych słów.

– Musisz wiedzieć, że Dreysil nie jest taki, jak kiedyś – odparła po chwili. – Evna utrzymywała wśród nas jedność. Po wojnie wszystko się zmieniło. Szkoda, że nie przybyłaś do Ginnungad, kiedy miasto było w pełni blasku. Teraz mamy wielu upadłych. Wielu podłych. I to, co kiedyś nie było trudne, stało się...

– Trudne?

Skerri znów utkwiała w niej spojrzenie.

– Wcześniej każdy wiedział, gdzie jest jego miejsce. To, co zrobiłaś na rzece, jeszcze bardziej wszystko skomplikuje.

Hirkę przeszył dreszcz. Jakby te słowa wzięły ją pod włos. Wciągnęła spodnie. Kolana były sztywne, nie chciały się wyprostować.

Wiedziała lepiej niż inni, gdzie jest jej miejsce w hierarchii. Była dzieckiem Odyna. Zgnilizną. Człkiem. Przez całe życie była najniższą z najniższych. Równie dobrze mogłaby być Kolailem. Tonącą. Umierającą. Niewartą tego, by podać jej rękę. Wzbierał w niej gniew, ale wiedziała, że musi go stłumić.

– Jak zostaje się upadłym?

– Zabijając – odparła Skerri. – Przelewając krew swoich. Rozumiesz?

Hirka spojrzała na nią.

– Rozumiem. Stając się bronią, którą ktoś wykorzysta, by zabijać.

Skerri odwróciła wzrok. Potem dotarło do niej znaczenie tych słów i jej oczy pociemniały. Wstała.

– Nigdy nie będziesz jedną z nas! Jesteś z domu Modrasme, a wciąż mówisz jak zwierzę. Zniżasz się do upadłych...

Hirka powstała.

– *Ozá kwo kwessere dósem!* – warknęła do martwo urodzonej.

Ja również jestem upadłą.

Te słowa pojawiły się gdzieś w głębi niej. Nie miała pojęcia, że je zna, ale czuła, że są prawdą. Wiedziała, że to ją będzie wiele kosztowało, ale nie potrafiła się powstrzymać. I co gorsza, użyła wyższej formy słowa „ja”. Jakby zwracała się do kogoś niższego rangą.

Skerri patrzyła na nią z góry. Była co najmniej o głowę wyższa. Coś w jej twarzy się zmieniło. Nie wyrażała już tylko wściekłości. Hirka byłaby gotowa przysiąc, że dostrzega w jej rysach ślady niepewności. Co zrobi taka kobieta jak Skerri, jeśli poczuje strach?

Lepiej się o tym nie przekonywać. Hirka zmieniła temat.

– Byłam świadkiem upadku Widzącego, Skerri. Wiem, że zmiana ma swoją cenę. Że dzieją się wtedy różne nieprzewidziane rzeczy. Lud to lud, bez względu na to, jakiej rasy, a strach istnieje wszędzie. Również u Umpiri. Czy gdyby nie strach, zaatakowano by nas

dzisiaj?

– Zaatakowano nas, bo Kolail zdradził – odparła Skerri.

Ku uldze Hirki napięcie trochę zelżało.

– Wątpię w to – odparła.

– Wydaje ci się, że nas znasz? Myślisz, że rozumiesz Umpiri? On jest tutaj jedynym upadłym.

Hirka zadrżała, nie tylko z zimna. Wyprostowała się. Musiała podtrzymywać kruche pozory.

– Ile osób wie, że mam przybyć?

– Wszyscy w naszym domu i nasi najbliżsi przyjaciele z najwyższych domów. Nikt poza tym.

– Nikt poza tym? – Hirka zaśmiała się krótko. – Jeśli wie więcej niż trzech, to już żadna tajemnica.

Wystraszyła się, że znów obraziła Skerri, ale martwo urodzona podniosła wzrok. Zapatrzyła się w pustkę.

– Masz rację. To musiał być jakiś ród rywalizujący z naszym. Ktoś, kto nie chce, żebyśmy znów byli wielcy.

Przez chwilę Hirce było jej żal. Poczowała ciężar rzeczywistości, w której żyła ślepa. Hierarchia. Zasady. Nieustanny wymóg, by być uosobieniem siły. I ona miała się stać jedną z nich?

Skerri znów na nią spojrzała. Zacisnęła czarne usta.

– Lepiej, żebyś była tego warta – rzuciła i wyszła z namiotu.

Hirka znów została sama. Chwyliła słupek podtrzymujący namiot, żeby nie ugięły się pod nią kolana.



GINNUNGAD

Odległość do Ginnungad można było mierzyć zmieniającym się nastrojem. Był jak zaciskający się węzeł. Hungl, Tyla i Kolail szli w milczeniu, zamykając pochód. Skerri rozmawiała cicho z Gridem. Wyjątek oczywiście stanowiła Oni, która była coraz bardziej rozgorączkowana.

– ...I nie wolno ci kaszleć, wzdychać ani ziewać. Przynajmniej dopóki jesteś w towarzystwie kogoś wyższego rangą. No i oczywiście nie pokazuj palcem! Nie odwracaj się też plecami bez pozwolenia i pod żadnym pozorem nie pokazuj kłów.

– Kłów? – Hirka uniosła brew.

– Och... – Na twarzy Oni pojawił się lekki rumieniec. – Ale trochę je przecież widać – dodała, jakby musiała się wytłumaczyć ze swoich słów.

Hirka przesunęła językiem po zębach. Nie stały się ani trochę ostrzejsze.

– A co z jedzeniem? Pewnie jeść też mi nie wolno przy innych?

Oni zasłoniła usta dłonią.

– Wielkie nieba... Oby pierwsi się nad tobą zlitowali, gdybyś tylko spróbowała! Jedynym wyjątkiem są uczyty. Kiedy jedzenie zostało podane, a ciebie zaproszono.

Coś, co się zdarza dwa razy w roku. Po prostu wspaniale...

Hirka zagryzła wargę. Na początku sądziła, że te wszystkie reguły są tylko wymysłem. Sposobem, by poddać ją próbie. Żartem. Gdyby Oni nie była taka spięta, wciąż by tak sądziła.

Zbliżali się do kamiennego mostu. Wygięty jak łuk, łączył brzegi głębokiej przepaści. Mimo to nie miał poręczy. Nic, czego można by się przytrzymać.

Skerri i Grid wkroczyli na niego bez wahania. Oni również. Hirka zmusiła się, by zrobić to samo. Utkwiła wzrok w cokole sterczącym po drugiej stronie. Kiedy już przeszli, zobaczyła, że to idealnie sześciokątna kolumna, na której obwodzie wyryto drobne runy. Sięgała jej do ramion. Kiedyś musiała być wyższa, bo u góry była pęknięta.

Dogoniła Oni.

– Czy to drogowskaz?

Oni spojrzała na cokół.

– W pewnym sensie. To stara droga do Ginnungad. Już nieużywana. Stał tutaj posąg. Przewoźnik. Umpiri przechodząc, wrzucali monety do jego łodzi.

– Na szczęście, i tak dalej?

– No cóż... Chyba raczej po to, żeby nie przytrafiło im się coś złego.

– Co się z nim stało?

– Wykonano go z evnoszkła – odparła Oni. – Zanim Evna zniknęła. Takie rzeczy są teraz bardzo wiele warte, więc go ukradziono. Ale jeśli chcesz go zobaczyć, mamy rysunki posągu.

Hirka obejrzała się na kamienny kikut.

– Co to jest evnoszkło?

Na napiętej twarzy Oni pojawiły się dołeczki. Działo się to za każdym razem, gdy docierało do niej, jak wielu rzeczy Hirka nie wie. Za każdym razem, gdy nowy temat wymagał obszernych wyjaśnień.

– Evnoszkło to kamień ukształtowany Evną. Rękoma. Najlepsi potrafili kształtować przyrodę na swoje podobieństwo. Stać się jednym z Evną i formować kamień. Niektórzy twierdzą, że również ogień i wodę, ale nie wiem... Nigdy nie widziałas splataczy kamienia?

Hirka potrząsnęła głową. Nie chciała jej przerywać. To było ważne. Właśnie takich rzeczy pragnęła się dowiedzieć. Nie dbała o nazwy domów ani o to, na kogo nie wolno jej pokazywać palcem. Ale Evna potrafiła kształtować świat, i to jak...

Tak jak drzewo Widzącego. Dzieło zniszczenia Naiella.

– Och, zaniemówisz z wrażenia, Hirko! Najstarsze budynki w Ginnungad mają całe ściany sprzed wojny. Kamień utkany we wzory, które uznałabyś za niewykonalne. Prawie cały dom Hod został zbudowany Evną. I budowano tak stare iglice. Ale większość uległa zniszczeniu. Skałę nagięto tak mocno, że gdy zniknęła Evna, już nic jej nie podtrzymało. Miasto zaczęło się walić. To było na kilkaset lat przed moim urodzeniem.

– Urodziłaś się po tym, jak zniknęła Evna? To znaczy, że nigdy jej nie czułaś? Nigdy nie mogłaś niczego ukształtować?

Oni utkwiała wzrok w ścieżce, którą szły.

– Nie zawsze trzeba coś poznać, by wiedzieć, że się za tym tęskni.

Hirka poczuła, że dotknęła czegoś zbyt osobistego. Że trafiła w jakiś czuły punkt. Spróbowała rozładować napięcie.

– I jak to się odbywało? Po prostu wskazywało się palcem i już... Hop! Stoi wieża?

Oni się uśmiechnęła.

– Czy cokolwiek bywa takie proste? – Splotła dłonie, a potem zaczęła powoli rozsuwać

palce. – Kształtowało się rzeczy. Jak glinę, rozumiesz? Możesz zapytać utalentowanych splataczy Evny, ja wiem tylko to, co przeczytałam. To oni stworzyli najpiękniejsze dzieła!

– O ile przy tym nie zginęli – rzucił Kolail.

Hirka się odwróciła. Nie zauważyła, kiedy się do nich podkradł.

– To oni ginęli?!

Wzruszył ramionami, jakby powiedział coś oczywistego.

– Na pęczki. Albo robili sobie krzywdę. Parzyli się, kiedy podchodzili zbyt blisko. Ranili się, kiedy tracili kontrolę nad krawędziami. Niektórym udało się nadzieć na własne dzieło. Evna oferuje fascynujące sposoby, żeby umrzeć.

Oni spojrzęła ze złością na Kolaila.

– On przesadza. Większość z nich...

– Opowiedz jej o Felkem – przerwał jej.

Hirka spojrzęła na Oni.

– Co się stało z Felkem?

Oni westchnęła.

– To było co najmniej tysiąc dwieście lat temu. Felke zaliczał się do najlepszych. Budował w Nifel most, który miał połączyć ze sobą dwa domy. Kamień za bardzo się rozgrzał, a powietrze było zbyt zimne, więc most runął pod jego stopami. Posypał się na budynki.

Kolail zrównał się z Hirką.

– Znaleźli go na jednym z dachów – powiedział. – Naszpikowanego odłamkami evnoszka. Było w nim więcej kamienia niż ciała. Króliki zdychają. Nie mówiłem ci? – Kolail je wyprzedził.

Hirka wpatrywała się w jego plecy. Ramiona okryte owczym futrem, tak szerokie, że na każdym z nich mogłaby usiąść. Zrobiło jej się niedobrze. Przypomniała sobie drzewo Widzącego. Szklisty kamień, kłębiący się jak atrament w wodzie. Sam jego widok doprowadzał Hlosniana do szaleństwa. Nigdy nie był w stanie stworzyć czegoś podobnego. I nic dziwnego, bo ukształtowały je siły, których nigdy nie mógłby opanować. Ale ślepi to potrafili.

Kiedyś Hirka stała ze ślepym w wodospadzie, niedaleko Kruczego Dworu. Widziała, jak rzeka zmienia się w pył. Tylko bogowie powinni mieć taką władzę. Nagły lęk ścisnął jej serce.

Bogowie... Na Dreysíl roilo się od bogów. A jeśli brak Evny był jedyną rzeczą, jaka trzymała ich w ryzach, do czego byliby zdolni, gdyby ją odzyskali? Czy naprawdę chciała im w tym pomóc?

Oni położyła dłoń na jej ramieniu. Hirka się wzdrygnęła.

– Poczekaj tutaj – powiedziała uczona i ruszyła w stronę Skerri i Grida, którzy zatrzymali się kawałek przed nimi.

Hirka podeszła do Kolaila.

– O czym znów muszą rozmawiać? W czym problem? – Lęk sprawił, że ogarnęła ją frustracja. Bała się tej chwili, odkąd przybyła do tego świata, a najgorsze było czekanie. Nie mogli mieć już tego z głowy i po prostu wejść do miasta?

– Dyskutują, którą wybrać drogę i jak niepostrzeżenie przeprowadzić cię przez miasto.

– Głos Kolaila przypominał jej Naiella. Ochryply jak u kruka, wydobywający się gdzieś z głębi gardła.

– Nie możemy wspólnie tego omówić? – Założyła ręce na piersi. Zauważyła, że nie jest już tak zimno.

– To są Dreyri. Oni nie dyskutują z innymi.

Miał rację. Jeszcze nie widziała, by Skerri pytała kogoś o zdanie albo o radę. Oprócz Grida, który najwyraźniej był tego godny. Ale jego również traktowała jak szczeniaka.

Kolail mówił cicho, świetnie zdając sobie sprawę, że w ogóle nie powinni rozmawiać.

– Najpierw muszą cię zaprowadzić do domu. Potem muszą coś z tobą zrobić. Zrobić z ciebie Dreyri. Jeśli im się uda, przypuszczam, że cię zaprowadzą do domu Hod. Do tego czasu będziesz tajemnicą. Nikt nie może cię zobaczyć ani poczuć twojego zapachu. Zostaniesz formalnie przedstawiona. Z wielkim szumem, jak się domyślam. – Brzmiało to tak, jakby nienawidził tego, o czym mówi, ale jakby równocześnie go to bawiło.

– No to się zakradnijmy! Zróbmy to ukradkiem.

– To są Dreyri. Oni...

– Przed nikim się nie chowają, wiem. Zaczynam już rozumieć, jak to działa.

Kolail zarechotał.

– No to może pożyczysz dłużej niż ja.

Hirka dźgnęła śnieg kijkiem. Dobrze wiedziała, co miał na myśli. Swoją karę. Tę, którą kazała jej obmyśleć Skerri.

Kolail splunął na śnieg.

– Będę zerem dla kruków, ona na nic innego się nie zgodzi. A ty się podporządkujesz.

Spojrzała na niego. Nagle poczuła ochotę, by walnąć pięścią w stalowoszarą kroplę na jego czole, tak żeby naprawdę to poczuł.

– A wyglądam jak ktoś, kto lubi się podporządkowywać?

Kolail nie odpowiedział.

Wróciła Oni. Skraj jej szaty był ciężki od mokrego śniegu.

– Wprowadzą cię od południowej strony. – Jej głos brzmiał niemal przeprasząco.

Kolail zaśmiał się cicho.

– Od południa? Naprawdę? No to wymyślili. Wątpię, żeby któreś z nich tam kiedykolwiek było.

Oni wydeła usta. Udała, że nie dosłyszała.

– Skerri nie chce natknąć się na Dreyri, zwłaszcza tych z wyższych domów. A więc musimy pójść inną drogą. Chodź.

Obeszli wzniesienie i ze wszystkich stron otworzyła się przed nimi przestrzeń. Lodowiec ciągnął się aż po horyzont, tak daleko, że nie było widać końca. Stapiał się z niebem. Biel na tle szarości.

W wielu miejscach był popękany. Hirka miała nadzieję, że to oznacza, iż nie będą się przez niego przeprawiać.

– Ginnungad – powiedziała Oni, wskazując głową na lodowiec.

Hirka osłoniła ręką oczy, ale nigdzie nie było widać miasta. Niczego, co choćby przypominało zabudowę.

– Gdzie?

– Niedługo zobaczysz – odparła Oni.

Ruszyli dalej nagim grzbietem wzgórza. Spod śniegu sterczały pożółkłe wrzosy. Hirka zaczęła zdawać sobie sprawę, że pęknięcia w lodowcu są o wiele większe, niż w pierwszej chwili sądziła. To była cała sieć szczelin, które przecinały lód jak żyły. W wielu miejscach unosił się z nich dym i nagle Hirce zaświtało, na co patrzy.

Przystanęła, sparaliżowana rozmiarami tego, co widzi. Przy każdej z tych rozpadlin Otchłań wyglądałaby jak rowek w ziemi. To były przepaście. Wrzynały się w lód i dalej, w czarną skałę. Hirka dostrzegła otwory w pionowych ścianach. Zabudowę. Dym. Latarnie. Schody.

– W lodzie... Miasto jest w lodzie...

– Niezupełnie – odparła Oni, z pozoru niewzruszona. – To skała pokryta grubą warstwą lodu. Wiele dróg i domów mieści się we wnętrzu skały, więc z powierzchni ich nie widać. Widzisz za to... – wskazała na jakieś miejsce w oddali – ...tam, gdzie lód jest bardziej błękitny, jest tylko sam lód. Stąd tego nie zobaczysz, ale miasto rozciąga się aż do morza.

Oni pociągnęła ją za sobą. Hirka wciąż się potykała. Trudno było oderwać od tego oczy. W dali na horyzoncie dostrzegła ciemne zagłębienie w lodzie. Krawędź? Zamarznięty wodospad?

Niebo zaczynało ciemnieć i przypominała sobie, jak szybko zapada tu noc. Wkrótce nie będzie widzieć, dokąd idzie.

Skerri przystanęła. Pozostali uczynili to samo. Tak było zawsze. Oni zsunęła z pleców worek i wyjęła z niego szarą szatę, którą podała Hirce.

– Masz. Włóż to.

Hirka usłuchała. Nie trzeba jej było dwa razy prosić, żeby cieplej się ubrała. Podeszła do nich Skerri i naciągnęła Hirce kaptur na głowę.

– Nie zdejmuj tego, dopóki nie dotrzemy do domu. Zadbaj, żeby nikt nie zobaczył twojej twarzy. Ani dłoni. I od teraz nie odzywaj się ani słowem, rozumiesz?

Hirka potaknęła.

Kaptur miała nasunięty głęboko, widziała tylko ścieżkę przed sobą. Skerri poprowadziła ich w dolinę, gdzie łączyły się dwie drogi. Zanim zeszli na dół, zrobiło się ciemno.

Szli dalej drogą, bardziej zwartą grupką niż dotychczas.

Kawałek dalej w dolinie przed nimi wznosiła się skalna ściana. Czarna i masywna pięła się ku niebu. Hirka odrzuciła do tyłu głowę, by coś zobaczyć. Ściana była tak wysoka, że wydawała się kołysać.

Droga zniknęła w tunelu. W owalnym otworze w skale. Kiedy tam weszli, Hirka poczuła się jak owad. Połknięty przez ogromną, ciemną nicość. Ściany były gładkie jak czarne szkło. Jeśli coś stworzono za pomocą Evny, to właśnie to. Żadna istota nie byłaby w stanie wykuć czegoś takiego.

Potem napłynęły dźwięki. Echo czegoś po drugiej stronie. Przed nimi pojawił się kolejny otwór. Na jego końcu znajdowały się owalne szczęki. To było tak, jakby wędrowali przez gardło węża i zostali przez niego wypluci. Na ulicę.

Hirka ledwie zdołała stłumić cichy okrzyk. Ulica leżała na dnie wąwozu. Po obu stronach piętrzyły się czarne skały, tak wysokie, że spod kaptura nie widziała ich szczytu. Domy po prostu wykuto w skale. Drzwi, okna, balkony bez poręczy, schody... Drogi i mniejsze przejścia wiły się na różnych wysokościach, ginęły w skale i wychodziły z niej w innych miejscach. A najbardziej niesamowite wrażenie robiła liczba mostów. Było ich tak wiele, jakby ktoś próbował skleić ze sobą skalne ściany. Jakby posmarował je smołą, a potem oderwał od siebie, tak że zastygło między nimi mnóstwo lepkich, kleistych połączeń. Grubych i cienkich. Wysoko w górze i daleko w dole.

Nie miała pojęcia, czego właściwie się spodziewała. Może czegoś w rodzaju zasypanego śniegiem Kruczego Dworu? W każdym razie nie tego.

I było tutaj życie! Ślepi. Martwo urodzeni. Istoty, które się śmiały. Rozmawiały. Wołały coś do siebie. Siedziały przy stolikach i piły. Ciągnęły wózki. Niosły klatki z drobnym ptactwem i wiadra pełne ryb. Zawiniątka z ubraniami i narzędziami. Przynajmniej *niektórzy* używali tutaj narzędzi.

Codziennie czynności, tak znajome, że równie dobrze mogłaby być w Mannfalli. Znane zajęcia w obcym otoczeniu.

Kola il i Oni szli tuż obok niej, żeby nikogo nie potrąciła. Pachniało jedzeniem. Prawdziwym jedzeniem! A więc jedli tu nie tylko te obrzydliwe ciastka. Głód niemal

wygrał ze zmęczeniem.

Ktoś grał w oknie położonym trochę wyżej w skalnej ścianie. Głębokie dźwięki fletu. Tuż obok rozległy się odgłosy kołowrotka. Kosze przesuwają się po linie z jednej strony ulicy na drugą.

Hirka pomyślała o wszystkich tych rzeczach, które widziała, odkąd przeszła przez bramę. O Yorku. Londynie. Wenecji. Pomyślała o drzwiach, które same się otwierały. O pistolecie Stefana. O szklanej podłodze, którą roztrzaskali w muzeum. O rzeczach, których nigdy nie uznałaby za możliwe.

A jednak nic nie wydawało się tak obce, jak to tutaj. Może wynikało to z faktu, że wszyscy mieli białe oczy i szpony? A może ze świadomości, że wszyscy, których widziała, będą żyć tysiące lat?

Nagle poczuła się strasznie słaba. Nieskończenie zmęczona. Nie była już w stanie przetrwać tego, co widzi. Było tego zbyt wiele. Przez tyle dni brnęli przez zamarznięte pustkowia, a teraz to? Mijali stragany, gdzie, jak sądziła, sprzedawano herbatę, ale okazało się, że to tytoń. Obskurne jaskinie, gdzie w półmroku siedzieli ślepi i pili. Zobaczyła, jak Kolail kiwa głową jakiemś mężczyźnie, który stał pod jedną z takich karczm. Trzymał na smyczy wilka. Za jego plecami mignęły jej czerwone drzwi pod spróchniałą nadbudówką.

W wielu miejscach otwierały się nowe rozpadliny i ulice w skalnych ścianach. Nagle zrobiło się cieplej. Kolail ją szarpnął i pociągnął do tyłu; ledwie ją uchronił przed parą, która buchnęła ze szczeliny między dwoma straganami.

– Uważaj, gdzie idziesz.

Hirka nie miała siły odpowiedzieć. A w takim razie skąd miała ją wziąć na spotkanie z rodziną? Na tę myśl znów zrobiło jej się zimno. Była tutaj. W tym samym mieście co ojciec i matka Graala. Jej dziadkowie. Rodzina. Ugięły się pod nią kolana. Kolail złapał ją za ramię. Podtrzymał ją. Skręcili w bardziej zadbaną ulicę. Istoty nosiły tutaj lżejsze stroje.

Dreyri. Najwyższe domy.

Na końcu ulica się otworzyła. Przeszła w krater. Nie, krater to było niewłaściwe słowo. Nie istniało odpowiednie słowo, by to opisać. To był koniec świata. Otchłań biegnąca do środka ziemi. Ulica wychodziła ze skały głęboko w dole krateru, a mimo to nie było widać dna. Było zbyt ciemno. Tu również ulice wykuto w skale. Ulice i budynki. Dookoła. Tysiące latarni sprawiały, że ta ogromna dziura przypominała rozgwieżdżone niebo. To był środek miasta. Miejsce, gdzie zbiegały się wszystkie szczeliny. Wszystkie ulice.

Hirka zawsze dobrze się czuła na dużych wysokościach, ale teraz zakreśliło jej się w głowie. Poczowała się pusta. Wyczerpana.

– Dlaczego? – mruknęła. – Co to jest?

– Szaleństwo – odpowiedział Kolail.

Musiała zacząć się osuwać, bo ją podtrzymał i dalej już niósł na rękach. Skerri mu w tym nie przeszkadzała. Może dlatego, że ramiona upadłego były najlepszą możliwą kryjówką? Myśli zaczęły się Hirce wymykać i odpłynęła w nicość w jego ramionach.



KREW Z MOJEJ KRWI

Na zewnątrz fale jak oszalałe biły o brzeg. Prawie zapomniała już ten dźwięk.

Morze.

Gdzie ja jestem?

Hirka otworzyła oczy. Leżała na boku i wpatrywała się w ścianę. Była gdzieś zamknięta.

Przeszył ją zimny lęk. Oparła dłonie o ścianę. Zaskrzypiała, ale się nie ugięła. Pomieszczenie zaczęło się kołysać. Łódź?

Usiadła. To nie była klatka ani łódź. Siedziała na łóżku. To, co uznała za ścianę, było otaczającą ją wysoką krawędzią. Zupełnie jakby znajdowała się w czarnym plecionym koszu. Łóżko kołysało się w tę i z powrotem. Wisiało na linie sięgającej do sufitu.

Hirka potarła twarz. Poczuli się głupia.

Podpełzła do otworu na drugim końcu i opuściła stopy na chłodną kamienną posadzkę. Wstała. Szara szata owinęła się wokół niej podczas snu. Kto ją tutaj położył?

Pomieszczenie było wielkie. Czarne. Wykute w skale. Ściany zdawały się szorstkie i nierówne jak w jaskini, ale sufit i podłoga były gładkie i lśniące. Wyraźnie zamierzony kontrast. Popatrzyła pod nogi i ujrzała swoje odbicie. Jakby szła po ciemnej tafli jeziora.

Powinno tu być zimniej. Skąd brało się ciepło? Nie było tu żadnych palenisk. Żadnych płonących lampek. Białe światło wpadało przez przeszkloną ścianę. Składała się z wielu mniejszych szyb, lekko wychylonych na zewnątrz. Były ciemniejsze w narożnikach, zmatowione czymś, co przypominało popiół. Wrażenie było takie, jakby patrzyła oczami ptaka.

Podeszła i przyłożyła dłoń do szkła. Wtedy do niej dotarło, gdzie się znajduje. Spoglądała na krater. Był tak wielki, że aby obejść go dookoła, potrzebowałyby prawie całego dnia. Jego ściany opadały w głąb skały, podziurawione domami. Była na samej górze, przy krawędzi. Tuż pod lodem. W wielu miejscach szczeliny przebijały się przez lód, wrzynając się w skałę. Wąwozy. Ulice. Takie jak te, którymi szła poprzedniego wieczoru.

Ginnungad. Pierwsze miasto. Stolica ślepych.

Podmuchy wiatru smagały szyby śniegiem z lodowca. Z wyciem niosły się w dół krateru. To właśnie ten dźwięk ją obudził. Pomyślała, że to morze.

Ktoś zapukał. Hirka się zdrygnęła, bo nagle uświadomiła sobie dwie rzeczy. Miała poznać swoją rodzinę. I skazać kogoś na śmierć.

– Tak? – wydusiła z siebie.

Oni weszła przez rozsuwane drzwi, które niemal stapiały się ze ścianą. Teraz, gdy już doprowadziła się do porządku, wyglądała inaczej. Jej twarz otaczały kręcone, brązowe włosy. W rękach trzymała miskę z wywarem pachnącym rybą.

Dołeczki w jej policzkach się pogłębiły.

– Musisz nam wybaczyć, nie mieliśmy pojęcia, jak bardzo potrzebujesz ciepła i jedzenia.

Hirka odebrała z jej rąk miskę i natychmiast ją opróżniła. Oni wydawała się zakłopotana. Wtedy Hirka sobie przypomniała. Tutaj nie jada się przy innych. Zarumieniła się.

Oni wskazała na półki przy drzwiach.

– Tam znajdziesz ubrania. Rzeczy, które należały do Skerri. Oczywiście, dopóki nie zamówimy dla ciebie nowych.

Hirka wyobraziła sobie Skerri w obcisłej skórze z mnóstwem rzemieni i sprzączek. Pokręciła głową.

– Dziękuję, ale... mogę używać własnych.

Oni lekko wydeła usta.

– Siłę i urodę należy pokazywać. Możesz sama wybrać wśród rzeczy, które tam leżą. Łazienka jest tam. – Wskazała na przesuwane drzwi naprzeciw łóżka. Potem odwróciła się, żeby odejść.

– Oni, jak powstała ta dziura? – Hirka wskazała głową w stronę okna.

– Zawsze tutaj była, ale powiększyła się, gdy zaczęli kopać w poszukiwaniu Evny – odparła Oni. – Lepiej się pośpiesz, wszyscy na ciebie czekają. Jesteś najmłodszą w domu Modrasme i jeszcze nikt z nich cię nie widział.

Oni odeszła tą samą drogą, którą się zjawiała. Hirka rozsunęła drzwi łazienki. Zobaczyła schody, które opadały prosto do wody. Zagłębienie w podłodze było na tyle duże, by mogła się w nim wyciągnąć na leżąco. Woda była gorąca.

Dzięki wszystkim bogom!

Zrzuciła szatę i zapadła w błogostan. Jeśli to miała być ostatnia kąpiel w jej życiu, powinna to przynajmniej zrobić porządnie.



Hirka obciągnęła sweter, ale wciąż był za krótki. Nie chciał nawet zasłonić pępka. Wydziergano go bardzo luźno z połyskującej przędzy, co sprawiało, że przypominał bezużyteczną kolczugę. Co za beznadziejne ubranie. Musiała jednak zrobić, co w jej mocy, żeby się dopasować.

Poszła tam, skąd dobiegały głosy. Ściany korytarza pochylały się do wewnątrz jak na odwróconym do góry dnem statku. Na jego końcu znajdowała się podłużna sala. Po jednej stronie sklepienie otwierało się na pokrywę lodu, która rzucała zielonkawoniebieskie światło na grupę istot. Było ich tu zbyt wiele. Oni stała kawałek dalej, pod ścianą. Hirce zaparło dech w piersiach. Znow obciągnęła sweter. Przeczesała palcami włosy, choć wątpiła, żeby to mogło pomóc.

Rodzina. Jej rodzina. Więzy krwi.

Zobaczyli ją. Rozmowy ucichły. Zapadła taka cisza, że Hirka słyszała stukanie swoich butów o kamienną posadzkę. Wiatr smagający okna. Rzędy wypukłych szyb. Czy gdyby się przez nie rzuciła i runęła w dół krateru, uniknęłaby wszystkich tych spojrzeń? Bynajmniej... Sądząc po wietrze, to szkło mogło wiele znieść.

Bądź dumna. Nieustraszona. Bądź Dreyri.

Wyprostowała się i uniosła podbródek. Oni podeszła do niej i stanęła jak cień za jej plecami. Gotowa do pomocy. Żeby tłumaczyć. Wspierać ją. A przynajmniej Hirka miała taką nadzieję.

Wszyscy oni byli tacy obcy. Do Hirki dotarło, że jest sama w sali pełnej martwo urodzonych. Byli silni i zwierzęcy, ze szponami i mlecznobiałym spojrzeniem. Wciągnęła głęboko powietrze. Uświadomiła sobie, że drży.

Zbliżał się do niej mężczyzna. Był silny, nietrudno to było dostrzec przez obcisłą czarną koszulę. Miał krótko przystrzyżoną brodę i długie, nieprawdopodobnie czerwone włosy. Czerwone... Tak jak jej własne. Opadały mu na pierś. Hirka zacisnęła usta, żeby przestały drżeć.

Przystanął przed nią. Barczysty, ale szczupły w pasie. Podniosła wzrok. To milczenie wymagało czynu. Musiała coś powiedzieć. Nikt z pozostałych się nie odzywał. Wszyscy czekali na niego. Aż ją oceni. Aż ją odrzuci albo przyjmie.

Odwrócił się do pozostałych, wyrzucił ręce na boki.

– Haaaaa!

Hirka aż podskoczyła. To był na wpół śmiech, na wpół okrzyk. Odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się jeszcze raz.

– Haaaaaah!

Znow się do niej odwrócił. Powiedział coś, czego nie zrozumiała.

– Kiepsko włada umąni – wyjaśniła Skerri, krzyżując ręce na piersi.

Mężczyzna nie zwrócił na to uwagi.

– Ma moje włosy! – powiedział po ymsku. – Córka mojego syna.

– I oczy zwierzęcia – dodała Skerri.

Hirka żałowała, że nie wie, co takiego jej zrobiła. Oprócz tego, że przyniosła ze sobą serce, które Skerri z pewnością pragnęła własnoręcznie wyrwać.

– Ma moje włosy... – szepnął. Przeczesał je szponami. Hirka przycisnęła ręce do boków. Oparła się pokusie, żeby go dotknąć. – Patrzcie! – powiedział zduszonym głosem. – Patrzcie, jaka jest młoda! Spójrzcie tylko na nią!

Nagle chwycił ją w ramiona. Przycisnął jej twarz do twardej jak skała piersi. Poczula na głowie jego palce. Jego zarost kłuł ją w kark. Wciągnął w nozdrza jej zapach.

– Córka mojego syna. Krew z mojej krwi.

Odsunął się, ale jej nie puścił. Wpatrywał się w jej twarz.

– Jestem Raun – powiedział.

To imię wyryło się w jej sercu i zaczęło rosnać. Ledwie była w stanie oddychać.

– Jestem Hirka – odparła.

– Oczywiście. Oczywiście, że nią jesteś – powiedział, jakby właśnie oświadczyła, że jest boginią.

Tę chwilę zniszczył przenikliwy kobiecy śmiech.

– To coś? To mamy pokazać w domu Hod?



Dom Modrasme był siedmioosobową rodziną, nie licząc służby. Rudy Raun był serdeczny i piękny. Jego żona Uhere miała krótkie czarne włosy i lekko wysuniętą szczękę. To sprawiało, że zawsze wydawała się zła. Jakby ciągle zaciskała zęby. Raun i Uhere. Ojciec i matka Graala. Dziadkowie Hirki. Wiele razy to sobie powtarzała, ale wciąż wydawało jej się to nierzeczywiste.

W domu mieszkał też ojciec Uhere, Lug. Chudy mężczyzna z włosami, które opadały na twarz jak ciemna zasłona. Miał młodszą żonę, Cirrę. Ich córka nosiła imię Vana i mając dwieście dziewięćdziesiąt osiem lat, była najmłodsza w rodzinie. Oczywiście do chwili, gdy zjawiała się Hirka.

Vana siedziała rozparta na krześle wyściełanym skórami i nawijała wisiorek na palec. Miała kręcone brązowe włosy i pełne usta, które wydawały się zbyt duże.

Głową rodu była Modrasme. Przeżyła ponad trzy tysiące siedemset lat, ale na jej porcelanowej twarzy nie było ani jednej zmarszczki. Nawet nie spojrzała na nikogo z pozostałych. Siedziała tylko nieruchomo na krześle z wysokim oparciem i wpatrywała

się przed siebie. Srebrzyste włosy sięgały jej do pasa.

– Chcę ją zobaczyć – powiedziała w końcu.

Raun podprowadził do niej Hirkę. Była bliska tego, by przed nią klęknąć, ale się powstrzymała. Pochyliła się w stronę uniesionej dłoni Modrasme. Kobieta, od której imienia wywodziła się nazwa całego rodu, wydawała się znudzona. Może nie tyle zmęczona, ale jakby nic nie było w stanie jej zaimponować. Dotknęła chłodną dłonią policzka Hirki. Przyglądała jej się przez chwilę, a potem westchnęła i machnęła ręką, jakby chciała ich wszystkich przepędzić.

To wyraźnie rozbawiło Skerri i Vanę, które uśmiechnęły się do siebie. Hirka wciąż nie rozumiała, w jaki sposób Skerri należy do rodziny, zachowywała się jednak tak, jakby była w niej najważniejsza. Hirka usiłowała nadążyć za ich rozmowami, ale dotarło do niej, że otwarcie dyskutują o jej wadach. O języku. Oczach. Patykowatych rękach. O szponach, których braku zaczynała nienawidzić. Rozmawiały tak, jakby była nieobecna.

Oni wszystko jej tłumaczyła. Szeptala Hirce do ucha, pozornie nieświadoma, jak bardzo bolą ją te słowa.

Jak to się stało? Jak znalazła się w sytuacji, w której miała być czymś w rodzaju ratunku dla rodu martwo urodzonych? Byli jej obcy. Wiedli obce jej życie i zależało im na tym, co jej nie obchodziło. Nie dbała o domy ani o honor. Zależało jej tylko na jednym, na Ewnie. Ich wiedza była jedynym sposobem, żeby zrozumieć dziób.

Pochyliła głowę w stronę Oni.

– Powiedz, że muszę się spotkać z widzącym. Powiedz, że to ważne.

Oni potrząsnęła głową.

– Inne rzeczy są o wiele ważniejsze.

– Powiedz to – nalegała Hirka.

Oni przetłumaczyła jej słowa. Pozostali spojrzeli po sobie, jakby nie zrozumieli tej prośby. Vana uśmiechnęła się wyniośle. Wciąż nie podźwignęła się z krzesła. Z tego, co zdążyła zrozumieć Hirka, było to dziwne dla Dreyri zachowanie.

Odpowiedziała jej Uhere. Jej babka, która wyglądała na jakieś trzydzieści zim i zapewne była taka od bardzo dawna. Czarna grzywka opadła jej na czoło. Po twarzy przemknął wyraz troski. Nosila naszyjnik, który wydawał się tak napięty, jakby ją dusił.

– W tym, co teraz masz zrobić, nie pomoże ci żaden widzący. Zostało niewiele czasu. W domu Hod wiedzą, że przybyłaś, i wkrótce zażądają, żeby cię zobaczyć. Jeśli dopisze nam szczęście, do tego czasu będziesz w stanie sklecić kilka zdań w umõni. Jeśli dopisze nam jeszcze bardziej, będziesz potrafiła się poruszać i ubierać tak jak my. Do tej chwili nie ma miejsca na nic innego.

Hirka wbiła wzrok w podłogę.

Raun uniósł szponem jej podbródek.

– Nieistotne drobiazgi. Będzie gotowa. Jest z naszej krwi. Najmłodsza z naszej krwi. –

Hirka zauważyła, że Skerri i Vana zerknęły na siebie. – Jesteś najlepszą wieścią od czasu, gdy... – Raun nie dokończył zdania.

– Ale nie dla niego – rzuciła gładko Vana, wskazując głową na drugi koniec sali.

Łysy sługa, którego Hirka wcześniej nie widziała, wprowadził Kolaila. Upadły przystanął parę kroków od nich. Miał taki wyraz twarzy, jakby się nudził, a nie jakby zostało mu zaledwie kilka chwil życia.

Hirkę przeszył zimny dreszcz. Miała coś w rodzaju planu. Myśl, która jeszcze przed chwilą wydawała się całkiem niezła, teraz przeciekła jej przez palce jak drobny piasek.

– Keskolail! Chodź tutaj! – Raun przywołał go gestem.

Kolail usłuchał. Nie podchwycił spojrzenia Hirki.

– Skerri mówi, że wypuściłeś strzałę, która prawie ugodziła Dreyri. Czy to się zgadza?

Kolail kiwnął głową. Hirka rozdziawiła usta. Gdyby stała bliżej, kopnęłaby go. Nie mógł chociaż spróbować wyjaśnić?

– I zrobiłeś to przy słabej widoczności, zdając sobie sprawę z ryzyka?

Kolail znów kiwnął głową. Na zewnątrz musiało strasznie wiać, bo jego stalowoszare włosy sterczały na wszystkie strony. Hirka postąpiła o krok w stronę Rauna.

– Nie miał wyboru. Zrobił to, co mu kazano.

– Tak, bardzo chciałbym w to wierzyć – odparł Raun.

Skerri uśmiechnęła się krzywo.

Hirka czuła się jak sparaliżowana. Wściekłość i rozpacz zawrzały w niej, tworząc beużyteczną mieszankę. Z trudem zachowywała spokój, ale nie miała innego wyjścia. W chwili, gdy ulegnie emocjom, przegra.

Raun na nią spojrzał.

– Tu jest Dreysil. Wie, co zrobił. Zna zasady. Ale to ciebie znieważył. A więc jak brzmi twój wyrok, Hirko?

Odetchnęła głęboko, żeby uspokoić bicie serca.

– Trafił w cel. Mimo śnieżycy i dużej odległości – odparła. – To dowodzi, że nigdy mi nic nie groziło. Jest wyśmienitym strzelcem, a tam, skąd pochodzę, nie karze się nikogo za to, że jest dobry w tym, co robi.

Raun kiwnął głową i przeczesał palcami brodę, jakby się zastanawiał. Skerri jęknęła zrezygnowana. Otworzyła czarne usta, żeby coś powiedzieć. Hirka ciągnęła, by nie pozwolić jej wszystkiego zniszczyć:

– Ale rozumiem, że zasady są po to, by ich przestrzegać. A więc pomyślałam... – Na chwilę zamknęła oczy. Niepewność w niczym jej nie pomoże. Musiała to jasno wyrazić. –

Chcę, żeby za karę mi służył. Naucz mnie wszystkiego o życiu tutejszego ludu. Wszystkiego, co powinnam wiedzieć.

Raun skrzyżował ręce na piersi.

– Oni jest najlepszą nauczycielką, jaką mogłabyś sobie wymarzyć. Nie potrzebujesz nikogo innego.

Hirka lekko uniosła podbródek.

– Oni może mnie uczyć o życiu na szczycie. Ko... Keskolail może mnie uczyć o życiu na dnie. Tylko głupiec zignorowałby którąś z tych rzeczy.

Raun uniósł brwi.

– Upadły naraził twoje życie, a ty chcesz go ukarać, oszczędzając go?

Hirka wzruszyła ramionami.

– Z tego, co słyszałam, i tak wiele z tego życia nie miał. Czemu by go nie wykorzystać do czegoś pożytecznego?

Raun odrzucił do tyłu głowę.

– Haaaaaaa!

Jego śmiech obwieścił jej zwycięstwo. Starła się ukryć uśmiech. Wiedziała, że wygrała.

– A więc Keskolail – podjął Raun – przypuszczam, że z tym wyrokiem nie musimy się zwracać do Rady. Przyjmujesz go?

Kolail znów kiwnął głową. Odkąd tutaj przyszedł, nic innego nie robił.

– Dobrze! Będziesz przychodził, kiedy ona zechce, i robił to, co ci każe, dopóki nie raczy cię odesłać. Wciąż możesz podejmować się dorywczych prac, jeśli nie będzie cię potrzebować. A teraz możesz odejść.

Kolail zerknął na Hirkę. Ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Wiedziała, co usiłował powiedzieć. Była idiotką. Wygrała, ale sprzeciwiła się Skerri.

To będzie ją drogo kosztować. Bogowie raczą wiedzieć, jak drogo.



ŹRÓDŁO

Rime zapuścił się w Gniazdo Ślepych najdalej jak się dało, podążając ścieżkami i wiszącymi mostami Ciemnych Cieni, ale w połowie drogi do Kruczego Dworu one również się skończyły. Przedzierał się dalej przez góry, kierując się instynktem. Piętrzyły się wokół niego, pokryte śniegiem od nawietrznej strony. Teren zmieniał się tutaj wraz z porami roku. Tam, gdzie kiedyś biegła dobra droga, tym razem mogły czyhać śmiertelne pułapki. Trzeba było zachować czujność.

Mróz mniej dawał się we znaki niż poprzedniego dnia. Zbliżało się wiosenne zrównanie dnia z nocą i znaczna część śniegu stopniała. A przynajmniej dało się przez niego przedrzeć. Można z nim było negocjować.

W przeciwieństwie do Orji.

Nowa mistrzyni Ciemnych Cieni okazała się niewzruszona w swej lojalności wobec Rady. Nie mógł też za bardzo naciskać, bo mieszkał w obozie niemal z łaski. Liczył na to, że przybędzie do Kruczego Dworu, niosąc ratunek. Prowadząc armię Ciemnych Cieni. Przynosił jednak tylko złe wieści. Mobilizacja w Mannfalli. Zbliżająca się wojna. Nie wątpił jednak, że Eirik wie o tym od dawna.

Wódz Kruczego Dworu był przynajmniej jedynym w Ym, który może się ucieszyć, że Rime wciąż żyje. Razem znajdą jakieś rozwiązanie. Odróżnią przyjaciół od wrogów i utworzą sojusze, dzięki którym być może uda im się pokonać Darkdaggara i armię Mannfalli, a później odeprzeć potężniejszego wroga.

Eirik miał też poparcie swojego ludu. Będzie umiał mu doradzić, jak odzyskać Ciemne Cienie. Nagiać wolę Orji. To był najważniejszy element w tej grze. Bez Ciemnych Cieni nie było sensu próbować.

Niebo zaczęło szarzeć. Rime zwolnił kroku. Znał ten teren. Powróciło wspomnienie, sprawiając, że poczuł mrowienie w całym ciele.

Źródło.

Było w zagłębieniu przed nim. Przy brzegach stopniał śnieg. Z zielonej wody unosiła się para, a góry po drugiej stronie zdawały się falować.

Przystanął. Stado wron zerwało się do lotu i znikło. Czuł się tak, jakby razem z nimi opuściły go wszystkie siły. Wciąż stał, dręczony wspomnieniami.

Tam przy kamieniu leżał jej worek. A trochę dalej zabił swoich. Launhug wykrwawiał się, zabarwiając wodę. Poświęcili życie w obronie widzącego, który nie istniał. Ciemne Cienie dawno zabrały stąd ich szczątki. Śnieg ukrył wszystkie ślady.

Ale jego ciało pamiętało. Ukłucie w boku, tam gdzie rozplątała go stal.

Rime wpatrywał się w wodę. Chciał wtedy iść dalej, ale nalegała, tak jak tylko ona to potrafi. Oświadczyła, że muszą się wykąpać. Zaczęła mu grozić pchłami i robactwem.

Jego świat dopiero co legł w gruzach. Widzący nie istniał, Urd zabił Ilume i nie mieli dokąd pójść, został im tylko Kruczy Dwór. A ona mówiła o pchłach...

Uśmiechnął się. Nagle poczuł ciężar mieczy na plecach. Wtedy wszystko wydawało się beznadziejne. Nie wiedział jednak, czym jest prawdziwa beznadzieja. Taka jak teraz.

Podszedł do źródła i odstawił plecak na ziemię. Oparł miecze o kamień. Zaczął się rozbierać. Zaprzagnął poczuć ciepło. Cofnąć się w czasie. Do chwili, zanim od niego odeszła. Przed Darkdaggarem. Przed dziobem.

Poskładał ubranie i odłożył je na plecak. Śnieg topniał wokół jego bosych stóp. Wśliznął się do wody. Parzyła skórę. Kochała go i karała równocześnie. Rime zamknął oczy. Leżał między gorącym a zimnem. Między wodą a śniegiem.

Ona też tu kiedyś leżała. W tej samej wodzie. Dziewczyna, która postawiła świat na głowie. Dziewczyna, dla której zrobił tyle głupot. Dziewczyna, którą całował.

Obudziło się jego ciało. Podniecone. Teraz sobie przypominał. Dotyk jej ust. Jej dłoń błądząca po jego karku. Nienawidziła go, ale nie zawsze tak było.

Cierpienie i przyjemność stopiły się w jedno. Zmieniły się w potrzebę, która domagała się zaspokojenia. Kiedyś go pragnęła. Gdyby mogli, kochaliby się wtedy. Wiedział o tym.

Rime opuścił dłoń w stronę krocza. Poczuł mrowienie w gardle.

W gardle...

Graal!

Mrowienie przeszło w pieczenie. W zupełnie inny ból. Inną potrzebę. Puls przyśpieszył. Nie wiedział, czy to dlatego, że ma wzwód, czy dlatego, że jest przerażony. Na myśl o tym kontraście zrobiło mu się niedobrze. Miotał się w wodzie. Chwycił ubranie i odnalazł buteleczkę od Damayanti. Krew ślepych. Kruczą krew. I bogowie raczą wiedzieć, co jeszcze.

Co mam powiedzieć?

Damayanti na pewno przekazała już wieści o Darkdaggarze i o tym, że Rime stracił miejsce w Radzie. Nie było sensu tego ukrywać. Pozostawało się przekonać, jak bardzo go to rozwścieczyło.

Rime zacisnął zęby. Usiłował walczyć z nieuniknionym. Zmusić się do tego, by to znieść. Stworzyć złudzenie kontroli. To było na nic. Im dłużej czekał, tym bardziej nasilał się ból.

Zaczerpnął Evny. Otworzył usta. Wlał sobie do gardła kilka kropli i poczuł, że dziób budzi się do życia. Poruszał się w nim jak zwierzę. Rime stłumił mdłości. Splunął krwią.

– Graal...

Wyczołgał się z wody. Klęczał na śniegu. Słowa pęczniały w jego gardle i płynęły z jego ust jak własne.

– Kiedy właściwie zamierzałeś mi powiedzieć?

Rime zaśmiał się, ale zabrzmiało to jak szloch.

– A o czym? Bo jest w czym wybierać – odparł.

– Rime, lubię o sobie myśleć, że nie napawam się tym, że miałem rację, i w tych okolicznościach naprawdę nie ma się z czego cieszyć. Ale co ci mówiłem? Nie powtarzałem ci, że przez swoją nieobecność tracisz władzę? Że nigdy nie powinienesz być się tutaj zjawiać?

Rime się rozkaszał, jakby to miało stłumić bolesne pulsowanie. Wiedział aż za dobrze, że jest zdany na jego łaskę. Nagi i bezsilny na śniegu. Przywykł do tego, że mógł walczyć. Nacierać z mieczem na to, co mu groziło. Ale tej walki nie mógł wygrać. To było nowe uczucie i budziło w nim złość.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Rozmowny z ciebie gość, dużo gadałeś.

– To nie zabawa!

Dziób się otworzył. Rime chwycił się za gardło. Odkaszał krew. Na śnieg trysnęło czerwienią. Przez chwilę było cicho.

– Rime... Żałuję, że cię poznałem. Wszystko byłoby prostsze. Ale teraz chciałbym cię oszczędzić. Z szacunku. Dla ciebie i dla niej. To nie musi być trudne.

Rime osunął się na śnieg.

– Z szacunku? Tak to nazywasz? Z szacunku dla niej wysłałeś ją do Slokny?

– Do jej ludu, Rime. Tam, gdzie jest jej miejsce. Będzie tam miała wysoki status. Przywróci wielkość naszego rodu. Będzie jej tam lepiej niż gdziekolwiek indziej. I będzie szczęśliwsza, niż kiedykolwiek mogłaby być z tobą.

– Status? – Rime wybuchnął śmiechem. Poczuł w ustach smak krwi. – Myślisz, że to ją uszczęśliwi? Ty jej w ogóle nie znasz, prawda?

– Jestem jej ojcem.

– Jesteś dupkiem.

Rime czekał na bolesne skurcze, ale nie nastąpiły. Przetoczył się na plecy i zasłonił twarz ręką. Zimno zaczynało się wdzierać w ciało.

– Spróbujemy jeszcze raz, kiedy będziesz się zachowywał w bardziej cywilizowany

sposób, Rime?

Rime poczuł, że drgnęły mu usta, ale nie odpowiedział. Jego wściekłość zapłonęła Ewną. Nabrzmiwała z każdym uderzeniem serca.

Graal ciągnął, jakby to on zwyciężył:

– Straciłeś władzę. Wszystko mi utrudniłeś. Teraz musisz zadbać o to, żeby Darkdaggar nie przejął kontroli nad Ciemnymi Cieniami.

– Masz mnie za idiotę? – Rime przełknął krew. Nie zaskoczyło go to, że mają zbieżne cele. Żaden z nich nie chciał spotkać Ciemnych Cieni na polu bitwy.

Graal westchnął. To złagodziło ból jak powiew chłodnej bryzy.

– Beze mnie z pewnością byś nim był. Ciesz się, że wzięłeś dziób. Dzięki temu mogę przynajmniej utrzymać cię przy życiu.

Rime zaczął się czołgać w stronę wody.

Przy życiu... Jak długo? Dopóki nie skończy się wojna? Dopóki nie zrobię tego, czego potrzebujesz?

Był narzędziem. Bronią. Niewolnikiem. Ale jeśli Graal sądził, że będzie walczył po stronie ślepych ze strachu przed bólem, to grubo się mylił.

– Wkrótce się do ciebie odezwę – powiedział Graal. – I oczekuję, że do tego czasu odzyskasz już kontrolę nad Ciemnymi Cieniami i że będą gotowi walczyć przeciwko Radzie.

Wrażenie obecności Graala znikło. Rime został sam. Zanurzył się w wodzie. Znow zrobiło mu się ciepło. Mimo to nie mógł przestać się trząść.



NA DNIĘ

– Widzisz, pierwsze rody wciąż mieszkają na samym szczycie. – Oni wskazała na krawędź krateru. – To najstarsze budynki w Ginnungad.

Hirka zadarła głowę. Próbowała spojrzeć w górę tak, żeby nikt nie dostrzegł jej twarzy pod kapturem. Tylko pod takim warunkiem wolno jej było wychodzić.

Domy, o których mówiła Oni, mieściły się w wielkich otworach jaskiń na północnym krańcu krateru. Strzeliste, o skomplikowanych kształtach, jakby same wyrosły ze skały.

Stworzone Ewną.

Ruszyli drogą, która powoli spiralą opadała w dół krateru. Oni przystanąła.

– O, tam. Język Mówców. – Wskazała na coś, co przypominało początek mostu. Sterczało ze skalnej ściany jak język, trochę poniżej poziomu, na którym się znajdowali. – To stamtąd wszystko się obwieszcza. Stamtąd dowiedzą się o tobie, jeśli zostaniesz zaakceptowana.

Hirka wpatrywała się w szary skalny występ. Bardziej przypominał miejsce, z którego można rzucić się w dół na pewną śmierć, niż takie, z którego się przemawia. Choć dla niej to na jedno wychodziło.

Położony był zbyt głęboko w dole, by być częścią domu rodziny panującej, który mieścił się na samym szczycie.

– Myślałam, że należy do domu Hod.

– Bo tak jest – potwierdziła Oni. – Wszystko, co widzisz, od szczytu aż do Języka Mówców, to dom Hod.

– Ach...

Kola'il chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Chodził za nimi jak cień. Zawsze deptał im po piętach. Był jedynym, który mógł im towarzyszyć. Hungla i Tyle' znano jako służących z domu Modrasme i niepotrzebnie przykuwaliby uwagę. Wszyscy byliby ciekawi, kim jest ta dziewczyna w kapturze. Natomiast na upadłego nikt nie patrzył. Chyba że z odrazą.

Z przeciwka zbliżały się dwie kobiety. Niosły między sobą kolorowy dywan. Oni dała

dyskretnie znak ręką i Hirka spuściła głowę. Wpatrywała się w ziemię, dopóki ich nie minęły.

– To nie ma sensu – szepnęła Hirka. – Nie jestem już żadną tajemnicą.

W ostatnich dniach ród otrzymał wiele zaproszeń i podarunków. Sporo świadczyło o tym, że rozeszła się plotka. Plotka, że coś się wydarzyło. Coś, co mogło zmienić status domu Modrasme.

Oni zmusiła się do uśmiechu i odczekała, aż kobiety trochę się oddały. Dopiero wtedy odpowiedziała.

– Jesteś związana z losem naszego ludu. Z bramami i Ewną. Jesteś największą i najważniejszą nowiną od czasów wojny! – Rozejrzała się. – Jesteś córką Graala. Jak myślisz, co by powiedzieli w domu Hod, gdyby inni zobaczyli cię przed nimi? To nie do pomyślenia! Używaj głowy, Hirko!

Hirka już to słyszała. Wiele razy. Spotkanie z domem Hod było tym, na co czekali. Tym, do czego się przygotowywała. Miała zanieść w darze serce Naiella i otrzymać w zamian inny dar. Słyszała, że ma to być coś tak wielkiego, że nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić. Powinna być podekscytowana, ale na samą myśl o tym dostawała gęziej skórki. Czekała na to spotkanie i dar mniej więcej z takim utęsknieniem, jak na własny rytuał.

– No to chodźmy do jaskiń – powiedziała. – Tam nie ma żadnych Dreyri. Nikogo, kogo by to obchodziło.

Oni nerwowo potarła dłonie. Rozdarta między chęcią, by napomnieć Hirkę, a obowiązkiem, by jej służyć. Między odmową a posłuszeństwem.

– Nie rozumiem, czego chcesz tam szukać. Są tam tylko korzenie i grzyby. A południowy kraniec to nie miejsce dla ciebie, sama to chyba zauważyłaś, kiedy cię tutaj sprowadziliśmy. Poza tym nie rozmawiałam jeszcze z krawcami ani...

– Oni, jeśli wkrótce nie zobaczą czegoś, co rośnie, postradam rozum.

Oni westchnęła.

– Keskolail, znasz te ziemne groty? Możesz wskazać nam drogę?

Hirka czuła się nieswojo za każdym razem, kiedy ktoś wypaczał w ten sposób jego imię. To małe słówko, które tak wiele znaczyło. Że był upadłym. Że kogoś zabił. I że nic, co nastąpi po „Kes”, nie ma żadnego znaczenia.

Kolail kiwnął głową. Jakby zupełnie go to nie obchodziło. W Hirce aż zawrzało.

Kolail wszedł w ulicę oddalającą się od krateru i poprowadził je na skróty. Poruszali się między poziomami po wąskich schodach i używając linowych wind.

Hirka nie do końca rozumiała, jak zapatrywano się na takie pomoce w tym świecie. Konie były niedopuszczalne, bo to równałoby się z przyznaniem, że ma się słabe nogi. Że

nie jest się w stanie samodzielnie chodzić. Zlinowymi windami było inaczej, bo przecież nikt nie potrafił latać. W przyznaniu tego faktu nie było nic wstydliwego.

Używanie prostych narzędzi było bardziej żenujące niż tych złożonych. Na przykład noże były przyznaniem się, że posiada się nie dość ostre szpony, ale pędzel był już bardziej w porządku. W ten sposób można było zaszeregować wszystkie rodzaje broni i narzędzi według tego, jak bardzo nie uchodziło ich używanie.

To samo dotyczyło stroju. Jeśli ktoś włożył grube futro, przyznawał, że nie jest w stanie przetrwać we własnej skórze, ale cieniątką pelerynę traktowano raczej jak ozdobę. Można było zamykać drzwi na klucz, jeśli posiadało się cenne rzeczy, które mogłyby ulec zniszczeniu, ale nie z lęku przed napaścią. Balkony nie miały balustrad. Sterczały ze skały jak półki, bo nikt się nie bał, że spadnie. A przynajmniej nie chciał tego pokazać.

Było to nieustanne balansowanie między przetrwaniem a imponowaniem innym. W Ginnungad aż kipiało od pychy.

Kolail wszedł w wąski zaułek, którym dotarli do południowej drogi. Hirka rozpoznała pochyły most, na który zwróciła uwagę tego wieczoru, kiedy tu przybyła. Tylko tyle zdążyła zobaczyć, nim Kolail wprowadził je do tunelu, który rozszerzył się i przeszedł w inną ulicę. Nie w otwarty wąwóz, tylko w jedną z ulic biegnących w skale. W otwartych oknach paliły się latarnie. Tylko nieliczne okna miały szyby i w miarę jak szli, było ich coraz mniej. Zrobiło się cieplej, choć Hirka nie widziała żadnych palenisk. Wiedziała już jednak, z czego to wynika. Ciepło było rozprowadzane kanałami z gorących źródeł w pobliżu lodowca. Ten system działał dość kapryśnie. Były takie ulice, gdzie lód wciskał się w pionowe ściany, na innych zaś powoli topniał i kapała z niego woda.

Tłok był coraz większy, a Umpiri nosili porządniejsze ubrania. Mniej tu było nagich brzuchów i zsiniałych z zimna ud. Może tutaj dali sobie spokój z udawaniem? Wycofali się z nieustannego wyścigu?

Oni zwolniła kroku i się rozejrzała. Było widać, że czuje się nieswojo.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – Spojrzała na Kolaila.

Ten nawet nie mrugnął.

– Niektórzy z nas tu mieszkają i wciąż żyją.

Hirka podeszła do niego.

– Mieszkasz tutaj? Możesz mi pokazać?

Nie odpowiedział. Hirka się rozejrzała. Wałące się domy z kamienia i drewna pięły się po ścianie jaskini, jakby poustawiał je na sobie pijany olbrzym. Słyszała hałasy i okrzyki z karczm. Spodziewała się żebraków, ale tu ich nie widziała. W Ginnungad bieda miała inne oblicze niż w Ym.

– Tam – odparł po chwili Kolail. Zabrzmiało to niemal jak chrząknięcie. Wskazał głową

na skupisko bud sięgających prawie do sklepienia jaskini.

– Która to?

– Ta z okiennicami – mruknął. – Ta, do której nie można zajrzeć, bo ten, który tam mieszka, nie lubi, kiedy inni wtykają nosy w nie swoje sprawy.

Zrozumiała aluzję i więcej nie pytała. Z jego ust pachniało słodkawym dymem, więc zakładała, że bawił się do późna.

Ulica opadała dalej w dół. Powietrze stało się ciepłe i duszne. Droga kończyła się podłużnym pomieszczeniem z rzędami grot po obu stronach. Przy otworze tej najbliższej stała grupka nadzorców. Zerknęli na Oni i się wyprężyli. Wyminęła ich, jakby to było coś oczywistego, i weszła do jednej z jaskiń. Hirka ruszyła za nią, Kolail szedł na końcu. Było tu gorąco jak w szklarni. I były tu grządki. Pełne ziemi. Cudownej ciemnej ziemi. W długich rzędach i na stromych tarasach. Ten zapach sprawił, że Hirka poczuła grude w gardle. Przemogła impuls, by paść na kolana i zacząć kopać.

Między grządkami chodzili Umpiri doglądający roślin. Rozpoznała grzyby, bulwy, cebule. Niektórzy nosili na ramionach kosze i zbierali plony. Robotnicy byli chudzi. Przygarbieni po wielu latach pracy.

Nasz lud głoduje.

Słowa Graala. Wtedy sądziła, że chodzi mu o Evnę, ale może to było prostsze.

– Zobaczyłaś już to, co chciałaś zobaczyć? – spytał szorstko Kolail. Był spięty.

Hirka spojrzała na niego.

– O co chodzi?

– Nie powinniśmy tutaj być.

Rozejrzała się i zrozumiała, o co mu chodzi. Kilku robotników przystanęło. Śledzili wzrokiem Oni, która przechadzała się między grządkami, jakby do niej należały. Wyprostowana jak Dreyri. Ubrana w szatę służącej jednego z najwyższych domów.

Hirka do niej podeszła.

– Oni...

W chwili, gdy Oni się odwróciła, na jej twarzy rozprysła się gruda ziemi. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Ziemia opadła jej na pierś. Zatrzymała się w fałdach szaty.

Przybiegł nadzorca. Chwycił za gardło łysego mężczyznę. Ten nie stawiał oporu. Jego oczy były czarne. Puste. Zaczął się dusić. Hirka chwyciła Oni za rękę.

– Powstrzymaj go! Każ mu przestać!

Oczy Oni się rozszerzyły.

– Przestać?! Spójrz tylko na mnie. Zobacz, co zrobił naszemu domowi!

Hirka spojrzała jej w oczy. Obce. Białe. Dołeczki na policzkach, które dotąd napawały ją ciepłem, nagle wydały jej się perwersyjne. Ją i martwo urodzoną dzieliła przepaść, choć

spośród ślepych, których dotychczas poznała, najbardziej przypominała ætlinga. Nigdy się nie rozumieją. A teraz nie było czasu, żeby próbować.

– Oni, każ mu przestać, bo inaczej odkryję twarz. Nie żartuję. – Dotknęła kaptura, gotowa zrealizować swoją groźbę.

Oni warknęła coś w umõni. Hirka cieszyła się, że nie zdążyła się nauczyć tych słów. Nadzorca spojrział na nie zdumiony, ale puścił mężczyznę. Oni, powiewając szatą, szybkim krokiem skierowała się do wyjścia.

Kolail pchnął Hirkę. Trzymał się trochę z tyłu, jakby zamierzał jej bronić. Obejrzała się. Łysy mężczyzna dyszał z trudem. Pocierał gardło i spoglądał za nią. Nagle zesztyniał, jakby zobaczył ducha. Zrozumiała, że popełniła błąd.

Nie pomyślała. Zapomniała. W całym tym zamieszaniu zrobiła dokładnie to, czym zagroziła Oni. Spojrzała mu w oczy.



Wracali tą samą drogą, którą przyszli. Oni się nie odzywała. Miała głębokie dołki na policzkach. Hirka usiłowała stłumić uczucie niepokoju. Nie zamierzała przeproszać. Nie zmanipulują jej, żeby pomyślała, że zrobiła coś złego. Nieważne, co o tym myśli Oni. Nieważne, co myślą wszyscy Umpiri w Ginnungad.

– Poczekaj...

Hirka strzepnęła ziemię z szaty Oni. Uczona wyglądała, jakby przez chwilę zmagala się ze sobą. Potem jej ramiona opadły.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć, wiem o tym. Rozumiem. Ale jak mam cię czegoś nauczyć, jeśli nie chcesz słuchać?

– Nigdy się nie nauczę karać niewinnych, Oni.

– Niewinnych? Niewinnych? Jego nazywasz niewinnym?! Nie masz oczu?!

Kolail stał trochę dalej i rzucał im ukradkowe spojrzenia.

Oni odwróciła wzrok, zdradzały to tylko zmieniające się refleksy w jej białych oczach.

– Hirko, nie powiem twojej rodzinie, co się dzisiaj stało. Jestem skłonna przypisać to twojej niewiedzy. Nie rozumiesz, jak tutaj wszystko działa.

Hirka niemal parsknęła. Oni była skłonna to przemilczeć bardziej ze względu na siebie niż na nią. To pewne.

– Gdziekolwiek się znajdę, nie rozumiem, jak działa świat, Oni. Ani tutaj, ani u ludzi. Ani nawet u ætlingów, chociaż tam się wychowałam. Wiem tylko, jak działa to. – Uderzyła ręką w pierś. Na wysokości serca. – I wiem, że nie zabija się kogoś za to, że rzucił grudką ziemi!

– Nie chodzi o ziemię!

Kilku Umpiri odwróciło się. Kolail dotknął ręką pleców Hirki. Wprowadził ją i Oni między dwa stragany, na których sprzedawano plecaki i kije do wędrówki. Oni wyszeptała:

– Nie chodzi o ziemię. Chodzi o to, że pozwalają sobie na rzeczy, których wcześniej nigdy by nie zrobili.

– Kto sobie pozwala? I dlaczego?

Oni westchnęła ciężko.

– Musisz zrozumieć, że wszystko zmienia się od dawna. Zaczęło się po wojnie, kiedy kopano w poszukiwaniu Evny. Wiele wysokich domów przeniosło się jak najbliżej niej, wypierając bezdomnych. Nagle nie było już tak, że tylko najpotężniejsi mieszkali wysoko w górze. Umpiri zaczęli się mieszać. Od tego czasu nic nie jest takie samo, choć przywrócono coś w rodzaju porządku.

Hirka dostrzegła kątem oka, że Kolail przysłuchuje się jej słowom. Oni ciągnęła półgłosem:

– Na braku Evny ucierpiał handel. Evnoszko i dzieła sztuki stworzone przed wojną rozkradziono, zniszczono albo rozsprzedano. Ceny takich rzeczy są absurdalnie wysokie, bo wszyscy wiedzą, że już nigdy nie będzie nowych. Za okna w twojej sypialni można by kupić całą dzielnicę, i nędzarze zdają sobie z tego sprawę! Rozumiesz, co ci mówię? A będzie tylko gorzej.

Hirka podejrzewała, że rozumie to lepiej niż Oni, ale nie powiedziała tego na głos.

– Dlaczego będzie gorzej?

Oni zerknęła na Kolaila. Parsknął.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

Hirka przyglądała się im obojgu. Próbowwała myśleć jak Umpiri. Spojrzeć na to tak jak oni. I zrozumiała.

– Może i wiesz, Kolail, ale Oni nie chce, żebyś usłyszał to z jej ust.

Kolail podszedł do nich i warknął.

– A więc ja jej mogę to powiedzieć! Biedni robią rzeczy, których nie robili nigdy dotąd, dlatego, że *mogą*. Dreyri nad nimi górowali od czasów pierwszych. Płodniejsi, związani z krukiem. Najwyższe domy górowały nad najniższymi. A najniższe nad bezdomnymi. Zawsze tak było. Ale bez Evny nie są w niczym lepsi od nas. Nie są silniejsi ani potężniejsi. Bez Evny jesteśmy równi.

Dwoje ślepych wpatrywało się w siebie jak dwa żbiki. Żadne z nich nie było Dreyri, a mimo to postrzegali ich w zupełnie inny sposób.

A ja? Kim ja jestem?

Oni ostrożnie położyła rękę na plecach Hirki, jakby chciała ją odsunąć od Kolaila.

– Igrasz ze śmiercią, Keskolail – rzuciła, nie patrząc na niego.

Kolail nie odpowiedział. Hirka podejrzewała, że już wiele razy oszukał śmierć. Spojrzał na nią.

– Mogę odejść? – spytał. Nie sposób było nie usłyszeć goryczy w jego głosie.

Kiwnęła głową, tłumiąc poczucie wstydu, że musiał ją pytać o pozwolenie. Odwrócił się i odszedł.

Przez całą drogę do domu panowało ciężkie milczenie. Hirka miała nadzieję, że kiedy dotrą na miejsce, będzie lepiej, ale było jeszcze gorzej. W domu Modrasme panowała cisza jak w Sloknie.

Co się stało?

Skerri stała z założonymi rękoma i wyglądała przez okno. Nawet nie spojrzała na nie. Raun opierał się o stół. Jego czerwone włosy odbijały się w czarnym szkle. Wziął do ręki jakiś krążek i podał go Hirce.

– Gratuluję – powiedział. Nie zabrzmiało to szczerze.

Hirka wzięła krążek do ręki. Była to cienka okrągła płytką, ni to ze szkła, ni z kamienia. Ewnoszkło.

Wyryto w niej litery, których nie rozumiała.

– Co to jest? – przemogła się, żeby zapytać.

Raun się wyprostował.

– Zaproszenie. Nadeszła pora na spotkanie z domem Hod.

– Pierwsze, jakie otrzymaliśmy od czasów wojny – rzuciła od okna Skerri. Popielate szkło rzucało długie cienie za jej plecami.

Hirka wpatrywała się w symbole. Niezrozumiałe znaki zlewały się ze sobą. Drżała jej ręka. Poczowała, że coś ukłuło ją w palec. Pojawiła się na nim kropelka krwi. Skaleczyła się o krawędź.



SZCZĘŚCIARA

Wył wiatr. Co chwilę smagał w okna śniegiem z lodowca. Nie dało się spać.

Hirka wpatrywała się w sufit. Widziała swoje odbicie w wypolerowanym kamieniu. Wszystko było tu czarne. Sufit. Koc. Poduszka. Wiszące, przypominające kosz łóżko. Jedynym, co się wyróżniało, była jej skóra. I czerwone włosy rozsypane na poduszce. Wyglądało to tak, jakby za chwilę miała utonąć w bezbrzeżnym, czarnym morzu.

Gdyby utonęła, nie musiałyby przynajmniej wstawać następnego dnia. Nie musiałyby spotkać nikogo z domu Hod.

Ból pulsował w skroniach. Efekt kilku dni intensywnej nauki języka, imion i manier. Wszystkiego, co jej wolno i nie wolno robić, kiedy stanie przed Hod i Tyrem z rodziny panującej. Nie poznała ich jeszcze, ale już ich nienawidziła. Bo nikt o niczym innym nie mówił. Bo z ich powodu leżała i nie mogła spać.

Krawiec pewnie też nie spał. Obiecał, że suknia będzie gotowa na jutro. Suknia... Samo to słowo sprawiało, że swędziła ją skóra. Odwróciła się na drugi bok.

To spotkanie było dla nich wszystkich nieskończenie ważne. Dawało nadzieję na przywrócenie rodowi dawnej wielkości. Wydawało się to niemal tragiczne. Ale Hirka obiecała przecież Graalowi, że przywróci im dawną chwałę.

I Evnę...

Pewnie nigdy nie będzie w stanie dotrzymać tej obietnicy. Obietnicy, która stała się jeszcze bardziej skomplikowana z powodu tego, co powiedział Kolail. To Evna tworzyła różnicę w tym społeczeństwie. Evna decydowała o randze i faworyzowała Dreyri. Może w takim razie to lepiej, że już jej nie mają?

Myśli tłukły jej się po głowie. Była przemęczona.

Tylko Raun wierzył, że uda jej się w domu Hod. Zdawała sobie sprawę, że nikt z pozostałych w to nie wierzy. A już najmniej Skerri. Hirka nie wiedziała, co jest gorsze: oczekiwanie, że przywróci chwałę rodowi, czy zagrożenie ze strony tych, którzy sądzą, że zawiedzie.

Cena za to, że zawiedziesz, jest najwyższa.

Gdyby zawiodła, Graal znalazłby inny sposób. Zapewniłby sobie pozycję, wysyłając Umpiri przez bramy. Do Evny. Ilu by wysłał? Tylko rodzinę czy całe Ginnungad? A może każdy martwo urodzony z Dreysíl trafiłby do Ym?

I co zrobiłby z Rimem?

Hirka dotknęła ręką szyi. Wyobraziła sobie, jakie to musi być uczucie, mieć tam dziób. Kości martwego kruka. Przypomniła sobie smród Urda, wtedy na Bromfjell. Gnijącą ranę w jego szyi... Ścisnęło jej się serce.

Musi istnieć jakiś sposób, żeby go uratować. Gdyby tylko jej pozwolili spotkać się z Widzącym. Z kimś, kto wie, jak to zrobić. Może to Graal stoi jej na drodze? Oczywiście nie chciałby, żeby uwolniła Rimego.

Hirka przycisnęła ręce do skroni. Zbyt wiele oczekiwań. I nikogo, komu mogłaby zaufać.

Usiadła. Kosz się zakołysał. Zsunęła się do otworu w nogach łóżka i wstała. Podeszła do okna i dotknęła czołem chłodnego szkła. Stworzonego Evną. Zmatowionego popiołem. Dłońmi kształtowanego z żywego kamienia i wartego więcej, niż miała ochotę o tym myśleć.

Nie mogła tu dłużej zostać. Musiała wyjść. Od czasu, gdy przyszło zaproszenie, wypuszczano ją tylko na balkon. To było więzienie. Pełne przepychu więzienie.

Hirka się ubrała. W swój sweter i spodnie. Naciągnęła przez głowę szatę i nałożyła kaptur. Wsunęła nóż do skarpety.

W ciągu ostatnich nocy w mieście było niespokojnie. Bezdomni tłukli okna. Kradli rzeczy, które miały jakąś wartość, a te pozbawione wartości palili. Po wielu ulicach chodziły straże, ale Ginnungad było ogromnym miastem, więc to niewiele pomagało.

To moja wina.

Hirka wiedziała, że ją widziano. Była dowodem na to, że bramy znów się otworzyły. Coś się szykowało i Umpiri wyczuwali to węchem.

Wyjdzie tylko na chwilę. Trochę się przejdzie. Żeby przejaśniło jej się w głowie. Będzie się trzymać na uboczu. Z dala od niebezpiecznych dzielnic.

Odsunęła lekko drzwi. Wyjrzała na korytarz. Z komnaty Vany dobiegał chichot. A potem cichy jęk. Hirka nie widziała jeszcze jej ukochanego. Słyszała go tylko po nocach. Lepiej pójść inną drogą.

Balkon.

Włożyła buty, znalazła kijek i otworzyła drzwi na balkon. Musiała zмагаć się z wiatrem, ale wydostała się na gładką skalną półkę. Droga prowadząca w dół była śliska od mokrego śniegu, ale dość szeroka. Poradzi sobie. Nie spadnie i nie skończy na dnie krateru. Nie żeby to było coś złego. Wtedy przynajmniej nie musiałyby się spotykać z tym

przeklętym rodem Hod.

Zeskoczyła na drogę i zeszła po schodach poziom niżej. Było tam zaciszniej, choć wciąż słyszała wiatr szalejący na górze, nad lodem. Weszła w najbliższą szczelinę. W jedną z głównych ulic.

Musiała być ostrożna. Trzymać się miejsc, w których była bezpieczna. Ale upoiło ją poczucie wolności. Na mostach powiewały proporce. Z szybów rozprawdzających ciepło ziała para ze szczelin w ścianach; Hirka nauczyła się już je omijać. Nawet nocą kręcili się tutaj Umpiri. W karczmach sprzedawano zioła do palenia i napoje. Dmuchacz szkła mimo późnej pory pracował przy otwartych drzwiach. Im dalej szła, tym więcej życia ją otaczało. Szczekały psy. Z karczm dobiegały śpiewy i muzyka. Gdyby mogła, przytuliłaby się do tych dźwięków, z radości, że we wszystkich światach istnieją takie same rzeczy. Nawet tutaj, gdzie istoty żyją tysiące lat i mają szpony. A mimo to piją tak, jak wszyscy inni. Grają. Palą. Kochają. I krzyczą.

Krzyczą?

Hirka przystanąła. Usłyszała dźwięk rozbijanego szkła. Obok niej przebiegli Umpiri, potracając ją. Nawoływania były coraz głośniejsze. Wycofała się w zaułek. Był tak wąski, że ledwie się w nim mieściła.

Zamieszki. A ona zawędrowała w sam ich środek. Ogarnął ją strach. Odeszła dalej, niż planowała. Musiała wracać!

Ostrożnie wyszła na ulicę. Tuż przed nią spadły jakieś płonące szmaty. Cofnęła się w zaułek. Ukryła w ciemności. Dźwięki, które jeszcze przed chwilą tak ją cieszyły, umilkły. Teraz w głosach słyhać było strach. Wściekłość. Ulicą przebiegali Umpiri. Niektórzy z kroplami na czołach, inni bez. Na przemian strażnicy i wyjęci spod prawa. Kto był buntownikiem, a kto mógł jej pomóc? Nie miała pojęcia.

Wpadła w rozpacz. Za niecałą dobę miała zostać przedstawiona w domu Hod, a wciąż nie rozumiała, kto jest kim w tym mieście. Wciąż była tutaj obca. I na tyle głupia, żeby z tego powodu zginąć.

Nie! Nie umieraj, żyj.

W ulicę wdarł się czarny dym. Zaczynał się sączyć do zaułka. Hirka zasłoniła usta kapturem i odbiegła jeszcze dalej. Czy udałoby jej się znaleźć inną drogę do domu? Co jej pozostawało? Nie miała dokąd pójść.

Kolail...

Była niedaleko od miejsca, gdzie mieszkał. Wszystkie główne ulice odchodziły od krateru, a to oznaczało, że ten zaułek powinien prowadzić do południowej drogi. Ale to były okolice, w których Oni czuła się nieswojo. Okolice, w które nie należało się zapuszczać...

Tuż za nią rozbiła się butelka. Ktoś otworzył okno i wołał coś do niej. Może i okolica była niebezpieczna, ale wszystko wydawało się lepsze, niż zostać tutaj.

Hirka pobiegła dalej i znalazła się na południowej drodze. Tu również trwały zamieszki. Poznała tunel prowadzący do ziemnych grot, przeszła przez ulicę i wśliznęła się do niego. Dźwięki natychmiast przycichły. Ostatnio było tu tłoczno. Teraz prawie nikogo nie widziała. Krzesła przed karczmami stały puste. Kilku Umpiri minęło ją pośpiesznie, kierując się w stronę zgiełku. Domyślała się, że chcą się przyłączyć do zamieszek.

Po obu stronach wznosiły się piętrowo krzywe domy. Te, które były najbliżej, wisiały nad ulicą. Nie mieściło się w głowie, jak do tej pory nie runęły. W oknach paliły się latarnie. Im wyżej, tym płomienie zdawały się mniejsze. To zdradzało, jak wysoko był strop tego skalnego korytarza.

Schody prowadzące do chaty Kolaila były wciśnięte między domy. Słyszała odgłosy kłótni kilka chat dalej. Sądząc po smrodzie, w pobliżu musiał być wspólny wychodek.

W ciemności pod jednym z balkonów stał chudy mężczyzna. Wydawał się obojętny, a równocześnie spięty, tak jak handlarze opy. Wychowała się z jednym z nich. Wiedziała, jacy są. Wiedziała również, że niewielu z nich jest takich jak ojciec, więc szybko wspięła się po schodach i odnalazła drzwi Kolaila. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Zawahała się. Nie była pewna, czy zapukać. Jak dobrze właściwie знаła Kolaila? Ile wiedziała o upadłych? Dlaczego dziś w nocy wyszła? Żeby się przewietrzyć czy żeby uciec? Nie powinna tutaj być...

Usiadła na schodach. Po krzywych stopniach było widać, że wykuto je, w ogóle nie używając Evny. Oparła głowę o ścianę. Słuchała bicia swojego serca i dobiegających z dala okrzyków.

Ktoś się zbliża!

Hirka zerwała się na nogi. Mocniej ścisnęła kijek. Była gotowa uderzyć, jeśli nie będzie miała wyjścia. Po schodach wspinał się wysoki mężczyzna. Chwiał się. Chrząknął. Był pijany? Hirka wspięła się wyżej. Spróbowała przylgnąć do ściany, ale wiedziała, że to na nic.

Mężczyzna się zatrzymał. Ściągnął kaptur i spojrzał na nią.

Kolail!

Przyglądali się sobie w ciemności. Co, u Slokny, robił w nocy poza domem?

Odpowiedź była wypisana na jego twarzy. Na chwilę zamknął oczy. Zacisnął usta. Nie ucieszył się na jej widok. Wsunął klucz do zamka i go przekręcił. Męczył się z otwarciem drzwi. Jęknął. Hirka poznała ten dźwięk. Nie był pijany, tylko ranny. A może jedno i drugie.

Szarpnęła drzwi i wśliznęła się pod jego ramię, żeby nie upadł. Jego kurtka pachniała

tak jak wilk, obok którego zasnęła w świetle ludzi. Pomogła Kolailowi usiąść na łóżku i zamknęła za nimi drzwi.

Izba była mniejsza niż w chacie w Elveroi. Hirka poruszała się po omacku, czekała, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności. Kamienne ściany były szorstkie i nierówne. W jedynym oknie nie było szyby, otwór zasłaniała tylko okiennica. Pod oknem stała ława, na której leżały oselki, noże, pióra i strzały. Drewniana miska. I to, czego potrzebowała: lampka olejna.

– Krzesiwo?

Jęknął w odpowiedzi.

– Krzesiwo. Ogień. Światło! – powtórzyła, na wypadek gdyby nie zrozumiał.

– W szufladzie – wydyszał i wskazał zakrzywionym szponem. Jego dłoń od razu opadła z powrotem na łóżko.

Hirka szarpnęła szufladę. Grzebała w niej, póki nie znalazła czegoś, co najbardziej przypominało krzesiwo. Takiego jeszcze nie widziała, ale przynajmniej dało się nim wskrzeszać iskrę. Zapaliła lampkę i postawiła ją na taborecie przy łóżku. Nie był to wiszący kosz, taki jak ten, w którym sypiała. Raczej proste łoże, zajmujące większą część izby. Kolail oparł głowę o ścianę.

Na jego czole wystąpił pot. Włosy zwisały w strąkach wyglądających jak ostrza noży. Próbował wygodniej się ułożyć. Skrzywił się, obnażając kły. Hirka dostrzegła czerwoną plamę na jego koszuli, z boku, tuż pod żebrami. Podciągnęła koszulę. Chwycił ją za rękę.

– Nie dotykaj mnie – powiedział ochryple.

– Nie bój się – odparła sprytnie.

Puścił ją. Tak jak przypuszczała. Wzięła się w garść, by znieść to, co za chwilę zobaczy, i podciągnęła koszulę.

I nic. Był cały lepki od krwi, ale nie było widać nawet zadraśnięcia. Nacisnęła jego skórę palcami. Kolail krzyknął i zamachnął się na nią. Był za słaby i zbyt pijany, żeby trafić.

Wyczuła coś. Pod skórą.

Kiedy to do niej dotarło, poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro lodowatej wody. Był przecież ślepy. Umpirim. Był taki jak Naiell. Przypomniała sobie ranę, która zagoiła się na jej oczach.

To samo stało się z Kolailem, ale coś zostało w jego ciele. Na tę myśl zrobiło jej się niedobrze. Zasłoniła usta dłonią.

– Grot strzały?

– Szkło – odparł Kolail. – Stłuczone szkło.

Jego oddech był kwaśny od piwa.

Hirka zapanowała nad sobą. Stłuczone szkło. Paskudne i bolesne, ale to nie było nic

nieznanego. Robiła już takie rzeczy. Największy problem polegał na tym, jak na nowo otworzyć ranę. I żeby nie zagoiła się, zanim skończy pracę.

– Przynajmniej nie będziemy musieli szyć – zaśmiała się, ale śmiech uwiązł jej w gardle. Wyciągnęła z cholewki nóż i ogrzała ostrze nad płomykiem lampki.

– Co robisz? – spytał przez zaciśnięte zęby.

– To, co trzeba – odparła. – A może wolisz znaleźć kogoś innego i wyjaśniać, gdzie byłeś dziś wieczorem?

– Kogoś innego? – parsknął. – Nie ma nikogo innego. Nie tutaj.

– Nie macie żadnych uzdrowicieli?

– A na co nam oni? Gdybyśmy ich potrzebowali, nie zasługivalibyśmy na przeżycie. Stoimy na nogach, póki nie padniemy. To naturalne. Króliki zdychają.

Hirka pokręciła głową. Obróciła nóż nad płomieniem.

– Idiotyczne. Niby naturalne ma być to, żebyście umierali jak muchy? Nic dziwnego, że jest was coraz mniej. – Ogrzała również palce nad płomieniem. Na tyle, na ile się dało. – Możesz uśmierzyć ból? Szponami? – Miała nadzieję, że wszyscy to potrafią. Naiell zrobił to dla niej, kiedy musiała założyć sobie szwy.

Słabo pokręcił głową.

– Jesteśmy odporni na własną truciznę. Poza tym...

– ...zniesiesz ból, tak, wiem o tym, już wystarczająco długo tutaj jestem.

Uśmiechnął się. Jego oczy przygasły.

– Nie robi się takich rzeczy. Może ktoś uśmierzyłby ból własnego dziecka. U kogoś, na kim mu zależy. Ale u nikogo innego.

Hirka spojrzała na niego. Nie miał pojęcia, jakie znaczenie miało dla niej to, co powiedział. Że Naiellowi na niej zależało, jakby była jego dzieckiem. Zdrajcy Naiellowi. Bratu jej ojca. A ona miała jego serce w szkatułce z kruszonym lodem.

Może i mu zależało, ale to było, zanim mi zagroził.

– W takim razie zaciśnij zęby – poleciała i przysunęła nóż do jego skóry. Nie zaczęła ciąć od razu. Ich spojrzenia się spotkały. Jego twarz wykrzywiła się z bólu, choć Hirka jeszcze nic nie zrobiła. Może to dlatego, że jego ciało usiłowało się zagoić? Wokół odłamków szkła. Błogosławieństwo stało się bolesnym przekleństwem.

Otworzył usta. Spróbował coś powiedzieć, ale musiał zacząć od nowa.

– Dlaczego... tak się strasznie uwzięłaś, żeby mnie ratować?

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Tym właśnie się zajmuję. Nie znam niczego innego.

– Kiedy tu przybyłaś, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłaś, było to, jak kogoś zabijam...

Hirka pokręciła głową.

– Najpierw usłyszałam, jak ktoś krzyknął twoje imię. I zakładam, że od tamtej chwili nie miałaś już wyboru.

Nacięła skórę. Napiął się, ale udało mu się nie krzyknąć. Dopóki stał nie natrafiła na szkło. Hirka zacisnęła zęby i rozsunała palcami brzegi rany. Starła się nie słyszeć jego krzyku. Zająła się tym, co musiała zrobić. Wyszarpnęła z rany paskudny odłamek szkła. Był gruby. Zapewne z butelki. Miała nadzieję, że to oznacza, że nie skruszył się w jego ciele. Ale musiała sprawdzić...

Ostrożnie ucisnęła palcami skórę wokół czerwonej pręgi. Nic. Kolail nie krzyknął. Krew spływała z rany, zmieniając się w ciemną plamę na kocu. Hirka puściła brzegi rany. Wpatrywała się w nie, gdy zaczęły blednąć. Jakaś piana przyciągnęła je do siebie. Gdyby nie była przed chwilą świadkiem cierpienia, do jakiego to może prowadzić, tęskniłaby za czymś takim. Za wiecznym życiem. Byli niezniszczalni jak bogowie. Co by zostało z Ym, gdyby takie istoty się tam wdarły?

Otarła mu pot z czoła. Stalowa kropla pod palcami była jak paciorek. Spojrzał na nią spod ciężkich powiek.

– Nie jesteś taka jak oni. Nigdy taka nie będziesz.

– Nie ma żadnego *oni*. Wszyscy się po prostu różnimy.

– No tak, ty to powinnaś wiedzieć. Byłaś przecież w trzech światach.

Powiedział to niemal tak, jakby go to bawiło, ale w jego głosie usłyszała coś jeszcze. Zazdrość? Podziw?

– Nic dziwnego, że jesteś dla nich ważna – ciągnął, podekscytowany tym, że nie ma już odłamka szkła w ciele. Że męczarnie się skończyły. – Oni sądzą, że ich wokół siebie skupisz. Że poprowadzisz ich do Evny. Dla nich to dobrze, ale nie dla nas, pozostałych.

Hirka otarła ostrze noża o jego koszulę.

– To dlatego bierzesz udział w zamieszkach?

Zaśmiał się cicho.

– A jak myślisz, co się stanie, kiedy znów posmakujemy Evny? Dreyri na powrót staną się najsilniejsi. Będą mieli taką władzę, jak kiedyś. Dlatego ci bezsilni są wściekli.

– A więc jeśli to jest takie proste, dlaczego wciąż ratujemy sobie nawzajem życie? Ty i ja? Dlaczego wciąż żyję, jeśli to ja mam ich poprowadzić do Evny? Ukrywasz twarz pod kapturem i rzucasz butelkami na ulicy, ale nie chcesz zrobić jedynej rzeczy, która mogłaby zmienić przyszłość? Nie chcesz mnie zabić?

– Niech ci się nie wydaje, że to ze względu na ciebie.

– No to dlaczego?

Westchnął. Jego powieki stały się jeszcze cięższe.

– Zawsze jest nadzieja, prawda? Że zmiana będzie zmianą na lepsze. I złudna nadzieja,

że to, że cię uratuję, zwróci mi moje życie.

– Co masz na myśli?

Dotknął szponami kropli na czole.

– To. Złudną nadzieję, że ją usuną. Ułaskawią mnie. Uczynią mnie znów Umpirim. Czy nie o to wszyscy walczymy? Żeby stać się tacy jak oni. Jak ci, którzy mają wszystko.

Jego ręka opadła z powrotem na łóżko. Hirka poczuła, że opuszczają ją siły. Nigdy dotąd się nie liczyła. Była dzieckiem Odyna. Zgnilizną. Człkiem. Żyła na drogach w czerwonym wozie. W chacie w Elveroi. Posiadała tylko tyle, ile mieściło się w jej worku. Nigdy nie miała korzeni ani bogactw. Teraz kto inny był na dnie. A ona była taka jak Rime. Pochodziła z potężnego rodu i mogła mieć wszystko, czego zapragnie. To ona była szczęściarą i czuła się z tym tak, jakby to było trucizną płynącą w jej żyłach.

Kolail zamknął oczy.

– Możesz mnie zniszczyć tym, co teraz o mnie wiesz.

Hirka się uśmiechnęła.

– No to dam ci coś, czym ty będziesz mógł zniszczyć mnie. – Wstała i ściągnęła szatę. Zdjęła sweter i znów naciągnęła szatę przez głowę. Zwinęła sweter i położyła go na ławie pod oknem. – Muszę porozmawiać z Widzącym, Kolail. Ale nie pozwalają mi się z nim spotkać. Znajdź go i daj mu to. Powiedz mu, kim jestem. Jeśli rozpozna zapach, uwierzy ci. Możesz to dla mnie zrobić?

Kolail kiwnął głową.

– Rozumiesz, co to znaczy, prawda, Hirko? Że Umpiri wyszli na ulice?

– Tak – odparła. – To znaczy, że kończy mi się czas. – Przysiadła na brzegu łóżka. Czuła się wypalona i pusta.

Pokiwał głową.

– Kiedy tylko spotkasz się z rodem Hod, pokażą ci całemu miastu. Całemu światu. Prawie ich już słyszę. Mam nadzieję, że jesteś na to gotowa...

Nie odpowiedziała.

– Odprowadzę cię do domu – mruknął słabym głosem. – Tylko najpierw trochę... odpocznę.

Hirka zwinęła się w kłębek w nogach łóżka. Oparła głowę na jego nogach. Była tak zmęczona, że aż piekły ją oczy. Zamknęła je.

– Jak zostałeś upadłym, Kolail?

Odwrócił głowę. Jego zarost zaszeleścił o poduszkę.

– Zrobiłem to samo, co ty. Uratowałem niewłaściwą osobę.



HANDLARZ HERBATY

Darkdaggar kazał woźnicy zatrzymać powóz kawałek dalej przy ulicy Daukatt i zapłacił mu dokładnie tyle, ile mężczyzna zażądał. Wszystko inne utkwiłoby woźnicy w pamięci, a dziś wieczorem nie chciał zostać zapamiętany. Ruszył dalej pieszo. Tuż za nim szli Kunte i Jarle. Dobrze mu służyli. Można było na nich liczyć, gdyby coś poszło nie tak.

Okolica wyglądała gorzej, niż to zapamiętał. A może po prostu dawno tutaj nie był? Niepomalowane domy prezentowały się żałośnie. Poszarzałe drewno, krzywo wiszące okiennice. Niedbale sklecone nadbudówki wystawały nad wąskie zaułki. Gdyby wybuchł tutaj pożar, to byłaby katastrofa. Na tym właśnie polegał problem z ludźmi, którzy mieszkali nad rzeką. Żyli z dnia na dzień, nie wybiegając dalej myślami, i dlatego ledwie wiązali koniec z końcem. Nie wybrałby takiego miejsca, gdyby sam miał prowadzić herbaciarnię.

Herbaciarnia Lindriego w połowie unosiła się na rzece jak tratwa. Zima się kończyła, ale tutaj się tego jeszcze nie czuło. Żar z paleniska rzucał blask na wzory szronu na oknie. Darkdaggar zajrzał do środka. Zbliżała się pora zamknięcia. Było pusto.

– Poczekajcie tutaj. Gdyby ktoś chciał wejść, nie wpuszczajcie go.

Kunte i Jarle kiwnęli głowami i schowali się w cieniu nadbudówki. Darkdaggar pchnął drzwi. Najwyraźniej nie było to najpopularniejsze miejsce w Mannfalli, bo przymarzły do futryny. Musiał je mocno szarpnąć. Dzwoneczki zapłakały w podmuchu wiatru. Wszedł do środka.

Uderzył intensywny, korzenny zapach. Lindri stał przy palenisku i zamiatał podłogę. Pewnie głównie po to, żeby się rozgrzać. Miał na sobie wełnianą kurtkę i co najmniej dwie koszule, jedną krótszą od drugiej. Na głowie nosił czapkę z szarej wełny, za małą, by zakrywała uszy. Właściciel herbaciarni podniósł wzrok.

Darkdaggar zsunął kaptur z głowy i obserwował jego reakcję. Zaskoczenie. Strach. Powolny ukłon, zapewne po to, by zyskać choć trochę na czasie. By wziąć się w garść i więcej nie zdradzić. Ale Lindri powiedział mu już wszystko, co Darkdaggar chciał wiedzieć. Kunte miał rację. Bez wątpienia Rime tutaj był.

– Fadri Garm... Co mogę dla ciebie zrobić? – Handlarz herbaty uczynił znak Widzącego.

Darkdaggar się rozejrzał. Ławy pokryte owczymi skórami. Długa lada, na której w piasku stał rząd czarnych żeliwnych dzbanuszków. Ścianę za nią pokrywały szuflady i półki z filizankami.

– To herbaciarnia, prawda? – Darkdaggar ściągnął rękawiczki i położył je na stoliku najbliższej paleniska. Mebel wyglądał na sklecony z kiepskiego drewna wyrzuconego na brzeg rzeki.

– Tak, fadri.

– A więc pewnie można tu dostać filizankę herbaty? – Uśmiechnął się do starca. Nie było sensu używać kija, póki działała marchewka.

Lindri odstawił miotłę pod ścianę i podszedł do lady. Po drodze podpierał się o stoliki. Darkdaggar czuł się już lepiej. Z początku miał pewne obawy. Sojusznik Rimego. Może buntownik. Ale to był tylko starzec z obolałymi stawami, prowadzący herbaciarnię, której już nikt nie odwiedzał. Uspokoilo go to.

– Jesteś Lindri, prawda? Dostarczasz nam herbatę do Eisvaldru. – Darkdaggar usiadł na ławie. Położył na stoliku złotą monetę. To było oczywiście za dużo, ale chciał przypomnieć Lindriemu, że nie musi się starzec w rynsztoku.

– Nie tyle, co kiedyś – odparł Lindri.

– No cóż... Pewnie da się coś z tym zrobić. To był trudny rok, prawda?

Lindri zapalił lampkę pod jednym z dzbanuszków na ladzie.

– Widziałem i lepsze czasy, i gorsze.

Darkdaggar zaśmiał się cicho.

– Niewątpliwie masz zdrowe podejście. Ale wątpię, żebyś widział gorsze. Wszystko stało się trudniejsze. Po tym, jak zjawiała się ona...

Śledził wzrokiem starca. Dostrzegł kącikiem oka, że Lindriemu drgnęła powieka. Wiedział, o kim mowa. Właściciel herbaciarni nalał wody do dzbanuszk. Jej strumień zdradzał, że trzęsą mu się ręce. Darkdaggarowi przyszło do głowy, że być może starzec wie więcej, niż z początku przypuszczał. Musiał tylko nakłonić go do mówienia.

– Dziecko Odyna potrafiło znaleźć sobie przyjaciół w najdziwniejszych miejscach. Ale to i tak nie uchroniło jej przed śmiercią.

– Słyszałem, że odeszła do innego świata – odparł Lindri.

Odpowiedź była instynktowna. Starzec czuł potrzebę zaprzeczania, że dziewczyna zginęła. To oznaczało, że jej los nie jest mu obojętny. Martwił się o nią. Pewnie również o Rimego.

– Czyli wierzysz w te całe krucze pierścienie? Że istnieją inne światy, tak jak w opowieściach?

– A ty w to nie wierzysz, fadri Garmie?

Darkdaggar splótł ręce na karku. Ta kwestia interesowała go bardziej, niż miał ochotę przyznać. Zapatrzył się w płomienie. Zwęglone polana tworzyły niemal idealną piramidę. Jedno się zsunęło. Odtoczyło kawałek od pozostałych. Znow spjrzał na Lindriego.

– Moja żona boi się ciemności. Myśli, że gdy tylko zdmuchnie lampkę, rzeczy pojawią się znikąd. Powtarzałem jej wiele razy, że jeśli nie ma czegoś przy świetle, to nie ma tego też w ciemności. Staram się myśleć trzeźwo, Lindri. Jakież światy oprócz naszego? Widzący raczy wiedzieć, jakich bogactw pełne? Bez wątpienia coś takiego byłoby... niezwykle. Nie sądzę jednak, żeby coś takiego istniało. Zaskakuje cię to?

Starzec podchwycił jego spojrzenie. Był pomarszczony jak zesuszone jabłko.

– Wtrąciliście ją do lochów za to, że przybyła z innego świata, więc zakładałem, że w to wierzycie.

Darkdaggar uniósł brwi. Nie spodziewał się riposty i to mu tym bardziej zaimponowało. Może jednak nie docenił handlarza herbaty?

Lindri zniknął w pomieszczeniu za ladą. Było słyhać, że szpera na półkach, jakby czegoś szukał. Darkdaggar pochylił się bliżej ciepła. Znalazł pogrzebacz i poprawił samotne polano. Na próżno. Znow się odtoczyło.

– Zapominasz, że Rada składa się z wielu głosów.

Lindri nie odpowiedział. Co mu zajmuje tyle czasu? Darkdaggar zostawił w spokoju polano i wstał. Nie powinien spuszczać starca z oka. Nigdy nie wiadomo, może spróbuje ostrzec Rimego. Może ma pod ręką kruka.

Darkdaggar poszedł za nim na zaplecze. Było zakurzone i niewiele większe od szafy. Lindri stał na najniższym stopniu drabinki i wyciągał po coś rękę, ale miał wyraźne problemy z tym, żeby tego dosięgnąć. Był zbyt mocno przygarbiony. Obejrzał się przez ramię i prawie spadł, gdy zobaczył Darkdaggara.

– Mogę ci coś podać, Lindri?

Właściciel herbaciarni zszedł z drabinki i potarł nadgarstek.

– Najlepszą herbatę – odparł. – Nie stoi za ladą, trzymam ją pod kluczem.

– Naturalnie. Która to?

Lindri wskazał pokrzywionym palcem na czerwoną szkatułkę, jedyną, która miała zamek.

Darkdaggar wspiął się na drabinkę i ją zdjął. Podał szkatułkę Lindriemu i z powrotem usiadł przy palenisku.

– Tak jak mówiłem, Rada składa się z wielu głosów. Ale jednego nam brakuje.

Właściciel herbaciarni niewzruszenie pracował dalej. Nie było sensu dłużej zachowywać ostrożności.

– Lindri, brakuje nam Rimego An-Elderina.

– Mówią, że nie żyje – odparł Lindri. Podniósł przykrywkę dzbanuszką i nasypał do niego herbaty. Uniosła się para, co sprawiło, że trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy. Owinął ucho dzbanka szmatką i postawił go na tacy razem z filiżanką. Potem powłócząc nogami, wrócił z wszystkim do stolika.

Odwrócił się, żeby odejść. Darkdaggar złapał go za nadgarstek.

– Usiądź, Lindri. Dotrzymaj mi towarzystwa.

Starzec się zawahał. Poddał się jednak i usiadł naprzeciwko. Darkdaggar zmusił się do uśmiechu.

– Myślę, że Rime An-Elderin wcale nie jest taki martwy, jak wszyscy sądzą. I z każdym dniem jego nieobecności lud cierpi. Potrzebujemy go, Lindri. Takim jak ty najbardziej to doskwiera. Nie nam. Nie rodom zasiadającym w Radzie. My zawsze sobie poradzimy. W Eisvaldrze mamy bogactwa, z których możemy czerpać w trudnych czasach. Tutaj tak nie jest. Gdyby dbał o lud, który miał poprowadzić, nie uciekłby. Uważasz, że to sprawiedliwe, żebyś płacił za jego kaprysy? Za jego szaleństwo?

Lindri w milczeniu nalał herbaty do filiżanki. Nie podchwycił spojrzenia Darkdaggara. Nie rozumiał, co dla niego dobre.

Darkdaggar uniósł filiżankę.

– Jeśli coś słyszałeś albo widziałeś... Jeśli wiesz, gdzie on jest, Lindri...

– Nie widziałem fadri Rimego od czasu, gdy zabił Svartelda.

Uśmiech Darkdaggara zgasł. Słowa Lindriego miały drugie dno. Rime zabił Svartelda. Zwyciężył w tej walce. Darkdaggar przegrał i powinien teraz gnić w lochach. Tak się jednak nie stało. Handlarz herbaty o tym wiedział i nie bał się tego powiedzieć na głos.

Co takimi kieruje? Co przeszkadza im trzeźwo myśleć? Jaka kara każe im ryzykować życie, by pokazać, że mają rację? To takie bezsensowne. Jakby życie nie...

Ciąg myśli nagle się urwał. Darkdaggar zamarł w pół ruchu, z filiżanką przy ustach. Zdał sobie sprawę, jaki fatalny błąd niemal popełnił.

Nie docenił właściciela herbaciarni. I to bardzo. Pozwolił się zwieść zgarbionemu staruszkowi o obolałych stawach. Ale to nie był tylko staruch, który nie chciał gadać. To był o wiele gorszy wróg.

Darkdaggar zaczął się śmiać. Nie potrafił się powstrzymać. To było zbyt niewiarygodne. Odstawił filiżankę. Podsunął ją Lindriemu.

– Napijmy się razem. Ty pierwszy.

Lindri wpatrywał się w niego, mrugając. Jego oczy spoglądały wyzywająco. Bystro.

Darkdaggar poczuł, jak narasta w nim wściekłość. Rozprzestrzenia się jak pożar. Było to wyjątkowo nieprzyjemne uczucie. Jak dzikie zwierzę, nad którym nie da się panować.

A jeśli coś go wyróżniało, to właśnie zdolność panowania nad tym dzikim zwierzęciem. Był praktyczny. Staranny, trzeźwo myślący. W niczym nie przypominał zwierzęcia.

– Nie napijesz się z członkiem Rady, Lindri?

Handlarzowi herbaty trzęsa się ręka. Darkdaggar walnął pięścią w stół. Przewrócił filiżankę. Herbata rozlała się, wypełniając rysy w drewnie, i spłynęła na podłogę cienką żółtą strużką. Jak szczyny.

– Kazałeś mi przynieść dla siebie truciznę... – Darkdaggar wstał. – Kazałeś mi przynieść dla siebie truciznę!

W oczach starca pojawiła się pustka, której nie sposób było nie dostrzec. Wiedział, że umrze.

– Dlaczego? Musiałeś chyba wiedzieć, że to będzie twój ostatni ruch? Jak myślisz, co zrobiliby moi słudzy, gdybym stąd nie wyszedł. Co zrobiłaby Rada? Moja śmierć jest dla ciebie tyle warta, że poświęcasz samego siebie?

Darkdaggar przykucnął obok Lindriego. Spojrzał na jego wełnianą kurtkę z nadprutymi rękawami. Wiszące nitki trzęsły się razem z nim.

– Wyjaśnij mi to, Lindri. Naprawdę chcę to zrozumieć. Nie znasz mnie. Nie masz żadnego powodu, żeby mnie nienawidzić. A więc dlaczego? Co takiego straszego zrobiłem?

Lindri wpatrywał się w dal. Milczący do samego końca.

– Nie... – Darkdaggar wstał. – Nie chodzi o mnie, prawda? Chodzi o niego. O Rimego An-Elderina. Chorego młodzieńca, który zawiódł swój lud. Mimo to chcesz go chronić?

Darkdaggar obszedł stół. Próbował odnaleźć źródło swojej wściekłości. Nie chodziło tylko o to, że handlarz herbaty próbował go otruć. Chodziło o tę ślepą lojalność wobec kogoś, kto zupełnie się nie nadawał do rządzenia jedenastoma krainami. Skąd ona się brała? Co właściwie sprawiało, że Rime był tak niebezpieczny?

– Wiesz... byłem przekonany, że żaden Ciemny Cień nie odwróci się od Rimego. A mimo to Svarteld zgodził się dla mnie walczyć. *Dla mnie*, Lindri! Co za dar! Wtedy byłem chyba najbliższy tego, by uwierzyć w bogów. Ale wiesz, co teraz sędzę? – Darkdaggar pochylił się nad paleniskiem. – Sędzę, że nigdy nie zamierzał wygrać. Ta myśl wkradła się do moich snów. I że zgodził się, bo nikt inny by tego nie zrobił. Że zrobił dokładnie to, co ty: poświęcił życie *dla niego*. – Pomasaował palcami skronie. – Dlaczego? Co Rime kiedykolwiek dla was zrobił? Co w nim tak was porywa? Możesz mi odpowiedzieć?

Lindri zdjął czapkę i położył ją na kolana. Jego usta poruszały się jak w modlitwie, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Darkdaggar postawił przed nim filiżankę i napełnił ją herbatą.

– Nie utrudniajmy tego bardziej, niż to konieczne. – Spojrzał na łyse ciemię starca. Na

pomarszczone dłonie. Mężczyzna, którego własne szaleństwo zawiodło na śmierć. Darkdaggar był pewien, że nigdy tego nie zrozumie. To musiało być jak zakochanie.

Właściciel herbaciarni uniósł filiżankę do ust. Najpierw wziął mały łyk. Potem jednym haustem wypił całą filiżankę. Odstawił ją z takim impetem, że pękła. Czyli jednak pozostały w nim siły?

Wciąż nie było widać, by działo się z nim coś złego. Był jedynie blady i zmęczony.

– Co to jest? Co wypijeś?

Darkdaggar zadał pytanie, ale nie spodziewał się odpowiedzi. Nie otrzymał jej zresztą. Przyniósł z zaplecza czerwoną szkatułkę. Jeszcze mu się przyda. Wrócił i znów usiadł naprzeciw Lindriego.

– Wiem, że on żyje, Lindri. I domyślam się, u kogo poszuka schronienia.

Darkdaggar czekał. Nic się nie działo. Przez chwilę bał się, że się pomylił, ale potem głowa starca zaczęła opadać. Usiłował stłumić jęk. Po chwili osunął się do przodu i oparł twarzą o blat. Garbate plecy unosiły się spazmatycznie, kiedy oddychał. Coraz wolniej. Z coraz większym wysiłkiem.

Darkdaggar podniósł z podłogi szarą czapkę i włożył mu ją na głowę.

– Możesz pocieszać się myślą, że nie umarłeś na próżno. Właśnie rozwiązałeś mój największy problem.

Lindri odwrócił głowę. Wciąż miał dość sił, by spojrzeć mu w oczy. Darkdaggar pochylił się nad nim.

– Ciemne Cienie, Lindri.

Starzec spróbował poruszyć ustami, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Powieki się zamknęły.

Darkdaggar przyłożył dwa palce do jego szyi. Martwy. To było smutne i niepotrzebne. Cóż więcej można powiedzieć? Kolejna śmierć na sumieniu Rimego.

Podniósł monetę błyszczącą przy czole Lindriego. Nigdy nie był chciwy, ale jaki jest sens wyrzucać pieniądze? I miałyby płacić za to, że próbowano go otruć? To by było absurdalne.

Znów sięgnął po pogrzebacz i wysunął z płomieni to irytujące polano. Przyniósł lampki olejne, które stały pod dzbanuszkami na herbatę, i roztrzaskał je na podłodze. Ogień natychmiast zaczął się rozprzestrzeniać. Po chwili lizał już ławy. Trzaskał na owczych skórach, zajął ubranie handlarza herbaty.

Darkdaggar szarpnięciem otworzył drzwi i wyszedł. Kunte i Jarle gapili się na niego. Otarł ręce o płaszcz.

– No cóż... Mogło pójść lepiej – powiedział.

Za jego plecami znów zaczęły płakać dzwoneczki.



DOM HOD

Hirka, naga i świeżo wykąpana, stała na podłodze z przepaską na oczach. Nie po to, żeby nic nie widziała, lecz po to, by inni nie widzieli *jej*. Zielonych oczu. Dowodu, że nie jest Umpiri. Jakby to się dało ukryć. Jakby nie różniła się od nich od stóp do głów.

Wynajęte służące rozmawiały szeptem, wycierając ją i smarując jej skórę olejkami.

Była ślepa. Stała w ciemności otoczona obcymi. Czuła na skórze ich szorstkie dłonie i musiała zmagać się ze sobą, by nie rzucić się do ucieczki. Dyskutowały o każdym najdrobniejszym fragmencie jej ciała, jakby jej tam nie było. Może zakładały, że nie rozumie języka? Rozumiała jednak więcej, niżby chciała. Trzeba było podkreślić jej zalety, ukryć wady. Ta praca trwała już cały dzień.

Najważniejsze były włosy. Ich kolor niezaprzeczalnie podkreślał, że jest wnuczką Rauna. A więc przez całe przedpołudnie siedziała, nic nie widząc, podczas gdy służące myły i splatały jej włosy w jakąś fryzurę, która z pewnością jej się nie spodoba.

Ale to, co *jej* się podoba, nie miało zbyt dużego znaczenia. Najważniejsze było to, co powiedzą w domu Hod i jak ją przyjmą. To spotkanie było ważne do tego stopnia, że nawet jej nie zapytano, dlaczego w nocy wyszła. Ta kłótnia mogła poczekać. Teraz chodziło tylko o to, by przetrwać wieczór.

Czyjeś dłonie wędrowały po jej plecach. Po bliźnie, którą zrobił jej ojciec, gdy była dzieckiem. Hirka się wzdrygnęła. Służące dotykały już jej piersi, ale blizna wydawała jej się bardziej intymna. Bardziej wrażliwa. Zacisnęła pięści. Poczowała ukłucie.

Szpony...

Nie po raz pierwszy dziś o nich zapomniała. Sztuczne szpony, wykonane z najdrobniejszymi szczegółami. Złotnik niezmordowanie wykuwał je w srebrze przez dwanaście dni. Tkwiły na każdym jej palcu, z otworami na stawy, tak by mogła je zginać. Ozdoby. Równie piękne, co nieprawdziwe.

Jedna z kobiet zaczęła ją sznurować. To miało uwydatnić jej piersi, by wyglądała na płodną. Usłyszała, że to jedna z jej mocnych stron. Zawsze sądziła, że ma małe piersi, ale w świecie chudych zwierzęcych Umpiri najwyraźniej wystarczały. Hirka nabrała

powietrza do płuc i wypięła pierś, w nadziei, że kiedy skończą, będzie w stanie oddychać.

Uniosły jej ręce. Naciągnęły przez głowę suknię. Przywierała do ciała. Zasznurowały ją na plecach i na biodrach, tak by leżała obciśle aż do ud.

– Co to ma być? – ostry głos Skerri.

Ktoś natychmiast zaczął poprawiać tkaninę pod pachą Hirki. Równocześnie sznurowano jej buty. Skerri skończyła się cierpliwość. Wszystkich wypędziła. W komnacie została tylko Oni.

Oni zdjęła opaskę. Hirka zamrugła. Uniosła rękę, żeby potrzeć oczy. Skerri chwyciła ją za nadgarstek. Makijaż. O tym też zapomniała.

Na widok Skerri można było oniemieć. W czarnej skórzanej sukni bez rękawów wydawała się jeszcze wyższa. W skórze wytłoczono jakieś wzory. Rowki przypominające zagięte rogi. Przy jej czarnych ustach i włosach wyglądało to dramatycznie. Jakby była bardzo niebezpieczna.

– Pamiętasz imiona wszystkich? – spytała.

Hirka kiwnęła twierdząco głową.

– I wiesz, jak wygląda Jór? Jest najmłodszy. Mało prawdopodobne, by o nim wspomniała, ale jeśli to zrobi, to będzie wielki zaszczyt. Rozumiesz to? Jeśli przejdiesz samą siebie, przedstawi ci go. Wątpię, żeby tak się stało.

– W takim razie sama go znajdę i się z nim przywitam. – Hirka powiedziała to jako żart, ale Skerri najwyraźniej nie była rozbawiona. Przesunęła między szponami warkocze Hirki.

– Myślisz, że w tym wszystkim chodzi tylko o nas, prawda? – szepnęła, utkwivszy w niej spojrzenie białych oczu. – Myślisz, że to ciebie nie dotyczy. Włóczysz się po nocy ulicami, opowiadasz o Evnie i widzających i marnujesz czas, który powinnaś wykorzystać, by przygotować się do tego wieczoru. Do tego, co ma nadejść. Nie rozumiesz, że jeśli my upadniemy, to upadniesz razem z nami.

Hirka spojrzała jej w oczy.

– Chyba uważasz, że warto upaść, jeśli przy tym pociągniesz mnie za sobą.

Z ust Oni wyrwał się ledwie słyszalny, zduszony okrzyk. Dalej gorączkowo owijała ramiona Hirki białymi wstążkami. Był to styl, który tutaj najwyraźniej uważano za dobry, ale Hirce przypominało to bandaż. Tak jak te buty.

Zagryzła wargę. Czekwała na wybuch wściekłości Skerri. Nie nastąpił. Pewnie dlatego, że powiedziała prawdę. Skerri omiotła ją wzrokiem.

– Może być – rzuciła w końcu. Odwróciła się na pięcie i wyszła z komnaty.

Hirka stanęła przed lustrem. Przez chwilę wydawało jej się, że patrzy na obcą osobę. Dziewczynę, której nigdy dotąd nie spotkała. Błądą, z wijącymi się warkoczami, które

opadały na nagie ramiona niczym czerwone węże. Suknia była biała jak śnieg, ale dolna część spódnicy eksplodowała czerwienią.

Wyglądała tak, jakby brodziła we krwi.



Wieziono ich powozami, pierwszymi, jakie widziała Hirka, odkąd tu przybyła. A więc jednak można było nie chodzić pieszo, nie tracąc przy tym twarzy, wystarczyło tylko niepraktycznie się ubrać.

Powozy ciągnęli mężczyźni i to sprawiało, że czuła się nieswojo. Starła się na nich nie patrzeć. Ukryć się pod kapturem. Nie było to trudne, bo uszyto go specjalnie w taki sposób, by zasłaniał jej twarz.

Serce biło jej ciężko. Ścisnęła szkatułkę z sercem Naiella, by przestały jej drżeć ręce. Czuła się jak ostatni głupiec. Jakby przez cały dzień nie należała do siebie. I jakby miało tak być już zawsze.

Obok niej siedział Raun. Ubrany w czerń, z łuskowatymi wzorami na rękawach. Uhere i Skerri siedziały za nim. Pozostałych wiozły kolejne powozy. Jej rodzina... czuła się tak, jakby się dusiła.

Hirka wyjrzała przez okno. Sypał śnieg. Jechali jedną z dróg okrążających krater, aż do domu Hod. Pierwszego. Panującego. Spróbowała powtórzyć sobie wszystkie imiona, ale przychodziły jej do głowy tylko nieliczne. Zupełnie jakby wszystko, czego uczyła ją Oni, zostało wymazane. Jej mózg odmawiał posłuszeństwa.

Hod, głowa rodu. Jej mąż Tyr. Ich syn Jór. Córka Ganei, żona Skrima. Rodzice Skrima, którzy nazywają się... Nie. Mają córkę o imieniu Meime. Żonę...

Oddychaj! Musisz oddychać.

Skerri pochyliła się do przodu.

– Nie zdejmuj kaptura, dopóki nie staniesz przed nimi. Zapamiętaj to! I nie odwracaj się plecami, dopóki...

– Ona to wie, Skerri. – W głosie Rauna słychać było, że jest o tym przekonany. W przeciwieństwie do Hirki.

Powozy zwolniły. Przez padający śnieg widziała otwory w skalnej ścianie. Wydawało się, że w każdym z nich mieści się małe miasto. Przy drodze pojawiły się pochodnie. Płomienie pochylały się na wietrze.

Powozy się zatrzymały. Hirka zmusiła się, żeby wysiąść. Raun położył jej dłoń na plecach. Poprowadził ją. Języki ognia oświetlały podwójne drzwi z kutego żelaza. Miały wysokość dziesięciu mężczyzn i pokryte były wijącymi się węzami wyrzeźbionymi z taką

dokładnością, że wydawały się żywe. Drzwi się otworzyły i powitały ich dwie kobiety. Uśmiechały się i były miłe, ale Hirka nie słyszała ani słowa z tego, co mówiły. Krew szumiała jej w uszach. Przycisnęła szkatułkę do ciała. Była nowa. Już nie proste metalowe pudełko, lecz szkatuła z miki. Ciężka od lodu. I od brzemienia, które miało uratować ród. Serce, które miało przywrócić wielkość rodowi Graala.

Jeśli jej się uda, być może to wystarczy. Graal odzyska spokój. Krainy Ym będą bezpieczne. Rime uratowany.

Rime.

Zatęskniła za nim tak nagle, że zabrakło jej tchu. Niemal słyszała, jak szepcze jej imię. Jego ochryply, ściszony głos przy uchu. Pocałunek sprawił, że ten głos stał się jeszcze głębszy. Jakby Hirka przedarła się do jakiegoś jądra, którego żadne z nich dotąd nie znało. Było niebezpieczne, ale należało do niej. To tam było jej miejsce.

A więc co tutaj robi? To nie jest jej dom. Nie jej rodzina. Może poprzez krew, ale nigdy nie mogłaby się stać taka jak oni. Nie przeżyłaby tutaj, w takiej społeczności.

Rime się w czymś takim wychował. Jest An-Elderinem.

Ta myśl pomogła jej się wyprostować. Rime zawsze to robił. Stał prosto. Choćby świat wokół się walił. Jeśli był w stanie znieść życie jako syn rodu zasiadającego w Radzie, to ona wytrzyma te kilka miesięcy. A przynajmniej ten jeden wieczór, bo może następnych nie będzie.

Ale nawet Rime nigdy nie doświadczył takiego przepychu, jaki zastała tutaj. Dom był większy, niż mogła potrzebować jakakolwiek rodzina. Szli przez korytarze i sale z wysokimi, witrażowymi oknami. Przypominały wieżę Widzącego. Naiell wiele stąd zaczerpnął. Widzący. Rody zasiadające w Radzie. Jakie były krainy Ym, zanim się zjawił?

Królowie. Królewski ród z Kruczego Dworu.

Weszli do sali, która wydawała się wieczna. Łukowate sklepienie odbijało się w posadzce. Hirka miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Po drugiej stronie sali rozmawiała jakaś grupka. Zrobili to, co zwykle robili Dreyri: ubrali się tak, by pokazać swoje ciała, nie wyglądając przy tym, jakby za bardzo się starali.

Górnej części ciała jednej z kobiet nie pokrywało nic prócz nitek. Mężczyzna miał na sobie koszulę w takim stanie, jakby walczył w niej na noże, ale najwyraźniej było to zamierzone. Dwie kobiety nosiły bluzki bez rękawów i spódnice z dziurami na brzuchach, jakby chciały obwieścić wszystkim, że są płodne. Że mogą sprawić, by było ich więcej. Wydawało się, że to jedyna siła napędowa w tym świecie.

Hirka szła dalej przed siebie, nie mając pojęcia, jak to możliwe, że nogi nie odmawiają jej posłuszeństwa.

Zbliżali się do mężczyzny i kobiety, którzy siedzieli na tronach przypominających

postawione pionowo łodzie. W kokonach z desek, które zbiegały się za ich plecami w spiczasty dziób. Ich twarze wyrażały pobłażliwość, jakby woleli stać, ale musieli tutaj siedzieć.

Hod. Hod i jej mąż Tyr. Hod i Tyr. Pamiętaj imiona.

Prowadzące ich kobiety przystanąły. Hirka uczyniła to samo. Przez cały czas nie podnosiła głowy. Wpatrywała się w czarne buty Hod. Usłyszała, jak Raun i Modrasme wymieniają zwyczajowe uprzejmości. Cieszyła się, że nie musi w tym uczestniczyć.

Potem Hod wstała.

– Hirka?

Hirka podniosła wzrok i ściągnęła kaptur.

– Hod, to dla mnie zaszczyt. Jestem Hirka, córka Graala, syna Rauna z domu Modrasme – odparła, nie mając pojęcia, czy słowa zabrzmiały tak, jak powinny.

Hod nie przypominała żadnej kobiety, jaką Hirka dotąd widziała. Niezwykle skośne oczy i szczupła twarz wyglądały niesamowicie. Urzekająco i wyjątkowo. Hod przywodziła na myśl mrużącego oczy ptaka. I była zapewne jedną z najstarszych istot na świecie.

We wszystkich światach.

Nosiła suknię cienką jak tiul, a kaptur tak ściśle przylegał do jej głowy, że Hirka w pierwszej chwili pomyślała, iż to jej włosy. Dekolt sięgał aż do połowy brzucha. Gdyby zbyt szybko się odwróciła, pewnie piersi wysunęłyby się spod niego. Ale Hod nie wykonywała żadnych gwałtownych ruchów.

Ruszyła w stronę Hirki, powoli i dostojnie, śledzona spojrzeniami wszystkich zebranych w sali. Pochyliła się. Wciągnęła zapach Hirki ze znacznie większą elegancją niż ktokolwiek dotychczas. Była tak blisko, że Hirka słyszała jej oddech.

– Boisz się, Hirko? – szepnęła jej do ucha.

Hirka ścisnęła spoconymi dłońmi szkatułkę. Tak, bała się. Wielkich rzeczy i tych najdrobniejszych. Bała się, że zawiedzie. Bała się konsekwencji. Bała się spuścić wzrok i zobaczyć o wiele więcej ciała Hod, niż powinna.

– Byłabym skończonym głupcem, gdybym się nie bała – odszepnęła.

– Mmmm... A nie jesteś, prawda? – Nie zabrzmiało to jak pytanie. Hod się wyprostowała.

Hirka podała jej szkatułkę. Szukała w sobie sił, by jej głos zabrzmiał donośnie.

– Jestem Hirka, córka Graala, syna Rauna z domu Modrasme, trzydziestego trzeciego. Przynoszę dar dla Hod i Tyra z domu Hod, pierwszego. Oto, co zostało z Naiella, który was wszystkich zdradził.

Hirka nie miała wątpliwości, że Hod już wie, co zawiera szkatułka. To było tylko przedstawienie dla reszty zebranych. Hod przyjęła podarunek i szczupłym szponem

unosła wieczko. Przyjrzała się sercu. Reszta jej półnagiej rodziny zebrała się wokół nich.

Hod głęboko wciągnęła powietrze. Wciągnęła w nozdrza woń serca. Wstrzymała oddech, jakby żywiła się tym zapachem. Jakby chciała stać się z nim jednym.

– Pamiętam cię... – szepnęła. Jej głos był ochryply z pogardy.

Mówiła o Naiellu. O Naiellu, z którym Hirka podróżowała po świecie ludzi. O Naiellu, który spał na belkach pod sufitem, potrafił wbić szpony w kurczaka, sprawiając, by w jednej chwili zniknął, i aż do końca bał się brata. Jego śmierć popychała ten lud naprzód. To było groteskowe. Żądza zemsty w najszykaradniejszej postaci. Zachłanność, która przyprawiała Hirkę o dreszcze. Chcieli budować przyszłość na sercu wroga.

Cieszyła się, że Naiell nie żyje. Po raz pierwszy była zadowolona, że tak się stało. Wdzięczna za to, że nie musiał się znów spotkać ze swoim ludem i stanąć twarzą w twarz z taką nienawiścią. Rime go zabił. Ale to był akt łaski, który oszczędził Naiellowi o wiele gorszego losu. Gdyby myślała, że jest inaczej, byłaby nieskończenie naiwna.

Rime nie był jego zabójcą. Rime był jego wybawcą.

A ja bez słowa pozwoliłam mu odejść.

Hod zamknęła szkatułkę i spojrzała na Hirkę.

– Przynosisz mi serce zdrajcy. Dałaś nam naszego wroga, więc ja ci dam twojego.

Ledwie dostrzegalnie dała znak ręką i tuż za tronami otworzyły się drzwi. Weszła kobieta, ciągnąc za sobą mężczyznę. Z trudem za nią nadążał, nie miał jednak wyboru. Prowadziła go na smyczy. Na złotym łańcuchu, który był osadzony bezpośrednio w jego szyi, nie na obręczy. Przystanęli. Hirka nie rozumiała, co powinna teraz zrobić.

Kto to jest? Wpatrywała się w mężczyznę. Stał z pochyloną głową, ubrany w przypominającą worek szatę. Miał krótkie, jasne włosy. Kobieta uniosła mu podbródek i podchwycił spojrzenie Hirki.

Miał oczy takie jak ona. Jak ætlingowie. Żywe, bladoniebieskie oczy. Policzki były zapadnięte. Na czole blizna. Zrozumienie było jak uderzenie w brzuch. Hirka cofnęła się o krok.

Urd. To był Urd.



Urd zmienił się nie do poznania, ale nigdy nie potrafiłaby zapomnieć tych oczu. Napłynęła gwałtowna fala wspomnień. Gdy widziała go ostatni raz, odrąbała mu ogon. Osunął się na kolana. Pluł krwią. Wyrzucił z siebie tkwiący w gardle dziób.

Góra Bromfjell się rozstała. Eksplodowała czerwonym płynnym ogniem, a martwo urodzeni zaciągnęli go między kamienie.

Co z nim zrobili? Wydawał się młodszy i starszy równocześnie. Młodszy, bo nie miał brody, a włosy były krótko ostrzyżone. Starszy, bo policzki jeszcze bardziej się zapadły. Skóra miała ziemisty odcień. Zniknął znak Rady na jego czole i w jego miejscu pojawiła się wściekle czerwona blizna.

Stał zaledwie kilka kroków od niej. Mężczyzna, który próbował złożyć ją w ofierze ślepym. Gdyby nie on, może by jej tutaj nie było. Może wciąż żyłaby w krainach Ym. W pokoju. W Kruczym Dworze. Albo z Rimem...

Rozpoznał ją. Postąpił o krok bliżej, ale chyba przypomniał sobie o pierścieniu, bo zaraz się zatrzymał. Drżały mu kąciki ust. Wydawało jej się, że chce coś powiedzieć, ale po chwili zrozumiała, że próbował się nie rozplakać.

Po raz pierwszy, odkąd tu przybyła, spojrzała w czyjeś żywe oczy, i to miały być oczy Urda? Uderzyło ją, jakie to absurdalne. Bogowie z niej zakpili.

Hod podeszła bliżej. Hirka kącikiem oka dostrzegła jej niemal nagie ciało, ale nie była w stanie oderwać wzroku od członka Rady.

Myśl! Nie zapominaj, dlaczego tu jesteś!

Musiała być Dreyri. Stawka była o wiele za wysoka, by mogła teraz popełnić błąd. Nawet w obliczu tego.

Hirka spojrzała Hod w oczy. Kobieta się uśmiechnęła, wyraźnie zadowolona.

– Zajmiemy się twoim wrogiem, dopóki ten wieczór się nie skończy. Potem będzie twój. Możesz z nim zrobić, co zechcesz. Mamy wiele propozycji, ale z tego, co słyszałam, pewnie go nagrodzisz, czyniąc z niego swojego sługę.

Goście na sali wybuchnęli śmiechem. Patrzyli na nią, wszyscy. Chcieli ją sprawdzić. Zmusić do reakcji. Spojrzenie Rauna stało się niemal błagalne. Skerri próbowała stłumić wściekłość. Ściągną na jej szyi się napięły. Vanie drżały usta. Modrasme odwróciła wzrok, jakby już przegrała. Jakby wiedziała, że Hirka okaże się rozczarowaniem.

Co miała zrobić? Zaprzeczyć? Obiecać, że Urd będzie długo cierpieć, zanim umrze? Czy to by z niej uczyniło jedną z nich? Czy dzięki temu wkradłaby się w łaski Hod i podniosła statut domu Modrasme?

Nie. Musiała pokazać, że odpowiada za swoje czyny. Za to, że oszczędziła Kolaila. Ale musiała podać im powód, który będą szanować. A Dreyri potrafili zrozumieć tylko jedno: nieustraszoną siłę.

Hirka zebrała myśli. Zastanowiła się nad tym, co chce powiedzieć i jak to wyrazić w mowie ślepych.

– Istnieje jakiś powód, bym nie robiła z niego sługi? – zapytała z udawaną prostotą.

– Jest twoim wrogiem – odparła Hod.

Znów rozległy się śmiechy.

Hirka lekko ugięła kolano, by okazać Hod szacunek.

– Boję się *ciebie*, pani. I boję się słusznie. Ale mam się obawiać moich wrogów? Mam ich zabijać, żeby móc spokojnie spać po nocach? Nie. Nie boję się go. Ani jego, ani upadłego. Obaj mogą zamiatać podłogę w mojej komnacie.

Hod przekrzywiła głowę. Mrugnęła jak ptak. Wydawało się, że ma ruchome i górne, i dolne powieki; kiedy mrugnęły, spotkały się pośrodku oczu.

Hirka wstrzymała oddech. A wtedy najpotężniejsza kobieta na świecie wybuchnęła śmiechem. Brzmiało to jak śpiew wydobywający się z głębi gardła. Szybko zaraziła tym wszystkich wokół. Jej mąż Tyr z lekkim uśmiechem kiwnął głową do Hirki. Rozparł się na swoim tronie. Nosił koszulę ozdobioną futrami i piórami. Nieposkromiony barbarzyńca.

– A więc *jest* jedną z nas! – powiedziała Hod, przekazując szkatułkę mężowi. – Hirko, córko Graala, syna Rauna z domu Modrasme, witam cię w domu Hod i w Ginnungad!

Pozostali zaczęli uderzać pięściami o pierś. Deklaracja poparcia, choć dość dziwna. Hirka zerknęła w stronę swojej rodziny. Raun i Uhere usiłowali nie okazywać emocji.

Hod przywołała do siebie gestem mężczyznę, który wydawał się młodszy od pozostałych. Miał złociste, nierówno przycięte włosy i węża namalowanego na nagim torsie.

Jór. Najmłodszy syn rodu.

– Hirko, słyszałam, że zachwyca cię wszystko, co rośnie – powiedziała Hod. – Że kochasz zioła i herbatę. Przekonasz się, że mamy tu najlepsze zbiory na Dreysíl. Mój syn Jór pokaże ci, co możemy zaoferować. Zaprowadzisz ją, Jór?

– Z przyjemnością, matko. – Jór posłał Hirce olśniewający uśmiech. Tak szeroki, że jego kły wydały się niegroźne. Wskazał ręką w stronę kruzganków.

Zaświtało jej w głowie, że powinna za nim pójść.

Hirka ukloniła się Hod i wycofała o kilka kroków. Uważała, by nie odwrócić się do niej plecami. Zerknęła pytająco na Rauna i Skerri. Raun ledwie zauważalnie kiwnął głową. Czarne usta Skerri się rozchyliły, jakby chciała coś krzyknąć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Do Hirki dotarło, że rozdziawiła usta.



KRWAWY KSIĘŻYC

Wiosenne roztopy w Gnieździe Ślepych oznaczały bardziej niż zwykle niebezpieczne moczary i osuwające się ścieżki. Rimego kosztowało to dodatkowy dzień drogi z Kruczego Dworu, ale teraz zbliżał się do obozu. Przed nim wisiał ostatni most, który zdawał się prowadzić ku ciemnopomarańczowemu księżycowi w pełni.

Górskie szczyty porastał gęsty las. Sękate sosny potrafiły sobie znaleźć oparcie nawet na pionowych urwiskach. W ciemności słyszał plusk wody. Nad jego głową kruk wydał z siebie ochrypy okrzyk. Rime zaczerpnął Evny. Wiedział, że to uspokoi ptaka.

Gniazdo Ślepych w ciemności... Nie istniało piękniejsze miejsce na świecie. A może tak podniosło go na duchu poparcie Eirika?

Nie spodziewał się niczego innego, ale to spotkanie naprawdę dodało mu sił. Dobre rozmowy i dobre jadło. Nieważne, że był Ciemnym Cieniem, w Kruczym Dworze po prostu można było cieszyć się posiłkiem.

Czasem Rime miał wrażenie, że Eirik zna Radę lepiej niż on sam, bo wódz od dawna już nie czuł gniewu. Wiedział, co musi zrobić. Wiedział, jak głęboko sięga problem.

Eirik był tam tej nocy, kiedy Rime pokonał zabójcę nasłanego przez Darkdaggara. Przewidział, że Mannfalla obciąży tym Kruczy Dwór. To go nie zaskoczyło. To samo dotyczyło nabyrnów. Mieszkańcy Kruczego Dworu widzieli ślepych na własne oczy.

Potem Eirik wysłuchał jego opowieści o martwo urodzonych braciach i o wyprawie do świata ludzi. Słuchał, póki nie wróciły kruki, i nie uważał, że Rime postradał rozum. A gdy Rime skończył opowieść, Eirik poklepał go po plecach i powiedział, że piwo potrafi rozwiązać większość problemów.

Rime uśmiechnął się na to wspomnienie. Eirik dostrzegał to samo co on. Widział nadciągającą burzę. Wojnę na dwa fronty, przeciw martwo urodzonym i przeciw Mannfalli. Wojnę, której nie da się przetrwać, a tym bardziej wygrać bez Ciemnych Cieni.

Nie musisz pozyskiwać Ciemnych Cieni. Już są twoi.

Pozegnalne słowa wodza. To one dodawały mu teraz sił. Nadzieja i zaufanie.

W oddali rozbrzmiał gong. Rimemu zdawało się, że nawet z daleka słyszy słabe echo

z obozu. Wieczera... Jeśli się pośpieszy, jeszcze zdąży.

Przeszedł przez most i puścił się biegiem przez las. Pachniało wilgotną ziemią. Śmiercią i nowym życiem. Ziemię pokrywały gnijące liście i liczył się z tym, że jutrzejszy trening będzie polegał na ich zbieraniu i niszczeniu w najbardziej wyrafinowany i najtrudniejszy z możliwych sposobów.

Drzewa się rozstąpiły i zobaczył obóz. Ciemne Cienie siedziały przy kilku ogniskach. Odziani w czerń mężczyźni o znajomych twarzach, które przypomniały mu, że już nigdy nie będzie sam. Nie po dzisiejszym wieczorze.

Musiał tylko odnaleźć Orję.

Dostrzegł ją przy najmniejszym ognisku, wraz z przywódcami. Tymi, którzy powinni zamiast niej zająć miejsce Svartelda. Mimo to ją poparli. Pokazali, jak błędne były oczekiwania Rady.

Rime poczuł woń rosołu z dziczyzny i zaburczało mu w brzuchu. Ale to musiało poczekać. Podeszedł do nich. Orja wstała na jego widok.

– Co powiedział Kruczy Dwór?

Rime się uśmiechnął.

– Ja też ciebie witam.

Z wahaniem odpowiedziała mu uśmiechem.

– Dobre wieści?

Rime musiał się zastanowić. Nie mógł powiedzieć wszystkiego. Orja była niezdecydowana, ale wciąż lojalna wobec Rady.

– Eirik rozesłał wieści. Kruczy Dwór nie jest sam. Wystąpią przeciw Mannfalli. I przeciw Darkdaggarowi. Są silni. Nie możemy dłużej czekać, Mistrzynie. Ciemne Cienie muszą wybrać, po której stronie się opowiedzą.

Przy ogniskach zapadła cisza. Nagle wszyscy wydawali się zajęci pić herbaty. Orja kiwnęła głową, by poszedł za nią. Odeszli kawałek dalej i przystanęli pod sosnami, otoczeni ciemnym igliwem.

– Rime, już ci to mówiłam. Ciemne Cienie nie mają wyboru. Inni wybierają za nas. Od początku taka była nasza rola. Rozumiem, czego chcesz, i wiem, że to trudne, ale musisz pojąć...

Rime chwycił ją za ramię.

– Orja, obiecałaś...

– Obiecałam, że się nad tym zastanowię! Dopóki nie będziemy wiedzieć więcej. Ale nie jest tak, jak myślisz. Mylisz się co do Darkdaggara.

Przekonanie w jej głosie było czymś nowym. Świeże jak pączki na drzewach. Rime z trudem ukrył odrazę. Puścił ją.

– Co się stało?

– Co masz na myśli?

– Nie udawaj! Nie sądzę, żeby dało się ciebie kupić, więc musi chodzić o coś innego. Co się stało? Dlaczego nagle znowu nie mamy wyboru? Mistrzynie? – Wypowiedzenie jej tytułu przyszło mu z trudem.

Westchnęła. Potarła ręką czoło.

– Nie żeby to ciebie dotyczyło, ale ponieważ pytasz, odpowiem ci. Rada udowodniła, że chcą nas wysłuchać. To nie tylko puste słowa, Rime. Byli tutaj.

– Kto tu był?

– Garm Darkdaggar i Freid Vangard. Z garstką gwardzistów. Mówili o problemach, przed którymi stoi Rada. Byli szczerzy, Rime. Pytali, czy mamy wszystko, czego nam potrzeba. Chcą nam dać więcej swobody i więcej środków. I są autentycznie zainteresowani tym, w jaki sposób działamy. – Spojrzała na niego i odpowiedziała na pytanie, zanim je zadał: – Nie, nikt nie powiedział mu o tobie. – Spuściła wzrok. Zgniotła stopą szyszkę. – Rime, Rada zdaje sobie sprawę, że nie może mieć wojska, nad którym nie panuje...

Rime zaśmiał się ponuro.

– Więc tylko tego było trzeba? Dwoje członków Rady przyjeżdża z wizytą, by uścisnąć ci dłoń, i nagle już nie mamy wyboru?

Kąci jej ust drgnęły ze złości.

– Uważaj, Rime. Twoje nazwisko już ci nie pomoże.

Odwróciła się, żeby odejść. Zatrzymał ją.

– Nie rozumiesz?! Wiedzą, że to zależy tylko od ciebie! W przeciwnym razie, po co by tu przyjeżdżali?

Orja spojrzała na niego. W miejsce złości pojawił się smutek, jakby było go jej żal.

– To właśnie pokazuje, jak bardzo się mylisz. Nie byli tylko tutaj, byli w każdym obozie w całym Gnieździe Ślepych. Musisz dać sobie z tym spokój, Rime.

– W każdym obozie? Po co mieliby... – Nagle pojął. To zmroziło mu krew w żyłach. Puścił Orję. – W każdym obozie?!

Cofnęła się o kilka kroków, jakby był nieobliczalnym dzikim zwierzęciem. Szaleńcem. Był nim? Rozejrzał się. Mężczyźni cicho rozmawiali przy ogniskach. O Mannfalli. O obrażeniach odniesionych podczas treningu. O pogodzie. Ich głosy brzmiały jak pełen zadowolenia pomruk. A jednak... wyczuwał każdym mięśniem, że coś jest nie tak.

Potem dostrzegł pierwsze oznaki. Jeden z Ciemnych Cieni wstał. Powiedział, że źle się czuje. Ruszył w stronę chat, ale po kilku krokach upadł i znieruchomiał na ziemi. Podbiegło do niego trzech innych.

Jedzenie!

Rime gorączkowo szukał wzrokiem, ale miski po zupie już zebrano. Przy ognisku ktoś jęczał. Ktoś inny próbował wstać, ale ugięły się pod nim nogi. Osunął się na kolana i został tak, na gnijących liściach. Czarka wysunęła mu się z ręki i potoczyła po ziemi.

Rime rzucił się biegiem.

– TO HERBATA! NIE PIJCIE HERBATY! – Krzyczał tak, że paliły go płuca, ale jego słowa utonęły w zamieszaniu. W okrzykach bólu. Jękach mężczyzn, którymi wstrząsały skurcze, i nawoływaniach tych, którzy na próżno usiłowali im pomóc.

Rime wpadł między nich. Wytrącił czarkę z rąk Jemego. Ten spojrzał na niego leniwie i osunął się do ogniska. Rime potrząsnął jego bezwładnym ciałem. Odciągnął go od ognia.

– Jeme! – Szarpał go. Wepchnął mu dwa palce do gardła, by wymiotował.

Z ust Jemego trysnęła jasna zupa, ale jego oczy były martwe.

Orja...

Rime rozejrzał się. Zobaczył, że opiera się o drzewo za jego plecami i zaciska obie ręce na brzuchu. Ale przynajmniej trzymała się jeszcze na nogach. Ich spojrzenia się spotkały. Zrozumienie przebiło się przez rozpacz. Skinęła głową. Wsunęła sobie palce do gardła i wymiotowała.

Jeme w jego ramionach stał się jeszcze cięższy. Sygnał, że powinien coś zrobić. Musiał coś zrobić. Ale co?

Na ziemi leżeli mężczyźni. Wstrząsani konwulsjami. Ich ciała drgały jak we śnie. Powoli, jakby czas przystawał. Widział tych, którzy próbowali postawić na nogi przyjaciół. Mężczyzn, którzy siedzieli jak sparaliżowani i tylko się przyglądali. Chaos wśród ubranych na czarno postaci. Burzę, którą tylko widział, ale jej nie słyszał.

To było tak jak wtedy, gdy walczył ze Svarteldem. Niemy koszmar. Ale to nie byli obcy. To było wszystko, co miał. Jego dom. Jego wojownicy. Jego życie.

Nie mogą mieć wojska, nad którym nie panują...

Rime przycisnął do siebie Jemego. Jego ciało było ciężkie, martwe. Ukrył twarz w jego włosach. Woń dzisiejszego potu. Jeme, który przyjął go z otwartymi ramionami. Wciąż miał żywo w pamięci jego słowa.

Zawsze się spóźniasz na wieczerzę.

Zawsze się spóźniał. Zawsze.

Zrobiło mu się zimno. Dłonie były spocone. Żołądek zaciśnięty. Jakby chciał coś z siebie wyrzucić. Krzyk, który nie przypominał niczego, co znał. Usłyszał go. Zdał sobie sprawę, że to on krzyczy. Zdusił krzyk, chowając twarz we włosach Jemego. Przez chwilę był pewny, że to nie dzieje się naprawdę. Że tylko śni. Ale w takim razie dlaczego czuł zapach Jemego? Widział porysowaną czarkę leżącą na ziemi?

Sygnaly ostrzegawcze. Wiedział o tym. Zacerpnął Evny. Czerpał, by przetrwać. By stłumić szok. Evna szalała w jego ciele jak burza. Nie potrafił nad nią zapanować. Usłyszał szept Hlosniana.

Nic nie żywi Evny tak jak krew.

Rime pozwolił Jememu osunąć się na ziemię. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło. Chwila. Godzina. Dzień.

Podźwignął się na nogi. Zobaczył, że nie jest jedyny. Kawalek dalej stał Stiar pośród ciał zmarłych. Błede twarze na tle ciemnej ziemi. Kolejni leżeli wzdłuż ścieżek. I wiedział, że jeśli wejdzie do chat, tam również ich znajdzie.

Podszedł do Stiara. Miał zapłakaną twarz. Wydawał się zupełnie zdezorientowany.

– Nie mogę... po niej spać – powiedział z bolesnym zdumieniem. – Zawsze starałem się jej nie pić.

A ja zawsze się spóźniam.

Rime się rozejrzał. Ciężar tego, co widział, był niczym kamień u szyi. Absurd. niesprawiedliwość. Podły czyn, który nie miał sobie równych. Który nie miał prawa się wydarzyć. Teraz były tylko dwie możliwości. Poddać się albo podnieść głowę.

Położył rękę na ramieniu Stiara. Patrzył mu w oczy, póki się nie upewnił, że ten jest w stanie przytomnie myśleć.

– Stiar, przeszukaj obóz. Sprawdź, czy ktoś jeszcze żyje. Rozumiesz? Ja zapalę ogień na alarm.

Stiar się wzdrygnął, jakby się obudził. Kiwnął głową.

Rime wyciągnął z ogniska polano, które paliło się tylko z jednej strony, i rzucił się biegiem do stosu sygnałowego. Mieścił się po północnej stronie, by był widoczny z innych obozów. Nie miał pojęcia, z ilu. Za jego życia nic nie zagroziło Ciemnym Cieniom. Nigdy im nic nie zagroziło.

Musiał zapalić ogień. Ostrzec ich. Może zdąży ich powstrzymać. Powstrzymać wieczność. Wyciągnie ich z obozów, by przybyli sprawdzić, co się tu dzieje. Wiedział jednak, że jest już na to za późno. Ciemne Cienie miały rutynę we krwi i ta rutyna ich wszystkich zabiła.

Roztrzaskał nad stosem dzbanek z oliwą. Rzucił polano. Natychmiast buchnął ogień. Płomienie pożerały drewno, ale nigdzie nie zapalały się inne stosy. Rime zapatrzył się w mrok. W Gnieździe Ślepych nigdy nie było tak ciemno. Płomieniom odpowiedział tylko księżyc. Okrągły i czerwony. Jak dziura na nocnym niebie.

– Nie żyli. Wszyscy byli martwi.

Rimego ogarnęło odrętwienie. Ogień ogrzewał go z jednej strony. Druga strona marzła. Darkdagggar pozabijał własnych ludzi. Swoją niezdiscyplinowaną armię. Nawet w Słoknie

nie doszłoby do czynu tak podłego. Jak oni mogli? Jak Rada mogła poprzeć...

Rada!

Pewność. Błyskawica w bólu. Nie poparli tego. Rada nigdy nie zgodziłaby się na te morderstwa. Nigdy. Darkdaggar nie byłby w stanie ukryć swojego współdziałania. A jednak to zrobił. To mogło oznaczać tylko jedno.

Zamierza obalić Radę!

Rime pobiegł skrajem urwiska. Gałęzie smagały go po twarzy. Biegł. Czuł w ustach smak krwi, ale biegł dalej. Musiał ostrzec Jarladina. Resztę Rady. Wszystkich, którzy nie siedzieli w kieszeni Darkdaggara.

Są w niebezpieczeństwie!

Stanął jak wryty po drugiej stronie góry. Na horyzoncie pulsowała czerwona poświata. Eisvaldr płonął.



RYK

Czekanie było nie do zniesienia. Hirka splotła palce i pochyliła się do przodu. Siedziała, wpatrując się we własne uda. Czuła się naga. Zziębnięta. A przecież nie wyszli jeszcze z domu.

Nawet przez kamienne ściany słyszała głosy tysięcy Umpiri, którzy tłoczyli się na ulicach, kierując się do krateru. Do Języka Mówców. Minie kilka godzin, nim zapełnią się wszystkie miejsca. Śmiech i okrzyki mieszały się z innymi dźwiękami w chaotyczny pomruk. Zbierało się całe Ginnungad. Z jej powodu.

Nikt z nich nie wiedział jeszcze, w jaki sposób zostanie przedstawiona. Owszem, jako Hirka z domu Modrasme, ale czy dom wciąż będzie trzydziesty trzeci? Czy awansują w hierarchii? Albo... może spadną? Czy pojawienie się Hirki zepchnęło ich jeszcze niżej niż kiedyś za sprawą Naiella?

Tego nie dowie się nikt, dopóki nie przyjadą powozy z domu Hod. A wraz z nimi przyszłość rodu.

Skerri chodziła w tę i z powrotem, obgryzając szpony. Uhere poprawiała sobie włosy. Upinała je spinką, a potem ją wysuwała i zaczynała od nowa. Raun głaskał ją po plecach. Nawet Vana nie była dziś arogancka i co rzadko jej się zdarzało, nie obściskiwala się ze swoim ukochanym. Ta chwila należała do rodziny, nie do kochanków.

Modrasme siedziała przy oknie. Srebrzyste włosy opadały jej na kolana. Miała prawie cztery tysiące lat. Jeśli kiedyś miewała zmienne nastroje, to już dawno minęło. Jej twarz zastygła w wyrazie braku oczekiwań. Jakby nic jej nie dotyczyło. Wszystko było skazane na to, że i tak okaże się rozczarowaniem. Raun nazwał kiedyś swoją matkę *sekhthainari*. Nieprzetłumaczalne słowo. Najlepszym, co przychodziło Hirce do głowy, było „otulona bólem”. Oznaczało to kogoś, kto lubi się pławić we własnym cierpieniu. Pielęgnować je. Ale nawet Modrasme nie była w stanie ukryć radości po spotkaniu w domu Hod.

Poszło dobrze. Tak się Hirce wydawało. W dobrych chwilach. W innych była przekonana, że dopuściła się jakichś okropnych gaf, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Może odrzuciła do tyłu warkocze i obraziła tym przodków albo zrobiła coś równie

potwornego.

Nie wiedziała tego. Wszystko spoczywało w rękach kogoś innego. I wkrótce poznają odpowiedź. Liczbę. To była jedynie liczba. Dla niej bez znaczenia. Dla wszystkich w tej komnacie sprawa życia i śmierci. Wiedziała jednak, że jeśli jej się powiodło, to przywróci Graalowi cześć. Może wtedy pozwoli jej odejść? Wrócić do Ym i spokojnie żyć?

Głupia dziewczyno...

Do komnaty wbiegł łysy sługa Skilborr.

– Powozy nadjeżdżają!

Wszyscy zerwali się na nogi. Strzepnęli nieistniejący pyłek ze strojów, unieśli głowy. Hirka wstała. Zaskrzypiała skóra. Nie nosiła już sukni. Teraz była wojowniczką z długiego szeregu tych, którzy muszą pokazać, jak niewiele potrzebują ochrony. Miała na sobie tylko skórzane rzemienie i pasy zaciskające się na piersi jak uprząż. I krótką spódniczkę przymocowaną po bokach metalowymi pierścieniami jak ogłowiu konia. Tym właśnie teraz była. Koniem. Zwierzęciem użytkowym.

Dźwięk kołatki odbił się echem w korytarzach. Skilborr i Oni pośpiesznie wyszli i wrócili z zarumienionymi policzkami. Wszyscy sądzili, że przyprowadzą posłańca. Ale to był Jór. Najmłodszy syn z domu Hod. Nikt się go nie spodziewał.

Uhere dotknęła ręką piersi, jakby płuca odmówiły jej posłuszeństwa. Modrasme wstała. Jej włosy opadły aż do pasa.

Jór w rozbijającym geście uniósł rękę.

– Formalności mogą poczekać – powiedział z szerokim uśmiechem. Podał Modrasme ciemny krążek, taki jak zaproszenie, które ostatnio dostali. – Chciałem przekazać go osobiście i jako pierwszy wam pogratulować. Nie śpieszcie się, poczekam przy powozach. Ale krater zaczyna się zapełniać, więc wkrótce powinniśmy wyruszyć. – Mrugnął do Hirki i cofnął się o kilka kroków, po czym odwrócił się i wyszedł. Nie był w żaden sposób zobowiązany do okazywania takiej uprzejmości.

Modrasme uniosła krążek i w milczeniu przeczytała, co na nim napisano.

Potem usiadła i podała go Raunowi.

– Co piszą? – Skerri pochyliła się nad nim. Raun spojrzał na nią.

– Jesteśmy siódmym domem... – W jego głosie słychać było powątpiewanie.

Oczy Skerri się rozszerzyły. Wyrwała mu krążek. Przebiegła spojrzeniem po tekście, jakby chciała się upewnić, czy się nie pomylił.

Raun chwycił dłoń Modrasme. Ujął ją w obie ręce.

– Matko, jesteśmy siódmym domem. Siódmym. Słyszysz? Jesteśmy z powrotem w Radzie. – Przy ostatnich słowach załamał mu się głos.

Nie czekał na odpowiedź. Podeszedł do Hirki i kucnął przed nią. Ujął w dłonie jej twarz.

– Siódmym, Hirko...

Kiwnęła głową. Po jej policzkach zaczęły spływać łzy. Dlaczego? Co to dla niej znaczyło? To nigdy nie było częścią jej życia. Ale wielki ród się cieszył. Martwo urodzeni, którzy od chwili jej przybycia okazywali mniej więcej tyle uczuć co kamień. Teraz żyli. Teraz czuli.

Raun zacisnął pięść i zasłonił nią usta. Jakby chciał ukryć, że płacze. Skerri stała z zamkniętymi oczami. Modrasme położyła jej rękę na ramieniu. To był jedyny fizyczny kontakt, jaki Hirka między nimi widziała. Uhere objęła swojego chudego ojca i jego żonę. Vana jako pierwsza wybuchnęła śmiechem. Żeby rozpocząć dyskusję. Ilu mężczyzn i ile kobiet teraz dostaną? Jak liczną służbę? Czy będą się musieli przeprowadzić i kiedy?

Raun potrząsnął głową.

– Tysiąc lat... Tysiąc lat byłem ojcem zdrajcy. A teraz...

Hirka czuła na policzku ciepło jego dłoni.

– Krew z mojej krwi – dokończył.

– Musimy ruszać – odezwała się Skerri za jego plecami.

Hirka zarzuciła pelerynę i skierowała się w stronę powozów. Nie chciała, by teraz ktoś ją widział. Byli tacy szczęśliwi. Tacy dzicy. Tacy obcy.

To jednak nie oni mieli stanąć przed wszystkimi martwo urodzonymi z Ginnungad.



Dom Hod miał wiele pięter. Wiele, wiele sal w skalnej ścianie. Hirka stała sama w jednej z nich. Otaczały ją czarne ściany, które wyglądały jak kłębowisko węży. Utkane z Evny na długo przed wojną. Węże się wiły, w świetle długiego rzędu latarni wyglądały jak żywe. Nad nią wznosiły się okna z evnoszkła. Zabarwiały na popielaty kolor tłum na zewnątrz.

Było ich wielu. Tak wielu, że wręcz nie mogła ich ogarnąć wzrokiem. Jakiś czas temu zaczęło się ściemniać. Wokół krateru na wszystkich wysokościach płonęły latarnie.

Hirka wsunęła palce do ust. Miała ochotę ogryzać paznokcie. Zapomniała o szponach. Srebrnych szponach. Była taka jak oni. Miała się taka stać.

Wieki temu bała się własnego Rytuału. Teraz chciało jej się z tego śmiać. Czego się wtedy bała? Rady z Eisvaldru? Grupki mężczyzn i kobiet o pomarszczonych twarzach, którzy wtrącili ją do lochów? To było nic w porównaniu z tym, co mogły zrobić tysiące Umpiri.

Punkt dla mnie, jeśli mnie wyciągniesz.

Rime... Czy jeszcze kiedyś go zobaczy? Czy odeszła od niego na zawsze? Hirka chwyciła futrynę okna. Przypomniała sobie, że musi oddychać.

To sen. To tylko sen. Wkrótce się obudzisz.

– Chodź... – Sługa przywołał ją gestem ręki.

Wzięła głęboki oddech. Ruszyła za nim korytarzem. Był wąski, lecz równie wysoki jak sala. Także tutaj ściany uformowano z pomocą Evny. Skałę wywrócono na drugą stronę, tak że zmieniła barwę na jasnoróżową. Hirka miała wrażenie, że idzie przez łono kobiety. Przez drogi rodne. Na końcu wisiała czerwona jak krew zasłona. Wyjście.

Sługa odsunął zasłonę i wyszła na Język Mówców. Na skalnym występie stało już wiele osób. Jej rodzina. Ród Hod. Jór stanął obok niej. Uśmiechnął się zachęcająco. Przemogła impuls, by chwycić go za rękę.

Utrzymaj się na nogach. Wkrótce będzie po wszystkim.

Na samym krańcu Języka Mówców stała Hod. Uniosła rękę i tłum ucichł. Hirka omiotła spojrzeniem ściany krateru. Wszędzie stali Umpiri. Na ulicach poniżej i nad nią. Od drugiego krańca dzieliła ją zbyt wielka odległość, by mogła cokolwiek dojrzeć, ale przypuszczała, że stali również tam.

I to wszystko tylko po to, by ogłosić, że tutaj jest? Że Graal spłodził córkę?

I że bramy są otwarte. Droga do Evny.

Hod zaczęła wołać. Donośnie, dźwięcznym głosem. Echo odbijało się od ścian. Hirka musiała się skupić, by słyszeć coś przez szum krwi w uszach. Serce waliło ciężko w jej piersi. Hod wołała. O długim czekaniu. O życiu bez Evny. O zdradzie. O losach Graala. Hirka wiele rozumiała. Bez trudu domyślała się znaczenia słów, których nie знаła. Zrozumiała, że krążyły o niej plotki i że Hod je teraz potwierdza. I że to jest początek końca.

Końca? Jakiego końca.

Hirka spojrzała na pozostałych, ale nikt nie przyszedł jej z pomocą. Stali wyprężeni jak wojownicy, z dłońmi splecionymi za plecami.

– Tak potężna jest nasza krew – wołała Hod – że nawet na wygnaniu, nawet bez swej męskości i bez Evny spłodził córkę. Krew Graala powróciła. Jego dziedzictwo. Jego gniew. I przyniosła ze sobą serce zdrajcy. Przyniosła je przez bramę. I przez bramę znów je poniesie.

Hirka zadrzała. Zacisnęła zęby, żeby nimi nie szczekać. Słowa Hod wbijały się nią jak szpony.

– Czekaliśmy przez tysiąc lat. Ale w tym roku pójdziemy po Evnę. Dni Mannfalli są policzone. Słuchajcie, Umpiri: ja, Hod z domu Hod, pierwszego, daję wam Hirkę, córkę Graala, syna Rauna z domu Modrasme, siódmego.

Hirce powiedziano, co powinna zrobić. Nie było tego wiele. I nie było to trudne. Ale akurat w tej chwili nic z tego nie pamiętała. Musiała ze sobą walczyć, by ruszyć z miejsca.

i niechętnie podejść do Hod. Radosne okrzyki wzniosły się jak fala. Hod uniosła wieko szkatułki. Hirka czuła się tak, jakby stała obok siebie. Jakby to się tak naprawdę nie działo.

Zanurzyła ręce w lodzie. Zacisnęła je na czymś zimnym. Serce Naiella. Tego, który odebrał temu ludowi wszystko, co było dla niego ważne. Brata jej ojca. Tego, który i ją zdradził, ale któremu nigdy nie życzyła śmierci. Polubiła go.

Gdy wzięła serce do rąk, napłynęły wspomnienia. Kuro, kruk, który ją odnalazł nad Otchłanią. Naiell na podłodze w szklarni. Marudzenie Stefana, że ślepy nie chce się ubrać. Naiell czolgający się na posadzce kościoła przed Graalem. I najgorsze wspomnienie: kiedy osunął się na podłogę. Zabity przez tego, którego kochała. Nadal.

Hirka usiłowała powstrzymać łzy. Wiedziała, co musi zrobić. Unieść serce Naiella wysoko nad głowę. Radosny okrzyk przerodził się w ścianę dźwięku. Chaotyczny ryk, od którego bolały ją uszy. Ryk ślepych, który brzmiał tak, jakby oszalały wszystkie ptaki w domu kruków.

Zakręciło jej się w głowie. Wszystko przysłoniły łzy. Pochodnie płonęły krwawym ogniem. I zrozumiała. Po raz pierwszy zrozumiała, co oznacza wojna.

Tego ryku wściekłości nie mogła powstrzymać żadna siła. Nie dało się go uspokoić ani z nim dyskutować. Był zwierzęcy. Pierwotny. Pochłaniał wszystko.

Ciemne Cienie. Ciemne Cienie mogą ich powstrzymać! Rime i Svarteld.

Dotarło do niej, że nadzieja, której się uczepiła, jest wszystkim tym, czego najbardziej nienawidzi. Zabójcy. Wojownicy. Ale kto prócz wojowników mógłby powstrzymać wojnę? Tylko że to nie będzie wojna. To będzie unicestwienie.



ŚPIEW KAMIENIA

Rime uniósł miecz, zmrużył oczy i przyjrzał się ostrzu. Efekt jego wysiłków zaczynał być widoczny. Zmienił pozycję, przysunął osełkę do główki i dalej pracował pewną ręką. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem. Jak oddech. Wsłuchiwał się w dziwny dźwięk osełki. W jej śpiew, który stawał się coraz wyższy, za każdym razem, gdy zmieniał osełkę na bardziej drobnoziarnistą.

Znów ją zwilżył. Woda zmieniła się w mlecznoszary płyn. Zabrudził podłogę. Na deskach widać było jego ślady. Będzie musiał to posprzątać, kiedy skończy. To była chata Svartelda. Svarteld nie zniósłby takiego brudu. Może to nawet lepiej, że spał w Słoknie. Nie musiał tego oglądać. Nie musiał patrzeć na koniec tego wszystkiego, co było dla niego ważne. Na swoich zabitych ludzi.

Rozsuwane drzwi wychodzące na ścieżkę były otwarte. Po obu jej stronach leżeli zabici, jak daleko sięgał okiem w ciemności. Mieli ponaciągane na twarze maski. Wyglądali jak czarny, falujący krajobraz. Na ich ciała padały krople deszczu. Rime napiął szmatkę, którą osłaniał dłoń przed ostrzem. Owinął nią pobielające knykcie. Dalej szlifował. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem.

Usłyszał, że ktoś się zbliża. Poznał po krokach, że to Stiar. Mężczyzna stanął w drzwiach. Nie odezwał się, dopóki Rime na niego nie spojrział.

– Ketill wrócił, Mistrzu. Przyprowadził jeszcze trzech. Jednego z nich znam. To Sveinn.

Rime znów zmrużył oczy i przyjrzał się ostrzu.

– Z którego obozu?

– Z Breifjell, Mistrzu.

Trzech z Breifjell. W sumie szesnastu. Jak dotąd.

– Dobrze. A miecze?

Stiar postąpił o krok w głąb chaty, by schronić się przed deszczem.

– Erlendr wciąż je liczy, Mistrzu.

Rime znów przysunął osełkę do stali. Kazał jej śpiewać dalej.

– Orja i pozostali chorzy?

– Oni... wciąż wymiotują... Próbowaliśmy wszystkiego, ale...

– Dziękuję, Stiar. Co z zapasami?

– Zrobiliśmy tak, jak kazałeś. Wszystko spalone. Jedzenie. Herbata. Raknar i Od upolowali jelenia. Dwóch innych wyruszyło po więcej dziczyzny. – Stiar poruszył się niespokojnie. Był o kilka lat starszy od Rimego. Dobry wojownik. Posłuszny, ale zawsze nerwowy. – Marg wraca z Mannfalli, Mistrzu. Niedługo przybędzie z nowinami.

Rime kiwnął głową. To nie będą żadne nowiny. Jedynie potwierdzenie tego, co już wiedział. Odłożył miecz i wyszukał osełkę o jeszcze drobniejszym ziarnie. Stiar wciąż stał.

– Coś jeszcze? – spytał Rime, nie patrząc na niego.

– Nic nie jadłeś, odkąd...

– Nic mi nie będzie.

Stiar podszedł krok bliżej. Jego płowe włosy były mokre od deszczu.

– Erlendr się martwi, mówi, że nie...

Rime podniósł wzrok. Stiar umilkł. Wycofał się i zniknął na ścieżce wśród zabitych. Mężczyzn, którzy wciąż by żyli, gdyby Rime został w Ym. Obóz byłby pełen życia. Przekleństw i potu. A Darkdaggar gniłby w lochach.

Szczegóły na klindze zaczynały stawać się wyraźniejsze. Zbrocze. Twardsza stal na krawędziach. Rime mocno trzymał miecz i przesuwiał osełką po ostrzu. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem.

Perfekcja wymagała czasu. Tego miał akurat najmniej. Prędzej czy później dziób zacznie się domagać swego. Graal go wezwie i Rime będzie musiał mu odpowiedzieć. Stracił Radę. Stracił Ciemne Cienie. Był jak złamany miecz. Nie przedstawiał już dla Graala żadnej wartości. Pewnie nawet jako środek nacisku na Hirkę.

Hirka...

Nienawidziła go za to, co zrobił. Za to, co zamierzał zrobić, znienawidziłaby go jeszcze bardziej.

– Mistrzu?

W drzwiach stał Marg. Chlupało mu w butach. Był przemoczony do nitki. Rime dał mu znak, by wszedł do środka. Marg się skłonił, usiadł na podłodze i odrzucił kaptur. Zmarszczył czoło. Na jego twarzy pojawił się ten sam niepokój co u Stiara.

– Wychodziłeś od czasu, gdy wyruszyłem?

– Co z Mannfallą, Marg?

Marg potarł czoło.

– Jest tak, jak mówisz. Krążą plotki, ale nikt nie jest pewny, co się stało. Ani kto jeszcze żyje. Darkdaggar z rodziną przeniósł się za mury Eisvaldru, wszystko wskazuje na to, że Tyrme, Sauhle i Freid zrobili to samo. Mówi się, że Eir nie żyje, ale jeśli chodzi

o przyczynę śmierci, to słyszałem tyle wersji, ilu jest mieszkańców Mannfalli. Dom Jarladina stoi pusty, więc albo nas zdradził i przyłączył się do Darkdaggara, albo... – Przeczesał palcami mokre włosy. – Mogli przecież uciec – dodał bez nadziei w głosie.

Rime znów zwilżył klingę i dalej ostrzył.

– A Lindri? Handlarz herbaty?

Marg potrząsnął głową.

– Wszystko spalone...

Ból wbił szpony w pierś Rimego. Spróbował się przedrzeć przez warstwę zimna, którą otoczył się w ostatnich dniach. Rime go nie wpuścił. Pozwolił mu zamarznąć w pustce. Wkrótce znajdzie ujście.

Marg wstał.

– Ale to nie znaczy, że właściciel herbaciarni nie żyje. Mógł...

– Nie żyje.

– Może zatrzymał się u kogoś?

– Rozejrzyj się! – Rime odrzucił osełkę, trafiając w ścianę. – Ciemne Cienie nie żyją.

Wszyscy, którzy byli mi wierni, nie żyją! Ci, którzy popierali mnie w Radzie. Lindri. Jarladin. Mój ród dawno uciekł z miasta, choć prawie ich nie widywałem od kilku lat. Słudzy? Pewnie zabici. To, że będziemy myśleć inaczej, nic nam nie da!

Marg wpatrywał się w podłogę.

Rime zapanował nad sobą. Zamknął oczy. Otoczył się warstwą zimna.

– Idź i pomóż Stiarowi przygotować wszystko na ich spalenie. Nie mamy dość drewna, więc spalimy ich w chatach.

– Możemy spalić aż tak wielu? To znaczy... Dym będzie widoczny w Mannfalli, Mistrzu. On zobaczy, że przeżyliśmy.

Rime spojrzał na niego i się uśmiechnął. Marg przełknął ślinę i cofnął się o krok.

– *Chcesz, żeby się dowiedział?*

Rime mu nie odpowiedział. Sięgnął po kolejną osełkę. Ścisnął ją między kciukiem a klingą. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem.

Jej śpiew wypędził Marga z chaty. Zniknął w ciemności.

Rime spojrzał na miecz. Szmątka, którą przyciskał ostrze, była czerwona i wilgotna.



UWIĘZIENI

Dom Modrasme nie był już domem. Zmienił się w wystawę. Goście przybyli tak tłumnie, że przez salę, którą Hirka niechętnie nazywała salonem, nie dało się przejść. Zjawiali się i wychodzili, jak rzeka, która zdawała się nie mieć końca. Drzwi wejściowe stały otwarte, więc nie miała szansy się ogrzać. Nie mogła też uciec, bo to ją przybyli zobaczyć.

Przynosili ze sobą kolorowe wstążki z symbolami. Z motywami typowymi dla domów. Wstęgi sojuszu. Ozdobne przysięgi wierności, które sprawiały, że czuła się coraz bardziej nieswojo. Przyjmowała je jednak z uśmiechem. Ta maska była tak sztywna, że utrzymanie jej kosztowało ją wszystkie siły. Każdą otrzymaną wstęgę odkładała na poręcz fotela Modrasme. Było ich już tak wiele, że wyglądało to, jakby ktoś zostawił tu pranie.

Każdy dom przedstawiał się tak, jakby był jedyny i najważniejszy. Ale nazwiska i twarze zaczynały się jej już mylić. I za każdym razem, gdy pojawiała się nowa twarz, Modrasme kładła jej zimną dłoń na ramieniu. Jakby najstarsza kobieta w rodzie chciała zaznaczyć, że Hirka jest jej własnością. To ją przyprawiało o gęsią skórkę.

Wielu przynosiło dary. Od tytoniu aż po cenne figurki z przedwojennego szkła, zależnie od zamożności i ambicji rodu. Stół za jej plecami uginał się od rzeczy, o które nigdy nie prosiła.

Przebiła się do niej jakaś para. Przedstawili się, że są z domu Semre. Kobieta miała na sobie bladoniebieską suknię, zapewne chodziło o to, by strój pasował do przyniesionego przez nią podarunku. Trzy ptaki w klatce. Szare, z błękitnymi podgardlami. Trzepotały skrzydłami. Hirka wzięła klatkę i przyjrzała im się zachwycona.

– One świecą...

Zadowolona z siebie kobieta uniosła brwi, jakby to ona własnoręcznie je stworzyła.

– Nazywamy je żywymi latarniami. Czyż nie są piękne?

Hirka cmoknęła. Wydawało się, że to je uspokaja.

– Są prześliczne – powiedziała.

Kobieta potrząsnęła klatką i srebrzysty blask się nasilił.

– Tylko nie przenoś ich do większej klatki. Wiesz, powinny mieć ciasno. Świecą tylko wtedy, kiedy się boją.

Hirka poczuła, że uśmiech zamiera jej na ustach. Ptaki świergotały. Klatka nagle zrobiła się ciężka. Kobieta stała przed nią jak kuglarz, który czeka na brawa.

– Dziękuję – wydusiła z siebie Hirka.

Odwróciła się i odstawiła klatkę. Oparła się o stół. Miała ochotę tylko położyć się na podłodze i spać. Zapomnieć. Ale nie mogła. Nie mogła nawet usiąść. Tylko Modrasme siedziała, ale wyglądała tak, jakby robiła to niechętnie.

Hirka usłyszała monotony śmiech Rauna i rozejrzała się. On i Uhere stali pośrodku sali, wśród gości. Rozmawiali z jakąś parą, która uśmiechała się w wymuszony sposób. W ich twarzach było widać zaciętość. Hirka mimowolnie pomyślała, że zwycięstwo ich rodu dla innych było porażką. To, że dom Modrasme był teraz siódmy, oznaczało, że jakiś inny ród stracił swoje miejsce.

Czy byli tu dziś wieczorem? Cieszyli się równie mocno z przybycia Hirki? Czy z chęcią rezygnowali z własnego statusu w nadziei, że podbiją Ym i znów poczują Evnę?

Przypomniała sobie echo ryku, którym witano ją wcześniej tego wieczoru.

Tak. Wszystko wskazywało na to, że byli chętni. Aż nazbyt chętni.

Wciąż pojawiały się nowe twarze. Przychodzili i odchodzili. Wręczali jej wstęgi i dary. Mówili coś, ale ich słowa do niej nie docierały.

Wojna... Nigdy dotąd nie rozumiała, jak głęboko może w nich tkwić pragnienie zabijania. Nie było ono niczym powierzchownym, lecz siłą napędową. Podwodnym prądem zachłanności. Poczucie całego ludu, że to mu się należy.

Jednego mężczyznę można powstrzymać. Dziesięciu również. Ale setki tysięcy?

Graal wiedział. Wiedział, że nigdy jej się nie uda powstrzymać ich, i ją wykorzystał. A ona nic nie mogła zrobić. Była zdana na łaskę ślepych. On miał władzę.

I miał Rimego.

Na tę myśl ścisnął jej się żołądek. Poczowała w gardle posmak żółci.

Goście mówili o nowych czasach. O Evnie. O krainach po drugiej stronie. Nie mogła do tego dopuścić. Musiała porozmawiać z Graalem, i to jak najszybciej.

Spojrzała na ostatnie wstęgi, które jej przekazano. Tak mocno owinęła nimi dłoń, że skóra pobielała. Zsunęła je i położyła na stertę razem z pozostałymi.

Goście przybyli tak tłumnie, że musiała się przeciskać między nimi, by dotrzeć do Skerri stojącej przy zastawionym stole. Czarna skórzana suknia zaczęła się lekko marszczyć na jej biodrach. Jedyne świadczące o tym, że to był długi dzień. Sama Skerri wciąż prezentowała się bez zarzutu.

Nawet ubrania męczą się szybciej niż Umpiri.

Grid stał obok niej. Szepnął jej coś do ucha, a ona uśmiechnęła się krzywo. Odrzucił do tyłu włosy. Za uchem miał wpleciony rzemyk, który opadał na pierś obciążony pięcioma stalowymi paciorkami. Jeden za każde doroczne zwycięstwo, jak słyszała Hirka. Wiedziała jednak, że Skerri regularnie dawała mu wycisk. I może nie było w tym nic dziwnego, ponieważ Raun był najlepszym nauczycielem walki w mieście.

Skerri wyjęła jajko ze stojącej na stole miski. Przedziurawiła je szponem i wsadziła do środka palec. Hirka wiedziała już, że jedzenie w ten sposób nie jest uważane za oznakę braku manier, jeśli robi się to szponami, a pokarm można uznać za płynny. Kolejna reguła, której Hirka nigdy nie zrozumie ani nie znajdzie dla niej żadnego zastosowania. Nie jest taka jak oni. Nigdy taka nie będzie.

Podeszła do Skerri. Próbowwała nie okazać, jak bardzo jest zdesperowana.

– Musimy porozmawiać.

Skerri odłożyła skorupkę na serwetkę, po czym ją zgmiotła.

– No to mów.

– Z Graalem. Musimy porozmawiać z Graalem.

Grid wyraźnie nastawił uszu. Jakiś brodaty mężczyzna zauważył Hirkę i dostrzegł szansę, by ominąć kolejkę. Podeszedł do nich i złożył gratulacje. Skerri mu podziękowała. Hirka przestępowała z nogi na nogę. Czuła, że dłużej już nie wytrzyma. Położyła rękę na ramieniu martwo urodzonej.

– Skerri, to ważne.

Skerri warknęła cicho. Pociągnęła ją za sobą w korytarz i przyparła do ściany.

– Dopiero co nas wyniesiono do rangi siódmego domu. Siódmego! Goście przyjeżdżają z daleka, żeby się z nami zobaczyć. Żeby zobaczyć *ciebie*. Cudowną istotę, która nigdy nie powinna była się urodzić. A tobie się wydaje, że masz za dużo czasu?

– To nie potrwa długo. Muszę! – Hirka spróbowała się odsunąć, ale Skerri znów przyparła ją do ściany.

– Musisz się zamknąć i stać prosto. Oto, co musisz. Musisz się zachowywać jak Dreyri!

Zbliżało się troje gości, za nimi służdy. Skerri puściła Hirkę i podziękowała im za odwiedzinę. Hirka próbowała się uśmiechać, ale wiedziała, że jej to nie wychodzi. Kiedy odeszli, Skerri pochyliła się nad nią.

– Porozmawiamy z Graalem, kiedy *ja* ci powiem – syknęła, po czym pchnęła Hirkę, kierując się z powrotem do sali.

Hirka dotknęła piersi. Jeśli tutaj zostanie, załamie się. Musiała się stąd wydostać.

Skerri ruszyła w stronę Grida. Była zwrócona do niej plecami. Hirka wycofała się w korytarz i zakradła do sypialni. Oparła rękę na drzwiach. Podskoczyła, usłyszawszy szuranie. Jej szpony. Sztuczne szpony na opuszkach palców. Ściągnęła je, otworzyła drzwi

do komnaty i rzuciła je na podłogę.

Chciała wejść do środka, ale coś ją powstrzymało. Powiew chłodu. Wiedziała, skąd pochodzi.

Za nią znajdowały się szerokie schody prowadzące piętro niżej. Były wykute w skale, jak niemal wszystko inne. Na dole były kolejne komnaty. Pokoje Skilborra i Oni. Pomieszczenia dla gości. I pokój kruka. Teraz to było więzienie.

To słowo napawało ją niechęcią, ale jak inaczej miała to nazwać? Nie pozwoliła swojej rodzinie zabić Urda, więc nie mieli wyboru, musieli go zamknąć. Pomieszczenie, w którym mieszkał kruk, było najpraktyczniejsze. Małe okno i drzwi, które można zaryglować od zewnątrz.

W ostatnich dniach często mijała te schody, ale ani razu nie zeszła na dół.

Zerknęła w stronę sali. Usłyszała śmiech Rauna przebijający się przez gwar. Sztucznie brzmiący chichot Uhere. Nagle przypomniała sobie ten dzień, kiedy Rime wrócił do Elveroi. Powiedział, że uda się z Ilume do Mannfalli. Hirka odpowiedziała, że gdyby miała babcię, nigdy nie nazywałaby jej inaczej niż babcią. Co takiego odparł wtedy Rime?

Nie, jeśli jest nią Ilume...

Miał rację. Raun i Uhere byli rodzicami Graala. Jej dziadkami. Ale nie potrafiła ich tak nazywać. Ani tak ich postrzegać. Byli martwo urodzonymi. Dreyri. Jedli szponami i mieli mlecznobiałe oczy. A dziś wszyscy wydali z siebie ryk, stojąc wokół niej. Podkreślili jeszcze bardziej dzielące ich różnice.

Zeszła po schodach.

Gwar gości przeszedł w stłumiony szmer. Ruszyła korytarzem w stronę bladego światła na drugim końcu. Płynęło z pokoju kruka. Z pokoju Urda. Przez wąskie okienko przy drzwiach ozdobione splatanym evnoszkłem przypominającym pajęczynę.

Krata. Klatka.

Kruk wydał z siebie ochryple krooo. To było ostrzeżenie, ale już wiedziała, że je zignoruje. Zbyt silnie ciągnęło ją do tego miejsca.

Zajrzała do środka.

Kruk siedział na poprzecznej belce pod sufitem. Znajdowała się nad dziurą w podłodze, do której wpadały jego odchody. Był senny, oczy wyglądały jak szparki. Mrużył je w świetle latarni żarzącej się w kącie. Urd przechadzał się w głębi pomieszczenia. Ścianę za nim pokrywały czarne znaki. Napisy po ymsku i w umõni. Od czasu do czasu przystawał, by dopisać coś na ścianie kawałkiem węgla drzewnego, który pewnie znalazł na regale. A potem dalej chodził w kółko.

Znów ją uderzyło, jaki młody się wydawał bez brody i z krótko ostrzyżonymi włosami. Nie był starszy od ojca w chwili jego śmierci.

Urd zmarszczył czoło. Poruszał ustami, jakby myślał, próbował nauczyć się czegoś nowego. Czy zasługiwał na to, by móc się czegoś nauczyć? W ogóle na cokolwiek? Ten, który próbował złożyć ją w ofierze na Bromfjell? Który pchnął nożem Ilume?

Powinni go byli od razu zabić. A nie oddawać go mnie.

Ta myśl ją zawstydziała. I rozzłościła. Poczuli się tak, jakby na jego widok stawała się inną osobą. Jakby Urd nagle miał nad nią władzę i mógł decydować o tym, kim jest.

Przystanął w pół kroku. Czekał zwrócony do niej plecami. Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał.

On wie. Wie, że tu jestem.

Urd się odwrócił. Cienki łańcuszek przymocowany do pierścienia w jego szyi trzymał zwinięty na dłoni. Jakby sam prowadził siebie na smyczy.

Miał ziemistą cerę. Podkrążone oczy. Wyglądał, jakby od wielu dni nie spał. Miał potwornie zapadnięte policzki, wyglądał jak trup. Żałowała, że nie budzi w niej odrazy.

Podszedł bliżej. Z wahaniem, jak zwierzę. Nieśmiało i niechętnie. Ale pewnie za bardzo pragnął pomocy, by tego nie zrobić. Obawiała się, że sama też tak wygląda.

Stał przed nią. Dzielili ich tylko evnoszko. Hirka próbowała odnaleźć w sobie strach. Wściekłość. Była jednak zbyt bezsilna, by poczuć je w sobie. Zbyt zmęczona udawaniem, że jest kimś innym. Musiała go tylko zobaczyć. Coś znanego. O to musiało chodzić. Nawet jeśli był jej wrogiem.

Dotknęła ręką kraty. Usłyszała, że upuścił łańcuszek na podłogę. Jego ciężar pociągnął go za szyję. Urd przysunął palce do jej palców. Zetknęły się przez pajęczynę szkła. Miał takie opuszki jak ona. Zaokrąglone. Bez szponów.

Blizna na jego czole wyglądała paskudnie. Zaczerwieniona i nierówna. Ktoś mu usunął znak Rady i zaszył ranę. Kiepsko to zrobił. Albo mu się nie chciało, albo szył po omacku.

Ścisnęło jej się serce. Współczucie walczyło z gniewem. Tęsknota z pogardą. To, co było takie jak ona, ze wszystkim tym, co było obce.

Jej spojrzenie padło na sierpowatą bliznę na jego szyi. Ślad po kruczym dziobie. Widziała, jak opuszczał jego ciało. Urd był dowodem, że to możliwe, że można pozbyć się dzioba i to przeżyć.

Urd był jej wrogiem, ale też tylko on przypominał o nadziei.

Ktoś zawołał ją po imieniu ze szczytu schodów. Kruk się otrząsnął. Poprawił dziobem pióra pod skrzydłem. Hirka cofnęła się o krok. Urd zacisnął palce na kracie. Tak mocno, że aż pobiełały mu knykcie. Nieme błaganie, żeby została. Nie mogła ani nie chciała tego zrobić. Choć miała mu tak wiele do powiedzenia. Teraz jednak żadna z tych rzeczy nie przychodziła jej do głowy.

Urd pochylił głowę i oparł czoło o kratę. Blask latarni sprawiał, że jego włosy świeciły.

Jak ptaki, które dostała. Przerazone istoty w klatce.

– Poprosiłam ich, żeby przygotowali ci pokój na górze – powiedziała. Jej głos brzmiał ochryple, jakby nie używała go od dawna. – Jutro cię przeniesiemy.

Urd kiwnął głową tak ostrożnie, że mogło jej się tylko wydawać.

Hirka wycofała się w mrok. Nie odwracała się do niego plecami, póki nie była pewna, że już jej nie widzi.



CZERNI I BIEL

Poranne światło ledwie się sączyło przez okna w łazience. Hirka spojrzała w lustro. Czarne szkło sprawiało, że wydawała się szara. Bezbarwna. Jak jedna z rzeźb Hłoslana. Coś pomiędzy człowiekiem a martwo urodzoną. Córka Graala. Mężczyzny, z którym nie mogła nawet porozmawiać.

Musiał wiedzieć, że tak będzie.

Woda spływała po ścianie do zagłębienia przed nią. Hirka umyła twarz. Włożyła ubranie i wymknęła się z sypialni.

Nikt z pozostałych jeszcze się nie obudził. Umpiri dużo spali. Nawet w pokoju Vany było cicho. Żadnych śmiechów. Żadnych pożądlivych, namiętnych jęków. Uhere powiedziała, że nie chodzi o pożądanie. Chodzi o to, żeby zająć w ciąży. Znow skupić na sobie uwagę, którą ukradła Hirka. „Nie przejmuj się, to się nigdy nie stanie”, dodała Uhere, zupełnie jakby Hirka się zmartwiła.

Są szaleni. Wszyscy razem.

Sala wydawała się spustoszona po ucztach. Fotel Modrasme stał skąpany w błękitnym świetle padającym z lodowego sklepienia. Poręcze pokrywały wstęgi lojalności od niezliczonych rodów. Stół pod ścianą uginał się od darów. Hirka wzięła do ręki figurkę z popielatego evnoszka i obróciła ją w dłoni. Kobieta i mężczyzna spleceni ze sobą. Kobieta obejmowała jego szyję. Wyglądało to tak, jakby szeptała mu coś do ucha. Jakąś tajemnicę.

Hirka odstawiła figurkę. W tym domu nie trzeba było więcej tajemnic. I tak było ich zbyt wiele. Tkwiły w prastarych ścianach. Wrosły w kamień pod pokrywą lodu.

Ktoś wstawił klatkę z ptakami pod stół. Podniosła ją jak najostrożniej. Ptaki otoczyło blade światło. Srebrzysta poświata, która zdawała się płynąć z wnętrza.

Otworzyła drzwi i wyszła na balkon. Przeniknęło ją zimno.

O tak wczesnej porze ulice krateru były puste. Za kilka godzin zaczną w nich rozbrzmiewać uderzenia kilofów. Upadłych i bezdomnych zapędzono do pracy. Kolaila również. Przybywający do miasta podróżni musieli mieć się gdzie zatrzymać, a zjawilo ich

się wielu. Ze wszystkich stron, z wielu miast. Modrasme nazwała to odgłosami klęski. Kilofy. Brutalna siła, by kształtować kamień. Aż tak nisko upadli.

Odsunęła od siebie tę myśl. Wciąż było cicho i nie chciała czuć ciężaru tego, co sobą reprezentowała. Nadziei. To dlatego przybywali z daleka. By odzyskać Ewnę. Dla inwazji.

Dla unicestwienia.

Otworzyła klatkę. Żywe latarnie rozpostarły skrzydła i odleciały. Nie dbała o to, ile kosztowały ani czy kogoś tym obraziła. Jeśli światło oznaczało, że ktoś inny musi cierpieć, wolała żyć w ciemności. Niech sobie mówią, co chcą.

Kruki już nie spały. Krążyły w mgiele, która zebrała się nad kraterem. Wydawały radosne okrzyki i Hirka postanowiła to potraktować jako wyraz poparcia. Pozwoliła, by zapłonął w niej mały płomyk buntu. Wreszcie poczuła, że zrobiła coś jednoznacznie słusznego.

Wróciła do środka. Odstawiła klatkę za fotel Modrasme i weszła po schodach z kutego żelaza do chłodnego schowka znajdującego się tuż pod pokrywą lodu. Nad nią rozległ się trzask. Domyślała się, że to oznaka zbliżającej się wiosny. I że będzie gorzej. Za kilka tygodni lód popęka. Oderwała kilka płatków z jeleniego udźca kruszejącego pod sufitem. Napęła cała miskę i zeszła na dół.

Rozsypała jedzenie na balkonie. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Natychmiast zebrały się kruki. Żuła płatek solonego mięsa, wsłuchując się w uderzenia ich skrzydeł. Uwodzicielski jedwabisty dźwięk nierealnego marzenia. By móc stąd odlecieć.

Ale nie miała skrzydeł. Nie umiała czerpać. A jedyna droga na wolność wiodła poprzez Graala. Czy od początku planował wojnę? Zdradził ją?

Wyrzała na korytarz. Drzwi komnaty Skerri były uchylone. Na progu leżał jej skórzany but. A więc miała za sobą suto zakrapiany wieczór. Taki, po którym mocno się spi...

Hirka podkraśla się bliżej. Zajrzała do środka. Łóżko, takie jak to, w którym sama spała, wisiało w głębi komnaty. Na podłodze leżała sterta skórzanych pasów, których nawet przy dobrej woli nie dałoby się nazwać ubraniami.

Po drugiej stronie komnaty stały stół i ławy. Deski na cienkich żelaznych podstawach, które łatwo było przesunąć, kiedy Skerri chciała poszaleć z kijami. Miała ich wiele. Stały oparte o ścianę, krótkie i długie. Hirka zagryzła wargę. Te kije były ważną częścią życia dla Skerri i Rauna. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała ich posmakować.

Na stole stał okrągły futerał z zielonej skóry. Podniszczony i spłowiały. Miał czarny pas do noszenia, przymocowany nitami.

Kruk...

Hirce coś zaświtało w głowie. Weszła do środka. Zerknęła w stronę łóżka. Wisiało nieruchomo. A więc Skerri spała.

Na futerał z krukiem padało światło z wąskiego okna. Poranne światło, które kłamało, że to nic groźnego. Poczucie bezpieczeństwa było złudne, wiedziała o tym. Ale kruk był drogą do Graala, a musiała z nim porozmawiać. Zanim wszystko pochłonie Slokna.

Poza tym zaczęła ten dzień od złamania reguł, więc równie dobrze mogła je dalej łamać. Podkradła się do stołu. Położyła ręce na futerale, nie mając pojęcia, kiedy postanowiła, że go weźmie. A jeśli jest pusty? Może powinna sprawdzić?

Znów zerknęła w stronę łóżka. Skerri oddychała przez nos, musiała być pogrążona we śnie.

Hirka wstrzymała oddech i zaczęła majstrować przy sprzączkach. Uniosła wieko i zajrzała do środka. Odpowiedziało jej spojrzenie pustych oczodołów. Dziób był wycelowany w nią. Kości, które kiedyś były skrzydłami, leżały przyciśnięte do ciała. Kruk wydawał się martwy i żywy równocześnie. Trup, którego można obudzić, widziała, jak Graal to robi. Krwią.

Dzieło ślepych. Dzieło Evny. Stare jak grzech. Nie potrafiła się oprzeć pokusie. Wsunęła rękę do środka, by go dotknąć.

Coś szarpnęło ją do tyłu. Nagle. Brutalnie. Sweter wciął się w szyję. Przez chwilę sądziła, że to kruk. Wola martwego ptaka. Ale wtedy ktoś cisnął nią o ścianę i kątem oka zobaczyła Skerri. Uderzyła plecami o kamień. Przeszył ją ból. Osunęła się na podłogę. Serce podeszło jej do gardła. Biło szybko jak u ptaka. Jak u rannego wróbla.

Nad nią stała naga Skerri. Błada i straszna. Jej warkocze się kołysały. Paciorki pobrzękiwały, uderzając o siebie. Odgłos gradu. Burzy.

Hirka wpatrywała się w czarny trójkąt między jej udami. Równie czarny jak jej usta. Otaczały go blizny. Dawne rany rozchodzące się na jej biodra. Na brzuch. Poparzenie.

Hirka odczołgała się, ale znów natrafiła na ścianę.

– Gweni! – syknęła Skerri.

Hirka знаła to słowo. Samica. Istota płci żeńskiej niebędąca Umpiri. Chciała odpowiedzieć. Wyjaśnić. Ale wiedziała, że żadne słowa by nie pomogły.

– Kruk jest mój! – Skerri uderzyła się w pierś zaciśniętą pięścią. – Mój! Rozumiesz?! Należał do mnie, kiedy żył, i słucha tylko mnie! To *ja* rozmawiam z Graalem.

To nie była czysta wściekłość. Hirka wyczuwała coś jeszcze. Jakąś histerię. Strach.

Zrozumienie pomogło jej podźwignąć się na nogi. Spojrzała na Skerri. To było tak, jakby widziała ją po raz pierwszy.

– To dlatego tu jesteś – szepnęła. – Nie jesteśmy spokrewnione. Jesteś tutaj, bo masz kruka...

Gdy tylko to powiedziała, dotarło do niej z całą mocą, że to prawda. To kruk zapewniał Skerri pozycję, którą tu miała. Przywilej rozmawiania z Graalem. Kontakt pomiędzy światami. Kim byłaby bez tego?

Reakcja to potwierdziła. Oczy Skerri się zwęziły. Obnażyła zęby. Kły. Uniosła ramiona, jakby chciała się zamachnąć.

Hirka świetnie zdawała sobie sprawę z jej siły. Obrona nic jej nie da. Ani ucieczka. Ale mogła coś powiedzieć. Coś, co być może miało władzę nad tą istotą. Jedyłą rzeczą, która albo ją uratuje, albo skończy się dla niej złamaniem karku.

– Co mam powiedzieć mojemu ojcu, kiedy będzie chciał ze mną porozmawiać?

Te słowa jakby uspokoiły Skerri. Hirka mówiła dalej, by wyrzucić z siebie wszystko, zanim zmieni zdanie:

– Prędzej czy później Graal będzie chciał ze mną porozmawiać. Co mam mu wtedy powiedzieć? Że mi nie pozwoliłaś?

Skerri chwyciła ją za sweter i przyciągnęła do siebie. Tak blisko, że Hirka poczuła, jakie wino piła wieczorem.

– Próbujesz sobie ze mną pogrywać? – Jej oczy pociemniały. – Myślisz, że opanowałaś tę grę? Przygotuj się na przegraną, gweni. – Odepchnęła Hirkę. – Kruk jest mój.

Hirka wycofała się do drzwi. Odrętwienie zaczynało mijać. Poczowała ból rozchodzący się po biodrach. Po ramionach. Odwróciła się i wyszła z komnaty.

– Porozmawiamy z Graalem jutro wieczorem – usłyszała za plecami.

Gdyby nie to, że tak ją wszystko bolało, uśmiechnęłyby się.



OCH...

Dzbanek był tak gorący, że aż parzył. Hirka zsunęła go z ognia, ale potem musiała go puścić. Stał lekko przechylony na brzegu paleniska. Popchnęła go na miejsce. Zakłęła i schłodziła palce o ścianę. Była podenerwowana. Zniecierpliwiona. A przybory były nie najlepsze.

Umpiri rzadko przygotowywali jedzenie, więc nazwanie tego pomieszczenia kuchnią byłoby przesadą. Było to raczej miejsce, gdzie napełniano kielichy. Wbijano szpony w mięso. Brali to, czego potrzebowali, i wyrzucali resztę. Przetwarzali jedzenie nie dlatego, by stało się lepsze, ale dlatego, że się zmieniało. Pojawiały się w nim inne substancje, które były dla nich przydatne. Nie było potrzeby gotować ani piec. Ani próbować, czy dobrze smakuje.

Lepiej by sobie poradziła w dziczy.

Miejsca było tu pod dostatkiem. Pałac pod lodem. Nawet schowki były większe niż izba, którą Kolail nazywał domem. Otaczały ją piękne okna z evnoszkła, wielokątne sklepienie. Była to przedziwna mieszanka przepychu i prostoty. Stworzona, by pokazać gotowość. Siłę. Nie po to, by dobrze się tu czuć.

Kolejne miejsce, do którego nie pasowała.

Hirka przesunęła palcami po szkatułce z herbatą, ale nie otworzyła wieczka. To nie szkatułka była problemem. Ani dzbanek, ani palenisko. Problem polegał na tym, że inni siedzieli w komnacie obok i rozmawiali z Graalem.

Usłyszała, że Skerri znów podnosi głos. Wtrąca się, tak jak zawsze. Za chwilę wyjdzie. Żeby przyprowadzić Hirkę. Za chwilę ona również będzie mogła porozmawiać z Graalem.

Szarpnęła wieczko. Irytowała ją świadomość, że pokłada zbyt wielkie nadzieje w tej rozmowie. Graal wiedział, co robi. Od początku to wiedział. Więc co dobrego z tego przyjdzie? Może jedynie to, że poczuje ulgę, gdy mu wszystko wygarnie? Pewnie nawet nie. Nie mogła mu powiedzieć połowy tego, co myślała i czuła. Nie przy reszcie rodziny. Miałaby zaprzeczyć, że poprowadzi inwazję na Ym? Zaprzeczyć, że jest córką wodza?

Gdyby spróbowała, Skerri pożarłaby ją szponami.

Hirka usiadła na podłodze przy palenisku. Zalała wrzątkiem listki herbaty. Były podarunkiem od Jóra. Ten wzruszający gest domu Hod był powodem najróżniejszych spekulacji w rodzinie. Jór nie wybrał jeszcze partnerki. Czy to był jakiś sygnał? Czyżby chcieli zacieśnić więzy z domem Modrasme? Mieli jakieś plany na czasy po wojnie?

Po wojnie...

Zamknęła oczy i pochyliła się nad filiżanką. Para ogrzewała jej twarz. Zapachniało mchem nad Otchłanią po deszczowym dniu. Tym, co było kiedyś. Woń tak znajoma, że aż bolało.

Nie było żadnego „po wojnie”. W każdym razie ona tego tak nie widziała. Nie mogła znieść tej myśli. Więc co jej pozostało? Zburzyć kruczy pierścień, żeby nikt nie mógł się stąd wydostać?

Przypomniała sobie rozmiary kamieni, przez które tu przybyła. Zburzenie ich zajęłoby całą wieczność, nawet gdyby pracowali nad tym wszyscy bezdomni z Ginnungad. Ale czy zrobiłaby to, gdyby miała taką możliwość? Czy zniszczyłaby jedyną szansę na odzyskanie Evny? Jedyną drogę między światami?

Naiell to zrobił. Może nie rozumiał konsekwencji, ale dokonał tego. Skazał światy na nieskończenie powolną śmierć, by sam mógł żyć jak bóg. Dopóki mu się nie znudziło.

Ścisnęła filiżankę w dłoniach. Wiedziała, że okłamuje samą siebie. Udawała, że chodzi o wielkie rzeczy. O szlachetniejszą walkę. By uratować Evnę. Uratować drogi łączące światy. W porównaniu z tym prawda była taka prosta. Taka egoistyczna i mała. W rzeczywistości przerażało ją, że będzie musiała tutaj zostać. Tkwić tutaj przez resztę życia. Przerażało ją, że zobaczy śmierć tak wielu, ale zwłaszcza śmierć tych, na których jej zależało. Lindriego, Svartelda, Rimego.

Rime i Ciemne Cienie. Oni mogą to powstrzymać. Mogą powstrzymać wszystko.

Drżenie w sercu zdradziło jej prawdziwy powód, dla którego nigdy nie byłaby w stanie zniszczyć bram. Już raz odeszła od Rimego. Przybył po nią. Odnalazł ją. I związał ją ze sobą. Tak to odczuwała. Jakby całując ją, dał jej część swej duszy. Część, która wciąż w niej żyła. Narastała w niej. Budziła ją w nocy...

Ktoś pchnął podwójne drzwi do komnaty tak, że aż głośno uderzyły o ścianę. Wyszła Skerri. Hirka poczuła, że płoną jej policzki. Zerwała się na nogi. Upuściła filiżankę, która roztrzaskała się o podłogę. Herbata rozlała się po kamiennych płytach. Ten widok sprawił, że przeszył ją dreszcz. Jakby to coś znaczyło.

– Chce z tobą porozmawiać. Sam na sam. – Mina Skerri nie pozostawiała żadnych wątpliwości, co na ten temat sądzi.

Za nią wyszli pozostali. Hirka dalej stała w miejscu. Spoglądała to na Skerri, to na rozbitą filiżankę.

– No idźże, Skilborr się tym zajmie! – Skerri szarpnęła głową, wskazując na drzwi.

Hirka usłuchała. Weszła do komnaty Rady i zamknęła za sobą drzwi.

Pomieszczenie miało kształt łodzi. W ścianach wykuto posągi. Przedstawiały członków rodu, żyjących i zmarłych. Modrasme była uderzająco do siebie podobna. Uniesiona głowa, odwrócony wzrok. *Sekhthainari*. Otulona bólem. Osoba, która uwielbia sobie udowodniać, że nic nie jest wystarczająco dobre. Na przykład Hirka.

Raun nie był już taki do siebie podobny. Brakowało czerwieni włosów. Bezbarwny kamień wyssał z niego życie. Modrasme i Uhere lepiej prezentowały się w kamieniu. Poznała Graala po trochę smutnych oczach. Widziała go tylko w garniturze, ale tu był przedstawiony w kolczudze, która opadała ukośnie przez pierś, zasłaniając jedno ramię. Przypomnienie o tym, kim był. Cokół obok niego stał pusty.

Naiell.

Na drugiej ścianie wisiał rząd lampek. Na wieszakach rozpięto barwioną tkaninę. Przypominało to czarne kokony. Za nimi migotało światło. Wrażenie było takie, jakby miało się z nich urodzić coś straszego.

Hirka podeszła do kruka. Stał na podłużnym stole pośrodku komnaty. Postanowiła, że będzie spokojna. Poprosi o czas. O pomoc. Bez względu na to, ile by to ją miało kosztować. Ale nie spodziewała się, że na stole będą leżeć mapy. Były stare. Oprawione w sztywne, drewniane ramy. Krainy Ym. Mannfalla. Foggard. Kruczy Dwór...

Ogarnęła ją fala obrzydzenia. Przyprawiająca o mdłości rozpacz, która sprawiła, że zaczęły jej drzeć ręce. Oparła je o stół i pochyliła się nad kośćmi kruka.

– Okłamałeś mnie – syknęła. – Nie tak miało być! Nie tak! Miałam znaleźć sposób, ale nie to! Byliśmy co do tego zgodni! Nie to!

– Jak cię przyjęli, Hirko? – Kruk poruszał dziobem, ale głos należał do Graala. Był taki, jak go zapamiętała. Głęboki. Zdradziecko ciepły. I kompletnie niezainteresowany jej oskarżeniami.

– A jak myślisz?! Nie udawaj, że nie wiesz! Stałam na Języku Mówców z jego sercem w rękach, a oni powiedzieli, kim jestem. Że jestem twoja. Że odzyskają Ym. Przybywają z całego tego zasranego zimnego świata, żeby wziąć udział w inwazji, do której nigdy nie dojdzie! Słyszysz?

– Co ze Skerri? Jak cię traktuje?

– Ona... to... – Hirka szukała właściwych słów. Sprawił, że zgubiła wątek. Nie chciał jej wysłuchać.

– Krwi z mojej krwi... – powiedział tak łagodnie, że te słowa wdarły się w jej ciało. Objęły jej serce, jakby chciał je ukołysać. – Hirko, żyjesz. Żyjesz, bo jesteś dla nich użyteczna. Bądź użyteczna i żyj. Chcę, żebyś żyła.

– Użyteczna? – Hirce zrobiło się słabo. Wpatrywała się w mapę Mannfalli. Czarne linie na szarym papierze. – Wyniosłam was do rangi siódmego domu. Dotrzytałam wiele z tego, co obiecałam. Znów jesteł kochany. Znów uważają cię za przywódcę. Czego jeszcze chcesz? – Spróbowala tchnąć w te słowa pogardę, ale zabrzmiały pusto i głucho.

– Będzie, jak będzie. Oni wiedzą, że krucze pierścienie są otwarte. Droga do Evny. Sądziłaś, że pozwolą zagłodzić się na śmierć, kiedy pożywienie jest w zasięgu ręki?

– Są inne sposoby! Gdybyście tylko mi pozwolili spotkać się z Widzącym! Mówiłaś, że będę się uczyć o życiu i śmierci. O Evnie.

– I będziesz. Kiedy ją odzyskamy, Hirko. Przyjdzie na to czas w Ym. Będziesz otoczona Evną i tymi, którzy nauczą cię jej używać. Ale musisz być cierpliwa.

Hirka potrząsnęła stołem. Ledwie drgnął.

– Nie! To nie jest sposób! Pozwól mi porozmawiać z Rimem. Z Radą. Są obszary, gdzie Umpiri mogą mieszkać. Daleko na północy przy lodowcach możemy... możecie... – Wspomnienia z Języka Mówców kłębiły się w głowie. Znów usłyszała ryk. Wiedziała, że wszystko, co mówi, jest bez sensu. Umpiri i ætlingowie? Razem? W jednym świecie?

Zaśmiała się ponuro z własnych słów. Potarła twarz dłońmi.

Kruk uniósł głowę.

– Rime jest bezsilny, Hirko. Ostrzegałem go przed opuszczeniem Ym, ale i tak to zrobił. Przybył za tobą. Nie jest już powiernikiem kruka. Stracił swoje miejsce w Radzie.

Stracił swoje miejsce...

Nikt nie tracił miejsca w Radzie. Nikt. Myśli kotłowały się w głowie. Mnóstwo możliwości, z których żadna nie była piękna. Zacisnęła zęby.

– Na czyją rzecz? Kto odebrał mu miejsce?

– To skomplikowane.

– Powiedz mi! Chcę wiedzieć!

Kruk poruszył kośćmi, które kiedyś były skrzydłami.

– Miałem nadzieję, że poprzez niego będę mógł sterować Radą. Tak się nie stało. Ale nie wszystko stracone. Rada się chwieje, a my na tym zyskamy. Darkdaggar próbował zabić Rimego i to był fatalny błąd. Został wtrącony do lochów, ale ułaskawiono go pod nieobecność Rimego. Chociaż Rime zwyciężył w pojedynku.

Hirka parsknęła.

– Wymyśl coś lepszego, Graal. Masz mnie za idiotkę? Rime miałby walczyć z Darkdaggarem? Ze zwykłym członkiem Rady? Gdyby to była prawda, już dawno byłby żerem dla kruków.

– Darkdaggar nie walczył sam. Svarteld zginął za niego. Zapomniałaś o tym?

Hirka poczuła, że nie może oddychać. Co to miało być? Co za kłamstwa! Już to kiedyś

słyszała. Że Rime zabił Svartelda.

Opadła na ławę.

– To było kłamstwo! To były kłamstwa Allegry. Sam to powiedziałeś, powiedziałeś, że to nieprawda.

– Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

W jego głosie brzmiała szczerza niepewność. Powróciła myślami do tej rozmowy, kiedy zabrał ją z ogrodu, w którym żyły dzikie zwierzęta

– Skłamaliście, że Rime ma poślubić Sylję. I że zabił Svartelda! I że Lindri...

– To o Svarteldzie nie było kłamstwem.

– Ale mówiłeś... – Do oczu napłynęły jej łzy.

– Hirko, posłuchaj mnie – powiedział martwy ptak. Światło lampek igrało na kościach.

– Pamiętam, że pytałaś o Lindriego. Powiedziałem ci, że to kłamstwo. Ale nigdy nie spytałaś o Svartelda. Myślałem, że wiesz.

Hirka wpatrywała się w szkielet. Jakie dzieło ślepych ze Slokny sprawiało, by ta sterta kości mogła jej mówić, że Svarteld nie żyje?

– Hirko?

Przypomniała sobie, że musi oddychać.

– Dlaczego? – wydusiła z siebie. – Dlaczego Svarteld miałby walczyć...

– Któż to może wiedzieć? To był jego własny wybór.

Svarteld...

Przypomniała go sobie tak żywo, jakby przed nią stał. Ogolona głowa. Czarny jak noc, oczy o kształcie migdałów. Mężczyzna, który przy niej był, kiedy skończył się ten koszmar w sali rytuału i ocknęła się w Gnieździe Ślepych. Mężczyzna, który nauczył ją kopać. I kochał Rimego jak syna, choć miał wyraźne trudności, by to okazywać.

– Mylisz się – szepnęła. – Svarteld nie zginął za Darkdaggara. Zginął za Rimego.

Zacisnęła oczy. Ile to kosztowało Rimego? Spotkać w walce własnego mistrza? Musieć go zabić? Ale czy nie to właśnie robił Rime? Czy nie zabijał? I czy teraz nie miała nadziei, że to ich wszystkich uratuje?

Znów spojrzała na kruka. Poczowała, że uśmiecha się zimno.

– On zbierze Ciemne Cienie.

Zabije was wszystkich.

– Też tak sądzę – odparł Graal.

Powróciły urywki wypieranych wspomnień. Rozbity telefon Stefana, jak pajęczyna na szkle. Przypominała kratę przy drzwiach celi Urda. Wroga, z którym miała więcej wspólnego niż z własną rodziną. Pajęczyna. Nici.

Graal. Jej ojciec. Pająk.

Powiedział, że Rime wziął dziób z własnej woli. To był wybór, którego nie sposób cofnąć. Ale to dało Graalowi władzę. Wiedział o tym. Ona też o tym wiedziała. Ona i Rime byli niewolnikami. Pionkami w grze, która miała doprowadzić do wojny.

Dla zemsty. Dla Evny. Z wielu ważnych powodów i z wielu strasznych. Nie było już dobra i zła. Wszystko zlewało się ze sobą, zamazało się przed jej oczami. Nie było nikogo, komu mogłaby ufać.

Drzwi się otworzyły. Hirka się wyprostowała. Pośpiesznie otarła łzy.

Do komnaty wszedł Raun. Miał dziwną minę i puste spojrzenie, jakby zobaczył ducha.

– Graal... On tu jest. Przybył się z nią zobaczyć.

Kruk odwrócił głowę.

– Kto?

Raun nie odpowiedział. W komnacie zapadła cisza. Potem znów zachrząściły kości. Dziób otworzył się szeroko.

– Och...

To było najbardziej przepełnione znaczeniem słowo, jakie Hirka kiedykolwiek słyszała.

On wie, kto przybył.

Postać, która weszła do komnaty, była całkowicie osłonięta czernią. Czarna szata. Rękawice. I naciągnięty na głowę kaptur. Tak długi, że zwisał przed twarzą jak woal i opadał aż na brzuch. Ten mężczyzna był jak chodząca noc. Jak Ciemny Cień. Ale nawet oni mieli szpary na oczy. A poza tym Ciemne Cienie nie były zgarbione.

Hirce zaświtało w głowie, że ta istota w drzwiach jest jedynym Umpiri naznaczonym starością. Albo chorobą. Mimo szaty widziała, że ma nierówne ramiona. Głowa wydawała się dziwnie wydłużona. Widok był taki jak we śnie, z którego budzisz się z krzykiem.

Nikt nie próbował go zatrzymać. To było najbardziej przerażające. Nawet Skerri milczała, stojąc przy drzwiach.

Postać przykuśtykała bliżej. Mężczyzna w czerni pochylił się nad stołem. Jego kciuk był odchylony pod dziwnym kątem, jakby złamany. Hirka słyszała jego ciężki oddech. Odsunęła się kawałek dalej.

– Krew... Graala. – Miał głos jak ochryply kot. Jakby wyciskał te słowa z płuc.

Wpatrywała się w niego, gdy wyciągnął spod szaty jakieś zawiniątko i rzucił je na stół. To był jej sweter. Stary, zielony sweter, który dała Kolailowi.

Był Widzącym. Przybył.

Zerwała się tak szybko, że prawie potknęła się o ławę. Raun podszedł do niej i powiedział do kruka:

– Graalu, wyjaśniłem, że mamy inne priorytety. Hirka musi najpierw zrozumieć, jak działają domy i Rada. Musi nauczyć się wielu rzeczy o przywództwie. O kulturze.

O walce. Wciąż ma duże zaległości w naszym języku i jeszcze nawet nie zaczęliśmy z kijami...

Choć Raun nalegał, dawało się odczuć, że ma wątpliwości. Hirka usłyszała, że spod szat Widzącego wydobywa się świszczący dźwięk i dotarło do niej, że to śmiech. Minął Rauna. Pochylił się tak, że jego kaptur dotknął kruka.

– Ma poprowadzić dziesięć... tysss...sięcy mężczyzn. Córka Dreyri. Zaklinacza kruków. Nie rozumiejąc Evny? – Jego głos co jakiś czas się zawieszał. – Dziewczyna do mnie przyjdzie, kiedy zacznie pękać lód. – Odwrócił się plecami do kruka, jakby nie było o czym dyskutować.

– Widzący? – Kruk szarpnął głową tak, że aż zachrzęściły kręgi.

Widzący przystanął, nie odwracając się. Słuchał.

– Naucz ją tego, co musi wiedzieć. Nie więcej. Rozumiemy się?

– Przecież zawsze się rozumiemy, Graal.

Widzący wykuśtykał z komnaty. Każdy krok sprawiał mu ból. Hirka czuła to węchem. Widziała dość ludzi ukrywających cierpienie, by potrafić to rozpoznać.

Uświadomiła sobie, że na nią patrzą. Wszyscy.

Modrasme. Raun. Uhere. Jej ród. Rodzice Uhere, Lug i Cirra, stali na progu i zaglądali do komnaty. Vana rozdziawiła usta, jakby czekała na wyjaśnienie. Skerri podeszła do Hirki. Sięgnęła po leżący na stole sweter. Hirka chwyciła go i przycisnęła do piersi.

Nie dało się tego wyjaśnić, wiedziała o tym. Ale to nie miało znaczenia. Dostała to, czego chciała. Widzący rozpoznał jej zapach. Przybył.

Będzie się uczyć. Wszystkiego, co musi wiedzieć. Wygrała. Brakowało tylko poczucia zwycięstwa.



NIEGODZIWY CZYN

Zbyt wielu zabitych. Setki. Ułożeni na sterty w chatach. Otruci przez tych, którym mieli służyć. Czyn, nad którym zapłakaliby bogowie. Niegodziwy. Podły. Tak odrażający, że zaprzeczały mu nawet płomienie. Syczały, wyciągając się ku niebu. Miotaly się na wszystkie strony, jakby chciały uciec.

Ogień bał się Ciemnych Cieni. Nawet martwych.

Rime naciągnął maskę na nos, żeby uchronić się przed smrodem. Pozostali mogli stać kawałek dalej, ale on chciał być blisko. Chciał widzieć, jak płoną.

Nie był sam.

Przeżyło czterdziestu siedmiu mężczyzn. Czterdziestu siedmiu straceńców. Stali wokół niego sparaliżowani rozpaczą. Znajomi i obcy. Przybyli z całego Gniazda Ślepych. Niektórzy z obozów, o których istnieniu nie miał nawet pojęcia.

Rime szturchnął Stiara w bok. Ten spojrzał na niego i zrozumiał. On również naciągnął maskę.

Gorąco buchnęło w nich jak fala. Ogień pożerał. Trzaskał. Chaty obracały się w kłęby dymu i popiół. Unosiły się ku niebu. Najbliższy dach się zawalił. Kurczył się w chmarze iskier. Ściany poczerniały. Wypaliły się do samej ziemi na długo przed zwłokami. Teraz między drewnem było widać ciała. Targał nimi zachłanny ogień. Można było odnieść fałszywe, przerażające wrażenie, że się poruszali, próbowali wyczołgać ze stosu.

Rime zmusił się, by dalej stać. By patrzeć. Zobaczyć wszystko, by później pamiętać, za co się mści.

Usłyszał, że inni się wycofują. Jeden po drugim. W końcu oddalił się również Stiar.

Marg podszedł do niego od tyłu.

– Tak, postójmy jeszcze chwilę – mruknął zza maski. – To na pewno bardzo zdrowe...

Rime cieszył się, że Marg jest jednym z tych, którzy przeżyli. Jednym z grupki mężczyzn, którym mógł ufać, nawet kiedy wszystko pochłonie Slokna. Miał ponure poczucie humoru. Poprawiał innym nastrój, kiedy trudno już było to znieść. Krążyły plotki, że nazwano go Marg po tym, jak paskudnie złamał sobie rękę i skorzystał z okazji,

by sprawdzić, jak smakuje własny szpik.

– Musisz coś dla mnie zrobić, Marg.

– Nie.

Rime spojrzał na niego.

– Nie?

– Nie, Mistrzu. – Marg ściągnął maskę z twarzy. – Nikogo nie będę pilnował pod twoją nieobecność. Nie zaprowadzę tej grupki do Kruczego Dworu, kiedy ty wyruszysz do Mannfalli, żeby zginąć.

Rime zapatrzył się w płomienie.

– Czyli chcesz iść ze mną? To właśnie mówisz?

Marg stanął przed nim. Zasłonił widok płonących chat.

– Rime, byłem tam. Eisvaldr jest nie do zdobycia. Strzegą najstarszego skupiska domów za murami. Mają więcej wojowników, niż my straciliśmy, i władzę w mieście. Nie sądzisz, że mają dość rozsądku, by się bronić?

Rime wiedział, że to prawda. Kiedyś wdarł się do Eisvaldru, ale wtedy miał Hirkę. Bez niej Evna była jedynie cieniem tego, czym być mogła. Bez niej zginąłby.

Zapadła się ostatnia chata. Ogień dyszał jak miech. Czyjeś zwęglone zwłoki stoczyły się z innych. Rime się odwrócił i ruszył w stronę obozu.

– I tak byłoby warto.

Marg go dogonił.

– Nie wystarczy, że stracili wszystko? Odbierzesz im też jedyną osobę, która może ich poprowadzić? Jedyną osobę, która może rozmawiać z Eirikiem i wygrać tę wojnę?

Rime nie odpowiedział. Marg chwycił go za ramię.

– Rozumiem to, Rime! Wiem, jakie to uczucie. Nie jesteś w tym odosobniony. Ale najlepszą szansą, jaką mamy, żeby to naprawić, jesteś ty. Nie możemy cię stracić. Nie teraz. Nie w ten sposób.

Rime usłyszał własny śmiech. I tak go stracą. Może już następnym razem, gdy Graal się do niego odezwie.

Marg chciał dobrze i nie był głupi. Ale on ani pozostali nie rozumieli, jak bardzo trzeba się śpieszyć. Żaden z nich nie wiedział, co Rime ma w gardle. Że jest niewolnikiem.

Musiał dopaść Darkdaggara, zanim Graal się dowie, że Rada została obalona, a Ciemne Cienie nie żyją.

Marg patrzył na niego z niemym błaganiem w oczach. Nagle Rime zapragnął powiedzieć mu o wszystkim. Zrzucić część brzemienia, którego sam nie potrafił znieść.

Nadbiegł Stiar. Uratował go przed wyjawieniem tego, co zmieniłoby wszystko.

– Ætlingowie, Mistrzu! Sveinn mówi, że wchodzą do Gniazda Ślepych z gór na

wschodzie. Mogli zobaczyć stopy.

Rime ruszył w jego stronę.

– Członkowie Rady? Wojownicy?

– Nie. Sveinn mówi, że prowadzą dzieci. Zwykli ætlingowie. Nie więcej niż dwudziestu.

Ale mówił, że dwoje ma znak kruka na czole.

Uchodźcy!

– Marg i Torgar, chodźcie ze mną. – Rime spojrzał na Stiarę. – Są ranni?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Weźcie leki, na wszelki wypadek. – Rime zacisnął rzemienie przy stroju. – Stiarę, wskaż nam drogę.



Rime biegł z sercem w gardle. Członkowie Rady. Uchodźcy z Mannfalli. Nienawidził nadziei, że jednym z nich będzie Jarladin. Tego, że wolałby śmierć kogoś innego. Taka jednak była prawda. Gdyby mógł wybierać, przeżyliby Jarladin i Eir.

Zaczerpnął Evny i pomknął jeszcze szybciej między drzewami. Słyszał za sobą innych. Bezszelestnych jak skrzydła kruka.

Stiarę dał im znak. Byli blisko.

Wdrapali się na skałę. Sveinn kucnął na szczycie, ledwie dało się go odróżnić od głazów wokół. Rime podczołgał się do niego i ich zobaczył.

Wspinali się na przełęcz, taszcząc ze sobą zbyt wiele rzeczy. Ciężkie worki, wózek, który nie przetrwa w Gnieździe Ślepych, dzieci...

Rime szukał wzrokiem w ciemności i odnalazł go. Jarladina. Byli ciepło ubrani, ale nie sposób było nie poznać tego białobrodego byka. Miał miecz przypasany przy biodrze, ale nikt nie niósł łuków. Nikt nie strzeli, jeśli wpadną w panikę.

Rime dał znak pozostałym i równocześnie zeskoczyli ze skały. Zebrali się na przełęczy i czekali.

Grupka zmęczonych postaci była coraz bliżej. Zobaczyli Ciemne Cienie i przystanęli. Przez chwilę stali w milczeniu. Zdezorientowani. Jakby nie byli pewni, co powinni zrobić. Uciekać czy krzyczeć z radości. Ktoś rzucił się do ucieczki. Jarladin go zatrzymał i to wywołało ogólną histerię.

Rime wyszedł im na spotkanie.

– Jarladin! – zawołał, by ten go poznał.

Jarladin zmrużył oczy.

– Rime?

Rime usłyszał, jak w grupce powtarzają sobie jego imię. Podszedł do członka Rady. Ucieczka odcisnęła na nim piętno. Miał podkrążone oczy i poprzecierane ubranie. Położył rękę na piersi Rimego, jakby chciał się upewnić, czy dobrze widzi. W jego oczach zalśniły łzy.

Rime cieszył się, że Jarladin żyje. Ale nie był w stanie czuć tego co on. Skończył z opłakiwaniem zabitych. Płacz nikomu nie pomoże. Musiał się tylko dowiedzieć, kto przeżył, a kto zginął.

– Słyszałem, że jest was dwoje? – Rime rozejrzał się po grupce. Barczysta kanciasta kobieta rozpychała się wśród innych, by przedostać się na przód. Sigrą Kleiv.

Rime wiedział, że nie udało mu się ukryć zaskoczenia. Sigrą. Żelazna kobieta z Rady. Najbardziej wojownicza z nich wszystkich. I na pewno ta, która najbardziej działała mu na nerwy. Wszystko chciała rozwiązywać, przelewając krew. A słów Kruczy Dwór nie potrafiła nawet wymówić tak, by przy tym nie splunąć.

Co tutaj robi? Ze wszystkich, których podejrzewał o to, że przyłączą się do Darkdaggara, ona była pierwsza.

Kobieta o męskich rysach uniosła podbródek i utkwiała w nim wzrok.

– Czyli sądziłeś, że wciąż tam zasiadam – powiedziała gorzko.

Rime wzruszył ramionami.

– Rada albo nic, zawsze tak uważałaś. I zakładałem, że przyłączysz się do każdego, kto tylko będzie chciał mnie zniszczyć.

Po jej twarzy przemknął wyraz wstydu, ale zapanowała nad sobą.

– Możesz wierzyć, w co chcesz, chłopcze. Potrafiłbyś rozwścieczyć kamień, ale zasiadałeś w Radzie. A w Radzie, w której ja zasiadam, nie zabijamy się nawzajem.

Rime rozejrzał się po pozostałych. Należeli w większości do rodziny Sigry. O ile pamięć go nie myliła, miała dwanaścioro dzieci w bardzo różnym wieku. Jarladin zabrał niektórych ze swego rodu. Rime poznał jedną z dziewczyn. Sylja. Sylja z Elveroi. Uśmiechnęła się do niego, jakby właśnie poprosił ją do tańca. Nie jak ktoś, kto ucieka nocą do Gniazda Ślepych. I nie była zaskoczona na jego widok. A więc Jarladin im powiedział, że Rime żyje.

Rime znów spojrział na członka Rady.

– Kto?

Jarladin przytulił do siebie wnuczkę. Położył dłoń na jej głowie.

– Noldhe była pierwsza. Mówią, że umarła spokojnie, we śnie. Miane Fell wtrącono do lochów za... zdradę Rady – wypowiedział te słowa tak, jakby kaleczyły go w język.

– Eir?

Jarladin potrząsnął głową.

– Spłonęła...

Rime odwrócił wzrok. Znał Eir przez całe życie. Powierniczka kruka była jedną z najbliższych przyjaciółek Ilume. Często gościł w ich domu, kiedy dorastał. Już nie było tak, jak powinno.

– A reszta go poparła? Poparła Darkdaggara?

– Nie wiemy. Wiemy o Tyrmem, Sauhlem, Leivluginie...

– Starzec zbliża się do setki i wątpię, żeby rozumiał, w co się pakuje – wtrąciła Siga. Jarladin pokiwał głową.

– Ale poparła go Freid Vangard. I Telja Vanfarinn.

Rime zamknął oczy. Potarł nos. Telja... Daleka krewna Urda. Przedstawienie, które odegrała w sali Rady w czarnej żałobnej sukni, żeby zdobyć miejsce po Urdzie. A więc w końcu zdobyła to, czego tak bardzo pragnęła.

Westchnął.

– Widziałeś może Ramoję?

Jarladin zaprzeczył. Rime miał nadzieję, że zabrała Vetlego do Kruczego Dworu.

Dał im znak ręką, żeby ruszyli za nim.

– Nie wybraliście sobie najłatwiejszej drogi.

– Na początku próbowaliśmy ominąć Gniazdo Ślepych – odezwał się Jarladin zza jego pleców. W jego głosie słychać było jakąś wymuszoną lekkość, jakby chciał załagodzić słowa, które padły podczas ich ostatniego spotkania. – Ale teren stał się zbyt otwarty i sądziliśmy, że nas ścigają, więc musieliśmy szukać schronienia w górach. Choć nie byliśmy pewni... nie wiedzieliśmy, co z Ciemnymi Cieniami. – W jego słowach kryło się pytanie. Jarladin zdawał sobie sprawę, że coś się musiało stać.

– Powiem ci, co z Ciemnymi Cieniami – odparł Rime. – Jesteśmy martwi. Prawie wszyscy. – Usłyszał, że Jarladin przystanął. Rime, nie zatrzymując się, obejrzał się na niego przez ramię. – Ale to też dzieło Darkdaggara, jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie.

Jarladin podbiegł do niego.

– Rime, nie możesz! Obsadził wojsko swoimi, ma Eisvaldr. To samobójstwo.

Podszedł do nich Marg.

– Też tak powiedziałem.

Rime oddalił się od nich obu. Pozwolił, by kontynuowali tę dyskusję bez niego. Usłyszał, że Sylja woła go po imieniu, ale nie miał na nią siły. Nie teraz. Jarladin i Marg próbowali dotrzymać mu kroku, rozmawiając o ostatnich wydarzeniach. O tym, jaki ważny jest Rime. Że to on musi zebrać resztę krain Ym. Że to on ma je chronić.

On. Niewolnik martwo urodzonego.

Gdyby tylko wiedzieli...

Jarladin znów go dogonił i chwycił za ramię.

– Rime, musisz posłuchać...

Rime wyrwał się i odwrócił do niego.

– Nie! To *wy* musicie posłuchać. Darkdaggar jest już martwy. Może nie umrze jutro, ale zapewniam was, że jutro się dowie, że jest już jedną nogą w Słoknie.



ZNAK WIDZĄCEGO

Darkdaggara coś wyrwało ze snu. Usłyszał grzmot? Usiadł na łóżku. Ktoś dobijał się do drzwi sypialni.

Kunte wołał go po imieniu, wiele razy. Korytarzami biegli gwardziści. Ten hałas obudziłby nieboszczyka.

Elisa chwyciła go za ramię.

– Garm? Co się dzieje? – Jej głos był cichy i ochryply od snu. Nie była sobą, odkąd przenieśli się za mury. Za mało jadła, za mało spała. W chwilach słabości myślał, że wyczuwa to, o czym jej nie mówi. Że wie.

Darkdaggar wstał. Szczelniej otulił się nocną koszulą.

– Ty śpij. Na pewno znowu ktoś uciekł.

Kilku uciekło po tym, jak przejął władzę, ale od początku się z tym liczył. Tego właśnie można się było spodziewać.

Elisa usiadła na łóżku i wpatrywała się w drzwi. Zasłoniła usta dłonią. Obszedł łóżko i pchnął ją z powrotem na poduszki. Odgarnął jej włosy z twarzy.

– Zaraz wrócę. Ty zostań tutaj.

Jej oczy się rozszerzyły. Miał ochotę zamknąć je na siłę. Tak jak zmarłemu. Zawstydziła go ta myśl. Elisa w niczym nie zawiniła. To były burzliwe dni. Czas zmian. Czas przełomu. Ale zwyciężyli. Rada wciąż istniała. Jego zwolennicy, pod jego przywództwem.

Dręczyło go jednak, że Elisa za mało śpi. Zrobił porządek w Radzie. W wojsku. Ale równocześnie coś między nimi się popsuło. Może gdy zwycięstwo będzie pewne i w krainach zapanuje spokój...

Szarpnięciem otworzył drzwi. Kunte jeszcze przez chwilę próbował się do nich dobijać, zanim to zauważył. Darkdaggar wyszedł na korytarz i zamknął je za sobą.

– Wszystkich wystraszyliście, Kunte!

– Wiem, fadri Garmie, ale ktoś był w środku.

Darkdaggar zaklął. Zapomniał pantofli.

– Gdzie w środku? Kogo brakuje?

– Nie, nie o to chodzi. Wszyscy są w gotowości. Dwa oddziały wyruszyły na poszukiwania, ale... nikt nikogo nie widział.

– Pleciesz brednie, Kunte... Co się stało? Ktoś zginął?

– Nie, ale...

W głębi korytarza ktoś uchylił drzwi. Wyrzała zza nich Freid Vangard z nocną lampką w ręce. Darkdaggar pomachał do niej i uśmiechnął się rozbrajająco.

– Wszystko w porządku. Idź się położyć, Freid.

Członkini Rady coś mruknęła i zniknęła w swojej komnacie.

To, że wszyscy mieszkali w jednym miejscu, bynajmniej nie było idealnym rozwiązaniem, lecz zmuszały ich do tego smutne okoliczności. W każdym razie tak pozostanie, dopóki nie umocnią kontroli. Na razie Eisvaldr skurczył się do najstarszej części miasta. Do samego jądra za białymi murami, które kiedyś było najświętszą siedzibą Widzącego.

Darkdaggar westchnął.

– Kunte, pobudziliście śpiących w Sloknie. Nikt nie zniknął. Nikt nie zginął. A wy szukacie kogoś, kogo nikt nie widział. Mógłbyś to jakoś wyjaśnić?

– Musisz to zobaczyć – odparł Kunte i dał Darkdaggarowi znak, by ruszył za nim.

– Poczekaj. – Darkdaggar otworzył drzwi i wrócił do swojej komnaty. W ciemności nic nie było widać, ale pantofle stały tam, gdzie powinny. Dobrze, że choć to było tak jak trzeba. Wsunął je na nogi i szepnął do Elisy: – Jest tak, jak sądziłem, nic się nie stało. Zaraz wrócę.

Nie czekał na odpowiedź. Wyszedł i ruszył za Kuntem.

W tej części Eisvaldru korytarze były wąskie. Drzwi niższe, a komnaty ciasniejsze. Zupełnie jakby ætlingowie byli kiedyś mniejsi. Jedyne światło wpadało przez wąskie okienka wychodzące na zamkowy dziedziniec. Słyszał mężczyzn biegnących w zbrojach. Kunte otworzył drzwi i zaczął szybko schodzić po schodach na plac.

Darkdaggar się rozejrzył. Nie posunęli się z pracami tak bardzo, jak na to liczył. Studnia znów po kilkuset latach nadawała się do użytku. Ogrody warzywne wymagały jednak czasu. Celem była samowystarczalność za murami, tak jak niegdyś. Ale często miał wrażenie, jakby próbował postawić na nogi zdychającego konia. Niemal od tysiąca lat Eisvaldr żył w luksusie, przekonany o własnej potędze. Otwory strzelnicze przerobiono na okna. Kraty przy bramach zardzewiały albo dawno temu je usunięto. Dzień i noc pracowano, by zamknąć zaułki i wyburzyć mosty i schody. Po niecałym tygodniu Eisvaldr zmienił się nie do poznania; teraz zaczynał przypominać coś, co nadawało się do obrony.

Kunte przeszedł przez dziedziniec. W jego pośpiechu kryło się coś niepokojącego.

Darkdaggarowi zaczęły się pocić dłonie, choć wiosenna noc była chłodna.

Wspięli się na mury po drugiej stronie. Stąd widać było ziejącą dziurę, która pozostała po sali rytuału. Otwartą przestrzeń między dwoma częściami miasta. Pośrodku sterczał kamienny krąg, niczym jakaś ogrodowa ozdoba. Darkdaggar się zaniepokoił. Ogarnęły go lekkie wątpliwości.

A co, jeśli...

Kunte wszedł do jednej z baszt w murach. Darkdaggar zaczynał tracić cierpliwość, ale gdy wyszli po drugiej stronie, Kunte przystanął. W dole pod nimi biegali mężczyźni z pochodniami. Płomienie migotały.

Kunte nie musiał pokazywać. Darkdaggar spojrział w stronę Gniazda Ślepych. Widok, jaki miał przed oczami, sprawił, że przeszył go zimny dreszcz. Płuca jakby się skurczyły. Ogon opadł między nogi. Darkdaggar uczepił się kurczowo balustrady.

W ziemię powbijane były miecze. Setki mieczy.

Tuż obok siebie. Razem tworzyły znak Widzącego. Stalowego kruka tak przepełnionego znaczeniem, że niemal słyszał jego krzyk. I tak ogromnego, że zrozumiał, dlaczego Kunte zaprowadził go tu na górę.

Kunte zdjął płaszcz i zarzucił mu go na ramiona.

– Czyli ktoś przeżył – stwierdził Kunte. – Tylko tyle to oznacza. I co z tego? Nie może ich być wielu. A to... Nawet nie ma pewności, że to Rime.

Darkdaggar zmusił się do uśmiechu.

– Och, zapewniam cię... to Rime.

Podmuch wiatru wpadł między miecze i ostrza zaśpiewały. Chór mieczy zabitych wojowników, który sprawił, że przeszły go ciarki.



GRANICA WYTRZYMAŁOŚCI

Hirka trzymała się w bezpiecznej odległości od walczących. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś ławki, ale bez powodzenia. W innym miejscu może byłaby na to jakaś nadzieja, ale rozglądanie się za miejscem do siedzenia w sali, gdzie w kręgach walczyli wojownicy, było oczywiście na nic. Umpiri byli irytująco dumni, ale ci tutaj byli pod tym względem jeszcze gorsi.

Jaskinia miała nieckowaty kształt. Być może uformowało ją podziemne jezioro, które już nie istniało. Przy ulicy biegnącej na wschód, w stronę morza, znajdował się cały ciąg takich jezior.

Może powinna usiąść na podłodze?

Zerknęła na Skerri i postanowiła, że jednak postoi. I tak już rozdrażniła martwo urodzoną do granic wytrzymałości. Kolail, kruk, Widzący... Skerri mogła wybuchnąć w każdej chwili.

Martwo urodzona zakręciła kijem z taką lekkością, jakby to był patyk. Końcem pchnęła Grida w pierś. Towarzyszący temu dźwięk sprawił, że Hirka aż się skuliła. Grid jęknął, cofnął się i trzeci raz z rzędu wypadł z kręgu. To, że był przyjacielem Skerri, nie dawało mu najwyraźniej żadnych forów. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że okładanie go sprawia jej jeszcze większą przyjemność. Jakby chciała go ukarać za to, że mu na niej zależy.

A jak traktuje swoich wrogów?

Na kamiennej podłodze wymalowano na pomarańczowo pięć kręgów. Nie było żadnych dywanów. Żadnego piasku. Niczego, co mogłoby zamortyzować upadek. Pewnie nawet nie przyszło im to do głowy. Po prostu nie myśleli w ten sposób.

Hirka wiedziała jednak, że musiało tu dochodzić do paskudnych i niepotrzebnych wypadków. Na przykład kręgi były zbyt blisko siebie. Ile głów porzbiły zbląkane kije? Nieliczne lampki dawały za mało światła. Gdyby nie to, że Umpiri tak dobrze widzieli w ciemności, pozabijaliby się nawzajem. A na końcu sala opadała stromym urwiskiem w następną jaskinię. Ilu tam już pospadało? Zakończyło tysiącletnie życie z powodu

głupoty i dumy?

Nagle dał się słyszeć przeciągły trzask. Potężny jęk lodu, jakby góra miała się rozpaść na pół. W ostatnich dniach Hirka coraz częściej słyszała takie dźwięki. Wkrótce lód przegra walkę i zacznie pękać.

Dziewczyzna do mnie przyjdzie, kiedy zacznie pękać lód...

Miała się spotkać z Widzącym. Ta myśl budziła w niej tyle sprzecznych uczuć, że obawiała się, iż sama od tego pęknie.

Grid zerwał się na nogi. Oburącz trzymał przed sobą kij, jakby wiedział, że musi się za wszelką cenę bronić. Hirka cieszyła się, że tylko się temu przygląda. To było jednak marne pocieszenie, bo wkrótce będzie musiała w tym uczestniczyć. Skerri naciskała, żeby jak najszybciej zaciągnąć ją do kręgu. Pretekstem było to, że Hirka tak załośnie się prezentuje. Mała. Słaba. Bardziej człek niż Dreyri. Nigdy nie zostanie prawdziwą wojowniczką, ale rodzina była zgodna co do tego, że muszą zrobić, co w ich mocy, by na taką wyglądała.

Na początku miała tylko obserwować. Tak zdecydował Raun.

Hirka spojrzała na niego. Czerwone włosy, takie jak jej własne, zebrał w węzeł na karku. Walczył tuż nad urwiskiem z jakąś kobietą. Jego przeciwniczka nosiła na ramionach szerokie stalowe pierścienie. Hirka domyśliła się, że to obciążniki. Używali krótszych kijów niż Skerri i Grid, trzymany po jednym w każdej ręce. Hirka dopiero po jakimś czasie pojęła, dlaczego kije są w porządku, a inna broń już nie. Broń była dla tych, którzy się boją. Dla tchórzy. Dla niskich domów albo bezdomnych. A kij to tylko kij. Coś, co przypadkiem miało się pod ręką.

Obciągnęła spódniczkę. Bezskutecznie próbowała zakryć uda. Czowała się prawie naga. Tych strojów nie stworzono, by dawały ciepło i ochronę. Stworzono je, żeby można było zastraszyć przeciwnika. Pokazywać mięśnie. Przewagę. W jej przypadku to był żart. Svarteld by się uśmieł, gdyby teraz ją widział.

Svarteld...

Ta myśl uchyliła drzwi rozpacz, z którą nie chciała się teraz mierzyć. Ruszyła wzdłuż ściany, obserwując wojowników. Byli szybcy. Silni. Imponująco opanowani. Widać było, że walczą od pokoleń. Może Ciemne Cienie miałyby tutaj jakąś szansę. Ale niewiele poza nimi.

Lód znów zaskrzypiał. Głośniejsze. Przeciągłejsze. Wrażenie było takie, jakby góra zatrzęsła się w posadach. Walki ustały. Ślepi się rozglądali. Wesoło szczyrzyli do siebie zęby. Nawet Skerri. Walnęła Grida pięścią w ramię, a on odpowiedział jej uśmiechem. Hirce było go niemal żal. Od ilu lat dostawał lanie za to, że jest jej przyjacielem?

Z jednego z tuneli opadających w stronę ulicy dobiegł głuchy śmiech. Pojawiła się nowa

grupka. Mężczyźni i kobiety szli obok siebie i często wybuchali śmiechem. Zgrane towarzystwo. Pozostali się wyprężyli, więc Hirka domyśliła się, że nowo przybyli są z wyższego domu.

Uznała, że sesja dobiegła końca. Sięgnęła po leżącą na podłodze pelerynę.

– Hirka?

Natychmiast poznała go po głosie. Jór z domu Hod.

Nie odwracać się plecami, nie oddalać się bez pozwolenia, nie przerywać mu, nie...

Wzięła głęboki oddech i przywołała na twarz uśmiech. Odwróciła się do niego.

– Jór.

Jego jasne włosy były tak niedbale przycięte, że musiało to kosztować mnóstwo pracy. Nawet grzywka była nierówna. Położył rękę na jej ramieniu. W normalnych okolicznościach to by pewnie wystarczyło, by awansowała z siódmego domu do szóstego. Zawstydziała ją ta zgryźliwa myśl. Jór nie sprawiał wrażenia złego chłopaka. Chyba że nauczył się to ukrywać lepiej niż inni Umpiri.

– Dostałaś herbatę? Co o niej sądzisz? – Opuścił podbródek i spojrzał na nią ze szczerym zaciekawieniem, jakby się nie spodziewał, że zacznie wychwalać podarunek.

– Była pyszna, Jór. Stokrotne dzięki. Cieszę się, że będziesz mógł posmakować herbaty z Himli... – Ostatnia sylaba uwięzła jej w gardle. Herbata z Himlifall. Kiedy Jór jej posmakuje? Kiedy krainy Ym będą podbite, a ætlingowie zmieceni z powierzchni ziemi?

– Nie mogę się tego doczekać, Hirko. – Chyba nie zwrócił uwagi, że poczuła się nieswojo, bo obdarzył ją szerokim uśmiechem.

Na jego piersi wił się czerwony wąż. Tatuaz pokrywał też ramię i oplatał się wokół jednej ręki. Uderzyło ją, że w Ginnungad widziała niewiele tatuazy. Czy to dlatego, że znaki na skórze sugerowały, że nie jest się dość dobrym? Jeśli tak, to Jór zupełnie o to nie dbał. Ale pewnie łatwiej było się nie przejmować, kiedy należało się do rodziny panującej.

Zdjął torbę z ramienia i podał ją jednemu z pozostałych, nie odrywając wzroku od Hirki. Zebrała się przy nich mała grupa, kiepsko skrywając ciekawość.

Jór odciągnął ją kawałek dalej.

– Jak to dobrze, że się spotkaliśmy, Hirko. Wiesz... mamy wiele starych map Mannfalli, ale moja matka odkryła, że rada wojenna nie może dojść do porozumienia, co się zmieniło, odkąd byliśmy tam ostatnio. Chyba bez sensu się o to spierać, skoro mamy ciebie, prawda? Ale oni są za starzy na to, by przyznać, że powinni się czegoś nauczyć. Ja za to często muszę wysłuchiwać, że jestem młody i lekkomyślny. – Mrugnął do niej. – Myślisz, że mogłabyś im pomóc?

Hirka zeszywniała. Jego rozbrajający uśmiech ostro kontrastował z tym, o co ją pytał. Mapa. Mapa Mannfalli. Miała im pomóc zniszczyć własną stolicę? Własny lud?

Nigdy nie byłeś ætlingiem. Jesteś człekiem. Jesteś Dreyri.

Jór uśmiechał się tak, jakby prosił ją o najprostsza rzecz na świecie. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie zdążyła.

– Oczywiście, to dla niej zaszczyt, Jór. – Obok nich nagle pojawiła się Skerri.

Jór zerknął na nią.

– No to zaszczyćmy ją, pozwalając jej mówić za siebie – odparł i znów spojrzał na Hirkę.

Miała ochotę krzyknąć. Jego słowa w niczym jej nie pomogą. Wręcz przeciwnie. Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna. Hirka utknęła w pułapce między oczekiwaniami Jóra a nienawiścią Skerri. Była w stanie jedynie skinąć głową.

– Świetnie! W takim razie wyślę zaproszenie. – Wyciągnął rękę i chwycił kij rzucony mu przez jednego z towarzyszy. Potem on również skinął głową i ruszył z pozostałymi w stronę kręgów.

Kije zaczęły uderzać o siebie w nierównym rytmie. Tak jak jej serce.

– Trzeba mu przyznać, że próbuje – syknęła Skerri za jej plecami.

– Co próbuje?

– Traktować cię jak jedną z nas. – Skerri stanęła przed Hirką. Przyparła ją do krzywej ściany. Jej czarne usta drżały. Błysnęła kłami. – Ale ty nie jesteś jedną z nas, prawda? Przybyłaś tu, by okazać władzę Graala. By poprowadzić wojnę. Tylko że wcale jej sobie nie życzysz. Nie jesteś lojalna wobec swojego domu. Swojej krwi. Jesteś lojalna wobec nich. Psów, z którymi się wychowałaś. – Pochyliła się. Na jej skórze lśnił świeży pot. Warkoczyki poruszały się, niemal dotykając Hirki. – Wszystkie kobiety na Dreysíl byłyby gotowe zabić za zainteresowanie Jóra. Za wstęp do domu Hod. Ale nie ty. Więc wobec kogo jesteś lojalna, Hirko? Wobec Ciemnego Cienia, który nie zdołał nawet utrzymać miejsca w Radzie?

Hirka próbowała ukryć swoją reakcję, ale wiedziała, że jej się nie udało. Skerri stanęła teraz za nią. Była tak blisko, że Hirka poczuła na plecach ciepło bijące od jej rozgrzanego po treningu ciała. Szpony Skerri na karku. Jej usta tuż przy uchu.

– Rime? Tak się nazywa? To wobec niego jesteś lojalna? Dla niego nas zdradzisz? To na nic, Hirko. Jedyne, co go może uratować, to nie próbować z nami walczyć.

Hirka wywinęła się z jej szponów.

– W takim razie słabo go znacie.

Skerri zaśmiała się cicho.

– Wypowiedziałam tylko jego imię, Hirko. To wszystko. – Jej głos był ochryply. Zduszony, jakby tak naprawdę miała ochotę krzyknąć. – Wypowiedziałam tylko jego imię, a teraz czuję od ciebie jego zapach. Myślisz, że potrafisz ukryć pożądanie? Ono aż kipi w twoim ciele. Wydostaje się porami twojej skóry. Kłamstwa nic ci nie dadzą. Twoja

lojalność śmierdzi. Smak twojej skóry to zdradza.

Hirka zacisnęła zęby. Poczua się obnażona. Wściekła. Skerri wtargnęła tam, gdzie nie miała prawa być. Do miejsca, w którym było wszystko, co najważniejsze. Wszystko, co wydawało jej się prawdziwe.

– Czyli ty też byłaś kiedyś młoda? – Hirka od razu pożałowała tych słów.

Skerri zamachnęła się kijem. Podcięła jej nogi i Hirka osunęła się na kolana. Skerri była już za nią i ścisnęła ją udami. Przeszył ją ból. Nie mogła się uwolnić. Skerri wisiała jej na karku jak niedźwiedź. Potem poczuła kij wciskający się do gardła. A więc to tak się miało skończyć? Wystarczyło, że Skerri wykona skręt i złamie jej kark.

Skerri pochyliła się nad nią i syknęła do ucha:

– Prędeż cię zabiję, niż pozwolę ci nas zdradzić!

– Skerri! – Zbliżał się do nich Raun.

Nagle przez ściany przetoczył się grzmot. Głęboki pomruk, który jakby wydobywał się z wnętrza ziemi.

Lód!

Odgłosy kijów ucichły. Skerri puściła Hirkę. Znow zatrzeszczało. Lód znajdował się wiele piętér nad nimi, ale brzmiało to tak, jakby był tuż obok. Huk przetoczył się jak grzmot. A potem seria trzasków, które rozchodziły się coraz dalej. W sali rozległy się wesołe okrzyki. Wojownicy wymachiwali kijami i zderzali się torsami. Dziecinna radość, która zapewne oznaczała, że to będzie suto zakrapiany wieczór. Święto w Ginnungad.

Hirka dotknęła szyi. Podźwignęła się na nogi. Uśmiechnęła się zimno do Skerri. Nie potrafiła się powstrzymać.

– Wygląda na to, że będziesz musiała mnie zabić innego dnia. A teraz jestem umówiona na spotkanie.



WIDZĄCY

Była Hirką z domu Modrasme, siódmego, a to oznaczało, że rzadko mogła się gdzieś wybrać sama. Nawet do Widzącego. Przykra konsekwencja.

Eskortowała ją grupka wojowników ubranych w szaty zwyczajnej służby. Hirka nawet przez chwilę nie wątpiła, że wszyscy wiedzą, na czym polega ich zadanie, ale oczywiście Dreyri nikogo się nie bali i nie potrzebowali straży przybocznej. Natomiast w kijach nie było nic niewłaściwego. Oczywiście tylko na wypadek gdyby trzeba było przedzierać się przez śnieg, a nie w przypadku ataku, żeby roztrzaskać komuś głowę...

Jedynie Kolail nie próbował udawać kogoś, kim nie był. Kropla na jego czole mówiła wszystko.

Szedł tuż za nią i widać było, że inni czują się przez to nieswojo. Nie spuszczała z niego oka, jakby mógł wpaść na jakiś głupi pomysł. Hirka odnosiła jednak wrażenie, że Kolail chroni ją przed pozostałymi. Przed tymi, którzy mieli zapewnić jej bezpieczeństwo.

Ulice tętniły życiem. Lód popękał i w Umpiri też zaczęło coś tajać. Tłoczyli się przy straganach. Nieśli towary i ubite zwierzęta. Rozmawiali z nieznajomymi. Szturchali łokciami przyjaciół. Siedzieli w oknach, unosząc butelki i rogi do przechodniów na ulicy. Hirka miała nadzieję, że ten beztroski nastrój nie doprowadzi do kolejnych zamieszek. Od czasu przemowy Hod noce stały się spokojniejsze.

Ulżyło jej, gdy weszli w wąskie zaułki. Właściwie były to głębokie szczeliny w skale, gdzie ledwie mogłyby się minąć dwie osoby, ale tutaj nie czuła na sobie tylu spojrzeń. Mieszkańcy zajmowali się swoimi sprawami.

Odetchnęła głęboko. Czuła się podenerwowana na myśl, jak jej rodzina zareagowała na zjawienie się Widzącego. Nie miała pojęcia, jak powinna go traktować. Nikt jej nie nauczył żadnych zasad, które odnosiłyby się do widzających. Kij, który niosła w ręce, miał być podarunkiem dla niego. Sama go skróciła i opatrzyła poprzecznym kołkiem u góry. To była kula dla chorego. Ale Umpiri są, jacy są, więc będzie musiała wyrazić to w inny sposób. Albo w ogóle mu jej nie da. Jeszcze zobaczy.

Zbliżali się do morza, wiedziała o tym z map, które wcześniej oglądała. Natomiast nie

było na nich widać, że droga gwałtownie opada w dół. Coraz stromiej. Zerknęła na Kolaila. Kiwnął głową. Szli właściwym szlakiem. Pomyślała o zgarbionej istocie, która kuśtykając, weszła do komnaty. Wydawało jej się nieprawdopodobne, by Widzący przybył tą drogą. Zajęłoby mu to pół dnia. Ale może rzadko wychodził?

Zaułek przeszedł w ulicę, na której nierównej powierzchni gromadziła się woda. Ale to nie była woda z roztopów, jak Hirka w pierwszej chwili pomyślała. To była woda morska. Ulica dochodziła do morza, które uderzało rytmicznie o urwisko, posyłając na nich deszcz kropli.

Zapach napłynął jak fala. Cudownie znajomy. Hirka oblizała sól z ust.

Kolail chrząknął. Uznała to za znak, że dotarli na miejsce. Zresztą i tak dalej nie było dokąd pójść. W skale wykute były schody. Prowadziły w górę i kończyły się na platformie przy jakichś drzwiach, w połowie urwiska.

Hirka odwróciła się do swojej świty.

– Poczekajcie tutaj.

Ku jej zaskoczeniu usłuchali bez żadnych protestów. Bardzo niepokojące.

Ruszyła po schodach i przystanęła przed drzwiami. Były z żelaza, ale tak zardzewiały, że w pierwszej chwili pomyślała, że to stare drewno. Zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc spróbowała jeszcze raz, trochę mocniej. Czerwone płatki rdzy poszybowały z wiatrem. Obejrzała się na służących. Czuła się zakłopotana, musząc tak czekać. Nacisnęła klamkę. Drzwi okazały się cięższe, niż sądziła, ale ustąpiły. Po raz pierwszy od dawna, o czym świadczył jęk zawiasów. Weszła do ciemnego korytarza i zamknęła drzwi za sobą.

– Wchodzę – powiedziała, uznawszy, że tak trzeba. Nic nie wskazywało na to, że ktoś ją usłyszał albo się tym przejął.

Gdy zagłębiała się w korytarz, jej oczy przyzwyczajały się do ciemności. Słyszała wodę kapiącą z sufitu. Gdzieś blisko i gdzieś dalej. Wskazówka, że to miejsce jest większe, niż jej się wydawało.

Korytarz przeszedł w jaskinię. Przytulne miejsce, które przywodziło jej na myśl herbaciarnię Lindriego. Połowę pomieszczenia pokrywała drewniana podłoga, pierwsza, jaką widziała, odkąd przybyła na Dreysil. Drewno było stare i podniszczone, w szczelinach zalegał kurz. W głębi stał stół i wyłożone skórą ławy. W tej części jaskini, gdzie podłoga była kamienna, migotało światło z otwartego paleniska.

Pod sufitem, przy otworze biegnącym w głąb skały, suszyły się zioła. Ściany pokryte były szafkami i regałami, szufladami i pudełkami pełnymi rzeczy, które wydawały jej się do niczego nieprzydatne. Martwe koniki morskie w słojach. Pióra, muszelki, zęby, kamienie, czaszki ptaków i drobnych gryzoni. I jedna, która musiała należeć do

niemowlęcia. Była wzruszająco mała i Hirkę uderzyła myśl, że nieśmiertelni i niemal bezdzietni Umpiri muszą coś takiego bardzo przeżywać.

Ogarnęła ją chęć, żeby tutaj posprzątać.

Na ławie leżało zasuszone gniazdo ze skorupkami trzech zmiażdżonych jajek. W misce obok w żółtawym płynie unosił się zarodek ptaka. Na kołku wisiało coś, co przypominało wija. Podeszła bliżej i stwierdziła, że to kręgosłup jakiegoś nieznanego jej zwierzęcia. W ciemnych dzbankach leżały martwe robaki. Blade ciała przyciśnięte do szkła. W drewnianym cebrze na podłodze walczyły dwa białe kraby. Hirka odnosiła okropne wrażenie, że to, co jadalne, i to, co trujące, jest tutaj niebezpiecznie blisko siebie.

W jaskini pachniało morzem i grzybami. Unosiła się lekka woń zgnilizny. Hirka obejrzała się na korytarz, którym przyszła. Jeszcze nie było za późno, by zawrócić...

Wiedziała, że nie może tego zrobić. Ten niewyobrażalny bałagan wokół przypominał jej o wszystkim, o co toczyła się gra. Wojna. Śmierć. Przetrwanie. Dzioby martwych ptaków przywodziły na myśl to, co tkwiło w gardle Rimego.

Wsunęła kij do cebra i rozpędziła walczące kraby. Wycofały się na obrzeża. To była dla nich niespodziewana chwila spokoju.

Otworzyły się drzwi przy palenisku. Płomienie pochyliły się w przeciagu, a z sufitu posypały się kawałki ususzonych ziół. Hirka wyjęła kij z cebra i cofnęła się o kilka kroków. Do pomieszczenia wszedł odziany w czerń Widzący. Szum morza na chwilę się nasilił. Widzący zamknął za sobą drzwi.

Patrzył na nią, choć nie miała pojęcia, skąd o tym wie. Kaptur zasłaniał jego twarz. Hirka rozejrzała się, żeby się tak na niego nie gapić.

– Myślałam, że będzie... większa. – Miała nadzieję, że go nie uraziła. Był Widzącym. Spodziewała się pałacu, takiego jak w Eisvaldrze. Czegoś bardziej zbliżonego do tego, co zbudował Naiell.

– *Jesss...st* większa.

Na dźwięk jego głosu dostała gęsiej skórki. Nie mogła o nim zapomnieć od czasu, kiedy do nich przybył. Było w nim coś zwierzęcego. Zwłaszcza kiedy zawieszał się na „s”.

Wziął miskę stojącą na skraju paleniska i podszedł do stołu. Jego szata sięgała podłogi, ale i tak było widać, jak bardzo Widzący utyka. Kołysał się przy każdym kroku, jakby jedną nogę miał krótszą.

– Mogę... – Hirka ugryzła się w język. Prawie spytała, czy może mu pomóc. Wtedy na pewno zmarnowałyby jedyną szansę, by usłyszeć odpowiedzi. – Mogę usiąść? – spytała zamiast tego.

– Jeśli jesteś zmęczona.

Była zmęczona. I miała dość udawania niezniszczalnej.

– Wiesz, naprawdę jestem. Miałam, że tak powiem, ciężki rok. – Oparła kij o stół i opadła na ławę. Nie odpowiedział. Nie przeszkadzało jej to.

Widzący odsunął na bok skrzynkę pełną cętkowanych jajek i postawił miskę na stole. Jego dłonie skrywały czarne rękawiczki, ale i tak było widać szpony. I to, że kciuki ma osadzone pod dziwnym kątem.

– Sądziłaś, że nie wiem – powiedział. – Myślałaś, że muszę poczuć twój zapach, by wiedzieć, że tu jesss...steś.

Hirka zerknęła na swój sweter. Domyśliła się, że o to mu chodzi.

– Nie miałam pojęcia, co wiesz, a czego nie wiesz. Lepiej było się upewnić – odparła z pewnością siebie, której wcale nie czuła.

Wyciągnęła szyję, by zajrzeć do miski, tak by nie było oczywiste, co robi. Miała nadzieję, że będzie w niej herbata, ale wyglądało to na gęste mleko. Ulżyło jej. Nie najgorzej, zważywszy na okoliczności.

Przystanął obok ławy, ale nie usiadł.

– Jeśli szukasz rady u ignorantów, to nic nie zmienia. Sss...są dwa powody, żeby pytać ignorantów. Albo sss...sama znasz odpowiedź, albo nie masz kogo zapytać.

– Cóż, nie mam tu zbyt wielu dobrych przyjaciół... – Uśmiechnęła się zgryźliwie.

Podsunał jej miskę. W tym ruchu było coś ostentacyjnego. Jakaś protekcyjność świadcząca o tym, że spodziewał się, iż Hirka zawiedzie. Przypominał w tym Modrasme.

Jakaś próba...

Mleko pachniało, jakby było sfermentowane. Czuła jeszcze jakąś inną woń, której nie potrafiła z niczym skojarzyć. Nie było zbyt kuszące. Spojrzała na niego.

– Dlaczego musiałam czekać, aż popęka lód?

Przekrzywił głowę. Jej dziwny kształt uwydatnił się pod kapturem. Miał wgłębienie w barku. Jakby kiedyś złamał sobie obojczyk i nigdy nie zadbał o to, by go nastawić.

– Bo kruki rozmawiają tylko o lodzie, dopóki nie zaczną pękać. Jeśli chcesz usłyszeć od nich coś sss...sensownego, musisz się wstrzymać.

– I usłyszałeś? Coś sensownego?

Nie odpowiedział. Domyśliła się, że czeka, aż wypije mleko, więc uniosła do ust ciepłą miskę i wzięła maleńki łyk. Mleko było skwaśniałe i smakowało jak kozie. Pokrywała je warstwa kożucha. Hirka poczuła smak krwi. Zmusiła się, żeby przełknąć. Odstawiła miskę.

– Mówią, że twoje miejsce nie jest tutaj – odparł w końcu.

Poczuła się tak, jakby to ją pozbawiało prawa do jakiegokolwiek pomocy.

– To zapytaj innych kruków – odparła, wpatrując się w zmieszane z krwią mleko. Pokrywający je kożuch popękał. Czerwień mieszała się z bielą. Rozlała się po powierzchni

jak żyłki.

– Mówią, że należysz do wszystkich – ciągnął, jakby się w ogóle nie odezwała: – Do dzieci Odyna. Człeków. Do Umpiri. Masz mieszaną krew. Ale jesteś żywym dowodem na potencję Graala. Jego zdolność rządzenia światami. Więc choć twoja krew jest odrażająco sss...słaba, jesteś gwiazdą przewodnią.

Odrażająco słaba gwiazda przewodnia.

Hirka poczuła, że musi się czegoś napić. Bez względu na to, jakie to byłoby obrzydliwe. Upiła kolejny łyk z miski. Ciepła krew. Ciepłe mleko. Kwaśne i metaliczne. Spróbowała ukryć grymas.

– Skąd się bierze ta obsesja na punkcie krwi? – spytała. – O niczym innym nie myślicie. Kto ma jaką krew. W czyich żyłach płynie krew pierwszych. Jakby istnieli jacyś pierwsi!

Z przekory opróżniła miskę, tłumiąc mdłości.

– Chodź ze mną – powiedział i pokuśtykał w stronę drzwi przy palenisku.

Hirka ruszyła za nim. Znalazła się w pomieszczeniu, z którego rozciągał się widok na morze. Ściana musiała się zawalić wieki temu. Ze sklepienia, jak las sopli, zwisały stalaktyty. Tylko podłoga była równa. Przy ścianach widać było resztki wzorzystych płytek.

Widzący dał jej znak, by podeszła do krawędzi.

Pod nią kotłowało się morze. Fale wielkie jak domy z hukiem roztrzaskiwały się o urwisko. Jak okiem sięgnąć, wszystko było szare. Niebo i spieniona woda stapiały się w jedno. Szata Widzącego łopotała na wietrze. Zdradzała teraz jego kształty. Krzywe łopatki, kręgosłup wygięty u dołu w nieprawdopodobny sposób. Twarz tak zdeformowaną, jakby pod kapturem nosił maskę.

Przy dziennym świetle zobaczyła, że jego szata jest z pomarszczonej, zmiętej tkaniny. Cały wyglądał jak poskręcany, zwiędły liść.

– Sss...spójrz na to – powiedział. Jego głos ledwie przebijał się przez huk fal.

Pochyliła się i zobaczyła opadające skały. Strome, podziurawione otworami jaskiń, w których kiedyś musiały się mieścić domy. Wiele domów.

– Morze nas pożera – powiedział. – Dom mojego ojca runął. Potrafisz na to patrzeć i twierdzić, że nie istnieją żadne wyższe siły? Że wszyscy jesss...steśmy równi? Myśl, dziewczyno! Nasza krew jest najsilniejsza. Bez niej nikt nie może używać kamiennych bram. Ætlingowie i człeki od pokoleń składali w ofierze krew kamieniom, nic z tego nie rozumiejąc. Piją ją, używają, tęsknią za nią, bo dzięki niej sss...stają się lepsi. Nasza krew zniszczy inną krew. Nasza krew będzie rządzić. Pożerać i zmieniać. Taka jesss...st prawda. – Widzący odwrócił się do niej. – To, czy ci się to podoba czy nie, nic nie zmienia. Dreyri mają czystą krew. Ktoś pojawił się pierwszy, a my jesteśmy bliżsi pierwszym niż

jakiegokolwiek inne istoty w jakimkolwiek innym świecie. Byłabyś głupia, próbując się uczepić innej rzeczywistości.

Jego słowa raniły Hirkę. Próbowaly ją zmiążdżyć jak morze uderzające o skały. Wstyd i wściekłość walczyły ze sobą. Tak jak krew i mleko w jej żołądku.

Z tego, co wiedziała, ten Widzący był starszy niż grzech. Ale ile odwiedził światów? Skąd mógł wiedzieć, że należy do rasy, która jest najbliższa bogom? Skąd mógł wiedzieć, że bogowie w ogóle istnieją?

W skałę pod nią uderzyła fala. Hirka się cofnęła, by nie ochlapała jej woda. Ze sklepienia zerwały się trzy kruki i z krzykiem poszybowały nad morze.

Widzący ruszył w stronę drzwi.

– Przed pierwszymi oczywiście był kruk. Kruk sss...stworzył świat. Evna była jego oddechem. A z Evny stworzył pierwszych.

Hirka weszła z nim z powrotem do jaskini. Usiadła na brzegu ławy, tuż przy ogniu.

– A bez Evny? – spytała.

Potrząsnął głową. Hirka poczuła, że musi się śpieszyć. Ze odpowiedzi, po które tu przyszła, przeciekają jej między palcami. Chwyciła go za ramię. Przez szatę wydawało się nierówne. Wyszarpnął je. Zaczynała ją ogarniać rozpacz. On nie rozumiał, jakie to ważne.

– To dlatego tu jestem – powiedziała. – Musisz mi pomóc. Musimy... – Szukała właściwych słów w umõni. – Musimy sprawić, by Evna znów popłynęła przez bramy! Musimy uleczyć żyły Evny!

– Nie.

– Nie? Jak możesz tak mówić. Nic nie może żyć bez Evny. Wiesz o tym. Ja też o tym wiem. Trzeba to naprawić!

Odwrócił się do niej garbatymi plecami.

– Nie da się tego zrobić.

Hirka była jak sparaliżowana. Całe to gadanie o władzy i wyższości. I wszystko na nic?

– Jak to? Jak to, nie da się tego zrobić?

– Tego, co zniszczy Evna, nie można naprawić. Zaufaj mi.

Hirka wstała.

– Musi istnieć jakiś sposób! Naiell potrafił! I ja też potrafię, wiem to! Czulaam Evnę, ja...

– Zawahała się. Nie mogła mu powiedzieć o Rimem. O ich sile, gdy byli razem. To by narażało ich oboje.

Znów na nią spojrzał.

– Naiell miał trzy rzeczy, których ty nigdy nie dostaniesz. Miał przyływ Evny. Sss... silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. I kiedykolwiek później. Przez tysiąc lat patrzyłem, jak słabnie, opada jak krew w trupie. Miał też człeków, by znieść jej siłę. Emblingów

pijanych jego krwią. Puste skorupy, które mogły utrzymać dla niego Evnę. I co najważniejsze, potrafił jej *używać*. A ty w sss...swej arogancji nie wspomniałaś mi nawet, że nie potrafisz czerpać. Jak możesz mieć nadzieję, że uda ci się coś zrobić, jeśli nie potrafisz nawet sss...splatać Evny? A nawet gdybyś potrafiła, połamałabyś sss...sobie te rachityczne ręce.

Hirka poczuła łzy cisnące się do oczu.

– To po co mnie tu sprowadziłaś, skoro nigdy nie nauczę się czerpać? Skoro żył, którymi płynęła Evna, nie da się naprawić?

– Nauczyć się czerpać? – Zaśmiał się ochryple. – Dziecko, to się ma we krwi. Evna odnajduje cię, kiedy się rodzisz. Ale ty przyszłaś na świat bez niej. I obawiam się, że twoje narodziny to wydarzenie, które nigdy się nie powtórzy.

– Ale ty to potrafisz, prawda? Potrafisz uzdrowić Evnę?

Znów się zaśmiał.

– Naprawdę nie jesteś jedną z nasss... – powiedział. – Nie pragniesz wojny, prawda?

Hirka oparła się o stół. Nie mogła mu odpowiedzieć. Czuła, że to pułapka.

– Sam powiedziałeś, że nie należę do nikogo. Należę do wszystkich.

– Powiedziałem tak. – Obszedł stół i stanął obok niej. – Hirko, córko Graala, użyj mi kilku kropli tej krwi, żebym mógł cię wezwać, jeśli jest w niej jakakolwiek siła.

Hirka się wyprostowała. Starła się nie patrzeć na niego ze złością.

– Nie potrzebuję współczucia. Muszę się nauczyć, jak kierować Evną. I jak wyjąć komuś z gardła przeklęty dziób.

– Och...

Spojrzała na niego.

– Pozwól, że zgadnę... Tego też nie da się zrobić?

Wzruszył pokraczynymi ramionami.

– Dzioby należały do pierwszych kruków. Miały imiona za życia i mają je po śmierci. To dzięki temu się nie rozpadają. Jeśli wiesz, jakie nosiły imię, możesz je przywołać. Ale nie ma z nimi dyskusji. Nie można ich usunąć. Dziób jest na całe życie. Jakkolwiek by ono było krótkie. – Powiedział to, jakby to była zwykła obserwacja, a nie wyrok śmierci.

– Nie możesz tego wiedzieć!

– Jednak powinienem. W swoim czasie niejednym dzióbem wkładałem.

Hirka poczuła się nieskończenie zmęczona. Zrobiło jej się niedobrze. Musiała wracać do domu. Kij, który przyniosła, stał oparty o stół. Wskazała na niego.

– To dla ciebie.

Szarpnął głową pod kapturem.

– Dajesz mi kij? Kulę dla chorego?!

Hirka podeszła do niego.

– Użyłam go, żeby rozpedzić walczące kraby. I to ci właśnie daję, kij na kraby. Nazywaj go, jak chcesz.

Chwyił ją za nadgarstek. Szpony wbiły się w jej skórę, choć nosił rękawice. Pomyślała, że Widzący coś powie, ale milczał. Puścił ją.

Zbierało jej się na wymioty. Musiała stąd wyjść. Ruszyła korytarzem do drzwi. Zbiegając po schodach na ulicę, poczuła się jeszcze gorzej. Ścisnęło jej się gardło. Twarz zdrętwiała. Nie była w stanie tego powstrzymać. Krew i mleko trysnęły z niej potężną strugą. Wszystko naraz. Oparła się o skalną ścianę. Kwaśne mleko ściekało jej z kącika ust. Spływało po podbródku i kapało do kałuży, tworząc w niej białe kręgi.

Ktoś zawołał ją po imieniu. Poczowała, że Kolail obejmuje ją ramieniem, i ukryła twarz w owczym futrze na jego ramionach. W głowie pulsowała bolesna pewność.

To już koniec. Evny nie można uleczyć. Przyjdzie wojna. Rime zginie.

Gdzieś dalej na ulicy Umpiri wrzeszczeli i wznosili toasty. Lód popękał i zaczynało się święto. A ona była odrażająco słabą gwiazdą przewodnią. Była czarnym wirem otoczonym okrzykami radości.



URD

Hirka zdjęła rygiel i otworzyła drzwi. Urd zeskoczył z parapetu i wpatrywał się w nią. Miała ochotę złamać mu łokciem nos. Obić go.

Nie mogła obić Evny za to, że nigdy jej nie odnalazła. Ani Widzącego za to, że powiedział, że nie da się jej uzdrowić. Graala też nie mogła obić. Znajdował się w innym świecie, po drugiej stronie kruczych pierścieni. Nie mogła nawet obić Umpiri za to, że planowali wojnę.

Była bezsilna, dokładnie tak, jak powiedział Widzący. Odrażający mieszaniec z pozbawioną Evny krwią. Urd był jedynym wrogiem, którego mogła dosięgnąć. Jedyną sprawiedliwością w zasięgu ręki.

Zacisnęła pięści. Czuła, że jej dłonie są lepkie od potu.

– Mogę wejść?

Jego usta wykrzywiły się w grymasie, jakby dotknęła jakiegoś obolałego miejsca na ciele. Ale zaraz zapanował nad sobą.

– Od dawna nikt mnie o to nie pytał.

Jego głos ją przeraził. Zdawał się bardziej ochryply, niż to zapamiętała. Nienaturalny.

Dziób.

Urd znów usiadł na parapecie, jakby chciał się wydawać mniej groźny. A może po to, by zwabić ją do środka. Nie żeby ją skrzywdzić, tego była pewna. Może raczej by nie dopuścić, żeby znów odeszła.

Pokój, do którego go przenieśli, był mniejszy niż jej własny. Miał pochyły sufit. We wnęce płonęła łojowa świeczka. Jej blask odbijał się w cienkim łańcuchu przyczepionym do jego szyi i opadającym na kolana.

Hirka weszła do środka.

– Zabiłeś Ilume.

Powiedziała to, by gniew nie minął. By pamiętać o tym, kim jest Urd. Po raz pierwszy od dawna powróciły wspomnienia. Wieża Widzącego. Bezwładne ciało Ilume na posadzce. Roztrzaskane drzewo, które spadło na nich jak czarny deszcz.

Urd nie odpowiedział. Podeszła do niego. Wskazała na niego palcem, jakby ktokolwiek mógł wątpić, o kim mowa.

– Zabiłeś ją! Na naszych oczach! Otworzyłeś wrota na Bromfjell, używając dzieła ślepych. Zniszczyłeś je. Na zawsze. I próbowałeś złożyć mnie w ofierze martwo urodzonym! Wyruszyłeś na Kruczy Dwór. Ginęli przez ciebie ætlingowie. Wywołałeś wojnę. Przeklętą wojnę!

Spojrzał na nią. Jego oczy były zaczerwienione ze zmęczenia.

– Z tego, co zrozumiałem, ty właśnie robisz to samo.

Nagle poczuła się ciężka. Opadła na parapet obok niego. Wyczerpana wszystkim, co się stało. Wszystkim, co dopiero miało się stać.

Evnoszkło rzucało cienie na jego twarz. Jak płatki popiołu. Zamknął oczy.

– Możesz wyliczać moje zbrodnie jak na tingu – powiedział powoli. – Wiele ich się znajdzie. Możesz też jakieś wymyślić, jeśli masz ochotę. Bestialskie czyny mrozące krew w żyłach. Użyj wyobraźni, to nie ma żadnego znaczenia. Bez względu na to, jakie popełniłem zbrodnie, już za to zapłaciłem.

– Mogłeś zginąć – odparła oschle.

Znów na nią spojrzał.

– Tak. Gdyby mnie nieustannie nie uzdrawiali.

Zmarszczyła się blizna na jego czole. Co mu zrobili? Ona też przeżywała trudne chwile, odkąd tutaj przybyła, a przecież była córką Graala. Kim zaś był dla nich Urd, jeśli nie ætlingiem? Zwierzęciem?

Na zewnątrz zapadał zmierzch. Słyszała Umpiri na ulicach w dole. Pewnie dziś wieczorem świętowanie również przerodzi się w zamieszki. Podciągnęła stopy na parapet. Objęła kolana.

– Mam ich tak strasznie dość – szepnęła. – Wydaje im się, że są bogami. Że ich krew jest pierwsza. Że ich świat jest pierwszy. Ale co właściwie zrobili? Co takiego wyjątkowego stworzyli? – Spojrzała na dawnego członka Rady. – Jesteś dokładnie taki, jak oni. Depczesz wszystkich wokół. Miażdżysz. Niszczysz. Zabijasz. Bo to, czego pragniesz, jest o wiele ważniejsze niż wszyscy inni. – Poczowała łzę spływającą po policzku, ale nie dbała o to. To była wściekłość. Nie smutek. – Jesteś tak samo zadufany w sobie, jak oni. Bezwzględny jak oni. Jesteś...

Zacisnął ręce na łańcuszku.

– Ślepy jak oni?

Nie odpowiedziała.

– Ile masz teraz zim? Niedługo skończysz siedemnaście?

Na to też nie miała siły odpowiedzieć. Zaświtało jej w głowie, że właściwie chce tylko,

by mówił dalej, by znów mogła słyszeć ymski. Choćby z jego ust.

– Byłem młodszy od ciebie, kiedy poznałem Damayanti – powiedział. – Była tancerką. Żadna inna nie mogła się z nią równać. Nie było w Ym takiego mężczyzny, który by jej odmówił, a ja byłem tylko młodym chłopakiem. Wiem, o czym myślisz, ale nigdy mi się nie oddała. Zamierzała dać mi coś innego.

Hirka nawet nie próbowała ukryć niesmaku.

– Dziób w szyi i złudzenie, że potrafisz kontrolować bramy? I tobie się wydaje, że jesteś bystrzejszy od innych... Nie masz o niczym pojęcia, prawda?

Urd spróbował się roześmiać. Zabrzmiało to bardziej jak warknięcie.

– Nie wiedziałem nawet, że Widzący był kłamstwem. Że wszechmogący nie istnieje. Myślałem, że może okaże mi łaskę. Że mnie uleczy i obdarzy spokojem.

– Spokojem? – Jej twarz wydawała się zdrętwiała. Jakby zastygła w grymasie. – Nikt nie obdarzy cię spokojem. Skazałeś samego siebie na wieczne koszmary w Sloknie. Za Ilume. Za Ramoję. Za Vetlego. Nie ma takich słów, które mogłyby wyrazić to, co zrobiłeś, Urd. Nie ma takich słów i nie ma dla ciebie ratunku.

Podciągnął stopy na parapet i objął kolana, tak jak ona. Naśladował ją. Na ile to było możliwe w workowatej szacie.

– Oczywiście masz rację. Mimo to uratowałaś mi życie. Mogłaś skazać mnie na śmierć albo pozwolić, bym zgnił w domu Hod, ale okazałaś mi łaskę. I to było imponujące przedstawienie, dziewczyno, to trzeba ci przyznać. Może przypomniałaś sobie lochy w Eisvaldrze? Siedział na tobie dzikus z opuszczonymi spodniami, pamiętasz to? Ja go powstrzymałem. Wyciągnąłem cię stamtąd.

Czy pamiętam?

To pytanie było niczym drwina z żywych obrazów w jej pamięci. Jego przemoc powstrzymała inną przemoc i bolało ją, że przez to trudniej go nienawidzić. Bolało ją, że musiała sobie przypominać, iż to, przed czym ją uratował, sam uczynił Ramoi.

Czuła na sobie jego palące spojrzenie. To była pierwsza iskra życia, jaką widziała w jego oczach.

– Wyciągnąłeś mnie? Zrobiłeś to, żeby złożyć mnie w ofierze martwo urodzonym!

– Złożyć w ofierze? Chciałem cię im dać. Byłaś darem, który powinni byli otrzymać dawno temu. – Uniósł ręce. – I oto jesteś. Trwało to tylko trochę dłużej.

Parsknęła.

– Chciałeś mnie złożyć w ofierze, bo miałeś nadzieję, że uratujesz własną skórę.

– To prawda. Tylko nie zapominaj, że byłem wtedy niewolnikiem dzioba. Piłem krew ślepych. Niewiele zostało we mnie z ætlinga. Nie żebym chciał się bronić, ale musisz pojąć, że to nigdy nie było...

Nie musiał kończyć.

– Osobiste? W takim razie to, że uratowałam ci życie, też nie było osobiste. To nie miało nic wspólnego z tobą. Miało coś wspólnego *ze mną*. Nie jestem taka jak ty.

Przełknął ślinę. Wydawało się, że nie bez problemu.

– Nie, gdybyś taka była, mielibyśmy jakąś szansę.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Że aby przeżyć w miejscu takim jak to, trzeba wykorzystywać innych.

Hirka przyjrzała się jego niedbale obciętym włosom. Złotym jak u Vetlego. Jak u syna, którego zniszczył Evną. Żeby go zabić lub by ukryć, że to on spłodził chłopca. A więc tego chce? Jedni mają wykorzystywać drugich?

Wyciągnęła rękę. Przez twarz Urda przemknął niepokój, ale pozwolił jej na to, by chwyciła łańcuszek. Nawinęła jego koniec na palec i pociągnęła. Był cienki jak biżuteria. Niemal delikatny.

– A więc tego chcesz? – spytała. – Mam cię wykorzystać, żeby uzyskać odpowiedzi, których szukam? Tak to robisz? Grozisz? Naciskasz?

Spróbował ukryć uśmiech. Pociągnęła za łańcuch. Ostrożnie, ale na tyle mocno, by jego uśmiech zgasł.

– Co zrobiłeś z gwardzistami w lochach? Zabiłeś ich Evną. Jak?

Pochylił głowę, by poluzować łańcuch.

– To nie żadna tajemnica – odparł. – Ciało jest słabe i kruche, niewiele może znieść.

Jeśli przepuścisz przez nie dość Evny...

– To dlaczego nikt inny tego nie robił? Co sprawiało, że byłeś taki wyjątkowy?

– Naprawdę musisz pytać?

– Krew ślepych. Piłeś krew ślepych. Jak dostałeś dziób?

– Damayanti – odpowiedział niemal natychmiast. Nie ze strachu, ale dlatego że chciał.

Czy odkąd tutaj przybył, w ogóle mógł z kimś porozmawiać?

– I jak się go pozbyłeś? Widziałam, jak wypełził z twojej szyi. Wyrzuciłeś go z siebie na Bromfjell i wciąż żyjesz! Jak się go pozbyłeś?

Spojrzał na nią. Miał podkrążone oczy. Widziała, że zaczyna wątpić. Nie miał pojęcia, czego się po niej spodziewać. Kim ona jest. Zdała sobie sprawę, że sama też tego nie wie. Puściła łańcuch. Opadł na jego kolana.

Urd westchnął.

– Nie wiem. Nie wiem, jak się go pozbyłem.

Jego spojrzenie padło na szyję Hirki. Pytające, lekko przestraszone.

Potrząsnęła głową.

– Nie chodzi o mnie.

Pojął.

– Ach... Rime?

Nie odpowiedziała. Zapatrzyła się przez okno na krater, który opadał niczym dziura prowadząca do Slokny.

– Ile to trwało? – spytała ochryple. – Jak długo? Zanim zaczął gnić...

Urd zaśmiał się ponuro.

– Krócej, niżbyś sobie życzyła...

Łzy znów zapiekły pod powiekami. Hirka nie pozwoliła im popłynąć. Nie zamierzała pozwolić, by Urd patrzył na jej ból. Spojrzała na niego gniewnie.

– On nie jest taki jak ty.

– Ani taki jak ty – odparł Urd.

To była prawda. Hirka wstała, już chciała odejść. Serce podskoczyło jej w piersi, gdy zobaczyła, że Skerri stoi w drzwiach i im się przygląda. Słowa były zbędne. Jej oczy wyrażały wszystko. Oskarżenie. Wściekłość. Obrzydzenie, bo tu siedziała i rozmawiała z wrogiem.

Hirka minęła ją w drzwiach.

– Jestem gotowa, żeby zacząć – powiedziała.

– Co zacząć?! – zawołała za nią Skerri.

– Walkę na kije.



WŁADZA GRAALA

Byli zmęczeni i wyczerpani. W kiepskim stanie. I zrozpaczeni. Dwudziestka dorosłych i siedmioro dzieci. Chociaż dzieci radziły sobie z tym lepiej niż niektórzy dorośli. Gdyby chodziło o zwyczajnych ætlingów, wszystko byłoby prostsze, ale ci tutaj zasiadali w Radzie, należeli do ich rodzin i grona przyjaciół. W chwili przewrotu połączył ich zbieg okoliczności. Nie przywykli do tego, by rozdzierać sobie spodnie albo mieć mokro w butach. A tym bardziej nie przywykli, by obawiać się prześladowań.

Rime szedł z przodu, niosąc na ramionach wnuczkę Sigry Kleiv. Czarnowłosą sześciolatkę, która zaczynała zasypiać. Prawie puściła jego szyję. Rime chwycił jej rączki, żeby nie spadła. Dziewczynka skręciła kostkę, ale nawet nie pisnęła. W przeciwieństwie do Sylji, która ani na chwilę nie przestawała narzekać.

Marg zrównał się z nim w ciemności.

– Mogę ją udusić? – szepnął.

Rime uśmiechnął się krzywo.

– Jeśli ktoś to zniesie, to właśnie ty. I tak wkrótce będziemy w obozie.

Marg burknął coś pod nosem. Gdyby nie to, że Rime odsunął od siebie wszystkie uczucia, współczułby mu teraz. Sylji zresztą też. Jej życie bez żadnego ostrzeżenia stanęło na głowie. Była z Ve, wnukiem Jarladina. Najwyraźniej swoim najnowszym ulubieńcem. Siedzieli sobie w ciepłe w Wężowym Zwierciadle, gdy przyszedł po niego ojciec. Wybór, przed którym stanęła, nie był prosty. Uciec razem z nimi czy pozostać w Mannfalli.

Rime nie wątpił, że wybrała słusznie. Łączyły ją zbyt silne więzi z nim samym i z Jarladinem. Nie było dla niej miejsca w Eisvaldrze, chyba że w lochach.

Wspinaczka do obozu mocno dawała im się we znaki. Rime polecił dwóm Ciemnym Cieniom zostać z najstarszymi, żeby nie musieli się śpieszyć.

Sylja się z nim zrównała. Dyszała ciężko.

– Spójrz tylko, jak wyglądają moje buty! W ogóle nie powinno mnie tu być!

– Nikt z nas nie powinien tu być – odparł.

– Tu jest przecież wasz dom! Macie wszystko, czego wam trzeba. A ja nie mam się w co

przebrać! – Uniosła pelerynę. Widać było wyraźnie, że wlokła się za Sylją przez całą drogę.

– Masz ze sobą więcej, niż posiada większość z nich – Rime zniżył głos w nadziei, że ona zrobi to samo.

– Nigdy się nie prosiłam o... – Przerwała i zmarszczyła nos. – Co to za zapach?

– Stosy pogrzebowe. Dziś spaliliśmy zabitych.

Cofnęła się, jakby ją uderzył. Z niedowierzaniem rozejrzała się po obozie. Ciemne Cienie siedziały przy ognisku i wpatrywały się w nią. Otuliła się rękoma.

– To gdzie będziemy mieszkać?

Rime zdjął z ramion dziewczynkę i podał ją Odowi. Ten przytulił małą do piersi i zabrał resztę dzieciaków, by położyć je spać.

– Do świtu prześpicie się w chatach. Potem wyruszyście do Kruczego Dworu – odparł.

– Do Kruczego Dworu?! – wybuchła Sigra.

Rime nie spodziewał się innej reakcji. Słyszał, jak zaczęła dyskusję z Jarladinem, ale to niczego nie zmieniało. Kruczy Dwór był jedynym miejscem, do którego mogli się udać.

Marg odwrócił się do Rimego.

– Wyruszyście?

Rime odciągnął go na bok.

– Tak, wyruszyście. Musisz ich poprowadzić, Marg. Zabrać ich do Kruczego Dworu. Eirik wie, że jesteśmy w drodze. Wie, co się stało.

Twarz Marga stężała. Rozejrzał się, jakby się bał, że ktoś go usłyszy.

– Żaden z nas cię nie zostawi! Żaden. Wiem, co myślisz, Rime, ale nie ma mowy, żebyśmy ci pozwolili zabić go samemu. Potrzebujesz nas! Darkdaggar nie ma kilku gwardzistów, ma armię!

Rime potarł ręką twarz.

– Nie to zamierzam zrobić, Marg.

Marg skrzyżował ręce na piersi i uniósł brew. Rime żałował, że nie może zdradzić mu prawdy. Powiedzieć, jak jest. Że ma dziób w gardle. Że nie wie, ile zostało mu czasu. I że stanowi zagrożenie dla wszystkich, którzy są mu bliscy. Tylko Damayanti mogła odpowiedzieć na pytanie, jak wielkie jest to zagrożenie, i to z nią musiał porozmawiać.

Dołączyli do nich Jarladin i Sigra. Marg wyczuł ich nastroje i się oddalił.

Spojrzenie członka Rady było pełne bólu. Zmęczone. Nie odezwał się. Rime też nie. Cóż można było powiedzieć. Stali i patrzyli na czerwony żar między drzewami. Pozostałości stosów. Za ich plecami mężczyźni w czerni wchodzili do chat i wychodzili. Nieśli koce i odgrzewali jedzenie dla członków Rady. Niektórzy zaczęli już pakować swój skromny dobytek. Ciemne Cienie opuszczały Gniazdo Ślepych.

Podszedł do nich Stiar, ale zatrzymał się kawałek dalej.

– Kruki, Mistrzu? Co z nimi zrobimy? Arn nie żyje, a to on...

– Znajdź klatki, Stiar. Zabierzemy je ze sobą do Kruczego Dworu.

– Tak, Mistrzu. – Stiar zniknął wśród chat.

Sigra spojrzała za nim.

– Mistrz Ciemnych Cieni – szepnęła. Podchwyciła spojrzenie Rimego. – Ilu?

– Mniej niż pięćdziesięciu – odparł ochryple Rime.

– To... – Sigra przysiadła na pieńku. – To najczarniejsza chwila w naszej historii.

Jeszcze nigdy... – Spoglądała to na Rimego, to na Jarladina. Nie dokończyła.

Rime nie miał jej tego za złe, nie istniały słowa, które mogłyby to opisać.

– Mimo wszystko... Kruczy Dwór? – Spojrzała na niego. – Tam nie ma dla nas miejsca.

– Tylko tam w całym Ym jest dla was miejsce, Sigro.

– Ale my przecież... nie możemy...

Rime wpatrywał się w nią. Przypominała mężczyznę. Barczysta i kanciasta.

I wojownicza. Zawsze wojownicza. Jeśli istniało coś, co można było powiedzieć lub zrobić, aby zniszczyć Kruczy Dwór, ona to uczyniła. A teraz nie miała dokąd pójść. Była uchodźcą. Zdana na łaskę tych, których przez całe życie chciała zrównać z ziemią.

– Możemy i tak zrobimy – odparł Rime. – Eirik wie, co się stało. Wie, że przyjdziemy.

Pozostaje ci nadzieja, że przyjmie cię lepiej, niż ty przyjęłabyś jego.

Sigra otworzyła usta, by coś odpowiedzieć. Rime przypuszczał, że siłą nawyku... bo żadne słowa nie padły. Jarladin wydawał się równie wypalony. Nie zostało w nich nic z członków Rady. Żadnego przywództwa, żadnej siły. Rime widział zmarszczki na ich twarzach. Najpotężniejszych tego świata zaczęła doganiać starość. Od dnia, w którym się urodził, uczono go, by ich szanował. Teraz stracili wolę przetrwania.

– Posłuchaj... – Rime położył dłoń na ramieniu Jarladina. – On za to zapłaci. To jedyna rzecz, której jestem pewny. Z całą resztą będzie, jak będzie. Kruczy Dwór stoi przed nami otworem. Z Eirikiem Północ będzie stabilniejsza i zbudujemy nowe sojusze. Z silnej pozycji. Możemy... – Nagle poczuł intensywne swędzenie w gardle. Krew odpłynęła z głowy.

Graal...

– Rime? – Jarladin patrzył na niego pytająco.

Rime przeprosił i puścił się biegiem przez obóz. Do swojej chaty. Wiedział, co go czeka, i musiał być jak najdalej. Najdalej jak się da. Dalej niż niesie się krzyk.

Dziób szarpał się w jego gardle. Władczo. Niecierpliwie. Stopy Rimego uderzały o ścieżkę. Swędzenie przeszło w piekący ból. Ujrzał chatę na skraju urwiska. Wpadł do środka. Po omacku szukał w kieszeni buteleczki od Damayanti. Musiał ją znaleźć. Musiał

się napić. Tylko krew ślepych mogła otworzyć drogę do Graala i tylko ona mogła uśmierzyć ból.

Znalazł buteleczkę. Przyjrzał się jej. Wiedział, że ma nad nim władzę. To uczucie czasem zdawało się gorsze od bólu.

Napił się i zaczerpnął Evny. Poczuł, że nie jest już sam. Dziób otworzył się w jego gardle. Otarł się o nie.

– Masz mi coś do powiedzenia, Rime? – W głosie Graala słychać było napięcie.

Wiedział. Nie pytałby, gdyby wiedział o wszystkim, ale coś wiedział. Ile domyśliła się Damayanti i co mu powiedziała?

Rime zastanawiał się, czy nie spróbować zyskać na czasie. Udać, że wszystko jest w porządku. Później jednak to by go drogo kosztowało.

– Darkdaggar obalił Radę – odparł.

Graal westchnął. Był zniecierpliwiony. Rime dotknął szyi. Nabrzmiała wokół dziobu, napięła się tak bardzo, że ledwie oddychał. Ale to było na nic. Graal wiedział.

– Oni nie żyją – szepnął Rime. – Ciemne Cienie nie żyją.

– Ilu?

– A jak myślisz?! Wszyscy! – Zawrzała w nim wściekłość i rozpacz. – Nie zostało nas nawet pięćdziesięciu!

Dziób zamarł. To świadczyło o szoku. Rime poczuł, że na jego ustach pojawia się zimny uśmiech.

– Liczyłeś na to, że wybijemy się nawzajem – powiedział zduszonym głosem. – Ciemne Cienie i Mannfalla. Że utorujemy drogę martwo urodzonym. Obawiam się, że musisz to sobie jeszcze raz przemyśleć, Graal.

Oparł się o otwarte, rozsuwane drzwi. Spojrzał na Gniazdo Ślepych. Przygotował się na ból. Wydawało się, że ta chwila trwa wiecznie. Wkrótce miał się dowiedzieć, kim jest Graal. Kim jest naprawdę. Mężczyzną czy potworem.

Ból przeszył go nagle jak błyskawica. Wściekły napad. Rozdarł gardło od środka. Rime opadł na kolana. Krzyczał. Krew trysnęła na drzwi. Zebrała się na rzeźbieniach w drewnie. Ściekała ze smoków i węży. Przewrócił się na bok. Doczołgał do drzwi. Trzęsły mu się ręce. Zacisnął zęby. Było mu niedobrze od smaku krwi.

Potem powrócił spokój. Evna poruszała się pod jego skórą. Był Ciemnym Cieniem. Mógł wiele znieść.

Rime odetchnął. Splunął czerwienią.

– Wybacz mi – powiedział Graal. Te słowa były drwiną ze słabnącego bólu. – Wybacz mi. Ale straciłeś ich, Rime. Straciłeś Ciemne Cienie. Robię to, co muszę, żebyś mnie wysłuchał. Musisz natychmiast zebrać mężczyzn w Kruczym Dworze. Rozumiesz? Stwórz

nową armię przeciwko Mannfalli.

Rime nie odpowiedział. Nasłuchiwał. Ktoś zbliżał się przez las.

– Nie jestem sam... – szepnął.

Wrażenie obecności Graala natychmiast zniknęło. Rime wbił paznokcie w drewnianą podłogę. Musiał wziąć się w garść. Szybko. Zdążył tylko podźwignąć się na kolana. Ciało odmawiało mu posłuszeństwa.

– Rime?

Sylja...

Sylja z Błyszczącej Góry. Napłynęły wspomnienia z Elveroi. Z innego życia, z innych czasów. To wszystko wydawało się takie odległe. Tak wiele się wydarzyło.

Przystanęła w drzwiach. Było ciemno i miał nadzieję, że nie zauważy krwi. Ale musiała przecież poczuć zapach... Przesycał go. Wypełniał pomieszczenie. Krew. Tylko tym był. Tylko tym kiedykolwiek będzie.

– Rime? Nie mogłam tam zostać. Ve nic nie rozumie. I nie będę spać otoczona tymi... tymi... – Weszła do izby. – Obronisz mnie dziś w nocy? Mogę spać tutaj?

Rime wybuchnął śmiechem. Rzeczywistość dosięgła go z całą mocą. Światy ich obojga. Flirt i ból.

Uklękła przed nim. Jej jasne włosy łaskotały mu twarz.

– Ojej, Rime, ty krwawisz! Jesteś ranny?

Z jego ust wydobył się szloch, coś pomiędzy śmiechem a płaczem. Ranny...

Nie był ranny. Był tym, kim był od zawsze. Już martwym.



RANA

Raun siedł przed nią wzdłuż wiszących w rzędach kijów. Raz po raz przystawał, zdejmował jeden z uchwytów, ważył go w dłoni i odwieszał na miejsce. Wybrał jeden z krótszych. Obrócił nim z przygnębiającą lekkością.

– Ten będzie lepiej pasował do twojego wzrostu. Chcesz spróbować?

Hirka ścisnęła mocniej własny kij.

– Mam z tym pewną umowę. Lubimy się i do tej pory dobrze się mną opiekował.

Raun odrzucił do tyłu głowę.

– Haaaaah! – zaśmiał się. – To też jest ważne, chociaż wcale nie znaczy, że będzie się tobą opiekował w przyszłości.

Hirka miała nadzieję, że się myli.

Powiedziała, że jest gotowa. To nie była prawda. Pod żadnym względem. Pragnęła tylko się odgryźć. Walczyć z kimkolwiek, na kije albo gołymi rękoma. Ale teraz, gdy miała nadarzyć się ku temu okazja, czuła się tak, jakby znów ktoś miał jej wylać na głowę wiadro zimnej wody. Więcej nie potrafiła się nauczyć, nie potrafiła się bronić.

Los ścigał jak powodziowa fala. Zachłanna masa dzikości i gniewu. Za każdym razem, gdy się odwracała, fala była coraz bliżej. To śmieszne, że kiedyś sądziła, iż można przemówić do rozsądku takim siłom natury. Ona, która nie potrafiła nawet czerpać i miała nieczystą krew. Zbyt słabą, by móc cokolwiek zmienić.

Mogła jedynie nauczyć się bronić i liczyć na to, że pożyje dość długo, by zobaczyć, jak Rime i tysiące Ciemnych Cieni powstrzymują tę wojnę. Jakaż była głupia, sądząc, że powstrzyma ją sama.

Na próbę uniosła kij. Spojrzała na pozostałych walczących w kręgach. Nieustannie zmieniali chwyt, przenosili punkt ciężkości, przechodząc od ataku do obrony. Kije były jak żywe przedłużenie ich ramion. Czasem tak szybkie, że nie widziała ich obrotu, wyczuwała tylko ruch. Dla Umpiri było to równie naturalne jak latanie dla ptaków.

Raun uniosł jej dłoń, by przymierzyć do ramienia gruby skórzany pas. Znów zobaczyła czerwony punkt tuż przy żyłę, w miejscu, gdzie chwycił ją Widzący. Wzdrygnęła się na tę

myśl. Poczwała smak mleka i krwi.

Raun zaczął sznurować skórzany pas, który zakrył jej niemal całe przedramię. Sądziła, że to dla ochrony, póki nie puścił jej dłoni i nie poczuła, jak ręka opada w dół. Skóra była pewnie wypełniona piaskiem.

– Na początek spróbuj z tymi – powiedział Raun, sznurując jej podobny pas na drugiej ręce. – Te są najłżejsze.

Raun śmiał się częściej niż inni znani jej Umpiri, ale tym razem raczej nie żartował. Hirka zerknęła na obręcze, które wisiały na ścianie. Niektóre były z żelaza.

– A ty nie powinienes ich nałożyć? – spytała.

– Haaaah! – Klepnął ją w plecy. – Nosilem je przez siedemdziesiąt lat, teraz twoja kolej.

Siedemdziesiąt lat... Krótka chwila w jego życiu.

Nic w stojącym przed nią mężczyźnie nie świadczyło o tym, że żyje tak długo. Miał ciało młodego wojownika. Muskularne i zwinne. Na mięśniach wyraźnie widać było żyły. Ojciec jej ojca. Dostrzegła bladą bliznę na jego barku. Jak potworna musiała być rana, by u Umpiri została blizna?

Hirka ruszyła powoli w stronę najdalszego kręgu. Tego, który był pograżony w głębokim cieniu nieckowato wygiętych ścian. Raun poszedł za nią, nucąc coś pod nosem. Wieczny optymista.

Przystanęła pośrodku kręgu i oburącz uniosła poziomo kij. Raun poluzował jej palce jednej ręki, obrócił ją wnętrzem dłoni do góry i znów zacisnął na kiju.

To będzie długi dzień.



Hirka zaczynała rozumieć, co oznacza wieczne życie. To bardzo szczególny rodzaj cierpliwości w odniesieniu do pewnych rzeczy. Umpiri zawsze mieli czas, by pograżyć się w tym, co robili. Wykonywać powtórzenia. Wykonywać je niestrudzenie w przekonaniu, że za kilkaset lat dojdą do perfekcji.

Raun był tak cierpliwy, że wstydziła się swoich wcześniejszych obaw. Często się śmiał, potrząsając węzłem czerwonych włosów na karku. Sprawiało mu wyraźną radość uczenie jej najbardziej podstawowych rzeczy. Pokazywanie jej ćwiczeń, których sam nie musiał wykonywać od bogowie raczą wiedzieć ilu lat.

Poprawiał jej nastrój. Koił ból po śmierci Svartelda. Łagodził frustrację i strach. Domyślała się, że jej postępy nic dla niego nie znaczą. Najważniejsze było to, że ma dziedzica. Wnuczkę, której może przekazać wiedzę. Raun stracił dwóch synów. Naiella i Graala. Zdrajcę i wygnańca. Graal miał spaloną krew i nie mógł powrócić

z przymusowego wygnania.

Ta myśl ją zawstydziła. Nie ona jedna była w sytuacji, w której nigdy nie sądziła, że się znajdzie.

Raun długo uczył ją różnych pozycji i odnajdywania równowagi. Kazał jej trenować podstawowe uderzenie znad ramienia, a zaraz po nim sekwencję dwóch uderzeń oboma końcami kija. Hirka wykonywała je wielokrotnie, dopóki nie odnalazła spokoju. Spokoju w całym tym bólu.

Niemal słyszała echo śmiechu Svartelda. Pewnie pokręciłby głową. Powiedział, żeby spróbowała jeszcze raz. I jeszcze raz. Robiła to, o co prosił. Stała w Gnieździe Ślepych i ćwiczyła kopnięcia. Wśród zielonych zboczy gór pełnych jesiennego piękna.

Ale Svarteld nie żył. A ona stała tutaj, w jaskini po osuszonym podziemnym jeziorze, wśród donośnego stukania kijów o kije.

– Wyprowadź to z bioder – powiedział Raun. – Wykonaj obrót przy uderzeniu.

Zrobiła tak, jak powiedział.

– Dobrze! Ćwicz tak dalej.

– Ile razy?

Raun zamrugnął, jakby nie zrozumiał.

– Co masz na myśli?

– Ile razy mam tak uderzyć.

– Haaaaah! – jego gromki śmiech przetoczył się po sali. – Dowcipna jesteś – dodał. Nie rozumiała, o co mu chodziło. – Idę zrobić rundkę z Gridem, ale Skerri ci pomoże.

Nie! Tylko nie Skerri!

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale już sobie poszedł. Zamienił kilka słów ze Skerri, która podchwyciła jej spojrzenie. Hirka poczuła mrowienie w palcach, jakby za chwilę miała stracić w nich czucie. Kij stał się cięższy. On już się poddał.

Skerri podeszła do niej, obracając kij w dłoniach. Trafiała Hirkę, nim ta zdążyła zareagować. Kij wypadł jej z rąk i uderzył o podłogę.

Skerri skrzywiła się.

– Tego się spodziewałam.

Hirka bez słowa podniosła kij. To się nie mogło dobrze skończyć. Nim zdążyła się wyprostować, Skerri wyprowadziła cios znad ramienia. Hirka oburącz wyciągnęła przed siebie kij, by go zablokować. Skerri znów uderzyła, w ten sam sposób. Hirka znów zablokowała. Obawiała się walki, ale to była gra na przetrzymanie.

Powtarzały to ćwiczenie, póki nie zaczęły drżeć jej ręce. Coś takiego mogła znieść. Mimo wszystko to było lepsze niż lanie.

– Co powiedziało zwierzę? – spytała Skerri, zadając cios.

– Jakie zwierzę? – Hirka prawie straciła równowagę.

– To, z którym spędzasz więcej czasu niż z własną rodziną.

Znów zaatakowała. Tym razem mocniej. Hirka się cofnęła, wykonując blok. Łokcie nie wytrzymały i ledwie uchyliła głowę.

Urd. Ona mówi o Urdzie.

Skerri nie przerywała, nie dając jej szansy na odpowiedź.

– To zwierzę. Ætling. Wróg, który próbował cię zabić. A ty co robisz? Ułaskawiasz go, dajesz mu pokój, jedzenie, książki do czytania. Może jednak wcale nie jest twoim wrogiem?

Obróciła w locie kij i uderzyła z boku. Hirka opuściła ręce, ale nie miała szans, była za wolna. Kij trafił ją w bok. Uderzył w żebra z taką siłą, że upadła na ziemię. Ból promieniował aż do ręki. Spróbowała podeprzeć się na łokciu. Skerri chwyciła skórzany pas na jej piersi i postawiła ją na nogi.

Hirka wcale nie odniosła wrażenia, że Skerri wyświadczyła jej przysługę.

Oddychała z trudem.

– A... a czym miałby być? – wydyszała.

– Sojusznikiem?

Skerri znów wyprowadziła cios. Hirka odskoczyła i wypadła z kręgu. Natychmiast została wciągnięta z powrotem. Skerri pochyliła się nad nią.

– Jednym z twoich. Tym właśnie jest. Nigdy nie będziesz taka jak my. My nie wybaczymy tym, którzy chcą nas zniszczyć. Nie robimy sobie z wrogów domowych zwierzątek.

Obróciła się. Hirka uniosła kij, ale uderzenie przeszło niżej. Skerri trafiła ją w nogę z taką siłą, że Hirka aż przyklękała. Ze skaleczenia popłynęła krew. Noga zaczęła drętwieć. A potem pojawił się ból. Hirka próbowała wyczołgać się z kręgu.

– Skerri! – Głos Rauna był tak donośny, że dźwięki walk ustały. Podszedł do nich. – Ona nie goi się podobnie jak my! – wycodził przez zęby. Jego głos chrypiał udawanym spokojem.

Skerri odłożyła kij na podłogę.

– Zapomniałam – odparła z uśmiechem i wróciła do Grida w sąsiednim kręgu.

Raun przesunął kciukiem po nodze Hirki. Wzdrygnęła się. Wpatrywał się ze zdumieniem w krwawiącą ranę.

Hirka zacisnęła pięści i po omacku poszukała kija. Krew szumiała jej w uszach.

– Co ja jej złego zrobiłam? – spytała ponuro, nie spodziewając się odpowiedzi.

Raun jednak odpowiedział:

– Urodziłaś się.

Hirka oparła kij o podłogę i podźwignęła się na jednej nodze.

– Myślałam, że o to chodziło! Chciała należeć do wyższego domu i to dostała. Chciała wojny i ją dostanie. Bo się urodziłam. A więc dlaczego? Dlaczego mnie nienawidzi?

Raun utkwiał spojrzenie w Skerri, jakby zobaczył ją pierwszy raz.

– Minęło tak wiele lat od odejścia Graala – powiedział cicho. – Byli dla siebie stworzeni. Stanowili jedno. Od tamtego czasu nie tknęła innego. – Spojrzał na Hirkę. – Ale Graal tak... i ty jesteś na to żywym dowodem.

Hirka zamknęła oczy. Oparła czoło o kij.

Byli kochankami...

Tajemnica Skerri zaczynała się wyjaśniać. To dlatego należała do rodziny, choć nie łączyły ich więzy krwi. Skerri i Graal. Byli sobie przeznaczeni. Może mieliby razem dzieci. Ale zamiast tego spłodził Hirkę. Z emblingiem. Z jakąś nieznaną ludzką kobietą.

Skerri nic nie łączyło z domem Modrasme, prócz utraconego marzenia. Została tu po odejściu Graala.

Hirka starła krew z nogi. Przypomniała sobie uśmiech martwo urodzonej na widok serca Naiella i zrozumiała, że Skerri nie czeka na żadną wojnę.

Jest na wojnie od tysiąca lat.



CIEŃ W SŁOKNIE

Hirka uważała, żeby nie obciążać lewej nogi. Tylko prawą, tę zdrową. Uniosła lekko kij i poczekała na następny podmuch wiatru. Pochwycił ją. Rozpędził i popchnął tyłem na lód. Powierzchnia była tak gładka, że nic nie musiała robić. Pożegłowała po śliskiej lśniącej tafli. I zahamowała, gdy zbliżyła się do krawędzi.

Nad jej głową na wietrze leniwie bawiły się kruki. Ciężkie od jedzenia, którym je nakarmiła.

Usłyszała, że ktoś wspina się pod drabinie. Najpierw ujrzała parę szponów wczepiających się w lód. Kolail wdrapał się na górę. Ruszyła sztywno w jego stronę i znalazła się na bezpieczniejszym gruncie. Sądziła, iż udało jej się ukryć, że jest ranna.

– Ciastka na miodzie? – spytał, odpinając od pasa płócienne zawiniątko. – Nie mogłabyś mnie wykorzystać do czegoś bardziej poniżającego? – Zerknął na jej łydkę. – Mogę na przykład chodzić na czworakach i nosić cię na grzbiecie, dopóki znów nie staniesz na nogach.

– Przecież stoję na nogach – odparła i usłyszała sztuczną lekkość w swoim głosie. Rozchyliła zawiniątko. Wciąż było ciepłe i tak pełne ciasteczek, że jedno z nich wypadło. Chwyciła je, nim uderzyło o lód. – Użył przepisu? Żadnych ryb i wodorostów?

– Wleciesz za sobą jedną nogę jak ogon...

Hirka podała mu ciasteczko, głównie po to, żeby się zamknął. Potem sobie przypomniała, że je szponami.

Wsunęła jedno do ust i zaczęła przeżuwać, strasznie przy tym krusząc. Kolail uniósł brwi, ale udała, że tego nie widzi. Odłożyła zawiniątko na ziemię. Uniosła kij i kilka razy obesła Kolaila, żeby mu pokazać.

– Mogę chodzić bez kija.

– Kuśtykasz.

– Ale...

– Nie wypuszczą cię na ulicę, dopóki nie przestaniesz utykać.

Miał rację. Po ciemku zaprowadzili ją z sal treningowych do domu. Trzymali ją między

sobą, z kapturem naciągniętym na głowę. Nikt nie mógł jej zobaczyć rannej.

Hirka odłożyła kij.

– Są jak psy – mruknęła.

– Psy polują. To właśnie robią. – Nagle jego wesołość gdzieś znikła. Wyjął z kieszeni mosiężną butelkę i napił się, wpatrując się w jej nogę. Miał szorstkie dłonie. Do kurtki przywarł kamienny pył. Pewnie po dorywczych pracach przy wykuwaniu nowych domów w skale.

To jej przypomniało o drugiej rzeczy, którą miał jej przynieść.

– Masz obciążki?

Otarł usta rękawem i schował butelkę. Wyciągnął małe obciążki i wsunął jej do kieszeni. Jedno z niewielu narzędzi, jakie tutaj widziała. Nie spytał, do czego zamierza ich użyć.

– Co się stało? – mruknął tylko.

Sądziła, że nie spodziewa się odpowiedzi. Zresztą nie zamierzała jej udzielać. Najprostsza odpowiedź brzmiałaby „Skerri”, ale na tym by się nie skończyło. A nie chciała o niej rozmawiać. Czuła, że to niebezpieczne.

Hirka wsunęła do ust kolejne ciasteczko i odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– Co się wydarzyło tamtego wieczoru, kiedy wyciągnęłam z ciebie odłamek szkła?

Kolail się skrzywił. Zapewne miał to być uśmiech.

– Dobra, nie gadajmy o tym.

Hirka kiwnęła potakująco głową.

– Kto cię wpuścił?

– Skerri.

Przestała przeżuwać. Przyglądała mu się z uniesionymi brwiami. Kolail zaśmiał się cicho.

– Żartuję. Raun mnie wpuścił. I co robisz tu na górze?

Hirka machnęła ręką w stronę drabiny.

– Otworzyłam klapę w spiżarni i znalazłam... – Próbowała sobie przypomnieć, jak powiedzieć drabina, ale bezskutecznie. Zresztą i tak byłoby przesadą określić taką nazwą kilka zardzewiałych żelaznych obręczy w skale. – Karmię kruki – stwierdziła po prostu.

– Karmisz kruki? Przylatują do ciebie?

Znów kiwnęła głową. Zmarszczył czoło, wypukła kropla lekko się uniosła.

– Czy to nie imponujące? – spytała.

– Tak, niewielu udaje się przywabić kruka.

Hirka wybuchnęła śmiechem.

– Miałam na myśli *to*. – Wskazała na lód.

Kolail się rozejrzał, jakby on też nigdy wcześniej tu nie był. Przypuszczała jednak, że

było inaczej. W wielu miejscach widziała schody prowadzące na samą górę, na lód. Rozciągał się przed nimi jak zamarznięte jezioro. Połyskiwał błękitem na tle szarego nieba. Przecinały go labirynty szczelin opadające stromo ku ulicom. W dole między straganami i mostami poruszali się jak mrówki Umpiri. Ale tu, w górze, na dachu Ginnungad, był tylko spokój. Lód. Wiatr. I ciemniejsza smuga na horyzoncie, gdzie chmury stykały się z morzem.

Hirka wskazała na niego kijem.

– Chodź. Złap go.

Zerknął na nią podejrzliwie, ale chwycił drugi koniec kija. Spróbowała wciągnąć go na gładką jak lustro tafłę, ale był za ciężki. To on szarpnął ją do tyłu. Rozpędził się i zaczął się ślizgać razem z nią. Zakręcili się, trzymając końce kija. Hirka zaśmiała się głośno. Zataczała kręgi, unosząc ranną nogę. Kolail odbił się i rozpędził ich jeszcze bardziej. Poczowała łaskotanie w brzuchu. Pisnęła. Kolail wyszczerzył zęby. Odsłonił kły i dziąsła. Szare włosy smagały jego twarz. Owcze futro powiewało na wietrze. Wyglądał jak ogromny pies.

Uśmiech zaraz jednak zamarł na jego ustach. Wyhamował piętą i się zatrzymali. Skerri stała na skraju lodowej tafli i przyglądała się im. Jej czarne usta wykrzywiły się z niesmakiem.

Kolail ruszył w stronę drabiny. Gdy zrównał się ze Skerri, zawahał się. Spojrzał na nią, jakby chciał coś powiedzieć.

Skerri zmrużyła oczy.

– Uważaj, żeby nikt cię nie zobaczył, kiedy będziesz schodził, Kes. – Nie pofatygowała się, by dopowiedzieć resztę jego imienia.

Hirka poczuła w łydce ciepły, pulsujący ból. Sprzeciwianie się Skerri drogo kosztowało, ale akurat w tej chwili miała wrażenie, że milczenie kosztuje ją jeszcze więcej.

– Dzięki za ciasteczka, Kolail! – zawołała za nim, gotowa bronić się na śliskim lodzie. Nikt jej nie zaatakował. Skerri nie syknęła nawet żadnego wyzwiska. Uśmiechnęła się. W tych okolicznościach to był upiorny widok. Hirkę obleciał strach. To mogło jedynie oznaczać, że Skerri miała w zanadrzu coś gorszego.

– On chce z tobą rozmawiać.

Graal...

Skerri zaczęła schodzić po drabinie. Hirka schyliła się po ciasteczka i ruszyła za nią ze ściśniętym żołądkiem. Coś się stało. Coś, co przywołało uśmiech na ustach Skerri.

Schodząc, podniosła wzrok. Na krawędzi nad nią zebrały się kruki. Było ich więcej niż wcześniej. Siedziały w zwartej grupce i gapiły się na nią, jakby była jedzeniem. Poległa na polu bitwy.

– On czeka! – warknęła Skerri.

Hirka przeszła za nią przez klapę do spizarni i ruszyła do głównej sali.

Raun smarował olejem skórzany napierśnik. Uhere siedziała naprzeciw niego i pisała w jakiejś księdze. Liczy pieniądze, pomyślała Hirka. Nie spodziewała się takiej sceny. Niemal pełnej harmonii. Przypominali zwyczajną rodzinę. Ale byli kimś zupełnie innym.

Skerri uniosła wieko futerału z krukiem.

– W cztery oczy – dobiegł głuchy głos z jego wnętrza.

– Nie zostawię *jej* samej z krukiem! – Skerri skrzyżowała ręce na piersi.

Hirka była już wcześniej sam na sam z tym ptakiem. Nagle nie można jej było ufać czy może Skerri chciała po prostu napawać się słuchaniem? Pewnie jedno i drugie.

– Skerri... – Graal nie podniósł głosu. Nie musiał, Hirka wiedziała o tym aż za dobrze.

Skerri warknęła, ale podała jej futerał. Odwróciła się na pięcie, warkoczyki smagnęły jej plecy.

– Przynies mi go, zaraz kiedy skończysz – rzuciła.

Hirka wzięła futerał i poszła do sypialni. Wdrapała się do wiszącego łóżka i usiadła.

– Graal?

– Hirko...

Jego głos zawsze wystarczał, by wywołać w niej wewnętrzną walkę. Równocześnie kochała sposób, w jaki wymawiał jej imię, i nienawidziła tego. W jego głosie słychać było wtedy tęsknotę. Ojcowską miłość. Ale wiedziała, że ją wykorzystuje i że zapewne jest dla niego jedynie narzędziem.

– Damayanti mówi – ciągnął z tym zdradliwym ciepłem w głosie – że znałaś handlarza herbaty z Mannfalli, tego, który mieszkał nad rzeką?

Znałaś...

To słowo wbiło się w nią jak sztylet. Jak ostrzeżenie, że będzie jeszcze gorzej. Nie odpowiedziała. O nic nie spytała. Chciała się bronić przed tym, by nie padły kolejne słowa. To milczenie nic jednak nie dało. Graal i tak mówił dalej:

– Zginął w pożarze. Damayanti twierdzi, że to było podpalenie. Prawdopodobnie był tam Darkdaggar. Szukał Rimego albo informacji o nim, nie wiemy.

Hirka ścisnęła w rękach okrągły futerał. Spojrzała w puste oczodoły od dawna martwego ptaka. Słyszała już wcześniej to kłamstwo. W Londynie, kiedy uciekali ze Stefanem. Okrutna próba, by przywabić ją do siebie. Nie musiała przypominać o tym Graalowi. Sam jej powiedział. Że rozumie, jakie to bolesne. Że nigdy nie chciał, by tak się stało. Że przykro mu z tego powodu.

Ból narastał. Świadomość, że to jest prawda.

Lindri...

Graal mówił dalej, jakby była w stanie go słuchać. Pożar. Herbaciarni już nie ma. Słowa były jedynie pustymi dźwiękami. Głuchym głosem wydobywającym się spomiędzy jej rąk. Darkdaggar? Dlaczego? Dlaczego Lindri? To nie miało sensu! Lindri nigdy nikogo nie skrzywdził. Był stary. Pełen spokoju. Schorowany. Nie posiadał nic prócz swojej herbaciarni i niczego innego nie pragnął. Był nieszkodliwy!

Hirka przypominała sobie Darkdaggara. Był jednym z trojga członków Rady, którzy odwiedzili ją w Gnieździe Ślepych. Jednym z tych, którzy ją prosili, by opuściła Ym, kiedy Rime został powiernikiem kruka. Hirka powiedziała wtedy coś, co go uraziło, a wówczas wstał i wyszedł. Prawie go wtedy wyśmiała. Zimna, mała kreatura. Życzył sobie, by zniknęła, ale nie mógł jej zmusić. Nie miał takiej władzy.

Wychwyciła wiele słów Graala. Przebijały się przez ból i zagubienie. Mówił o przewrocie. O przemianach w Eisvaldrze. I o Ciemnych Cieniach, które nie stanowiły już zagrożenia.

Potrząsnęła głową. Spróbowała oprzytomnieć.

– Czekał... Co ty mówisz? Co masz na myśli?

– Mówię, że wymordował Ciemne Cienie. Własnoręcznie. Wszystkich ich otufl. Prymitywne, ale skuteczne. Przyznaję, że to oznacza zmianę planów, choć wiele rzeczy też nam ułatwia. – Słyszała głuchy, rytmiczny odgłos. Dotarło do niej, że to bicie jej serca. – Rimemu nic się nie stało – dodał, jakby wyświadczał jej przysługę.

Słowa wdzierały się w nią.

Wymordował Ciemne Cienie.

– Kłamiesz! To kłamstwo! Nikt na świecie nie mógłby wymordować Ciemnych Cieni. Nikt!

– Też tak sądziłem, ale w każdym razie zaoszczędził nam trudu.

Nam.

To straszne małe słowo. Jakby ona była tego częścią. Jakby jeszcze stała po którejjkolwiek ze stron. Hirka podźwignęła się na czworaki. Łóżko się zakołysało. Chwyciła za krawędź, ale rozbujało się jeszcze bardziej.

– Hirko? – Słyszała niepewność w jego głosie. Nie miał pojęcia, co powiedział ani co to dla niej znaczyło. – Musimy to traktować jako *dobre* wieści – dodał. – Dla ciebie również. Pragniesz, by wojna była mniej krwawa, a bez Ciemnych Cieni taka będzie.

Hirka popęzła w nogi łóżka. Kołysało się jak łódź podczas sztormu. Przewróciła się na bok. Noże bólu wbiły się w łydkę w miejscu, gdzie trafiła ją Skerri. Ból promieniował do biodra. Wbijał się w serce. Zimny, zimny ból.

– Hirko...? Znałaś któregoś z nich?

Zacisnęła zęby. Podźwignęła się na kolana. Zamknęła oczy i kołysała się razem

z łóżkiem.

– Nie – odparła ochryple.

To kłamstwo sprawiło, że ścisnęło jej się gardło. Do oczu napłynęły łzy. Ale Graal nie mógł ich widzieć. I nie usłyszy jej płaczu. Ten ból należał tylko do niej. Mieszkała w Gnieździe Ślepych ze Svarteldem, Jemem i resztą. Dochodziła tam do siebie po tym, jak runęła sala rytuału.

Ciemne Cienie. Jak nazwał ich kiedyś Rime?

Ci, którzy są już martwi.

Jedyni, którzy mogli uratować Ym, umarli. Cienie śpiące w Sloknie. Śnią o krwotoczniku, tak jak ojciec.

Miała ochotę zwinąć się w kłębek na łóżku. Pozostać w tej łodzi, póki nie pójdzie z nią na dno. Musiała jednak zejść na ląd. Wyczuwała, że zbliża się do rozstajnych dróg, gdzie wszystko będzie zależeć od niej.

Otarła łzy. Cicho, żeby nie usłyszał. Wyszła z łóżka. Wciąż miała wrażenie, że wszystko się kołysze. Nie czuła stałego gruntu pod stopami. Zamknęła wieko futerału. Ścisnęła go. A potem mocniej. Jeszcze mocniej. Chciała go zmiażdżyć. Zgnieść kości na proch. Graal już nigdy nie mógłby rozmawiać ze swoim ludem. Nie mógłby snuć planów ze Skerri i Raunem. Nikt nie otworzyłby bram. Może nie doszłoby do wojny?

Nie. Wciąż mógłby się kontaktować z Damayanti. I był na tyle bystry, by już sprowadzić ślepych do Ym, na wypadek gdyby tancerce coś się stało. I tak doszłoby do wojny. A co by zrobił, gdyby zniszczyła kruka?

Zniszczyłby Rimego.

Drżała na całym ciele. Rozluźniła uchwyt. Graal miał władzę. Całą władzę. Dopóki kontrolował Rimego, kontrolował też ją.

Hirka schyliła się i podniosła z podłogi kij. Pokuśtykała do głównej sali i odstawiła na stół futerał z krukiem. Nie patrzyła na nikogo. Nie podchwyciła spojrzenia Skerri. Po prostu ich minęła. Weszła w korytarz po drugiej stronie. Załomotała do drzwi Urda. Otworzyła, nie czekając na odpowiedź, i jak burza wpadła do środka.

– Jak pozbyłeś się dzioba?

Urd wstał z parapetu i przyglądał jej się pytająco. Zamknęła za sobą drzwi i podkuśtykała bliżej.

– Odpowiedz mi! Co zrobiłeś? Co powiedziałeś?

Odsunął się na bok. Wzdłuż ściany, jakby była dzikim zwierzęciem. Wilkiem.

– Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Wiesz tyle samo, co ja.

Wskazała na niego kijem.

– Widziałam, jak wypełził z twojej szyi! Dlaczego? Musiałeś coś zrobić!

Z rezygnacją rozłożył ręce.

– Nie wiem! Gdybym wiedział, powiedziałbym ci.

– Kłamiesz. Jesteś kłamcą tak jak cała reszta. Potworem. Zbrodniarzem. Mordercą.

Wrogiem. – Uniosła kij nad głowę. Ogarnęło ją pragnienie, by bić, silne jak głód. –

Powiedz mi, co zrobiłeś!

– Nie wiem! – Wycofał się pod okno. Wpatrywał się w nią. Jego twarz wyrażała niepewność. – Chcesz, żebym coś wymyślił? Żebyś nie rozwalila mi czaszki?! Tego chcesz?

Mam zmyślać?

Hirka odstawiła kij.

– Myślisz, że nie stać mnie na coś lepszego niż bicie? Powiedz mi, co zrobiłeś, bo inaczej będziesz wolny, Urdzie Vanfarinnie.

Jego twarz wykrzywiła się z przerażenia. Dotarło do niego, czym mu grozi. Byłby wolny. Wyrzucony na ulicę. Ætling w Ginnungad. Jak długo by przetrwał?

– Nic nie zrobiłem! Nic nie powiedziałem!

– Musiałeś chyba coś powiedzieć?! – Jej głos stał się ostry jak u Skerri. Zniekształciła go rozpacz.

Urd utknął przyparty w kącie.

– Powiedzieć?! Co miałem powiedzieć, pełzałem na czworakach, zapomniałaś już?!

– To co *myślałeś*?

Złapał się za głowę. Było widać, że jest zrozpaczony. Wściekły. Przerażony.

– A jak ci się wydaje?! Straciłem wszystko! Otaczały mnie Ciemne Cienie, ślepi! Nic nie myślałem! Wiedziałem tylko, że umrę!

Zatoczył się w stronę okna i opadł na parapet. Hirka zamknęła oczy. Nie kłamał. Pozbył się dzioba, bo sądził, że umrze. To przekonanie było na tyle silne, by wypędzić dzieło ślepych z jego gardła. Jakby dziób miał własną wolę przeżycia, silniejszą niż wola Urda.

Hirka przysiadła na parapecie obok niego. Kij upadł na podłogę. Potoczył się pod jego łóżko i tam został.

– Myślałeś, że umrzesz...

Jej twarz wykrzywił grymas. Przycisnęła ręce do oczu i jęknęła. To nie pomogło. Nic nie mogło pomóc.

Poczuła, że niepewnie dotknął jej ramienia.

– Co oni ci zrobili? – szepnął.

Chciała odpowiedzieć, ale od czego miałyby zacząć? Czego jej *nie zrobili*?

Spojrzała mu w oczy. Cofnął dłoń, jakby zrobił coś złego. Hirka chwyciła jego łańcuch. Zawinęła go na dłoni i napięła. Pociągnęła go, by musiał pochylić się w jej stronę. Ich policzki niemal się zetknęły. Urd wstrzymał oddech.

Hirka obmacała pierścień osadzony w jego szyi. Tkwił luźno. Urd nie był głupcem. Często nim poruszał, żeby nie wrósł w ciało. Pod palcem czuła szybki puls Urda. Kropla potu spłynęła mu po czole i zatrzymała się we wgłębieniu pod szyją. Hirka wyjęła cążki, które dostała od Kolaila. Chwyciła nimi pierścień i ścisnęła. Przecięły go z trzaskiem. Wysunęła pierścień spod jego skóry i puściła łańcuch. Brzęknął o podłogę.

Urd się cofnął. Dotknął ręką szyi. Widziała, ile go kosztowało, żeby się nie załamać. W jego oczach widziała samą siebie. To nie było łatwe dla żadnego z nich.

Wsunęła cążki z powrotem do kieszeni i poprosiła, by opowiedział jej wszystko, co wie o Garmie Darkdaggarze.



ZASTYGŁY

Hirka czuła, że nadwyrężyła nogę. Posłała po Kolaila w nadziei, że będzie mógł jej towarzyszyć, ale nie było go w domu. Hałasy i pijackie okrzyki w oddali pozwalały się domyślić, czym się teraz zajmował: ukrył twarz pod kapturem i rzucał butelkami na ulicach. Pił, póki nie uwierzył, że to coś zmieni. Chyba że znów dostał jakąś dorywczą pracę. Albo poszedł po rozum do głowy po tym, jak wyciągnęła z niego odłamek szkła, ale w to akurat wątpiła. Marnował tylko czas.

Czas, którego nie miała. A więc wymknęła się sama. Poczowała ból w łydce, kiedy zeskoczyła z balkonu.

Kuśtykała dalej w ciemności wilgotną ulicą prowadzącą na wschód od krateru i opadającą ku morzu. Deszcz bębnił o jej kaptur. Naciągnęła go mocno na głowę, by nikt się nie domyślił, kim jest. Ale i tak jej się przyglądali. Bo Umpiri nie kuleją. Umpiri nie okazują słabości. Oby wszyscy zgnili. Oby przyśniło im się w Sloknie, że są starzy, niesprawni i bezbronni.

Tak jak Lindri...

W jej pamięci wydawał się taki żywy. Dłonie, którymi obejmował dzbanuszek z herbatą, by sprawdzić, czy już się rozgrzał. Pogłębiające się zmarszczki, gdy się uśmiechał. Za mała czapka. Jeśli istnieją jacyś bogowie, to powinni przynajmniej pozwolić mu zasnąć, nim dosięgły go płomienie.

Hirka zdusiła szloch.

Dlaczego? Jaki to miało sens? Ciemne Cienie były wojownikami, ale Lindri...

Jeszcze wielu zginie. Wielu niewinnych, którzy nigdy nie pragnęli wojny.

Mocno opierając się na kij, schodziła po stromym stoku w stronę morza. Do Widzącego. Do tej przeklętej istoty, która nie chciała pomóc. Nie miała jej do powiedzenia nic prócz tego, że jest beznadziejna.

Stopień po stopniu zaczęła wspinać się po schodach. Bez pukania szarpnęła zardzewiałe drzwi. Wiedziała, że jest późno, ale i tak weszła. Zamknęła je za sobą. Szum deszczu ucichł.

– Widzący! – Jej wołanie pochłonęła ciemność.

Palcem u nogi uderzyła się o ścianę i zakląła. Dlaczego nie było tu ani jednej prostej ściany? Dotarła do głównego pomieszczenia. Siedział na stołku przy ogniu. Przypominał kamień. Fragment skały. Wstał. Płomienie zachwiały się i sypnęły iskrami pod sklepienie.

– Dlaczego po mnie nie posłałeś? – Łamała wszelkie reguły uprzejmości, ale nie miała sił, by się tym przejmować. Reguły były takie małe i nieistotne. Małe rzeczy straciły znaczenie. Czuła tylko ból i stratę. – Powiedziałeś, że po mnie pošlesz, a teraz jest już za późno! Wojna się jeszcze nie zaczęła, a już giną istoty! Miałeś mi pomóc. Wiem, że wziąłeś moją krew. Wbiłeś we mnie szpon! – Oskarżycielsko wyciągnęła rękę.

Widzący pokuśtykał w jej stronę. Kij, który mu dała, stał oparty o ścianę. Na jego widok ogarnęła ją jeszcze większa rozpacz. Co ona sobie wyobrażała? Że ta istota, która utyka jeszcze bardziej niż ona, jej pomoże? Istota, która nawet nie pokazuje twarzy?

Nie wyglądał, jakby zamierzał z nią dyskutować, ale i tak wyrzuciła to z siebie:

– Nie jestem słaba! Dużo potrafię! Umiem wyczuwać Evnę, kiedy ktoś jej używa. Umiem ją wzmacniać. Moja krew leczy zgniliznę. Mogę się uczyć, gdyby tylko ktoś miał odwagę przekazać mi wiedzę! Ale wy nie uczycie emblingów, prawda? Niczym się nie dzielicie z tymi, których uważacie za słabych. Gorszych. Upadłych.

Usiadł na ławie. Oparł ręce na stole, między skrzynką rozbitych jajek a korytkiem, w którym leżała zdechła wrona, na grzbiecie, nogami do góry. Jej pierś była rozcięta. Ziała czerwienią. Zapach krwi mieszał się ze słodkawą wonią rozkładu.

– Nie jesss...steś jedną z nich – powiedział.

– To kim jestem? Dlaczego po mnie nie posłałeś?

– Nie milczałem dlatego, że jesteś sss...słaba. Milczałem, bo jesteś silna. – Oddychał ze świstem.

Hirka ściągnęła kaptur. Słyszała, jak krople deszczu kapią na drewnianą podłogę. Jego słowa zwabiły ją bliżej.

– Powiedzmy, że znalazłaś mężczyznę w śniegu – ciągnął powoli. – Prawie zamarznętego. Chcesz mu pomóc. Trzymasz go za rękę, a on ci opowiada, jak długo szedł. Ale kiedy by wydawał osss...statnie tchnienie, czy powiedziałabyś mu, że jadło i ciepły kąk sss...są tuż za rogiem? Dobrze wiedząc, że nigdy tam nie dotrze?

Hirka stuknęła kijem w podłogę.

– Widzący, nie mam na to czasu! Już znalazłam mężczyzn w śniegu i nie mogę im pomóc. Więc przestań mówić zagadkami.

Szarpnął głową. To musiał być jakiś mimowolny skurcz.

– To ty leżysz na śniegu, dziecko. Masz we krwi moc przemian, tak jak Dreyri. I moc utrzymywania Evny, tak jak człek. Nie jesteś ani jednym, ani drugim i jesteś oboma.

Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Mogłaś być silna. Ale to nic nie znaczy, bo nie potrafisz czerpać. Miałem cię tutaj sprowadzać, by powiedzieć ci, jak mogło być? To przecież na nic. Evna nigdy nie stała się twoja, bo urodziłaś się bez niej. A nikt nie może powtórnie się urodzić.

– Nie muszę się z nią rodzić, możemy to zrobić razem! Albo mogę to zrobić z Rimem. Wiem, że tak, bo czułam przez niego Evnę. Wiem, że to możliwe!

– Czułaś ją, tak, ale co z tego? Ty chcesz czegoś więcej. Chcesz dokonać niemożliwego. I nawet gdybyś potrafiła czerpać, nigdy nie byłabyś w sss...stanie naprawić tego, co zniszczył Naiell. Żyły, którymi płynęła Evna, zostały zmiażdżone. Jeśli wyrwiesz żyły z ciała mężczyzny, wydaje ci się, że możesz potem zmienić zdanie? Wepchnąć je z powrotem na miejsce, by znów płynęła w nich krew? Jest tak, jak mówię: tego, co zniszczyła Evna, nawet Evna nie może uleczyć.

Hirka odłożyła kij na stół i pochyliła się do przodu.

– Mylisz się, Widzący! Widziałam, jak Rime roztrzaskał drzewo Naiella. Jeśli *jeden* mężczyzna jest w stanie zniszczyć to, co stworzyła Evna, można to również naprawić.

Widzący wstał. Odwrócił się do niej plecami, jakby to *ona* nie rozumiała. Spojrzała na martwego ptaka. Poczowała obrzydzenie.

– Nie zależy ci – powiedziała. – Żyjecie tysiące lat, a jednak jest wam to obojętne. Gdzie będziesz mieszkał, gdy Evna umrze na dobre? Gdy światy się rozpadną i obrócą w proch? W pustynię? W piasek w strzaskanej klepsydrze? Jak myślisz, co się stanie z krukami, jeśli nie pomożesz mi naprawić tego, co zostało zniszczone?

Oparł się o szafkę. Zgarbił plecy. Pod szatą zarysowały się krzywe łopatki.

– Nie przeżyłaś jeszcze nawet dwudziestu zim, a mówisz mi o wieczności? Szybujesz na burzy, która zbierała się przez tysiąc lat, i twierdzisz, że potrafisz uzdrawiać. Co takiego rozumiesz, czego ja jeszcze nie wiem?

Hirka poczuła gorycz w ustach.

– Że nadzieja ma sens!

Odwrócił się do niej tak nagle, że aż podskoczyła. Woal, który go otulał, musnął jej pierś.

– Nadzieja? Myślisz, że rozumiesz nadzieję? Nie znasz mnie. Nie znasz własss...snej rodziny. Od wieków żyją w bagnie nadziei i tajemnic, i gdybyś o tym wiedziała, słuchałabyś mądrzejszych od siebie. A ja ci mówię jak jesss...st. Tego, co zniszczyła Evna, nikt nie może naprawić!

Hirka wpatrywała się w niego. Jak mogła kiedykolwiek wierzyć, że ta istota jej pomoże?

– Jesteś stary – szepnęła. – Zastygłeś w rzeczywistości, z której nigdy nie znajdziesz

wyjścia. Podałeś się. I ty *mnie* nazwałeś słabą?

Widzący uniósł rękę i ściągnął kaptur. Odsłonił twarz.

Z ust Hirki wyrwał się zduszony jęk. Cofnęła się i potknęła o ławę. Ten, który przed nią stał, to nie był martwo urodzony. To był potwór.

Wpatrywał się w nią. *To* się w nią wpatrywało. Nie miał ust ani nosa. Tylko czerwoną gardziel, pod na wpół ukształtowanym dziobem. Poruszał się w niej język. Czarny i spiczasty. Szyja była zmarszczona. Nie był ani mężczyzną, ani krukiem. Był czymś pomiędzy. Potwornym wytworem wyobraźni. Koszmarem.

Mrugnął okrągłymi ptasimi oczkami krzywo osadzonymi w głowie. Syknął na nią.

– Oto, gdzie byłem, kiedy zabrał Evnę. Kiedy wyssał ją z ziemi. Z powietrza. Tym byłem, kiedy tworzył drzewo. W połowie drogi między mężczyzną a krukiem. Oto, co mi zrobiła Evna w chwili, gdy umarła. A teraz zjawiasz się ty i mówisz, że wszystko można uleczyć. Że wszystko można cofnąć. Sądzisz, że możesz mnie czegoś nauczyć o uzdrawianiu? O Evnie? I o nadziei?

Hirka nie mogła znaleźć słów. Zdawała sobie sprawę, że ma otwarte usta. Wiedziała, że szok aż nazbyt wyraźnie maluje się na jej twarzy, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Jeśli to była jego twarz, co kryło się pod szatą? W jego ciele nic nie było tak, jak powinno. Wieczne życie w kalectwie. Zastygłe w cierpieniu. Zastygłe w połowie przemiany, która nigdy nie dobiegnie końca.

Tego, co zniszczy Evna, nikt nie może naprawić.

Przyszła tutaj, sądząc, że śmierć jest najgorsza...

Wściekłość w kruczych oczach ścisnęła jej serce. Poczowała łyzy pod powiekami. Uniosła rękę do jego twarzy. Chwycił ją za nadgarstek. Szpony wbiły się w skórę.

– Litość? To mi chcesz dać?!

Puścił ją. Mocno odepchnął od siebie.

– Wynoś się! Już!

Hirka namacała kij leżący na stole. Chwyciła go i się cofnęła. W korytarz. W błogosławiony mrok i na deszcz.



OSTATNIE SPOTKANIE

Rime zeskoczył z dachu do zaułku nad rzeką przy karczynie Damayanti. Trzymał się w cieniu, twarz miał ukrytą pod kapturem. Mieszkańcy miasta byli teraz czujniejsi, nawet wieczorami. Zamieszanie w Radzie, pogłoski o wojnie i o ślepych zrobiły swoje. Nerwowość udzielała się wszystkim. W Mannfalli teraz trudniej się było ukryć niż kiedyś.

Mimo wszystko pili.

Było późno. Z karczmy Damayanti wychodzili goście. Rime zakradł się po dachu do nadbudówki z uchylonym oknem. Nasłuchiwał odgłosów z ulicy. Po suto zakrapianym wieczorze wracał spokój. Kilku mężczyzn wciąż zwlekało przy głównych drzwiach. Wejście tą drogą byłoby zbyt ryzykowne.

Otworzył okno i wśliznął się do środka. Opuścił się na półpiętro i ruszył po belce pod sufitem wzdłuż korytarza. Z pokoi i z nisz za zasłonami dobiegały dźwięki świadczące o tym, że jeszcze nie wszyscy udali się na spoczynek. Ale gdy ætlingowie pozostawali w mocy swych chuci, przynajmniej nie byli tak uważni.

Opuścił się na podłogę i odnalazł drzwi do pokoi Damayanti. Wiedział, że będą zamknięte na klucz. Wyjął wytrych. Obejrzał się za siebie. Był sam. Zamek ustąpił z cichym szcękaniem i Rime wszedł do środka. Nie przekręcił klucza. Nie chciał jej niepotrzebnie wystraszyć.

Zapomniał już, jaki skromny jest jej pokój. Cichy kąt w domu pełnym barwnych jedwabii i pobrzękujących paciorków. Jedynym meblem było łóżko, w którym pomieściłyby się trzy osoby. Ekstrawagancja, pomyślał, gdy zobaczył je po raz pierwszy. Rozpasane hordy partnerów. Z tego, co wiedział, to była prawda, ale istniał też inny powód, dla którego łóżko było tak wielkie. Pod nim ukryte było przejście pod stare miejskie mury. Do podziemnej części kamiennego kręgu.

Usiadł na brzegu łóżka obok poduszek z koziej skóry. Nisze w ścianie zdobiły kości zwierząt i czaszki ze spiralnymi rogami.

Rime czekał. Łóżko go kusilo. Obiecywało sen i zapomnienie o tym, co widział dziś wieczorem. Spalony dom Jarladina. Silne straże na murach Eisvaldru. Zwęglona

herbaciarnia Lindriego. Zrównana z ziemią. Te miejsca go przyciągały. Musiał je zobaczyć na własne oczy.

Kroki... Zbliżała się.

Usłyszał, że przystanęła pod drzwiami. Przez chwilę się wahała. Potem weszła. Ulga na jej twarzy, gdy go zobaczyła, była niemal wzruszająca. Kogo się spodziewała? Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz.

– Rime...

Podeszła do jednej z nisz i zapaliła olejną lampkę. Poruszała się zmysłowo jak wąż. Zaszleściły kościane paciorki na brzegu prześwitującej spódnicy. Płomyk zamigotał. Oświetlił zwierzęce czaszki i rzucił makabryczne cienie na sufit.

Usiadła obok niego. Bliżej niż trzeba.

– Potrzebuję krwi – powiedział.

Jej bliskość go prowokowała. Damayanti służyła Graalowi. Dała Rimemu dziób. A to, że się w nim przy tym zakochała, wydawało się jeszcze bardziej wynaturzone.

– Kruczy Dwór? – spytała.

Nie wiedział, czy sama się tego domyśliła, czy powiedział jej o tym Graal. Ale to nie miało znaczenia. Kiwnął głową na potwierdzenie.

– Muszę mieć tyle, by mi wystarczyło na jakiś czas. Dopóki świat nie zejdzie na psy.

– A więc widzimy się po raz ostatni? Zanim... zanim to się skończy? – Musnęła grzbietem dłoni jego udo.

Odrącił jej rękę. Ostrzej niż zamierzał. Podchwyciła jego spojrzenie. Jej oczy były podkreślone czernią. Wzory z miki wiły się po skroni i kończyły spiralą na jej policzku. Popatrzyła na niego z dziwną powagą.

– Skrzywdził cię...

Rime odwrócił głowę. Współczucie kobiety, dzięki której Graal mógł go dręczyć – to było zbyt wiele.

– Rime, musisz mi uwierzyć, on naprawdę nie chce cię skrzywdzić. Znam go. Nigdy by cię nie skrzywdził, gdyby nie musiał. Nie wiem, co próbowałeś zrobić, ale... daj sobie z tym spokój. O wiele prościej jest robić to, co mówi. Zależy mu na tobie, Rime. Wiem, że tak jest.

Gdyby to nie było tak nieskończenie tragiczne, Rime wybuchnąłby śmiechem.

– Zależy mu? Myślisz, że mu zależy? Że karze, bo kocha? Jeśli ci się wydaje, że to jest miłość, to wiesz o niej mniej, niż sądziłem.

Nie odpowiedziała.

– A *ciebie* jak bardzo skrzywdził? – spytał, patrząc na jej szyję. Była szczupła i idealna. Żadnej blizny. Nic, co zdradzałoby obecność dzioba.

Damayanti ujęła jego podbródek i uniosła mu głowę.

– Patrzysz w niewłaściwe miejsce – szepnęła. – Ja też wzięłam dziób, ale nie tam.

Otworzył usta, by spytać. I zrozumiał.

Jej pełne wargi ściągnęły się w uśmiechu, jakby patrzenie na szok malujący się na twarzy Rimego przynosiło jej satysfakcję.

– Dziób to dziób, Rime. Potrzebuje tylko ciała i krwi. Ja zdecydowałam, że chcę go mieć w innym miejscu. W ten sposób może mi dawać tyle samo przyjemności, ile bólu.

Rime mimowolnie zerknął na jej krocze. Zrobiło mu się niedobrze. Nie wiedział, czy bardziej brzydziło go to, co zrobiła, czy to, co powiedziała.

– I uważasz, że było warto? – spytał ochryple. – To mi próbujesz powiedzieć? Że zdradziłaś Ym i własny lud dla rozkoszy? Kiedy przyjdą, to będzie dla nas koniec! Wydaje ci się, że to zabawa?

Położyła się na łóżku i oparła na łokciach.

– Myślę, że na jedno wychodzi – odparła. – Nábyrni czy ætlingowie, we wszystkich jest dobro i zło. Naprawdę sądzisz, że świat rządzony przez nich będzie gorszy niż za Darkdaggara? Ślepi nie są bardziej dzicy niż ty.

Rime wstał.

– Masz tę krew czy nie?

Damayanti zsunęła się z łóżka i podeszła do jednej z czaszek. Uniosła ją trochę i z zagłębienia w ścianie wyjęła buteleczkę.

– Niedużo tego, co?

Rime wsunął buteleczkę do kieszeni i odwrócił się, żeby odejść.

– Zapominasz, że go spotkałem, Damayanti.

– Co masz na myśli?

– Że wybrałaś niewłaściwą stronę. Oddałaś się komuś, kto mówi jak wybawca, ale poświęcenie ciebie przyjdzie mu z równą łatwością, jak oddychanie. Jest bezwzględny. Zimny jak lód. To, co uważasz za namiętność, czyni go tylko jeszcze bardziej niebezpiecznym.

Uśmiechnęła się leniwie.

– Wiem... Mam do takich słabość.

Jej słowa były jak uderzenie w twarz.

– To spróbuj z Darkdaggarem – odparł z goryczą.

– Już to zrobiłam. Nic z tego nie będzie.

Wpatrywał się w nią. Nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Wzruszyła ramionami.

– Graal uważał, że warto spróbować. Owszem, rozmawiałam z nim. Ale przejrzałam go na wylot. To by była strata czasu.

Rime dostrzegł lekki niepokój w jej oczach i nabrał podejrzania, że bagatelizuje spotkanie, które wiele ją kosztowało. Ale ile? Jak wiele zdradziła wrogowi?

Damayanti wsunęła się między niego a drzwi.

– Mówisz tak, jakbym nie potrafiła rozpoznać namiętności, Rime. Ja z niej żyję. Potrafię rozpoznać ogień i tych, którzy go w sobie noszą. Ogień można wykorzystać. Ukształtować. Ogień czegoś się domaga. Darkdaggar tego nie ma. Nigdy w życiu do niczego nie płonął. Prawdziwy członek Rady. Nie ma sensu wzniecać ognia w mężczyznach, którzy nie potrafią się rozpaść. Więc obawiam się, że będziesz musiał poradzić sobie z nim sam.

Rime nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie było nikogo, komu nie byłaby gotowa nadskakiwać? Żadnego wroga tak bestialskiego, by nie mogła z nim negocjować? Drgnęły mu usta. Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Otworzył drzwi. Damayanti chwyciła go za ramię.

– Rime... mówię poważnie. On jest... praktyczny. Nie jest taki jak Urd. Nie wypali się. To go czyni bardziej niebezpiecznym, niż sądzisz.

– Co za wzruszająca troska – warknął Rime.

Podciągnął się nad drzwi i wskoczył na belkę pod sufitem. Dopiero gdy był na dachu, usłyszał, że Damayanti zamyka drzwi.



NARODZONA Z ZIEMI

Hirka wspięła się na balkon i położyła na zimnym kamieniu. Przytuliła do niego policzek. Przestał padać deszcz i zaczął sypać śnieg. Otoczyły ją tańczące białe płatki. Topniały na jej ustach. Gdyby leżała tu dostatecznie długo, śnieg by ją zasypał. Beznamiętnie zatarłby pamięć o niej, tak jakby nigdy nie istniała.

To ty leżysz na śniegu, dziecko.

Uniosła się na rękach. Skerri miała rację. Były słabe. Bezużyteczne. Usłyszała jedwabisty szelest. Uderzenia skrzydeł. Podniosła wzrok. Spoglądała w oczy kruka. Pochylał się nad nią, przekrzywiając głowę. Jakby chciał ją lepiej dojrzeć przez zasłonę włosów, które w mokrych strąkach opadły jej na twarz.

Jeszcze nie umarłam...

Kruk nie szukał jedzenia. Otworzył dziób. Upuścił coś przed nią i odleciał. To był kamyk. Zostawił jej kamyk. Hirka sięgnęła po niego. Był spiralny niczym muszla ślimaka. Taki sam jak ten, który dostała od Hlosniana.

Hlosnian...

Co się z nim stało po przemianach w Eisvaldrze? On też zginął?

Hirka rozejrzała się za krukiem, ale zniknął. Nie była w stanie przywołać go okrzykiem, którego kiedyś się nauczyła. Była zdruzgotana.

Wsunęła kamyk do kieszeni. Podźwignęła się, otworzyła balkonowe drzwi i weszła do środka. Drzwi sypialni po drugiej stronie komnaty były uchylone. Ktoś tu zaglądał. Zauważył jej nieobecność. Na szczęście wciąż była noc, więc konfrontacja nastąpi dopiero jutro. W tej chwili nie byłaby w stanie z nikim rozmawiać. Nie potrafiłaby z siebie wydobyć nawet jednego składnego zdania. Czuła się jak pęknięta skorupa. Myśli się nie kleiły.

Położyła płaszcz na ławie pod oknem, żeby ociekł z wody. Łóżko było zaledwie kilka kroków dalej, ale poczuła, że to za daleko. Usiadła na ławie. Zapatrzyła się na zmatowione popiołem evnoszko, przypomnienie o wszystkim, co nie było już możliwe.

Potarła twarz ręką. Zostały na niej ślady zaschniętych łez. Czy u Widzącego jej się

przywidziało? Czy to wszystko zdarzyło się naprawdę? A może nawdychała się czegoś, co tak na nią podziałało? Bogowie raczą wiedzieć, co mogło leżeć ukryte wśród ziół, kości i ptasich zarodków.

Tego, co zniszczyła Evna, nie da się naprawić.

– Gdzie byłaś?! – Ostry głos za jej plecami.

Hirka podskoczyła. Odwróciła się. Skerri stała w drzwiach, zaciskając pięści. Specjalnie się nie położyła?

Nie teraz...

Hirka zamknęła oczy. To było proste pytanie, ale tak oskarżycielskie, że nie miała pojęcia, za co przeproszać najpierw. Za to, że wyszła sama bez świty? Że Umpiri widzieli, jak utyka? Równie dobrze mogła chyba przeprosić za to, że się urodziła.

Skerri wielkimi krokami weszła do pokoju.

– Dziś wieczorem wyszliśmy z Gridem. Żeby mieć na oku bezdomnych. Nie dopuścić do zamieszek. Natknęłam się na jednego, który pracuje w ziemnych grotach. – Jej głos był ochryply z tłumionego gniewu. Hirka wiedziała dlaczego. Wiedziała, co teraz będzie. – Opowiedział mi przedziwną historię... – Skerri stanęła przed nią na szeroko rozstawionych nogach. – Bardzo przeproszał za to, co się stało. Mam mówić dalej?

Hirka nie byłaby w stanie odpowiedzieć, nawet gdyby miała na to siły.

– Robotnik rzucił ziemią w jedną z naszych służących, a ty nie pozwoliłaś im go ukarać?! Stanęłaś w obronie bezdomnego, który nas poniżył?!

Hirka spojrzała na Skerri. Jej oczy były czarne jak atrament. Gniewne. Ale nic z tego, co mówiła, nie miało znaczenia. Służący. Domy. Kary. Płatki śniegu topniejące w zetknięciu z kamieniem.

– On nie jest mężczyzną. Jest... – Spróbowała sobie przypomnieć tę przerażającą twarz. Czerwoną gardziel, która dzieliła go niemal na dwoje. Nie miał zębów. Tylko spiczasty, czarny język. Uniosła dłoń do nosa, jakby chciała pokazać zdeformowaną narośl. – Nie ma nosa. Tylko jakby... dziób...

Przez chwilę wściekłość Skerri zmieniła się w dezorientację. Miała piękną, zimną twarz. Czarne usta i kły. Potwór. Wszyscy byli potworami. Świat był ich pełen.

– Widziałaś go?! – Skerri pochyliła się nad nią. – Oczywiście, że tak... Co ty takiego robisz, że wszyscy się przed tobą otwierają? Czym sobie zaskarbiasz ich względy?

Jej słowa zderzyły się z tym, co naprawdę myślała Hirka.

Względy? Jakie względy? Spotykał ją tylko ból. Wszystko, na czym jej zależało, rozpadało się na kawałki, a ona nic nie mogła zrobić, by to powstrzymać.

Skerri przesunęła ręką po jej mokrych włosach. Hirka nigdy nie sądziła, że ten gest może być tak groźny.

– To nie dlatego, że coś zrobiłaś. Jestem tego pewna. Ani nie dlatego, że coś w sobie masz. Oni wciąż wierzą, że ich uratujesz. Nie rozumieją, że już nas zawiodłaś.

– To nie ma znaczenia – odparła Hirka. – Urodziłam się w niewłaściwym miejscu. Jestem ślepa na ziemię. Już zawsze taka będę. Ziemia mnie nie chce.

Skerri zaśmiała się zimno.

– Właśnie o tym mówię! Jesienią mamy wkroczyć do Ym, a ty co nam przyniosłaś? Czym się do tego przyczyniłaś? Ponizaniem własnego domu? Nieobecnością? Gadaniem o ziemi? A teraz oplakujesz Ciemne Cienie! Rozpaczasz, bo jedyni, którzy mogli nam przeszkodzić, zginęli. – Wyprostowała się. – Miałaś być kimś, z kogo będziemy dumni. Kimś, za kim moglibyśmy pójść. Ale jesteś nikim. Jesteś nikim, prawda?

Hirka wstała. Spojrzała na stojącego przed nią potwora. Ale nie tylko Skerri była potworem. Hirka też. Od zawsze.

– Powiem ci, kim jestem, Skerri. Jestem córką Graala. Jego i bogowie raczą wiedzieć jakiej pięknej kobiety. Jestem jego i jej. Ale nigdy nie będę *twoja*.

Z twarzy Skerri opadła maska. Przez chwilę była tylko rozpaczą. Otwartą raną. Hirka patrzyła na nią i dostrzegła w niej odbicie samej siebie. Zrobiło jej się niedobrze od tego, co właśnie powiedziała. Położyła rękę na jej ramieniu.

– Nie chciałam... Skerri, są sposoby! On nigdy nie będzie mógł używać bram, ale ty możesz pójść do niego. Możesz zostać z nim u ludzi. Możecie...

Twarz Skerri wykrzywiła się z wściekłości. Ujawniła prawdę. I Hirka pojęła, że tej prawdy nikt inny nie zna. Spoglądała na martwo urodzoną. Usłyszała własny szept:

– On cię tam nie chce...

Skerri stała przed nią całkowicie obnażona. To Graal łączył ją z rodziną, ale ta więź dawno została zerwana.

Nagle Skerri chwyciła ją za gardło. Hirka spróbowała wciągnąć powietrze. Przerazenie ją sparaliżowało. Szarpnęła się. Poczowała szpony wbijające się w gardło. Ból promieniował do piersi.

– Twoje współczucie cię zabije – syknęła jej do ucha Skerri. – Mówisz, że ziemia cię nie chce? Nie dość mocno się starałaś!

Hirka się wyszarpnęła, ale traciła czucie w rękach. Zaczynała drętwieć. Była zatruta. Zamroczone. Jej ciało stygło. Zapadało się.

Rime...

To było ostatnie, co zobaczyła.

Zanim wszystko pociemniało.

Wilcze oczy.



Hirka usiłowała się obudzić. Wiedziała, że powinna. Musi.

Starła się oprzytomnieć. Pamiętała, że unosiła się nad ziemią. Na plecach. Niesiono ją. Niesiono! Co znaczyło, że była w niebezpieczeństwie. Przeszył ją strach.

Gdzie ja jestem?

Ciało było odrętwiałe. Senne. Zamrugła. Wyczuwała cienie w ciemności.

Skerri!

Próbowała machać rękoma, ale odmawiały posłuszeństwa. To było tak, jakby nie mogła ich znaleźć. Ktoś ścisnął ją mocniej. Głosy. Cicha, stłumiona rozmowa. Jakby była gdzieś zamknięta.

Gdzie?

Kopnęła. Tak jej się przynajmniej wydawało. Nogi też jej nie słuchały. Czowała się, jakby spała przez sto lat.

Ziemia. Pachniało ziemią. Puszczono ją. Upadła. Poczowała wstrząs, ale nie ból. Była żywym trupem.

Coś ciężkiego spadło na jej brzuch. I znowu. Było coraz ciężej. Ziemia posypała się na twarz. Panika przeszła ciało jak błyskawica. Krzyknęła. Ale z jej ust wyrwał się tylko świst. Niemy krzyk z koszmaru.

Zakopywali ją w ziemi. Żywcem. A ona nic nie mogła zrobić.

Hirka walczyła z własnym ramieniem.

Rusz się! Słyszysz?!

Poruszyło się. O coś uderzyło. Chwyliła to. Wyczuła kształt pod palcami. Kij. To był jej kij. Tu przy twarzy. Pociemniało jeszcze bardziej. Coś obciążęło jej rękę. Twarz wcisnęła się głębiej w ziemię. Kiedyś kochała ten zapach. Teraz ją dusił. Próbowała złapać oddech. Ziemia wypełniła jej usta. Spróbowała splunąć. Ale nie miała sił.

Wiedziała, że umrze. Strach ją zabije.

Spokój. Musiała się uspokoić. Odzyskać kontrolę. Krok po kroku. Spokojnie. Spokojnie.

Kij wciskał jej się w policzek. Stał wbity obok niej. Jak znak przy grobie.

Tutaj... Tutaj leży ta martwa dziewczyna.

Nie! Znaczył coś jeszcze. Coś ważnego. Powietrze!

Wstrzymała oddech. Zmusiła się, by przekreślić głowę. Nie otwierała oczu. Nie mogłaby ich otworzyć, nawet gdyby chciała. Przytłaczały ją masy ziemi. Ziemia jej słuchała. Wsłuchiwała się w bicie jej serca. Odbijała je jak echo.

Nie myśl.

Poczowała powietrze przy końcu kija. Było go tak niewiele. Spróbowała wciągnąć więcej.

Poczuła piasek w gardle. Rozkaszlała się. Nie było miejsca, by się obrócić. Żeby splunąć. Stłumiła szloch.

Spróbowała podciągnąć kolana. Na próżno. Ale teraz czuła stopy. Ból mieszał się z przerażeniem. Otulił ją mgłą. Poruszyła palcami. Dłonią.

Ja żyję!

Hirka wcisnęła palce w ziemię. Spróbowała się unieść. Coś ustąpiło. Może ona. Może ziemia. Szarpnęła głową ku górze. Jak roślina. Czuła palący ból w karku.

To tak miała umrzeć? Urywki myśli przebiły się przez panikę. Była nasionkiem. Kielkiem w ziemi. Zarodkiem w jajku. Była uduszona. Dojrzała. Nowa.

Była jak Naiell. Naiell, który wyczołgał się z ciała kruka. W szklarni w Yorku. Kruk. Najpierw był kruk. Kruki były pierwsze. Evna była oddechem kruka.

Hirka krzyknęła, ale ziemia zdusiła jej głos. Chwyciła koniec kija. Wciągnęła powietrze. Ucisk w płucach zelżał.

Głosy. Dłonie. Pomoc. Ktoś jej pomagał!

Serce tłukło się w piersi. Krew szumiała w uszach. Będzie żyła.

Jej głowa przebiła się na powierzchnię. Ręka. I druga. Wykopywała się. Unosiła. Kielkujące nasiono.

Stała na czworakach. Ktoś ją przytrzymał. Puścili ją. Oparła kij o ziemię i podźwignęła się na kolana. Spojrzała w twarz, którą kiedyś już widziała, i zrozumiała, gdzie jest. Ten mężczyzna tu pracował. W grotach. Rzucił grudką ziemi w Oni.

Skręcił jej się żołądek. Zwymiotowała błotem. Pluła piaskiem. Była lepka. Miała wilgotne ubranie.

Jej ciało żyło. Ale czy ona żyła?

Hirka się uśmiechnęła. Piasek zachrząścił między zębami. Stojący przed nią mężczyzna się cofnął. Nie był sam. Zbiegło się więcej robotników. Stali między rzędami roślin i wpatrywali się w nią. Wyczołgała się z grządki i wstała.

Żaden z nich nie miał odwagi nic powiedzieć. O nic zapytać.

Minęła ich wszystkich i wyszła z groty.

Wiedziała, dokąd powinna się udać. Wiedziała, co musi zrobić.



KRUCZY ORSZAK

Hirka szła zaułkiem opadającym w stronę domu Widzącego. Zbliżał się świt, ale wciąż było ciemno. Między skałami wysoko nad jej głową widać było niebo usiane milionami gwiazd. Było ich więcej niż Umpiri, ludzi i ætlingów razem wziętych. Świat był taki nieskończenie wielki, o tyle większy od istot, które w nim żyły.

Szum morza zagłuszył szelest skrzydeł, ale widziała kruki. Czarne kształty, które w locie zasłaniały gwiazdy. Trzymały się blisko. Zawsze trochę przed nią, tak jak kiedyś Kuro. Były jego cieniami. Cieniami wszystkich, których straciła.

Jakaś jej część dziś w nocy umarła. Razem z Lindrim. Z Ciemnymi Cieniami. Ze Svarteldem. Razem z ojcem. Stała jedną nogą w Sloknie i tak będzie już zawsze. Zawieszona między światami. Między życiem a śmiercią. A teraz między dobrem a złem.

Zardzewiałe drzwi otworzyły się z przeciągłym jękiem. Weszła do środka. Usłyszała, że kruki siadają na schodach na zewnątrz. W jaskini panowała nocna cisza. Kapało ze sklepienia, jakby ktoś płakał w ciemności. Odstawiła kij pod ścianę i po omacku podeszła do paleniska. Zaczęła rozpalać ogień. Martwe zwierzęta dotrzymywały jej towarzystwa. Przyglądały jej się z półek.

Po chwili usłyszała, że się zbliża. Jego szata zaszeleściła na schodach za jej plecami.

– Nie unosź się gniewem – powiedziała Hirka, poruszając polanem, by porządnie zajęło się ogniem. – Nie przynoszę ci współczucia. Już z tym skończyłam.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Nie zasłaniał się szatą. Kaptur leżał na ramionach. Jego twarz była koszmarem. Pół mężczyzna, pół kruk. Ale teraz nie wydawał jej się już taki przerażający. Może to był tylko szok. A może ona nie była już taka sama.

– Okłamałeś mnie – stwierdziła.

Zasznurował szatę. Przyglądał jej się, na przemian ze złością i z troską. Nie dbała o to. Skończyła już ze skradaniem się na palcach. Z wiarą, że jeśli tylko wszystkich zadowoli, nadejdzie pomoc.

Jej ubranie było brudne i wilgotne, ale wiedziała, że Widzący nie zapyta dlaczego. Zdjęła buty i postawiła je przy ogniu.

– Powiedziałeś, że już się urodziłam. Że nic nie mogę na to poradzić. Ale to nieprawda. Można urodzić się na nowo. Widziałam to na własne oczy. Naiell urodził się z ciała kruka. W świecie innym niż ten. Mogę zrobić to samo. I *zrobię* to. A ty mi w tym pomożesz.

Stał przez chwilę i milczał. Potem pokuśtykał do wiaderka z wodą, napełnił dzbanek i postawił go na skraju paleniska, obok jej butów.

– Wiedziałeś o tym. Wiedziałeś, że to możliwe. Powinieneś był mi powiedzieć.

Potrząsnął głową, by przestała mimowolnie drgać. Miał płaskie, cofnięte czoło. Ptasią czaszkę.

– Cokolwiek z tobą zrobili, to, o co prosisz, jest gorsze. Narodziny z kruka? Ty, która nie masz nawet czystej krwi? W najlepszym przypadku cię to zabije. W najgorszym sss... skończysz tak jak ja.

– Dość! – Hirka podeszła do niego. – Dość kłamstw! Mam uwierzyć, że chcesz mnie oszczędzić? Nic dla ciebie nie znaczę! Trzymałeś język za zębami ze względu na siebie. Sam powiedziałeś, że mam wszystko, czego potrzebuję, z wyjątkiem Evny. Potrafię ją kształtować, potrafię znieść jej siłę. To, że boisz się mieć nadzieję, mnie nie powstrzyma. Urodzę się na nowo.

Nasypał liści herbaty do dzbanka i postawił go na stole. Usiadł na ławie.

– Czyli wierzysz, że urodzisz się z kruka w krainach Ym? Że urodzisz się tam, gdzie jest Evna i będziesz mogła czerpać?

Hirka usiadła naprzeciw niego.

– Teraz już nie wierzę. Ja to wiem.

To była prawda, lecz nie bez zastrzeżeń. Ale ta część jej, która była pewna, zdusiła tę drugą. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze ścigała Evnę. Czuła ją przez Rimego. Czuła jej moc. Pierwotną siłę, która zburzyła ściany w sali rytuału. Evna była jej częścią. Tak samo jak krew w żyłach. Zawsze w niej była. I na zawsze miała w niej pozostać.

Nalał herbaty do filiżanki.

– Ja też sss...sądziłem, że wiem. Wyglądam, jakbym miał rację?

Hirka odchyliła się do tyłu.

– Naprawdę? Użalanie się nad sobą? To chcesz mi dać?

Wpatrywał się w nią. Jedno oko było przymknięte i osadzone trochę niżej niż drugie. Niedokończony dzieło. Wydał z siebie skrzypiący dźwięk, jak stare drzwi.

– Jak myślisz, dlaczego Dreyri mają władzę na Dreysíl? Co czyni z nas rządzącą mniejszość w świecie, w którym nikt nie chce być rządzony? Tak, dużo się mówi o tym, że nie mają sss...sobie równych. Siła, brutalność i władza. Ale myślisz, że różnica tkwi w ciele? – Wskazał na półkę za jej plecami. Na martwe istoty za szkłem. – Jeśli rozetniesz ciało Dreyri i Umpiri, to czy będą się od siebie różnić. Nie, jesss...steśmy tacy sami.

Władza tkwi w głowie. Dreyri są wychowywani na lepszych i tacy pozostają.

– A zimno? Lepiej je znosicie. Wiele razy to widziałam. Skerri może chodzić półnaga w śnieżycy!

– Możliwe... – Spojrzał na nią. – A może od chwili, gdy się urodziła, mówiono jej, że może więcej znieść. – Podsunął jej herbatę. Miał czarne, szorstkie dłonie. Jakby zwęglone. Nienaturalnie długie palce zacisnęły się na filiżance. – Jediną prawdziwą różnicą jest łaska pierwszych. Dreyri mogą związać się z krukiem i przybrać jego postać. Ten dar kosztuje więcej, niż jesteś w sss...stanie sobie wyobrazić. Nawet najlepsi z nas robią to tylko raz w całym swym długim życiu. A ty o to prosisz. Bo sądzisz, że możesz cofnąć coś, co stało się naszym upadkiem. A może myślisz, że dzięki temu staniesz się na tyle silna, by ochronić swój ojczysty kraj?

Hirka nie odpowiedziała.

Machnął ręką, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

– Nawet gdyby to było możliwe z twoją mieszaną krwią, i tak potrzebowałabyś łaski jednego z pierwszych kruków. A ty nie masz nawet kruka, by go o to poprosić.

– Dziób wystarczy?

Jego zdeformowana górna warga się uniosła. Zapewne miał to być uśmiech.

– A masz go?

– Będę miała. Ale muszę zabić, żeby go zdobyć.

– No cóż, nie ty pierwsza.

Nie zrozumiał jej, ale nie sprostowała tego. Może i niektórzy zabijali dla tych dziobów. Wątpiła jednak, by zabijali tych, których kochali. A to właśnie musiała zrobić. W każdym razie musiała sprawić, by uwierzył, że umrze.

– Nie pijesz herbaty?

Potrząsnęła przecząco głową. Wzruszył krzywym ramieniem i odebrał jej filiżankę. Wlał sobie napój do czerwonej gardzieli.

– No to jak będzie, Widzący?

Wstał.

– Jak myślisz, co by powiedziała twoja rodzina, gdybym pomógł ci w czymś, co cię może zabić? Zwłaszcza że nie masz żadnego powodu, by sądzić, że ci się uda? Nie masz kruka, nie masz czystej krwi, nie masz...

Hirka wstała. Nie była zdolna go dłużej słuchać. Miała już dość wątpliwości. Dość strachu. Wyszła na korytarz i otworzyła drzwi.

– Hedra! – zawołała w ulicę.

I przybyły. Kruki przelatowały obok niej. Muskały skrzydłami jej włosy. Ruszyła za nimi do Widzącego. Było ich wiele, ale żaden nie krzyknął. Zatoczyły krąg. Usiadły pod

sklepieniem. Na stole. Na półkach. Ich pazury szurały o drewno i kamień.

– Nie mam kruka. Mam ich wiele. Zapytaj je o to.

Spojrzał na nią i uczynił znak Widzącego. Wydało jej się to dziwne. Naiell nie wymyślił nawet tego. Znak był od niego starszy. To był znak kruka.

Widzący stał przez chwilę z zamkniętymi oczami. Jakby się wahał. Albo przysłuchiwał. Potem wysunął szufladę z jednego z regałów. Podał jej zapieczętowaną buteleczkę, mniejszą niż jej dłoń.

– Połowę wypij dzisiaj. Resztę za osiem dni. To dopiero początek.

– Co to jest? Krucza krew?

– Nie. Na to przyjdzie pora później. – Spuścił wzrok. – Skoro ci pomagam, mogę również prosić cię o przysługę? Przybyłaś tu z jego sercem. Mogę je zobaczyć?

Hirka kiwnęła głową.

– Jest w domu Hod, ale zobaczę, co da się zrobić.

Wsunęła buteleczkę do kieszeni. Położył sękatą dłoń na jej ramieniu.

– Hirko... chyba rozumiesz, że już przegrałaś? Nawet jeśli dostaniesz się do Ym i narodzisz się z kruka. Nawet jeśli odnajdziesz Evnę i utrzymasz jej tyle, ile myślisz, że zniesiesz... I tak nigdy nie będziesz w stanie naprawić tego, co zniszczył. Takiego przyływu Evny nigdy nie znajdziesz.

Przyływ Evny...

Mylił się. Hirka przypomniała sobie słowa Graala. O drzewie, które stworzył Naiell, zbudował je z krwi tysięcy poległych. Jego słowa były echem z Ym. Szeptem z sal widzącego. Ponurą prawdą o tym, dlaczego Evna wezbrała tak potężnie. Skąd wzięła się moc, by pokonać ślepych. Napisano to czarno na białym w Księdze Widzącego.

I drzewo wyrosło ku niebu, czarne jak krew i potężne dzięki wszystkim tym, którzy oddali życie.

Poczuła, że uśmiecha się zimno.

– Zapominasz o jednym, Widzący. Nic nie żywi Evny tak jak krew. A nadciąga wojna. I zostanie przelane więcej krwi niż przez ostatnie tysiąc lat.



ŻYWA

Kruki towarzyszyły jej przez całą drogę. Słyszała szum ich skrzydeł. Gdy dotarła do domu, usiadły na lodowej pokrywie. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Szmer głosów w jednej chwili zamarł. Natychmiastowa, pełna skupienia cisza. Wiedziała, że się obudzili, a jej nie było. Teraz usłyszeli, że weszła.

Korytarz wydawał jej się bardziej przytłaczający niż wcześniej. Kiedyś złobienia w ścianach przypominały jej odwróconą łódź. Teraz, gdy na nie patrzyła, kojarzyły jej się z robakiem.

Oni i Skilborr wyszli jej na spotkanie. Nie udało im się ukryć reakcji. Oni pierwsza odnalazła się w sytuacji. Zdjęła Hirce płaszcz. Spytała, czy jest ranna. Czy się przewróciła. Dlaczego ma piach we włosach. Dlaczego pobrudziła ubranie.

Hirka nie odpowiedziała. Przeszła korytarzem do głównej sali, skąpanej w błękitnym świetle wpadającym przez lód. Naprawdę kiedyś sądziła, że odnajdzie tutaj ciepło?

Raun i Skerri siedzieli naprzeciw siebie przy długim stole i grali w jakąś grę planszową. Jakby musieli czymś zająć myśli. Hirka wiedziała, że Skerri lubi grać. Ale nikt nie lubił grać ze Skerri.

Na jej widok oboje wstali.

Raun podszedł do niej, ale coś sprawiło, że się zawahał. Jeszcze wczoraj szukałaby oznak troski w jego oczach. Ale tak było kiedyś. Wtedy, gdy jeszcze tego potrzebowała.

– Ty krwawisz... – Raun dotknął palcami swoich ust.

– To nie moja krew.

Hirka spojrzała na Skerri. Martwo urodzona stała napięta jak cięciwa łuku. Czekala na wybuch. Na oskarżenia. Hirka zgadywała, że od dawna ma gotową obronę. Wiedziała, że Hirce uda się przeżyć? Może uznała, że szanse są pół na pół? A może poniósł ją tylko temperament? Pewnie chciała ją jedynie poniżyć.

Właściwie to nie miało żadnego znaczenia.

– Gdzie byłaś? – Raun wydawał się zmęczony. Upiął czerwone włosy w węzeł na karku, najwyraźniej wybierał się do sal treningowych.

– Raun, muszę porozmawiać ze Skerri w cztery oczy – odparła Hirka, nie odrywając od niej oczu.

Uniósł rękę, jakby chciał ją położyć na jej ramieniu. Powstrzymał się. Oblizął usta, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale tego też nie zrobił. Skinął głową i wyszedł.

Jeśli komuś w tej rodzinie na niej zależało, to właśnie Raunowi. Ojcu jej ojca. Hirka widziała to w jego oczach. Dała mu coś. Coś więcej niż status. Byłby wściekły, gdyby się dowiedział, co zrobiła Skerri. Ale czy na tyle, by ją wygnać? Kobieta, która miała władzę nad martwym krukiem i dostępem do Graala?

Bynajmniej. Ale Raun i tak o niczym się nie dowie.

Hirka zignorowała pulsujący ból w łydce i podeszła do Skerri. Martwo urodzoną to wyraźnie zaskoczyło. Cofnęła się o krok i potknęła o ławę. Opadła na nią ciężko, plecami do stołu. Pionki przewracały się na planszy. Hirka się pochyliła. Oparła ręce o stół po obu stronach Skerri.

– O tym, co zrobiłaś, wie już wiele osób – powiedziała Hirka, nie poznając własnego głosu. – I jeśli coś się stanie mnie albo komuś, na kim mi zależy, następnym sercem, jakie dam w prezencie, będzie twoje. Rozumiesz, co mówię?

Oczy Skerri zmieniły się w białe szparki.

– Nic mi nie możesz zrobić, zasłużyłaś sobie na to. Nikt ci nie uwierzy.

Hirka pochyliła się nad nią tak, że ich policzki prawie się dotykały. To było wyzwalające uczucie, być tak blisko wroga. Tak blisko kogoś, kto chciał jej zrobić krzywdę. Odurzyło ją to.

– Nie czujesz mojego strachu – szepnęła. – Prawda, Skerri?

Skerri nie odpowiedziała. Hirka wpatrywała się w jej białe oczy.

– Ale wiesz co? Ja czuję twój...

W oczach Skerri zakłębiła się czern. Tylko tego potwierdzenia Hirka potrzebowała.

Puściła stół i się wyprostowała.

– Nie muszą mi wierzyć, Skerri. Znajdzie się wielu innych, którzy im to powiedzą. Niektórzy są gotowi dla mnie kłamać, jeśli zajdzie potrzeba. Taka jest różnica między tobą a mną. Sądzisz, że jestem słaba. Ale nie jestem sama. I zapewniam, że cię zniszczę, jeśli będę musiała. – Hirka delektowała się siłą własnych słów. Władzą, jaką jej dawały. Czowała się wyższa. Silniejsza. Gniewna. Cudownie kompletna. – Potrzebuję tylko powodu. Daj mi najdrobniejszy powód, a powiem Graalowi, że próbowałaś przerwać jego linię. Myślę, że nie będzie wchodził w szczegóły. A ty?

Skerri przełknęła.

– Nic nie powiesz Graalowi beze mnie. Bez mojego kruka.

Hirka przekrzywiła głowę.

– Myślisz, że go potrzebuję? Naprawdę sądzisz, że rozmowy z Graalem są dla mnie ważniejsze niż dla ciebie? Jeśli o mnie chodzi, to może sobie zgnić. To *ty* go potrzebujesz. Bez niego jesteś nikim. Ale w porządku, na początek mogę powiedzieć Raunowi. Na pewno chciałby się o tym dowiedzieć.

Hirka odwróciła się, żeby odejść.

– Czekaj!

Przystanęła. Czekala na kapitulację.

Skerri wstała.

– Czego chcesz?

Hirka podniosła jeden z przewróconych pionków i odstawiła go na planszę.

– Dowiesz się w swoim czasie.

Skerri odrzuciła czarne warkocze.

– Jeśli myślisz, że próbowałam cię zabić, to jesteś głupsza, niż sądziłam. Dostałaś kij, prawda? Wiedziałam, że nic ci się nie stanie. Wiedziałam, że się zbiegną, jeśli...

– Wiesz, że ludzie nie palą swoich zmarłych – przerwała jej Hirka. – Nie oddają ich też krukowi. Robią coś o wiele gorszego. Zakopują ich. Pozwalają im gnić w ziemi jak ofiarom zbrodni. Może myślisz, że ten grób był dla mnie, ale tak naprawdę wykopałaś własny grób, Skerri. Kiedy ta wojna się skończy i zostaniemy wyniesieni do rangi drugiego domu, co się wtedy z tobą stanie? Kiedy ja, Hirka, córka Graala, syna Rauna z domu Modrasme, zwrócę Umpiri Evnę... Kto będzie wtedy decydował, czy jest tu dla ciebie miejsce?

Skerri zmierzyła ją wzrokiem. Nic nie świadczyło o tym, by zamierzała odpowiedzieć. Ale Hirka chciała usłyszeć jej odpowiedź. Uderzyła kijem w podłogę.

– Kto, Skerri?!

Usta martwo urodzonej drżały z wściekłości.

– Ty...

Hirka uśmiechnęła się krzywo. Ponownie się odwróciła.

– Sądziłam, że nie chcesz tej wojny – odezwała się Skerri za jej plecami.

– Wręcz przeciwnie. *Potrzebuję* jej.

Hirka wyszła na korytarz. Przystanęła, czekając na dźwięk, którego się spodziewała. I doczekała się. Cudowny odgłos pionków sypiących się na podłogę.



SILNE SERCE

Hirka położyła płaszcz na lodzie i usiadła na nim. Kawałek dalej przy krawędzi siedział kruk i coś dziobał. Poza tym była sama na szczycie Ginnungad. Miasta wokół krateru. Miasta z lodu i skał.

W Ym zawsze czuła, że życie ma tylko dwie strony. Że można zaliczać się do tych, którzy mają, albo do tych, którzy nie mają. Na Dreysíl istniały tysiące pośrednich stanów. I może tak było lepiej. Może to dawało wszystkim większą nadzieję. Złudzenie, że coś lepszego jest w zasięgu ręki. Albo to właśnie idea, że może być lepiej, popychała ich do wojny. Hirka nie była pewna.

Kiedys postrzegała wojnę jak falę. Ścianę śmierci, która toczyła się w jej stronę. Zawsze chodziło o to, by ją powstrzymać. Usiłowała znaleźć rozwiązanie, które sprawi, że wojna okaże się niepotrzebna. Szukała sposobu, by podzielić się Ewną. Uleczyć ją, by wszyscy mogli żyć w pokoju. Zupełnie jakby istniało coś, co mogło sprawić, by lud, który zasmakował krwi, żył w pokoju.

Nie. Tej fali nie da się zatrzymać. Potoczy się dalej. Musiało się tak stać. Potrzebowała jej. Wkroczą do Ym równocześnie, ona i wojna. Śmierć nie przychodziła do niej, lecz kroczyła razem z nią. Jak towarzyszka. Musiały zaakceptować się nawzajem.

Nie zamierzała jednak akceptować zagłady. Ciemne Cienie nie stanowiły już liczącej się siły. Nie mogły uratować Ym przed martwo urodzonymi. Zamierzała więc stworzyć własną siłę. Umpiri nie przetoczą się jak burza przez wszystkie krainy. Natrafią na opór, ona o to zadba.

Szkatułka leżała na jej kolanach, ciężka i chłodna. Wieko lśniło miką. Otworzyła ją i spojrzała na serce Naiella, do połowy zanurzone w lodzie. Musiała uważać, by nie stopniał, póki nie odniesie szkatułki z powrotem do domu Hod. Nie żeby tutaj należało się tym martwić. W tym miejscu właściwie nic nie topniało.

Za każdym razem, gdy otwierała wieko, dostrzegała coś nowego. Coś nowego czuła.

Za pierwszym razem zareagowała tak, jak powinien zareagować każdy. Odrazą. Rozpaczą. Smutkiem. To była jedyna naturalna reakcja. Jedyna właściwa. Po jakimś

czasie zaczęła popadać w odrętwienie. Zobojętniała, jakby to jej już nie dotyczyło.

Serce było takie samo. To ona się zmieniła.

Dręczyło ją to, ale teraz rozumiała tę potrzebę wszystkich, by oglądać to serce. Rozumiała ich wściekłość. Ich żądzę zemsty. W tej chwili chętnie zamieniłaby to serce na inne. Skerri. Za to, że pogrzebała ją żywcem. Darkdaggara, bo zabił Lindriego i wymordował Ciemne Cienie. Damayanti. A może nawet na serce Graala, własnego ojca. Bo zrobił z Rimego niewolnika.

Co oznaczał ten gniew? Ta gotowość, by pogodzić się ze śmiercią? W końcu stała się jedną z nich? Dreyri? Na tyle, by urodzić się z kruka? Na tyle, by odnaleźć Evnę?

Kruk zerknął na nią i dalej szarpał ścierwo jakiegoś ptaka, który miał mniej szczęścia.

Hirka przesunęła palcami po sercu Naiella.

– Zobacz, co zrobiłeś. Wiedziałeś, ile w ten sposób zniszczysz? Wiedziałeś, że skazujesz światy na powolną śmierć? Skazałeś nie tylko swojego brata, ale też nieskończenie wiele istot.

Zbrodnia wojenna. Krzywda sprzed tysiąca lat. Teraz konsekwencje spoczywały w jej rękach. Jej, która zawsze bała się innych. Ale w tym mieście stała już przed dziesiątkami tysięcy. Ona, która zawsze walczyła ze śmiercią. Teraz była od niej zależna. Potrzebowała jej, żeby – być może – wszystkich uratować. Naprawić ten jeden, jedyny czyn: zdradę brata.

To było niesprawiedliwe.

Kiedyś za dużo czuła. Ciężar świata zawsze ją przytłaczał. Ale już tak nie jest. Wyczołgała się z ziemi, ale miała wrażenie, jakby wiele rzeczy tam zostało. Tak wiele, by jej serce mogło znieść to, co musiała zrobić. Tak jak kiedyś serce Naiella.

Jak daleko była gotowa się posunąć? Czy poświęciłaby Rimego, by wszyscy inni mogli żyć? Żeby światy ocalały?

Nie!

Wydobędzie dziób z jego szyi. Odbierze go Graalowi. Dopiero wtedy będzie wolna, by móc zrobić to, co zechce. Dopiero wtedy nikt nie będzie miał nad nią władzy. I jeśli jej się uda, będzie miała dziób jednego z pierwszych kruków. Kruka, który pozwoli jej się urodzić na nowo. Narodziny z kruka. Jeśli ma wszystko, co jest do tego potrzebne.

Jeśli... Może... O ile...

Zbyt wiele „może”.

Nie mogła jednak zwlekać tylko dlatego, że wszystko wydawało się niepewne. Gdyby zaczęła myśleć, co może pójść nie tak, nie byłaby zdolna do działania.

Wyjęła z kieszeni buteleczkę, którą dostała od Widzącego. Wypiła resztę jej zawartości. Krew ślepych wymieszana z czymś słodkim i korzennym. Z czymś dobrym, co miało ją

przygotować na ból. Na to, co nadejdzie.

Hirka wzięła serce do ręki. Poczowała jego ciężar.

– Stanę się taka jak ty – powiedziała. – Będę zdrajcą. Tą, która poszczuje na siebie ślepych, poszczuje tych, którzy nic nie mają, na tych, którzy mają wszystko.

Upadli i bezdomni będą jej Ciemnymi Cieniami.

Odłożyła serce i zamknęła szkatułkę. Wstała, sięgnęła po płaszcz i strzepnęła go. Lód rozciągał się wokół niej jak zamarzniete jezioro. Bezkresny. Pełen ran i blizn. I z ziejącą przepaścią sięgającą aż do Slokny.

Podeszła do krawędzi, by zejść na dół. Kruk odskoczył od jedzenia. Hirce mignęło coś znajomego. Przykucnęła, by lepiej się temu przyjrzeć. To był szary ptaszek z błękitnym podgardlem. Jedna z żywych latarni. Sama wypuściła go z klatki.

Wstała.

Tak już jest. Ktoś zginie, ktoś przeżyje. A ona będzie tego przyczyną, czy tego chce, czy nie.



NARODZONA Z KRWI

Hirka odepchnęła od siebie kij, ale seria ciosów Skerri zmusiła ją do wycofania. Kije uderzały o siebie z taką siłą, że cierpły jej ręce. To uczucie było intensywniejsze niż ból w łydce – dobry znak. Z nogą było coraz lepiej. Przynajmniej przestała odmawiać jej posłuszeństwa w najmniej odpowiednich chwilach.

Trudno byłoby nazwać Skerri ostrożną, ale coś się zmieniło. Jakby nie szukała już powodu, by ją zniszczyć. Hirka nie miała złudzeń, że wynika to z troski. Ani ze strachu, choć zagroziła martwo urodzonej. Nie, chodziło o coś innego. Czowała, że Skerri ją zaakceptowała, aczkolwiek niechętnie.

Martwo urodzona częściej obserwowała, niż zadawała ciosy. Bardziej skupiała się na powtórzeniach niż na manewrach, które miały zmylić przeciwniczkę. Dwa razy Hirka była bliska tego, by ją trafić, i w obu przypadkach Skerri kiwnęła głową. Spontaniczny gest wyrażający uznanie.

Gdyby coś takiego wydarzyło się podczas poprzedniej pełni, Hirka z trudem powstrzymałaby łzy. Teraz było jedynie dowodem, że to działa. Zachowywanie się tak jak oni. Właściwie nie została zaakceptowana. Skerri dostrzegła w niej jedynie coś, co potrafiła uszanować. Tę część, która była Dreyri.

Od czasu tamtych wydarzeń Skerri nie wspomniała o niczym ani słowem. Ani o grobie, ani o późniejszym wybuchu Hirki. O jej wściekłości. Groźbach. Nawet o szantażu. Hirka nie czuła się dumna z tamtej chwili w swoim życiu, ale najwyraźniej Umpiri coś takiego odpowiadało.

I to właśnie dostaną.

Hirka schyliła się i dosięgła kijem kolano Skerri. Ugięło się pod nią, ale utrzymała się na nogach.

– Hej?! – warknęła Skerri. Wydawała się zdezorientowana, jakby dopiero po chwili dotarło do niej, że została trafiona.

Hirka ją zignorowała. Nacierwała dalej, póki miała szansę. Żelazne obciążniki na rękach ją spowalniały, ale zadała serię krótkich, szybkich ciosów, spychając niepokonaną dotąd

martwo urodzoną poza krąg. Hirka z trudem łapała oddech. Nie rozumiała, co się właśnie stało. Ale zaraz zobaczyła, że pozostali też kończą walkę. Po prostu nie usłyszała wołania Rauna.

Już miała wydusić z siebie jakieś przeprosiny, ale podszedł do nich Grid. Odrzucił do tyłu jasne włosy i brzęknęły paciorki na rzemyku, świadczące o jego zwycięstwach. Już wkrótce, podczas następnego turnieju, zamierzał zdobyć szósty. Spytał Skerri, jakie ma plany na dziś.

Hirka zostawiła ich samych. Nie chciała po raz kolejny być świadkiem tego, jak Skerri go zbywa. Weszła do zbrojowni i odstawiła kij pod ścianę. Otarła pot ręcznikiem, włożyła sweter. Nie zdejmowała skórzanych pasów. Śpieszyło jej się do Widzącego. Później będzie musiała się przebrać.

Narzuciła płaszcz i nasunęła kaptur. Obciągnęła rękawy swetra, by zasłoniły obciążniki na rękach. Zaczęła od tych najlżejszych, ale szybko zamieniła je na cięższe. Sięgały jej prawie do łokci. Stały się częścią niej. Zdejmowała je tylko wtedy, gdy kładła się spać. Lubiła je nosić. Jej przedramiona wyglądały wtedy, jakby były z żelaza. Można było je zarysować, ale nie zniszczyć.

Zarzuciła worek na plecy i schyliła się po szkatułkę z sercem Naiella. Wciąż była zimna. Izolowana evnoszkłem. Musiała być warta ze dwadzieścia koni. Gdyby ich tutaj używano.

Wyszła tunelem na ulicę i ruszyła w stronę morza. Sama. To również się zmieniło. Oświadczyła, że nie chce, by wszędzie towarzyszyli jej służący. Nie musiała nawet nalegać. Wystarczyło, że powiedziała „nie”.

W miarę jak się zbliżała do jaskini Widzącego, szkatułka wydawała się coraz cięższa. Już niejednemu pokazywano to serce, ale Hirka wciąż czuła się nieswojo, patrząc na reakcje tych, którzy je oglądali. Coś się wtedy z nimi działo. Zmieniali się w zwierzęta. Ich górna warga się unosiła, jakby powąchali zepsute mięso. Odslaniali kły. Zwłaszcza ci, którzy byli na tyle starzy, by pamiętać wojnę.

Ale Widzący powiedział, że chce je zobaczyć, i jeśli na tym mu zależało, była gotowa się dostosować. Była skłonna zrobić więcej, niż przypuszczał.

Pozwolić im pozabijać się nawzajem?

Zapukała do żelaznych drzwi, które pokryły się rdzą za sprawą czasu i morskiego powietrza. Pomyślała o tym, że choć jest Widzącym, kimś w rodzaju uzdrowiciela, tak jak ona, nigdy nikogo tu nie spotykała. Umpiri nie chcieli przecież przyznać, że potrzebują pomocy.

Zapalił dwie latarnie w korytarzu. Zakładała, że to ze względu na nią. A może chciał w jakiś sposób uczcić to, że przyniosła serce.

W głębi jaskini było ciemniej. Na palenisku nie płonął ogień. Trochę dziennego światła

wpadało przez uchylone drzwi do pomieszczenia, którego część ścian runęła, odsłaniając widok na morze. Ale nawet ono wydawało się stłumione. Jakby na coś czekało.

Hirka podeszła do stołu. Postawiła na nim szkatułkę i wyszła. Widzący stał na krawędzi. Zgarbiony, z kapturem naciągniętym na głowę. Jakby próbował się obronić przed stalaktytami zwisającymi ze sklepienia jak sztylety.

– Przynieś misss...skę – powiedział.

Hirka się rozejrzała. Miska stała w kącie na trójnogim stołku. Sięgnęła po nią i mu przyniosła. Zawartość była czerwona. Gęsty płyn poruszał się powoli.

– Wypij to. Zobaczymy, ile minie czasss...su, zanim zwymiotujesz.

Hirka starała się ukryć obrzydzenie.

– Po co mam pić, jeśli i tak zwymiotuję?

– Będiesz robić to codziennie, *dopóki nie zwymiotujesz*.

Nie spytała, ile dni według niego to jeszcze potrwa. Odpowiedź prawdopodobnie by się jej nie spodobała.

– A co się stanie, jeśli nie zwymiotuję?

– Dowiesz się w swoim czasie...

Uniosła miskę do ust.

– To drogi płaszcz?

Jego pytanie wiele mówiło o tym, czego mogła się spodziewać. Odstawiła miskę na podłogę i zdjęła płaszcz. Jeden rękaw swetra się podwinął.

– Żelazny obciążnik? – Zadał to pytanie w taki sposób, że była pewna, iż uniósł przy tym brwi. To znaczy uniósłby je, gdyby je miał.

Wzruszyła ramionami.

– Mówiłeś, że Naiell był silny. Że to dlatego mógł splatać Evnę i nie połamał sobie przy tym rąk. Jeśli to ma pomóc, będę używać obciążników. – Znów uniosła miskę.

– Ach, o to ci chodzi... – Zabrzmiało to tak, jakby sądził, że kłamała. – A ja myślałem, że karzesz sss...samią siebie. Ale do tego nie potrzebujesz żelaznych obciążników, zapewniam cię.

Udała, że nie słyszy, choć te słowa były tak prawdziwe, że sprawiły jej ból. Uniosła miskę do ust. Próbowwała nie zwracać uwagi na zapach. Wypiła. Szybko, żeby nie poczuć smaku. Skręcił jej się żołądek. Zgięła się w pół. Upuściła miskę na podłogę i wychyliła się nad krawędź. Krew podeszła jej do gardła. Trysnęła z niej równie szybko, jak Hirka ją wypić. Czerwona struga rozdzieliła się na kropelki i wpadła do morza daleko w dole. Widzący przytrzymał Hirkę, żeby nie spadła.

Smak był intensywny. Wypełnił ją brudną stalą. Oparła ręce na udach. Trzęsły jej się łokcie.

Widzący schylił się po miskę.

– Tak jak mówiłem, nie potrzebujesz obciążników, i bez tego sss...sama siebie karzesz.

Hirka oddychała płytko, dopóki nie minęły mdłości. Wciąż czuła pieczenie w gardle i nosie. Drżały jej usta.

To coś więcej niż krew.

Wyprostowała się. Powoli, na próbę. Czuła, że zawiodła. Że zwymiotowała za szybko. Ale nic nie powiedział. Pokuśtykał tylko z powrotem do drzwi. Hirka sięgnęła po płaszcz i ruszyła za nim w ciemność. Po omacku podeszła do stołu i podsunęła mu szkatułkę. Zawahał się. Przystanął kawałek dalej.

Rozejrzała się.

– Możemy zapalić jakąś latarnię albo...

– Nie! – zawołał. W jego głosie słyhać było niemal panikę. – Nie... nie trzeba – dodał już spokojniej i podszedł do stołu. Położył czarne długie palce na wieku. Kciuk był odchyłony w drugą stronę. Zakrzywił się na brzegu szkatułki.

Krucze szpony.

– Mogę ją zatrzymać do jutra?

Hirka potrząsnęła przecząco głową. W domu Hod strzeżono tej szkatułki jak skarbu. Nie mogła jej tutaj zostawić.

– Nie... – powiedział cicho. – Spodziewałem się tego.

Nie chce, żebym go widziała...

Uniósł wieko. Hirka skrzyżowała ręce na piersi i przygotowała się na odgłosy rozkoszy. Zawsze tak było. Jakby to samo wieko wzdychało. A Widzący miał więcej powodów, by nienawidzić Naiella, niż ktokolwiek, kogo tu poznała. Tysiąc lat w kalectwie. Zastygł w straszliwej postaci pomiędzy mężczyzną a krukiem, bo Naiell w jednej potwornej chwili wyszał Evnę.

Nie usłyszała żadnego dźwięku. Żadnych słów. Patrzyła na jego krzywą postać. Ciemniejsza czerń w ciemnym pomieszczeniu. Pochylił głowę. Jego ramiona zaczęły drżeć. Osunął się, jakby ugięły się pod nim kolana.

Hirka obeszła stół i podtrzymała go. Musiała podprowadzić go do ławy. Pisnął. Pomyślała, że nie może oddychać.

Dopiero wtedy zrozumiała, że płacze.

Spróbowała odsunąć szkatułkę, ale jego dłoń zakleszczyła się na krawędzi. Uniosła obciążoną żelazem rękę i dotknęła jego pleców. To był szok. Jego łopatki pod szatą były nierówne i sękate. Bardziej niż sądziła. Sterczały jak...

Jak oderwane skrzydła.

Cofnęła rękę. Bała się okazać, że mu współczuje. Obiecała jemu i sobie, że już nigdy

tego nie robi. Ale jak musiało wyglądać jego ciało...

Hirka usiadła na ławie obok niego. Na stole widać było zarysy czaszek, jajek i martwych zwierząt.

– Musiałeś go nienawidzić bardziej niż wszyscy inni – powiedziała, obracając w dłoni małe jajko.

Potrząsnął ukrytą pod kapturem głową.

– Nie – szepnął ochryple. – Kochałem go.

Jajko pękło jej w palcach. Nic w nim nie było. Pusta skorupa.

– Kochałem go – powtórzył Widzący. – Kochałem go bardziej niż... – Najwyraźniej nie znalazł żadnego porównania. – Kochałem go.

– Ale... – Hirka próbowała znaleźć słowa, lecz jej przerwał.

– Oszczędź mi tego. Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie musisz mi tłumaczyć, że sss... skazał nas wszystkich na wieczność bez Evny. Byłem tam. Wiem, że nas zdradził.

– Nas?! A co z *tobą*? Żyłeś jak... – Na próżno szukała słów. – Tak jak teraz! W bólu. Ukryty pod szatą, bo on ukradł Evnę. Zniszczył cię!

Widzący przysunął do siebie szkatułkę.

– Ech, zniszczył mnie na długo przed wojną – odparł. Ciepło w jego głosie nie pasowało do tych słów. – Zniszczył mnie, ale to nie była jego wina. Gdyby wiedział, że właśnie rodzę się z kruka, poczekałby. Ale nie wiedział.

Hirka poczuła, że na te słowa coś w niej mięknie. Jeszcze nikt tutaj nie powiedział nic dobrego o Naiellu. Nikt nie mówił o nim z miłością. Był jedynie przedmiotem nienawiści.

Widzący ochryple wciągnął powietrze. Woń tego, którego kochał. Trzęsła mu się głowa, jakby z całych sił próbował się nie załamać. Zamknął wieko.

– Jak zginął?

Rime.

Hirka poczuła, że zaciska zęby. Wiedziała, że nie ma sensu kłamać.

– Tego, którego kochałeś...

– ...zabił ten, którego kochasz...

Hirka zerknęła na niego.

– Chciałam powiedzieć, że zabiła go stal.

Widzący parsknął.

– Teraz śmierdzisz żądzą i kłamstwem. – Odsunął od siebie szkatułkę. – Opowiedz mi lepiej o Naiellu. Co o nim sss...sądziłaś?

Hirka się zawahała. Naiell ją również zdradził. Kiedy przyszło co do czego, pokazał, kim naprawdę jest. W spalonym kościele groził, że ją zabije, bo chciał zmusić Graala, by ten odesłał go z powrotem do Ym. Ale nie to najlepiej zapamiętała. Zapamiętała wszystko, co

zdarzyło się wcześniej. Wszystkie te drobne rzeczy. Uśmiechnęła się.

– Wydawało mu się, że jest bogiem. Kiedy tylko mógł, chodził bez ubrania. I potrafił wbić szpony w kurczaka i sprawić, by w oka mgnieniu zniknął.

Widzący się zaśmiał.

– Wygłodniały i silny. Zawsze.

– I potrafił spać w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach – ciągnęła. – Na belkach pod sufitem, w samochodzie i...

– W samochodzie? – Widzący powtórzył niezrozumiałe słowa.

Hirka poczuła, że jej uśmiech gaśnie. Widzący żył od tysięcy lat, a przecież to ona doświadczyła więcej, niż kiedykolwiek potrafiłby sobie wyobrazić. Przytłoczyło ją wszystko to, co widziała. Miała wrażenie, że to ją rozsadza od środka. Świadomość, że światy zginą, jeśli jej się nie uda, nagle znów stała się bardzo rzeczywista.

– Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci wyjaśniła. – Hirka wstała. – Wrócę jutro. – Włożyła płaszcz i sięgnęła po szkatułkę.

– Hirko...

Odwróciła się do niego. Zwiesił głowę, jakby stracił odwagę.

– Trzymaj się od nich z dala. Nie draż. Nie pytaj. Nie pozwól im cię zniszczyć. I nie muszą wiedzieć o tym, co dziś zoss...stało powiedziane.

– To tylko twoja tajemnica – odparła Hirka. – Nie moja.

Ruszyła w stronę korytarza i zwróciła uwagę, że kij, który mu dała, stoi oparty o inną ścianę niż dotąd. Jakby go używał.



UPADLI

Hirka poczekała, aż się ściemni. Wyszła na balkon i opuściła się na ulicę. Było to cudownie proste bez żelaznych obciążników na ręce. Zostawiła je na łóżku. Tam, gdzie się dziś wieczorem wybierała, mogło wydarzyć się wszystko, i akurat cięższych ramion potrzebowała najmniej.

Mgła spływała z lodowej pokrywy i jak cichy wodospad opadała do krateru. Tworzyła nierealny woal zasłaniający domy po drugiej stronie. Przebijały się przez nią mrugające światła, więc przepaść wydawała się jeszcze większa. Było coś smutnego w tym, że centralny punkt miasta stanowiła pusta przestrzeń. Dziura po Evnie.

Ten widok odbierał jej odwagę. Czy istniało coś, co mogłoby wypełnić taką czeluść? Za kogo się uważała, że chciała wtrącać się w sprawy zbyt wielkie i zawikłane, by je ogarnąć?

Zaczynaj od małych rzeczy.

To właśnie miała zrobić dziś wieczorem. Stworzyć armię. Drobnostka. Powinna mieć to z głowy, nim raz przesypie się piasek w klepsydrze. Zaśmiałyby się, gdyby dzieło ślepych nie pustoszyło jej ciała. Krucza krew chłodziła jej własną, zamrażała ją w żyłach. To sprawiało, iż miała wrażenie, że wszystko jest nierzeczywiste. Jakby mogła się obudzić we własnym łóżku, jeśli wszystko pochłonie Slokna. Gdyby to było takie proste.

Ruszyła drogą opadającą łagodnym łukiem wzdłuż ściany krateru. Mijała domy z oknami z evnoszkła i okazałymi futrynami. Rzeźby na nich przedstawiały baśniowe zwierzęta. Ale może w tym świecie naprawdę takie istnieją? Nie wiedziała tego.

W niektórych miejscach widziała w domach Umpiri. Najemnych wojowników śledzących ją wzrokiem. W ostatnim czasie strażę bardziej rzucały się w oczy. Wzmacniano je, w miarę jak trwały zamieszki. A zatem najwyższe domy rozumiały, co mogłyby oznaczać gwałtowne zmiany. Staraly się to zatuszować, ale na ich decyzje wpływ miał też strach. Świadomość, że wojna może zmienić układ sił nawet dla nich. Gdyby wiedzieli, co zamierza zrobić, jeszcze przed świtem stałaby się żerem dla kruków.

Droga skręciła w jedną ze szczelin odchodzących od krateru. Przed nią jak okiem

sięgnąć rozciągała się najgłębiej położona ulica w mieście. Hirka przeszła najbliższym mostem na drugą stronę. Było ich tu bez liku; łączyły brzegi rozpadliny na różnych wysokościach, niektóre ginęły we mgle opadającej na dno, daleko w dole. Zupełnie jakby nawet pogoda wiedziała, że Hirka nie ma czego szukać w południowej części miasta. Ale to tam musiała się udać.

To właśnie tą drogą ją prowadzili, kiedy tutaj przybyła. Drogą wiodącą do ziemnych grot i domu Kolaila. Było to ostatnie miejsce, w które powinna się wybierać sama, ale też najlepsze, by znaleźć sojuszników.

Wówczas szli samym dnem wąwozu, co było najprostsze, ale myśl o zamieszkach sprawiała, że Hirka trzymała się najwyżej położonej drogi, biegnącej tuż pod lodową pokrywą. Była trudniejsza do przebycia, ale wydawała się bezpieczniejsza.

Droga wiła się wzdłuż skalnej ściany, gdzieniegdzie przebijała ją na wylot, biegnąc w tunelach pod domami. Hirka rozpoznała pochyły most w pobliżu miejsca, gdzie mieszkał Kolail, i poszła jeszcze kawałek dalej.

Im dalej na południe się zapuszczała, w tym gorszym stanie były mosty. Przystanęła przed jednym, który pośrodku naprawiono liną. Sama lina też wyglądała tak, jakby nadawała się do wymiany. Na drugą stronę było tylko kilka kroków, ale miała zbyt wiele do zrobienia, by igrać ze śmiercią. Poza tym musiała już zejść na dno.

W pobliżu znajdowały się schody. Hirka, trzymając kij pod ręką, przedostała się na nie po urwistej skale. Opadały zygzakiem przez mgłę, ku ulicy na dnie szczeliny.

Tu było tłoczniej. Na tyle, by poczuła się nieswojo. Mijali ją Umpiri, których twarze zakrywały kaptury. Inni prowadzili głośne pijackie dyskusje. Próbowwała nikomu nie patrzeć w oczy. Wszyscy w Ginnungad wiedzieli, kim jest. Również tutaj. Może nawet tu wiedzieli najlepiej, bo stanowiła symbol wszystkiego, czego mieli powody nienawidzić. Wielka nadzieja Dreyri. Dowód na to, że zawsze będą jedynowładcami.

Z ciemności wynurzyła się karczma, ta sama, którą Hirka zapamiętała z tego wieczoru, gdy tu przybyła. Przystanęła.

Pochyła skalna ściana kryła w cieniu wejście. Okna i drzwi pięły się we mgle tak chaotycznie porozmieszczane, jakby ktoś je tutaj rozrzucił. Po krzywych parapetach spływała deszczówka, zbierając się na krawędziach w lśniące sople lodu.

Dwóch mężczyzn minęło ją i zniknęło za zmurszałą nadbudówką. Zaskrzypiały zawiasy i drzwi zamknęły się za nimi. Na zewnątrz nie było żadnego szyldu. Nawet kropli informującej, że obsługuje się tu upadłych. Ale to by pewnie nie miało większego sensu, bo w tej okolicy mieszkali wyłącznie upadli i bezdomni.

Wiedziała jednak, że znalazła się we właściwym miejscu. To tutaj Kolail kiwnął głową mężczyźnie trzymającemu wilka na smyczy. A tamtej nocy, kiedy wyjęła mu odłamek

szkła, było od niego czuć mokrym psem. Założyłaby się o swój kij, że tutaj bywa. I że inni buntownicy też tu przesiadują.

Nagle z całą mocą uświadomiła sobie słabe punkty własnego planu. Była nową ulubienicą wyższych klas. Co stało na przeszkodzie, by ci martwo urodzeni po cichu się jej pozbyli? Upadli już raz zabili i nie mieli nic do stracenia... Jak to ujęła Oni?

Jeśli zabierzesz ze sobą więcej niż dwóch mężczyzn, którzy nie mają nic do stracenia, sama jesteś sobie winna, jeśli coś pójdzie nie tak.

Hirka usłyszała za plecami kroki i mocniej ścisnęła kij. To był wymizerowany chudy mężczyzna. On również ją minął i ruszył do ukrytego w cieniu wejścia. Powstrzymało go głucho warknięcie. Hirka aż podskoczyła. Wilk wyskoczył z cienia i szarpnął łańcuch, próbując kłapnąć gościa. Mężczyzna zaklął i szybko się oddalił.

Wilk spojrzał jej w oczy. Szare krążki w ciemności. Przyglądał się tak przez chwilę, a potem cofnął się w cień pod nadbudówką. Hirka podeszła bliżej. Nie poruszył się. Nie zrobił tego również, kiedy do środka wchodzili pierwsi dwaj mężczyźni. Do czego był wyszkolony? Co wywęszył? Narkotyki? Opę? Co wyczuje od niej?

Ludzką krew i kruczą krew...

Wilk postawił uszy, kiedy go mijała, ale nie warknął. Hirka weszła przez czerwone drzwi. Zamknęły się za nią. Ruszyła po schodach, które opadały spiralą do piwnicy. Była podzielona na osobne przedziały, mniejsze pomieszczenia. Dym wił się z misternie wykonanych ozdobnych otworów w ściankach działowych. Wiszące lampiony rzucały światło na stoliki z ciężkich kamiennych płyt z obtłuczonymi narożnikami. Wydawały się tutaj nie na miejscu przy pięknie wykonanych ściankach działowych. Hirka odniosła wrażenie, że stoły i ścianki pochodzą z różnych miejsc albo różnych czasów.

Ściana w głębi pomieszczenia była ozdobiona macicą perłową. Wizerunkiem splecionej w uścisku pary. Subtelny i piękny. Również pozostałość z innych czasów.

W każdym przedziale siedziała garstka Umpiri. Niektórzy pili, inni palili coś w długich fajkach. Co najmniej trzech miało noże przy pasie i krople na czole. Mężczyźni, którzy nie mieli już nic do stracenia. Nawet noszenie broni nie mogło ich zepchnąć jeszcze niżej w hierarchii.

Hirka wzięła głęboki oddech i zebrała się w sobie. Znalazła miejsce w głębi pomieszczenia, tam gdzie lada stykała się ze ścianą. Mogła tam usiąść, nie mając nikogo za plecami. Postawiła kij w kącie i oparła ręce na ladzie. Była dla niej za wysoka, co jej boleśnie uświadomiło, że jest mniejsza niż ci, którzy zwykle tu siadają. Przyciągała spojrzenia mężczyzn.

Stłumiła impuls, by stąd wyjść. Przypomniała samej sobie, że ci najbardziej wzgardzani z Ginnungad mają być ratunkiem Ym. Poza tym najwyraźniej istnieli jeszcze gorsi od

nich. Bądź co bądź mieli wilka, który nie wpuszczał takich, jakich tu nie chcieli. Uczepiła się myśli, że to dobry znak.

Otworzyła mieszek i wyjęła z niego monetę. Funta. Angielskiego funta. Przyglądała się pieniążkowi, który miała jeszcze z Yorku. Przybył z nią tutaj przez krucze pierścienie. Na Dreysil. W jej dłoni zderzały się światy i tylko ona jedna to widziała.

Przytłoczyły ją wspomnienia. Ojciec Brody z takim uśmiechem, jakby chciało mu się sikać. Stefan, który co chwilę myślał, że na coś umrze. Śmiały się z niej teraz. Opowiedziałby jeden z tych swoich kiepskich dowcipów.

Dziecko Odyna wchodzi do baru...

Przypomniała sobie Jay i jej siostrzyczkę, zabite w kościele. W świecie, który też był pozbawiony Evny i skazany na śmierć.

Ten... i jak wiele innych?

Wątpliwości, które ją dręczyły przez cały wieczór, rozwiały się. Wiedziała, co musi zrobić. Ale najpierw powinna się czegoś napić. Wrzuciła monetę z powrotem do mieszka i wyjęła inną. Taką, której mogła tutaj użyć. To było za dużo, ale chciała się naprawdę dowiedzieć, jaki jest mężczyzna za barem. Szept ojca ze Slokny.

Dobrze wiedzieć takie rzeczy w nowym miejscu.

Hirka podsunęła mu monetę.

– Masz coś do picia? Tyle wystarczy?

Mężczyzna za barem sortował zioła w szufladkach. Domyślała się, że to tytoń. Nie patrzył na nią, ale wcześniej widziała, że zerkał ukradkiem.

– Co chcesz? – spytał trochę wymuszonym głosem.

– Świeże mleko.

Był przystojny, ale w trochę upiorny sposób, jak wszyscy Umpiri. Szczupła twarz, wysokie kości policzkowe. Czarne włosy miał zebrane na karku sznurkiem ozdobionym zębami zwierząt. Postawił przed nią kufel, który zawierał coś brązowego. Hirka upiła łyk i spróbowała się nie skrzywić.

– Co to? – spytała.

– Świeże mleko.

Położył obok jej kufla dwie drobne monety i na powrót zajął się porządkowaniem ziół, długich, sztywnych liści w różnych odcieniach zieleni. Zerknął w stronę drzwi, gdy znów szczerknął wilk. Nikt nie wszedł. Hirka się rozejrzała. Mężczyźni cicho rozmawiali w przedziałach. Zobaczyła, jak jeden z nich przysuwa dwa palce do szyi i szepcze coś do sąsiada.

Dreyri. Krew pierwszych.

Widzieli jej oczy. Wiedzieli, kim jest.

– Jesteś pewna, że trafiłaś we właściwe miejsce? – spytał mężczyzna za ladą, wciąż na nią nie patrząc.

Hirka zmusiła się do uśmiechu.

– Wiesz, kim jestem, prawda?

Kiwnął głową, ale nic nie powiedział.

Opróżniła kufel i odsunęła go od siebie.

– Nie podoba ci się, że tutaj jestem – powiedziała ośmielona ciepłem, które rozlało się w jej piersi.

Zawahał się na chwilę, a potem wrócił do swojego zajęcia.

– Tutaj wszyscy są mile widziani.

Wiedziała, że umyślnie udał, że nie zrozumiał.

Wokół zrobiło się cicho. Hirka ciągnęła trochę głośniejsze, żeby wszyscy słyszeli:

– Nie chodzi mi o tę karcznię, tylko o Ginnungad. Chcecie mieć Evnę tak jak wszyscy, ale jaka będzie cena? Że dla was nic się nie zmieni? Wy jesteście na dnie, a oni na samym szczycie...

Usłyszała, że ktoś zatrzasnął drzwi. Wyszedł. Ktoś, kto nie chciał się mieszać w to, co miało się tu wydarzyć. Nie mogła mieć mu tego za złe.

Dwóch gości starało się na nią nie patrzeć. Inni otwarcie jej się przyglądali. Jeden wstał, podszedł do drugiego końca lady i oparł się o nią. Na jego czole lśniła kropla.

– Oni? Nie jesteś jedną z nich?

Hirka oplotła nogami stół, żeby instynktownie nie rzucić się do ucieczki.

– Nie należę do nikogo. W przeciwieństwie do was. Wy jesteście własnością innych. – Nie była to do końca prawda, ale musiała wywołać reakcję. Udało jej się.

Zbliżył się. Wokół oczu miał czarne kontury upodabniające go do rysia. Ślepego rysia. Światło lampionów tańczyło na jego ogolonej głowie.

– Masz nas za idiotów?

Ktoś inny w przedziale wstał.

– Skolm...

Hirka nie pozwoliła, by im przerwano.

– Tak, jesteście idiotami. Po raz pierwszy od tysiąca lat naprawdę możecie coś zmienić. Ale tak się nie stanie. Jesteście bardziej zajęci pić. A kiedy skończy się wojna, będzie już za późno.

Skolm obnażył kły.

– Nigdy nie jest za późno...

Mężczyzna, który wstał, chwycił go za ramię.

– Skolm, ona jest jedną z nich!

Te proste słowa otworzyły przepaść pomiędzy nimi. Hirka zrozumiała. Nie mieli żadnego powodu, żeby jej ufać. Była Dreyri. Jedną z tych, którzy sypiali za oknami z evnoszkła. Jedną z tych, którzy przydzielali krople. Co ona sobie wyobrażała?

Kolejni mężczyźni podnieśli się z miejsc. Niektórzy ruszyli w stronę schodów. Inni zebrali się wokół nich. Wezbrała w niej rozpacz. Wstała.

– Nie jestem tutaj, żeby kogokolwiek oszukać! Nie mówię w imieniu Dreyri. Ani domów. Oni nie wiedzą, że tu jestem. Gdyby wiedzieli, wynajęliby jednego z was, żeby się mnie pozbyć, więc kto z nas tutaj bardziej ryzykuje? To *wy* macie coś *na mnie*, nie na odwrót.

Skolm warknął cicho. Trzasnęły drzwi i wszedł Kolail. Ulga, jaką poczuła, była tak wielka, że aż ją to zawstydziło. Zszedł na dół. Przecisnął się przez pozostałych i pociągnął ją w stronę schodów.

– Co ty wyrabiasz?!

– Mówię, jak jest! – podniosła głos. Wszyscy mieli to usłyszeć. – To wasza jedyna szansa! Możecie wygrać tę walkę!

Kolail ścisnął mocniej jej ramię.

– Wielu tutaj straciło wszystko, co mieli. Wiedzą, że nie opłaca się sprzeciwiać Dreyri. Ja też to wiem.

Hirka zaśmiała się zimno.

– Strach? Boicie się ich? – Wyszarpnęła rękę. – Właśnie udowodniliście, że oni mają rację. Że jednak istnieje różnica między nimi a wami. Żaden z nich by się nie zawahał. A więc proszę bardzo, siedźcie sobie dalej. – Ostatnie słowa wypowiedziała z naciskiem. Wiedziała, jak to rozumieją. Sięgnęła po swój kij. – Albo dalej rzucajcie butelkami na ulicach. Jakby to mogło coś zmienić.

Kolail warknął jak wilk.

– Nie rozumiesz, że teraz jesteś gorsza niż oni? Przychodzisz tu, bo myślisz, że wszyscy jesteśmy tacy sami. Upadli są upadłymi. Bezdomni bezdomnymi. Na pewno wszyscy tak samo myślimy i tego samego chcemy, co? Wydaje ci się, że to takie proste? Nie, nikt tutaj nie ufa Dreyri. Ani tobie. Sobie nawzajem też nie ufają.

– I właśnie to trzyma was na dnie – odparła.

Poczuła jednak rumieniec wstydu na policzkach. Miał rację. Wrzuciła ich wszystkich do jednego worka. Za dużo z góry zakładała. Ale to niczego nie zmieniało. Zaczęła wchodzić po schodach. Po kilku stopniach odwróciła się i wskazała głową na mężczyznę za ladą.

– Możesz zacząć od niego. Jemu możesz ufać.

Wspięła się po schodach i wyszła na mróz. Przystanąła za drzwiami. Wilk spojrzał na nią. Zamerdał ogonem. Podszedł bliżej. Pozwolił jej podrapać się za uchem. Czekala, aż

Kolail za nią wyjdzie. Wiedziała, że to zrobi.

Otworzyły się drzwi i się zjawił. Patrzył na nią. Zrezygnowany i wściekły równocześnie. Jak ojciec na nieposłuszne dziecko.

– Wiesz, że mam rację, Kolail. To nie szaleństwo, to wasza jedyna szansa. A ja chcę wam pomóc.

– Pomóc nam? Chcesz naszczyć nas na siebie, żeby ratować własny lud!

Wilk warknął na niego. Hirka odciągnęła go kawałek dalej.

– Ja *nie mam* żadnego ludu, Kolail! Mówię w imieniu kruków, drzew, wody, którą pijemy, i ziemi, którą uprawiamy. Nie jestem po niczyjej stronie, oprócz Evny. Ale wy walczyście o coś innego.

– Wy? Kogo tak nazywasz? Ich? – Wskazał na drzwi. – Garstkę zmęczonych życiem mężczyzn w karczmie?

Hirka się uśmiechnęła.

– Garstka mężczyzn wystarczy, by rozniosła się plotka. Za kilka dni nie będzie takiego upadłego ani bezdomnego, który by o tym nie słyszał. I co zrobisz, Kolail?

Zaśmiał się tak, że aż owcze futro zatrzęsło się na jego ramionach.

– Ja? Chcesz, żebym brał w tym udział? Żebym się do nich przyłączył?

– Nie – odparła Hirka. – Chcę, żebyś ich poprowadził.

Odwróciła się na pięcie i zaczęła się oddalać.

– Masz mnie za głupca?! – Zawołał za nią. – Jakby i bez tego nie było dość rzeczy, dla których trzeba ryzykować życie!

Hirka wzruszyła ramionami.

– Króliki zdychają.

– Nawet nie wiesz, co to znaczy!

– Nie, ale mam nadzieję, że pewnego dnia mi to powiesz.



WOLNE MIASTO

Pół dnia marszu od Kruczego Dworu Rime znów nie był sam. Marg powiadomił go, że potrzebowali tyle czasu, ponieważ Ciemne Cienie musiały polować dla niemal trzydziestu innych, którzy nie potrafili sami się wyżywić. Rodziny członków Rady były zmęczone i brudne. Dopadło ich wyczerpanie, które zawsze się pojawia blisko celu. Gdyby wierzyć ich słowom, nikt z nich nie przeżyłby kolejnej nocy pod gołym niebem.

Jarladin i Sigra wciąż dobrze się trzymali, ale z zupełnie różnych powodów. Jakby dzikie pustkowia ich zahartowały. Odcięły wszystko, co zbędne, sprawiając, że stali się silniejszymi wersjami siebie. Jarladina trzymał przy życiu spokój. Był potężnym, zrównoważonym bykiem, który wszystko wytrzyma. Sigrę ratował upór. Jej kanciasta, zawzięta twarz wyrażała determinację. Kopniakami rozwalala przeszkody na drodze i bez słowa stawiała na nogi potykające się dzieci.

W miarę jak zbliżali się do Kruczego Dworu, atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Rozmowy przycichły. Jak ich tam przyjmą? Chyba wszystko musi się jakoś ułożyć. Cokolwiek innego byłoby nie do pomyślenia. Owszem, Kruczy Dwór i Mannfalla od dawna były wrogami. Ale przecież musieli uciekać. Chyba nikt nie odwróciłby się od uchodźców? Ætlingów, którzy stracili wszystko, co mieli?

Rime na tyle znał Eirika, by wiedzieć, że nikogo nie zabije, ale nie był pewny reszty mieszkańców, więc wysłał przodem Marga na zwiady. To była ironia losu; życie Sigry Kleiv zależało teraz od tego, czy mieszkańcy Kruczego Dworu okażą się tacy, jak ich sobie wyobrażała: dzicy i okrutni.

Zerwał się mocny wiatr. Sypał na ścieżkę szyszkami i suchym sosnowym igliwem. Ścieżka była wąska i wila się między drzewami, wspinając się po zboczu. W ich stronę szedł Marg. Odrzucił do tyłu głowę i pokazał trzy palce. Rime skinął. Kruczy Dwór wysłał im kogoś na spotkanie.

Wyszedł zza zakrętu i dostrzegł ich na szczycie skały. Yngego i dwie kobiety, których nie znał. Wszyscy w skórzanych zbrojach, z łukami sterczącymi znad pleców. Ich włosy powiewały na wietrze. Bez słowa skinęli głowami. Potem się odwrócili i poprowadzili ich

dalej pod górę. Rime zgadywał, że Eirik przysłał swoich najbardziej dyplomatycznych wojowników. W tym przypadku oznaczało to tych najbardziej małomównych.

Ścieżka połączyła się z szerszą drogą i wkrótce ukazały im się miejskie mury. Pozornie przypadkowa zbieranina kamieni różnej wielkości z masywną drewnianą bramą. Otworzyła się przed nimi. Na murach stali mężczyźni i szczyrzyli zęby do Sigry i Jarladina. Przykładali ręce do czoła w pozdrowieniu, które, jak przypuszczał Rime, nie należało do najprzyjemniejszych.

Miasto za murami zmieniło się nie do poznania. Wszystkie otwarte przestrzenie zajmowały teraz namioty. Każdy zaułek opatrzone prowizorycznym dachem z zasłoną. Ætlingowie mieszkali nawet w stajniach. Pogłoski o zmianach w Radzie i gromadzonej armii przygnały tu najwyraźniej pół Foggardu. Zapewne przybyło ich o wiele więcej niż ostatnio. Gdy niecały rok temu Mannfalla i Kruczy Dwór starły się na równinach, było to dla wszystkich szokiem. Nawet najstarsi nie pamiętali czegoś takiego. Ale od tego czasu widzieli już wojnę. Teraz wierzyli. Bali się.

I byli wyjątkowo ciekawscy. Tłoczyli się wzdłuż drogi. Stali przy rynsztokach i gapili się na członków Rady. Ynge zwolnił kroku i poczekał na Rimego.

– Coś mi się wydaje, że Tein rozpuścił plotki – mruknął. Nie brzmiało to jak usprawiedliwienie. Krzywy uśmiech świadczył o tym, że to go bawi.

Zapowiadało się interesujące popołudnie.

Stali wzdłuż całej drogi aż do siedziby wodza: starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Niektórzy oderwali się od pracy i wciąż mieli mąkę we włosach albo ręce uwalane gnojem. Kowal stał w skórzanym fartuchu z młotem w ręce. Rime widział ætlingów wbiegających do domów, by powiedzieć, kto się zbliża. A zbliżała się Mannfalla. Rada zbiegła do Kruczego Dworu.

Większość milczała. Niektórzy stali z założonymi rękoma i szczyrzyli zęby. Inni gwizdali i buczeli, ale było w tym coś żalnego. Rime przeczuwał, że w sumie upadek Mannfalli musiał ich przerażać.

Jarladin starał się jak mógł udawać, że nie robi to na nim wrażenia. Gdy pokonywali ostatni odcinek, gawędził z rodziną. Zachowywał się, jakby nic się nie stało. Sigra uniosła podbródek i zacisnęła zęby. Wstyd i upokorzenie wiele ją kosztowały. Rimemu imponowało to, że mimo wszystko opowiedziała się przeciw Darkdaggarowi. Musiała wiedzieć, co to oznacza, ale i tak wybrała to, co uważała za słuszne. Może mógł się nauczyć od Sigry więcej, niż kiedyś sądził.

Przeszli do siedziby wodza po pomalowanym na żółto moście nad jarem. Błękitne flagi ze złotymi koronami powiewały na wietrze. Na dziedzińcu był spory tłum. Wychodzili z izb i poddaszy, ze stajni i kurników. Eirik wyszedł im na spotkanie. Towarzyszył mu

Tein. Było wyraźnie widać, że tego ostatniego to wszystko wyraźnie bawi.

Rime podał rękę Eirikowi. Wódz parsknął. Przyciągnął go do siebie i uściskał jak syna. Poklepał po plecach. Po chwili odsunął go od siebie. Jego niebieskie oczy sypały skry spod szpakowatej czupryny.

– No dobrze – powiedział Eirik i spojrzał na Sigrę. Dał znak służącym w niebieskich strojach, a ci zaczęli odbierać od gości worki, tobołki i klatki z krukami.

Teraz, gdy dotarli do celu, jeszcze bardziej przypominali uchodźców. Brudni i zmęczeni, z rozczochranymi włosami. Niektórzy wyraźnie się bali.

Rime usłyszał, jak Sylja szepcze do ubranej na niebiesko dziewczyny, że właściwie nie ma nic wspólnego z Radą. Że pochodzi z Elveroi. Z Foggardu. W tych okolicznościach brzmiało to histerycznie.

Eirik podszedł o krok bliżej.

– Niewiele mamy miejsca...

Odpowiedział mu tylko wiatr szumiący w gałęziach wielkiego świerka na dziedzińcu, pod którym Rime kiedyś walczył z Teinem. Rime podchwycił jego spojrzenie. Tein nie zapomniał.

Sigra skinęła Eirikowi. Usiłowała odnaleźć w sobie godność, którą utraciła, przechodząc przez bramę miasta. Gdyby Sigra przeforsowała swoją wolę w Radzie, nie byłoby teraz Kruczego Dworu, do którego mogła uciec. Oczywiście zdawała sobie z tego sprawę, podobnie jak wszyscy stojący wokół.

Członkini Rady omiotła wzrokiem dziedziniec. Przez chwilę wpatrywała się w jedno miejsce. Rime pojął dlaczego. W tłumie pojawiła się ciemna twarz Ramoi. Udało jej się bezpiecznie wydostać z Mannfalli, ale Sigra nie spodziewała się jej tu zobaczyć.

Eirik wzruszył krzywymi ramionami.

– Przygotowaliśmy dla was miejsce w domu w kształcie statku. Zakładam, że wiecie, jak tam trafić.

Sigra podchwyciła jego spojrzenie.

– Jestem tutaj pierwszy raz.

Przez tłum przeszedł szmer.

– Dość tego! – zawołał Eirik. – Ma być spokój. Zostawcie nas.

Ætlingowie cofnęli się niechętnie. Odchodząc, posyłali im znaczące spojrzenia.

Eirik podszedł do Sigry. Położył potężną dłoń na jej ramieniu.

– Pierwszy raz, co? Pozwól, że ci wyjaśnię. Trzeba pójść w górę ścieżką za wielką salą i skręcić w prawo. Wtedy dojdiesz do domu w kształcie statku. Tego samego, do którego posłaliście Ciemnego Cienia, żeby mnie zabił. Teraz już pamiętasz?

Sigra odwróciła wzrok. Była silną i potężną kobietą, ale te słowa ją złamały. Sama

obecność Eirika. Rime przyglądał im się zafascynowany. Wódz i członkini Rady wciąż nosząca znak Widzącego na czole. Gdyby rok temu ktoś mu powiedział, że nadejdzie taki dzień, wyśmiałby go.

Sigra nie mogła znaleźć słów. Uratował ją Jarladin.

– Wszyscy popełnialiśmy błędy, Eiriku. Jestem Jarladin An-Sarin. – Wyciągnął do wodza rękę.

Eirik ją uściskał.

– No więc, Jarladinie... co zrobiłeś, gdy Rada uznała za słuszne, by mnie zabić? Podniosłeś rękę za czy przeciw?

– Przeciw – odparł Jarladin. – Ale to już chyba nie ma znaczenia.

Eirik kiwnął głową. Spojrzał na Sigrę.

– A ty? Sigra Kleiv. Za czy przeciw?

Sigra uniosła podbródek.

– Za. I gdyby świat się nie zmienił, dziś zrobiłabym to samo.

Eirik mruknął coś pod nosem. Może warknął. Może się zaśmiał. Nie sposób było powiedzieć.

– No cóż, Sigro... masz tyle rozsądku, co klamka u drzwi. Ale przynajmniej nie jesteś tchórzem ani kłamcą. Witaj w Kruczym Dworze.

Unngonna zbliżała się szybkim krokiem, z pobrzękującymi kluczami przy pasku. Włosy miała upięte w węzeł. Dotarła do nich zdyszana.

– Nikt nie pójdzie do łóżka bez kąpieli. No już! – Przepędziła z dziedzińca dzieci i dorosłych.

Rime i Eirik stali i spoglądali za nimi. Wódz skubał brodę.

– I co myślisz? Przesadziłem?

Rime się uśmiechnął i potrząsnął głową.

– Sam bym tego lepiej nie zrobił.

Eirik się zaśmiał i poklepał go po ramieniu. Spojrzał mu w oczy. Spoważniał. Przytłoczyło go to, co utracił Rime. Tysiące zabitych Ciemnych Cieni, o których żaden z nich nie wspomniał.

Rime spuścił wzrok.

– Zabezpieczyłeś zapasy na wypadek sabotażu?

Eirik kiwnął głową na potwierdzenie.

– Na tyle, na ile się dało bez otaczania pól murami.

– A szlachta? Rozmawiałeś z nimi?

– Niektórzy nas popierają, ale nie wszyscy.

– Dobrze... – Rime zwiesił głowę. Dobrze, że mieli sojuszników. Dobrze, że mogli

stworzyć nową armię. Ale w głębi serca wzdragał się na tę myśl. Dla kogo ją tworzył? Dla siebie? Dla Kruczego Dworu?

Czy dla Graala?

Wiatr pochwycił gałęzie świerka i zatrzęsł nimi. I wtedy kruki wróciły do domu. Rozkrzyczany czarny kobierzec na niebie.



ŁODOWY OGRÓD

Jór często się zatrzymywał, by poczekać, jakby chciał, żeby szła obok niego, ale Hirka wolała iść za nim. Mogłaby wyjaśnić, że służący zajmują zbyt wiele miejsca, co w najlepszym przypadku byłoby półprawdą.

Kiedy tylko przyszło zaproszenie, poczuła lęk. W domu Hod chciano, by pilnie zjawiła się z wizytą. Dlaczego? Hirce nie przychodził do głowy ani jeden miły powód.

Chciała odmówić, ale Raun i Uhere uświadomili jej, że coś takiego nie wchodzi w rachubę. A więc Jór przyszedł po nią i teraz z każdym krokiem zbliżali się do jego domu. Przypominał małe miasto i wznosił się w otworze wielkiej groty.

Jór był zniecierpliwiony. Spięty. Wiedziała, że coś jest nie tak, bez względu na to, jak starał się być uprzejmy. Widział ją z upadłymi? Dotarły do nich jakieś plotki?

Raz po raz próbowała sobie przypomnieć szczegóły swojej wizyty w karczmie przy południowej bramie. Kto tam był? Ktoś na tyle wierny Dreyri, by ją wydać? Spotkała kogoś po drodze?

Nie mogą mi nic zrobić. Potrzebują mnie.

Choć raz pocieszała ją myśl, że jest symbolem. Wiedziała jednak, że istnieją pewne granice. Może i była symbolem, ale gdyby wiedzieli, co zrobiła, nikt nie mógłby jej uratować. Skończyłaby jako zakrwawione kawałki mięsa w wiadrze. Rozrzucano by je na Języku Mówców, żeby nakarmić kruki. Nie na takie narodziny z kruka liczyła...

Jór szedł przed nią szybkim krokiem. Wiar rozwiewał jego jasne włosy. Długa kurtka wydymała się na udach jak czarny żagiel. Po bokach była ciasno zasnurowana, podkreślając jego szczupłą sylwetkę. Ramiona były nagie.

Weszli do tunelu skracającego w skale i dotarli do jaskini. Była na tyle wielka, by pomieścić pół Eisvaldru.

Zbliżali się do domu Hod od tyłu. Hirce zrobiło się niedobrze. Postanowiła zrzucić to na karb kruczej krwi. Dziś rano po raz pierwszy ją wypić i nie zwymiotowała. Widzący stwierdził, że to już jakiś początek, i dał jej więcej. To było obrzydliwe. Bolesne. Straszne. Ale robiła to w jakimś celu. Miała zadanie do wykonania i jeśli Jór sądził, że z własnej

woli położy się i umrze, to powinien jeszcze raz się dobrze zastanowić.

– Skąd taki pośpiech? – Jej głos niemal ginął w grocie.

Znów na nią zaczekał.

– Ociepliło się, nie sądzisz? – Uprzejma, ale wymijająca odpowiedź. Zerknął na służących idących po obu ich stronach. – Przyszła dostawa herbaty z Ferenval. Myślę, że przypadnie ci do gustu.

Dotknął jej dłoni. Domyśliła się, że to sygnał. Więcej nie pytała.

Masywne żelazne drzwi otworzyły się, gdy podeszli bliżej, jakby ktoś w środku na nich czekał. Zamknęły się za nimi. Ten dźwięk przyprawił ją o ciarki. Była uwięziona w domu Hod.

Jór odesłał służbę i ruszył czarnym korytarzem. Po obu stronach oświetlały go latarnie. Żywe latarnie. Takie same ptaki jak te, które dostała w prezencie. Trzepotały się w klatkach, rzucając srebrzystą poświatę. Było ich tak wiele, że ścisnęło jej się serce.

Jór maszerował przed nią tak szybko, jakby zależało od tego czyjeś życie. Kroki odbijały się echem od kamiennej posadzki. Szła za nim. Korytarz zmienił się w jasne, chłodne pomieszczenie. Cudowny ogród zimowy.

Jór przystanął.

– Nazywam go zwij – powiedział, wskazując głową na ścianę lodu.

Hirka przyjrzała się lśniącej powierzchni. Lód się pocił, jakby męczyło go zachowywanie tajemnic, jakie w sobie zawierał. To było zwierzę. Spiralne zwierzę większe od niej. Zamarzło w pradawnych czasach. Jego macki wysuwały się z otworu, jakby próbowały ich pochwycić. To było złudzenie. Bogowie raczą wiedzieć, od jak dawna to zwierzę się nie poruszało. Mimo rozmiarów nie sposób było nie dostrzec podobieństwa ze spiralnymi kamieniami, które miała w mieszk. Jeden był podarunkiem od Hlosniana, drugi od kruka.

Różne światy. Te same kształty.

Hirka otworzyła usta. Poczua się mała jak mrówka. Dotknęła dłonią lodu.

– Zwij...

– Bo jest taki zwinięty, wiesz. – Jór uniósł rękę i dał znak komuś, kogo Hirka nie widziała. Pewnie służącym stojącym na galerii nad nimi. Następnie podszedł do krzeseł stojących przy wysokim oknie, z którego rozciągał się widok na krater. Wysunął jedno i spojrzał na nią.

A więc zamierzał usiąść. Chodziło o coś poważnego.

Hirka podeszła do niego. Oparła kij o ścianę i usiadła. Stół i krzesła wykonano z kutego żelaza, tworzącego wzór przypominający pajęczynę.

Zjawił się służący w długiej szacie, niosąc tacę. Postawił ją na stole. Dzbanek i dwie

czarki. Następnie zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Jór napełnił jedną filiżankę i podał ją Hirce.

Przyjęła ją.

– Herbata?

Kiwnął głową. Uśmiechnął się, obnażając kły. Ale nie był w stanie ukryć niepokoju. Hirka ogrzała dłonie od czaruki.

Herbata. Zaprosił ją na herbatę. I żeby jej pokazać jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek widziała. Sądziła, że będzie jej groził. Skrzywdzi ją. Był martwo urodzonym. Jego mięśnie były silniejsze i wyraźniej zarysowane niż u jakiegokolwiek ætlinga. Miał białe oczy i kły, ale to ona z nich dwojga była potworem. To ona planowała poszczuć ślepych przeciw sobie. To ona piła kruczą krew, żeby potem wymiotować, opętana zadaniem, które przerastało jej siły.

Ogarnął ją wstyd. Piła herbatę, żeby o nim zapomnieć. Wsłuchiwała się w skrzypienie lodu. Jór spojrzał na nią.

– Słyszałaś, co wczoraj ustaliła rada wojenna? – spytał.

Hirka przełknęła herbatę, tłumiąc irytację, bo mówił tutaj o wojnie. Czuła się tak, jakby to było świętokradztwo. Żądza krwi nie miała czego szukać w miejscu takim jak to. Nie odpowiedziała.

– Przejdziemy przez bramy pierwszego dnia jesieni.

Hirka ścisnęła mocniej czarukę. Próbowwała policzyć dni na palcach, tak żeby tego nie zauważył. Naliczyła czterdzieści trzy. Czterdzieści trzy dni. Tak niewiele czasu. Za niecałe sześć tygodni nic nie będzie już takie samo. Jór mówił dalej. Monolog, który do niej nie docierał. Była w stanie myśleć tylko o tym, kto przeżyje, a kto umrze za czterdzieści trzy dni.

Wychwyciła jedno z jego słów. Spojrzała na niego.

– Co mówiłeś?

Jór dolał jej herbaty do czaruki.

– Chcą poczekać na dziewiąty dom – powtórzył.

– Nie. Wcześniej.

– Chodzi ci o Nifel? Zaczną się przenosić za dwanaście dni.

Hirka poczuła, że drżą jej usta. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Wciąż nie najlepiej władam umą – usprawiedliwiła się.

Oczywiście zamierzali wyruszyć z Nifel, zrujnowanego miasta. To tamtędy tu przybyła i z tego, co wiedziała, na Dreysíl nie było innych działających kamiennych kręgów. Ale dwanaście dni...

Czas bardzo naglił. Jak miała w dwanaście dni przekonać upadłych, by rozpoczęli

powstanie?

Jór podniósł się, jakby już znudziło go siedzenie. Przeciągnął się jak kot i splótł szpony na karku. Zupełnie niewzruszony tym, co przed chwilą powiedział. Nie miał pojęcia, że czuła grudę w gardle. A może wiedział? Czy to dlatego tutaj byli? Bo chciał się przekonać, jaka będzie jej reakcja? To musiał być prawdziwy powód.

Przykucnął przed nią. Czarna kurtka rozpostarła się za nim na podłodze.

– Dom Hod jest potężny, Hirko. Najpotężniejszy ze wszystkich. – Pochylił głowę, ale wciąż na nią patrzył. Jego uśmiech zdradzał, że wierzy w każde swoje słowo.

Znów ogarnął ją niepokój. Do czego zmierza?

– Ale to nie znaczy – ciągnął – że inne domy nie będą mogły skorzystać na nadchodzącej wojnie. Zmiany układu sił nie są wykluczone, ale najbardziej zagraża to domom, które ostatnio awansowały. Takim jak dom Modrasme. Musicie jednak pamiętać, że istnieją sposoby, by wzmocnić was i nas.

– Jakie sposoby? – spytała cicho. Obawiała się, że zna już odpowiedź.

– Unia.

Gruda w gardle stała się ciężka jak kamień. Całe to gadanie o tym, ile zostało dni. Zaproszenie do ogrodu. Zrozumiała.

– Ty i ja. Przed wojną... – szepnęła, wpatrując się w kucającego przed nią mężczyznę.

Jór uśmiechnął się olśniewająco, jakby ofiarował jej wyjątkowy dar. Dar, którego nikt w tym świecie by nie odmówił.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział. – Zastanawiasz się, jaka będzie równowaga sił w takiej unii.

Zaśmiała się. Nie miał pojęcia, o czym myślała. Ale mówił dalej, jakby był tego pewny:

– Nie musisz opuszczać swojego rodu. Zamierzamy połączyć całe domy. Ciebie, Rauna, Uhere. Modrasme, Vanę... wszystkich, Hirko. Dom Hod i dom Modrasme, ale z imieniem Graala. Podoba nam się tytuł „z domu Hod i Graala”. Sądzymy, że będziecie tego samego zdania.

– My? Ile osób prosi mnie o rękę?

Jór się zaśmiał. Miał cieplejszy śmiech niż większość Umpiri. Nie tak zwierzęcy. Wstał. Nagle uświadomiła sobie, jaki jest wysoki. Barczysty. Co się stanie, jeśli mu odmówi? Nie kochał jej, więc nie poczułby się zraniony. Nie byłby wściekły. Ale co by powiedziano w domu Hod? To nie był wybór, którego dokonał sam.

Jór pomógł jej wstać.

– Tylko ja, ale zdumiewa mnie, że jestem pierwszy.

Hirka żałowała, że to jej nie schlebia, ale aż nazbyt dobrze wiedziała, kim jest w oczach Umpiri. W tym wszystkim w ogóle nie chodziło o nią. Wojna miała wiele zmienić i chcieli

zabezpieczyć swoją pozycję. Bliżej związać się z Graalem i z jego wielkim dokonaniem: spłodzeniem potomka na wygnaniu.

– Jutro możemy udać się razem obejrzeć walki – powiedział, patrząc na nią. – Chciałabyś?

Pytanie. Uświadomiła sobie, że to było pierwsze, jakie zadał. Do tej pory raczej do niej przemawiał.

Jór zmarszczył czoło. Wyczuł jej niepewność.

– Nie pytałbym, gdybym cię nie lubił – powiedział.

Hirka nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. To było wyznanie miłości? Widziała namiętność w jego oczach?

Przypomniała sobie pulsujące czerwonym światłem pomieszczenie w Yorku. To, w którym Rime ją pocałował. Jego usta na jej ustach. Wygłodniałe. Poczucie, że popada w szaleństwo, które poczuła po raz pierwszy. A teraz miała poślubić innego? Dla wygody? Dla złudzenia, że umacnia pozycję swojego domu?

Rozsadzały ją tajemnice, których nie mogła zdradzić. Nie mogła mu powiedzieć, że ta, którą prosi o rękę, już go zdradziła. Że chce podzielić jego lud i sprawić, by zabijali się nawzajem na równinach wokół Mannfalli.

Ze względu na wszystkich. Na Evnę.

Hirka unikała jego spojrzenia. Popatrzyła na zwija zastygłego w lodzie. Od dawna martwego. Od dawna wolnego od myśli. Żałowała, że nie może się z nim zamienić.

Uderzyła ją pewna myśl. Czas. Umpiri mieli go aż nadto. A więc skąd ten pośpiech? Skąd niepokój? Kryło się za tym coś więcej niż pragnienie władzy.

Spojrzała na Jóra.

– Dlaczego teraz?

Spuścił głowę.

– Chodź ze mną – powiedział.

Zrobiła to, o co poprosił. Weszła za nim po schodach i w jakiś nowy korytarz. Na jego końcu znajdowały się wysokie czerwone drzwi. Hirka słyszała szepty służących, ale ich nie widziała. Było tu zbyt wiele przejść i wnęk.

Jór zapukał do czerwonych drzwi.

– To ja. Przyszła Hirka. – Otworzył je. Stał, jakby nie był w stanie wejść do środka. Wskazał głową w głąb komnaty. – Ona chce z tobą porozmawiać – powiedział cicho.

Hirka weszła.

Sypialnia wyglądała jak zbudowana ze szczerego złota. Niemal każdą powierzchnię pokrywały złote płytki. Na suficie, na posadzce, na ścianach. Wrażenie było tak przytłaczające, że aż odpychało. W głębi komnaty znajdowało się wiszące łóżko. Ono

również było złote i znacznie większe od tego, w którym sama sypiała.

Hirka ruszyła wzdłuż jedynej ściany, w której były okna. Wygięte evnoszkło, za którym rozciągał się widok na surową skalną grotę. Hod stała odwrócona do niej plecami.

– Mówią, że jesteś widzącą. Że uzdrawiasz – zaczęła, nie odwracając się.

Hirka poczuła się niepewnie.

– Tym się zajmowałam tam, skąd przybyłam.

– Jesteś w tym dobra?

Takie pytanie mógł zadać tylko ktoś, kto miał wszystko. Ktoś, kto przywykł dostawać to, czego potrzebował. Było to również pytanie, na które nie dało się odpowiedzieć.

Hirka spojrzała w sufit, jakby tam spodziewała się znaleźć właściwe słowa.

– Niektórzy żyją dalej, inni umierają. Zawsze tak będzie. Czy mam komuś... – Ugryzła się w język, by nie powiedzieć „pomóc”. – Życzysz sobie, żebym coś zrobiła?

Hod się odwróciła.

– Chcę, żebyś zrobiła coś z tym.

Hirka przyjrzała jej się. Żadnych ran. Żadnych znamion. Hod stała wyprostowana jak ktoś, kogo nic nie boli. Zielona suknia bardzo dobitnie podkreślała, jak bardzo jest zdrowa.

– W czym problem?

– Spójrz na mnie!

Hirka wpatrywała się w jej szczupłą twarz. Zdawała się obca. Oczy były tak skośne, że każdemu ætlingowi wydałyby się nienaturalne, ale nie można by nie nazwać jej piękną. Hod pod żadnym względem nie była chora. W rzeczywistości wyglądała nawet zdrowiej niż większość ślepych. Może to z powodu tego światła? Blask lamp odbijał się od złotych ścian, sprawiając, że jej skóra jakby lśniła.

Hirka podeszła bliżej. Dostrzegła coś, ale nie potrafiła tego nazwać. Hod wydawała się starsza niż ostatnio. Miała zmarszczki wokół oczu i na szyi. Może wśród ślepych rzadko się to zdarzało, ale Hirka już widywała takie zmarszczki. Niemniej odniosła niepokojące wrażenie, że właśnie to stanowi problem. Hod zaczynała się starzeć.

Hirka szukała w pamięci wszystkich reguł, jakich ją nauczono. Co powinna powiedzieć? Nie mogła przecież potwierdzić, że ta kobieta się starzeje.

– To chyba... naturalne... – spróbowała.

Hod zbliżyła się jeszcze bardziej. Wskazała na swoją twarz.

– To? To nazywasz naturalnym? To choroba! Zaraza! Musisz coś zrobić!

– Zrobić? To starość. Wszyscy się starzeją...

Oczy Hod poczerniały.

– Nie my! Nie Dreyri!

Hirka cofnęła się o krok.

– Ale... chyba nawet wy nie żyjecie wiecznie?

Hod opadła na krzesło. Nagle wydała się drobna. Miała wąskie ramiona. Teraz ona również zaczęła przemijać.

– Nikt z nas nie zna lekarstwa – powiedziała cicho. – I nikt z was najwyraźniej też nie. A więc odejdę przed zimą.

Hirka zamknęła oczy. Przypomniła sobie, co mówiła jej Oni. Kiedy Umpiri zaczynali się starzeć, szybko umierali. To był jeden z powodów, dla których, odkąd tu przybyła, nie widziała ani jednej starej istoty. Ta kobieta żyła zapewne dłużej, niż istniała Mannfalla, a teraz zostało jej zaledwie kilka miesięcy. Dom Hod miał utracić najstarszą.

To dlatego chcieli połączyć domy. I dlatego tak się zaczęli śpieszyć z wojną. Nieprawdziwe, nieistotne powody. Rozpacz Hod była wszakże szczerą.

Hirka kucnęła przed nią. Szukała słów.

– Kiedy się dowiedziałam, jak długo żyjecie, pomyślałam, że śmierć musi być dla was wyzwoleniem. Po wszystkim, co widziałam, odkąd tu przybyłam, rozumiem jednak, jak bardzo się myliłam. Im dłużej żyjecie, tym mocniej trzymacie się życia. Tak długie życie daje wam poczucie wszechwładzy. Przekonanie, że możecie wszystko kształtować wedle swojej woli. Rządzić tym, co widzicie. Ale to jest jedyna rzecz, nad którą nikt nie ma władzy, Hod. Nawet Dreyri.

Oczy Hod załśniły. W tej chwili wydawały się kruche jak czarne szkło.

– Zostaw mnie samą – powiedziała i wskazała na drzwi.

Hirka wstała. Pomogła w życiu wielu osobom, ale nawet, gdy nie mogła pomóc, rzadko czuła się aż tak bezsilna. Na szczęście skończyła ze współczuciem. Już nigdy nie zamierzała pozwolić, by przytłoczyło ją cierpienie innych.

Cofnęła się kilka kroków, nim odwróciła się plecami do Hod.

– Jór sądzi, że to przez niepokój – odezwała się władczyni za jej plecami. – Że tego wszystkiego było po prostu za wiele. Uważa, że zaczęłam się starzeć z twojego powodu, córko Graala. Przez serce Naiella. Otwarte bramy...

Hirka podeszła do drzwi.

– Śmierć przychodzi bez względu na to, czy ma jakiś powód. Niczego nie mogłaś zrobić inaczej. – Znowu spojrzała na Hod. – Króliki zdychają. – Teraz pojęła, co to oznacza.

Hod podchwyciła jej spojrzenie.

– Króliki?

Hirka uśmiechnęła się smutno.

– Nie pytaj.

Otworzyła drzwi i wyszła. Zawahała się. Znowu wsunęła głowę do komnaty.

– Powinnaś świętować, Hod. Wiele rzeczy mogło cię zabić, zanim na twojej twarzy

pojawiła się pierwsza zmarszczka. Wypadki, choroby, wrogowie. To, że dożyłaś starości, świadczy, że jesteś silniejsza od nich wszystkich.

Zamknęła drzwi i odeszła.

Jór podszedł do niej.

– Potrafisz jej pomóc?

Hirka westchnęła.

– Nie – odparła. – Tylko ona sama to potrafi.



RADA WROGA

Hirka siedziała na ławie w kącie i przysłuchiwała się nerwowym odgłosom. Skerri warczała na służących, bo jej stroje leżały w niewłaściwym miejscu. Uhere łajała Vanę i jej ukochanego Moinusa, bo jeszcze nie byli gotowi do wyjścia. Raun przechadzał się w tę i z powrotem pod oknem i z trudem ukrywał podenerwowanie. Nawet Modrasme siedziała jak duch na stercie skór i poduszek, otoczona aurą wiecznego niezadowolenia.

Hirka nie wiedziała, czego się spodziewać. Dotąd widywała walki jedynie z daleka. Brutalne święto dla ludu. Niemniej na czymś się przyłapała; miała nadzieję, że Skerri dostanie lanie, które popamięta na długo.

Na zewnątrz zaczynały opadać lampiony. Zrzucono je z ulic i z okien. Całymi setkami. Mrugające w ciemności światła, które miały zniknąć na dnie krateru.

Vana i Moinus wyszli na balkon. Zapalili lampion i zrzucili go, całując się przy tym. Hirka spojrzała w drugą stronę. Czy byłaby w stanie pocałować martwo urodzonego? Kły na pewno by przeszkadzały...

Propozycja Jóra obudziła w niej uczucia, o których sądziła, że zostawiła je już za sobą. Lęk przed tym, co obce. Potrzebę nabrania dystansu do Umpiri, nawet do własnej rodziny. Przez ostatnią dobę przypominały jej się stare historie, na których się wychowała. Wszystko, co mówiono o ślepych. Wstydziła się tego i była zła na siebie. Kiedyś ją ścigano za to, kim była. Czy nie powinna wiedzieć lepiej? Nie zwracać uwagi na kły i szpony?

Prawdopodobnie nie będzie miała wyboru. Za kilka dni pierwsze rody wyruszą do Nifel. Do kruczego pierścienia. A ona nie mogła ich powstrzymać. Dom Hod będzie naciskał na zjednoczenie.

Chwile takie jak ta były najgorsze. Kiedy wściekłość mijała i docierało do niej, że chwyta się brzytwy. Żłudnej nadziei, że cała ta śmierć, która mała nadejść, nie będzie na próżno. Że spowoduje przyływ Evny, by mogła stworzyć nowe żyły. A żeby dotrzeć do tego punktu, Hirka musiała się narodzić z kruka w Ym. Nauczyć się czerpać.

Ona? Ciągle miała tylko mdłości i czuła posmak krwi w ustach. To było szaleństwo. Inaczej nie dało się tego nazwać.

To dlatego musiała zaplanować inne rozwiązania. Co zrobi, jeśli jej się nie powiedzie? Ale nawet te rozwiązania zaczynały znikać. Wszystko wskazywało na to, że dziób zabije Rimego. Chyba że Rime wcześniej polegnie na polu bitwy razem ze wszystkimi ætlingami z Ym.

Upadli ani bezdomni jej nie pomogą. Nikt nie zrobi przewrotu, by dać jej nadzieję, że krainy Ym będą w stanie się obronić. Prawdopodobnie tylko jeszcze bardziej pogorszyła sprawę. Od czasu, gdy wygłupiła się w karczmie, na ulicach było cicho jak w Sloknie. Jakby zupełnie zdusiła buntownicze nastroje. Sprawiała, że stali się sceptyczni. Wystraszyli się i uspokoili. Tym samym skazała krainy Ym na zagładę. Za kilkaset lat martwo urodzeni będą straszyć swoje dzieci opowieściami o ogoniastych, którzy żyli dawno temu.

Nie!

Hirka wstała i zostawiła ich w sali. Ruszyła korytarzem i przystanęła przed drzwiami Urda. Co takiego jej powiedział?

Aby przeżyć w miejscu takim jak to, trzeba wykorzystywać innych.

Odsunęła rygiel i weszła do środka.

Urd stał odwrócony do niej plecami i przyglądał się opadającym za oknem lampionom. Delikatnym, świecącym punktom w mroku. Odwrócił się do niej i wyraźnie rozluźnił, pewnie dlatego, że to ona weszła, a nie Skerri. Wskazał ręką na ławę. Zaproszenie, by usiadła. Nie zrobiła tego.

– Jesteś okrutny – powiedziała.

Jeśli jakoś zareagował, udało mu się to dobrze ukryć.

– Jesteś kłamcą – ciągnęła. – Mordercą. Naginasz innych do swojej woli. Wykorzystujesz ich, by osiągnąć własne cele.

Drgnęły mu usta. To był chyba uśmiech, ale zniknął zbyt szybko, by mogła mieć pewność. Usiadł na ławie.

– Czyli potrzebujesz mojej pomocy? – spytał ochryple.

Hirka nie odpowiedziała. Przyznanie się do tego za bardzo ją odstręczało.

Blizna na jego szyi wyraźnie rysowała się w półmroku. Błada, w kształcie półksiężyca. Wyglądał, jakby starannie dobierał słowa, zanim się odezwał:

– Hirko, żyję tutaj z łaski. Wyłącznie dlatego, że sobie tego życzysz. Zawdzięczam ci życie. Jeśli czegoś potrzebujesz, powiedz mi.

Toczyła wewnętrzną walkę. Nie miał powodu, żeby kłamać, a pomagając jej, mógł wiele zyskać. Podeszła o krok bliżej.

– Muszę kogoś przekonać, żeby dla mnie walczył.

– Mhm... – Urd założył nogę na nogę. Teraz jego czarna szata jeszcze bardziej

przypominała worek. Żywy dowód na to, jak bardzo Umpiri starali się go poniżyć. Postukał ręką o ławę. – Jeśli masz ochotę.

Był tak uprzejmy, że gdyby los pobłogosławił ją kłami, w tej chwili by go ugryzła. Mimo wszystko usiadła.

Urd jej się przyglądał.

– Aż trudno uwierzyć – stwierdził.

– W co?

– Że jesteś tą samą dziewczyną.

Hirka zmrużyła oczy. Żeby nie sądził, że tak łatwo ją oszuka. Wiedziała, kim jest.

– Chciałabyś, żeby kto dla ciebie walczył? – spytał.

– Nie musisz tego wiedzieć, żeby udzielić odpowiedzi.

Uniósł brwi i kiwnął głową, jakby uznał, że to zrozumiałe.

– Czy robiąc to, coś ryzykują?

Hirka się zawahała.

– Tak... Ale jeśli tego nie zrobią, też ryzykują.

– Ach! Chcesz przez to powiedzieć, że pomagając ci, mogą coś zyskać?

– Mogą zyskać wszystko. Albo wszystko stracić.

To była prawda. Dotyczyło to również jej i przez to czuła się bezbronna. Podzielić się czymś tak ważnym i to *z nim...* to było sprzeczne z naturą. Odpychało ją. Ale on też nie był już taki jak kiedyś. Oboje się zmienili.

Urd zapatrzył się za okno. Lampiony odbijały się w jego oczach. Takich jak jej własne. Jedynych takich w tym świecie. Potarł twarz rękoma i jakby zapadł się w sobie. Wyglądało to tak, jakby dopadło go zmęczenie.

– Gdybyś zapytała mnie rok temu, powiedziałbym, że powinnaś zrobić tak jak ja. Radziłbym ci się dowiedzieć, co pragną zachować w tajemnicy. Czego najbardziej pragną. *Kogo* najbardziej chcą. Wszystko to mogłabyś wykorzystać, by uczynić z nich swoich sojuszników. Wtedy jednak stałabyś się taka jak *ja*, prawda? A dziś wydaje mi się, że bogowie wolą twoje sposoby, by coś osiągnąć. Nie moje.

Hirka zastanawiała się nad jego słowami, ale nie znalazła w nich żadnego fałszu. Mówił to, co myślał. Stracił tak wiele, że nie wierzył już nawet w to, w czym był dobry.

– Czyli nie potrafisz mi pomóc?

Wyprostował się.

– Cóż, chyba sama masz do tego dar. Potrafisz sprawić, by inni chcieli za ciebie walczyć. A więc nie, choć to się może wydać niepojęte, wątpię, żebym potrafił ci pomóc. Ale mogę ci powiedzieć jedno: że obietnica ma większą siłę, jeśli udowodnisz, że możesz jej dotrzymać.

Brzmiało to sensownie. Prawdziwie. Nawet mądrze. Było jednak niemożliwe. Hirka

zagryzła wargę.

– A co, jeśli nie da się tego zrobić?

Odwrócił głowę i wykrzywił usta. Jakby bawił go jakiś dowcip, którym nie chciał się z nią podzielić.

– Większość rzeczy da się zrobić. Jeśli nie w całości, to częściowo. Daj im posmak tego, czego chcą. Na początek niewiele. Tyle, żeby zapragnęli pójść za tobą, by dostać więcej. – Podrapał bliznę na czole. – Wiesz, musisz jedynie dać im przestrzeń na to, by mogli pokazać, kim są.

Hirka podniosła wzrok. Opadającym na zewnątrz lampionom towarzyszyły teraz okrzyki. Echa odbijały się od krzywych ścian krateru.

Dać im przestrzeń na to, by mogli pokazać, kim są.

To było genialne. W jej myślach słowa same układały się w działanie. W plan. Ryzykowny. Trudny. Przerazająco wiele rzeczy musiało się wydarzyć, aby się udało. Ale to było możliwe. I była to też jedyna rzecz, jaką mogła zrobić.

Obudziła się w niej nadzieja. Rozlała się po całym ciele, aż Hirka poczuła mrowienie w palcach. Uśmiechnęła się szeroko. Kąciki ust niemal ją zabołały, jakby od zbyt dawna tego nie robiła.

Poklepała go po ramieniu.

– Jesteś genialny – powiedziała. – Jesteś... – Próbowała sobie przypomnieć to słowo, którego tak często używał Stefan. – Jesteś sukinsynem!

Ta nagła czułość zbiła go z tropu. Uśmiechał się zakłopotany, ale przede wszystkim wyglądał na wystraszonego.

Dźwięk jej imienia przetoczył się po korytarzu. Skerri ją wołała. Pora się zbierać. Miała spędzić ten wieczór, patrząc, jak dorośli Umpiri bawią się kijami. I miała na to patrzeć razem z Jórem. Martwo urodzonym, który jej nie kochał, a mimo to chciał zostać jej mężem.

Wstała.

– Hirko... – Urd uniósł podbródek. Jakby próbował odzyskać godność. – Co się ze mną stanie? Kiedy zacznie się ta wojna?

Zastanawiała się nad tym. Wiele razy. Urd był jak te ptaki w klatce. Żywe latarnie. Nie mogła go wypuścić, bo ryzykowałyaby jego życie. Ale nie mogła go też zatrzymać. Musiał być częścią planu.

– Urd, za kilka dni wrócę do domu. Do Ym. Chcesz mi towarzyszyć?

Jego oczy się rozszerzyły. Patrzył na nią, jakby powiedziała złośliwy dowcip.

– Nie tego pragniesz? – spytała.

Wciągnął powietrze. Wypuścił je, jakby od dawna tego nie robił.

– W tej chwili niczego bardziej nie pragnę niż spokoju. Tylko na tym mi zależy.

Hirka popatrzyła na niego.

– A więc, Urdzie Vanfarinnie... wydaje mi się, że w końcu się rozumiemy.



JEDNA Z NICH

Hirka szła wyprostowana jak struna u boku Jóra. Obecna była większość osób z domu Hod: jego starsza siostra Ganei, z mężem i chyba z córką. Trudno było się połapać w rodzinach, w których nikt nie wyglądał na wiele starszego od innych.

Rzucała się w oczy nieobecność Hod. Hirka domyślała się, że tak pozostanie na długo. Może nawet do samego końca.

Otaczała ich służba. Hirka wyraźnie czuła obecność dwóch mężczyzn, którzy szli najbliżej niej. Upadłych ze stalowymi kroplami na czołach. Zabezpieczenie, na wypadek gdyby trzeba było kogoś zabić.

Niech ci, którzy już raz to zrobili, zrobią to ponownie.

Tych dwóch wcześniej nie widziała, ale rzucali jej ukradkowe spojrzenia. Z powodu tego, kim była, czy może rozeszły się plotki? Czy odwrócą się do Jóra i powiedzą mu, że idzie ze zdrajczynią? Tą, która próbowała wywołać powstanie?

Spięła się. Trudno było otrząsnąć się z tych myśli, musiała spróbować. To będzie długi wieczór.

Te walki były ważne dla wszystkich oprócz niej. Dla Umpiri były świętem. Obchodami wszystkich dobrych rzeczy, które miały nadejść. I sposobem, by zmierzyć się z rodami, które niedawno awansowały. Dla niej była to jedynie niepożądana zwłoka. Strata czasu w sytuacji, gdy nie miała ani chwili do stracenia. Rozmowa z Urdem uświadomiła jej, co musi zrobić. Czas naglił.

Umpiri tłumnie schodzili ulicami opadającymi w dół krateru. Nigdy wcześniej nie była tak blisko dna. Tutaj krater był węższy. Na tyle wąski, by widziała stojących po drugiej stronie, tuż obok siebie, w niszach, na ławach i na skalnych półkach. W zależności od tego, za jakie miejsca zapłacili.

Członkowie domu Hod mieli własne miejsca w pierwszym rzędzie pomieszczeń wykutych w skale. Hirka weszła za Jórem. Już miała usiąść na ławie, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Naturalnie ławy były dla służby. Ona była Dreyri. A Dreyri stali.

Podniosła wzrok. Wysoko w górze sterczał Język Mówców. To tam stała, kiedy ją przedstawiono. Miała wrażenie, że jest pożerana. Że spogląda do wnętrza gardła. Paszczy, która otwierała się gdzieś wysoko w górze, gdzie na niebie tańczyła zorza polarna, jak wszystko to, co wielkie i prawdziwe, na zawsze poza jej zasięgiem. Była uwięziona tutaj, wśród małych, idiotycznych rzeczy. Umpiri, którzy zamierzali się okładać kijami.

Spojrzała w dół i ze zdumieniem stwierdziła, że na dnie krateru jest woda. Ale może to wcale nie było takie dziwne. Do morza było niedaleko. Pośrodku wznosiło się coś w rodzaju platformy. Nieregularny kształt, jakby stworzyła ją natura. Jej powierzchnia była jednak płaska i równa, a liczne mosty łączyły ją ze ścianami krateru.

Na platformie narysowano trzy kręgi. Jakiś mężczyzna popychając wózek, zbierał lampiony, które opadły na dno. Niektóre wciąż płonęły. Przydeptywał je i wrzucał do wózka. Było coś wzruszającego w tym, że nie rzucał ich po prostu do wody.

Na jeden z wiszących mostów weszła grupka gotowych do walki Umpiri i tłum zaczął wiwatować. Zbieracz lampionów musiał się pośpieszyć. Podniósł ostatnie i zniknął na moście poniżej miejsca, gdzie siedziała Hirka.

Jór pochylił się w jej stronę.

– Stawiam na Grida. W ostatnich miesiącach był nie do pobicia. – Jego głos nie zdradzał smutku ani strachu o matkę, choć wiedziała, że je czuł. W tym jednak Dreyri byli najlepsi. W ukrywaniu uczuć.

Hirka dostrzegła jasne włosy Grida stojącego na platformie. Oparł sobie kij na ramionach. Był rozluźniony. Pewny siebie. Kawalek dalej stał Raun, z krwiście czerwonymi włosami upiętymi w węzeł. Nie brał udziału w walkach, był trenerem. Skerri również tam stała, otoczona mężczyznami i kobietami mierzącymi ją wzrokiem.

Przez krater przetoczył się okrzyk i zaczęła się walka. W każdym kręgu jedna para. Rzucili się na siebie, jakby gardzili śmiercią. Kije uderzały o kije w makabrycznym rytmie. Grid po chwili pokonał pierwszego przeciwnika i zjawił się kolejny. Jego również szybko wyrzucił poza krąg, kopnięciem w pierś, które było słyhać nawet tutaj. Hirce zrobiło się niedobrze.

I z kimś takim mają walczyć krainy Ym?

Spojrzała w drugą stronę. Prosto w oczy Kolaila. Stał w tłumie, trochę niżej i udawał, że jej nie widzi. Musiała z nim porozmawiać!

– Zaraz wrócę – rzuciła do Jóra i opuściła przypominające balkon pomieszczenie, zanim zdążył o cokolwiek zapytać. Za późno przypomniała sobie, że coś takiego to zniewaga. Nie tylko nie poprosiła o pozwolenie, ale obróciła się do niego plecami. Zawahała się. Powinna do niego wrócić? Nie, to było ważniejsze. Musiała liczyć na to, że Jór okaże jej wyrozumiałość.

Wyrozumiałość... Czy to pasuje do Umpiri?

Przeciskała się przez rozkrzyczany tłum. Pot pachniał jak pot, również w tym świecie. Dotarła do Kolaila i pociągnęła go za sobą. Wyrwał się, ale za nią poszedł. Z wyraźną niechęcią. Wypatrzyła niszę pod schodami, które pięły się po skalnej ścianie. Wszyscy przepychali się do przodu, by dostać się jak najbliżej walk.

Kolail pokręcił głową. Szare włosy opadły mu na oczy.

– Żartujesz sobie? Tutaj? Uważasz, że to dobre miejsce na rozmowę?

Hirka się rozejrzała.

– Im większy hałas, tym mniej słyszą – odparła. – Powiedzieli coś?

Zaśmiała się krótko.

– Jeśli i tak zamierzałaś zamienić moje życie w koszmar, to mogłaś mnie nie ratować.

Nawet się nie starała ukryć poirytowania.

– Nigdy nie jest za późno... Co powiedzieli?

Spojrzał na nią.

– Zapytaj lepiej, czego *nie* powiedzieli. Tak byłoby prościej. Odkąd nie myśląc, co robisz, przysłałaś do tej karczmy, nie mam chwili spokoju! Mówią, że jesteś zdrajczynią. Pułapką. Wybawicielką. Jedyne, czego nie mówią, to że są zgodni. A na co liczyłaś?

Hirka się uśmiechnęła.

– Właśnie na to, co mówisz.

– Nie pójdą dla ciebie na wojnę, Hirko. Nie odwrócą się przeciwko swoim, żebyś mogła uratować garstkę ætlingów.

– Chcesz powiedzieć, że się nie odważycie?

W jego oczach zakłębił się czarny atrament. Pociągnął klapy kurtki.

– Chcę powiedzieć, że możemy stracić wszystko, a nic na tym nie zyskamy.

Pochyliła się w jego stronę. Ogarnął ją zapal.

– A co, jeśli najpierw dam wam zwycięstwo, żebyście sami mogli wybrać, co chcecie zrobić?

Kolail z niedowierzaniem zmarszczył czoło.

– Mogę zabrać was do Evny – ciągnęła, by nie mógł jej przerwać. – Do Ym. I mogę to zrobić przed wyruszeniem na wojnę, Kolail. Rozumiesz? Nie musicie obiecywać, że będziecie walczyć. Niczego nie musicie ryzykować. Musicie tylko przenieść się przez wrota na drugą stronę. A gdy przybędzie reszta, zrobicie, co zechcecie. Będziecie mogli walczyć dla nich, dla samych siebie albo nawet uciec do lasu. To nie moja sprawa.

Potarł szczękę. Niemal czuła, że to go kusi. Że dostrzegł nową możliwość, tak samo jak ona. Postanowiła zadać ostateczny cios.

– Da się to zrobić, ale zanim pierwsze rody wyruszą do Nifel. Nie prześlemy was przez

bramę, kiedy w mieście będzie pełno Umpiri. Czas nagli.

Zawahał się.

– Nigdy nie pozwolą ci się tam udać...

– Zostaw to mnie – odparła z przekonaniem, którego tak naprawdę jej brakowało.

Warknął jak wilk.

– Chcesz nas wszystkich zabić!

– Chcę pozwolić, żebyście pozabijali się *nawzajem!* – Powiedzenie prawdy przyszło jej tak łatwo, gdy tłumiona wściekłość wzięła górę. Odetchnęła głęboko. – Posłuchaj, Kolail... Ty i ja nie mamy takich samych celów. Pod żadnym względem. Wy chcecie pozbyć się kropel na czołach i zmienić system, który każe wam je nosić. Ja chcę uleczyć Evnę. Ale mamy szansę, że uda się i wam, i mnie.

Rozejrzał się ukradkiem, przerażony, że ktoś zobaczy ich razem.

– Szczujesz Umpiri na Umpiri, brata przeciw bratu. Pozwolisz nam wszystkim zginąć, żeby ratować własny lud. Żeby wzmocnić Evnę. Osiągnąć to, czego *sama* chcesz.

Założyła ręce. Uznała to za wystarczające potwierdzenie.

Wpatrywał się w nią.

– A oni mówią, że nie jesteś Dreyri...

– Cóż, króliki zdychają – odparła. – I teraz wiem, co to znaczy.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Jór. Zrobiło jej się zimno. Zdawało się, że czas się zatrzymał. Nie mógł ich tak zobaczyć. Nabrać podejrzeń. Hirka uderzyła Kolaila otwartą dłonią. Wzdrygnął się. Dotknął policzka.

– Jeśli ci mówię, żebyś coś zrobił, zrób to – powiedziała. – Nie zadawaj pytań, Keskolail.

Drgnęły mu kąciuki ust. Cofnął się i zaczął wchodzić po schodach. Jór spojrzął za nim. Hirka położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam, Jór. Kazałam mu przynieść coś do picia, ale ma problemy ze zrozumieniem najprostszych rzeczy.

Jór się zaśmiał.

– Nie jest tępy, tylko uparty. Zawsze pozwalał sobie na więcej niż inni upadli, ale w sumie nic dziwnego.

– Ach! Jak to? – Hirka próbowała nie okazać, jak bardzo ją to zaciekawiło.

Jór pochylił się w jej stronę, jakby od zawsze dzielili się tajemnicami.

– Ponoć został upadłym podczas wojny. Bo zabił mężczyznę, który próbował podpalić namiot. Keskolail uratował Skerri skórę.

Hirka spojrzała za Kolaiem, ale już dawno zniknął. Nie okłamał jej, gdy wyjęła mu odłamek szkła. Bredził od rzeczy, ale to, co powiedział, było prawdą. Został upadłym, bo uratował niewłaściwą osobę.

A ona mu nigdy tego nie wybaczyła.

Hirka zamknęła oczy. Odgłosy uderzających o siebie kijów i okrzyki zdawały się płynąć z jej wnętrza. Obce i zwierzęce. Spodziewała się, że poczuje płomienny gniew. Że taka potworna niesprawiedliwość ją rozwścieczy. Ale nie czuła nic.

Wreszcie się przyzwyczaiła do tego miejsca. Umpiri wreszcie przestali ją szokować. To było zwycięstwo, smakowało jednak jak porażka.



UMOWA

Rime szedł dnem jaru. Był wilgotny i pachniał zyzną ziemią, ale w nocy był pozbawiony barw. Drzewa obsiadły kruki. Mroczne cienie szeleszczące piórami. Od czasu do czasu któryś podrywał się, by usiąść w innym miejscu. Rime miał wrażenie, że to on zakłóca im spokój. Teraz wszakże wszystkim zakłócał spokój.

Dotarł nad krawędź, gdzie jar otwierał się na Gniazdo Ślepych. Usiadł na kamieniu i wyjął buteleczkę. Czarny kształt na dłoni. W mroku wyglądało to tak, jakby ktoś zranił go w rękę toporem. Odrąbał mu palce. I może nie było to aż tak dalekie od prawdy.

Jego życie kręciło się wokół buteleczki z krwią. Wokół tego, by zadowolić martwy dziób. To było chore. Zepsute. Nienawidził tego. I tego, że sam był sobie winny.

Jak zawsze ogarnęła go chęć, by wylać krew na ziemię. Pozbyć się jej. Pozbawić się możliwości odpowiedzi. Wtedy nie miałby wyboru, gdyby Graal znów go wezwał. Ale jaka byłaby cena? Nie tylko ból. Nie tylko śmierć. W tej chwili jedynie Graal łączył go z Hirką. Przecinając te więzy, pozostawiłby ją na pastwę nieznanego losu. Zdaną na wątpliwą łaskę Graala.

Nie wspominając nawet o tym, że Kruczy Dwór i Ciemne Cienie go potrzebowali. W każdym razie, dopóki będzie walczył po ich stronie. Dopóki Graal mu na to *pozwoli*...

Nie. Musiał zachować spokój. Złudzenie kontroli. I musiał się dokładnie dowiedzieć, jak bardzo to będzie boleć. Im wcześniej, tym lepiej.

Rime zaczerpnął Evny i wylał sobie na język kilka kropli krwi. Złagodziła pieczenie w gardle. Przyniosła mu chwilowe zadowolenie, jakby dziób chciał go nagrodzić za to, że się podporządkował. Słyszał, że tak samo działa opa. Narkotyki, które uzależniały aetlingów. Ile siebie straci?

Dziób obudził się w jego gardle.

– Myślałem o tobie, Rime. Znów jesteśmy przyjaciółmi? – Brzmiało to szczerze i ciepło. Bez sarkazmu. I mówił to mężczyzna, w którego rękach spoczywało jego życie.

Rime zdusił śmiech.

– W każdym razie nie jesteśmy kochankami.

Na chwilę ogarnął go smutek. Przelotne uczucie, które nie wyływało z niego samego.

– I tak wkrótce miałem się do ciebie odezwać – powiedział Graal. Znów nad sobą panował. Powróciła kontrola, chłodna dominacja. – Mannfalla wysłała kilkuset mężczyzn na północ i miałem nadzieję, że ty mi wyjaśnisz, w jakim celu. Dokąd zmierzają?

Rime się zawahał. Wiedział o tych oddziałach i wydawało się bardzo prawdopodobne, że chodzi o wymianę z Meredirem Beigiem. W tej chwili jedenaście krain kupowało i sprzedawało przyjaciół, jakby to były futra. Zakładał, że Graal dawno doszedł do tego samego wniosku. To była próba.

– Gdybym wiedział, dokąd zmierzają, nie siedziałbym tutaj i nie gadałbym z tobą – odpowiedział.

Ciężkie milczenie. Przygotował się.

– Dlaczego? – spytał w końcu Graal. – Dlaczego miałbyś kłamać w tak nieistotnej sprawie? Czy nie mamy wspólnego celu? Obaj chcemy osłabić Darkdaggara.

– Skoro mamy wspólny cel, to dlaczego sądzisz, że kłamię? – Rime zapatrzył się w mrok, jakby Graal siedział przed nim.

– Bo nie pytasz! – Wybuch Graala targnął jego gardłem. – Gdybyś nie wiedział, zapytałbyś mnie. Ilu wojowników? Kiedy wyruszyli z Mannfalli? Twój brak zainteresowania może wynikać tylko z tego, że już wiesz, więc po co miałbyś...

Graal umilkł. Niechcący powiedział zbyt wiele. Rime poczuł, jak jego wściekłość zmienia się w zdziwienie. A potem w to, co najgroźniejsze. W zrozumienie.

– Trenujesz... – szepnął. – Ćwiczysz znoszenie bólu.

Rime chwycił patyk leżący na ziemi. Wiedział, że będzie musiał coś zagryźć. Wiedział, że zaraz przyjdzie ból. Zacisnął oczy.

No dalej. Dalej.

Doczekał się.

Ból przeszył gardło jak stal. Dziób nacisnął na krtań z taką siłą, że Rime runął do przodu. Pękała mu głowa. Znikły wszystkie myśli o tym, żeby coś zagryźć. Żeby wytrzymać. Wcisnął twarz w mech. Podźwignął się na łokcie. Przełknął krew. Doczołgał się do skraju urwiska i spojrzał w przepaść. Upadek byłby wybawieniem.

Nagle ogarnął go paraliż. Ból ustał. W jego miejsce pojawiła się słodka pustka. Ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Pojął. Dziób nie zamierza pozwolić mu zginąć. Wyczuł pragnienie śmierci i go powstrzymał. Serce Rimego zaczęło bić w panice. Jakby tłukło się o ziemię pod nim.

Bezgłośnie krzyknął z twarzą w mchu. Czuł smak ziemi i krwi. Nie miał już powietrza.

Znów był wolny. Mógł się poruszyć. Przetoczył się. Miecze uwierały go w plecy. Leżał i oddychał. Wpatrywał się w szczyt jaru. W ciemne niebo.

Wydawało mu się, że rozumiał, co oznacza dziób. Jak to jest być niewolnikiem. Ale w pełni pojął to dopiero teraz i czuł, że ta świadomość za chwilę go udusi. Prawdziwy niewolnik nie ma możliwości ucieczki.

Dziób się już nie poruszał, ale Rime wciąż czuł obecność Graala. Potworny ciężar smutku w piersi. Martwo urodzony szepnął jego imię:

– Rime...

Rime podźwignął się na czworaki. Splunął. Miał wrażenie, jakby dziób się kurczył. Domagał się więcej krwi.

– Wypij. Proszę. Poczujesz się lepiej.

To była przewrotna prośba. Rime nie odpowiedział. Nie poruszył się. Usłyszał, że ktoś się zbliża.

– Rime, musiałeś się dowiedzieć... Nie chciałem...

– Nie jestem sam – powiedział Rime. Jego głos był zachrypnięty i zmieniony. Zdziwił się, że w ogóle jest w stanie mówić.

Graal się zawahał. Wrażenie jego obecności zniknęło powoli i niechętnie. Ale zniknęło.

Rime wstał. Podniósł głowę i zobaczył postać między drzewami mierzącą do niego z długiego łuku.

Tein.

Miał na sobie obcisły sweter.

– Wiesz, w tym jestem lepszy niż w walce na miecze.

Rime się zaśmiał. Czuł piasek w gardle.

– Miejmy nadzieję.

Syn wodza wyszedł z cienia. Łuk jęknął cicho, jakby Teinowi dało to pretekst, by wypuścić strzałę. Rime przyłapał się na tym, że właśnie na to liczy. Może tym razem też pozwoli mu wygrać.

– Z kim rozmawiasz, Rime? – Teinowi drgnęły usta. Najwyraźniej wiedział, że odpowiedź nie może oznaczać nic dobrego.

– Jeśli chciałeś strzelić, to strzelaj.

Tein mocniej napiął łuk.

– Myślisz, że żartuję?

– Myślę, że nie trafisz.

Rime wpatrywał się w niego. Czekał na ledwie dostrzegalny ruch zdradzający, że zwolnił cięciwę. Długo to trwało. Rime rozłożył ręce i podszedł do niego.

– Miecze też mam odłożyć, żebyś miał pewność...

– Z kim rozmawiasz?!

Rime był już blisko.

– Chcesz tego. Wiem, że tego chcesz. Nieważne, z kim roz...

– Odpowiedz mi! – Tein się cofnął. Stracił równowagę. Niechcący puścił cięciwę. Strzała z westchnieniem wbiła się w ziemię.

Rime rzucił się na niego. Wcisnął jego twarz w skalną ścianę i wygiął mu ręce do tyłu.

– Gdybyś potrafił się na chwilę zamknąć, poznałbyś odpowiedź, Tein.

Syn wodza puścił łuk i próbował się uwolnić. Był silny, ale brakowało mu techniki i wytrzymałości. Już teraz ciężko dyszał.

– Powiem ci, z kim rozmawiam – syknął mu do ucha Rime. – A kiedy to zrozumiesz, spełnisz swoje marzenie. Potrzebuję twojej pomocy. Słyszysz, co mówię?

– W czym? – zachnął się Tein, wciąż z twarzą przy skale.

– Chcę, żebyś mnie zabił. – Tein przestał walczyć. Rime go puścił. – Możemy już porozmawiać jak dorośli?

Syn wodza się odwrócił. Czarna grzywa włosów przykleiła mu się do czoła.

– *Chcesz*, żebym cię zabił?

Rime oparł się o skałę. Dopadło go zmęczenie. Osunął się na ziemię.

– Mam dziób w gardle. – Te słowa wypłynęły z niego jak trucizna. Gdy tylko je wypowiedział, poczuł się czystszy. Oparł głowę o chłodny kamień. – Kruczy dziób. Jest martwy, ale żyje. Dzieło ślepych, Tein. To z nim rozmawiam.

Tein opadł na ziemię obok niego.

– Tak jak Vanfarinn? Ten członek Rady?

Rime kiwnął głową.

– To ten sam dziób. I czyni ze mnie niewolnika. Narzędzie.

Tein podchwycił jego spojrzenie. Złość zniknęła. Przesłoniły ją wstręt i niedowierzanie.

– Czyjego niewolnika?

– Graala.

Przez chwilę syn wodza patrzył na niego zdezorientowany. Potem skojarzył to imię i zrozumiał. Rime nie wiedział, ile zdradził mu Eirik, ale najwyraźniej wystarczająco dużo. Gdzieś niedaleko skarżył się kruk. Odpowiedział mu chór innych głosów, a potem w jarze znów zapadła cisza.

Tein szarpał wrzosa.

– Do czarnej Slokny...

– Coś w tym stylu... – Rime potarł twarz rękoma. – Słuchaj, nie wiem, co będzie ani czy to świństwo nie przejmie nade mną kontroli. Ale kiedy to się stanie, będę potrzebował pomocy, rozumiesz? Kogoś, kto to zakończy. Proszę cię, bo...

– Bo ojca nie możesz poprosić. On by nigdy tego nie zrobił. Prędzej zastrzeliłby *mnie* niż cię. – Tein się uśmiechnął, ale nie udało mu się ukryć goryczy.

Rime spojrzał na niego. Syn Eirika. Eirika, który dla wszystkich miał czas i siły. Uwielbianego wodza Kruczego Dworu. Może taka była cena, kiedy ponosiło się odpowiedzialność za zbyt wielu. Że zapominało się o najbliższych.

– Tein...

– Nawet nie próbuj, Rime. Jesteś spełnieniem wszystkich jego marzeń. Dla *wszystkich* jesteś spełnieniem marzeń. Nawet dla niej... – Ostatnie słowa zabrzmiały ochryple. Jakby dławiała go własna gorycz.

– To dlatego proszę ciebie – dodał Rime. – Nie tylko starczy ci sił, żeby to zrobić, ale też sprawiłoby ci to przyjemność.

Tein zaśmiał się ponuro.

Rime podał mu rękę.

– Czyli powstrzymasz mnie, kiedy nie będzie już wyjścia? Mamy umowę?

Tein chwycił jego dłoń. Była cieplejsza od dłoni Rimego.

– Mamy umowę.



PRAGNIENIE

Hirka usiadła na łóżku. Zakołysało się. Coś ją obudziło, ale nie wiedziała co. Jakieś uczucie. Potrzeba. Ścisnął jej się żołądek, ale nie czuła mdłości. Była spragniona. Potwornie.

Dotknęła gardła. Pić. Musiała się czegoś napić.

Wyskoczyła z łóżka i weszła do łazienki. Woda z lodowca spływała rowkiem w skalnej ścianie i zbierała się w zagłębieniu. Napiła się. To nic nie pomogło, więc wypila więcej. Lodowata woda złagodziła skurcze, ale nie pragnienie. Hirka otarła usta. Spojrzała na swoje przedramię. Żyły nabrzmiały, jakby biegły na skórze. Wciąż śpi? Czy to jest jakiś koszmar?

Już kiedyś mi się to śniło.

W lochach Eisvaldru. Kiedy ją uwięzili. Wtedy też obudziła się z nabrzmiętymi żyłami, tak jak teraz. Dopadł ją strach, ale pragnienie wciąż było silniejsze. Wyszczrzyła zęby do swojego odbicia w lustrze. Urd miał rację. Zmieniła się. Była blada. Włosy urosły dłuższe i bardziej niesforne. Czerwone na tle białej skóry. Widziała mięśnie na swoich ramionach, wyrzeźbione od walki na kije i od żelaznych obciążników. Fakt, że odkąd tu przybyła, nie jadła żadnego porządnego posiłku, też miał na to wpływ.

Usta były zaschnięte, jakby miała w nich piasek. Czuła posmak krwi. I musiała posmakować jej więcej.

Gdy tylko o tym pomyślała, żyły zaczęły się chować. Jakby uświadomienie sobie tego było obietnicą.

Pić. Tak strasznie chciało jej się pić.

Ubrała się. Chwyciła kij i wyszła na balkon. Zeskoczyła na ulicę. O tak wczesnej porze wciąż było ciemno. Nawet kruki się jeszcze nie obudziły. Puściła się biegiem do domu Widzącego. Im bardziej się zbliżała, tym bardziej nasilało się pragnienie. Jakby płynęło z serca. Zasysało każdą kroplę w jej ciele. Język puchł. Puls dudnił jej w uszach.

Wszędzie, gdzie się dało, biegła na skróty. Po mostach i przez zaułki. Ścinała zakręty, zbiegając w dół. Ku odgłosom szalejącego morza. Nad nią po obu stronach piętrzyły się

czarne skały, lśniące od wody z roztopów. Widziała już fale. Ten widok sprawiał, że pragnienie stawało się nie do zniesienia. Przyśpieszyła. Pośliznęła się na piachu naniesionym na ulicę przez fale, ale poderwała się i popędziła dalej. Po schodach. Szarpnęła zardzewiałe drzwi.

– Widzący! – zawołała, pokonując korytarz, i wpadła do jaskini. Była pusta. Może jeszcze spał, ale nie mogła czekać, aż zechce mu się wstać.

Zacząła grzebać w słojach i miskach na regałach. Słyszała swój oddech. Brzmiał jak u zziąjanego zwierzęcia. Jakiś słoć spadł na podłogę. Rozbił się. Trudno.

Gdzie ona jest?!

– Tego szukasz?

Hirka się odwróciła. Chwyciła butelkę z ręki Widzącego i zaczęła pić. Ciało się rozluźniło. Wszystko się rozluźniło. Opadła na ławę, dalej pijąc, póki w butelce nie została ani jedna kropla. Upuściła ją. Naczynie potoczyło się pod stół. Widzący je złapał i usiadł naprzeciw Hirki.

Uderzenia serca dudniły jej w uszach. Zbyt szybkie, by je liczyć. Zamknęła oczy. Poczekala, aż oddech się uspokoi, i spojrzała na istotę siedzącą po drugiej stronie stołu. Odsłonięta twarz Widzącego ukazywała wszystkie przerażające szczegóły. Czerwona gardziel. Pół usta, pół dziób. Oczy osadzone w dziwnym miejscu, jakby się osunęły. Luźna skóra zwisająca pod podbródkiem.

A jednak to ona z nich dwojga była zwierzęciem. To samo uczucie miała z Jórem. Otaczały ją potwory, ale żaden nie był gorszy od niej. Przesunęła językiem po zębach. Wyssała z nich krew.

– Co się ze mną dzieje? – spytała ochryple.

Widzący spojrzał jej w oczy.

– Niedobrze ci? – spytał.

Potrząsnęła głową.

– Gdybym miał więcej, wypiłabyś jeszcze?

Skinęła.

Zaśmiał się. Spazmatyczne dźwięki, coś między śmiechem a krzykiem. Hirka pochyliła się nad stołem.

– Miałam ciężki rok – warknęła. – Straciłam resztę cierpliwości, kiedy prawie umarłam, więc spytam jeszcze *tylko raz*: co się dzieje?

Jedynie zmarszczki wokół czarnych ptasich oczu zdradzały, że się uśmiecha.

– Kruk cię przyjął. Akurat ciebie. Mieszkańca. Pół człeka, pół Dreyri.

Hirka patrzyła na niego. W jej głowie pojawiły się wszystkie pytania naraz. Zmieniły się w bezkształtną masę. Nie była już w stanie ich od siebie odróżnić. Uchwyciła się tego,

które było na tyle ważne, by przebić się przez resztę.

– Mogę urodzić się z kruka? Jeśli przejdę do Ym, do Evny?

Westchnął. Zaświszczało mu w płucach.

– Wydaje się to niemożliwe, ale otrzymałaś błogosss...sławieństwo kruków. I jesteś silna. Czy to znaczy, że kiedyś będziesz w sss...stanie czerpać... Kto to może wiedzieć?

– Ja to wiem. Jeśli tylko się tam dostanę.

– I jeśli znajdziesz dziób i poprosisz go o przysługę. I jeśli będzie gotów ci pomóc, choć nie znasz imienia kruka. I jeśli przeżyjesz przemianę. W twoim losie zapisanych jest wiele „jeśli”, Hirko.

Nienawidziła jego słów, bo myślała dokładnie tak samo. Miał rację. Wiele rzeczy było niepewnych i splatało się w jedną wielką gmatwaninę. Wszystko albo nic. Możliwe, że skończy tak jak on. Spędzi resztę życia w bólu. Ukryta pod szatą, zasłonięta przed światem. Ale czy nie było tak od zawsze? Przecież zawsze trzymała się na uboczu, żyła w ukryciu.

Jej usta uniosły się w zwierzęcym uśmiechu.

– Co najgorszego może mi się stać?

– Nie wiem. Jesteś pierwsza, jedyna w sss...swoim rodzaju.

Miała nadzieję, że Widzący powie coś innego. Wszystko było lepsze niż niewiedza.

Ale i tak musiała spróbować. Może nigdy nie narodzi się z kruka ani nie nauczy się czerpać. Może Evna jest tak zniszczona, że już nigdy nie stanie się silna jak kiedyś. Gdyby tylko udało się przedostać tam z upadłymi... i wydobyć dziób z gardła Rimego... Wtedy przynajmniej dałaby krainom Ym szansę na przetrwanie.

Widzący podszedł do paleniska, podpierając się kijem, który mu dała. Wepchnął suchy mech między szczapy i podpalił. Od razu zajęły się ogniem.

– Rozumiesz, co to znaczy? – spytał. – Masz w sobie mniej krwi pierwszych niż ktokolwiek tutaj, a mimo to kruki cię pobłogosławiły. Zmienisz wszystko.

Hirka spojrzała na niego.

– Jeśli dożyję chwili, gdy przedostanę się do Ym.

– A czemu miałabyś jej nie dożyć? Martw się lepiej tym, co będzie, kiedy już tam dotrzesz.

– Wtedy wszystko będzie zależało ode mnie. I od Evny. Z tym potrafię sobie poradzić. Tutaj jest gorzej. Tu własna rodzina próbuje pogrzebać mnie żywcem! Pokazują mnie jako dowód potęgi Graala, ale właściwie mnie nienawidzą. Mieszana krew. Człek. Sam tak mówiłeś!

Oparł kij o stół i usiadł naprzeciw niej.

– Pogrzebać cię żywcem?

Hirka potarła twarz rękoma.

– Kiedy do ciebie przyszedłam i powiedziałam, że chcę się narodzić z kruka... Nie zapytałeś, co się stało. To była Skerri. Ona ma nie po kolei w głowie. Czasem widzi we mnie kogoś, kto może wynieść do wyższej rangi jej dom. A czasem córkę kochanki, który już jej nie chce.

Położył rękę na jej ramieniu. Czarne szpony rozcapierzyły się na skórze. Wyglądało to tak, jakby była podzielona na kawałki.

– Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałaś? Nie możesz pozwolić, żeby cię sss... skrzywdziła! Nie teraz! Jesteś... jesss...steś...

Hirka spojrzała badawczo na jego ptasią twarz. Troska wydawała się szczerą. To było tak niespodziewane, że pożałowała swoich słów.

– To nie zależy ode mnie, Widzący. Ale teraz już wiesz, że jeśli coś mi się stanie przed wojną, to będzie jej dzieło.

Zamknął oczy. Przekrzywił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Hirka słyszała tylko fale roztrzaskujące się o skalną ścianę. Ścisnął mocniej jej ramię. Otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Twoja rodzina ma niebezpieczną tajemnicę – powiedział. Jego spojrzenie było teraz przygaszone. Jakby dokonał jakiegoś trudnego wyboru.

Hirka już to słyszała. W domu Modrasme było zbyt wiele ciemnych zakamarków. Miejsc, od których zręcznie trzymano ją z dala.

Jaskinia wokół niej jakby się skurczyła. Ściany się zbliżyły, jakby chciały słuchać. Hirka bała się poruszyć, żeby nie zniechęcić Widzącego do mówienia.

Oparł ręce na kolanach.

– Żyję, bo nigdy nikomu nie zdradziłem tej tajemnicy. Ale jeśli dobrze ją wykorzystasz, może cię utrzymać przy życiu.

– Dlaczego mówisz mi o tym teraz? Nie wmawiaj mi, że nagle się mną przejmujesz...

Wbił wzrok w podłogę. Zraniła go? Nie, to było coś innego. Wstyd. Nagle pojęła.

– Nie wierzyłeś we mnie – szepnęła. – Aż do teraz. Sądziłeś, że nigdy nie otrzymam błogosławieństwa kruków. Ani nie narodzę się z kruka. Ale *teraz* już wierzysz. *Teraz* się przejmujesz.

On sądzi, że mogę go uleczyć.

Drgnęła mu głowa. Jak u ptaka, który otrzepuje się z deszczu. Pochylił się nad stołem. Miał tak garbate plecy, że wyglądało to, jakby przed nią klęczał.

– Hirko... oni nie byli braćmi.

– Kto? Kto nie był bra... – Pytanie zamarło na jej ustach.

Graal i Naiell.

Wpatrywała się w niego. Z zapalem pokiwał głową, jakby to miało jej pomóc zrozumieć.

– Graal jest prawdziwym sss...synem Rauna i Uhere. Są twoją rodziną, Hirko. Ale Naiell...

– Skąd możesz...? Jak miałbyś...?

Położył czarny szpon na jej ustach.

– Posłuchaj mnie, dziecko. Raun i Uhere mieli syna. To było dawno temu, przed wojną i jeszcze dwa razy tyle. Dom miał wysoki sss...status. Ale na Dreysíl nic nigdy nie jest dostatecznie wysokie. – Rozejrzył się. Odruch świadczący o niepewności, ale w jego oczach widziała niezłomną wolę. – Uhere poważnie zachorowała i sss...starali się to ukrywać najlepiej, jak mogli. Huczało od plotek. To zagrażało ich pozycji. Aż do chwili, gdy Uhere pokazała się z kolejnym synem. Bracia. I dzieliło ich tylko sto lat. Stali się legendą. Kochani. Uwielbiani. Czczeni. Dom Modrasme otrzymał miejsce w Radzie. To tak zdobyli sss...swoje imię. Swoje dziedzictwo. – Zmarszczył nienaturalnie cofnięte czoło. – Możliwe, że nigdy nie wkroczylibyśmy do Ym, gdyby nie całe to szaleństwo, jakie narosło wokół tych dwóch. Nie było w tym jednak ani ziarna prawdy. Wiem o tym. Pielęgnowałem Uhere, kiedy była chora. I zapewniam cię, nie była w ciąży. Nie wiem sss...skąd się wziął Naiell. Ale pachniał tak jak oni. Raun i Uhere zdawali sobie sprawę, że wiem, lecz nigdy o tym nie wspomnieli. Często do mnie przychodzili z podarunkami, tak jak wielu innych. I zawsze przyprowadzali ze sobą Naiella. Jeśli jego zapach mógł mnie zwieść, to mógł zwieść wszystkich. I tak się sss...stało. Nie wiem, czy to oszustwo czy cud, ale miał w sobie krew Modrasme. Nikt nie mógł w to wątpić. Wciąż jednak przychodzili. Rok po roku. Dzięki temu widziałem, jak dorass...stał. Jak stawał się mężczyzną równym bogom. – Widzący się zawahał. Hirka nie śmiała oddychać. – Kochałem go. Bardziej niż on mnie, ale mogłem z tym żyć. Jesteś o sss...stulecia za młoda, by wiedzieć, o czym mówię, ale tak właśnie było. Czasem tęsknota jest zbyt silna i bierzesz to, co masz.

Jego słowa przywołały obraz Rimego. Był piękny. Niepohamowany. Pełen pierwotnej siły. Jej całkowite przeciwieństwo. A jednak zawładnął jej sercem. Robił rzeczy, o których mówił, że są konieczne, choć dla niej były straszne. Pełen dobrych zamiarów zdeptał wszystko, w co wierzyła. A mimo to go kochała. Kochała. Pragnęła. Marzyła, marzyła i się miotła. Nic jednak nie mogło zmienić tego, że nie istniała taka rzecz, której nie byłaby gotowa dla niego zrobić. I była zmuszona to udowodnić.

– Tak było – ciągnął Widzący. – Aż do chwili, gdy podczas wojny wyjawilem mu prawdę. Rozumiesz, co to oznacza dla twojej rodziny? Gdyby ktoś się dowiedział?

Hirka kiwnęła głową, choć właściwie nie rozumiała. Ukarano by ich, to było oczywiste. Może nawet wszyscy musieliby nosić stalowe krople na czole.

Zasłyszane urywki połączyły się w jej głowie w jedną całość. Zdrajca Naiell. Dlaczego się

od nich wszystkich odwrócił? Żeby stać się bogiem w krainach Ym, twierdził Graal. Żeby rządzić, mówił Rime. A co, jeśli wpadł w szal, bo okłamywano go przez całe życie?

Przypomniała go sobie. Długie, czarne włosy. Zadufanie. Chrapliwy śmiech. Poczła grudę w gardle. Przypomniała sobie, jak potraktował Graala. Jak groził, że ją zabije. Było mu daleko do świętego.

Nikt nie jest święty.

Hirka wstała.

– Może przyjsć taka chwila, gdy będę musiała im powiedzieć, że wiem. Rozumiesz to?

– Rozumiem.

– Domyślą się, kto mi powiedział.

Widzący również wstał, jakby z mniejszym trudem niż wcześniej.

– Zabić Widzącego? Nikt nie zechce ściągnąć na siebie nieszczęścia przed wojną. – Wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki. Uśmiech, którego jego twarz nigdy nie zdoła wyrazić. – I tak nie mogą sss...skrzywdzić żadnego z nas. Pieczęć została złamana. Zabezpieczyłem się. Jeśli coś mi się sss...stanie, prawda wyjdzie na jaw. Teraz jesteśmy równi, ty i ja. Ta sss...sama tajemnica nas zabije lub pozwoli nam przeżyć.

W jego słowach słyhać było przygnębienie. Ale dla niej to była nadzieja. Broń. Teraz miała ostrą klingę, po którą mogła sięgnąć, gdyby nie chcieli jej wypuścić.

Hirka wyciągnęła rękę. Czarne palce Widzącego zacisnęły się na niej. Szorstkie jak krucze szpony. Uścisk dłoni. Podziękowanie. Teraz przynajmniej wiedziała, że stoi po jej stronie. Wcześniej bała się mieć nadzieję. Ale Widzący uwierzył. Teraz był gotów na nią postawić. I liczyła na to, że nie on jeden.

Zostawiła go. Otworzyła zardzewiałe drzwi i wyszła. Czula zapach morza. Zapach zmiany. Nic nie było tak, jak sądziła. A Naiell nie żył, więc nigdy nie będzie jej dane poznać całej prawdy.

Ruszyła w długą drogę powrotną do domu, który zbudowano na kłamstwie.



SKRADZIONY

– Nie ma mowy – powiedziała Uhere. Zabrzmiało to niewyraźnie, bo trzymała w ustach szpilkę do włosów, ale jej odpowiedź nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Hirka uświadomiła sobie, że to jej pierwsza kłótnia z własną rodziną. A miało być jeszcze gorzej.

– To nie było pytanie – odparła. – Odejdę. Muszę odejść.

Uhere ułożyła włosy i wsunęła w nie spinkę. Opadły z powrotem na jej ramiona, bo były odrobinę za krótkie, by je upiąć. Nie dawała za wygraną. Pewnie dlatego, że szpilka była podarunkiem od domu Delnare, trzeciego. Zdobiły ją sznury paciorków w żółtych barwach rodu i wszyscy w towarzystwie na pewno zauważą, skąd pochodzi.

Kok znów się rozsypał. Uhere odwróciła się do Hirki z miną wyrażającą rezygnację, jakby to przez nią musiała się tak męczyć.

Raun odstawił kielich na półkę i podszedł do nich. Wyglądał imponująco w swoim stroju. Jedną rękę zdobiło coś, co wyglądało jak fragmenty zbroi. Oczywiście zupełnie nieskutecznej, ale pięknej. Lśniący stał na ramieniu, łokciu i przedramieniu. Coś pomiędzy zbroją a ozdobą.

Pomógł Uhere ułożyć włosy. Zebrał je czule między palcami.

– Gdy już znajdziemy się w Ym, będziesz mogła bawić się z Evną, ile tylko zechcesz – odezwał się. – Będziesz miała cały czas tego świata. Ale teraz potrzebujemy cię tutaj. Jak myślisz, co powiedziałaby Jór, gdybyś znikła przed samym wyruszeniem do Nifel?

Hirka spojrzała na niego. Nikomu nie wspomniała o propozycji Jóra. Mimo to Raun wiedział. Zaczęło świtać jej w głowie, że ona i Jór są pewnie najmniej zaangażowani w plan połączenia domów.

– A co do tego ma Jór? – spytała z udawaną naiwnością.

Raun i Uhere wymienili spojrzenia w lustrze. Na chwilę zepchnęła ich do defensywy. Skorzystała z okazji i szybko wyłożyła sprawę:

– Może nie widzicie powodów, żeby mi na to pozwolić, ale to dla mnie ważne! Nie mogę wyruszyć na wojnę, nie wiedząc, czy Widzący mi pomógł i czy uda mi się zapanować nad

Evną. I nie ma żadnego powodu, żebym tego nie zrobiła. Nie ma żadnego ryzyka! Oczywiście Skerri ze swoją manią prześladowczą uważa, że ucieknę i nigdy nie wrócę. Myśli, że chcę ostrzec przyjaciół w Mannfalli. Zupełnie jakbym miała tam jeszcze jakichś przyjaciół! Gdybym spróbowała, i tak by mogła mnie powstrzymać, bo musi udać się tam ze mną. To ona ma kruka. I jeśli naprawdę sądzicie, że Skerri nie będzie mi w stanie przeszkodzić, to możecie wysłać jeszcze dwudziestu innych! Wyślijcie, ilu chcecie, to nie ma znaczenia. Potrzebuję tylko kilku dni i nie będę nawet musiała opuszczać kamiennego kręgu. A on znajduje się przecież pod ziemią! Ile kłopotów mogę narobić pod ziemią? Nikt w Ym się nawet nie połapie, że tam byłam.

Raun puścił włosy Uhere. Tym razem kok się nie rozsypał.

– Graal powiedziałyby to samo co my, Hirko. To nie ma żadnego sensu. Przykro mi.

Hirka o mało nie warknęła. Miała nadzieję, że nie będzie musiała wykorzystać tajemnicy. To zostanie odebrane jako groźba, ale co innego jej pozostawało? Musiała przedostać się do domu, zanim wszystko pochłonie Slokna. Odnaleźć Rimego i wydostać dziób z jego gardła, żeby był wolny i mógł walczyć. A jeśli Kolail zbierze upadłych, to może nawet Rime nie będzie musiał walczyć sam.

Spojrzała na Rauna.

– Mogę porozmawiać z tobą na osobności?

Oczy Uhere zwęziły się. Jej szyję kilkakrotnie owijał mocno napięty naszyjnik.

– Nie mówiłam ci? Za bardzo jej pobłażasz. – Zwracała się do Rauna, nie spuszczając z oczu Hirki.

Raun położył Hirce rękę na plecach.

– To nic nie zmienia, że...

– Chodźmy – rzuciła Hirka.

Odwróciła się do niego plecami i ruszyła. Łamała wszystkie zasady dobrego wychowania, ale nie miała już na to siły. Zbliżała się wojna, światy miały umrzeć. Przejmowanie się tym, do kogo odwraca się plecami, było co najwyżej ponurym żartem.

Raun poszedł za nią do jej pokoju. Zamknął za sobą drzwi. Może wreszcie zrozumiał, jakie to dla niej ważne. A może chciał się upewnić, że Uhere nie usłyszy ich rozmowy. Wtedy mógłby udawać, że potraktował Hirkę surowo.

– Usiądź, Raun.

Chciała być miła, ale proszenie Umpiri, żeby usiadł, sugerowało oczywiście, że zaraz usłyszy coś naprawdę strasznego. Coś, co może sprawić, że ugną się pod nim kolana.

Zawahał się, ale zrobił to, o co prosiła. Usiadła obok niego na ławie przy oknie.

– Czy Graal wie, że nie są braćmi?

Oczy Rauna stały się czarne jak noc. Wydawało się, że przestał oddychać. Hirka

stłumiła impuls, by się ze wszystkiego wycofać.

– Zniszczyłabyś nas? – spytał zmienionym głosem.

– Nigdy – odparła. Nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek uraczyła kogoś tak gorzkim połączeniem prawdy i kłamstwa.

Raun jakby zapadł się w siebie. Brzęknęła stal na jego ręce. Bezużyteczna zbroja. Zareagował zupełnie nie tak, jak się spodziewała. To było szczere. I fizyczne. Hirka uniosła rękę. Chciała dotknąć jego pleców, ale się powstrzymała.

– Zabiję go – warknął.

– Sama się tego domyśliłam – skłamała Hirka. – A jego reakcja tylko to potwierdziła, tak jak teraz twoja. I nie zrobił nic złego. Ale jeśli go tkniesz, zaczną się dziać złe rzeczy. Wiesz o tym. Zawsze wiedziałeś.

Drżenie czerwonej brody zdradzało, że się trzęsie. Coś, co zdarzyło się tak dawno temu, wciąż miało nad nim władzę. Zawsze sobie wyobrażała, że czas zaciera ostre krawędzie wszystkiego, co bolesne i trudne. Może z tajemnicami jest inaczej. Może im dłużej się w kimś tłą, tym wszystko staje się gorsze. A tę nosił w sobie przez prawie trzy tysiące lat.

– Nie było tak, jak myślisz – odezwał się. – To nie było planowane. Nikt nie wyruszył na poszukiwanie dziecka; to byłoby chore. – Oparł się na łokciach, jakby nie był w stanie unieść tego ciężaru. – To było tak dawno temu... Mieszkaliśmy wtedy w Nifel. Uhere się rozchorowała. Sądziłem już, że ją stracę. Myślałem, że to starość, że zostało jej tylko kilka miesięcy. Ale nie pojawiły się zmarszczki. Nie zaczęła siwieć. Miała tylko gorączkę. – Potarł twarz rękoma. – Widzący był bezsilny. Powiedział jednak, że być może istnieje coś, co mogłoby jej pomóc. Nasiona srebrokłosu. Ta roślina była prawie nie do zdobycia. Ze wszystkich rozesłanych przez nas kruków tylko jeden wrócił z dobrą wiadomością. Od pewnego kupca tu, w Ginnungad. Za odpowiednio wyższą cenę zgodził się kogoś wysłać, żebym mógł się z nim spotkać w połowie drogi. – Raun odchrząknął. Czekala go najgorsza część tej historii. – Napadli mnie na drodze. Zatrzymali. We trzech. Żaden nie przeżył. Ostatniego dogoniłem na bagnach. Własnymi rękoma utopiłem go w błocie. Był Dreyri.

Hirka odchyliła głowę i zamknęła oczy. Dotarło do niej, co powiedział. Raun zabił jednego ze swoich. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, byłby upadłym. Nosiłby stalową kroplę na czole. Ledwie by wiązał koniec z końcem, utrzymywałby się z dorywczych prac i rzucałby butelkami na ulicach.

– Wydostałem się z bagna. Patrzyłem, jak tonął. To mógł być koniec. Ale wtedy kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Ktoś mnie widział. Kobieta. Pobiegłem za nią na skały. Usłyszałem płacz, ale nie jej. Miała na rękach dziecko. Mimo to uciekła na skraj urwiska. Też była Dreyri, wołała skoczyć na pewną śmierć z własnym dzieckiem, niż pozwolić się zabić. Złapałem ją. Nie miałem pojęcia, co chcę zrobić. Próbowałem ją ratować czy zadbać

o to, by nikomu nie opowiedziała o tym, co zobaczyła. Nie wiem. Do dziś tego nie wiem. – Wyciągnął rękę, jakby chciał pokazać, co zrobił. – Chwyciłem ją. Przewróciła się. Ja też. Zacisnęła ramię na dziecku tak mocno, że przestało krzyczeć. Może próbowała nie dopuścić, żebym to ja zabił jej dziecko. Nie wiem. Ale złamałem jej rękę. Uwolniłem je. Kobieta kopała. Walczyła jak niedźwiedź. Wbiłem w nią szpony. Zamroczyłem ją, żeby nie mogła się poruszać. Dopiero wtedy to poczułem. Zapach dziecka. Tak znajomy, że mogłoby być moje. Potem... siedziałem z nim w ramionach, pierwsi raczą wiedzieć jak długo. Kiedy się podniosłem, nic na świecie nie mogłoby mi go odebrać. Był mój. – Spojrzał na Hirkę. – Nie wiem, ile w tobie jest z człeka, a ile z Dreyri, ale zapach rodziny... Naszej własnej krwi... Nigdy wcześniej i nigdy później nie słyszałem o czymś podobnym. Może coś z nim było nie tak od chwili, gdy się urodził. Bo nie pachniał jak rodzice. Może to dlatego mieszkał tam na odludziu, a może sami go ukradli, nie wiem. Zabrałem go ze sobą. Kobiecie skręciłem kark i ją też zatopiłem w bagnie. Ale zabrałem dziecko. Pewnie myślisz, że po to, by mój dom uzyskał wyższy status, to jednak nieprawda! Nieprawda...

Hirka kiwnęła głową. Było jej niedobrze. Nie z powodu tego, co zrobił, tylko na myśl o sobie. O tym, że wykorzystwała tę tragedię jako środek nacisku. Kim teraz była? Kim się stała?

– Ukryłem go przed posłańcem kupca. Odebrałem srebro i wróciłem do domu. Kiedy złożyłem go w ramionach Uhere, wiedziałem, że postąpiłem słusznie. Przez kilka dni nie chciała go wypuścić z objęć, ale wyzdrowiała. Sama z siebie. I taka była nasza historia. Przyznaliśmy, że Uhere była chora, ale z powodu dziecka. Bo była w ciąży. Dało nam to więcej szczęścia, niż kiedykolwiek mógłbym sobie wymarzyć. – Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. – Do czasu, kiedy się od nas odwrócił.

Hirka milczała. Prawdopodobnie Raun nie wiedział, dlaczego Naiell ich zdradził. Nie wiedział, że Widzący powiedział jego synowi całą prawdę. I nie musiał o tym wiedzieć. Widzący miałby wtedy jeszcze większe kłopoty. A Raun mógłby nie znieść świadomości, że przyczyną zdrady był jego własny czyn.

Raun. Ojciec jej ojca. Ale nawet te silne plecy nie wszystko zniosą.

– Kto o tym wie? – spytała.

Westchnął ciężko.

– Nikt inny nie miał się dowiedzieć. Wszystko miało zostać między mną a Uhere. Widzący ją pielęgnował, więc oczywiście się domyślił. Mógł jednak najwięcej zyskać na dochowaniu tajemnicy. Nigdy by nie uzyskał takiego statusu, gdybyśmy tak często do niego nie przychodzili.

– Graal wie – stwierdziła Hirka. – Inaczej by się tak nie bał, co Widzący może mi powiedzieć. A co ze Skerri?

– Nie wiem. Coś się stało podczas wojny. Wiem, że się pokłócili, wszyscy troje. Niewykluczone, że... Nie wiem.

Hirka położyła mu rękę na plecach.

– Raun, udam się do Ym. Już niedługo. Wezmę ze sobą tych, którym ufasz. Zostanę po drugiej stronie najwyżej kilka dni i z nikim nie będę się kontaktować. Rozumiesz? Jeśli musisz, porozmawiaj ze Skerri i z Graalem. Wymyśl jakieś wytłumaczenie dla domu Hod. Jakiegokolwiek. Powiedz, że udałam się do Nifel, żeby się przygotować. Że mam się tam z wami spotkać za osiem, dziewięć dni. Nie masz się czego obawiać z mojej strony.

Kłamstwo miało zgniły posmak. Czuła się tak, jakby te słowa wypowiadał ktoś inny. Jakby ją zmieniły. Raun miał się czego obawiać. Była taka jak Naiell. Wiedziała, że ich wszystkich zdradzi. Że przez nią będą się ścierać na polach bitew. Walczyć i może ginąć.

Raun nieznacznie kiwnął głową. Spojrzał na nią.

– Nikt się nigdy nie domyślił, że nie byli braćmi. Nikt. Jak to możliwe, że zgadłaś?

Hirka szukała jakiegoś powodu. Dobrego wyjaśnienia. Uśmiechnęła się.

– Nie wyczuwam tego węchem, tak jak wy. Nie widziałam niczego, co by ich łączyło. Dostrzegałam same różnice. Byli jak dzień i noc.

Raun patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

– Syn, którego ukradłem, udęczony syn, którego spłodziłem.

Hirka nie wyprowadziła go z błędu, choć wiedziała, że obaj synowie wycierpieli tyle samo. A teraz z ich powodu miały cierpieć światy.



BEZ POWROTU

Zbliżali się do Nifel. Droga wydawała się krótsza niż wówczas, gdy Hirka tu przybyła. Może dlatego, że pogoda była przyjemniejsza. Albo dlatego, że używali dróg i nie musieli brnąć przez śnieg w miejscach, gdzie nikt nie chodził. Jednak najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że tym razem wiedziała, czego się spodziewać. Śnieg i mróz nie były dla niej zaskoczeniem. Podobnie jak brak postojów i porządnego jedzenia.

Tym razem była lepiej przygotowana. Miała dodatkowy bukłak. Suszone ryby i ciastka w worku. Wiedziała, że nie zamrznie ani nie umrze z głodu. Ale tylko tego była pewna. Wszystko inne było tak mgliste, że skupiła całą uwagę na drobnych sprawach. Na tym, nad czym miała kontrolę.

Skerri brnęła przed nią, wyprostowana jak struna, mimo śnieżycy, przy której wszyscy się kulili. Hungl i Tyla szli z tyłu. Ciągnęli sanie tak obciążone, że były wyższe od nich. Koce, latarnie, olej, miski... Pierwszy nieformalny ładunek, który miał dotrzeć do Nifel, zrujnowanego miasta.

Urd stanowił najdziwniejszą część tego ładunku. Przez większość czasu siedział na saniach, bo według Skerri za bardzo ich spowalniał. Po prawie roku w niewoli nie nadawał się do zmagania z nieubłaganą przyrodą. Hirka oświadczyła jednak, że go potrzebuje, żeby nauczyć się czerpać. Starła się zdradzić jak najmniej z jego historii i nie wspomniała, że używał Evny do zabijania. Położyła natomiast nacisk na to, że eksperymentował i uczył się, używając krwi Umpiri. A więc siedział teraz między kufkami, owinięty kocem. Blady i w miarę opanowany.

Nie zabrali ze sobą żadnego upadłego. Kiedy wyruszali, nie mogli znaleźć Kolaila. Hirka postanowiła uznać to za dobry znak. Będzie czekał w Nifel. Pojawi się. Musi tak być.

Ledwie zdążyła z nim przez chwilę porozmawiać, ukradkiem, na balkonie. Powiedziała, żeby zebrał tych, którzy mają odwagę za nią pójść, bo ta chwila to teraz albo nigdy. Muszą się trzymać z dala od dróg i przemieszczać małymi grupami. Spytała, czy ją zrozumiał. I czy nie wypił za dużo. To, że nikt go nie mógł teraz znaleźć, świadczyło być może o tym, że odsypiał gdzieś pijaństwo...

Hirka ukradkiem zerkała w stronę gór. Czy w ich cieniach kryli się upadli i bezdomni? Czy tak jak ona przedzierali się teraz przez śnieg i lód? A może wyruszyli wcześniej?

Dostała osiem, dziewięć dni. Skerri była zdania, że na wygłupy Hirki musi starczyć sześć dni. Uważała, że to egoistyczny, chory pomysł. I to tylko kiedy była w dobrym humorze. Co by powiedziała, gdyby знаła jej prawdziwy cel?

Szczegóły nie dawały Hirce spokoju. Dręczyły ją. Co, jeśli nikt się nie zjawi? Jeśli Kolaila tam nie będzie? Co, jeśli nikomu się nie uda obezwładnić Skerri? Jest przecież bersarkí. Wojowniczką z kręgu. A Hungl i Tyla też nie należą do słabeuszy.

Hirka powiedziała, że nikt nie zginie, ale jak inaczej unieszkodliwić takich jak oni? Była jeszcze Damayanti po drugiej stronie. Może nie będzie sama? A co, jeśli Graal spróbuje skontaktować się z tancerką albo ze Skerri, nim minie uzgodniony czas? I nikt mu nie odpowie?

Zemści się na Rimem. Musiała wydostać dziób z jego gardła, zanim Graal pojmie, że go zdradziła. To było aż takie proste. I niewykonalne.

Hirka mocniej ścisnęła kij. Czasem tylko on utrzymywał ją na nogach. Stał się częścią niej. Bez niego czuła się naga. I pomagał jej odnaleźć drogę.

Chociaż byłoby przesadą nazywać drogą coś, co bardziej przypominało ciągnące się przez pustkowia zagłębienie w śniegu. Rzadko widywała ułożone na sobie, na wpół skute lodem kamienie. Przydrożne znaki. A może ruiny. Któż mógł wiedzieć, co się kryje pod śniegiem?

Weszli pomiędzy coś, co przypominało ukośnie sterczące ze śniegu kry. Gdy znaleźli się pod drugiej stronie, zobaczyła Nifel. Labirynt z czarnego kamienia porzucony pośrodku lodowego pustkowia. Znaczna część ruin była zasypana śniegiem. Jedynie koliste zagłębienia w śniegu rozchodzące się jak kręgi na wodzie zdradzały rozmiary miasta. Nietrudno było dostrzec salę z kręgiem kamieni. Wznosiła się ponad otaczające ją budynki.

Szli tędy, gdy po nią przybyli, ale wszystko świadczyło o tym, że od pokoleń nikt tego miasta nie odwiedzał. Żadnych śladów na śniegu. Żadnych latarni. I ani jednego upadłego.

Pokonali ostatni odcinek. Sala piętrzyła się nad nimi, jakby chciała ich ostrzec, by nie wchodzili do środka. Jakby wiedziała, że w każdej chwili może runąć. Hirka musiała sobie przypomnieć, że stoi tak od co najmniej tysiąca lat.

W ruinach mimo wszystko było przytulniej. Wiatr wciąż wył przez dziury w ścianach. Z krużganków na wielu piętrach zwisały zwały lodu, tak jak to zapamiętała. Pośrodku ogromnego pomieszczenia wznosił się krąg kamieni. Wokół niego zebrały się zaspas. Hirka niemal widziała samą siebie taką, jaka musiała być w dniu, w którym tu przybyła. Co wtedy myślała. Z czym się tu spotkała. To było jak wspomnienie o dziecku.

Co by było, gdyby wtedy spotkała siebie taką, jaka stała się teraz? Co by pomyślała?
O tej, która planowała rozlew krwi na taką skalę?

Otrząsnęła się z tej myśli. Sprawiała jej za dużo bólu.

Skerri przystanęła w cieniu najbliższych kamieni.

– Hungl, ty weź tę stronę, Tyla, ty tamtą. Sprawdźcie, które pomieszczenia najlepiej się nadają do mieszkania.

Tyla się przeciągnęła. Odgięła ramiona do tyłu tak, że aż chrupnęło.

– To wokół tej sali są pomieszczenia? Za lodem?

– To jest Maknamorr – odparła oschle Skerri, jakby im to cokolwiek mówiło. – Miejsca jest tu w bród. Najwięcej w podziemiach. Spokojnie pomieszczą kilkaset domów.

Maknamorr.

Hirka słyszała kiedyś to słowo, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, w jakiej sytuacji.

Skerri wbiła swój kij w śnieg. Oczekała, aż pozostali znikną w innych pomieszczeniach. Potem podeszła do sań. Urd się skulił. Nie był w stanie ukryć strachu. Skerri chwyciła go za gardło. Wytrzeszczył oczy. Spojrzał na Hirkę, jakby go zdradziła.

– Hej?! – Hirka podbiegła do nich.

Urd osunął się na sanie. Znieruchomiał z jedną ręką zwisającą za krawędź. Skerri go zamroczyła.

– Myślałaś, że pozwolę, żeby to zwierzę zobaczyło, jak to się odbywa? – Skerri wytarła rękę w jego koc. Skrzywiła się z obrzydzenia. Zdjęła z pleców futerał z krukami.

Nie! Jeszcze nie teraz!

Hirkę ogarnęła panika. Był na to jeszcze czas. Wciąż mogli się zjawić.

– Nie rozbijemy najpierw obozu? – spytała z napięciem w głosie.

Skerri parsknęła.

– W przeciwieństwie do ciebie uważam, że nie stać nas na marnowanie czasu. Im szybciej, tym lepiej.

Kucnęła i zdjęła wieko. Zacisnęła pięść, kalecząc wewnątrz dłoni szponem. Kilka kropli krwi ściekło na ptasi szkielet. Hirka wpatrywała się w jej czarne usta w nadziei, że rozróżni wypowiedane szeptem słowa. Imię dzioba, który nosiła w sobie Damayanti. Ale nie sposób było tego dosłyszeć. Może nawet nie trzeba było wypowiadać imienia?

Po krótkiej chwili tancerka odpowiedziała. Hirka od dawna nie słyszała tak łagodnego głosu. Był niczym jedwab, ciepły i zmysłowy.

– Skerri? Spodziewałam się was dopiero jutro rano.

– Szliśmy szybko – odparła Skerri. – Za ile możesz być na miejscu?

Chwila ciszy.

– Wkrótce. Zaraz wyruszam.

Skerri zamknęła futerał i wstała. Oparła ręce na biodrach i omiotła wzrokiem salę. Wydawała się teraz o wiele wyższa. Silniejsza. Hirce na chwilę ulżyło, że są tutaj same. Bez Kolaila. Bez upadłych. Że nie trzeba będzie z nią walczyć.

Zaraz jednak sobie przypomniała, co to oznacza. Nikt nie wesprze krain Ym. A ona po drugiej stronie nie będzie mogła uciec. Nie spotka się z Rimem. Jest sama.

Skerri zmrużyła oczy.

– Wiem, o czym myślisz. Innych możesz oszukać, ale nie mnie.

Serce podeszło Hirce do gardła. Nie śmiała odpowiedzieć.

– Nie jesteś jedną z nas – oświadczyła Skerri. – I nigdy nie byłaś. Może myślisz, że zdołasz uciec, ale się mylisz.

– To byś zrobiła? Uciekłabyś? – Hirka zmusiła się, by przywołać na twarz chłodny uśmiech.

Skerri obnażyła kły i postąpiła o krok bliżej. Za jej plecami śnieg zaczął się przesuwać w stronę kamieni. Jakby coś go zasysało. Hirka wskazała głową na krąg.

– Damayanti jest na miejscu.

– My też.

Hirka się wzdrygnęła. To był głos Kolaila.

Zbliżał się przez zaspę i nie był sam. Hirka naliczyła sześciu. Potem dostrzegła kolejnych, nadchodzących z drugiej strony. Zjawili się! Czekali w pomieszczeniach wokół sali.

Błyskawicznie otoczyli Skerri. Hirka nie śmiała oddychać. Brama była otwarta, nie mieli czasu do stracenia. I nie mogli dopuścić, by Skerri zdążyła ostrzec Damayanti. Hirka rzuciła się do przodu. Chwyciła futerał z krukiem i wycofała się.

Na chwilę Skerri sparaliżowało niedowierzanie. Złapała kij, ale się zawahała. Nie ze strachu. Jej rysy wykrzywiała wściekłość. Nieskrywana, czysta furia. Zawahała się, bo musiała się zastanowić. Hirka niemal czytała jej w myślach. Skerri próbowała ocenić, co jest ważniejsze. Walczyć do upadłego czy ostrzec Graala.

Brama! Jest tylko jedno wyjście.

Zupełnie jakby ta myśl uderzyła je równocześnie. Skerri rzuciła się biegiem w stronę kręgu. Tam, gdzie słaby powiew zasysał śnieg. Hirka nabrała powietrza i krzyknęła:

– KOLAİL!

Strzała była już w powietrzu. Wbiła się w plecy Skerri. Martwo urodzona padła na kolana i runęła twarzą w śnieg. To wszystko było jak wypaczone obrazy ze wspomnień Hirki. Wtedy to ona stała w kręgu kamieni i usłyszała wołanie Skerri. Zobaczyła padającego Umpiri. Teraz ona krzyknęła, a Skerri padła na śnieg. Łucznik był ten sam.

Kolail podszedł do Skerri. Usiłowała podnieść się na łokciu, ale wbił szpony w jej szyję

i przytrzymał ją, póki nie przestała walczyć. Podchwycił spojrzenie Hirki. Kiwnął głową, jakby chciał ją zapewnić, że Skerri z tego wyjdzie. Hirka nie miała czasu, by to sprawdzić. Teraz liczyło się tylko jedno: zabezpieczyć kruczy pierścień.

Nie potrafiła czerpać, więc musiał to zrobić któryś z Umpiri. Ktoś musiał przejść na drugą stronę, by nie byli już uzależnieni od tego, czy Damayanti ponownie otworzy przejście.

Hirka gorączkowo machnęła ręką na Kolaila.

– Biegnij!

Pojał. Przywołał gestem jeszcze dwóch. Razem wbiegli między kamienie i zniknęli. Hirka zamknęła oczy. Miała nadzieję, że Damayanti jest sama. Że nie będzie stawiać oporu. Że nie zdąży nawiązać kontaktu z Graalem...

Czas się zatrzymał.

Proszę, proszę...

Znów zjawił się Kolail. Oparł się o najbliższy kamień. Był zdyszany. I pewnie miał mdłości. Jeśli reagował tak jak ona. Spojrzał na nią i uśmiechnął się leniwie. Jakby był pijany.

Evna. Poczutł Evnę.

Hirka nie wiedziała, czy powinna się śmiać czy płakać. Zabezpieczyli bramę. Skerri i pozostali byli zamroczeni. Zaczęło się odliczanie. Graal mógł w każdej chwili spróbować się skontaktować ze Skerri albo z Damayanti. Może nie dziś czy jutro, ale najpóźniej w dniu, w którym Hirka miała wrócić. A wtedy nikt mu nie odpowie. Graal się zorientuje, że coś jest nie tak. Zostało jej pięć dni. Marne pięć dni. Kpina w porównaniu z tym, co musiało się w tym czasie wydarzyć.

Hirka wpatrywała się w drobinki śniegu zasysane między kamienie. Przypominały piasek przesypujący się w klepsydrze.



– Czekaj! Daj mi obejrzeć. – Hirka zatrzymała mężczyznę, który podnosił Skerri ze śniegu. Zawisła bezwładnie twarzą w dół, przerzucona przez jego ramię. Czarna peleryna zaciskała się na jej szyi, napięta strzałą, która przebiła tkaninę i tkwiła ukośnie powyżej łopatki. Rana była głęboka, ale nie śmiertelna. Hirka wyjęła nóż i przecięła pelerynę. – Zajęliście się pozostałymi? – Zacisnęła ręce na drzewcach strzały.

– Kolail teraz sprawdza – odparł mężczyzna.

Przypomniała go sobie z karczmy. Ogolona głowa i czarne kontury wokół oczu, jak u rysia. Nie bał się wtedy rzucić jej wyzwania.

– Jesteś Skolm, zgadza się?

Kiwnął głową. Hirka jednym szarpnięciem wyrwała strzałę. Wypłynęło trochę krwi, ale zaraz ranę pokryła biała piana i jej brzegi zaczęły się zamykać.

– Cieszę się, że przybyłeś, Skolm. Niewiele nas, ale lepsze to niż nic. – Nie wiedziała, czy udało jej się ukryć rozczarowanie. Garstka upadłych nie odmieni losów wojny.

Skolm się zaśmiał. Jego gromki śmiech przypominał jej Eirika z Kruczego Dworu.

Już wkrótce. Wkrótce znów ich zobaczę.

Zarzucił sobie Skerri na plecy jak upolowaną zwierzynę i ruszył w stronę kamieni, między którymi właśnie pojawił się Kolail.

– Córka Graala myśli, że jest nas tylko tylu – rzucił, gdy się mijali. A potem zniknął po drugiej stronie.

Kolail zaśmiał się cicho. Wsunął do ust dwa palce i gwizdnął. Dźwięk przeciął salę. Hirka dostrzegła w cieniu jakiś ruch. Ktoś jeszcze gwizdnął. Omiotła wzrokiem zawalone ściany. Niewiele było widać. Niebo zdążyło już pociemnieć. Przez chwilę wydawało jej się, że zbliża się do nich przez zasy pyłu stado dzikich owiec. Potem uzmysłowiła sobie, że to Umpiri. Wielu. Było ich coraz więcej i więcej. Przedstawiali się do sali przez zawalone mury. Wychodzili z cienia. Z pomieszczeń. Spoglądali na nią z wyższych pięter.

Hirka upuściła nóż. Usłyszała, jak uderzył o posadzkę pod śniegiem.

– A co sobie myślałaś? – spytał Kolail. – Pierwszą rzeczą, jaką tutaj zobaczyłaś, był głód Evny. Glimau zginął, żeby ją poczuć. A ty powiedziałaś, że ich do niej zabierzesz jako wolnych mężczyzn i wolne kobiety.

Hirka schyliła się po nóż. Chciała schować go z powrotem w bucie, ale wsunęła go za pasek. Wpatrywała się w hordy, które zaczynały ich otaczać. Zaciśnęła usta, żeby się nie rozplakać. Nie miała pojęcia, czy pieczenie pod powiekami wynika z ulgi czy ze strachu. Pewnie z jednego i z drugiego. Wojna wydawała się bliższa niż kiedykolwiek dotąd, a ona nie była już sama. Ale jakie mieli oczekiwania? Myśleli, że co teraz będzie?

Co ja zrobiłam...?

Odchrząknęła, żeby pozbyć się grudy w gardle.

– Ilu ich jest?

Kolail wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie liczyłem.

Hirka podejrzewała, że do tylu nie potrafiłby nawet policzyć. Podniosła wzrok i spojrzała na niego.

– Co im powiedziałaś?

– To samo, co ty mi. Że najpierw zabierzesz ich do Ym i do Evny. I że potem będą mogli wybrać.

Hirka poczuła chłód w piersi. To było zbyt niejasne. Gdy tylko przejdą na drugą stronę, powstanie chaos. Ale nie było już odwrotu. Zaczęła coś i musiała doprowadzić to do końca.

Skolm wyszedł pomiędzy kamieni. Zostawił Skerri w Ym, razem z Hunglem, Tylą i Urdem. Podchwycił jej spojrzenie i lekko ugiął jedno kolano. Wiedziała, skąd wziął się ten szacunek. Dotrzymała obietnicy. Skolm poczuł Evnę.

– Damayanti nic się nie stało? – spytała.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Wszyscy są zamroczeni i związani. Ætling również. Zostawiliśmy Brilika, Brea i Vinrid, żeby ich pilnowali. Mamy ich przenieść w inne miejsce?

– Nie, o jaskini pod kamiennym kręgiem nikt nie wie. Tam jest bezpiecznie. Powiedziałeś im, że Damayanti musi dostawać porządne jedzenie?

– Tak, już o tym wiedzą. Kobieta jada tak jak ty. Ale będzie musiało jej wystarczyć to, co mamy.

– I gdy już odejdziemy, żadnemu z nich nie wolno czerpać. To ważne. Rozumieją to?

– Rozumieją – potwierdził. – Można im ufać. Jeśli któryś z więźniów spróbuje czerpać, znów go zamroczą.

Hirka kiwnęła głową. Otaczały ją rzesze upadłych i bezdomnych. Nienawidziła tłumów. Przez całe życie się przed nimi chowała. Unikała ich. Bała się ich. Inni są zagrożeniem, powtarzał ojciec. Wciąż się bała, ale czegoś zupełnie innego. Teraz bała się, że obiecała im zbyt wiele. Że rozpoczęła coś, co skończy się krwawą jatką.

Pierwsi przystanęli kilka kroków od niej, wciąż jednak zjawiali się kolejni. Wyciągnęła szyję, ale nie widziała końca tej cizby. Rzucali wygłodniałe spojrzenia na krąg kamieni za jej plecami.

– Słuchajcie! – zawołała, zaskoczona siłą własnego głosu. – Jest was wielu. Zbyt wielu, by sądzić, że w Ginnungad nie zauważą waszego zniknięcia. To znaczy, że nie ma już powrotu.

– Nie przyszliśmy tu, żeby wracać – usłyszała z pierwszego rzędu.

Inni zaczęli krzyżeć na potwierdzenie. Ci, którzy mieli kije, uderzali nimi o posadzkę, dziurawiąc śnieg. Wzruszyłaby ją ta bezgraniczna radość, gdyby nie to, że wszyscy narażali życie.

– Nie przyszliście tu też, żeby zginąć! – krzyknęła. Musiała to powtórzyć, kiedy już się uspokoili. – Nie przyszliście tu, żeby zginąć. Kiedy wejdziemy między te kamienie, znajdziemy się pod Mannfallą. Nikt nas nie zobaczy. I tak musi pozostać. Jest nas dużo, ale o wiele za mało, byśmy mogli sami zdobyć Mannfallę. Mówię to, bo wkrótce znów posmakujecie Evny. A widziałam już Umpiri po Evnie. Będziecie odurzeni. Będzie się wam wydawać, że jesteście niepokonani. Nie wolno wam ulegać tym impulsom, to by było

samobójstwo. Rozumiecie? Musimy wydostać się z Mannfalli. Niepostrzeżenie. Kiedy tak się stanie, będziecie mogli wybrać. Jesteście wolnymi mężczyznami i wolnymi kobietami. Możecie zniknąć w lasach albo w górach, żyć w ukryciu, póki nie zaczniecie się starzeć.

Hirka zobaczyła, że zakładają ręce na piersi. Byli sceptyczni, tak jak na to liczyła. Dzięki temu druga możliwość wyda im się lepsza.

– Albo możecie pójść ze mną do Kruczego Dworu. Walczyć po stronie tych, którzy mogą dać wam to, czego najbardziej pragniecie: zwycięstwo nad domami. Nad Dreyri. I nad Mannfallą.

Spodziewała się, że zapytają, po czyjej stronie mają walczyć, ale tego nie zrobili. Może żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że miała na myśli ætlingów. Albo to rozumieli, ale potrzebowali czasu, by przywyknąć do tej myśli.

– A potem? – spytała kobieta stojąca dalej.

Hirka nie spodziewała się tego pytania. Przytłoczyło ją, jakby wciąż nosiła na ramionach żelazne obciążniki.

Potem... Po wojnie. Gdy już ktoś zwycięży. Kruczy Dwór i upadli. Albo Dreyri. Albo Darkdaggar. Po rozlewie krwi na niewyobrażalną skalę, który – jak sądziła – pomoże jej wysłać Evnę tam, gdzie jest jej miejsce. Do wszystkich.

A potem?

Omiotła ich wzrokiem

– Nie ma żadnego potem – odparła.

Ich reakcja ją zaskoczyła, tak samo jak wcześniej pytanie. Przez salę przetoczył się jednogłośny ryk radości. Hirka się wystraszyła, że runie reszta ścian. Kolail pochylił się w jej stronę.

– Co ci mówiłem? Jesteś taka jak my. Jesteś Umpiri.

Hirka zarzuciła worek na plecy i sięgnęła po kij. Odwróciła się do nich plecami i weszła między kamienie. Pochłonęła ją pustka. Zniknął grunt pod nogami. Otoczyła ją nicość wieczności.

Potem pojawiła się ciemność i kamienie w grocie pod Mannfallą. Hirka się potknęła. Kręciło jej się w głowie, ale nie czuła mdłości. Było ciemno. Ktoś wetknął w szczelinę w ścianie pojedynczą pochodnię, która nie wystarczała, by oświetlić wielką jaskinię. Troje ślepych stało, opierając się o skalną ścianę. Kobieta i dwóch mężczyzn. Mrużyli oczy z rozkoszy. Czuła, że czerpią. Czuła Evnę ożywiającą kamienie. Tak jak powinna ożywiać światy. Jej ciało zareagowało pragnieniem. Żyły na rękach nabrzmiały. Chciała się nią wypełnić. Kształtować ją. Ale Evna jej się wymykała. Hirka była ślepa na ziemię, tak jak zawsze.

Na podłodze leżało pięć nieprzytomnych postaci z solidnie związanymi rękoma i nogami.

Skerri, Hungl i Tyla ułożeni w rzędzie pod ścianą. Damayanti i Urd w kącie. Urda musiała ze sobą zabrać, ale nikogo z pozostałych. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co zrobiła ani ilu Umpiri ma ze sobą. Kolail wybrał troje godnych zaufania upadłych, którzy mieli zostać i pilnować Skerri i pozostałych aż do powrotu Hirki.

A co, jeśli nigdy nie wrócę?

Pod ścianą stał futerał z krukiem. Zawahała się. Powinna go zabrać? Musiała zapytać jednego z pierwszych kruków. Znaleźć dziób, który pomoże jej narodzić się z kruka. Zamierzała zapytać dziób Rimego, ale co będzie, jeśli nie uda jej się go wydobyć?

Na tę myśl zrobiło jej się niedobrze. Już wcześniej się nad tym zastanawiała i zawsze sprawiało jej to ból. Teraz mogła to znieść. Teraz była tutaj, w krainach Ym. Rime był zbyt blisko, by mógł umrzeć.

Spojrzała na futerał. Coś jej podpowiadało, że kruk Skerri i tak nie będzie do niej przychylnie nastawiony, więc go zostawiła.

Pierwsi ślepi wychodzili spomiędzy kamieni. Słyszała w mroku ich oddechy. Westchnienia, gdy wyczuwali Evnę. Niektórzy nigdy jej nie poznali – młodzi, którzy urodzili się po wojnie. Wielu z nich się śmiało. Inni gwałtownie wciągali powietrze. Byli jak dzieci stawiające pierwsze kroki.

Poprosiła Skolma, żeby niósł Urda. Zaczekała na Kolaila. Potem w milczeniu poprowadziła ich dalej. Przecisnęła się między skalnymi ścianami do tunelu pod starymi murami, o których ostatnio powiedziała jej Damayanti.

Gęsta, wilgotna ciemność budziła w niej niepokój. Znowu poczuła się tak, jakby była pogrzebana.

Słyszała szepty za plecami.

– Kolail, poproś ich, żeby się zamknęli.

Zrobił to. Wiadomość powędrowała dalej i Hirkę zaskoczyło, że zapadła cisza. Pewnie byli na wiele gotowi, by zatrzymać Evnę, której dopiero co posmakowali. Nawet na to, żeby jej słuchać.

Dotarli do otworu w ścianie. Hirka go minęła. To musiał być ten, którego używała Damayanti. To oznaczało, że wydostali się już z Eisvaldru i znajdowali się nad rzeką. Jeszcze kawałek i będą mogli wyjść w odpowiedniej odległości od bram miasta.

Po chwili tunel się skończył. Grunt zaczął się podnosić i poczuła, że już nie są pod ziemią.

– Tutaj – szepnęła do Kolaila.

Zaczerpnął Evny i wbił szpony między kamienie. Usłyszała skwierczenie, jakby topił się lód. Zrobiło się cieplej i zaczęło śmierdzieć spalonymi włosami. Podchwycił w mroku jej spojrzenie.

– Na co się tak gapisz? Żaden ze mnie splatacz Evny. Jeśli chcesz, żeby było subtelniej, idź do tyłu i przyprowadź kogoś innego.

Dotarło do niej, że jest zakłopotany, ale subtelność była ostatnią rzeczą, o której myślała. Zdołała jedynie rozdziawić usta.

Obluzował kamień. Sięgał daleko w głąb i Hirka pomogła mu wysunąć go z muru. Wyrzała przez otwór. Na zewnątrz było prawie równie ciemno. Znajdowali się poza miejską zabudową, tak jak sądziła. Przy wzgórzach, na których uprawiano herbatę. W bezpiecznej odległości od Mannfalli.

Ślepi mruźli niecierpliwie w mroku. Pomogła Kolailowi poszerzyć otwór, żeby dali radę się wydostać. Wciąż stał, trzymając w dłoni jakiś mały kamyk. Dostrzegła zarysy nadtopionych krawędzi.

– Co to jest? – spytała szeptem.

– Evnoszkło – odparł. – Mógłbym sobie za to kupić nowy dom.

Hirka się uśmiechnęła.

– Już nie. Teraz masz Evnę i możesz stworzyć tyle szkła, ile zechcesz. – Przecisnęła się przez dziurę w murze. Znow wsunęła głowę do środka. – Ostatni naprawia dziurę.

Kolail przekazał wiadomość dalej.

Hirka ruszyła. Umpiri przechodzili za nią przez wyłom w murze. Słyszała ich. Odwróciła się dopiero na szczycie wzgórza. Wciąż nie wszyscy wydostali się z tunelu. Szli długim szeregiem jak mrówki. Były ich setki. Tysiące. Ciche postacie w mroku.

W oddali widziała światła Mannfalli. Latarnie na ulicach. Mur Eisvaldru. Nigdy nie sądziła, że znow zobaczy to miasto. Opuściła je jako dziecko Odyna. Jako zgnilizna. Kim była teraz? Półczłowiekiem. Dreyri. Przepelniona kruczą krwią szła na czele hordy martwo urodzonych, którzy zamierzali zrównać to miasto z ziemią.

Jej spojrzenie mimowolnie powędrowało nad brzeg rzeki, do miejsca, gdzie powinna się znajdować herbaciarnia. Ale nie było już herbaciarni ani Lindriego. Darkdaggar zniszczył wszystko, co dla niej cokolwiek znaczyło. Lindriego i Ciemne Cienie.

Podniosła wzrok na Eisvaldr. Pewnego dnia martwo urodzeni będą wpełzać po tych murach jak owady. Niezwyciężona armia. A ona im na to pozwoli.



TANIEC

Krainy Ym...

Jeszcze nigdy zmęczenie nie było tak cudowne. Cały dzień minął na wędrówce przez tysiące soczystych odcieni zieleni. Między prostymi świerkami, które rosły tak gęsto, że ich gałęzie splatały się ze sobą. Przez potoki spływające po kamienistych zboczach. A najlepsze było to, że otaczało ich ciepło lata. Lato, takie jak być powinno, a nie polegające na tym, że jest mniej lodu.

Hirka usadowiła się wygodnie między korzeniami starego dębu. Oparła się plecami o nierówną korę. Nad nią wiły się gałęzie, wygięte i opadające z powrotem w dół. Obok niej kłębiły się korzenie wrastające w czarną ziemię. Wilgotną. Żyzną. Rozchodziły się na wszystkie strony po dnie lasu miękkim jak kobierzec. Dopiero co zaczęły się rozwijać liście paproci.

Chłoneła tę woń, jakby czuła ją pierwszy raz. Intensywny zapach ziemi, tak bardzo jej drogi, że aż chciało się płakać. Wypełniał ją. Przemawiał do niej. Był nią.

Zaczynał zapadać zmierzch. Las przybrał ciemny, niebieskozielony odcień. Wrażenie było niemal takie, jakby znajdowała się pod wodą. Drobné émy krążyły wokół spróchniałego, omszałego pnia. Słyszała wiatr szumiący w liściach. Ich łagodny szelest.

I okrzyki tysiąca ślepych, którzy biegali nago między drzewami.

Hirka oparła głowę o pień dębu. Uśmiechnęła się leniwie.

Wreszcie pozwoliła im świętować. Wyszaleć się i nacieszyć Evną. Byli już daleko od Mannfalli. Daleko od ætlingów. To był przedziwny widok. Umpiri wyli jak wilki. Biegali jak cielęta na wiosnę. Dorośli! Niektórzy z nich mieli kilka tysięcy lat. Evna dodawała im skrzydeł, pędziła ich po lesie. Przemykały obok niej blade ciała. Silne i piękne. Znikały i pojawiały się w innym miejscu. To była zabawa, która nie miała sobie równych. Rozkoszowanie się przyrodą. Życiem. Sobą.

Kilkoro z nich już się uspokoiło. Siedzieli kawałek dalej w małej grupie i rozmawiali. Urd też tu wcześniej był. Przechadzał się między drzewami. Nie spuszczała go z oczu. Ciekawiło ją, co zamierza.

Podszedł do niej Kolail. Nagi jak w dniu, w którym się urodził. Czuła, że powinna mu wyjaśnić, dlaczego nie należy tak chodzić. Że tak się nie robi. Ale nie wpadła na ani jeden powód, który mogłaby mu podać. I tak sprowadzało się to do czegoś związanego ze wstydem i żaden Umpiri nic by z tego nie zrozumiał. To uczucie było im całkowicie obce.

Stanął przed nią. Na jego rękach widniały blade blizny. Jedna przebiegała ukośnie przez brzuch. Może miał je z wojny; na tyle poważne rany, by pozostawiły ślad. Splątane szare włosy odrzucił do tyłu; miał w nich pełno mchu.

Przeczesał je ręką. Zerknął na pozostałych.

– Poprosiłem, żeby rozpalili ognisko – powiedział trochę zakłopotany. Jakby zaniedbał swoje obowiązki. – I żeby złapali coś do jedzenia.

Hirka sięgnęła po worek i otworzyła go.

– Sama potrafię łapać dla siebie króliki, Kolail. – Uśmiechnęła się. Nie żeby zamierzała cokolwiek łapać. Ten moment był zbyt cenny. Chwila szczęścia poprzedzająca zagładę. Wojnę. Już niedługo będzie musiała sprawić, by mężczyzna, którego kochała, uwierzył, że umrze.

Pomyśl o czymś innym!

– To o co chodzi z tym, że króliki zdychają? – spytała, choć była pewna, że już to rozumie.

Kolail kucnął obok niej i oparł ręce na kolanach. Wyglądał, jakby się tutaj urodził. Taki sam element dzikiej przyrody jak dąb, o który się opierała. Odsłonił dziąsła, jakby musiał jeszcze poćwiczyć, zanim nauczy się uśmiechać.

– Zaczęło się od niego. – Wskazał głową na jednego z pozostałych, mężczyznę o czarnych włosach związanych w kucyk. To on stał wtedy za ladą w karczmie. – Pewnego wieczoru przytoczył takie stare powiedzenie: zdychają te króliki, które najpóźniej zmieniają futro. Tak powiedział. Na zimę stają się jaśniejsze, no wiesz. A jeśli robią to później, drapieżnikom łatwiej je zauważyć. – Wygiął plecy. Pochylił się w jej stronę. – Oczywiście Skolm powiedział, że to jakieś bzdury. Nowe futro nie jest żadną gwarancją, że królika nie dopadną drapieżniki. No i zaczęliśmy się kłócić. W końcu wszyscy przyznaliśmy, że niektóre króliki giną, bo nie zmieniły sierści. Inne giną właśnie *dlatego*, że zmieniły sierść. Nigdy nie wiadomo. Rozumiesz?

Hirka potaknęła głową.

– Tak właśnie myślałam.

Zaśmiał się cicho.

– Nie masz pojęcia, o co chodzi, prawda?

Wyciągnęła z worka ciastko.

– Rozumiem, że nie ma znaczenia, co robisz. Możesz wszystko zrobić dobrze, a i tak

zginąć. Ty na przykład przez całe życie zmieniałeś sierść, bo myślałeś, że dzięki temu będziesz bezpieczniejszy. Ale było ci od tego tylko coraz gorzej. Cokolwiek zrobisz, i tak króliki zdychają. Równie dobrze możesz robić to, co leży w twojej naturze. Cieszymy się, że zrozumiałeś to w samą porę.

– Ha – mruknął zaskoczony. Może uznał, że w końcu pojęła, albo po prostu sam wcześniej o tym nie pomyślał. Pewnie to drugie.

Rozejrzał się. Nagle stał się czujny. Zauważył, że kogoś brakuje.

– Gdzie on jest? No ten... – Pstryknął palcami, jakby nie mógł sobie przypomnieć imienia.

– Urd? Przed chwilą uciekł – odparła Hirka, odgryzając kęs ciastka. – Powiedziałam mu, żeby się tutaj nie kręcił, i jestem pewna, że już nie wróci.

Kolail wstał.

– Mam go sprowadzić z powrotem?

– Nie. Niech sobie ucieka. Spodziewałam się, że to zrobi. Za to, co mu naopowiadałam, znów sobie kupi miejsce w Radzie.

– Pozwolisz, żeby wbił nam nóż w plecy?

Hirka pogryzła ciastko i zmusiła się, żeby je przełknąć. Resztę odłożyła do worka. Smakowały tu równie paskudnie jak na Dreysíl.

– Powiedziałam, że Umpiri nadejdą od południa – podjęła. – Od kamiennego kręgu w Bokesj.

Kolail podrapał się po głowie.

– To nieprawda?

– Nieprawda.

Hirka rozwinęła koc między korzeniami. Tutaj zamierzała dzisiaj spać. I nawet niedźwiedz jej stąd nie ruszy. Kolail dalej stał, ale nie śmiał zapytać. Zlitowała się nad nim i wyjaśniła:

– Jeśli Rada mu uwierzy, zabezpieczą się, przesuwając wojska na południe. Jeśli mu nie uwierzą, i tak nie będą się spodziewać, że zagrożenie przyjdzie od wewnątrz. Tak czy inaczej na tym zyskamy. A historie o Dreysíl, które im opowie, napędzą im stracha. Myślę, że będą przerażeni.

– Ach! No to... dlaczego nie wyglądasz na zadowoloną?

Wzruszyła ramionami, jakby sama nie wiedziała. W rzeczywistości tliła się w niej iskierka nadziei, że Urd się zmienił. Ale dalej był taki, jak dawniej. Zrobiła to, co sam zaproponował. Dała Urdowi przestrzeń na to, by mu pokazać, kim jest.

Kolail usiadł obok niej na kocu. Próbowwała nie zwracać uwagi na jego nagość, ale jej tego nie ułatwiał. W jego ciele pulsowała Evna i wydawał się w jakiś sposób większy

i dzikszysy. Jego zapach sprawił, że poczuła gorąco na policzkach.

– Zawsze musisz zakładać, że inni cię rozczarują – powiedział takim tonem, jakby pouczał dziecko.

Odwróciła się do niego.

– Uważasz, że tak powinnam postąpić z tobą?

– Zwłaszcza ze mną!

Przyjrzała mu się badawczo. Kropla na czole miała mówić o nim wszystko, co warto wiedzieć. Czy to ona stworzyła ten rozdźwięk między tym, kim był, a tym, za kogo się uważał? Zabarwiła jego obraz samego siebie?

Podciągnęła kolana i objęła je rękoma.

– Dlaczego przyszedłeś, Kolail?

Skubnął trochę mchu. Wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Bo się ze mnie napiłaś. – Westchnął. Pewnie zauważył, że nie bardzo wie, o co mu chodzi. – Napiłaś się – powtórzył. – W drodze do Ginnungad, kiedy zachciało ci się pić. Napiłaś się z moich szponów.

– I co z tego? Byłam spragniona.

– Właśnie o to mi chodzi. I nie bałaś się tego pokazać. Jestem upadłym, a ty okazałaś przede mną swoją słabość. Jakbyśmy byli sobie równi. Dotknęłaś mnie.

Hirka ukryła uśmiech.

– Tak jak teraz? – Szturchnęła go w bok. Przewrócił białymi oczami. Dźgnęła go palcem w szyję. – Albo tak?

– Hej?! – Odsunął jej rękę.

Pochyliła się i wetknęła mu palec do ucha.

– Albo tak?

Chwycił ją za ramię. Wygiął je za plecy. W jego wesołych oczach nagle pojawił się lęk. Jakby sobie przypomniał, kim Hirka jest. Puścił ją.

Hirka usiadła naprzeciw niego. Dotknęła jego policzka.

– Nigdy nie musisz się mnie bać, Kolail. Nie dotykam cię tak, *jakbyśmy* byli sobie równi. Dotykam cię, bo *jesteśmy* równi. Rozumiesz?

Popatrzył na nią, jakby spadła z nieba. Potem zamknął oczy i wybuchnął śmiechem.

– Porozrywasz świat na strzępy – stwierdził.

Zabrzmiało to tak, jakby nie mógł się tego doczekać.



PIERŚCIEŃ ŚLEPYCH

Rime wczołgał się na szczyt wzgórza, by mieć lepszy widok. Było chłodno. Panowała absolutna cisza. Wychylił głowę nad wrzosa, zmrużył oczy i spojrzał na obóz. Namioty przybrały blade barwy w słabym świetle zmierzchu. Wydymały się na wietrze jak luźne stronicie księgi. Było ich co najmniej osiemdziesiąt i stały gęsto obok siebie. Wciśnięte między rzekę a urwisko.

– Za dużo ich – szepnął Tein za jego plecami.

– Jest ich tylu, ilu się spodziewaliśmy – odparł Rime. – Najwyżej czterystu, pewnie tylko trzystu.

– Ale są...

Rime uniósł rękę, żeby go uciszyć. Tein robił za dużo zamieszania podczas misji takich jak ta, ale Rime nie mógł mu już niczego odmówić. Syn wodza zachowywał się jak obrażony dzieciak i groził, że wszystko wygada.

Z jednego namiotu wytoczył się mężczyzna. Potknął się o palik, ale złapał równowagę, dotarł nad rzekę i zaczął sikać.

– Dzięki, już się napatrzyłem. – Tein się wycofał.

Rime złapał go za ramię.

– Już niedługo.

Jeszcze raz spojrzał na obóz. Zbroje suszyły się na palach pod prowizorycznym zadaszeniem. Kilka dołków od ogniska. Niewiele koni.

Rime wycofał się we wrzosa i odczołgał na tyle daleko, by móc bezpiecznie wstać. Tein zrobił to samo. Potem pobiegli przez martwy las. Niewiele tutaj rosło od czasu, gdy na Bromfjell obudził się wulkan. Drzewa były białe i nagie. Jakby wciąż trwała zima. Nic już nie było tak, jak powinno.

Zrobiło się przyjemniej, gdy weszli w świerkowy las, pod szepczące sklepienie z zielonego igliwia. Teren najpierw się wznosił, a potem przechodził w płaskowyż u podnóża gór. Namioty Kruczego Dworu były ciemniejsze, trudniejsze do zauważenia. I mniej liczne.

– Co powiemy? – spytał Tein.

– Prawdę.

– Że jest ich zbyt wielu. – Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– To oceni twój ojciec.

– Świetnie. No to już po nas.

Rime nie odpowiedział. Skinął głową stojącemu na warcie Yngemu i wszedł między namioty. Po chwili dostrzegł Eirika. To nie było trudne. Wódz sam był wysoki jak namiot. W półmroku jego jasna koszula przykuwała wzrok. Stał i obracał w rękach kubek z brzozonej kory, jakby nie miał ochoty wypić tego, co w nim było. Broda tak bardzo mu urosła, że teraz wiązał ją rzemieniem.

Rime podszedł do niego.

– Znaleźliśmy ich.

Wódz podchwycił jego spojrzenie.

– No i?

– Jest ich za dużo – powiedział Tein.

Eirik upił łyk z kubka i zmarszczył nos.

– Ilu?

– Około osiemdziesięciu namiotów – odparł Rime. – Czyli mniej więcej trzystu. Suszą zbroje po wczorajszym deszczu. Nic nie świadczy o tym, żeby dostawali dużo jeść. Jeśli będziemy mieli szczęście, okażą się zmoknięci i głodni.

Tein wszedł pomiędzy nich.

– Na co to? Niech sobie idą, przecież nie zmierzają do Kruczego Dworu!

Rime spojrzał na niego.

– I tak dojdzie do walki. Teraz albo później. A potem będzie gorzej. Zmierzają do Meredira. Chcesz dać mu więcej wojowników, żebyśmy byli ściśnięci między nim a Mannfallą?

Tein zacisnął usta i odwrócił głowę. Wokół nich obóz budził się do życia. Mrukliwi ætlingowie w białym wędrowali za potrzebą między drzewa.

Eirik wylał zawartość kubka we wrzosa.

– Co myślisz, Rime?

– Myślę, że jest ich więcej, ale my jesteśmy silniejsi. Niewielu z nich ma pełną zbroję i mają mało koni. Nie spodziewają się ataku, są tylko podarunkiem dla Meredira. Przypieczeniem sojuszu, nic poza tym. Są wciśnięci między rzekę a góry. Możemy ich zaskoczyć. Ale mamy mało czasu. Zauważą... że brakuje im dwóch zwiadowców. A więc teraz albo nigdy.

Broda Eirika poruszała się, jakby coś przeżuwał. Splunął na trawę.

– No to... zaczyna się, ot co.



Biegli przez las. Między wysokimi świerkami. Równy rytm stóp uderzających o ziemię. Rime przywołał gestem Ciemne Cienie i odbił na zachód. Pozostali pobiegli prosto. Zza wzgórza unosił się dym. Żołnierze szykowali posiłek. Wkrótce zginą.

Kiedyś to było takie proste. Głośne bicie serca. Zimna krew. Strach i szaleństwo. Ale wtedy robił to dla Widzącego. Dla czegoś ważniejszego niż on sam. Czym to było teraz? Czym się stało? Zemstą? Walką o przetrwanie?

Zaczerpnął Evny. Stopy zaczęły jakby same unosić się nad ziemią. Przypływ sił i woli. Evna okłamywała go, że zawsze będzie mógł sięgnąć po więcej. Wnikała w mięśnie. Wzmacniała wiarę i łagodziła strach.

Grzbiet wzgórza od strony obozu przechodził w urwisko. Rzucił się za krawędź. Kątem oka dostrzegł pozostałych. Deszcz postaci w czerni. Pochwyciła go Evna. Wylądował i pobiegł dalej. Wyciągnął miecze. Mężczyźni krzyczeli. Biegali między namiotami. Niektórzy w samej bieliźnie. Szukali mieczy. Potykali się o linki namiotów.

Spłoszone konie rżały i próbowały się uwolnić. Rime wbiegł do rzeki. Była szeroka, ale płytka. Ledwie sięgała mu do kolan. Woda opływała jego nogi, jakby próbowała się gdzieś wymknąć. Po drugiej stronie stał mężczyzna i męczył się z łukiem, którego nie zdążył napiąć. Rime rozplatał mu pierś. Pobiegł dalej, nie patrząc. Nie myśląc. Nie czując.

Istniał tylko chłód. Zimna determinacja.

Zatopił stal w postaci, która pojawiła się przed nim. Mężczyzna opadł na kolana. Rime wyczuł, że ktoś zbliża się od tyłu. Przykucnął, wykonując jednym mieczem pchnięcie za siebie. Ćwiczenie, które powtarzał setki razy.

Pchnięcie śmierci.

Rzęzenie powiedziało mu, że trafił. Zbliźali się kolejni. Byli powolni. Wystraszeni. Wściekli. I było ich wielu.

Dokończ to. Już niedługo. Zwycięstwo jest blisko.

Rime dostrzegł jeźdźców w tłumie walczących. Usiłowali zapanować nad końmi. Runęła kryta gałęziami wiata. Ktoś wypadł z pobliskiego namiotu. Młody mężczyzna sparaliżowany strachem. Oburącz ścisnął przed sobą miecz. Uniósł go nad głowę, odsłaniając pierś.

Rime poczuł, jak przez chłód przedziera się zwątpienie. Kto szkolił tych mężczyzn? Kto odpowiadał za to, że musieli tak szybko i bezsensownie ginąć?

Mężczyzna zamachnął się. Stracił równowagę i poleciał do przodu. Rime okrążył go

i wbił mu miecz w kark. Musiał użyć siły, by go wyszarpnąć. Czerwony deszcz zbryzgał płachtę namiotu.

Ślad węża.

Ostatnio nie wykonał prawidłowo tej sekwencji. W walce ze Svarteldem.

Ktoś krzyknął jego imię. Odwrócił się. Biegli na niego wojownicy. Jeden w kolczudze, dwóch w skórzanych zbrojach. Natarł na nich. Ich oczy się rozszerzyły. Dotarło do nich, kim jest. Ciemny Cień.

Ten, który jest już martwy.

Jeden z nich się zawahał. Skazał pozostałych na szybszą śmierć. Rime poczuł, że coś trafiło go w bok. Nie rozcięło mu nawet skóry. Nic groźnego. Zaczerpnął Evny. Słyszał w uszach własny puls. Szum. Dudnienie. Natarł jeszcze raz. Sprężył się i skoczył. Wykonał obrót w powietrzu. Lądując, skrzyżował miecze.

Pierścień ślepych.

Jeden z mężczyzn padł na ziemię. Drugi osunął się na kolana. Krzyknął. Nabrał tchu i krzyknął jeszcze raz. Przeciągły, zwierzęcy ryk. Umierał, ale to nie był krzyk strachu ani bólu. Krzyczał, jakby próbował coś przekazać. Coś ważnego. Rime szukał w pamięci słów Widzącego. Siła... Co jeszcze powiedział Widzący, którego zabił?

Zabił go.

Nie wahaj się! Wahanie to śmierć!

Obrócił się błyskawicznie, by natrzeć na trzeciego, ale nadbiegła pomoc. Kolejni mężczyźni. Okrzyki. Błyski stali. Brzęk kolczug.

Nagle stanęli jak wryci. Zamarli w pół ruchu, jakby zmienili się w kamień. Rozdziawili usta. Patrzyli na coś za jego plecami. A potem rzucili się biegiem. Nie na niego. W przeciwną stronę. Coś było nie tak. Evna stała się bardziej natarczywa. Obca.

Rime się odwrócił.

Ślepi. Martwo urodzeni. Przedzierali się przez obóz, walcząc gołymi rękoma.

– NÁBYRNI!

To słowo słyhać było nad polem bitwy, szerzyło się jak pożoga. Wojownicy w panice rzucili się do rzeki. Brnęli pod prąd na czworakach. Rime zobaczył, jak jeden się przewraca i znika kawałek dalej, gdzie nurt był bardziej rwący.

Wyczuł, że ktoś się zbliża. Przygotował się do cięcia. Zawahał się. To byli Eirik i Tein. Teinowi trzęsły się ręce. Eirik miał na brodzie zaschniętą krew.

– Nie tykają nas! – zawołał. – Dlaczego nas nie tykają?! – W tym pytaniu nie było słyhać ulgi.

Rime się odwrócił. Polegli leżeli na wrzosach, z wytrzeszczonymi oczami, jakby zabił ich strach. Kruki już odnalazły zabitych w rzece. Siadały na kołyszących się na wodzie

głowach i zaczynały dziobać.

Mężczyźni zbierali się nad brzegiem. Rime machnął ręką na Erika i Teina. Nie wszyscy, których widział, byli z Kruczego Dworu. Niektórzy nosili znak Widzącego. Wrogowie. Mężczyźni, z którymi przed chwilą walczyli. Teraz tłoczyli się razem, przyjaciele obok wrogów, jakby musieli się podpierać, by ustać na nogach. Z rozdziawionymi ustami. Milczący. Wpatrzeni w las ślepych.

Byli ubrani jak dzicy. Białoocy. Z krwią na szponach.

Rime poczuł kwaśny posmak w gardle. Ile setek ich jest? Co zrobią?

Jakiś mężczyzna rzucił się biegiem przez rzekę. Paniczny plusk jego stóp wydawał się niemal komiczny w absolutnej ciszy. Nikt inny się nie poruszył.

Las ślepych się rozstał. Robili miejsce dla kogoś, kto przechodził między nimi. Kobieta. Nosła szerokie spodnie i sweter, który nie zasłaniał brzucha. Miała włosy czerwone jak krew i przez chwilę Rime sądził, że już nie żyje. Że śni w Sloknie.

Hirka...

Nagle poczuł, że zaraz ugną się pod nim kolana. Szła ku nim. Oparła kij o ziemię i przystanęła. Rime zauważył krew na swoich rękach. Miecze. Nienawidził tego, że ujrzała go w takiej chwili. Że tutaj była. W niewłaściwym czasie i niewłaściwym miejscu. Widziała go w najgorszym wydaniu. To była ta jego część, której i ona najbardziej nienawidziła. Część, która sprawiała, że nigdy nie będzie należała do niego.

W jej oczach był chłód, który przeszył go na wylot. Co oni z nią zrobili? Była odmieniona. Ale nadal tak piękna, że aż bolało. Była Hirką. Ścisnęło mu się serce.

– Hirka? – spytał ze zdumieniem Eirik. Wódz postąpił o krok w jej stronę. – To ty, dziewczyno?

Hirka spojrzała na Eirika. Jej oczy złagodniały. Uśmiechnęła się smutno i oparła głowę o kij.

– Eirik... Słyszałam, że potrzebujesz wojowników.



WIĘŻ

W wielkiej sali aż huczało. Nieprawdopodobne połączenie podekscytowania i wyczerpania. Radości i smutku. Połowa Kruczego Dworu zbiegła się, by zobaczyć Hirkę.

Rime siedział u szczytu schodów prowadzących na galerię. Spróbował podwinąć ogon, ale przypomniał sobie, że już go nie ma. Czasem mu się to zdarzało. Jego ciało zachowywało się tak, jakby wciąż go miał.

Patrzył na nią.

Stała otoczona przez ætlingów przy jednym z wielkich palenisk. Tein kleił się do niej. Szczerzył zęby, jakby sam przyniósł ją tutaj na rękach. Jarladin uściskał ją, jakby powróciła ze Slokny. Utonęła w jego ramionach. Hlosnian też precisnął się przez tłum, zamiatając jasnoczerwonym fartuchem. Zaklinacz kamieni podszedł do Hirki. Uszczypnął ją w policzek. Mruknął coś, czego Rime w całym tym gwarze nie usłyszał.

Ynge i jeden z ubranych na niebiesko służących na próżno usiłowali zatrzymać ætlingów przy drzwiach. Zbiegli się. Wyciągali szyje. Chcieli ją zobaczyć, nieważne, czy ją znali czy nie.

Kochali ją. Ætlingowie, martwo urodzeni... Człeki pewnie też. Była kochana w trzech światach. A tych, którzy nigdy jej nie spotkali, ściągnęły tu plotki. O rudowłosej dziewczynie, która sprowadziła nábyrnów do Kruczego Dworu.

Pytania sypały się jak grad. W wielu słyhać było lęk. Chcieli się dowiedzieć, czy miasto jest obleżone. Czy ślepi przybyli z Mannfalli. Ilu zginęło. Czy jest sens zostawać za murami, skoro martwo urodzeni rozbili obóz na górze przy lodowcu.

W końcu Eirik stracił cierpliwość. Wspiął się na stół. Z krzywymi ramionami, ciężki od skórzanej zbroi i tak wielki, że drewno aż pod nim jęknęło. Ryknął, że wszyscy doczekają się odpowiedzi, ale – do licha – niech poczekają, aż wojownicy zmyją z rąk krew.

Tłum niechętnie wycofał się z sali. Ynge zamknął drzwi za ostatnimi i na wszelki wypadek oparł się o nie. Wojownicy zaczęli ściągać napierśniki i buty. Służący w niebieskich strojach wynosili je, marszcząc nosy. Pomieszczenie wypełnił smród. Kwaśna woń stóp, potu i gorszych rzeczy.

Nagle stało się jasne, jak bardzo wszyscy są zmęczeni. Tein oparł się o palenisko. Jego szeroki uśmiech nie wyglądał już tak przekonująco. Ynge osunął się na podłogę przy drzwiach, inni usiedli przy masywnych drewnianych balach, które biegły w dwóch rzędach, podtrzymując sklepienie sali. Rzuciły ukośne cienie na podłogę.

Ciemne Cienie stały piętro wyżej, na galerii. Oprócz Marga, który usiadł na schodach obok Rimego.

Służba wniosła pełne kufle i miski z kaszą. Rozmowy ucichły.

Eirik jedząc, zerknął na Hirkę.

– Twoi dostali coś do jedzenia?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie jedzą tak jak my. Używają... – Zerknęła na swoje palce. – Potrafią wszędzie znaleźć pożywienie.

– To teraz ich też mamy żywić? – odezwał się Tein, z ustami pełnymi kaszy. – Tak ma teraz być? Zbudują sobie domy przy lodowcu, tak? Nasi martwo urodzeni goście?

Choć raz Rime potrafił zrozumieć jego wybuch. Sytuacja była nierealna. Trudno sobie było wyobrazić szczęśliwe zakończenie.

– To są Umpiri – odparła Hirka. – Nazywają się Umpiri, nie martwo urodzeni. Żyją dłużej, niż potrafiłbyś zliczyć, i mają znacznie bogatsze słownictwo niż ty. Nie wspominając o tym, że właśnie uratowali ci skórę, Tein. – Przełknęła łyżkę kaszy.

Mężczyźni niepewnie zachichotali. Policzki Teina się zaczerwieniły, ale trzeba mu było przyznać, że dalej szczerzył zęby.

– Nauczyci cię, jak nie dać sobie w kaszę dmuchać? No to pokaż! – Pochylił się do niej.

– Bądź ostrożny z tym, czego sobie życzysz, Tein.

– No coś ty, ja i ostrożny?

Czarnowłosa syn wodza szturchnął ją łokciem. Roześmiała się. Szczerze, ale jakby coś ją dręczyło. Sprawy, o których Rime nigdy się od niej nie dowie.

A Rime zacisnął zęby. Jej śmiech rozdzierał mu serce. Gdyby to on był tym, kto umie sprawić, by na jej twarzy pojawił się uśmiech. Kto daje jej radość. I poczucie bezpieczeństwa.

Tym, którego ona pragnie.

A nie kimś, kto był skazany na to, by ją rozczarować. Pociągnąć ją w mrok. Za każdym razem.

Ale nie zawsze tak było...

Przybył do Elveroi jako syn rodu zasiadającego w Radzie. Sztywny i dobrze wychowany. Zaciśnięty węzeł, który rozplątała. Szalała razem z nim. Wspinała się, pływała i biegała. Była wolna. I na kilka chwil potrafiła sprawić, by on też się tak poczuł. Byli przyjaciółmi

i rywalami w walce na punkty o to, kto się okaże odważniejszy.

Aż do chwili, gdy przyszedł czas na rytuał. Oczekiwania wobec niego sprawiły, że wybrał ścieżkę Ciemnego Cienia. Czy to samo zrobiłby dziś? Gdy już wie, że to najprostsza droga, by ją stracić?

Ich spojrzenia się spotkały. To go poraziło. Wrażenie było takie, jakby sala się skurczyła. Poczul, że drżą mu usta. Wciąż pamiętały dotyk jej warg.

Czy potrafiła czytać mu w myślach? Wiedziała, że pragnął, by Slokna porwała wszystkich na sali, żeby mógł zostać z nią sam na sam? Trawiła go tęsknota. Silniejsza niż kiedykolwiek dotąd, bo teraz Hirka była w zasięgu ręki.

Odwróciła się z powrotem do Eirika. Rozmawiała z nim dalej, jakby nic się nie stało. Jakby w nikim nie rozpałała żaru. Rime spojrział na swoje ręce. Pod skórą na nadgarstku pulsowała żyła.

Uświadomił sobie, że kiedy na niego patrzyła, nie wychwycił ani słowa z rozmowy.

– I jesteś tego pewna? – spytał Eirik.

– Całkowicie. Przyjdą w dniu, który nazywają pierwszym dniem jesieni. I będzie ich wielu.

– A będzie jeszcze więcej, kiedy to twoje stadko wbije nam nóż w plecy – odezwał się Tein.

Spojrzała na niego, a on miał na tyle przyzwoitości, by ze wstydem spuścić wzrok.

– Świat nie jest taki prosty, jak ci się wydaje, Tein. Nie walczysz z Mannfallą? Nie zabijałeś przed chwilą ætlingów? Skoro *my* walczymy przeciwko swoim, to dlaczego z Umpiri miałyby być inaczej? Ci, którzy przybyli ze mną, już zerwali więzi łączące ich ze swoim światem. Nazywają ich upadłymi. Bezdomnymi.

– To biedota? – spytał jeden z wojowników, którego imienia Rime nie znał. Siedział oparty o filar i zdołał tylko ściągnąć buty. Na resztę nie starczyło mu sił.

– W pewnym sensie. Są bardziej jak banici.

Tein rzucił na stół pustą miskę po kaszy.

– No to świetnie... Mordercy.

– Tak samo jak ty czy ja. – Hirka sięgnęła po kufel z piwem. – Eiriku, nie możecie pozwolić, żeby otoczyli was wrogowie. Mannfalla od południa i Meredir od wschodu? To na nic. Kruczy Dwór ciężko jest zdobyć, ale jeśli tylko nie zabraknie im czasu i wojowników, których będą gotowi poświęcić, to miejsce stanie się dla was śmiertelną pułapką. A mają i jedno, i drugie. Napadnijcie na Mannfallę równocześnie z Umpiri. Zaatakujcie Darkdaggara z zewnątrz, a ja zaatakuję go od środka.

Zaskoczyły go jej słowa. Rimego ogarnęło przygnębienie. Mówiła jak członkini Rady. Strategiczne słowa należące do świata, którym gardziła. Wojna i śmierć. Teraz musiała

brać w tym udział. Odczuwać dystans pomiędzy tym, kim się stała, a tym, w co wierzyła. Nienawidził tej myśli.

Eirik przyglądał jej się przez chwilę.

– Nie zamierzasz tutaj zostać, co?

Hirka pokręciła głową.

– Nie mogę. Mam inne plany.

Na sali zapadła cisza. Rime zamknął oczy. Ktoś klepnął go w plecy. Marg. Rime zerknął na niego, ale Ciemny Cień zdążył już cofnąć rękę i dalej jadł, patrząc w inną stronę. Rime poczuł się nagi. Jakby odsłonił coś, czego nikomu nie zamierzał pokazywać.

Hirka się rozejrzała. Najwyraźniej wyczuła, że wszyscy czekają na jej dalsze słowa. Odchrząknęła.

– Evna – powiedziała, teraz już ostrożniej. – Zamierzam uleczyć Evnę.

– A co jej dolega? – spytał Ynge spod drzwi.

– Już nie przepływa pomiędzy światami – odparła.

Rime dostrzegł w jej oczach przerażającą determinację. Zapalczywość jak u augura prawiącego kazanie.

– Zebrała się w Ym jak kałuża. I osłabła. Musieliście chyba o tym słyszeć? Że nie jest już taka jak kiedyś, że traci moc? Nie sądzę, żeby krainy Ym mogły przetrwać bez niej. I żaden inny świat. To tylko kwestia czasu. Stu lat. Może tysiąca. Nie wiem. – Westchnęła ciężko. – Tak czy inaczej, jeśli można ją uzdrowić, to tylko podczas wojny. Bo nic...

– ...nie żywi Evny tak jak śmierć – dokończył Eirik. – Tak mawiał mój ojciec.

Znów podchwyciła spojrzenie Rimego. Tym razem rozpaczliwie szukając zrozumienia. Frustrowało ją wszystko, co musiała przemilczeć. Nikt by tutaj nie zrozumiał tego, co razem widzieli. Świat ludzi. Widzący. Graal. Evna.

Ale może błędnie to odczytał. Może przypominała sobie tylko o wszystkich tych rzeczach, które zrobił nie tak.

Tak. Spójrz na mnie. Na wszystko, co zrobiłem.

Chciał słyszeć te słowa z jej ust. Słuchać, jak będzie wyliczała wszystkie jego winy. Każdy błąd. Każdą śmierć. Chciał, by chłostała go głosem. Za Svartelda. Za Naiella. Za Ciemne Cienie. Chciał, by go potępiła. Całkowicie. Bezlitośnie. Na chłodno. Przynajmniej wiedziałby wtedy, że wciąż budzi w niej jakieś uczucia.

Serce waliło mu jak młotem. Bawiło się jego udręką. Rime oderwał od niej wzrok. Wstał i wszedł na galerię. Przerażony swoimi myślami. Swoim pożądaniem.

Ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Ynge zerwał się na nogi. Odsunął rygiel i je uchylił. Do środka wcisnął się Vetle. Zaczął się przepychać między wojownikami. Przewrócił miskę

z kaszą, która stała na podłodze. W ogóle nie zwrócił na to uwagi. Młody mężczyzna o umyśle dziecka.

– Hirka!

Odstawiła kufel i wyciągnęła do niego ręce. Zderzyli się i spleli w serdecznym uścisku.

– Ty śmierdzisz! – zawołał Vetle. – Wszyscy tu śmierdziecie!

Tein przeciągnął się jak kot i splótł ręce na karku. Pewnie po to, by pokazać, jakie ma silne ramiona.

– No to dobrze się składa, bo idziemy się wykąpać, no nie? – Znów szturchnął Hirkę łokciem. – Dawno się razem nie kąpaliśmy. Chodź ze mną, jeśli...

– Dzięki, ale nie skorzystam, Tein – odparła, łagodząc te słowa uśmiechem. – Muszę teraz pójść do ślepych i zobaczyć, czy mają spokój.

Tein parsknął.

– Czegoś takiego nie spodziewałem się usłyszeć...

– Nawet ślepi potrzebują spokoju, Tein.

– Chodziło mi o to, że ktoś nie chce się ze mną wykąpać. Jeszcze nigdy mnie to nie spotkało. – Mrugnął i wyciągnął do niej rękę. Przerwało mu łomotanie do drzwi.

Do środka wsunął głowę mężczyzna. Szarowłosa, z kroplą na czole. Białooki. Martwo urodzony. Ten, którego nazywała Kolail. Wszyscy ætlingowie zastygli w pół ruchu. Wpatrywali się w niego.

Ślepy wydawał się zakłopotany.

– Hirko?

Przeprosiła i wyszła z wielkiej sali. Inni poszli za jej przykładem. Kolejni zaczęli dziękować. Skierowali się do łaźni. Do karczm. Do domów.

Zostali nieliczni. Ci, którzy nie zdążyli zjeść. Albo się pośmiać. I ci, którzy zobaczyli dziś coś, czego nigdy nie zapomną. Którzy pierwszy raz mogli stać się żerem dla kruków. Zbyt wstrząśnięci, żeby udawać, że wciąż mają nadzieję. Siedzieli w milczeniu pod ścianami, nie patrząc na siebie.

Rime wiele widział w ostatnich latach. Więcej niż którykolwiek z nich. Ale on też stał jak urzeczony. Wpatrywał się w okno z widokiem na góry za wielką salą. Hirka szła ścieżką, a za nią martwo urodzony.

Jej włosy splątały się w długie czerwone pasma opadające na plecy. Sweter napinał się na jej ciele. Wydawał się taki obcy, ale tak bardzo do niej pasował.

Rime się odwrócił. Oparł się o ścianę i zamknął oczy.



NADZY

Hirka wspięła się na duży kamień i usiadła na nim. Przeczesała palcami włosy. Zrobiły się za długie. Opadały do połowy pleców i ciągle się plątały. Przestała nawet próbować je rozczesać. Skręcała je tylko w pasemka. I w razie potrzeby związywała.

Pozwoliła, by wyschły na wietrze. Tu, na górze, był porywisty, jakby mierzył siły ze ścianą lodowca za jej plecami, ale za każdym razem odbijał się od lodu. Naturalna walka, która nigdy się nie skończy. Wkrótce miała nadejść jesień.

Kruczy Dwór rozciągał się pod nią i tak pięknie kłamał. Siedziba wodza z wielką salą witała ją z otwartymi ramionami. Świerk na dziedzińcu szeptał, że wreszcie jest w domu. Że tu jest jej miejsce. Porośnięty lasem kruczy jar przecinający płaskowyż... Pamiętał ją. Przypominał jej o tym, jak stała tam z Rimem, spoglądając na Gniazdo Ślepych. Domy o spadzistych, krytych darnią dachach pięły się po zboczach, tworząc miasto w dole. Stragany. Gospody. Widziała stąd Młodego Kruka. To tam wyciągnęła nóż z uda mężczyzny, którego imienia już nie pamiętała. To było tak dawno temu. Wtedy, gdy była jeszcze zgnilizną, a ślepi byli potworami.

Teraz stali się sojusznikami. Rodziną. I musiała postawić świat na głowie, żeby ich tutaj ściągnąć. Całymi setkami. Obejrzała się na ich obóz ciągnący się wzdłuż ściany lodowca. Postawili prowizoryczne namioty z kijów i skór. Skolm zszedł na dół po żwirze, położył się we wrzosach i zamknął oczy.

Usłyszała kroki. Podeszedł do niej Kolail. Oparł się o kamień i upił łyk z kufła z piwem. Zaskoczyło ją, że znalazł kufel. Do Kruczego Dworu przybyło tylu uchodźców, że większość piła z butelek albo misek.

Spojrzał na nią. Wykrzywił usta w uśmiechu. Musiała przyznać, że coraz lepiej mu to wychodzi. Wiatr rozwiewał jego stalowe włosy.

- Pachniesz lepiej niż oni – stwierdził, wskazując głową na pozostałych.
- Wykąpałam się. Ty też powinieneś kiedyś spróbować.
- Upadli nie stają się czystszy od kąpieli. – Upił kolejny łyk.

Hirka mu się przyjrzała. Nie miał na sobie kurtki z owczym futrem. Wydawał się jakby

lżejszy. Bardziej wyprostowany. Miał ku temu wszelkie powody. Wiele rzeczy odrzucił. Swój lud i swój kraj. Bez zastrzeżeń przyjął nowy los. Podźwignął się. Poszedł za nią. Była z niego dumna.

– Chodź tutaj – powiedziała.

Wzięła kufel z jego rąk i odstawiła go na kamień. Przysunęła się bliżej na skraj głazu i przyciągnęła go do siebie. Jego barki były teraz między jej kolanami. Uniosła mu podbródek. Wydawał się wystraszony. Spróbował się cofnąć, ale ścisnęła go udami.

– Stój spokojnie!

Wyjęła nóż i zbliżyła do jego czoła. Zabawne, ale to go uspokoiło. Wsunęła ostrze pod stalową kroplę. Spojrzała mu w oczy. Były burzą czerni i bieli, jakby nie miał pojęcia, co powinien czuć. Bez słów zadała pytanie.

Jesteś gotów?

Ledwie dostrzegalnie kiwnął głową. Hirka nacisnęła na nóż. Kropla się obluzowała i ustąpiła pod naporem stali. Strużka krwi spłynęła po jego nosie jak czerwona łza. Rana zamknęła się na jej oczach. Hirka się pochylała i pocałowała go w czoło.

– Jesteś teraz w Ym – powiedziała. – Nie mamy tu upadłych, Kolail.

Położyła mu na dłoni kroplę i zamknęła wokół niej jego szpony. Oczy Kolaila stały się czarne i lśniące jak ognioszkło. Jak rozgwieżdżona noc. I było cicho. Zbyt cicho.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że nie są już sami. Wokół nich zebrali się Umpiri. Bezdomni ustępowali miejsca upadłym, którzy przepychali się do niej. Morze stalowych łez. Zrozumiała, czego chcą, ale nie tak miało być. Nie chodziło przecież o nią. Wsunęła nóż z powrotem do pochwy.

– Opuściliście Dreysíl na własną rękę. Sami możecie się wyzwolić.

Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać.

Wyciągnęli noże. Broń, której nigdy u nich nie widziała. Z butów, spod koszul. Mit, że Umpiri niczego się nie lękają, rozwiął się dawno temu. Usuwali krople. Niektórzy sami, inni pomagali sobie nawzajem. Krwawe święto wolności.

Kolail spojrzał na nią.

– Nadam ci imię, kobieto. Kiedy znajdę takie, które będzie ciebie godne. – Powiedział to po ymsku, jakby próbował ćwiczyć ten język.

Hirka się uśmiechnęła.

– Imiona się mnie nie trzymają. Miałam ich już wiele. Bezogoniasta, dziecko Odyna, zgnilizna, dziewczyna, Ruda, Sulni...

– Sulni... – powtórzył to słowo, jakby się nim delectował. – Jest idealne.

Hirka zmarszczyła czoło. Tak nazywał ją Naiell. Jętka.

– Dlaczego? – spytała, choć nie wiedziała, czy chce to usłyszeć.

– Jeśli nie rozumiesz, to znaczy, że jej nigdy nie widziałaś. Sulni to coś jak... – Szukał właściwego słowa. – Motyl? Tworzy wzory na kamieniach. Z najdziwniejszych maleńkich rzeczy. Potrafi podnieść coś, co jest sto razy cięższe od niej. I skrzydła... – Kolail pogłaskał ją po włosach. Z wahaniem, jakby zmagał się ze sobą. – Cóż, to najpiękniejsza istota na Dreysíl.

Hirka poczuła, że ściska jej się gardło. Położyła rękę na sercu. Chciała powstrzymać falę uczuć, ale nic nie mogła na to poradzić.

Sulni. Silna. Piękna.

Kiedyś sądziła, że to drwina. Dowód na to, jak mało znaczyła dla Naiella. Wciąż musiała w to wierzyć. Myśleć, że o nią nie dbał. Bo jak inaczej miałyby żyć z tym, że zginął?

Zrobiło jej się niedobrze. Dopiero co się kąpała, ale jej palce były lepkie od krwi. Z czoła Kolaila. Z serca Naiella. To była krew setek wojowników z Mannfalli. Mickego z Yorku. Krew ze wszystkich światów.

Nagle Kolail trzymał ją w ramionach. Spadła? Zdjął ją z kamienia i odciągnął od pozostałych.

– Musisz odpocząć – powiedział, i zrozumiała, co to oznacza z ust Umpiri.

– Myślisz, że wiesz, czego ona potrzebuje?

Rime.

Stał na ścieżce przed nimi. Jego włosy znów były białe, nieposklejane od krwi. Był gotów dobyć miecz. Tak jak zawsze.

Kolail wygiął grzbiet i sprężył się do skoku. Hirka położyła mu rękę na piersi.

– Zostaw nas, Kolail. Nic mi nie będzie.

Warknął, ale się wycofał. Rime przez chwilę za nim patrzył, a potem podchwycił jej spojrzenie.

– Kim on jest? Twoim przybocznym? Oswojonym zwierzakiem?

Złapała go za ramię i pociągnęła kawałek dalej wzdłuż ściany lodowca. Śledziły ich spojrzenia białych oczu.

– Spójrz na nich! – powiedział Rime. – Wszyscy są przerażeni. Nikt nie zechce walczyć u boku martwo urodzonych!

– Nazywają się Umpiri i słyszą każde twoje słowo!

– Stamtąd?

– Tak. Stamtąd.

Omiótł spojrzeniem ślepych, którzy stali spory kawałek dalej i przyglądali im się czujnie. Hirka widziała, że Rime ocenia swoje siły. Że się ich boi. I nic dziwnego. Byli szybcy. Silni. Mieli słuch jak wilki.

Rime potrząsnął głową.

– Zabiją nas wszystkich.

Już chciała mu ostro odpowiedzieć, ale dotarło do niej, że wcale nie jest taka pewna, czy się nie myli.

Kolail przyglądał im się badawczo znad brzegu kufla. Spróbowała sobie wyobrazić, jak Rime musi postrzegać te zmrużone, białe oczy. Jak odbierają je wszyscy, którzy nie żyli ze ślepyimi. Czy mogła mieć im za złe, że byli przerażeni? Że sądzili, iż martwo urodzeni przynoszą zagładę?

Rime zacisnął pięści.

– Stracimy sojuszników, Hirko. Nikt nie zrozumie... czegoś takiego. – Wskazał na nich ręką.

– Niczego nie muszą rozumieć. Jest, jak jest.

– Co to ma być? Taniec z potworami?

– Jestem jedną z nich!

Wzdrygnęła się, usłyszawszy, jak jej głos odbija się od ściany lodowca. Kolail wyglądał, jakby w każdej chwili był gotów rzucić się jej na pomoc. Potwór pragnący ją ratować przed innym potworem.

To wszystko było beznadziejne. Czy kiedykolwiek mogło być inaczej?

Machnęła ręką na Rimego, żeby odeszli jeszcze dalej. Z ulgą skręciła w szczelinę w lodowcu. Z dała od spojrzeń. Migoczące lodowe ściany przywołały wspomnienia. Była tu już kiedyś. Widziała coś straszego.

Hirka szła dalej. Szczelina się poszerzyła, tworząc lodową grootę. Od jednej ze ścian odchodziła płaska półka ze śniegu. To tutaj kiedyś leżał. Pierwszy ślepy, którego widziała. Światło padające przez lód nadawało jego skórze niebieskawy odcień. Miał ziejącą ranę na brzuchu.

Nie wiedziała, kto go zabił. Może Eirik. Może ktoś inny. Ale stała kiedyś tutaj, miała wrażenie, że to było wieki temu – i zrozumiała, że istnieją ślepi. Naprawdę to zrozumiała. Do tego czasu była niewinna.

Hirka dotknęła rękoma lodowej półki, na której kiedyś leżał. Było coś przerażającego w tym, że nie pozostał tu po nim żaden ślad. Mógł przecież być przyjacielem Skerri. Może kimś z rodziny. Nikt nie powinien zniknąć bez śladu.

Przed jej oczami pojawiły się twarze. Ojciec na wózku. Lindri. Svarteld. Gdzie są ślady, jakie po nich pozostały? Powinny być tak głębokie, by nikt nie był w stanie ich zatrzeć. Usłyszała własny śmiech i nie spodobało jej się to, jak zabrzmiał.

– Hirko?

Rime przyszedł tu za nią. Odwróciła się do niego. Do Ciemnego Cienia, który zabił

Naiella. Wezbrał w niej smutek. Naprawdę musiała sprawić, by zrozumiał, że jest takim samym potworem jak ślepi.

– Oni nie byli braćmi, Rime. Graal i Naiell. Dla ciebie to nic nie znaczy, ale dla Umpiri to decyduje o wszystkim. To o braciach było kłamstwem. Mój dom awansował dzięki kłamstwu. Naiell się o tym dowiedział i zrozumiał, że dla niego to koniec. Że pewnego dnia wszystko wyjdzie na jaw. Domyślam się, że nie chciał czekać na katastrofę. A więc zdradził ich i przybył tutaj. Tak się to zaczęło. Wojna. Może zrobił tylko to, co czuł, że musi zrobić. A ty go za to zabiłeś. O niczym nie wiedząc. Nie znając go.

Rime zacisnął szczęki i odwrócił głowę. Nie odpowiedział. Nigdy nie poczuje się odpowiedzialny za śmierć, wiedziała o tym. Był tym, kim był.

Przyjrzała się jego szyi. Blizna stała się niewidoczna. Hirka nagle poczuła ciężar noża na biodrze. Rime był blisko. To by było takie proste, wystarczyłby krok do przodu. Jedno pchnięcie. O reszcie zadecyduje los i bogowie, jeśli istnieją.

Jeśli tylko uda jej się jeszcze na chwilę uczepić tej nienawiści.

– Naprawdę myślisz, że był Widzącym? – spytał Rime. – Sądysz, że by za tobą poszedł, tak jak tamci? I jak myślisz, co będzie potem? O ile to się kiedyś skończy. Zastanów się! Mają tutaj zostać? Myślisz, że ætlingowie mogą dzielić świat z martwo urodzonymi?!

Hirka usłyszała zgrzyt własnych zębów.

– Zanim skończę, wszystkie rasy będą mogły zamieszkiwać wszystkie światy. Evna będzie należeć do wszystkich.

Mrugnął, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

– Bez względu na cenę? Nienawidzisz mnie z powodu tych, których zabiłem, ale sama planujesz największą rzeź, jaką widział świat?

Hirka spuściła wzrok. Wątpił w nią. Nawet tego nie mogła mu mieć za złe. Przesunęła rękę bliżej noża. Zerknęła na miecze sterczące znad jego ramion i próbowała nie myśleć o tym, z jaką łatwością mógł ją rozbroić.

– Tak szybko wysyłasz istoty do Slokny – powiedziała z goryczą w głosie. – Możesz wyjaśnić mi jedno? Jeśli wiedziałeś, że Graal posunie się tak daleko... Jeśli wiedziałeś, że wykorzysta nas przeciwko sobie, by wygrać tę wojnę, to dlaczego go nie zabiłeś? Dlaczego ten, kto najwięcej nam zabrał, może dalej żyć?

Dłoń oparta o udo, tuż przy nożu, drżała. Hirka nie potrafiła nad nią zapanować.

Rime zbliżył się o krok. Jego oczy zwęziły się ze złości.

– Bo jest twoim ojcem i nam nie zagrażał.

Z rezygnacją uniosła rękę.

– I co z tego? Zabijałeś z o wiele mniej ważnych powodów! Zabiłeś Naiella, bo mógł stać się zagrożeniem. Svartelda, bo rzucił ci wyzwanie. I bogowie raczą wiedzieć, ilu jeszcze

zabiłeś dla widzącego, który dawno temu opuścił Eisvaldr. A więc dlaczego nie mogłeś zabić tej jednej osoby, którą naprawdę powinieneś?! Tego, przez którego...

– Bobyś tego nie chciała!

Jego głos odbił się od lodowych ścian. Drżały mu usta. Wykrzywiły się tak, że ich nie poznawała, i nienawidziła tego. Potrafiłaby narysować jego usta z zawiązanymi oczami, a teraz były obce. Zdawał się bardziej zwierzęcy niż którykolwiek ślepy. Błady, o śnieżnych włosach.

Jego gniew zmienił się w zakłopotanie, jakby sam nie wiedział, co krzyknął. A potem opadła maska hardości. Oparł się o ścianę. Oddychał ciężko, jakby był ranny.

– Bobyś tego nie chciała – powtórzył ochryłym szeptem. – Bo to by nie było słuszne. Ale już nic nie jest słuszne. Myślisz, że wielu zabiłem, ale nawet nie masz pojęcia... Gdyby nie ja, Ciemne Cienie wciąż by żyły. – Mówił cicho, ze ściśniętym gardłem, jakby był umierający. Podniósł wzrok. Jasnoszare, wilcze oczy. Zmęczone. Udręczone.

Ten widok rozdzierał jej serce. Jego oczy go obnażały. Widziały ją. Błagały, żeby ona też go zobaczyła.

Hirka poczuła, że drżenie dłoni rozchodzi się po ciele, coraz wyżej. Drżały jej nawet usta. Nie mógł jej tego zrobić. Nie teraz. Musiał pozostać zimnym mordercą. Być kimś, kogo mogła nienawidzić, a nie otwartą raną. Ale było już za późno. Wiedział o tym każdy mięsień w jej ciele. Ręka opadła. Rime zginie przez Graala. Bo ona nie jest w stanie zrobić tego, co powinna.

Wyciągnąć nóż? Na Rimego?

Nigdy. Nigdy w życiu.

– Spaliliśmy ich – powiedział. – Trwało to kilka dni. – Wyglądał, jakby chciał się osunąć na kolana.

Hirka położyła rękę na jego piersi. Przyparła go do ściany, żeby nie upadł. Nie mógł upaść.

– Kim jesteś, Rime? – Złapała za skórzane pasy krzyżujące się na jego piersi. Potrząsnęła nimi. – Kim jesteś, Rime? Powiedz to! – Chciała, żeby sobie przypomnieli. Niczego bardziej nie pragnęła. Musiał powiedzieć, kim jest.

Zwiesił głowę. Dotknął ustami jej skroni.

– Jestem Rime An-Elderin. I żyję dla ciebie.

Z ust Hirki wyrwał się szloch. Te słowa się w nią wdzierały. Zniszczyły coś. Coś, co chroniło ją przed tą tęsknotą od chwili, gdy go pierwszy raz zobaczyła. Ale teraz swobodnie krążyła w jej krwi. Hirka nie potrafiła tego ukryć. Była bezsilna. Naga. Obnażona.

To uczucie przeniknęło ją jak zimno. Podniecające i straszne. A co, jeśli pragnęła go

bardziej niż on jej?

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

W jego oczach był bezgraniczny głód. To powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Objęła Rimego za szyję i pociągnęła do siebie. Odnalazł jej usta. Drżący dotyk. A potem się przebudził.

Całowała go, jakby była wygłodniała, ale to nie wystarczało. Nigdy nie wystarczy. Musiała dostać więcej.

Wsunął palce w jej włosy. Przyciągnął ją. Ciepła dłoń na głowie, druga na plecach. Hirka wiedziała, co się teraz stanie. To musiało się stać. Nie istniała taka siła na świecie, która mogłaby ją powstrzymać. Zbyt długo tego pragnęła.

Jego zapach ją odurzał. Przyłgnęła do niego, żeby stłumić jakikolwiek opór. Skórzana zbroja Rimego zaskrzypiała i ten dźwięk był tak znajomy, że miała ochotę się rozplakać. Szukała palcami sprzączek. Szarpała je, póki nie puściły. Miecze upadły na ziemię.

Wciągnął powietrze i odsunął ją trochę od siebie. Patrzył na nią, jakby czegoś szukał w jej oczach. Czego? Na co czekał?

– Czy możesz... Czy... – Przełknął.

Hirka patrzyła na niego. Czego się bał? Że będzie zimno? Żyła pod lodem tak długo, że nie pamiętała, jak było wcześniej.

– Wybaczasz mi? – szepnęła.

– Nie – odparła. – Kiedy ci wybaczę, dowiesz się o tym. – Przyciągnęła go do siebie.

Jego pocałunki stały się śmielsze. Bardziej natarczywe. Zrozumiał. W końcu zrozumiał. Szarpnął jej sweter. Pomogła mu ściągnąć go przez głowę. Znalazła jego pas. I gorąco, które nabrzmiało pod jej dotykiem.

Dyszał ciężko. Czowała jego oddech na ustach. Evna uderzyła w nią jak burzowy podmuch. Hirka nie wiedziała, czy czerpie świadomie, ale to było nieistotne. Otoczyła ją Evna. Otoczyła ich oboje. Jego dłonie parzyły jej plecy, skórę. Szarpał sznurki przy jej spodniach. Czowała jego pełne życia ciało. Twarde i pełne życia.

Gorąco Evny sprawiło, że lód zaczął się topić. Krople ze sklepienia spadały na jego pierś. Był silny. Dziki. Niebezpieczny.

Obrócił ją i przyparł do lodowej ściany. Podchwycił jej spojrzenie. Pierwotne. Mówiące wszystko. Już nic ich nie dzieliło. Chwycił jej uda. Oplotła nogami jego biodra i przyciągnęła go do siebie. W siebie. Stali się jednym. Ona i Rime.

Wyszeptał jej imię.

Tam, gdzie dotąd nie było nic, teraz pojawiła się tęsknota. Gorąco, które rozsadzało. Gwałtowny, słodki ból. Naparł na nią. Z jej gardła wyrwał się szloch. Mocno. Rytmicznie. Evna rozkładała ich na części i tworzyła ponownie. W ich żyłach tętnił ten sam puls.

Falami. Krew napływała do krocza. Oplatała go, drżała. Wstrząsała nią.

Rime stłumił krzyk, wciskając usta w jej szyję.

Przyjmowała w siebie żar, który spalał ją od środka. Była uchwycona między gorącym a zimnem. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, ale miał ją, trzymał.

Jego imię rozbrzmiewało jak echo w jej głowie.

Rime. Rime. Rime...

W końcu ciężar stał się zbyt duży i osunęli się powoli. Leżeli na plecach obok siebie. Dwa oddechy stopione w jeden.

Rime podniósł się na łokciu. Pochylił się nad nią. Patrzyła mu w oczy, gdy wsuwał jej pod plecy sweter, by nie zmarzła od lodu. To było wzruszające, ale nie miało żadnego sensu po tym, co przed chwilą przeżyli.

Łapczywie pożerał wzrokiem jej ciało, jakby już nigdy nie miał jej zobaczyć. Pieścił palcami jej pierś. Przekrzywił głowę. Hirka wpatrywała się w jego twarz. Chłoneła każdy jej szczegół. Podbródek. Ostro zarysowane usta. Teraz gorące i czerwone.

To było to. Ta jedna chwila. Teraz czas mógł się zatrzymać. Światy mogły runąć.

Jego uśmiech wykrzywił się w grymas bólu. Chwycił się za szyję.

Hirka zamknęła oczy. Zrozumiała. Ta pewność przeszła ją jak stal. To już koniec. Było za późno na wszystko. Czas, który mieli, minął. Graal nie dał rady skontaktować się z Damayanti ani ze Skerri i wiedział już, że z niego zakpiono.

Rime gorączkowo szukał swojego ubrania. Krwi, której potrzebował, by odpowiedzieć Graalowi. Nieświadomy tego, że zaraz zapłaci za jej zdradę.

Usiadła.

– Połóż się, ja ją znajdę. – Pchnęła go na lód. Teraz, gdy nie ogrzewała ich Evna, był chłodny w dotyku. Hirka udawała, że szuka buteleczki z krwią w kieszeniach Rimego. Stłumiła szloch. Miała gęsią skórkę. Bezgłośnie wysunęła nóż z pochwy.

Zakaszła.

– Hirko...

Musiała się śpieszyć. Uklękła obok niego. Położyła rękę na jego brzuchu. I wbiła nóż. Krzyknął. Wyprężył się na lodzie. Pchnęła go w dół, wysuwając ostrze. Rana zalała się krwią.

Upuściła nóż. Jej ciało było odrętwiałe. Zimne. Zdawało jej się, że już nigdy nie będzie w stanie się poruszyć. Rime uniósł się na łokciu i przesunął do tyłu, pozostawiając krwawy ślad. W świetle wpadającym przez lód jego krew wydawała się czarna. Znieruchomiał w półleżącej pozycji, oparty plecami o ścianę. Czekala na atak. Był Ciemnym Cieniem. Jego miecze leżały w zasięgu ręki.

Uświadomiła sobie, że jakaś jej część miała nadzieję, że Rime ich dosięgnie.

Patrzył na nią. Szok minął. Strach zmienił się w coś innego. W jakiś niepojęty spokój.

– Myślałem... – jęknął. – Myślałem, że sam będę musiał to zrobić. Odebrać władzę...

Graalowi. Ale... – Zakaszlał i skrzywił się z bólu. – Jeśli życzyłaś mi śmierci, wystarczyło tylko to powiedzieć.

Hirka stłumiła szloch. Gardło ścisnęło się tak bardzo, że poczuła ucisk w głowie. Jakby miało ją rozsadzić na kawałki. Jego ciepło ściekało po jej udach. Wpatrywała się w szyję Rimego. Na Widzącego, dlaczego nic się nie dzieje? Co z dziobem? Myślał, że Rime jest nieśmiertelny?

Jest Ciemnym Cieniem.

– Nasmarowałam nóż krwotoczniakiem – powiedziała, nie poznając własnego głosu. To było tak, jakby mówił ktoś inny. – Niedługo będzie po wszystkim.

W jego oczach znów pojawił się strach. Zaczął paskudnie kaszleć. Jego ciałem wstrząsnęły skurcze. Przetoczył się i podźwignął na czworaki. Oparł rękę o ścianę, jakby chciał wstać, ale nie miał szans.

Zwymiotował.

To był najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszała. Dźwięk wybawienia.

Zaczął się dusić. Hirka dopadła do niego. Walila go pięściami po plecach. Znów zwymiotował, wyrzucając z siebie dziób, który upadł na lód. Z ust Rimego ściekała gęsta krew.

Hirka pchnęła go na plecy. Nie miała czasu do stracenia. Przycisnęła jego koszulę do rany. Umocowała opatrunek paskiem. Rime wodził za nią szklistym wzrokiem. Znalazła swój nóż. Zacisnęła palce na ostrzu i przesunęła nim po dłoni. Prawie nie poczuła bólu. Tłumiło go głośnie bicie serca. Czuła wszystko. Nie czuła nic.

Uniosła opatrunek i jej krew ściekła na jego ranę. Krew pierwszych. Krew kruka. Dzięki temu szybciej się zasklepi. Pozostawała jej tylko nadzieja, że trafiła tam, gdzie chciała.

– Nie było żadnej trucizny, Rime. Wyjdiesz z tego. – Przypuszczała, że już jej nie słyszy.

Podniosła dziób. Ścisnęła go w zakrwawionej dłoni. Nie była w stanie dłużej powstrzymać łez. Szarpnął nią szloch.

Jeszcze chwilę. Musiała wytrzymać jeszcze tylko chwilę.

– Nie wiem, jak brzmiało twoje imię – wyłkała w umõni, ale nazwę cię Kuro. Po moim pierwszym kruku. Moim sercu. Weź mnie. Uczyni ze mnie jedną z was.

Dziób nie odpowiedział ani się nie poruszył.

Wtedy usłyszała krzyki. Nad lodem leciały kruki. Wracały na noc do Kruczego Dworu. Dziób zaczął się wić w jej dłoni. Wzdrygnęła się. Upuściła go.

Ból.

Jej ciało przeszły skurcze. Wydawało jej się, że słyszy swoje imię. Wołanie Rimego. Ale nie miała już imienia. Była tylko lękiem i bólem.

Żyły nabrzmiały na jej ramionach, oplotły je jak węże. Usłyszała jakiś dźwięk. Wiedziała, że to pęka jej skóra, ale bała się spojrzeć. Kości się kurczyły. Szyją szarpnęło na bok. Pomieszczenie się odkształciło. Pulsowało czerwienią. Skuliła się i rozpłakała.

Jej ciało było rozdierane na kawałki. Każda jego część się ściągała. Każda płakała. A potem Hirka rozpostarła skrzydła. Wszystkie skrzydła. Była krukiem. Była stadem. Ekspłodowała czernią i wyfrunęła z rozpadliny.

Narodzona z lodu.



NARODZONA Z KRUKA

Jestem. Kim jestem?

Niepewność. Zdumienie, którego nie powinno być. Skąd się brało?

Jesteśmy krukiem.

Kruki leciały nad zielonymi świerkami. Wysoko i nisko. Niektóre opadały, inne wznosiły się wyżej. W dole migotała rzeka. Srebrny nurt. Kruk chciał ją pochwycić, ale rzeka była zbyt duża. Rzeka robiła to, co chciała. Nie miała początku ani końca. Rzeka była dla wszystkich, nie tylko dla kruka. Niechętnie się z tym pogodził.

Kim jestem?

Jesteśmy krukiem! Przestań pytać.

Wiatr opływał pióra jak woda. Nie był pustką, lecz masą. W niektórych miejscach silny, gdzie indziej słaby. Wiatr nie był nicością. Kruk o tym wiedział. Skąd brało się to zdumienie? Wrażenie, że trzeba się dziwić? Kto nie wie, czym jest wiatr? Kruk się zastanawiał. Ale potem sobie przypomniał, że to nie jest ważne. Nie był głodny ani zziębnięty i tutaj nic mu nie groziło. Był krukiem.

Z ziemi sterczały gniazda bezskrzydłych. Kruk wzbił się wyżej. Bezskrzydłym nie można ufać. Nie sięgają wzrokiem na tyle daleko, by wiedzieć, że rzeka nie ma początku ani końca. Że nic ich nie ma. Kruk chciał odpocząć, ale strach gnał go dalej.

Strach? Nie było się czego bać. Był krukiem.

Kim jesteś?

Jestem Hirka!

Ciało przeszła panika. Ogon. Skrzydła. Serce wydawało się za małe. Ciało zbyt ciasne. Runęła w dół. Spadała jak kamień. Rozpostarła skrzydła. Pęd szarpnął je do tyłu.

Nie walczymy z wiatrem!

My? Co za my? Hirka dyszała ciężko. A może ktoś inny. Była krukiem. Ustąpiła miejsca umysłowi kruka. Kruk umiał latać. Ona tego nie potrafiła. Kruk odzyskał kontrolę. Pochwycił podmuchy wiatru. Czubki świerków. Morze. Piasek. Nic nie było w tym samym miejscu. Za dużo widziała. Jej myśli rozpadały się na kawałki. Rozpierzchały się na

wszystkie strony. Była krukiem.

Gdzie jesteśmy?

Jesteśmy wszędzie.

Zmrużyła oczy na wietrze. Wszystko wydawało się nie takie. I takie jak trzeba. Nieskończenie właściwe. Wspinała się przez całe życie. Na drzewa, na dachy. Ale nigdy tak jak teraz. Nigdy jako kruk.

Oczywiście, że tak. Jesteśmy krukiem.

Krukiem, który jest. Krukiem, który był. Krukiem, który zawsze będzie.

Myśli pojawiły się jak krople wieczności. Prawdy i kłamstwa. Powiązania. Gęste jak deszcz. Kamień i krew. Ziemia i ogień. Bezskrzydli mieli na to nazwę.

Bezskrzydli mają nazwy na wszystko.

Kruk zrozumiał. Mówił wszystkimi językami. Ze wszystkich czasów. Bo wszystko pochodziło z tego samego miejsca. Wszystko było jednym.

Evna.

Hirka ją czuła. Wiedziała, że nie powinna jej czuć. Czy na to zasługiwała? Dręczyło ją poczucie, że wyrzuciła zbyt wiele krzywd.

Tak jak my wszyscy.

Ale Hirki nie powinno tu być. Była dzieckiem Odyna. Zgnilizną. Martwo urodzoną. Była ślepa na ziemię. Nigdzie nie była mile widziana. W żadnym ze światów.

Jesteś mile widziana tutaj.

Kruk wylądował na stercie zwęglonych desek. W ruinach chaty nad morzem. Złej Chaty. Bezskrzydli wbili miecz w ziemię. Miecz ojca. Thorralda. Z jednej strony był szary jak popiół. Z drugiej lśniący, obmywany przez deszcz i wilgoć od morza.

Na ziemi leżało wezglowie łóżka. Płomienie nie zdołały go strawić. Wyrzeźbiono na nim rozpostarte skrzydła. Dzieło ojca.

Moje łóżko.

Opłakujesz go?

Kruk pytał obojętnie. Bez ciepła i bez chłodu. Po prostu pytał. Spod sterty kamieni wystawało koło wózka. Popękane szprychy pokrył popiół.

Tak.

Kruk rozpostarł skrzydła i zatoczył krąg nad Elveroą. Jego uwagę przykuło coś nad brzegiem rzeki. Coś, co tam nie pasowało. Błyszczało wśród kamieni. Kruk przysiadł na jednym z nich i dziobnął ten przedmiot. To było coś wykonanego przez bezskrzydłych. Drewniany konik. Zabawka.

Jomar. Chcemy go? Zabierzemy go ze sobą?

Nie. Niektóre rzeczy traci się na zawsze.

Kruk wzbił się w powietrze, oddalając od morza. Zostawiła za sobą żal. Myśli o życiu i śmierci. Uwolniła się od wstydu i strachu. Była krukiem. Była jedną z pierwszych.

Pod nią przesuwał się krajobraz. Wyrosły z niego góry. Wysokie i strzeliste, spowite zasłoną mgły.

Gniazdo Ślepych.

Ciemne Cienie, których już nie było. Svarteld. Lindri. Tam, gdzie kończyły się góry, wznosiło się białe miasto. Eisvaldr. Miasto Widzącego. Moje miasto. Nasze miasto. Mannfalla.

Darkdaggar...

Kruka przeszła nienawiść i wściekłość. Wiatr szarpnął skrzydła i wygiął je do tyłu. Pomyślała, że są złamane. Zaczęła spadać. Runęła w dół spiralą bólu. Pękały kości. Kruk krzyczał. Kruk umierał. Hirka nie mogła nic zrobić. Była ściśnięta. Uwolniła się z obcego ciała w eksplozji krwi i kości. A potem uderzyła o bruk. Ślepa, zmiażdżona i naga.

Spróbowała poruszyć rękoma. Usłuchały. Nie sądziła, że tak będzie. Szukała po omacku palcami. Natrafiła na ziemię między kamieniami. Uniosła się. Evna przeszła jej ciało jak wstrząs. Hirka zamrugowała. Znów widziała. Zobaczyła, że jej ramię zgina się w niewłaściwym miejscu. Pomyślała, żeby zaczerpnąć Evny, ale to nie było konieczne. Nie było powodu, by po nią sięgać. Była tu. Spleciona z nią w nierozzerwalną całość. Stanowiły jedność.

Hirka wczepiła się w bruk. Kamień pękł pod dotykiem jej ręki. Wstała i pojęła, że nie jest sama.

Wokół niej stali ætlingowie. Wpatrywali się w nią. Byli obcy. Żadnego z nich nie znała. Ale znała to miasto. Była nad rzeką, na końcu Mannfalli. Tam, gdzie domy opierały się o siebie, a ulice pachniały rybami. Nikt się nie odzywał. Stali jak urzeczeni. Jakaś kobieta pociągnęła za rękę chłopca, by podszedł bliżej. Objęła go ramieniem, żeby nie uciekł.

Między Hirką a cizbą ætlingów spadł na ziemię martwy kruk. Plasnął o bruk jak tobolek mokrych ubrań. Czarny i zakrwawiony. A potem kolejny. I jeszcze jeden. Z nieba posypał się deszcz martwych ptaków. Były ich setki. Ætlingowie się cofnęli. Nikt nie krzyczał. To wydało jej się dziwne. Po chwili ulica poczerniała od martwych ptaków.

Jakiś potężnie zbudowany mężczyzna ściągnął sweter. Podał go jej. Z wahaniem. Bez słowa. Przyjęła go i włożyła. Sięgał jej prawie do kolan.

Uśmiechnęła się do niego. Ostrożnie skinął głową.

Chłopiec wyrwał się matce.

– Ty krwawisz.

Krwawimy? Nie. Żyjemy. Jesteśmy krukiem.

Setki głosów w głowie. Setki myśli. Była wieloma istotami.

Hirka podkasala rękawy. Evna zabarwiała czernią jej żyły. Skóra była lepka od kruczej krwi. Przyłożyła dłoń do złamanej ręki. Wepchnęła kość na miejsce. Dokładnie tak, jak trzeba. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Kość zaczęła się zrastać. Evna widzi. Evna wie.

– Nie jesteśmy martwi – powiedziała do chłopca.

Mylili się. Wszyscy się mylili. Mówili, że nigdy nie będzie zdolna stać się jednym z Evną. Że potrafią to tylko Umpiri. Dreyri. Ci, w których żyłach płynęła czysta krew, krew pierwszych. Ale widziała spiralne kamienie w trzech światach. W różnych światach. To, co pradawne, wszędzie było takie samo.

Nie istniała czysta krew. Istniał tylko początek, a na początku wszystko było jednym. Wymieszane ze sobą.

Tak jak ona. Na początku wszystko było takie jak ona.



WOLNY

Rime zamrugał i mgła jakby się rozwiała. Próbował się podźwignąć, ale ktoś stanowczo pchnął go w dół.

– Jeszcze nie – powiedział niski głos. Szarowłosy martwo urodzony, który kucał obok niego.

Rime wiedział, kto to. Szukał w myślach imienia, ale mu się wymykało.

Światło wdzierało się przez szczeliny do prymitywnego namiotu ze skór. A więc wciąż był w Kruczym Dworze. W obozie ślepych.

Żyję...

Odruchowo dotknął szyi. Poczul ból, ale nic poza tym.

– Tu jest.

Martwo urodzony rzucił mu na pierś dziób. Rime wziął go do ręki i uniósł do światła. Kość była mocna. Wyglądała ponuro, ale była nieszkodliwa. Dziób był martwy, taki jak powinien. Tylko krew w zagłębieniach zdradzała, że kiedyś w nim żył. Że mógł stawiać mu żądania.

Był wolny.

Ale... Coś nie dawało mu spokoju. Coś, o czym powinien pamiętać.

Kochał się z nią. Na wszystkich bogów, jak bardzo ją kochał. To wspomnienie obudziło jego ciało. Gwałtowne gorąco. Dyskretnie naciągnął koc powyżej pępka. Ślepy dotknął ręką jego czoła, jakby pomyślał, że rumieniec wynika z gorączki.

Rime sobie przypomniał. Wezwał go Graal. Hirka płakała. Dźgnęła go nożem. A potem...

– Zmieniła się... Jej ciało... – Nie potrafił znaleźć słów, by opisać to, co widział. Nikt mu nie uwierzy, nikt nie zrozumie. – Skurczyła się. Zmieniła w...

– W kruka. Wiemy. – Ślepy podał mu kufel z wodą. – Widzieliśmy, jak nadlatują. Nie martw się, ona żyje.

Rime się napił. Ślepy przyglądał mu się sceptycznie. Jego oczy przypominały mokry śnieg. Lśniące. Szkliste. Roziskrzzone. Odebrał Rimemu kufel i go odstawił.

– Żyjesz tylko dlatego, że ona cię kocha. Ale powiedz mi, dlaczego cię dźgnęła. Skrzywdziła ją?

Rime odchylił głowę do tyłu. Sądził, że na poduszkę. Ale zobaczył, że jest zielona. Worek Hirki. Uśmiechnął się na ten widok.

– Nigdy. Nigdy bym jej nie skrzywdził. My...

– Nie musisz mi opowiadać, co robiliście, ætlingu, z daleka czuję to węchem. Dlaczego cię dźgnęła?

Rime się zawahał. Nie znał odpowiedzi. Mógł jedynie zgadywać.

– Bo miałem to. – Odrzucił dziób. – To kruczy dziób, który może...

– Wiem, co to. Żyję na tyle długo, by pamiętać wojnę.

Rime wybuchnął śmiechem. Jego brzuch przeszył ból. Uniósł głowę, żeby się przyjrzeć, ale po ranie nie było ani śladu. Opadł z powrotem na posłanie.

– Dźgnęła mnie, bo byłem bezużyteczny. Stałem się niewolnikiem, Graal mógł mnie użyć jak broni. Przeciwno niej. Przeciwno wszystkim. Zrobiła jedyną słuszną rzecz. To, co było konieczne.

Svarteld byłby z niej dumny.

– Też tak myślałem – odparł ślepy. – Ale jeszcze nie widziałem, by ktoś pchnięty nożem miał tyle szczęścia. Musi chyba świetnie wiedzieć, gdzie co jest pod skórą.

Rime uniósł się na łokciach. Zaskoczyło go, jak łatwo mu to poszło. Ten martwo urodzony miał rację. Hirka to wiedziała. Gdyby chciała, już by nie żył. Rime zerknął na dziób.

– Czyli mówisz, że zwróciła mi wolność?

Ślepy wzruszył ramionami.

– Zwróciła ją nam wszystkim.

Rime usiadł. Na próbę przekreślił głowę. Cudownie chrupnęło mu w karku.

Wolny.

Odkąd wziął dziób, miał związane ręce. Żył z nieustanną świadomością, że jest skazany na śmierć. Że Graal może go wykorzystać. Podporządkować. Zmusić. Albo zabić go, gdyby wszystko inne zawiodło.

Ale już nie. Nigdy więcej.

Rime wciągnął powietrze do płuc. Przepływało swobodnie przez gardło. Wypełniło piersi. Jeszcze nigdy nie był tak wolny. Niczym nieskrępowany. I nigdy tak bardzo nie czuł się mężczyzną.

Kochał ją. Bardziej niż samo życie.

Wstał. Ślepy spojrzał na niego, jakby sądził, że zaraz się przewróci.

Rime przyglądał się swoim dłoniom. Rozchylił je. Zacisnął. Czuł się silny. Szczęśliwy.

Niebezpieczny. W jego żyłach tętniła siła, która dawała wolność. Obietnica wszystkiego, co teraz mógł zrobić.

Był Ciemnym Cieniem. Jednym z tych, którzy przetrwali. Dziedzictwem Svartelda. I nie zginął. Żył.

Wyciągnął rękę do ślepego. Ten wstał i przyjrzał jej się, jakby nie był pewny, co z nią począć. Mimo wszystko ją ujął.

– Jestem Rime.

– Ja jestem Kolail – odparł ślepy, odsłaniając kły. Rime się domyślił, że to pewnie miał być uśmiech. – Widziałem cię na polu bitwy, Rime. Możesz dużo znieść i dużo działać.

Rime spojrzał na niego. Uśmiechnął się zimno.

– Widziałeś dopiero początek.



DREYRI

Hirka zostawiła za sobą gapiów i szła dalej w dół ulicą Daukatt. Opowiedzą o tym, co zobaczyli. Że dziewczyna o czerwonych włosach spadła z nieba i się nie zabiła. A potem ruszyła ulicami Mannfalli ubrana tylko w luźny sweter. To dotrze do uszu Rady. I do Darkdaggara.

Rozumiała, że ma mało czasu, ale nie potrafiła przekonać się do pośpiechu. Świat dawał tyle wrażeń. Jakby wszystko widziała po raz pierwszy.

Czuła zapach Evny. W niektórych miejscach była silna, gdzie indziej słaba. Tworzyła sieć jak płatanina korzeni w ziemi. Hirka szła teraz ulicami, na których nie było bruku. Stare, ledwie stojące domy opierały się o siebie. Poczowała, że dotarła we właściwe miejsce.

Wcisnęła się między dwa domy. W zaułek, w którym unosiła się woń zgnilizny. Przy starych miejskich murach leżała niska sterta drewna. Hirka odsunęła polana, odsłaniając ścianę.

Kamienie były szare i wytarte, pokryte żółtymi porostami. Tkwiły tu od niepamiętnych czasów, mimo to wydawały się słabe i kruche. Jakby mogła przejrzeć je na wskroś. Były tak wątłe, że musiała tylko...

Uniosła rękę. Nim zdążyła dotknąć muru, zaczął się rozpuszczać. Kamień się roztapiał. Wsunęła w niego palce. Wyciągnęła pasma rozżarzonej gliny. Evna zgęstniała wokół jej dłoni. Tylko dzięki temu nie poparzyła sobie rąk. A może jednak? Nie była pewna. To był tylko ból. Rozumiała, czym jest.

Drżała od czystej, pierwotnej siły. Z jej palców kapał stopiony kamień. Płynne gorąco. Jak gorąco Rimego między udami. Spojrzała w dół. Na jej nogach zaschły strużki kruczej krwi. Coś w niej wiedziało, że już nic nie będzie takie samo. Że to, co zrobiła, nie należy do jej rzeczywistości. Splataczka kamieni. Zaklinaczka kamieni. Stała się taka jak Hlosnian, ale nie potrzebowała narzędzi. Dzieło ślepych. Dzieło Evny.

Do czego będzie zdolna, gdy Evna stanie się naprawdę potężna?

Mamy krew pierwszych.

Możemy kształtować.

Hirka napała na to, co zostało z kamieni. Były ciężkie i sięgały głęboko. Potem wpełzła przez wyłom w murze. Wysunęła rękę przez otwór i zgarnęła pod mur jak najwięcej polan. Osadziła na miejscu kamienie. Zatarła ślady najlepiej jak potrafiła.

Otoczyła ją ciemność, ale to było bardziej uczucie niż rzeczywistość. Widziała równie dobrze jak dotąd. Wąskie przejście między murami wiodło w dół i szła nim, póki się nie zorientowała, gdzie się znajduje. Przed nią pojawiła się szczelina w skale. Hirka precyzyjnie się na drugą stronę. Nie bała się już ciasnych pomieszczeń. Narodziła się z ziemi. I z kruka.

Wyszła w jaskini, z której sklepienia zwisały kamienie tworzące ogromny krąg. Lustrzane odbicie kruczego pierścienia na powierzchni.

Troje strażników zerwało się na nogi. Nie chcieli, by ktoś zobaczył, jak siedzą. Może i byli upadłymi, ale przede wszystkim byli Umpiri.

Pozostali siedzieli lub leżeli pod ścianą. Mieli związane ręce i nogi. Ktoś zakneblował usta Skerri i nietrudno było się domyślić dlaczego.

Skerri ją zauważyła. Podźwignęła się na kolana. Skrępowana tylko tyle mogła zrobić. Jej oczy poczerniały z wściekłości. Wpatrywała się w Hirkę. Furia przygasła. Zmieniła się w coś innego. W konsternację. Strach. Skerri znieruchomiała.

Strażnicy też przyglądali się Hirce. Jeden wskazał na nią ręką. Przypomniała sobie, że ma na imię Brey.

– Twoje oczy – powiedział. – Są takie jak nasze.

Hirka rozumiała, co powiedział. Rozumiała, że to powinno być ważne, ale zdołała jedynie wrzucić ramionami.

– Widzimy tak samo dobrze jak dotąd.

Widzimy. Widzimy wszystko. Wszędzie.

Widzimy bezskrzydłych. Zmiażdżony kamień. Żyły w ziemi.

Hirka złapała się za głowę. Oddychała głęboko, póki głosy kruków nie ucichły do szeptu, który potrafiła zignorować. Nie mogła być równocześnie wszędzie. Musiała być tutaj. Teraz. Tak wiele od niej zależało.

Damayanti się ocknęła i usiadła oparta o ścianę. Mrużyła oczy w ciemności.

Hirka spojrzała na strażników.

– Zostało nam więcej pochodni?

Brey kiwnął głową i podszedł do worków. Hirka kucnęła przy Damayanti. Pochodnia zapłonęła jaśniej. Utworzyła wokół nich krąg światła. Żałośnie mały w wielkiej jaskini. Jak samotna gwiazda na czarnym niebie.

Damayanti zamrugała. Poznała Hirkę. Ulga w jej oczach była niemal wzruszająca.

Hirka wyciągnęła rękę. Brey bez pytania podał jej nóż. Bystry mężczyzna. Hirka

przecięła więzy. Z ust Damayanti wyrwał się szloch. Siedziała, rozcierając nadgarstki.

– Dziękuję, że poczekałaś – powiedziała Hirka, choć tancerka nie miała żadnego wyboru. – Zrobiłam to, po co tu przybyłam.

Damayanti podchwyciła jej spojrzenie. Wzdrygnęła się, jakby zobaczyła zmarłego. Ale zaraz udało jej się zapanować nad sobą.

– Nie spodoba mu się to – powiedziała niewyraźnie. Po kilku dniach spędzonych pod ziemią mówiła przez nos.

– Nie – odparła Hirka. – Nie spodoba mu się to. Próbował się z tobą kontaktować?

Damayanti kiwnęła twierdząco głową, jej usta lekko się wykrzywiły. Jak bardzo musiała cierpieć, gdy nie była w stanie odpowiedzieć Graalowi? Hirka dostrzegła czerwone ślady szponów nad jej obojczykiem i obejrzała się na troje upadłych. Kobieta o imieniu Vinrid założyła ręce na piersi.

– Zaczęła krzyczeć, nie miałam wyboru.

Hirka położyła dłoń na ramieniu Damayanti. Tancerka była zziębnięta.

– Wybacz mi. Nie trzymałabym cię tutaj, gdybym nie musiała.

Damayanti potarła nos. Nawet to potrafiła zrobić z wdziękiem.

– Mam nadzieję, że było warto – odparła. – Twój ojciec nie należy do tych, którzy wybaczą.

Hirka wybuchnęła śmiechem.

– Delikatnie mówiąc. Ale to on mnie pierwszy zdradził. Wy mnie pierwsi zdradziliście.

Hungl i Tyla poruszyli się na podłodze. Leżeli dalej, jakby się przysłuchiwali. Oceniali sytuację. Nie byli pewni, co się dzieje.

Hirka wstała i podeszła do Skerri.

– Próbowaliśmy czerpać Ewnę – wyjaśniła Vinrid. – Kilka razy musieliśmy ją zamrozić. I nie chciała się zamknąć.

Hirka zsunęła knebel. Skerri nie marnowała czasu.

– Mam gdzieś, co zrobiłaś. I tak już przegrałaś! – Jej głos przetoczył się po jaskini. – Do tej pory zdążyli się już zebrać w Nifel. Wszyscy. Po drugiej stronie tych kamieni są wszyscy Umpiri z Dreysíl i nie możesz zrobić nic, żeby ich powstrzymać! Nic!

Hirka ze zdziwieniem stwierdziła, że tęskniła za tym głosem. Za tą nieokiełznaną furią. Za czarnymi ustami. Może dlatego, że już nic nie mogła jej zrobić.

– Nie zamierzam ich powstrzymywać, Skerri. Przybyłam, żeby ich poprowadzić, zapomniałaś już?

Skerri warknęła.

– Poprowadzić ich? Jesteś zdrajczynią! Zawsze to wiedziałam. Jesteś taka jak Naiell. Przyniosłaś hańbę rodzinie. – Odrzuciła do tyłu głowę. Chciała zaznaczyć swój dystans

i odrazę.

Hirka pochyliła się nad nią.

– Zapominasz o pewnym ważnym szczególe, Skerri. Naiell nie był rodziną.

Skerri zamarła. Siedziała bez ruchu. Na jej szyi pulsowała żyła. Rozejrzała się odruchowo, przerażona, że pozostali mogli to usłyszeć.

– Nie masz się czego obawiać, Skerri. Nie zamierzam zdradzać tej tajemnicy. – Hirka przysunęła nóż do więzów i umyślnie się wstrzymała. – Chyba że zamierzasz zrobić coś naprawdę głupiego. Na przykład spróbować pogrzebać mnie żywcem.

Skerri była wściekła, ale nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Że zrobisz to, na co czekałaś tysiąc lat. Rozpoczniesz wojnę.

– To dlaczego leżymy tu związani, od pierwi raczą wiedzieć jak dawna?! Po co to, skoro nie zamierzasz nas powstrzymywać?

Hirka przecięła więzy. Skerri natychmiast zerwała się na nogi. Zachwiała się, ale błyskawicznie udało jej się to ukryć.

– Na tym właśnie polega problem, Skerri. Nie zrozumieliście. Tęsknicie za Evną, lecz nigdy nie próbowaliście jej zrozumieć. Myślałaś tylko o krwi i śmierci. O tym, żeby coś rozszarpać własnymi szponami. Ja nie mam szponów. Ale teraz mam kruka. – Oddała nóż Breyowi. – Uwolnijcie Hungla i Tylę. Ruszamy.

Hirka podała rękę Damayanti. Pomogła jej wstać.

– Damayanti, znów jesteś wolną kobietą. Na tyle, na ile możesz być wolna z dziobem. Gdy Graal cię poprosi, byś otworzyła dla nas przejście, to będzie ostatni raz.

Hirka przywołała Evnę. Wypełniła nią jaskinię. Wypełniła siebie. Evna zaczęła wibrować między kamieniami. Wydawała cichy, drgający dźwięk, którego nie słyszał chyba nikt oprócz niej. Pieśń kamienia.

– Poczekaj... – Damayanti dotknęła jej ręki. – Czy... czy Rime żyje? Spotkałaś go?

Hirka spojrzała na nią. Na zdradziecko piękną tancerkę, która nakłoniła Rimego, żeby wziął dziób. Na kobietę, przez którą musiała dźgnąć go nożem. Damayanti zrobiła z niego niewolnika Graala. A przed Rimem był Urd.

Tancerka była prawą ręką Graala w świecie, do którego nie miał dostępu. A teraz pytała z czułością w oczach o tego, którego zdradziła i wykorzystała.

Skerri prychnęła.

– Czy żyje? Gweni, nie czujesz tego? Śmierdzą nim jej uda!

Damayanti się cofnęła. Uniosła podbródek w nieudolnej próbie pokazania, że o to nie dba.

Hirka uśmiechnęła się pod nosem. Podniosła futerał z krukiem i podała go Skerri.

– To należy do ciebie. – A potem weszła między kamienie.



Pustka nie była już taka jak kiedyś. Cisza wydawała się pełniejsza. I Hirka nie czuła już mdłości. Kilka kroków w nicość, a potem wyszła między ogromnymi głazami w sali. Skerri nazwała to miejsce Maknamorr. Teraz sobie przypomniała, gdzie słyszała to słowo. Powiedział to Naiell.

Wszystkim tym, czego nie wiesz, można by zappełnić Maknamorr, Sulni.

Miał rację.

Sala była pełna po brzegi. Umpiri przepychali się do kruczego pierścienia, otaczając go. Musieli zauważyć, że się przebudził. Zobaczyć płatki śniegu sunące w stronę kamieni.

W sali poczyniono przygotowania, by wyruszyć na drugą stronę. Największe zaspę zniknęły. W ich miejscu stały teraz zwiezione meble i kufry.

Umpiri rozmawiali szeptem. Hirka wciąż była pełna Evny i słyszała urywki rozmów z głębi sali. Słowa tych, którzy stali na galeriach wiele pięter wyżej. Służących. I Dreyri, którzy znajdowali się najbliżej, jakby nie chcieli nikogo dopuścić do kręgu kamieni.

Mówią o nas. Znają nas.

Wiedzą, że jesteśmy krukiem. Pamiętają nas.

Głosy w jej głowie mieszały się z tymi dobiegającymi z zewnątrz.

Ona. Córka Graala. Półkrwi. Zaginęła. Uciekła.

Balansowała na ostrzu miecza. Spekulowali i mieli ku temu wszelkie powody. Zauważono nieobecność bezdomnych i upadłych. Nikt nie wiedział, ilu ich było ani czy miało to z nią jakiś związek. Chyba że ktoś się wygadał.

Tak czy inaczej, mierzyli ją wzrokiem. Kim jest? Przyjacielem czy wrogiem? Wybawicielką czy zdrajczynią?

Hirka usłyszała, że zbliża się Skerri z pozostałymi. Obejrzała się na swoje ślady. Jej nagie stopy roztopiły cienką warstwę śniegu.

– Hirko?

Raun wyłamał się z szeregów. Przystanęła przed nim. Usta drżały jej tak bardzo, że trudno jej się było uśmiechnąć. Miała bolesną świadomość tego, jak musi wyglądać. Twarz Rauna wyrażała na przemian czułość i gniew. Najwyraźniej nawet on nie był pewny, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Nie potrafiłaby mu wyjaśnić. Mogła jedynie utrzymać się przy życiu, dopóki to wszystko się nie skończy. Dopóki nie minie wojna. Żeby tak się stało, musieli pójść za nią. Uwierzyć jej. I nie mogli dłużej wątpić w jej lojalność i potęgę.

– Stało się – powiedziała. – Jestem Dreyri. Narodziłam się z kruka.

Wiedziała, że wszyscy to widzą. Miała oczy takie jak oni. W sali podniósł się gwar.

Hirka wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Rauna. Czuła każdy włos czerwonej brody. Jego oczy się rozszerzyły. Oburącz chwycił ją za ramię, jakby się bał, że Hirka cofnie rękę. Poczuela, że chłonie Ewnę. Pił z niej, aż mrowiło w żyłach.

Podniósł wzrok na Skerri. Jego oczy poczerniały z gniewu.

– Chciałaś pogrzebać ją żywcem...

Skerri przystanęła. Hirka dała jej znak ręką, w nadziei, że to ją uspokoi. Gdzie jest Widzący? Raun musiał się dowiedzieć od niego. Minęło zbyt wiele dni, więcej niż uzgodnili, i obawiał się o jej życie. Bał się, co mogła zrobić Skerri, i zdradził Raunowi tajemnicę. Ale nie widziała go w tłumie.

Hirka puściła Rauna.

– Później do tego wrócimy – powiedziała i poszła dalej.

Ewna zaczynała słabnąć. Hirka powoli mijała Umpiri. Pozwalała, by dotykali jej ciała. By wyciągnęli z niej resztki. Stłoczyli się, by być bliżej. Niektórzy przepychali się dość obcesowo. Hirka wyczuwała zagrożenie. Wystarczyłaby jedna iskra, by podpalić te tłumy. Ktoś w głębi sali krzyknął.

Kończył jej się czas.

Dostrzegła Jóra. Stał obok wielkiej sterty mebli i kufrów i trzymał dłoń na szkatułce z miki. Na jego piersi wił się czerwony wąż. Patrzył na nią ze zdumieniem. Niepewnie skinął głową.

Jór... Zawiodłam cię.

Zawiodła dom Hod. Zniweczyła plany połączenia domów. Ale to zawsze był ich plan, nie jej. Podeszła do Jóra i sięgnęła po szkatułkę. Nie próbował jej powstrzymać. Pochylił się ku niej i szepnął jej do ucha:

– Jeszcze nigdy nie byłaś tak piękna jak teraz.

Hirka uśmiechnęła się smutno.

– Mówisz to, bo nigdy nie widziałeś we mnie tak wiele z samego siebie.

Wspięła się na stertę mebli. Na górę komód, szafek i kufrów. Na jej szczycie otworzyła szkatułkę. Serce Naiella spoczywało w lodzie. Pachniało intensywniej niż dotąd. Tak mocno, że wydało jej się, iż teraz wyczuwa jego odrębność. To, co różniło go od Graala, Rauna i Modrasme. To, co sprawiało, że był kłamstwem.

Głosy w jej głowie odezwały się ze zdwojoną siłą.

To on. Pamiętamy.

Jest jednym z nas. Zabierz go.

Powróciło wspomnienie. Hirka zobaczyła samą siebie. Po śmierci ojca. Weszła do niego,

gdy leżał na stole. Wycięła kawałek jego ciała i nakarmiła nim Kuro. Żeby ojciec mógł latać z krukami, tak jak bliscy członków Rady. Tak jak Umpiri.

Uniosła w rękach serce. Wszyscy w sali umilkli. Całe Ginnungad. Cały Dreysíl. Wszyscy zebrani w Nifel, w zrujnowanym mieście. Wokół wspomnienia o Evnie. Żądzy zemsty. Wokół niej.

Kuro. Serce.

Hirka wbiła w nie zęby. Jej usta wypełniło zimne, włókniste mięso. Trzymała je oburącz. Szarpała zębami, póki kawałek się nie oderwał. Smakowało stałą i ziemią. Było wilgotne i surowe.

On jest jednym z nas. Zabierz go.

Serce Naiella powoli tajało w jej dłoniach. W miarę jak jadła, było coraz bardziej wilgotne. Grzbietem dłoni otarła krew z ust. Przelykała. Stawała się jednością z tym, którego od tysiąca lat nienawidzili. Czowała, że ona i Naiell mają ze sobą coś wspólnego. Oboje urodzili się w kłamstwie. I z tego powodu zrobili to, co musieli.

Hirka oblizwała palce. Była krukiem. Padlinożercą. Dreyri.

Omiotła wzrokiem morze Umpiri.

– JESTEM EVNA! – zawołała, nie poznając siły swojego głosu. Niosła go potęga tego, za czym najbardziej tęsknili. – JESTEM HIRKA! CÓRKA GRAALA, SYNA RAUNA Z DOMU MODRASME! NARODZIŁAM SIĘ Z KRUKA! JESTEM PIERWSZYMI!

Nikt nie zaczął krzyczeć. Spodziewała się wybuchu radości. Uderzania kijami o posadzkę. A jednak milczeli. Słyszała ciche stuknięcia. Nie kijów, tylko kolan uderzających o podłogę. Klękali. Jeden po drugim. Jak fala przetaczająca się przez salę. Tak jak Mannfalla przed Rimem. Ale ætlingowie z Mannfalli zawsze klękali. Umpiri tego nie robili. Przed nikim.

Tylko przed nami. Tylko przed Evną.

Tylko przed pierwszą narodzoną z kruka od tysiąca lat.

Klękali nawet ci, którzy byli na zewnątrz. Zaglądali przez otwory w murach. Przez otwarte drzwi. Błdzi i lekko ubrani. Morze mlecznobiałych oczu. Morze martwo urodzonych.

Wtedy go dostrzegła. Stał niedaleko Rauna, oparty garbatymi plecami o ścianę. Był niemal niewidoczny w czarnej szacie, z kapturem zasłaniającym całą głowę.

Musiała sprawić, by poczuł Evnę. By jej dotknął, zanim całkiem zniknie. Zeskoczyła ze sterty bagaży i przeszła między nierównymi rzędami klęczących nábyrnów. Przystanęła przed nim i chwyciła go za rękę. Zacisnął palce na jej dłoni. Czarne szpony wbiły się w skórę.

Przysunął się do niej. Oparł głowę o jej pierś. Wciągnął jej zapach. Świszczało mu

w zdeformowanych płucach.

– Udało nam się, Widzący – szepnęła.

Potarł głową o jej szyję, jakby nią pokiwał.

– Północ, południe, wsss...schód i zachód... Kruki mówią, że tam byłaś. We wszystkich stronach świata. Iloma byłaś krukami?

Hirka splotła palce z jego szponami.

– Wszystkimi, Widzący. Byłam wszystkimi.

Podziękowała mu szeptem za to, że w trosce o nią zwrócił się do Rauna. Że się o nią bał. Potem podeszła do swojej rodziny.

Przyklękli na jedno kolano i spoglądali na nią z przerażającym głodem w oczach. Wiedzieli, że może ich zniszczyć. Wyjawić całemu ludowi prawdę o Graalu i Naiellu. Ale co dobrego by z tego wynikło?

Wolała dać im wszystko, o czym marzyli.

Dopóki nie pojmy, że jestem taka jak on.

Skerri patrzyła w podłogę. Klęczała zgarbiona, nazbyt jasno zdając sobie sprawę, że słowa Hirki mogą ją zniszczyć. Pogrzebała żywcem jedną ze swoich. Czy zrobią z niej upadłą? Będzie musiała nosić stalową kroplę? A może będzie tylko bezdomną?

To musiało poczekać. Teraz ważniejsze było coś innego.

– Wstań, Skerri – powiedziała Hirka. – Przyszła pora, by porozmawiać z moim ojcem.



TAMTA NOC

Hirka znalazła pomieszczenie na najwyższym piętrze nad salą. Brakowało tu połowy dachu. Gdy runął, pociągnął za sobą znaczną część ściany, więc daleko w dole widziała miasto. Choć Nifel nie był miastem we właściwym rozumieniu tego słowa. Raczej jego wspomnieniem. Kolistym labiryntem ruin, które jedynie gdzieś wystawały ze śniegu.

Jego centralnym punktem był Maknamorr. Sala otaczająca kamienny krąg. Im bliżej niego, tym wyższe stawały się budynki. Kolosy z czarnego kamienia, podziurawione pomieszczeniami. Zbudowane za pomocą Evny i uformowane w nieprawdopodobne kształty. Widziała iglice, które wznosiły się faliście, jakby olbrzymi ścisnęli je między palcami. Jedna z nich była zbyt wąska w połowie wysokości, by przetrwać zniknięcie Evny. Złamała się. Osunęła się jak część lodowca. Poświęciła część siebie, by móc przetrwać kolejną zimę.

Hirka zrobiła to samo. Poświęciła tyle siebie, że już nigdy nie będzie taka sama. Wiedziała o tym. Zmieniła się w kruka. A musiała poświęcić jeszcze więcej. Być może życie. I nawet to nie gwarantowało, że Evna przetrwa.

Oparła się o parapet. Poczula ukłucie bólu i cofnęła dłoń. Szyba dawno wypadła. Fragmenty stłuczonego szkła sterczały jak gnijące zęby. Po kciuku płynęła strużka krwi. Przez chwilę się spodziewała, że rana się zamknie, ale Evna już ją opuściła. Wyciekła z niej. Tak jak podczas rytuału, kiedy Rime próbował jej pomóc.

Nie udało się.

Co by było, gdyby wszystko potoczyło się inaczej? Gdyby Sylja nie nadepnęła jej na palce, sprawiając, że Hirka została na samym końcu. Gdyby powierniczka kruka tak długo nie zwlekała? Co by było, gdyby udało jej się przejść rytuał?

Mogła zostać uznana za ætlinga. Wtedy Urd by jej nie ścigał. Wielu z tych, którzy zginęli, wciąż by żyło. Svarteld, Lindri, Ilume... Nie upadłaby Rada. Rime nie zostałby powiernikiem kruka.

Wciąż byłby Ciemnym Cieniem. Ale czy należałby do niej? A może miłość i tak

znalazłaby sposób?

Babskie gadanie.

Szept ojca ze Slokny. Tym razem tęsknota nie nadeszła. Zwykle pragnęła w takich chwilach, żeby żył. Żeby mógł zobaczyć wszystko to co ona. To się jednak zmieniło. Cieszyła się, że ojciec jej nie widzi i że nie widział wszystkiego, co była gotowa poświęcić. Miała uzdrawiać, ale żeby to zrobić, musiała niszczyć.

Hirka oblizała skaleczenie. Zatamowała krwawienie.

Usłyszała kroki na zewnątrz. Odwróciła się i spojrzała na otwór, w którym kiedyś były drzwi. W futrynie wciąż tkwiły zardzewiałe zawiasy. Weszła Skerri. Dwóch upadłych przystanąło na zewnątrz, w korytarzu. Pewnie mieli nie spuszczać jej z oka, póki nie zostanie rozstrzygnięta kwestia jej winy. Jeden z nich na moment podchwycił spojrzenie Hirki, ale to wystarczyło, by pojęła, że nie został tu z własnej woli. Był jednym z tych, którzy poszliby za nią, gdyby tylko w porę dotarli do nich wieści.

Skerri postawiła futerał z krukiem na stole. Na masywnej kamiennej płycie, której nikt nie pofatygował się stąd zabrać, kiedy upadło miasto. Był to jedyny mebel w pomieszczeniu. Hirka wspięła się na niego i usiadła.

Skerri zwilżyła czarne usta, jakby chciała coś powiedzieć, nie mogła jednak znaleźć słów.

– Myślałam, że nas zdradziłaś – odezwała się w końcu. – To by było... naturalne. W tej sytuacji. Ale wróciłaś. I zrobiłaś to, co zamierzałaś. I nikomu nie powiedziałaś... – Obejrzała się. – ...o braciach – wyszeptała.

Hirka chciała zapytać, czy to mają być przeprosiny, ale zdała sobie sprawę, że nie zna takiego słowa w umōni. Pewnie nie istniało. Kiwnęła tylko głową.

– Jeśli mam... jeśli postanowisz... – Skerri szukała właściwych słów.

Hirka stwierdziła, że jej pomoże. Zakończy jej udrękę.

– Uważam cię za rodzinę, Skerri. Połączyły nas ze sobą kłamstwa i krew. Jeśli ktoś z nas upadnie, upadniemy wszyscy. Wiem, że wielu by się ucieszyło, widząc stalową kroplę na twoim czole, ale ja się do nich nie zaliczam. Poza tym według mnie Kesskerri nie brzmiałoby za dobrze.

Skerri odwróciła głowę. Potarła ręką kark. Paciorki na jej warkoczach brzęknęły nerwowo. Hirka zmieniła temat, zanim Skerri poczuła, że powinna jej podziękować. To by ją pewnie złamało.

– Chcą połączyć domy przez mój związek z Jórem. Tak się nie stanie. – Uśmiechnęła się do Skerri. – A może ty go chcesz?

Skerri spontanicznie zmarszczyła nos.

– Niech mnie pierwsi uchowają! – Chyba dotarło do niej, co właśnie powiedziała.

Spróbowała nad sobą zapanować. – Nie żeby czegoś mu brakowało. Jest silny i pochodzi z domu Hod. I brzydki też nie jest, ale...

– Ale nie jest Graalem?

Skerri mimowolnie położyła rękę na futerale z krukiem. Ten odruch ją zdradził.

– A ty nie wybrałaś swojego ætlinga? Potrafisz sobie wyobrazić, że ktoś go zastąpi?

Może wcale się tak bardzo od siebie nie różnimy.

Hirka spojrzała na nią ze zdumieniem. W świecie Skerri coś takiego musiało brzmieć sentymentalnie. To było przyznanie racji i komplement. A w tej chwili – również uchylenie drzwi. Droga do prawdy o Naiellu, jeśli Hirka właściwie rozegra swoje karty.

Przez otwór w ścianie wpadło kilka płatków śniegu. Zaczęły opadać na podłogę, ale zmieniły zdanie i zniknęły na zewnątrz. Jakby nie były niewolnikami wiatru, lecz miały własną wolę. Hirka pochwyciła jeden. Próbował się wymknąć, ale roztopił się w zetknięciu ze skórą.

– Byłam u ludzi przez całą wieczność – zaczęła. – To nie był nawet rok, ale wydawało mi się, że minęło mnóstwo czasu. Otaczają się dźwiękami. Światłem. Grzebią swoich zmarłych w ziemi. Pozwalają, by leżeli i gnili. Tak strasznie tęskniłam za krainami Ym, że czasem nie mogłam oddychać.

Twarz Skerri złagodniała. Ona rozumiała, czym jest duma z własnego kraju i domu.

– Byłam ślepa na wszystko, co u nich dobre – ciągnęła Hirka. – I z każdym mijającym dniem krainy Ym stawały się coraz lepsze w moich wspomnieniach. Trochę żyźniejsze. Trochę piękniejsze. Ta tęsknota stała się chora. Po jakimś czasie prawie zapomniałam, że to mieszkańcy Ym mnie przepędzili. Że mną gardzili i wtręcili mnie do lochów. To dziwne, jak czas potrafi zatrzeć to, co brzydkie. Wszystkie błędy.

Skerri zapatrzyła się przez dziurę w dachu. Gdzieś w dal, jakby próbowała sobie coś przypomnieć.

– Skerri... Znasz mojego ojca lepiej, niż ja kiedykolwiek go poznam. Przebywałam z nim jednak dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie jest tym, którego zachowałam w myślach. Tysiąc lat to dużo czasu. Nawet dla Umpiri. Graal ma urok, któremu trudno się oprzeć. Zmienne nastroje, tak... ale ten... budzący zaufanie spokój. Spotkałam wielu, którzy byli mu bliscy i go stracili. Byli tak liczni, że nawet mieli nazwę. Mówiono na nich „zapomniani”.

Skerri uniosła ostro zarysowaną brew.

– Myślisz, że usycham z miłości? Że we wszystkim, co robię, chodzi o *niego*? – Wydawało się, że sam ten pomysł nią wstrząsnął. – Nie chodzi o niego. Porzuciłam myśl o Graalu setki lat temu! Walczyłam o miejsce w dobrym domu, nie wyobrażaj sobie, że było inaczej.

Hirka uśmiechnęła się pod nosem.

– Ale Jóra z rodziny panującej nie chcesz?

Skerri zagryzła wargę, jakby pożałowała wszystkiego, co powiedziała.

Hirka musiała zmienić bieg tej rozmowy. Nie chciała posunąć się na tyle daleko, by Skerri poczuła się zaatakowana.

– Nie wiem, jakie masz powody, Skerri, ale rezultat pozostaje ten sam. Graal od tak dawna kieruje twoim życiem... Ilu innych odtrąciłaś? Ile możliwości, by mieć dobre życie? Spójrz tylko na Grida! Od jak dawna się za tobą ugania? Od stu lat? Dwustu? Myślisz, że odnosi te zwycięstwa w kręgu dla siebie? Robi to dla ciebie!

Skerri się wzdrygnęła, jakby właśnie się obudziła. Hirka zadała jej ostateczny cios.

– Graal odwrócił się od ciebie dawno temu. Nie musisz go już chronić. I nie musisz się obawiać, że będziesz bezdomna. Mówiłam ci, będziesz dla mnie rodziną, dopóki zechcesz.

A przynajmniej dopóki żyjemy...

Skerri spuściła wzrok. Hirka przekrzywiła głowę, by znów podchwycić jej spojrzenie.

– Wiem, że nie byli braćmi. Ale muszę się dowiedzieć, dlaczego Naiell się od wszystkich odwrócił. I wiem, że ty mi możesz o tym opowiedzieć. Co się stało?

Skerri zamknęła oczy, jakby zbierała siły. Westchnęła ciężko.

– Był wściekły – powiedziała. – Tak wściekły, że to się nie mieści w głowie. Wrzeszczał na Graala. Miałam właśnie wejść, ale zostałam na zewnątrz. Widziałam ich cienie przez płachtę namiotu.

Odchrząknęła. Hirka jej nie ponaglała. Pewnie Skerri poprzysięgła sobie, że nigdy nikomu nie opowie tej historii.

– To było w obozie, na północ od Kruczego Dworu. Usłyszałam, co powiedział. Że nie są braćmi. To było... byłam w szoku. Gdyby ktoś to usłyszał, to by zmieniło wszystko. Nie tylko odmieniłoby losy rodziny, ale też losy wojny. Bracia byli jak bogowie... Zesłani przez pierwszych. – Skerri oparła się o stół. Zwiesiła ramiona. – Naiell dopiero co się dowiedział. Naskoczył na Graala. Twierdził, że Graal musiał to wiedzieć przez cały czas. To nie była prawda. On nie miał pojęcia! Byli braćmi, przecież każdy czuł to węchem. Graal chciał go odesłać. Kazać mu opuścić rodzinę. Zostawić wszystko. Uważał, że lepiej będzie, jeśli jeden z nich zniknie, niż gdyby ktoś miał się dowiedzieć. Zrobiło się... – Westchnęła. – Zrobiło się paskudnie. I trudno się dziwić. Zaczęli się sobie odgrażać. Weszłam i poprosiłam, żeby się opanowali. Próbowałam im wyjaśnić, że obaj mogą stracić wszystko. – Wciągnęła powietrze i wyprostowała się. – Tamtego wieczoru ktoś próbował nas zabić. Graala i mnie. W najchórzliwszy sposób, jaki można sobie wyobrazić. To miało wyglądać na wypadek. Pożar w namiocie. Nie miał nawet na tyle charakteru, żeby zrobić to sam. Posłużył się przyjacielem. Ale nie skończyło się tak, jak tego chciał. Jego przyjaciel zdążył

rzucić lampkę olejną i w tym momencie strzała przeszła mu gardło.

Hirka na chwilę zamknęła oczy. Musiała dopasować do tej historii to, co już wiedziała. Poparzenia na biodrze Skerri. Historia Jóra o Kolailu i o płonącym namiocie. Niekończący się szereg błędów. Droga do tragedii.

Znów popatrzyła na Skerri.

– Kolail... To Kolail go powstrzymał?

Skerri kiwnęła głową.

– Wszyscy w obozie się pobudzili. Zobaczyli, co się stało, nie było dla niego ratunku. Dostał kroplę na czole. A Naiell... no cóż, zniknął, i wszyscy wiemy, co było potem.

Hirce zrobiło się ciężko na sercu. Przytłoczyły ją wszystkie te lata. Tysiąc lat. Wydarzenie z tak zamierzchłej przeszłości wciąż wywierało wpływ na świat. Ukradzione dziecko. Kłótnia. Jedna noc.

Zaśmiała się gorzko.

– Zakładam, że przyszło ci do głowy, że gdyby Graal nie przepędził Naiella, być może nigdy by was nie zdradził. Ta zdrada, która was jednoczy od tysiąca lat... doprowadziliście do niej sami.

Skerri nie odpowiedziała.

– Graal wciąż byłby tutaj albo w krainach Ym. Evna płynęłaby swobodnie przez bramy. A ja bym się nigdy nie urodziła. Nie powstałaby Rada, a Eirik z Kruczego Dworu byłby królem. A może wygralibyście tę wojnę i wybili ætlingów. Co do jednego. Nigdy się tego nie dowiemy.

Skerri objęła się ramionami. Po raz pierwszy wyglądała, jakby marzła.

– Raun myśli, że nie wiem... – W jej słowach kryła się niema prośba.

– Być może. Tego też nigdy się nie dowiemy – odparła Hirka. – Chyba że dojdziecie do wniosku, że powinniście ze sobą porozmawiać. O wszystkim.

Po twarzy Skerri przemknęła ulga.

Hirka wskazała głową na kruka.

– Przywołasz dla mnie Graala?

Skerri zacisnęła palce i na krucze truchło kapnęła czerwona kropla. Oczekały w milczeniu, aż ptasie kości zagrzecotały.

– Pozwól mi z nim porozmawiać sama na sam – powiedziała Hirka.

Skerri skinęła głową. Zaczęła się wycofywać jak na polecenie kogoś z wyższego domu. Przystanęła w drzwiach i uniosła brew.

– Grid?

Hirka uśmiechnęła się pod nosem.

– Byłoby szkoda. Jeśli dobrze go znam, pójdzie tam, gdzie walki będą najcięższe. Więc

to chyba i tak już nie ma znaczenia.

Skerri zniknęła za drzwiami. Hirce się wydawało, że na korytarzu przyspieszyła kroku.



DECYZJA OJCA

Hirka usiadła pośrodku stołu, tak by móc spoglądać przez dziurę w ścianie. Jej brzegi tworzyły posępną, nieregularną ramę wokół nieba. Na podłodze walały się okruchy kamieni. W kącie sterczała sucha słoma po opuszczonym ptasim gnieździe.

Hirka skrzyżowała nogi, oparła ręce na kolanach. Kruczy szkielet otworzył dziób.

– Co zrobiłaś, Hirko? – Głos Graala był niski i spokojny, choć wkradł się w niego jakiś ostry ton. Wiedział, że coś jest nie tak.

– To, co powiedziałam, że zrobię. Odnalazłam Evnę. Przypuszczam, że Damayanti ci o wszystkim powiedziała.

Krótką chwilą milczenia. Hirka niemal słyszała jego myśli. Czy powinien się na nią gniewać, że Damayanti przez kilka dni była uwięziona? Zapytać ją o Rimego? Oboje wiedzieli, że coś się zmieniło. Że ich relacje nie są już takie same. Ale to, jakie będą konsekwencje, zależało od niego.

Kruk szarpnął szyją.

– To... imponujące. Krwi z mojej krwi, jestem z ciebie dumny. Jesteś pierwszą narodzoną z kruka na Dreysil od tysiąca lat. Wiedziałem, że ci się uda.

Hirka uśmiechnęła się chłodno.

– Jeszcze nic nie wiesz. Ojcie.

Wahał się przez chwilę. Jak zwykle potrafił wyczuć wszystkie niuanse w jej głosie.

– Staliśmy się wrogami, Hirko?

– Staliśmy się? Jesteśmy nimi od chwili, gdy pozwoliłeś, by Rime wziął dziób. Mniejsza z tym, czy zrobił to z własnej woli. Postanowiłeś go wykorzystać i to z nas uczyniło wrogów. Teraz staliśmy się czymś o wiele gorszym, ojcie. Staliśmy się sobie równi.

– Hirko...

– Uwolniłam go, Graal – mówiła dalej, nie pozwalając sobie przerwać. – Może sądzisz, że on nie żyje, ale to nie dlatego nie mogłeś się z nim skontaktować. Jest wolny. To znaczy, że ani on, ani ja nie musimy ci się już podporządkowywać.

– Sądzisz, że możesz powstrzymać tę wojnę? – Do jego głosu wkradł się teraz arogancki

ton. Domyślała się, że wynikało to ze strachu. Z tego, że nagle stracił kontrolę.

Na jej uda opadały płatki śniegu. Leżały, nie topniejąc. Była zimna tak jak one. Kamienny posąg na stole. Miała wrażenie, jakby siedziała tak od zawsze.

Odrzuciła włosy na plecy. Kosmyki były sztywne od kruczej krwi.

– Tak wszyscy myślicie – odparła ochryple. – Że chcę zapobiec rzezi. Nie dopuścić do walk. Ale po trzech tysiącach lat powinieneś wiedzieć lepiej. Nikt nie jest w stanie powstrzymać wściekłości mas. One chcą nienawidzić. Niszczyć. Domagać się. Spójrz na nas, ojcie. Żyjemy z dnia na dzień jak zwierzęta. Kalamy własne gniazdo i zabijamy się nawzajem dla szklanych paciorków. Ślepi, człeki, ætlingowie... wszyscy jesteśmy tacy sami. Pierwszym byłoby wstyd. Żadni bogowie nie potrafią nas okiełznać. A więc nie, nie zamierzam powstrzymywać wojny. Istoty będą krwawić i ginąć bez względu na to, co zrobię. I będą to robić, nie rozumiejąc, że zabijają coś o wiele ważniejszego. Coś, czego nigdy nie mieliśmy prawa zniszczyć, i temu właśnie chcę zapobiec.

Kruk zagrzechotał kośćmi, ale milczał.

– Obiecałam ci Evnę i powiem ci, w jaki sposób dotrzymam tej obietnicy, Graal. Wejdziemy do Mannfalli. I nigdzie indziej. Nikt nie wyruszy do innych krain. Nikt nie będzie atakował zwykłych mieszkańców. Usłyszysz, że Umpiri zauważyli nieobecność wielu upadłych i bezdomnych. Są w Kruczym Dworze. To ja ich tam zaprowadziłam. I pomaszerają na Mannfallę, by zetrzeć się pod murami z wojskami Rady w chwili, gdy my przejdziemy przez kamienny krąg. Tak będzie. Wkrótce Dreyri przeprowadzą tutaj naradę wojenną i wtedy będziesz miał dwie możliwości, ojcie. Możesz poprzeć mnie i twoją jedyną nadzieję, by jeszcze kiedykolwiek poczuć Evnę. Albo możesz mi się sprzeciwić i umrzeć bez niej.

Hirka cicho bębniła palcami w kolano, czekając na odpowiedź. Graal pragnął jedynowładztwa. Pragnął krain Ym. Zemsty za to, co odebrał mu Naiell. Czy żądza zemsty była silniejsza niż pragnienie Evny? I czy wierzył, że Hirka będzie w stanie ją uleczyć?

Gdyby Graal chciał, wciąż mógłby wywierać na nią presję. Jego milczenie świadczyło, że się nad tym zastanawiał. Mógł zagrozić ludziom, których poznała w Anglii. Stefanowi. Ojcu Brody'emu. Nie tylko Rimego mógł wykorzystać przeciwko niej.

Jeśli jednak naprawdę uważał się za jej ojca... jeśli cokolwiek do niej czuł, da sobie z tym spokój. Jego następne słowa będą rozstrzygające.

– Gdybym nie był twoim ojcem, Hirko, poprosiłbym cię, żebyś pomyślała o tym księdzu i o Stefanie...

Hirka poczuła posmak goryczy. To była pusta groźba. Żałosna. Niepewna. Ale i tak ją rozczarował. Dała mu szansę. Teraz zmusił ją, by też odpowiedziała groźbą. By stała się

taka jak on.

– Gdybym nie była twoją córką, poprosiłabym cię, żebyś pomyślał o tym, że ty i Naiell nie byliście braćmi. Że dlatego chciałeś go przepędzić. Poprosiłabym cię, żebyś pomyślał o tym, że sam stworzyłeś zdrajcę.

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, zdawała się wieczna. Niebo zdążyło już pociemnieć. W wieczornym świetle jej dłonie wydawały się sine. Wiedziała, że zwyciężyła. Znała tajemnicę, która mogła zniszczyć jego dom. Przyszła jego kolej, by być niewolnikiem.

Kruk wpatrywał się w nią. Martwy ptak w ponurym pomieszczeniu.

– Hirko, musisz wiedzieć, że nigdy nie zagroziłbym Rimemu. – Te słowa padły szybko. Spóźniona próba, by ograniczyć straty. – Ani jemu, ani tobie, Hirko. I jeśli sądzisz, że bym go skrzywdził, to się...

– To już się stało. Nigdy nie będzie można tego cofnąć. Miałeś szansę. Mogłeś być ze mnie dumny. Dumny z tego, że zrobiłam to, co powiedziałam, że zrobię. Ale ty go wykorzystałeś, ojcze. Wykorzystałeś nas oboje. Nie ma o czym dyskutować. A więc kiedy podczas narady wojennej powiem, jak to się ma odbyć, czy mogę liczyć na twoje bezwarunkowe poparcie?

– Krwi z mojej krwi, zawsze cię będę popierać.

Hirka poczuła, że trochę się rozluźnia. Najgorsze miała za sobą.

– Hirko... – Było słyhać, że czuje się zraniony, bezsilny. – Bez względu na to, jak to się skończy, musisz wiedzieć, że jesteś dla mnie ważniejsza niż wszystko inne. Niż ta wojna. Niż mój dom. Mamy dużo do omówienia i tak zrobimy. Wiem, że pewnego dnia zrozumiesz. Że kiedyś mi wybaczysz.

Hirka wstała i zeskoczyła ze stołu.

– Myślę, że żadne z nas nie będzie żyć tak długo, ojcze.



W PRZEDNIU WOJNY

Niebo było mrocznym morzem przetaczającym się nad jej głową. Nieskończone i duszące. Hirka szła po szreni, póki nie dotarła na obrzeża Nifel. Miała nadzieję, że zobaczy stamtąd góry albo wzgórze. Coś, z czym poczułaby jakiś związek. Niebo nie miało jednak końca. Wydawało się, że jest coraz bliżej.

Każdy jej krok był ćwiczeniem w trzymaniu go na dystans. Ćwiczeniem w odpychaniu nieba. Nie zasłużyła sobie na to, by wgniotło ją w ziemię.

To nie moja wina.

Ciężkie chmury zagrzmiały w proteście. I oczywiście miały rację. Była tak samo winna, jak wszyscy inni.

Nifel w ciągu kilku dni się rozrósł. Śnieg się wycofał, ustępując miejsca Umpiri. Porzucone wieże i skute lodem sale stały się chwilową siedzibą tysięcy białookich. Najstarsi, którzy pamiętali, pokazywali innym drogę. Przechwalali się przed tymi, którzy nigdy tu nie byli.

Kłócili się o najlepsze pokoje. O zakurzone butelki nienadającego się do picia wina, które znaleźli w piwnicach. I o to, kto ma co zrobić. Świat się zmieniał. Umpiri wyruszali na wojnę.

Hirka widziała już wcześniej początek wojny. W Kruczym Dworze. Tutaj było inaczej. Nikt nie szykował się na śmierć. Nikt nie kuł broni ani nie ostrzył mieczy. Jak okiem sięgnąć, nie widać było ani jednej tarczy, nawet u bezdomnych i upadłych, którzy wciąż pozostawali na Dreysíl. Zbroi nie stworzono dla ochrony, lecz by pokazać to, co Umpiri otaczali największą czcią: ich samych.

Hirka usiadła na murze, to znaczy tak w pierwszej chwili jej się wydawało. Potem dostrzegła przy swoich nogach łukowaty szczyt okna. Reszta znajdowała się pod śniegiem.

Rozchyliła płócienne zawiniątko i odgryzła kawałek ciastka. Jadła powoli. Ten rytuał był starszy niż ruiny, na których siedziała, ale tutaj obcy. Zmusiła się, by zignorować mdłości. Zamknęła oczy. Słyszała krzyki kruków, jakby wiedziały, że wkrótce będą miały w bród jedzenia.

A co *ona* będzie robić, gdy inni staną się żerem dla kruków na polach bitew?

Balansować między ratowaniem życia a jego odbieraniem. Dbać o to, by zginęło jak najmniej istot, ale wystarczająco dużo, by nasycić Evnę.

Jak dotarłam do tego punktu?

Czuła się tak, jakby jej ciało należało do kogoś innego. Straciła z nim kontakt. Wiedziała, że gdzieś tam w środku jest ona, ale musiała się znieczulić. Trzymać w tle. Jej serce nie zniosłoby tego, co miało się wydarzyć. Jeszcze przez chwilę musiała być Dreyri. Czekala ją rada wojenna.

A potem?

Po kolei. Godzina po godzinie.

Spojrzała na swoje kolana. Nie zjadła nawet połowy ciastka. Owinęła je i wsunęła do kieszeni. Wstała i ruszyła z powrotem w stronę miasta. Do sali, gdzie kamienie sterczały ku sklepieniu jak filary wieczności. Teraz, gdy po drugiej stronie nikt nie czerpał, były martwe.

Posadzka była odsłonięta. Śnieg i czas odcisnęły piętno na kafelkach. Zmieniły je w pstrokaty, zielonkawoniebieski krajobraz. Jak zmarszczki na niespokojnym morzu.

Znalazła schody prowadzące w górę. Dawna sala rady zwisała spod sklepienia jak ogromna lampa. Czarna, z żółtymi oknami wokół. Niektóre były popękane albo wybite. Do złudzenia przypominała wieżę Widzącego z Mannfalli. Wąski most również. Kolejny dowód na to, jak Naiell próbował sobie stworzyć w Ym nowy dom.

Hirka przeszła po moście, ale przystanęła przed drzwiami. Były uchylone. Pozostali zajęli już miejsca. Rada. Przedstawiciele dziewięciu najwyższych domów. I ci, których z innych powodów nie można było wykluczyć. Skerri, która miała kruka. I Widzący, bo po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zobaczyli kogoś, kto narodził się z kruka.

Głos Hod wzniósł się nad pozostałe:

– Ona jest młoda, Graalu. Jak możemy oczekiwać dyscypliny od kogoś, kto nie przeżył jeszcze nawet ćwierć stulecia? Nie wątpię w niczyje dobre zamiary, to samo mogłabym powiedzieć o własnym synu. Młodzi nie wiedzą. A jeśli coś już wiedzą, zapominają o tym. Na tym polega problem.

Hirka weszła do sali. Zapadła cisza. Zbędne potwierdzenie, o kim rozmawiali.

Spojrzała na Hod.

– Problem nie polega na tym, że my zapominamy. Polega na tym, że wy wciąż pamiętacie.

Hod uniosła podbródek. Zwiotczał od czasu ich ostatniego spotkania. Teraz szybko się starzała. Ale dobrze było zobaczyć, że nie ukrywa się już w złotej komnacie. Umpiri dobrze robi patrzenie na starość. Na przemijanie, które ich dotyczy.

Nie było wolnego krzesła, więc Hirka zrobiła to samo, co wcześniej. Wspięła się na stół i usiadła na końcu, przy kruczym szkielecie.

– Za dużo pamiętacie – mówiła dalej, póki nikt nie protestował. – Pamiętacie krzywdy z minionych epok, jakby to się zdarzyło wczoraj. Nienawidzicie całej rasy za klęskę, do której doprowadził jeden z was. *Jeden z was!* Nie oni. Mówicie o zemście, choć w krainach Ym nie ma nikogo, kto żył w tamtych czasach. Najstarszy ætling, jakiego znajdziecie, będzie miał niewiele ponad sto lat.

– Myślisz, że o tym nie wiemy? – Hod przekrzywiła głowę. Spojrzała pobłaźliwie na Hirkę.

– W każdym razie zachowujecie się tak, jakbyście nie wiedzieli – odparła Hirka. – Co jest dla was ważniejsze? Evna czy krainy Ym? Gdybyście musieli wybierać?

– Czy ktoś mógłby przynieść dla niej krzesło? – spytał z rezygnacją Tyr.

Przy stole rozległy się śmiechy.

Na Hirce nie zrobiło to wrażenia. Czuła się niewzruszona. Zimna. Złamała już tak wiele zasad, że równie dobrze mogła złamać kolejne. Stała na stole.

– Nie mam szponów, Tyr. Ani kłów. Ale widziałam trzy światy. W niecałe dwadzieścia lat widziałam więcej niż ty w dwa tysiące, i będziesz żaloszny, jeśli nie zechcesz mnie wysłuchać.

– Hirko... – odezwał się cicho kruk głosem Graala.

Zignorowała go. Przeszła środkiem stołu.

– Odkąd tu przybyłam, dziwiłście się moim słabościom, jakby były wam obce. Bo jeśli istnieje coś, co naprawdę potraficie, jest to ukrywanie własnych. – Kucnęła przed Tyrem. – Ty byś nigdy nie okazał swoich słabości. Niewiele rzeczy przeraża cię tak bardzo, jak własne niedoskonałości. A ja? Pokazuję je otwarcie. Nie boję się ich. Zastanów się, jak silną mnie to czyni. O ile muszę być silniejsza, jeśli mam odwagę powiedzieć, że jestem słaba. Wciąż myślisz, że potrzebuję krzesła, Tyr?

Patrzył na nią z otwartymi ustami. Oswojony dzikus o czarnych włosach zebranych w żelazne pierścienie. Wpatrywała się w niego. Zmusiła się, by nie mrugnąć, bo wiedziała, że widział oczy takie jak własne. To nie były oczy ætlinga. Wiedział, czego dokonała. I zdawał sobie sprawę, że jej potrzebują. Choćby dlatego, że wciąż mają nadzieję na połączenie domów.

– Jestem Hirka, córka Graala, syna Rauna z domu Modrasme. Ale ważniejsze jest coś innego: narodziłam się z kruka. I mówię, że mogę wam zwrócić Evnę. Nie w Ym. Nie na wygnaniu. Tylko tutaj. – Uderzyła się w pierś. – Tutaj! Nifel znów może być taki, jak niegdyś. I Ginnungad. I jeśli tak ma się stać, zrobimy to po mojemu. Tak, jak chcą to zrobić kruki.

Widzący postąpił o krok naprzód. On i Skerri nie mieli miejsca w Radzie, więc stali z boku.

– Rozmawiałaś z nimi?

Hirka znów wstała.

– *Jestem* nimi. – Wróciła na drugi koniec stołu. – Brakuje wam kilkuset upadłych i bezdomnych. Są w Ym i tam się z nimi spotkacie, w walce z armią Rady. Nadejdą od zewnątrz, a my zjawimy się od środka.

Hod oparła ręce na stole. Na jej dłoniach pojawiły się zmarszczki.

– Zaplanowałaś bez nas strategię?

– Nie, strategia by oznaczała, że ci którzy opuścili Dreysíl, są po twojej stronie, Hod, ale tak już nie jest. Upadli powstali. Nikt z nas nie wie, do czego to doprowadzi. Tak czy inaczej, jest to korzystne. Mannfalla będzie musiała walczyć na dwa fronty.

Jasnowłosa mężczyzna pochylił się nad stołem. Z łańcuszka na jego szyi zwisał grot z evnoszkłą.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego to *nie jest* zdrada?

Hirka spojrzała na niego. Szukała w pamięci imienia.

– Fled, prawda? Z drugiego domu?

Nie zamierzała zbić go z tropu, ale było widać, że nie przywykł, by ktoś go pytał o to, kim jest.

– No cóż, Fled – powiedziała. – Jeśli twoi rozszarpią cię na strzępy, to możesz nazywać to zdradą. Ale jak na razie nikt cię nie zdradził. – Uśmiechnęła się krzywo. – Chyba że naprawdę myślisz, że stanowią zagrożenie. Chyba że... się boisz? Nie? Tak myślałam. – Znów usiadła na stole, obok kruka. – A więc przynajmniej możemy się cieszyć, bo ci, którzy opuścili Dreysíl, stanowią gwarancję, że ta wojna nie będzie nudna.

Ich śmiech przyprawiłby ją o dreszcze, gdyby i tak nie była przemarznięta do szpiku kości.

Hirka wyciągnęła rękę do siedzącego najbliżej mężczyzny, który trzymał zwoje papieru. Przez chwilę wydawał się zdezorientowany, ale zaraz podał jej jeden zwój. Rozwinęła na stole mapę Mannfalli.

– *Teraz* możemy porozmawiać o strategii.



ZWIERZĘTA POD MURAMI

Wyglądali jak bogowie. Przerazający i piękni. Na białych ciałach rysowały się wyrzeźbione mięśnie. Na szerokich klatkach piersiowych przecinały się skórzane pasy. Ich silne ramiona zdobiły stalowe pazury i baśniowe zwierzęta.

Umpiri. Dominacja była dla nich czymś naturalnym. Dumni i wyniośli. Gdyby Hirka ich nie przekonała, wyruszyliby nadzy jak w dniu, w którym się urodzili. Butna taktyka zastraszania i zdobywania. Niewątpliwie skuteczna, ale Hirka musiała sprawić, by byli postrzegani jak istoty myślące, nie jak dzikie zwierzęta. Mimo wojny i śmierci.

Stali w równych rzędach wokół kamieni, w oddziałach po stu na każdego dowódcę. To było wojsko, które nie przypominało żadnego innego. Nic nie świadczyło o tym, że boją się ataku. Nie było tu ani jednej tarczy. Ani jednej zbroi czy kolczugi. Nieliczni upadli i bezdomni mieli łuki albo noże, ale poza tym nie było widać żadnej broni. Tylko morze kłów i szponów.

Gdy zaczynała się wojna, w Kruczym Dworze przed domami stali starcy i dzieci. Niektórzy zapłakani, inni milczący. Tutaj nikt nie miał zostać w domu. Wszyscy mieli walczyć. A najmłodsza na Dreysíl była Hirka.

Rozmawiali cicho. Szmer niósł się przez salę. Wszystkie spojrzenia utkwione były w kruczym pierścieniu. Kamienie rzucały długie, mroczne cienie w umierającym świetle dnia.

Migotanie zdradzało, że Skerri czerpie.

Hirka postąpiła kilka kroków naprzód. Wszyscy na nią patrzyli. Raun. Uhere. Jór. Hod. Zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć, ale zrezygnowała z tego.

Kiwnęła głową i weszła między kamienie.

Pociągnęła ją siła, z którą nie sposób było walczyć. Zupełnie jakby kamienie pamiętały i za każdym razem stawały się silniejsze. Mniej pustki, więcej... czegoś. Wystarczyło kilka kroków i wyszła po drugiej stronie.

Przed nią stały Skerri i Damayanti. Usłyszała, że tuż za nią pojawiają się pierwsi Umpiri. Odwróciła się do nich. Dotknęła palcem ust, by przypomnieć im, że mają być

cicho. Ale i tak rozległy się dźwięki, podobnie jak wcześniej, gdy przez kruczy pierścień przechodzili upadli. Westchnienia, gdy wyczuwali Evnę. Głośne oddechy. Cichy śmiech tych, którzy aż do tej chwili nie wierzyli.

Skerri warknęła, żeby trzymali szyk. Spojrzała na Hirkę i wskazała na ciemną szczelinę w skale.

– Prowadź.

Hirka minęła Damayanti.

– A więc tak to się kończy? – szepnęła tancerka za jej plecami.

Hirka obejrzała się przez ramię.

– A myślałaś, że jak się skończy, Damayanti? Szczęśliwie?

Pokonała tunel, a potem ruszyła przejściem pod starymi murami miasta. Otoczyła ją gęsta ciemność, w której kiedyś nie potrafiłaby się zorientować, ale jej oczy nie były takie jak dawniej. Teraz wyczuwała zarysy murów. Dostrzegła szczury przemykające pod ścianami. Kawałki desek. I zardzewiałą, stalową rękawicę. Uderzyła ją myśl, że musi tutaj leżeć od ostatniej wojny.

Teraz jest już za późno.

Przejście pod murami podzieliło się na dwie odnogi. Skręciła w prawą. Druga grupa miała pójść lewą. Wypełnili korytarze pod murami jak szczury. Szli tuż obok siebie. Do chwili, gdy Hirka natrafiła na skalną ścianę. Powietrze było tu inne; ta część muru znajdowała się nad ziemią.

Hirka odwróciła się do tych, którzy szli za nią. Nie była w stanie rozróżnić ich twarzy, tylko ich wyczuwała. Słyszała ich oddechy. Brzęk uderzających o siebie paciorków.

Włosy Skerri.

Ktoś mruknął, chyba Raun.

– To koniec – szepnęła. Wydawało jej się, że kiwnął głową.

Odstawiła pożyczony kij. Jej własny został w Kruczym Dworze. Wraz ze wszystkim, co posiadała.

Oparła się o mur i upiła łyk z bukłaka. Zamknęła oczy i zaczerpnęła Evny. Wyczuwała, że pozostali robią to samo. W napięciu czekali w ciemności.

Usiłowała trzeźwo myśleć, ale się poddała. Jej uczucia były jednym wielkim chaosem. Walczyły ze sobą. Strach. Wściekłość. Rozpacz. Wszystko, co mogło pójść nie tak, i wszystko, co już się stało.

Stoję pod murami z martwo urodzonymi.

Evna obnażała wszystko. Skrzypienie skóry. Woń potu. Zaduch i kurz. Pachniało niemal jak tytoniem. Powietrze stawało się coraz cięższe. Coraz wilgotniejsze od oddechów.

A co, jeśli nie przybyły wojska z Kruczego Dworu? Co, jeśli bitwa się nie rozpoczęła?

Hirka usłyszała jakiś dźwięk. Z początku cichy, potem coraz silniejszy. Jak skwierczenie.

– Co to? – Głos Jóra. Ledwie słyszalny szept. – Pali się?

Hirka uśmiechnęła się w ciemności.

– Nie. Zaczęło padać.



PRZEPOWIEDNIA

Czas stanął w miejscu. Zupełnie jakby ich już nie dotyczył. Zostali pożarci żywcem. Żyli dalej w ciemnych wnętrzościach Mannfalli, gotowi się z nich wyrwać.

Jeśli Kruczy Dwór nie nadciągnie i nic się nie wydarzy, mieli zawrócić do kamiennego kręgu. Taka była umowa. Hirka zaczynała jednak rozumieć, że to się okaże niemożliwe. Gra toczyła się o zbyt wiele. Presja narastała od dawna, a kontrola, jaką posiadała nad Umpiri, miała swoje granice.

Zwierzęta pod murami traciły cierpliwość. Cisza była złudna. Składała się z westchnień. Szurania. Pomruków. Niespokojnego przestępowania z nogi na nogę.

Deszcz smagał mury na zewnątrz. Gdzieś zaczęło płakać dziecko. Evna niosła dźwięki przez kamień. Wdzierały się w nią. Bezwstydnie głośny płacz. Tylko dzieci potrafią tak płakać.

Hirka przyłożyła ręce do ściany. Wczepiła się w kamień, który skruszył się pod jej palcami. Ścisnęło jej się gardło. Usiłowała zapanować nad sobą. Pamiętać o szerszej perspektywie. Czym było płaczące dziecko w porównaniu z umierającym światem? Z wieloma umierającymi światami? Wielu musiało zginąć, by jeszcze liczniejsi mogli żyć. To dlatego tutaj była. Dlatego.

Nie boję się.

Powtarzała sobie to kłamstwo wiele razy. Nigdy jednak nie zdawała sobie sprawy, że mogło się stać tak wielkie. Nigdy nie musiała się obawiać o nikogo prócz siebie. O własne życie. Teraz bała się o wszystkich. Nikt nie mógł sobie pozwolić na to, by zawiodła.

– Nie przyjdą – szepnęła Skerri obok niej.

– Są w drodze – odparła Hirka.

– Skąd...

Hirka ją uciszyła.

– Posłuchaj.

Skerri nasłuchiwała.

– Nic nie słyszę.

– Właśnie...

Na ulicach nikt nie wołał ani nie śpiewał. Podkowy nie uderzały o bruk. Z karczm nie płynęła muzyka. W mieście było cicho jak w Sloknie. Byli przerażeni. Zamknięci w murach. Mannfalla czekała.

Usłyszała wołanie w oddali. Przekrzywiła głowę. Nasłuchiwała. Kolejne. Potem w jakiejś dzwonnicy zaczęły bić dzwony. I w innych. Dźwięk niósł się nad miastem. Głośny alarm. W pobliżu ktoś przebiegł. Gwardziści w ciężkich butach.

Zaczęło się.

Jej serce biło ciężko. Niemal niechętnie. Jakby chciało sprawić, by popadła w odrętwienie. By uwierzyła, że może zostać tu, w mroku. Zapomnieć o wojnie. Zapomnieć o Evnie. Po prostu ukryć się w murach, gdy na zewnątrz będzie walił się świat. Bo to właśnie miało się stać. Świat miał runąć.

Stała bez ruchu, gdy miasto wokół niej ogarniał gorączkowy pośpiech. Ktoś wykrzykiwał rozkazy. Przebiegli jacyś mężczyźni. Kierowali się w tę samą stronę. Evna niosła słowa przez mury.

Kruczy Dwór. Gniazdo Ślepych. Ślepi!

Skerri poruszyła się niecierpliwie. Hirka położyła rękę na jej ramieniu. Odczekała, aż znów zapadnie cisza. Aż każdy gwardzista w Mannfalli popędzi do Eisvaldru na drugim końcu miasta.

– Idziemy – powiedziała.

Jej słowa przekazano dalej. Brzęknęły zbroje. Umpiri się szykowali. Uderzali dłońmi o dłonie towarzyszy. Na szczęście. A może to było ostatnie pożegnanie, na wszelki wypadek. Nawet martwo urodzeni tego nie wiedzieli.

Hirka zaczerpnęła Evny. Moc, której nikt nie widział, ale która otaczała ją gęstą powłoką. Była niemal lepka. Hirka pchnęła ją do palców. Evna była teraz mroczniejsza. Głębsza. Zacisnęła pięści i uderzyła w mur.

Kamienie pękły, nim je trafiła. Dźwięk poniósł się w ciemnościach. Trzask. Skrzypienie. A potem cisza. Hirka uniosła ręce i dotknęła muru, ale nie wydawał się już jak mur. Kamień nie był kamieniem. Składał się z maleńkich cząstek, które ledwie trzymały się razem. Cząstek, które można było przemieszczać.

Machnęła rękoma na boki.

Kamienie eksplodowały, zmieniając się w ścianę piasku. Miliardy ziarenek zawisły przed nią w powietrzu, jakby przez chwilę nie wiedziały, co zrobić. Potem runęły na ziemię. W murze pojawił się nieregularny otwór.

Zatrzeszczało. Hirka usłyszała, jak gdzieś za jej plecami spadają kamienie. Ciasną przestrzeń wypełnił pył.

Zasłoniła ręką nos i usta. Chwyciła kij i ruszyła. Wyszła między dwoma chylącymi się domami. Był późny wieczór, ciemny i mokry od deszczu. Za nią z otworu w murze wysypywali się Umpiri. Musiała iść dalej.

Wyszła z zaułku na ulicę. Trochę dalej z wąskiego okienka wysunął głowę jakiś mężczyzna. Wystraszony i czujny. Dostrzegł Hirkę.

– Nie możesz się teraz kręcić po ulicy, dziewczyno! Zbliżają się! Mamy miejsce, jeśli...

Hirka spojrzała na niego. Jego oczy się rozszerzyły. Zauważył Umpiri wychodzących z zaułka. Znieruchomiał. Nie spróbował nawet zamknąć okiennic. Patrzył tylko jak urzeczony.

Hirka szła dalej między domami, póki nie dotarła do ulicy Daukatt. Obejrzała się przez ramię. Skerri, Raun, Hod i Tyr szli tuż za nią. A za nimi reszta. Czwórkami. Nieskończenie liczni. Jak blady wąż wijący się po ulicach. Lśniący od deszczu.

Nie spodziewała się, że tak będzie. Oczekiwała chaosu. Krzyków. Paniki. Ale ci, którzy ośmielili się wyjrzeć z domów, po prostu stali i patrzyli. W milczeniu. Jakby zamienili się w kamień.

Jakiś tęgi mężczyzna stał na ganku i zabijał deskami okno, w którym brakowało okiennic. Marne zabezpieczenie, na wypadek gdyby wojska Mannfalli miały ponieść klęskę. Wpatrywał się w Hirkę, w maszerujących martwo urodzonych. Zastygł z uniesionym młotkiem. Mimowolnie otworzył usta. Dwa gwoździe wypadły mu z ręki i zagrzechotały o schody. A potem przylgnął do ściany. Ukrył się w cieniu.

Hirka minęła placyk z zamkniętymi straganami. Dobrze pamiętała to miejsce. To tutaj próbowała kiedyś wmieszać się w tłum. Z przypasanym do ciała ogonem zabitego mężczyzny. Jakaś staruszka stała na skrzyni i krzyczała coś o dziecku Odyna. Wokół niej zebrali się przerażeni słuchacze. Hirka zapamiętała każde jej słowo.

Dziecko Odyna przyszło pierwsze! Pomnijcie me słowa! Ślepi to jej niewolnicy! I niesie ze sobą popiół Slokny!

Wtedy to się wydawało jakimś szaleństwem.

Latarnie przy ulicy pogasły. Nikt się nie pofatygował, by znów je zapalić, choć zbliżała się noc. Nawet w dzielnicy kupieckiej. Ale przy Murze latarnie wciąż płonęły.

Piętrzył się przed nią na końcu ulicy. Samotny, blady olbrzym. Nie było tam gwardzistów. Wyżej też nie. Wszyscy sądzili, że zagrożenie przyjdzie z zewnątrz.

Hirka przeszła jednym z kruzganków przez Mur dzielący Mannfallę od Eisvaldru. Biednych od bogatych. Lud od Rady. Przez mur, który zbudowano, by zatrzymać ślepych.

Przechodziła już tędy. Samotna do głębi. Teraz słyszała tysiące ciężkich kroków za sobą.

Kawałek przed nią przez plac przebiegł gwardzista z mieczem w ręce. Jego okute stałą

buty uderzały o bruk. Zauważył Hirkę. Armie, która za nią podążała. Hirka miała nadzieję, że pobiegnie dalej, ale wyglądało na to, że zupełnie postradał rozum. Zwolnił. Zatrzymał się. Miecz brzęknął o bruk. Nie krzyczał. Nic nie wskazywało na to, że zamierza walczyć. Zdjął tylko hełm. Przycisnął go do piersi jak miskę. Bębnił o niego deszcz.

Hirka go minęła. Nikt go nie tknął. Umpiri znali jej zasady. Mieli atakować, jeśli sami zostaną zaatakowani. Nie wcześniej.

Do jej uszu dotarły straszliwe odgłosy walki. Były coraz głośniejsze. Niebo nad Gniazdem Ślepych płonęło pomarańczową łuną. Hirka spróbowała wyczuć Evnę. Szukała oznak, że stała się silniejsza, ale nic takiego się nie wydarzyło. Evna była taka jak zawsze. Wieczna i cierpliwa.

Za wcześnie na to.

Wyciągnęła ręce i wskazała na boki. Usłyszała, że Umpiri za nią rozdzielają się i zaczynają biec. Ku zewnętrznym murom. Ku walkom. Ku śmierci.

Mniejsza grupka poszła za nią, w stronę serca Mannfalli: nowej sali Rady. Hirka widziała stąd ten budynek. Stanowił element złożonej sieci białych domów. Tuż nad kamiennym kręgiem sterczał most jak ucięty język.

Teraz nie był już widoczny. Otoczyli kruczy pierścień nowym murem. Jakby to miało powstrzymać ślepych, skoro nawet ściany sali rytuału nie mogły powstrzymać jej i Rimego.

Wyglądało to żałośnie. Zbudowano to wszystko, nie zdając sobie sprawy, że brama wciąż jest otwarta, tyle że pod ziemią.

Przed nią świsnęła strzała. Uderzyła o bruk, potoczyła się i bezsilnie znieruchomiała. Hirka podniosła wzrok. Łucznik stał w połowie schodów prowadzących do sali Rady. Miał rozbiegane oczy, jakby sam nie mógł uwierzyć, że strzelił. Hirka uśmiechnęła się do niego.

A więc nas zobaczyli. Wreszcie.

Dołączyli do niego kolejni. Po chwili na schodach zaroilo się od gwardzistów. Rozproszyli się wzdłuż murów i nowo wybudowanych baszt.

Hirka uniosła kij i puściła się biegiem po schodach, nie dając gwardzistom czasu na zastanowienie. Usłyszała ryk i uświadomiła sobie, że wyrywa się z jej gardła. Stopił się z okrzykami martwo urodzonych.

Gwardzista, który strzelił, osunął się na ziemię, zanim do niego dobiegła. Nikt go nie tknął. Wyglądało na to, że zemdłał ze strachu. Nadbiegli inni. Umpiri mijali ją na schodach. Ktoś krzyczał nad nią. Pod nią. Jeden z gwardzistów stał wyprostowany w czerwonej zbroi na galerii obiegającej basztę. Wpatrywał się w nią. Nagle ugięły się pod nim kolana i runął w dół jak kamień. Znieruchomiał, z ręką wygiętą pod paskudnym

kątem.

Hirka czuła się tak, jakby śniła. Patrzyła, ale nie widziała. Myśli się nie kleiły. To był obłąd.

Dopadła do jednego z gwardzistów. Uderzyła go kijem w brzuch. Gapił się na nią, jakby się nie spodziewał, że cokolwiek zrobi. Potem osunął się po ścianie i zwymiotował.

Nadbiegli kolejni. Inni uciekali. Ci bystrzy. Może niektórzy z nich przeżyją tę noc. Hirka zaczerpnęła Evny i wdarła się na schody. Przed sobą widziała Skerri. Burzę czarnych warkoczyków i szponów. Jakiś gwardzista zatoczył się do tyłu, spadł z galerii, ale nim zdążył uderzyć o ziemię, Skerri rozplatała mu pierś. Hirka chciała krzyknąć, nagle jednak stała twarzą w twarz z ubranym w czerwień olbrzymem.

Uniósł miecz. Ona uniosła kij. Uderzyła z całej siły. Trafiła go w głowę. W jego hełmie pojawiło się nienaturalne zagłębienie. Padł do tyłu i znieruchomiał z twarzą na mokrych od deszczu stopniach.

Hirka dotarła do szczytu schodów. Dyszała ciężko. Podparła się kijem i rozejrzała. Zdusiła w sobie panikę. Ktoś zbliżał się za jej plecami. Wyciągnęła nóż. Zatoczyła nim półkole. Raun chwycił jej rękę. Raun. To był jej czerwonołosy Raun. Nie żaden gwardzista.

Rozejrzała się. Stali w tej części galerii, która rozszerzała się jak balkon. Niedaleko zawalonego mostu. Raun wskazał głową na dwuskrzydłowe jasnoniebieskie drzwi. Sala Rady...

Hirka rzuciła się biegiem. Skerri i Tyr wyważyli już drzwi i wdarli się do środka. Hirka wpadła za nimi. Na podłodze wykrwawiało się dwóch gwardzistów. Jakaś członkini Rady leżała z zamkniętymi oczami. Opierała się o złotą ścianę, pięknie ozdobioną drzewami genealogicznymi dwunastu rodów. Było coś wstrząsającego w tym widoku. Hirka nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widziała tę kobietę, ale na jej czole widniał znak Widzącego. Z tego, co słyszała, to musiała być Telja Vanfarinn. Daleka krewna Urda.

Dwóch członków Rady leżało z twarzami opartymi o stół. Jeśli Umpiri zrobili to, o co ich prosiła, byli zamroczeni, a nie martwi.

Stół...

Hirka oparła rękę na okrągłej kamiennej płycie. Wydawał się mniejszy, niż go zapamiętała. Wzdłuż krawędzi wyryto w złocie nazwiska rodów. Rysy w blacie świadczyły o tym, że go naprawiano. Zmieniano. Rada do końca dbała o szczegóły. Trzeba było im to przyznać.

Ale gdzie Darkdaggar? I pozostali? W Sali było ich tylko troje.

Na podłodze zobaczyła wywróconą skrzynię. Wysypały się z niej jakieś papiery. Obok

leżała na boku wciąż płonąca latarnia. Hirka ją podniosła i odstawiła na parapet jednego z wysokich okien. W pomieszczeniu widać było ślady świadczące o tym, że Rada szykowała się do ucieczki. Trudno było mieć im to za złe, znaleźli się przecież w kleszczach między martwo urodzonymi a Kruczym Dworem. Żaden z nich nie mógł przewidzieć, co ich czeka.

– To już wszystko? – Skerri rozłożyła ręce. – To ma być serce Mannfalli?

Hirka kiwnęła głową.

– Mannfalla jest nasza. Ciesz się tym, póki możesz.

Śmiech Skerri zabrzmiał jak skrzeczenie sroki.

Hirka przyjrzała się obu mężczyznom z Rady. Jednym z nich był Leivlugn Taid. Zbliżał się do setki i Jarladin twierdził, że pomieszało mu się w głowie. Od niego niewiele się dowiedzą. Uniosła głowę drugiego. Żył. Jego powieki opadały ciężko, ale wyglądał, jakby próbował je unieść. Miał lekko posiwiałe włosy na skroniach i brakowało mu zębów. Domyśliła się, że to Tyrme Jekense.

– Gdzie oni są? – spytała Hirka. – Gdzie pozostali? Gdzie Urd i Darkdaggar?

Zrobiło jej się niedobrze. Nawet ich imiona miały posmak goryczy.

Członek Rady przewrócił oczami i się osunął. Puściła go.

Szarpnięciem otworzyła drzwi prowadzące na most. Do sali wtargnęły odgłosy walki. Okrzyki wściekłości. Okrzyki strachu. Uderzenia o tarczę. Zamknęła drzwi. Nie chciała tego widzieć. Nie chciała słyszeć. Nie chciała myśleć o tych, którzy walczyli tam o życie. Rime. Jarladin. Eirik. Tein.

Poczuła kwaśny posmak w gardle. Evna przepływała przez nią i wciąż była taka sama. Jeszcze za wcześnie.

Raun strzepnął krew ze szponów.

– Kogo nam brakuje?

Hirka powtórzyła w głowie imiona, które podał jej Jarladin. Eir i Noldhe zginęły. Miane Fell siedziała w lochach, jeśli wciąż żyła. Telja, Tyrme i Leivlugn byli tutaj.

– Brakuje nam Sauhlego Jakinnina, ale to po prostu tylko bogaty ród. Przypuszczam, że uciekł jako pierwszy. Prócz niego brakuje Urda, Freid Vangard i Darkdaggara.

Urd był, kim był. Skończyła już z nim. Ale Darkdaggar... Hirka zacisnęła zęby. Zbyt wiele jej odebrał. Lindriego. Svartelda. Ciemne Cienie. I o mało co Rimego. Przeraziła ją myśl o tym, jak bardzo pragnęła go tu spotkać.

Raun wysłał grupkę Umpiri dalej w korytarze. Hirka wątpiła, że tam ich znajdą. Wyjrzała przez okno. Gdzie było najbardziej strategiczne miejsce, z którego mogli kierować wojną, jeśli nie właśnie tutaj? Dokąd uciekłby Darkdaggar, gdyby...

Jej spojrzenie padło na budowlę, którą wzniesiono wokół kręgu kamieni. Szary mur

z nierównym dachem prezentował się niepozornie przy potężnych murach Eisvaldru. I znajdował się niebezpiecznie blisko pola bitwy.

Mimo wszystko... Darkdaggar i Urd schowaliby się w miejscu, skąd mieliby drogę ucieczki. A gdy zbliżał się koniec świata, istniała tylko jedna taka droga.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, gdzie oni są.



PRZEBA CZENIE

Chmury ubranych w czerwień gwardzistów pięły się po zboczu.

Kolail podrapał się po brodzie.

– Zawsze możemy spróbować pokonać grzbiet i ich wyminąć – stwierdził rozsądnie, jakby mówił o pogodzie.

Rime spojrzał na martwo urodzonego, który przyczaił się obok niego. Jeśli się bał, potrafił to dobrze ukryć.

– Za późno. Widzieli nas. Musimy podjąć walkę.

Kolail kiwnął głową. Jego szare włosy ociekały od deszczu. Podniósł rękę i dał znak tym, którzy czekali z tyłu. Wyszli spomiędzy drzew. Martwo urodzeni i Ciemne Cienie, ramię w ramię.

Kolail wstał. Odślonił jeden kiel w krzywym uśmiechu.

– Cóż, obaj wiedzieliśmy, że dzisiejsza noc może być naszą ostatnią.

Rime dobył mieczy.

– Tak. Ale najpierw śmierć przyjdzie po *niego*. – Spojrzał na budowlę zasłaniającą kamienny krąg. Kolisty, prymitywny mur zbudowany w pośpiechu. Jak drwina z sali rytuału, która kiedyś tam stała.

Jeśli Darkdaggar zamierzał ratować skórę, kamienny krąg był jego jedyną drogą ucieczki. Spotkał się z Damayanti. Prawdopodobnie wiedział, że aby użyć bramy, potrzebuje krwi ślepych. I nawet jeśli tancerka mu jej nie dała, teraz wszędzie było ich krwi pod dostatkiem.

Mur stał niedaleko. Trzeba było jedynie przedrzeć się przez zamęt na polu bitwy.

– Czyli musimy tylko dotrzeć tam i utrzymać się przy życiu? – Kolail szturchnął go w bok jak stary przyjaciel.

Rime się uśmiechnął.

– Tylko tam...

Potem puścił się biegiem wzdłuż zbocza z gromadą mężczyzn za plecami. Ubrani w czerń i półnaczy, połączeni nieprawdopodobnym sojuszem. Ich stopy uderzały o moką

trawę.

Równocześnie zderzył się z Evną i z pierwszym gwardzistą. Miecz uderzył o napierśnik. Nie wyrządził żadnej szkody, ale mężczyzna stracił równowagę w swej zbyt ciężkiej zbroi. Poleciał do tyłu i stoczył się trochę niżej po zboczu. Inny przeskoczył nad nim. Z poruszającym zapamięł startł się z Rimem. Był ciężki. Powolny. Stary.

Rime ciął go w głowę, strącając mu hełm. Dostrzegł zmarszczki wokół przerażonych oczu, gdy z gwardzisty uchodziło życie. Nadbiegła reszta. Fala czerwieni i czerni. Obciążeni zbrojami. Rime tańczył między nimi. Nie dbał o precyzyjne trafienia. Nie miał czasu na to, żeby zginąć lub ich zabijać. Przynajmniej dopóki nie zobaczy, jak Darkdaggar wydaje ostatnie tchnienie.

I dopóki nie zobaczę jej.

Przy każdym ruchu czuł ranę na brzuchu. Hirka pchnęła go nożem i uwolniła od dzioba. Od Graala. Teraz była tam, w Eisvaldrze. Gdzieś za murami. Wystarczy, że zabije jeszcze paru gwardzistów, i będzie mógł jej podziękować.

Rime się obrócił. Odrąbał ogon mężczyźnie, którego zabił wcześniej. Żołnierz nie zdążył po prostu osunąć się na ziemię. Ciepła krew trysnęła Rimemu w twarz. Spłynęła po podbródku razem z deszczem.

Evna pozwalała mu słyszeć to, co chciał słyszeć. Stłumione krzyki i szcęk stali. Noc pachniała krwią, pożogą i jesiennym rozkładem.

Kątem oka dostrzegł, jak mija go Kolail. Właśnie rozszarpał komuś gardło szponami. Był szybki, nie do zatrzymania. Kładł pokotem mężczyzn wokół siebie, nim zdążyli pojąć, skąd padł cios. Jeden z gwardzistów podźwignął się chwiejnie na nogi. Zgubił gdzieś hełm. Niepewnie spróbował unieść miecz, jakby nie wierzył, że mu się uda. Zatoczył się, ale poderwał broń. Kolail walczył z innymi odwrócony do niego plecami.

Rime rzucił nożem, aż za dobrze zdając sobie sprawę, że ma tylko jedną szansę. Trafił. Kolail się odwrócił. Gwardzista opadł przed nim na kolana, bardziej pod wpływem szoku niż z powodu rany. Nóż wbił się pod kąt w jego skroń. Krew zalała mu twarz.

Rime podchwycił spojrzenie martwo urodzonego i w tej chwili pojął, że już nigdy nie będzie miał wątpliwości. Nábyrni czują to samo co ætlingowie.

Kolail skinął mu głową. Błady mężczyzna ze stali. Nocne niebo za jego plecami lizały płomienie. Do nosa wdzierała się woń palonej smoły. Niektórzy gwardziści rzucili się do ucieczki. Ci, którzy zrozumieli, co się święci. Pobiegli w stronę wzgórza. Potykali się na zboczu i brnęli dalej.

Można było przygotować mężczyzn na wojnę. Na miecze. Włócznie. Kolczugi. Na ogień. Można ich było przygotować na ból i klęskę. Nic jednak nie mogło ich przygotować na pierwsze spotkanie z kłami i szponami.

Rime przedzierał się przez tłum gwardzistów, jakby tylko oni istnieli na świecie. Czerwień. Widział czerwień. Czuł smak krwi. Puls dudnił w uszach. Dziki i wzmocniony Evną. Wybijał w jego głowie rytm. Słowo.

Obłąd. Obłąd. Obłąd.

Dostrzegł Jarladina. Byka otaczali martwo urodzeni. Niektórzy walczyli po jego stronie. Inni może przeciw niemu. Nie sposób już było tego stwierdzić. Rime poczuł, że jego ciało domaga się powietrza. Rozsadzało mu pierś. Z trudem łapał powietrze.

To się musi skończyć. Musi się skończyć teraz.

Tłum walczących się przerzedził. Przedarli się przez najcięższe walki. Machnął ręką na pozostałych i pobiegł w stronę murów miejskich. To by było samobójstwo, gdyby nie fakt, że nie ostał się na nich ani jeden łucznik. Ślepi się z nimi rozprawili. Hirka dotrzymała obietnicy.

Mannfalla upadła.

Rime biegł wzdłuż murów. Rękę szarpał ból. Nawet nie zauważył, kiedy go zranili. Mur skręcał w głąb miasta, ku otwartemu terenowi, gdzie kiedyś wznosiła się sala rytuału. Teraz stał tam krąg kamieni, ukryty za szarym budynkiem na planie okręgu. Może miał powstrzymać nabyrnów przed użyciem bram? Jeśli tak, było to żałosne i nic nie dawało.

Widział tylko jedno wejście. Zdawał sobie sprawę, że to ryzykowne, ale nie miał czasu na wahanie ani snucie planów. Członkowie Rady w każdej chwili mogli pojąć, że bitwa jest już przegrana. Że ślepi zalali Mannfallę. A wtedy wybiorą najprostsze rozwiązanie. Opuzczą miasto i swój lud, by ratować własną skórę. Rime ani przez chwilę w to nie wątpił.

Wbiegł do środka. Powalił dwóch gwardzistów. Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Błede kamienie kręgu wznosiły się tuż przy wewnętrznej stronie muru. Na ziemi leżało dwoje zabitych. Członkowie Rady. Freid i Sauhle. Czyli współpraca się nie ułożyła...

Darkdaggar stał pośrodku. Do połowy ukryty za kufrem. Jakby zamierzał taszczyć go ze sobą nie wiadomo gdzie.

Na Rimego natarło kilku gwardzistów. Prześliznął się pod toporem. Zawołał Kolaila, ale nie usłyszał odpowiedzi. Otoczyli go. Uniósł miecze, żeby utorować sobie drogę. To go będzie drogo kosztowało.

Nagle podłoga usunęła mu się spod nóg.

Upadł. Uderzył głową o kamień. Ból przeszył ciało. Widział tylko mgłę. Gorączkowo zamrugał. Kręciło mu się w głowie.

Nie.

Nie potrafił znaleźć innego słowa. Tylko to jedno. Tylko „nie”.

Podźwignął się. Stał po szyję w wykopie obok jednego z kamieni. Wpatrywał się w parę nóg. Na krawędzi nad nim stał Darkdaggar z nożem w ręce. Z żałościem małym nożem. Wyglądał raczej jak ozdoba niż broń. Rime zaśmiał się, ale głowę przeszył ból.

– Widzisz, zaczęliśmy kopać. – Członek Rady obojętnie spoglądał na niego z góry. – Okazuje się, że te kamienie sięgają znacznie głębiej, niż można by przypuszczać. Ale pewnie o tym wiesz.

Rime usłyszał, że ktoś go woła. Kolail. Biegający gwardziści. Szczęk stali o stal na zewnątrz.

Darkdaggar odsunął się od wykopu. Warknął na gwardzistów, wydając im jakieś rozkazy. Rime skorzystał z okazji, przerzucił miecze nad krawędź i się podciągnął. Było mu niedobrze. Kręciło mu się w głowie. Chwycił miecze. Poczł uderzenie w plecy. Wstrząs go sparaliżował. Opadł na kolana. Odchylił do tyłu głowę. Patrzył w twarz jednego z gwardzistów. Zawisł nad nim miecz.

Rime uświadomił sobie, że zna tego mężczyznę. Był dwunastnikiem. Najniższy stopień w wojsku. Dowódca dwunastoosobowego oddziału. To on ciągnął ze sobą z Cichej Wody umierającego żołnierza, kiedy wojska wracały z Kruczego Dworu. Rime się uśmiechnął.

– To ty – mruknął.

Nagle mężczyzna go rozpoznał. Rozdziawił usta. Zawahał się. Najwyraźniej przypomniał sobie, że gdy widzieli się ostatnio, Rime był powiernikiem kruka. Wszystko działo się nieskończenie powoli.

Coś huknęło. Przerazający trzask. Cała seria. Odgłos dobiegał ze ścian. Otoczył ich. Darkdaggar zaklął i coś zawołał. Popędził gwardzistów, żeby sprawdzili, co się dzieje. Rime usłyszał, jak starli się na zewnątrz z Kolailem i z Ciemnymi Cieniami.

Nagle ściany eksplodowały. Evna uderzyła w niego jak burzowy podmuch. Dwunastnik upuścił miecz i zatoczył się. Rime podniósł wzrok. Mur nie runął. Wisiał wokół nich jak masywny pierścień szarego piachu.

Był martwy. Musiało tak być. Leżał w Sloknie i śnił, że otoczyła go piaskowa burza. Otaczała kruczy pierścień. Jak żywa ściana wokół kamieni. Spojrzał na swoją pierś. Spodziewał się, że zobaczy wbity w nią miecz, ale nic takiego się nie zdarzyło. Był cały.

Potem piach runął na ziemię. Mur zniknął, jakby nigdy go tu nie było. Wokół kamiennego kręgu unosił się szary pył, który zaczął opadać wraz z deszczem.

Ja śnię.

Ale Evna była rzeczywista. I mieszała się z czymś, co znał. Z jakimś zapachem. Wrażeniem. Pewnością.

To ona.

Martwo urodzeni zebrali się wokół kamieni. Stała tam. Przy kruczym pierścieniu. Rime

przestał czerpać. Pojął, że to jedyny sposób, by przyciągnąć ją bliżej, zanim zniknie między kamieniami.

Podeszła do niego. Ubrana jak oni. Jak martwo urodzeni. Skórzane pasy na piersi, jakby ktoś po prostu owinął ją rzemieniami. Z krótkiej spódnicy zwisały pióra i kły zwierząt. Uda były nagie. Ramiona też. Jej oczy były białe. Ślepe.

To nie było urojenie.

Rime spróbował się podnieść, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Po omacku szukał palcami mieczy.

Darkdaggar stał jak urzeczony. Gapił się na martwo urodzonych. Chyba wreszcie do niego dotarło, że poniósł klęskę. Jego twarz wykrzywiła wściekłość. Rzucił się na Rimego.

Rime podźwignął się na nogi. Uniósł miecze. Darkdaggar biegł, trzymając nóż w wyciągniętej ręce. Żądza mordy. Jakby tylko tego jednego potrzebował świat. Jakby to go miało uratować.

Obłąd. Dość już śmierci.

Rime kątem oka zobaczył Hirkę. Zbyt wiele razy widziała, jak zabijał. Skończył z tym. Dość. Odrzucił miecze. Uderzyły o posadzkę. Tę samą, na której umierał Svarteld.

Osunął się na kolana. Nie był w stanie dłużej utrzymać się na nogach.

Darkdaggar zawahał się tylko na chwilę. Hirka zaszła go od tyłu. Podcięła mu nogi kijem. Runął przed siebie. Krzyknął, uderzając kolanami o posadzkę.

Hirka chwyciła oburącz kij. Wcisnęła go w gardło miotającego się członka Rady. Rime widział, jak jej ciało się napięło. A potem wykonała skręt. Całym ciałem. Kark Darkdaggara chrupnął i pękł. Szamotanie ustało.

Hirka puściła go. Osunął się jak worek. Znieruchomiał twarzą do ziemi, z głową wykrzywioną pod dziwnym kątem.

Rime wpatrywał się w Hirkę. Była straszna. Oczy białe jak śnieg. Przesycone Ewną. Obce. Wyglądniałe z nienawiści. Wiedział, że ma ku temu wszelkie powody, podobnie jak on. Za Ciemne Cienie. Za Lindriego. Ale to była Hirka. Dziewczyna, która nim gardziła, bo zabijał. Zobaczył ją teraz. Zobaczył samego siebie. Zobaczył wszystkich, których zabił.

Zrozumienie zmroziło mu krew w żyłach. To tak go postrzegała. Tak jak on ją teraz. Bezlitosna. Niebezpieczna. Dzikie zwierzę.

Hirka podchwyciła jego spojrzenie. Czerwone włosy opadały w mokrych strąkach na jej pierś. Deszcz bębnił o posadzkę.

– Wybaczam ci – powiedziała ochryple.

Potem odrzuciła kij i odeszła.



KORZENIE

Hirka słyszała, że Rime biegnie za nią po schodach. Zawołał ją po imieniu, ale nie przystanęła. Żadne jego słowa nie mogły nic zmienić.

Dotarła na krużganek i ruszyła w stronę sali Rady. W pobliżu kręciła się grupka Umpiri. Spojrzeli na nią pytająco. Wskazała głową na Rimego.

– On jest ze mną. Gdzie Skerri?

Jeden z nich ruchem głowy pokazał na pole bitwy.

– A gdzieżby?

Hirka otworzyła drzwi i weszła do sali. To pomieszczenie stało się miejscem, z którego obserwowano toczącą się wojnę. Punktem widokowym. Martwo urodzeni stali w grupkach przy oknach. Wrzeszczeli coś. Śmiali się. Sądząc po zapachu i butelkach, ktoś znalazł piwniczkę z winami. Troje członków Rady wciąż leżało w tym samym miejscu. Wielokrotnie zamroczeni i ledwie żywi.

– Co oni tutaj robią? – spytała Hirka.

Fled, z drugiego domu, odwrócił się w jej stronę.

– Nikt nie wiedział, co z nimi zrobić.

– Wtrąćcie ich do lochów, mówiłam przecież!

Fled odstawił butelkę na parapet. Dołączyło do niego trzech Umpiri i razem wynieśli to, co zostało z Rady.

Hirka usiadła. Splotła ręce na karku i oparła nogi o stół w miejscu, w którym widniało nazwisko Darkdaggara. Sądząc po śladach w kamieniu, w pewnym momencie jego nazwisko musiało zostać usunięte. Po przeciwnej stronie zobaczyła rodowe nazwisko Rimego. An-Elderin. Wskazała na nie.

– Usiądź. Wygląda na to, że wciąż masz tu miejsce.

Rime wszedł do sali.

– Co ty wyprawiasz, Hirko?

Było słychać, że jest zmęczony. Zdezorientowany. Nie spojrzała na niego. Wpatrywała się w wyryte na złoto nazwisko.

– Dziwne, że zachowali ten stół, nie uważasz? Po przewrocie. Ale pewnie mieli co innego na głowie...

Rime pochylił się nad stołem.

– Możesz ich powstrzymać, Hirko. Nikt z nich już nie wie, o co walczy. Ślepi przeciw ślepym, ætlingowie przeciw ætlingom. Rada upadła. To już koniec. Powiedz im to.

Hirka wyczuwała, że jej zagraża. Że może zniweczyć wszystko, o co walczyła, a do tego nie mogła dopuścić. Popatrzyła na niego.

– Jeszcze nie teraz.

Wydawał się kompletnie zagubiony.

– Jeszcze nie teraz?! Zdobyłaś miasto! Czego ci jeszcze trzeba?

Dwóch martwo urodzonych zerknęło na nich z zaciekawieniem. Hirka wstała. Nie mogła dłużej być przy nim. On nie rozumiał. Nigdy nie zrozumie. Ona latała z krukami. Widziała wszystko.

– Powinieneś się cieszyć – odparła. – To jest konieczne. Nie ma innego sposobu, żeby naprawić dawne krzywdy.

– Tworząc nowe? – Jego głos brzmiał ochryple. Prowokował ją. Wdzierał się w nią.

On nie rozumie. Musimy odejść.

Musimy zmieniać. Musimy go opuścić.

Hirka otworzyła drzwi i wyszła na most. Od czasu, gdy runęła sala rytuału, nikt go nie naprawił. Na tym właśnie polegał problem z istotami. Wszystkimi. Ze wszystkich światów. Nie naprawiały. Potrafiły tylko niszczyć.

Nastała noc. Wietrzna. Z ulewnym deszczem.

Rime wyszedł za nią.

– Widziałaś, co się tam dzieje? – spytał. – Nie wiem, co z tobą zrobili, ale to nie jest odpowiedź. Wiem, kim jesteś, Hirko. Nie jesteś taka.

Hirka czuła się słaba. Rozdarta. Nie mogła się jednak ugiąć. Jeszcze nie teraz.

– Evna... – szepnęła. – Czekam na Evnę. Nic nie żywi Evny tak jak śmierć.

Podszedł krok bliżej. Wskazał ręką na walki. Na Gniazdo Ślepych.

– Rozejrzyj się! Gdyby tak było, miałabyś jej dość, żeby zrównać z ziemią góry!

On ma rację...

Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Przeszyły serce. Wciągnęła powietrze, by je odepchnąć. Nie mogła sobie na nie pozwolić. Nie było miejsca na wątpliwości. Wszystko zależało od tej jednej rzeczy, od tego, że śmierć nasyci Evnę. Na tyle, by udało się ją uleczyć. Wielu musiało zginąć, by wszyscy mogli żyć.

– Jest tak, jak zawsze mówiłeś, Rime. Już jesteśmy martwi.

Wpatrywał się w nią. Wilcze oczy w deszczu. Zacisnął ręce, jakby mocniej chwycił

miecze, ale te były w pochwach na jego plecach. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że się zastanawiał, czy ich nie dobyć.

Rzucił się na nią. Hirka była tak przesycona Evną, że gdyby chciała, mogłaby mu się wymknąć. Ale pozwoliła mu na to. Pragnęła tego.

Zderzył się z nią. Pociągnął ją za krawędź. Spadali. Patrzyła, jak most nad nimi się kurczy. Wykute w kamieniu węże szczyrzyły nad nią pyski. Deszcz ściekał z ich języków. Rime był ciężki i mokry. Tuż obok. Mknęli w dół. Zaczepnęła więcej Evny i zobaczyła, że to sprawia mu ból. Evna była zbyt silna. Potrzebowała jej jednak, by zamortyzować upadek, inaczej by się zabili.

Razem uderzyli o ziemię. Wstrząs wypchnął powietrze z ich płuc. Rime leżał na niej. Jego białe włosy przykleiły się do jej podbródka. Z kącika jego ust sączyła się krew.

– To się skończy tutaj – szepnął. – Teraz.

Spojrzała na niego. Rime. Nieskończenie piękny Rime. Wąskie, szare oczy, w których potrafiła utonąć. Ostro zarysowane usta. Wysokie kości policzkowe. Rime, który tak wiele stracił. Tak jak ona. Czy to utrata ich połączyła? Uczyniła z nich jedno? Pragnęła tego tak bardzo, że aż bolało.

– Rime... to się skończy, kiedy ulecę Evnę. Nie rozumiesz? Ona należy do wszystkich. Dopóki jedni mają, a inni nie, żaden pokój nie będzie trwały. Mogę to naprawić. Wiem, że potrafię. Tylko najpierw musiałam stać się taka jak ty. Nauczyłeś mnie, że czasem trzeba coś poświęcić.

Odwrócił wzrok. Zimno w jego oczach zniknęło. Źrenice rozszerzyły się w rozpacz. Zwiesił głowę.

– Nigdy nie chciałem, żebyś stała się taka jak ja. Chciałem, żebyś była *sobą*. Cały świat cię takiej potrzebuje. Jestem dla ciebie... trucizną. Zniszczyłem cię.

Podźwignął się na kolana. Jego twarz wykrzywiła się z bólu. Niepewnie stanął na nogi.

Bez niego Hirka poczuła się naga i zmarznięta. Uniosła się na łokciu. Zobaczyła kawałek dalej zabitego mężczyznę. Gwardzistę w czerwonym stroju. Oczy wpatrzone w Sloknę. Dziwne, ale się uśmiechał, jakby w ostatniej chwili życia pomyślał o czymś dobrym.

Nie!

Hirka powstrzymywała łzy. Rozejrzała się. Widok na Gniazdo Ślepych był jak cios w brzuch. Ogrody Eisvaldru nie były już piękne. Zmieniły się w pole bitwy. Tak jak tysiąc lat temu. Kotłujące się wiry walczących. Poruszali się powoli. Chwiejnie. Plamy ognia syczały na deszczu.

Spojrzała na swoje ręce. Drżały. Evna nie wezbrała. Nie eksplodowała od śmierci, by dać jej moc uratowania światów. Wierzyła w to kiedyś? Naprawdę w to wierzyła?

Do jej oczu napłynęły łzy. Nie była w stanie dłużej ich powstrzymać.

– Dość – szepnęła.

Nikt jej nie słyszał. Potykając się, minęła Rimego. Przewrócony wózek. Dostrzegła pod nim jakiś ruch. Świejące oczy w ciemności. Kot. Akurat w takim miejscu. W takiej chwili.

Hirka wyciągnęła rękę. Kot prychnął. Wycofał się głębiej pod wózek. Evna mieszała się z biciem jego serca. Zbyt szybkim. Hirka poczuła smak jego strachu. Pewność, że jest wrogiem. Ona, która zawsze na ścieżkach patrzyła pod nogi, żeby nie podeptać mrówek.

Evna tętniła w żyłach, obnażając wszystko, co zrobiła nie tak. Rozkładała ją na części. Wzbierała wraz z rozpaczą. Ze zwątpieniem. Hirka nie mogła tego znieść. Nie chciała widzieć samej siebie.

Usłyszała własny krzyk. Szarpała paznokciami skórzane pasy na piersi, ale Evna wdzierała się w żyły. Rozsadzała ją od środka.

Stała się jednym z kotem. Z Rimem. Z najgłębszym mrokiem, jaki w sobie nosił. Stała się jednym z walczącymi. Im bardziej się opierała, tym Evna stawała się silniejsza.

Znów się potknęła. Była przerażonym zwierzęciem ukrytym w ciemności pod wózkiem. Była mężczyzną z ziejącą na udzie raną, który wiedział, że umrze. Odgłos topora uderzającego o tarczę – i wcisnął ją w ziemię jakiś brodaty olbrzym. Widziała własne żebra. Runęła na ziemię. Była chłopcem, który skłamał, gdy pytano go o wiek – żeby móc ruszyć na wojnę. Była kobietą, która pluła krwią i żałowała, że kiedykolwiek opuściła Kruczy Dwór. Była matką z trójką dzieci w przepelnionej łodzi wywożącej z miasta uchodźców. Była mężczyzną, który nie mógł już chodzić. Stał nad nią martwo urodzony, którego oczy lśniły bielą w ciemności. Jeszcze nigdy nie była tak przerażona. Nie mogła się poruszyć. Była nimi wszystkimi. Wszystkich ich czuła.

Evna napierała na nią ze wszystkich stron. Ścisnęła ją. Masa, która za chwilę eksploduje. I wtedy zrozumiała.

Evna nigdy nie wymagała krwawych ofiar. Nie wzbierała od śmierci. Wzbierała, gdy czuło się umierających. Nieważne, czy przyjaciół czy wrogów. Wszyscy byli jednym. Nikt z nich nie krzywdził innych. Krzywdzili samych siebie. Każdy cios był samobójstwem.

Upadła. Krzyknęła. Wbiła palce w ziemię. Wyszarpnęła je. Ziemia podążyła za nimi. W górę trysnął deszcz czarnoziemu i kamieni. Pociągnął ją i postawił na nogi. Uniósł ją nad ziemię. Szarpała rękoma. Wydawało jej się, że zaraz się połamie. Kamień i ziemia stapiały się ze sobą. Kłębiły się wokół niej jak atrament. Grzebały ją żywcem.

Nagle wszystko ucichło. Unosiła ją Evna. Hirka była centrum czarnego wiru. Narodzona z kruka. Zaklinaczka kamieni. Dziecko Odyna. Stała się wszystkim, czym była, i wszystkim, czym kiedykolwiek będzie. Była Evną. Krwią ze wszystkich światów.

Jesteśmy pierwszymi.

Kruki szamotały się w niej, chciały się wydostać z jej umysłu. Z ciała. Była małą częścią wszystkiego, co kiedyś żyło. Wyciągnęła stopy i znów sięgnęła ziemi. Zebrała wszystkie siły. Pulsowała. Była jednym wielkim sercem. Bijącym. Opłakującym. Ukrytym w cieniu.

Uderzyła pięściami w ziemię.

Smagnęła z nich ze świstem czerni. Czarny kamień. Przebił się pod powierzchnię. Wił się pod ziemią. Pod domami. Pod walczącymi. Z wnętrza ziemi rozległ się huk pioruna i wiedziała, co robić. Widziała to. Widziała mapę w księdze. Widziała, jak są ze sobą połączone krucze pierścienie. Widziała Ewnę jako kruk. Wiedziała, gdzie Evna jest silna. I gdzie jest słaba.

Wystrzeliły nowe korzenie. Pod poległymi zafalowała ziemia. Hirka potrzebowała więcej! Więcej kamienia. Więcej ziemi. Musiała czymś nakarmić żyły. Szukała po omacku. W myślach. Znalazła Mur. Mur oddzielający tych, którzy mieli wszystko, od tych, którzy nie mieli nic. Usłyszała, jak się wali. Deszcz kamieni i krzyki. Stopił się z ziemią.

Zamknęła oczy. Korzenie rosły. Natrafiły na pustkę. Na przestrzeń pomiędzy światami. Siła targająca jej rękoma zamarła. Jakby nigdy nie istniała. Hirka upadła na ziemię, już nieruchomą. Drżały jej ramiona.

Myśli się zamazały. Stały się nieuchwytnie. Zrozumiała, że traci przytomność.

Wczepiła się w ziemię. Rozstąpiła się pod nią. Grunt się usunął.

Wtedy usłyszała krzyki kruków. Były ich dziesiątki tysięcy. Wyrwały się z niej. Zabrały ze sobą Ewnę i odleciały.

Ostatni obraz, jaki zobaczyła, utkwiał jej w pamięci. Roztrzaskane misy Graala naprawione złotem. Jak korzenie we szkle. Piękniejsze dlatego, że kiedyś zostały zniszczone.



SCORHILL

Graal zamknął skrzyneczkę z kruczym szkieletem. Nie mógł zrobić nic więcej. Wojna zmusiła Damayanti do ukrycia się. Nie była teraz sama i nie mogła rozmawiać. To był sądny dzień. A on nie mógł nawet kiwnąć palcem.

Otaczał go szary krajobraz wokół Scorhill. Skąpany w typowej angielskiej mżawce, tak drobnej, że się jej nie czuło. Zauważało się ją dopiero, gdy było się już całkiem przemoczonym. Mgła pełzała tuż nad ziemią. Wiła się wokół kamieni. Sterczały ku niebu jak zepsute zęby. Graal nie wiedział, co tutaj robi. Nie było sensu tutaj siedzieć. Miał spaloną krew i nigdy nie będzie w stanie używać bram.

Czyżby stał się sentymentalny? A może chodziło o potrzebę, by być jak najbliżej wydarzeń. Jeśli tak, to w najlepszym razie było to złudzeniem. Trwała wojna. Gdzie indziej świat trząśł się w posadach, ale tutaj nic z tego nie docierało. Czasem słychać było tylko przeciągłe nawoływania jakichś górskich ptaków. Kamienie stały samotnie na wyżynie jak zawsze. Były tak stare i omszałe, że sylwetka helikoptera wyglądała przy nich sztucznie. Jak z planu jakiegoś filmu.

Westchnął ciężko. Oparł czoło o zimny kamień. Tysiąc lat... Co zrobił nie tak? Co zrobił dobrze?

Spłodził ją. Krew z jego krwi. Hirkę.

Dotrzymała słowa. Wkroczyła do Mannfalli z Umpiri. Czas pokaże, jak to się skończy, ale po drugiej stronie tych kamieni umierali za nią. Bo chciała uzdrowić Evnę.

Zaśmiał się. Czy śmiech w samotności to pierwsza oznaka szaleństwa?

Wszystko, co zrobił, żeby dotrzeć do tego punktu... Wszystko, do czego ją nakłonił. Snuł te plany od setek lat, a teraz pozbawiła go władzy. Podążali za nią, nie za nim. On wciąż był więźniem. Na wygnaniu u ludzi.

A co, jeśli Damayanti zginie? Co, jeśli zginie Skerri? Jeśli to już koniec? Żadnego kontaktu z nikim po drugiej stronie. Żadnych kruków. Tylko martwe, kamienne kręgi.

Ta myśl wdzieriała się w jego umysł. Krzyknął. Kolejna oznaka szaleństwa. A może naturalna reakcja na ból? Na udrękę, gdy nie możesz poznać wyniku wojny, na którą

czekałeś od wielu pokoleń?

Najgorsze było to, że nie wiedział, czy jeszcze go to obchodzi. Naiell nie żył. Hirka przywróciła rodowi dawną świetność i ponownie zapewniła ich domowi miejsce w Radzie. Przywróciła im chwałę. Brakowało tylko Evny.

Sam planował, że da im krainy Ym. Ale jej plan był zupełnie inny. Wierzyła, że uda jej się sprawić, by Evna powróciła na Dreysíl. Do wszystkich.

Czy to dlatego tutaj czekał? Czyżby zaczął mieć nadzieję?

To była niepokojąca myśl. Nie należał do tych, którzy zdają się na nadzieję. Wolał działać. Kształtował okoliczności, by uzyskać pożądany rezultat, czasem tak skrupulatnie, że trwało to wiele pokoleń. A teraz stał tutaj i miał nadzieję?

To był zły dzień.

Graal zapiął płaszcz pod szyją. Był zimny, jesienny dzień. Powinien już wracać. Sterczenie tutaj nic mu nie da. Odwrócił się i ruszył w stronę helikoptera. Jeszcze raz obejrzał się za siebie. Mgła wpełzała między kamienie, jakby coś ją zasysało.

Próżnia.

Upuścił skrzyneczkę z krukiem i rzucił się biegiem w stronę kręgu. Może do niego przyjdzie? Może to Hirka? Albo ktoś inny...

Oparł rękę o kamień. Czekał.

A potem coś poczuł.

Coś.

Mrowienie w żyłach.

Nikt nie przybył. Nic się nie wydarzyło. Ale krew... Serce urosło w piersi. Biło mocniej. Jakby nagle musiało pompować więcej krwi.

Pojawiła się. Porwała go jak fala. Wtargnęła do żył. Powaliła go na kolana.

Wbił szpony w poźółkłe wrzosi. W ziemię. I przyszła do niego. Po raz pierwszy od tysiąca lat. To, co mu odebrali. To, o co walczył. To, czego już nigdy nie spodziewał się poczuć.

Była w nim.

Evna.

Była tutaj.

Wzbierała. Rozsadzała go. Czerpał. Pił ją. Upadł na twarz, poczołgał się dalej. Wcisnął twarz we wrzosi. Czuł zapach ziemi. Grzybów. Kory. Pól. Pił. To go zabije. Zaczepie się na śmierć.

Ktoś mu się przyglądał.

Graal podniósł wzrok. To był kruk. Siedział obok na niskim kamieniu, jak nagrobna rzeźba. Przekrzywił głowę. Mrugnął.

Graal podźwignął się na kolana. Wydawało mu się, że w oczach ptaka widzi oskarżenie. A może drwinę. Podczołgał się do kamienia. Oparł się o niego plecami i uspokoił oddech. Spodnie od garnituru miały mokre plamy na kolanach.

Kruk rozpostarł skrzydła i zniknął nad wyżyną.

Graal znów zaczerpnął Evny. Obnażyła go. Odsłoniła wszystko. Rozłożyła go na części i pokazała mu samego siebie. To był najpiękniejszy i najbardziej przerażający obraz, jaki zobaczył od tysiąca lat.

Oparł łokcie na kolanach i się rozplakał.



OSTATNI PUNKT

Rime wstał. Nad polem bitwy zaległa cisza. To się wydawało niewłaściwe. Złe. Jakby ta cisza drwiła ze wszystkiego, przez co przeszli.

– Rime?

Rozpoznał specyficzną wymowę swojego imienia. Ostre „r” i prawie nieme „e”. Odwrócił się do Kolaila. Martwo urodzony siedział przygarbiony na ziemi. O jego nogę ocierał się kot, ale Kolail wyglądał, jakby nie miał nawet siły podnieść ręki. Spojrzeli po sobie. Żaden się nie odezwał. Co można było powiedzieć?

Martwo urodzeni siedzieli w grupkach wokół kręgu kamieni. Wyczerpani. Milczący. Sparaliżowani tym, co zrobiła. Jakby nie mieli sił, by ustać na nogach. Rime zaczerpnął Evny, by się upewnić, czy nie zniknęła. Przez chwilę jej nie było. Wrażenie było takie, jakby oddychał i nagle zabrakło powietrza. Nic mu się nie stało, ale to przeżycie musiało mocno wstrząsnąć ślepymi.

A ona? Co z nią?

– Hirka?

Nikt mu nie odpowiedział. Rime zaczął wędrować między poległymi. Mimowolnie przyglądał się ich twarzom. Musiał zobaczyć. Dowiedzieć się, kogo stracił. Niektórzy martwo się w niego wpatrywali. Odwracał ich twarzą do ziemi, żeby kruki nie wydziobały im oczu.

Zobaczył, że inni też to robią. Kawałek dalej mężczyzna w czarno-czerwonej zbroi szedł chwiejnym krokiem między zwłokami. Rime podchwycił jego spojrzenie. Poznał go. Dopiero co unosił na niego miecz. Od tamtej chwili minęła wieczność. To było wtedy. Nie teraz.

Teraz spojrzeli na siebie i poszli dalej. Jaka była różnica między wtedy a teraz? Czy kiedykolwiek nauczą się żyć tak jak teraz? W takiej ciszy, ale niepoprzedzonej rozlewem krwi? I kim był, żeby zadawać to pytanie, skoro od zawsze karmił ziemię wsiąkającą krwią.

Czuł pustkę. Jakby był czeluścią, która nie potrafi zatrzymać w sobie niczego, co ma

sens. Oprócz niej.

– HIRKA?!

Przestało padać. Wiatr rozwiewał włosy poległym. Wyglądali wtedy, jakby żyli. Ale ci, którzy żyli, uciekli. Albo robili to teraz. Ciągnęli ze sobą rannych na zbocza, by tam znaleźli chwilę wytchnienia i mogli spokojnie umrzeć.

Można ich uratować. Wielu można uratować.

Nábyrni i ætlingowie przechodzili obok siebie, nie wiedząc, że krew jednych może przynieść ulgę drugim. W ogóle nic o sobie nie wiedząc. Trochę dalej klęczał ślepy, którego Rime zapamiętał z Kruczego Dworu. Jeden z walczących po jego stronie, choć nie był już pewny, co to oznacza. Mężczyzna był blady nawet jak na ślepego, jakby stracił dużo krwi. Nie miał jednak żadnych otwartych ran.

Ziemia się rozstąpiła. Od Eisvaldru w głąb Gniazda Ślepych. Rime szedł wzdłuż rozpadliny przecinającej pole bitwy. Unosił się nad nią pył, sprawiając, że wyglądała jak oddychająca, żywa istota. Jak stwór ze złych snów. Przez chwilę wydawało mu się, że ziemia krzyczy, ale dotarło do niego, że to głos kobiety.

Martwo urodzona zaklinowała się w miejscu, gdzie szczelina była najwęższa. Miała czarne usta. Gdy go zobaczyła, przestała wołać. Wpatrywała się tylko w niego bezbarwnymi oczami. Nie widział jej w Kruczym Dworze. Pewnie walczyła po stronie wroga.

Rime kucnął i podał jej rękę. Chwyciła ją. Pomógł jej wydostać się na górę.

Było w niej coś przerażającego. I nie chodziło tylko o to, że była wysoka i silna. Nie chodziło o czarne usta. Pochyliła się w jego stronę. Obwąchała go jak zwierzę. Uśmiechnęła się krzywo.

– A więc ty nim jesteś? – powiedziała po ymsku.

Rime nie odpowiedział. Odwrócił się i poszedł szukać dalej.

– HIRKA?!

Wypatrzył ją. Widok jej czerwonych włosów sprawił, że krew zaczęła krążyć szybciej w jego żyłach. Leżała na kamiennej płycie, która zaklinowała się ukośnie w rozpadlinie. Z wysiłkiem uniosła powieki. Zamrugła. W oczach widać było zmęczenie, ale znów wyglądały jak dawniej. Te cudowne, zielone oczy. A nie oczy martwo urodzonej. Zamknęła je, jakby nie miała siły na niego patrzeć.

– Punkt dla ciebie, jeśli mnie wyciągniesz – powiedziała.

Rime pochylił się nad krawędzią.

– Myślałem, że już skończyliśmy z punktami.

– No to będziesz musiał tu do mnie zejść.

Zupełnie jakby właśnie tego nie robił.

Opuścił się na kamień i usiadł obok niej. Leżała z zamkniętymi oczami. Ubrana jak martwo urodzona, w butach przypominających bandażę. Owijały się wokół jej nóg, wchłaniając krew z ran na kolanach. Jej włosy rozsypały się na kamieniu jak aureola.

Nienawidził świata za to, co jej zrobił. Nienawidził myśli, że sam był częścią tego, co ją zniszczyło. Ale była tu. Żyła. I dokonała tego, czego się podjęła.

A ja? Czego ja dokonałem?

Coś ścisnęło się w piersi. Nagle przypomniał sobie wszystkie oczekiwania, z którymi dorastał. Wymogi, kim miał się stać. Przywódcą. Zabójcą. Wojownikiem. Sprzeciwił się Ilume. Sprzeciwił się Svarteldowi. Radzie. A jednak nigdy nie wybrał innej ścieżki niż oni. W odróżnieniu od niej. On wybrał śmierć. I widział jej już więcej, niż był w stanie znieść.

Usiadła i spojrzała na niego. Przejrzała go na wylot. Przesunęła kciukiem po jego policzku. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że płacze. Położyła rękę na jego piersi i pchnęła go na plecy, a potem położyła się obok niego. Znow zamknęła oczy i czuł, że powinien zrobić to samo. Ale nie był w stanie. Zbyt wiele mógł zobaczyć pod zamkniętymi powiekami. Ból. Wszystko przynosi ból.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Tein...

Syn wodza stał nad krawędzią i napinał łuk. Mierzył do Rimego. Jego udo przecinała czerwona pręga, ale poza tym był cały. Tylko to spojrzenie. Wydawał się zdezorientowany, jakby nie wiedział, czy znalazł przyjaciela czy wroga. Potem poznał Rimego. I nie opuścił łuku.

Rime zrozumiał. Kiedyś zawarli umowę. Gdy nosił w sobie dziób. Tein palił się, by spełnić tę obietnicę. To by było takie proste. Strzała. Bez żadnych świadków. Rime byłby martwy, nim Hirka zdążyłaby otworzyć oczy.

Tein wpatrywał się w niego z bólem w oczach. Przyjrzał się Hirce. Rime nie czuł strachu. Nie czuł nawet złości. Był gotowy.

Syn wodza opuścił łuk. Cierpienie w jego oczach zgasło. Zastąpiły je smutek, pustka. Cofnął się i odszedł.

Rime zapatrzył się w szare niebo. Wiatr przesypywał piach przez krawędź rozpadliny. Wyglądało to jak chmury drobnych owadów.



WĘZEL

Hirka chodziła od pryczy do pryczy i doglądała rannych. Starła się, by Umpiri nie leżeli obok ætlingów, ale Eisvaldr był przepełniony po brzegi i nie było zbyt dużego wyboru.

W wielu miejscach leżeli obok siebie. Ci z ogonem i bez. Ze szponami i bez szponów. Nigdzie nie było ani jednej wolnej pryczy. I może dobrze, bo gdyby taką zobaczyła, pewnie by na nią padła i już nigdy się nie obudziła.

Nabijane ćwiekami drzwi były otwarte i do lochów wpadało świeże powietrze. Więzienie w Eisvaldrze również zamieniono na izbę chorych. Wypełniała je dziwna zbieranina umierających i wyjętych spod prawa. Czy tak bardzo się od siebie różnili? Niektórzy siedzieli tu za to, że kogoś zabili. Drugimi trzeba się było zajmować, bo robili to samo. Tym, co ich różniło, był tylko czas i miejsce popełnionej winy.

Sprawiedliwość była jak kamień. Wszystkim się wydawało, że jest czymś trwałym, że jest wieczna i niezmienna. Ale Hirka przekonała się, że jest inaczej. Kamień był już raczej przypadkową zbieraniną ziarenek piasku, które ledwie trzymały się razem. W pewnych okolicznościach zmieniał formę.

Rozejrzała się. Nigdy by nie przypuszczała, że jej noga jeszcze tu postanie. Jej spojrzenie powędrowało mimowolnie do jednej z krat w podłodze. To tam leżała po rytuale. Tam ostrzyła kawałek drewna. Żalostną broń na mężczyznę, który chciał ją zgwałcić i który już nie żył. Zabił go Urd. To on ją wtedy uratował.

Urd...

Jarladin i Sigra przesłuchali uwięzionych członków Rady, ale żaden z nich nie wiedział nic o Urdzie. Nawet Telja Vanfarinn była przekonana, że zginął wieki temu na Bromfjell.

Hirka była pewna, że Urd ją zdradzi. A on tylko uciekł. Może przez kamienny krąg. Bogowie raczą wiedzieć. To nie miało znaczenia. Czują, że to już nieistotne.

Nic nie było takie jak kiedyś. Urd nie stanowił zagrożenia. Rada już nie istniała. Świat nie był już taki sam.

Zakręciło jej się w głowie. Oparła się o piętrowe łóżko. Ochotnicy wykonali ich mnóstwo. Rannych można było układać na trzech poziomach. Mężczyzna przed nią jęknął

cicho, ale nie otworzył oczu. Hirka zajrzała pod bandaż. Od wczoraj rana nie wyglądała ani trochę lepiej. Wyciągnęła zatyczkę z butelki i pokropiła ranę krwią. Ranny chwycił ją za ramię. Zaskakująco mocno jak na umierającego.

Spojrzał na nią szklistymi od gorączki oczami.

– Jeśli to krew ślepych, to wyrzuc to świństwo! Nie chcę tego.

Pchnęła jego rękę z powrotem na łóżko.

– I tak ci ją podam. Dzięki temu być może przeżyjesz i później będziesz mógł się kłócić.

Puścił ją.

– Gdzie oni są?

– Większość wróciła do domu – odparła, nie wspominając o tym, że na pryczy nad nim leży ślepy. Przemilczała też fakt, że teraz nabyrni mogli przychodzić i odchodzić, kiedy zechcą, bo Evna odnalazła drogę na Dreysl.

Głowa mężczyzny opadła z powrotem na poduszkę. Lśniący jedwab haftowany złotą nicią. Rzadko zdarzało jej się widywać coś, co byłoby tak bardzo nie na miejscu. Ale potrzebowali poduszek, a rodziny członków Rady i bogaci kupcy chcieli, by teraz postrzegano ich jako sojuszników. Niektórzy wspaniałomyślnie dzielili się tym, co posiadali. Inni przyjmowali nawet pod swój dach bezdomnych i rannych.

– Oni walczyli... – Mężczyzna odchrząknął i spróbował jeszcze raz. – Walczyli ze sobą. Niektórzy.

Hirka się uśmiechnęła.

– Jak masz na imię?

Wydawało się, że to pytanie go zdezorientowało.

– Runar. Jestem Runar.

– No cóż, Runar... – Dotknęła ręką jego czoła. – Niektórzy z *nas* też walczyli przeciwko sobie.

Zaśmiał się ochryple. Niemal bezgłośnie.

– No to... ilu zginęło?

Hirka zakryła jego ranę.

– Zapłaciliśmy cenę. Nie chcę wiedzieć, ile nas to kosztowało.

Runar zamknął oczy. Zastanawiała się, czy wie, kim ona jest. I że to ona sprowadziła tutaj ślepych. Że być może przez nią umrze.

Znów przytłoczył ją duszący ciężar tego, co zrobiła. Uczucie, które próbowało ją ścisnąć w małą twardą grudkę. Wybory, których dokonała w imieniu tak wielu. Jakim prawem?

Zwiesiła głowę. Podłoga wydawała się kołysać. Wiadra, szmaty i ubranie stapiały się w jedną masę.

– Kiedy osss...statnio spałaś?

Hirka odwróciła się w stronę, z której dobiegł głos. Widzący stał w świetle padającym od drzwi. Zgarbiony i odziany w czerń, z twarzą zasłoniętą kapturem. Próbowła zebrać się w sobie, ale jej się nie udało.

– Wkrótce będzie mnóstwo czasu na sen – odparła, podchodząc do taboretu. Zrolowała tkaninę, w której przechowywała zioła i schowała ją do worka. Była wdzięczna, że ktoś pomyślał o tym, by zabrać go z Kruczego Dworu.

Unikała go i przypuszczała, że o tym wie. Podkuśtykał do niej. Położył rękę na jej ramieniu i poprowadził ją w stronę wyjścia.

Hirka wskazała na uzdrowicieli w pomieszczeniu za zasłoną.

– Ale... spójrz tylko na nich. Nie myją rąk, jeśli im nie...

– Gildia poradzi sobie bez ciebie przez godzinę.

Hirka niechętnie poszła za nim. Usiedli na ławie z widokiem na ogrody. Na to, co z nich zostało.

Żywopłoty zdeptano. Drzewa były nagie i czarne od sadzy. Skórzane pasy, stalowe rękawice i pęknięte tarcze tworzyły ponury krajobraz. A dalej, z Gniazda Ślepych, unosił się dym stosów pogrzebowych. Ale to ona sama spowodowała największe zniszczenia. Rozpadlina dzieliła równinę na pół. Przecięła mury i obróciła w ruiny część Eisvaldru. Hirka wiedziała, że gdyby podniosła wzrok, nie zobaczyłaby Muru. Tego, który od zawsze wznosił się między Mannfallą a Eisvaldrem. Teraz stały się jednym miastem.

Na ulicach wciąż zamiatano piasek. Mieszkańcy jeszcze długo będą się zastanawiać, dlaczego nie ma żadnych gruzów.

– Czyli... jutro? – spytał.

Wiedziała, że to dopiero wstęp. Chodziło mu o coś zupełnie innego. I nienawidziła tego. Nienawidziła kręcenia się w kółko i odwlekania tego, co nieuniknione.

– Tak. Przybyli z daleka – odparła. – Ci Brekki, którzy nie opowiedzieli się po żadnej ze stron. Teraz chcą brać udział w podziale władzy. – Nie udało jej się ukryć goryczy.

Przez chwilę milczeli.

– Musisz o tym powiedzieć – odezwał się w końcu.

Hirka oparła głowę o skalną ścianę.

– Co mam powiedzieć? – Zamknęła oczy. Musiała tylko chwilę odpocząć. – Dopuszczałam do tego. Do wszystkiego, co tutaj widzisz. I zrobiłam to na próżno.

– Na próżno? Dałaś nam Evnę.

– Ale nikt w tym celu nie musiał umierać. Nikt! To nieprawda, co wszyscy mówili, że Evna żywi się śmiercią. Chodzi o coś innego. O zobaczenie... – Szukała właściwych słów. – O zobaczenie powiązań. Zobaczenie innych. Poczucie ich tak, jakby byli mną. Ich udręki, rozpacz, radości czy strachu. To nas ocaliło, nie śmierć. Rozumiesz?

Widzący przesunął sękatą dłoń po kapturze. Na chwilę pojawiły się zarysy jego zdeformowanej twarzy. Narośl przypominająca dziób. Cofnięte czoło. Półkruk. Mężczyzna, który kochał Naiella.

Hirka przysunęła się do niego. Oparła czoło o jego ramię.

– Naiell musiał zrobić to samo – powiedziała. – Musiał czuć ten sam ból. Czuć ich wszystkich. Inaczej nie mógłby zrobić tego, co zrobił. Nie miał... nie miał złego serca.

– Zawsze o tym wiedziałem – odparł Widzący.

Hirka poczuła się ciężka. Wydawało jej się, że już nigdy nie da rady wstać; była taka zmęczona. A to jeszcze nie koniec. Musiała zrobić jeszcze jedno. Coś, co będzie bolało. Musiała to jednak powiedzieć. Odwlekała to już wystarczająco długo. Poczowała pieczenie pod powiekami.

– Nie potrafię ci pomóc – szepnęła, ściskając kurczowo ławę. – Mogę czerpać i Evna pokazuje mi, jak wszystko jest ze sobą połączone. Widzę cię. Widzę kości i krew. Ale nie jesteś cząsteczkami, które można porozdzielać. Nie jesteś jak złamana kość. Jesteś... – Przełknęła, by pozbyć się grudy w gardle. Jej usta wykrzywiły się z rozpacz. – Jesteś jak węzeł. Gdybym spróbowała, to by cię zabiło.

Jego szata powiewała na wietrze. Ciemna i pomarszczona jak zwiędły liść.

– O tym też zawsze wiedziałem – odparł.

Próbowała stłumić szloch. Nie potrafiła nad tym zapanować. Wiedziała, że będzie jeszcze gorzej. O wiele gorzej. Dogoniło ją zmęczenie. Widzący objął ją ramieniem. Przytulił. Oparła twarz o jego nierówne zębra. Nienaturalne. Sterczące. Zdeformowane.

– Nie wszysss...stko możesz uleczyć, Hirko. I nie wszystko, co naprawisz, stanie się piękniejsze. Czasem niektóre rzeczy zosss...stają zniszczone na zawsze.

Rozpłakała się. Szlochała spazmatycznie. Przytulił ją mocniej. Pogłaskał czarnym szponem jej mokry od łez policzek.

– Hirko... córko Graala, sss...syna Rauna z domu Modrasme. Oddałaś światu zbyt wiele samej siebie.



KRUCZY PIERŚCIEŃ

Hirka weszła na zniszczony most. Położyła się na brzuchu i wyjrzała za krawędź. Nie była sama. Towarzyszyły jej wykute w kamieniu węże i smoki. Baśniowe zwierzęta, zwietrzałe i nadkruszone zębem czasu. Długi język jednego z nich zwisał nad kamiennym kręgiem.

Zebrali się tam. Zbyt duża grupa kobiet i mężczyzn. I wszyscy rościli sobie pretensje do władzy. Albo przynajmniej do wpływu na to, jak zostanie podzielona. Zanim ten dzień się skończy, niektórzy będą mieli więcej, inni zostaną z niczym.

Mieli być nazywani Kruczym Pierścieniem. Pod warunkiem, że w ogóle się dogadają. To była propozycja Rimego. Rada upadła i nikt nie zaakceptowałby czegoś nowego z dawną nazwą. Oczyszczenie musiało być całkowite.

Hirka zaczerpnęła Evny. Musiała wiedzieć, o czym mówią, zanim się z nimi spotka. Gdy jej zmysły były wyostrzone Evną, widziała i słyszała to, co normalnie byłoby niedostępne. W przestrzeni. I być może w czasie. Niekiedy zdarzało się, że wyczuwała wydarzenia z przeszłości. I wydarzenia, które miały dopiero nadejść.

Posadzka w kamiennym kręgu ucierpiała podczas walk. Sporą jej część w miejscach, gdzie Darkdaggar kazał kopać, pokryto deskami. Może chciał zburzyć wrota? Oczywiście to było niemożliwe. Kamienie sięgały głębiej pod ziemię niż nad powierzchnię. Wiele płytek popękało lub w ogóle ich brakowało. Motywy wyblakły i niemal całkowicie się zatarły. Ale z istotami też tak było. A zwłaszcza z tymi, które stały tam w dole.

Ich słowa stapały się z szelestem liści spadających z drzew, którym udało się przetrwać.

Był wśród nich Eirik. Reprezentował Kruczy Dwór. Wciąż miał na złamanym nosie trochę zaschniętej krwi.

Obok niego stał mężczyzna dorównujący mu wzrostem. Varg Kallskaret z Ulvheim. Hirka nigdy wcześniej go nie widziała, ale czuła się tak, jakby już go знаła. Kiedy leżała na dachu w Kruczym Dworze, słyszała, jak jego syn wyjaśniał, dlaczego ojciec nie mógł przybyć. Walczył z górskim niedźwiedziem i w trzech miejscach złamał sobie nogę. Na to

wspomnienie mocniej wczepiła się w most. Jej ciało nagle przypomniało sobie, że raz już spadła z dachu.

Rzucała się w oczy nieobecność dawnych rodów zasiadających w Radzie. Wielu chciało wtrącić do lochów żonę Darkdaggara, ale Hirka się na to nie zgodziła. Ona i córki dość już straciły. Z jej powodu. O rodzinie Darkdaggara w ogóle nie pomyślała, kiedy go zabijała. Czy to dlatego czekał, zamiast wbiec między kamienie? Czy zginął, ponieważ czekał na tych, których kochał? Wiedziała, że już zawsze będzie nosić w sobie tę niepewność i ból.

Był tam też Jarladin. Hirka prawie nie widywała go od czasu bitwy. Sigry Kleiv również. Miane Fell została przez Darkdaggara wtrącona do lochów za rzekomą zdradę. Teraz była wolna i się zjawiała. Pozostałych Hirka знаła jedynie z imienia.

Nikt z nich nigdy by nie przypuszczał, że będą stać obok ślepych, ale tak właśnie się stało. Obecna była Hod z domu Hod, reprezentowała Dreysíl. Umpiri. Kolail był przedstawicielem upadłych. Tych, którzy walczyli z własnym ludem. Nie było żadnych wątpliwości, co o tym sądzi Hod. Rime miał na tyle rozsądku, by wskazać im miejsca po przeciwnych stronach kręgu.

Rime...

Stał między Eirikiem i Kolailem. Obaj byli od niego wyżsi i bardziej barczyści, nie wspominając o tym, że również znacznie starsi, ale dla niej i tak Rime był największy. Najpiękniejszy. Białe włosy związał na karku rzemieniem. Na jego piersi przecinały się brązowe skórzane pasy, ale nie nosił mieczy. Nikt z nich nie miał broni.

Uświadomiła sobie, że zapomniała o przysłuchiwaniu się, co mówią. Ton stał się ostrzejszy. Sigra Kleiv chciała zburzyć kamienny krąg i to wystarczyło, żeby zaczęli się kłócić.

Hirka uznała, że najlepiej będzie się pokazać, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Zaczepnęła Evny i opuściła się z mostu. Nie tylko dlatego, że to było wspaniałe, oszałamiające uczucie. Chciała im też pokazać, do czego jest zdolna. Mogła wiele na tym zyskać.

Evna pozwoliła jej miękko wylądować. Weszła do kręgu i stanęła obok Kolaila. Wodzili za nią wzrokiem. Rozmowy ucichły.

– Brama ma stać dalej – oświadczyła.

Nikt nie zaprotestował od razu. Zaskoczyło ją to. W końcu milczenie przerwała Sigra:

– Bo ty tak mówisz? Kogo tutaj reprezentujesz?

Hirka uniosła podbródek.

– Reprezentuję Evnę. Reprezentuję ziemię. Wszystko, co w niej rośnie. Reprezentuję życie, które nie może przemawiać samo za siebie, Sigro. A jeśli to ci nie wystarcza, to jestem tu również jako dziecko Odyna. Na razie przemawiam w imieniu człeków.

– To ona otworzyła bramy, Sigro. Jej rola nie podlega dyskusji – zabrał głos Jarladin.
Sigra uniosła rękę.

– No właśnie! Otworzyła je, Widzący... bogowie raczą wiedzieć po co! Pozwólcie, że wam przypomnę, że zrobiła to wedle własnego uznania, nie pytając nikogo o zdanie. Sprowadziła martwo... – Zerknęła na Hod i Kolaila. – Jak mamy ich teraz nazywać?

Hod uniosła wargę w zwierzęcym grymasie. Uderzająco kontrastowało to z jej nienaganną elegancją. Jarladin położył rękę na ramieniu Sigry.

– Umpiri. Nazywają się Umpiri.

Sigra skrzyżowała rękę na piersi.

– Nazywajcie ich sobie, jak wam się podoba, ale teraz najwyraźniej mogą przychodzić i odchodzić, kiedy tylko zechcą! A któż to może wiedzieć, co jeszcze gdzieś tam się kryje? Może tam być przecież wszystko, a z tego, co widzę, nawet nie zaczęliśmy budować muru. I podarowaliśmy im Evnę, nie myśląc o tym, do czego mogą jej użyć. Podzieliliśmy się nią bezkrytycznie z istotami, o których nic nie wiemy.

Hirka postąpiła o krok naprzód.

– Masz rację, Sigro. W tym kręgu jest wiele kamieni i nie mamy pojęcia, kto znajduje się po drugiej stronie. Ale oni przybędą. Prędzej czy później. Pozostaje pytanie, *jak* chciałabyś, żeby przybyli. Z wdzięcznością, że podzieliliśmy się z nimi Evną, czy po to, by zdobyć ją siłą. Wciąż palimy poległych, bo Evna była tutaj i nigdzie indziej. Evna wymaga wolności.

– Ba! – burknął Varg z Ulvheim. – Będziemy sobie radzić z tym kłopotem, kiedy już się zjawi. – Mówił dialektem, który przywodził jej na myśl ojca.

Hirka się uśmiechnęła.

– Nie wątpię, że potrafisz poradzić sobie z kłopotami, Varg. Ale czy poradzisz sobie także z błogosławieństwem? To, co kiedyś przybędzie, może być zarówno dobre, jak i złe.

Zapadła cisza. Wszyscy ukradkiem zerkali w stronę kamiennego kręgu.

– To co teraz zrobimy? – spytała Veila z Brott. Ją również Hirka pamiętała ze spotkania w Kruczym Dworze.

Hirka wzruszyła ramionami.

– Poczekamy.

Hod skorzystała z okazji, by skomentować to, co najwyraźniej drażniło ją najbardziej. Zmrużyła oczy, patrząc na Kolaila.

– Jeśli to ma być zgromadzenie przedstawicieli, to chętnie się dowiem, dlaczego Umpiri mają ich dwoje.

Odpowiedział jej Rime:

– Kolail nie reprezentuje tu waszego świata. Przybył w imieniu Umpiri z krain Ym.

Jego słowa wywołały lawinę pytań. Najwyraźniej musieli dopiero przywyknąć do myśli o tym, że ślepi na stałe zamieszkają w Ym.

Hod zaśmiała się gorzko.

– Chcesz powiedzieć, że tutaj *zostaną*? Że udzielicie schronienia zdrajcom?

Sigra postąpiła o krok naprzód, wyłamując się z kręgu.

– Zdrajcom, którzy walczyli po naszej stronie przeciwko wam? W moich oczach nie czyni ich to zdrajcami.

– Mniejsza z tym, ale kto by ich przyjął? – Veila przewróciła oczami.

Protesty zaczęły się szerzyć jak pożoga. Hirka zerknęła na Kolaila. Wbił wzrok w podłogę. Nie tylko o jego los się teraz kłócili. Odpowiadał za wielu innych. To ona złożyła ten ciężar na jego barki.

– My! – zawołał Eirik. – My. Kruczy Dwór już ich przyjął.

Hirka poczuła ciepło rozlewające się w piersi. Była mu wdzięczna za te słowa. Uchwyciła się tej szansy. Wyszła na środek kręgu i się rozejrzała. Omiotła ich wszystkich wzrokiem.

– Wiem, że to się wydaje nieprawdopodobne. Niektórym z was wręcz niemożliwe. Widzicie wrogów. Obcych. Ale to, co tu teraz robicie, jest ważniejsze od kogokolwiek z nas. Jesteśmy pierwszymi w Kruczym Pierścieniu. Jesteśmy pierwszymi, którzy rozmawiają ze sobą w imieniu różnych światów. Widziałam światy inne niż ten i mogą z nich przybyć również dobre rzeczy. Piękno. Wiedza. To, co przynosi ulgę. A my podzielimy się tym, co mamy najlepszego. I jeśli trudno wam się pogodzić z faktem, że Umpiri i ætlingowie będą żyć razem, to zapewniam, że będzie jeszcze gorzej. Wkrótce zjawią się też ludzie. A pewnego dnia Evna dotrze do wszystkich. Wszystkie światy będą tu obecne.

Sigra zaśmiała się cicho.

– A kto ich wszystkich znajdzie? – spytała. – Kto doprowadzi do tego cudu?

Hirka na chwilę zamknęła oczy. Zbierała siły, by powiedzieć prawdę, choć nie rozmawiała o tym z Rimem.

– Ja – odparła. – Ja to zrobię.

Zerknęła na Rimego. Wiedziała, że zrozumiał znaczenie jej słów. Że ona nie zamierza tutaj zostać. Jeśli jakoś zareagował, dobrze to ukrył.

Hirka wróciła na swoje miejsce.

– No dobrze – odezwał się z udawaną lekkością Rime. – Ustalimy teraz, jak mieszkańcy będą wybierać przedstawicieli regionów?

To pytanie wywołało histerię, na którą Hirka nie miała już siły. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Sami musieli się tym zająć. I tak nie od niej zależało, jak będą rządzą krainami

Ym. To miejsce nie było już jej domem. Nie była taka jak kiedyś. I nigdy nie będzie.



BRAMY

Dwie doby po bitwie otworzył się pierwszy sklep. To była piekarnia na placu, niedaleko miejsca, gdzie do niedawna stał Mur. Mieszkańcy miasta gapili się, przechodząc obok niej. Niektórzy się oburzali. Rzucali w drzwi końskim łajnem. Piekarz udawał, że to go nie dotyczy. Powiedział, że ma zakwas, który trzeba wykorzystać. I rozgrzane piece.

Następnego dnia otworzyły się wszystkie sklepy.

Hirka szła wąskimi zaułkami, od straganu do straganu. Wokół niej o miejsce walczyły radość i żaloba. Ci, którzy kogoś stracili, milczeli. Ci, którzy przeżyli, świętowali. Życie nieubłaganie toczyło się dalej.

Towarów było w bród. Hirka targowała się o zioła, bez których mogła się obyć, ale nie o te, których naprawdę potrzebowała. Musiała zdobyć wyjący korzeń. Dla ludzi. Może dla męża Allegry było już za późno, ale innym mogła jeszcze pomóc.

Vetle szedł przodem. Ciągnął ją za rękaw za każdym razem, kiedy chciał jej coś pokazać. Ramoja już wielu rzeczy mu odmówiła. Na przykład wisiorka z małym drewnianym konikiem. Potem przez chwilę płakał.

Ramoja szła powoli obok Hirki i opowiadała jej, co mówią mieszkańcy Kruczego Dworu. Hirka nie była zaskoczona. Lud to lud. Niektórzy zawsze będą wierzyć, inni zawsze wątpić, czy to w bogów czy we władców.

Poprawiła worek na plecach. Był wypchany jak kielbasa. Pełen rzeczy, które zamierzała zabrać ze sobą w podróż.

Przystanęła przy straganie z ozdobami. Na ladzie leżały szale przetykane złotą nicią. Sterty bransoletek. Pod niskim daszkiem, na kołkach, rozwieszono wisiorki. Kruki. Znak Widzącego. Amulety, które miały przynosić szczęście. Jeden z nich skusił ją, by podeszła bliżej. Okrągła srebrna moneta z twarzą dziecka wytłoczoną po jednej stronie. Dziecko, któremu Widzący kazał żyć. Dziecko, na które wszyscy czekali.

Rime An-Elderin.

Ścisnęło jej się serce. Poczowała mrowienie w ciele. Przesunęła palcem po amulecie. Rime pod tak wieloma względami wydawał się odległy. A równocześnie nie. Była z nim tak

blisko, że bliżej już się nie da. Mężczyzna za ladą wyszczerzył zęby. Miał w jednym uchu grube złote kolczyki.

Nagle zapragnęła powiedzieć, że zna Rimego. Ogarnęła ją niewytłumaczalna potrzeba, by oświadczyć, że z nim była.

Kochałam się z nim.

Na tę myśl zrobiło jej się gorąco. Wypuściła z palców amulet i poszła dalej.

– On przyniesie ci szczęście! – zawołał za nią mężczyzna.

Hirka stłumiła gorzki śmiech.

Słońce zaczynało chylić się za góry. Skąpało ulice w czerwonopomarańczowym świetle. Vetle podbiegł do otoczonej murkiem sadzawki na małym placu. Spłoszył ptaki. Ramoja poszła za nim, by mieć go na oku. Hirka usiadła na ławie pod ścianą jednego z domów. Wyjęła z worka księgę. W czarnej miękkiej okładce. Otworzyła ją i zaczęła przeglądać. Kolejne strony z okręgami. I nic poza tym. Kółka, a wokół nich linie. Mapa światów. Może jest ich więcej niż kiedykolwiek zdoła odwiedzić? Na ilu z nich będzie w stanie przetrwać?

Usłyszała śmiech Vetlego. Skądś rozchodził się korzenny zapach chleba. Drobnie rzeczy, które wydawały się zbyt ważne, by stąd odejść. Tak trudno było zostawić za sobą chleb i śmiech. Jak da radę opuścić to, co najważniejsze?

Spakowała księgę do worka. Odszukała tę drugą. Mniejszą, z brązową skórzaną oprawą i przymocowanym kompasem. Ją również otworzyła. Przełknęła, gdy dostrzegła ból w słowach, które sama kiedyś napisała. Tak niewiele rozumiała, gdy przybyła do ludzi. Język. Dźwięki. Samochody...

Ale się uczyła. Jej rysunki na kolejnych stronach stawały się coraz lepsze. Słowa coraz pewniejsze. Pomiedzy kartki powkładała zdjęcia i pocztówki. Różne wycinki. Obraz przedstawiający drzewo. Zdjęcie z Wenecji. Rysunki roślin. Na ostatniej stronie narysowała okrąg przerywany poszarpanymi liniami. Jak naprawiona misa.

Piękniejsza dlatego, że kiedyś została roztrzaskana.

Z nią było inaczej. Czowała się zdruzgotana. Zbyt wiele straciła. Robiła rzeczy, które nie pozwalały jej spać po nocach. Rzeczy, których przysięgała sobie nigdy nie robić. Zabiła. Poświęciła wiele istnień dla czegoś większego. I pomyliła się.

Nie mogła tutaj zostać.

Nawet kruki to powiedziały. Należała do wszystkich światów. Jej dom nie był u Umpiri, u ludzi ani u ætlingów. Był w drodze. Tak jak zawsze. Jak wtedy, gdy podróżowała z ojcem na czerwonym wozie. To był jej dom. Rysowanie i opisywanie roślin ze wszystkich światów. Odnajdywanie powiązań. Uczenie się.

Hirka wyrwała jedną stronę i zaczęła pisać. Lekki wietrzyk bawił się rogiem karki.

Usiadła obok niej Ramoja. Hirka złożyła list.

– Spotkasz się z nim dziś wieczorem? – Hirka starała się, by zabrzmiało to obojętnie.

– Mam się spotkać z Eirikiem i zakładam, że Rime będzie gdzieś w pobliżu.

Hirka podała jej list.

– Możesz mu to ode mnie przekazać?

Ramoja spojrzała na nią. Było widać, że chce o coś zapytać, nie zrobiła tego jednak.

Hirka była jej za to wdzięczna.

– Słyszałaś, że kazał skopiować księgi?

Hirka potrząsnęła przecząco głową.

– Ponoć od pokoleń leżały ukryte w bibliotece. Księgi o ślepych i o dwóch braciach.

Niektóre są nawet napisane w mowie ślepych!

Umōni. Nazywają swój język umōni.

Nie odezwała się.

Ramoja rozparła się na ławce i założyła nogę na nogę. Zadzwonily złote paciorki na nogawkach.

– Wiesz, co powiedział Eirik? Rime się uparł, żeby to wyszło na jaw. Chce spisać nową historię, tak żeby tym razem była prawdziwa. Eirik oczywiście go zapytał, czy jest przekonany, że będzie w stanie napisać prawdziwszą historię niż jego poprzednicy. I wiesz, co Rime mu odpowiedział? Odpowiedział, że nie, ale w takim razie wszyscy będą musieli się uczyć więcej niż jednej wersji.

Hirka uśmiechnęła się gorzko.

Podbiegł do nich Vetle. Trzymał w ręce wisiołek. Małego drewnianego konika na czarnym rzemyku.

Wystraszona Ramoja chwyciła się za serce.

– Wzięłeś go sobie?!

– Dostałem go! – odparł Vetle urażonym tonem.

Ramoja uniosła brew. Jej ciemna twarz wyrażała powątpiewanie.

– Dał mi go ten mężczyzna. – Vetle pokazał palcem. Przez chwilę wyglądał na dezorientowanego. Znów spojrzał na matkę. – Przed chwilą tam stał. Dał mi go.

Ramoja westchnęła, ale pomogła mu zawiesić wisiołek na szyi. Hirka podniosła wzrok. Poczowała mrowienie i zaczerpnęła Evny. Omiotła wzrokiem kobiety i mężczyzn. Dostrzegła znajomą twarz.

Urd...

Podchwycił jej spojrzenie z drugiego końca placu. Brzydką bliznę po znaku Rady ukrył pod kapturem. Kiwnął Hirce głową. Przez chwilę nie wiedziała, co począć. Jakby nie mogła się zdecydować, co właściwie czuje.

Ramoja nigdy mu nie wybaczy ani nie zrozumie. Ale nie musi o tym wiedzieć.

Hirka odpowiedziała mu skinieniem. Urd uśmiechnął się ostrożnie. Potem naciągnął mocniej kaptur i zniknął w tłumie.



Hirka stała na skraju urwiska i spoglądała na pole bitwy. Spowijał je mrok i można by pomyśleć, że tej wojny nigdy nie było. Żadnych czerwonych plam na trawie. Żadnych zwęglonych blizn. Tylko ciemne równiny ciągnące się aż po Gniazdo Ślepych.

Góry wydawały się groźniejsze niż kiedyś. Jakby stały się dziksze po utracie Ciemnych Cieni. Jakby tylko zabójcy działający z rozkazów Rady byli w stanie je ujarzmić. Teraz nie żyli. Prawie wszyscy.

Nie licz zabitych.

Odwróciła się w stronę miasta. Przed nią wznosiły się białe dachy i wieże Eisvaldru. W dole pod nią znajdowały się lochy wydrążone w skale. Stała tu już kiedyś. Razem z Rimem. Wspomnienie było tak wyraźne, jakby to się wydarzyło wczoraj. Jego spojrzenie, gdy wysłała go na dół, by przyniósł worek... Jakby postradała rozum.

Dziś wieczorem sama mogłaby po niego pójść, gdyby już nie miała go na plecach. Była taka sama, ale nowa. Cała, ale roztrzaskana.

Poprawiła pasek, żeby worek lepiej leżał. Odruchowo rozejrzała się za kijem i przypomniała sobie, że go odrzuciła po tym, jak zabiła Darkdaggara. Od tamtej pory go nie tknęła. Miała silne wrażenie, że brakuje jej czegoś ważnego, chodziło jednak o coś znacznie więcej niż kij.

Zaczerpnęła Evny i rzuciła się w dół. Wylądowała miękko na kopule, kawałek dalej. Pobieгла mostami, tą samą drogą, którą szli razem z Rimem tej nocy, gdy wdarli się do Wieży Widzącego. Wspięła się po schodach po zewnętrznej stronie wieży. A potem podciągnęła się na dach, tak jak on wtedy.

Wówczas wydawało jej się to niepojęte. Niemal boskie, bo sama nie umiała czerpać. Ale otrzymała dar od kruków. W jej żyłach szumiała Evna. Sprawiała, że Hirka była silna i zręczna tak jak Rime. Wyostrzała jej zmysły. Pozwalała jej widzieć, z czego rzeczy się składają. Czasem nie było to błogosławieństwem. Były takie chwile, kiedy wołała czuć, że rzeczy są solidne. Na przykład dachy.

Zsunęła worek i usiadła na krawędzi. Skraj był na tyle szeroki, by mogła opuścić nogi i oprzeć się o kopułę. Czuła pod plecami jej chłodną wypukłość. To stąd skoczyli na salę rytuału. Na wielką czerwoną kopułę. Piersi Matki. Teraz pozostał z niej tylko kamienny krąg daleko w dole.

Zawsze potrzebowała samotności. Wspinała się na dachy i na drzewa, by być dalej od

innych. Żeby zostać sam na sam z szelestem liści. Z szumem wiatru. Teraz pragnęła czegoś zupełnie innego.

Samotność tu, na górze, była bardzo intensywna. Wszechobecna. Była głupia, sądząc, że Rime przyjdzie tu dziś wieczorem.

Przynajmniej tym razem zrobiła wszystko jak trzeba. Nie spróbowała odejść, nie powiedziawszy mu o tym, tak jak ostatnio. Była z nim szczerą. Napisała, co musi zrobić. Spróbowała wyjaśnić dlaczego. Nie pozostawało jej nic innego. Zawsze należeli do dwóch różnych światów.

W Mannfalli paliły się latarnie. Setki. W dole, w najuboższych dzielnicach, było ich mniej. Niektórych rzeczy nigdy nie udałooby jej się zmienić. Nigdy jednak nie przestanie próbować. Podążyła spojrzeniem wzdłuż brzegu rzeki do miejsca, gdzie powinna stać herbaciarnia. Lindri. Przygarbiony Lindri. Z setkami zmarszczek wokół oczu. Po raz pierwszy ból zdawał się być przytłumiony. Nie przypominał już szponów zaciskających się na sercu. Tak było ze wszystkimi, których straciła. Czy taką właśnie cenę płaci się za przetrwanie? Odrętwienie?

Coś targnęło Evną. Uczucie, które tak dobrze знаła.

Rime...

Był blisko.

Jej serce zaczęło bić jak młotem. Jakby chciało wyśmiać wszystkie myśli o odrętwieniu. Hirka poczuła, że drży. W odruchu, nad którym nie chciała się zastanawiać, poprawiła ubranie.

Zaczerpnęła więcej Evny. Czowała jego zapach. Jego obecność. Wstała. Rime podciągnął się na dach, tak swobodnie, jakby nigdy niczego innego nie robił. Stał i patrzył na nią. Wiatr rozwiewał jego białe włosy. Na szyi miał wisiorek. Owalną muszlę. Z punktami, które zawsze ich ze sobą łączyły. Znad jego ramion wystawały miecze. Był Ciemnym Cieniem. Ubrany w czerń. Śmiertelnie niebezpiecznym. Cudownym.

Próbowała znaleźć słowa.

– Chciałam... chciałam powiedzieć, że mi przykro, że... że tak wyszło. Że...

Podszedł do niej. Ujął jej twarz w obie dłonie i ją pocałował. Opadła plecami na kopułę. Jej ciało wygięło się we wszystkich właściwych miejscach. Przyłgął do niej. Im był bliżej, tym mocniej biło jej serce. Jej krew zdawała się płynąć nie w jednym, a w obu ciałach.

Splotła z nim palce. Były silne i ciepłe od Evny. Dotknął ustami jej ust i poczuła, że się uśmiecha. Podniósł głowę i podchwycił jej spojrzenie. Jego wilcze oczy były pełne miłości. Do niej. Ta pewność skłaniała ją do płaczu. Kochać Rimego. I być przez niego kochaną.

– Chcesz mnie opuścić? – spytał ochryple.

– Nie. Chcę po prostu odejść.

Czuła jego ciepły oddech na policzku.

– To odejźmy razem.

Położyła rękę na jego piersi. Na skórzanych pasach. Sprzączkach. I na wypukłościach, pod którymi kryły się noże do rzucania.

– Chcesz opuścić Eisvaldr, żeby... – zaczęła Hirka.

– Tak.

– Kiedy oni się kłóca, kto będzie...

– Tak.

– Nie masz nic innego, nic innego nie znasz, nie mogę cię prosić, żebyś...

Znów ją pocałował. Jej spragnione usta nabrzmiały. Wszystko inne przestało istnieć. Wpiła paznokcie w jego kark. Krew pulsowała w jej ciele. Zbierała się w gorący węzeł. Przewrócili się. Wywinęła mu się, żeby zaczerpnąć tchu.

– Spadniemy – szepnęła leniwie w jego podbródek.

Uśmiechnął się. To był najpiękniejszy uśmiech największego zadowolenia, jaki kiedykolwiek widziała.

– Spadliśmy dawno temu, Hirko.

Podniósł jej worek i pociągnął ją za krawędź. Przepelniony Ewną. Pragnieniem i życiem. Spadali. Obrócił ją w powietrzu i pierwszy dotknął ziemi. Pośrodku kręgu kamieni. Wylądowała w jego ramionach. Chwycił ją w pasie. Tak zupełnie naturalnie.

– To dokąd się udamy? – spytał.

To było najcudowniejsze pytanie, jakie ktokolwiek w życiu jej zadał. Hirce napłynęły do oczu łzy, łzy radości. Spojrzała na posadzkę. Na ogromny wizerunek z maleńkich płytek. Spłowiały. Uszkodzony. Naznaczony krwią. Niechętnie puściła Rimego i odeszła kawałek dalej, by się przyjrzeć. Znalazła motyw, który wydał jej się kuszący. Śpiącego smoka.

Czemu nie?

– Tam?

Chwycił ją z rękę. Spojrzeli po sobie. Roztrzaskani. Spełnieni. Ætling i półślepa. Śmierć i uzdrowienie. To, co nieznanne, jeszcze nigdy nie wydawało się mniej przerażające. Hirka zaczerpnęła więcej Ewny. A potem ruszyli razem biegiem.

Pochłonęła ich przestrzeń pomiędzy światami.

PODZIĘKOWANIA

Na początek pragnę z całego serca podziękować wszystkim cudownym ambasadorom i fanom krwi. Wam wszystkim, którzy nie potrafiliście milczeć o „Kruczych pierścieniach” i wspieraliście mnie w tej przygodzie. Tym, którzy czytają cykl, recenzują, polecają go i się nim dzielą. Tym, którzy bawią się w cosplay, rysują, szyją, robią na drutach, tworzą, komponują i robią tatuaże. Tym, którzy czytali te książki kilka razy i niemal wciskają je innym, którzy ich jeszcze nie czytali. Tym, którzy nominowali mnie do Bokhandlerprisen i Bokbloggerprisen dwa lata pod rząd... Kurczę, żadne słowa nie potrafią tego wyrazić. Dzięki wam te ostatnie lata były najlepsze w moim życiu i obawiam się, że nigdy nie będę w stanie wam tego wynagrodzić. Naprawdę stokrotne dzięki.

„Fantastycznej Czwórce”, moim wybitnym kolegom po fachu, którzy odpowiadają za najbardziej zwariowany czat na Facebooku: gorące, stokrotne podziękowania dla moich drogich Tone Almhjell (*Vindelhorn*), Tonje Tornes (cykl „Kire”) i Torbjørna Øverlanda Amundsena (Bian Shen). I dla wspaniałego fanboya i początkującego pisarza Toma-Erika Fure. Łatwo zapomnieć o podziękowaniu ludziom, z którymi rozmawia się na co dzień.

Pisanie to jedna rzecz, ale za kulisami pracuje mnóstwo cudownych ludzi, dzięki którym to jest możliwe. Chciałabym serdecznie podziękować wszystkim z Gyldendal Norsk Forlag, którzy codziennie mi pomagają, a zwłaszcza mojemu wspaniałemu redaktorowi Espenowi Dahlowi i mojej wcześniejszej redaktorce Marianne Koch Knudsen, która na emeryturze wciąż pracuje nad tą serią. I oczywiście mojej opoce w wydawnictwie, Evie C. Thesen.

Pragnę gorąco podziękować moim cudownym agentkom, Lenie Stjernström i Lotcie Jämtsved Millberg z Grand Agency w Szwecji, które wciąż dbają o to, by „Krucze pierścienie” można było czytać w nowych językach. I serdecznie dziękuję moim zagranicznym wydawcom i tłumaczom, tym zdolnym i zaangażowanym ludziom, którzy też rzucili się w tę przepaść. Zwłaszcza tym z was, którzy nieustannie promują ten cykl. Są to niezrównana Jenny Zunko i wszyscy z B. Wahlströms Bokförlag w Szwecji, Urpu

Strellman z Jalava w Finlandii i Tine Flyvholm z Høst & Søn w Danii. No i oczywiście Pasi Loman, który zabrał ten cykl do Editora Valentina w Brazylii. Chcę też z góry podziękować na tę chwilę nieznanemu wydawnictwu, które jako pierwsze przetłumaczy „Krucze pierścienie” na angielski.

Audiobooki zebrały mnóstwo pochwał dzięki niezmiennie oddanemu lektorowi Erichowi Krusemu Nielsenowi. To samo można zresztą powiedzieć o moim niezrównanym guru językowym Alexandrze K. Lykke, który opracował umøni, język martwo urodzonych.

Chciałabym też serdecznie podziękować Matsowi Strandbergowi i Sarze Bergmark Elfgrèn, bardzo miłym i wspaniałomyślnym autorom cyklu „Engelsfors”, których przy kilku okazjach miałam szczęście spotkać i za każdym razem wracałam do domu mądrzejsza i szczęśliwsza. To samo dotyczy niesamowitej Lise Myhre, twórczyni Nemi. To jedyna w swoim rodzaju i fascynująca kobieta.

W chwili, gdy to piszę, mam za sobą dwie fantastyczne imprezy promocyjne. Takie rzeczy nie wydarzają się same. Stokrotne dzięki dla wszystkich, którzy tam byli, a zwłaszcza dla tych z was, którzy pomogli mi to zorganizować. Byli to: Frederik Kolderup i Jørgen Ljøstad z Non Dos, Jon Marius Sletten, atramentowy kucharz, Anders Braathen, hipsterski kucharz, piekąca torty Ragni Hansen i fotograf Kine Bakke, która uwieczniła imprezę promującą *Zgniliznę*.

Impreza czy nie: dziękuję Frank Cornelissen za wino i Valrhonie za czekoladę; moim dostawcom kofeiny: w Kristiansand są to Camillo Bastrup i Mean Bean, miejsca, w których właściwie powinnam płacić czynsz. W Oslo Supreme Roastworks, Fuglen i Java <3.

Jak zawsze dziękuję mamie, rodzinie i przyjaciołom. Zwłaszcza tym z was, którym obiecałam, że oddzwonię albo pójdę z wami na kawę, ale nie zdążyłam. I mojemu przyjacielowi Runemu Karoliusowi, z którym nie widziałam się całe lata, ale gdy spotkaliśmy się przy kawie, to było tak, jakbyśmy ostatnio widzieli się wczoraj.

I na koniec jeszcze najważniejsze: dziękuję mojemu kochanemu Kimowi, który dawał mi jedzenie, wino i miłość, obracał mnie do światła i w regularnych odstępach mnie wietrzył. Bez ciebie nie dałabym rady.

UMQNI, „MOWA PIERWSZYCH” – GLOSARIUSZ

Formy podstawowe jak następuje, chyba że podano inaczej:

Dla rzeczowników mianownik l. poj., dla czasowników bezokolicznik (patrz *Skróty* pod glosariuszem). Rzeczowniki podano wraz z rodzajem gramatycznym po formie podstawowej (r.m., r.ż. lub r.n.). Czasowniki opatrzone liczbą oznaczającą wzór koniugacji (v1, v2 lub v3).

Forma podstawowa	Definicja
<i>bersarki</i> r.m.	wojownik walczący na kije, osoba walcząca na kije w czymś w rodzaju ringu
<i>dósem</i> v3	być, czasownik łącznikowy; istnieć, znajdować się
<i>dreyri</i> r.m.	jeden z prawdziwych pierwszych
<i>esse</i> biernik l. poj.	biernik l. poj. od <i>iss</i>
<i>gweni</i> r.m.	samica (zwierzęcia), istota płci żeńskiej niebędąca <i>umpír</i>
<i>iss</i> 2 os. l. poj.	ty (mówiący sugeruje, że rozmówca ma niższy status społeczny); patrz: <i>esse</i>
<i>iss ghené woykhail</i>	zdradziłeś nas
<i>-kes-</i>	skrótowa forma od <i>kwessar</i> , dodawana do imienia jako coś w rodzaju tytułu lub określenia
<i>koy</i> wykrzyknik, nieodm.	oto! spójrz! (odpowiednik łacińskiego <i>ecce!</i> , angielskiego <i>lo!</i>)
<i>koyem</i> v1	postrzegać, poznawać/odbierać zmysłami
<i>kroyo</i> miejscownik l. poj.	gdzie: miejscownik l. poj. od <i>krai</i>
<i>kü'ru</i> r.m.	serce
<i>kwainsair</i> r.n.	okrutna niewola; więzienna cela, więzienie
<i>kwessar</i> r.m.	upadły, jeden z upadłych, osoba o najniższym statusie społecznym, bezkastowiec
<i>kwo</i> przysłówek	też, także; w dodatku
<i>óz</i>	ja
<i>óza</i>	ja (mówiący sugeruje, że ma wyższy status społeczny)
<i>ozá kwo kwessere dósem</i>	ja również jestem upadłym
<i>qni</i> r.m.	język
<i>pír</i> r.m.	krew (Umpiri)
<i>sekhes</i> r.ż.	cierpienie

<i>sekh̄bainari</i> r.m.	samoumartawiający się, osoba pławiąca się we (własnej) udręce; otulony w ból
<i>sulni</i> r.m.	jętka, drobny niekaszający owad
<i>umkhadari</i> r.m.	(formalnie) brat
<i>umq̄ni</i> r.m.	język, mowa, własny język Umpiri
<i>umpír</i> r.m.	ten, który jest z krwi
<i>wai</i> określnik	mój, moja, moje
<i>wári</i> r.m.	Evna
<i>wokhem</i> v3	zawieść, zdradzić

Skróty

r.ż. = rodzaj żeński

r.m. = rodzaj męski

r.n. = rodzaj nijaki

l. poj. = liczba pojedyncza

l. mn. = liczba mnoga

nieodm. = nieodmienne

v1-3 = czasownik, wzór koniugacji 1-3

Mowa ślepych została opracowana we współpracy z lingwistą Alexandrem K. Lykke.

SPIS TREŚCI

EVNA

MAPKA

DEDYKACJA

POWRÓT ZE SLOKNY

DREYSÍL

SCHRONIENIE

PROBLEM

SEDZIA

KOLAIL

PEKNIĘCIA

BALANSUJĄC NA KRAWĘDZI

NOWY MISTRZ

UPADŁY

GINNUNGAD

KREW Z MOJEJ KRWI

ŹRÓDŁO

NA DNIE

SZCZĘŚCIARA

HANDLARZ HERBATY

DOM HOD

KRWAWY KSIEŻYC

RYK

ŚPIEW KAMIENIA

UWIĘZIENI

CZERŃ I BIEL

OCH...

NIEGODZIWY CZYN

ZNAK WIDZĄCEGO

GRANICA WYTRZYMAŁOŚCI

WIDZĄCY

URD

WŁADZA GRAALA

RANA

CIENIE W SLOKNIE

ZASTYGLY

OSTATNIE SPOTKANIE
NARODZONA Z ZIEMI
KRUCZY ORSZAK
ŻYWA
SILNE SERCE
NARODZONA Z KRWI
UPADLI
WOLNE MIASTO
LODOWY OGRÓD
RADA WROGA
JEDNA Z NICH
UMOWA
PRAGNIENIE
SKRADZIONY
BEZ POWROTU
TANIEC
PIERŚCIEŃ ŚLEPYCH
WIĘŹ
NADZY
NARODZONA Z KRUKA
WOLNY
DREYRI
TAMTA NOC
DECYZJA OJCA
W PRZEDEDNIU WOJNY
ZWIERZĘTA POD MURAMI
PRZEPOWIEDNIA
PRZEBACZENIE
KORZENIE
SCORHILL
OSTATNI PUNKT
WĘZEL
KRUCZY PIERŚCIEŃ
BRAMY

PODZIĘKOWANIA

UMQNI, „MOWA PIERWSZYCH” – GLOSARIUSZ

SPIS TREŚCI

STRONA REDAKCYJNA